



***Luanne Rice***



***Róże mają kolce***

*Tytuł oryginalny: **Summer of Roses***

Dla *Rosemary Goettsche, Willoughby Moon* – najpiękniejszej ze wszystkich róż

*...odchodzi. Dokąd? Nie wiem Nikt nie wie w całym Lesie.*

*Dość, że idzie, że odchodzi, Aż nam wszystkim płakać chce się. („Chce się” jest to rym do „lesie”).*

*Trudno nam się z tym pogodzić (To znów rym jest do „odchodzi”). Krótko mówiąc, żal jest nam...*

*A. A. Milne, „Chatka Puchatka” rozdział X, w którym Krzyś i Puchatek przychodzą do Zaczarowanego Miejsca...*

## PODZIĘKOWANIA

Róże mają kolce, podobnie jak ma je pisanie książek, które byłoby zajęciem o wiele boleśniejszym, gdyby nie wspierali wydawcy. Nie jestem w stanie wysławić swej wdzięczności dla pracowników wydawnictwa Bantam za ich cierpliwość, dobroć i wspieralność, a także własną wizję. W szczególności pragnę wymienić następujące nazwiska: Irwyn Applebaum, Nita Taublib, Tracy Devine, Betsy Hulsebosch, Carolyn Schwartz, Cynthia Lasky, Barb Burg, Susan Corcoran, Gina Wachtel, Melissa Lord, Kerri Buckley, Kenneth Wohlrob, Jennifer Campaniolo, Igor Aronov, Mandy Lau i Janet Rutledge.

Osobne wyrazy uznania należą się Deborze Dwyer i pozostającej w cieniu ekipie zaangażowanej bezpośrednio w proces produkcji książki: Annie Forgione, Kathleen Baldonado, Tracy Heydweiller, Virginii Norey, Christine Tanigawie i Susan Hood. Potraficie zdziałać cuda!

Mnóstwo serdeczności dla Jima Plumeriego.

Uściski i wielkie dzięki dla mojej agentki Andrei Cirillo i jej współpracowników z Jane Rotrosen Agency: Jane Berkey, Dona Cleary'ego, Meg Ruley, Peggy Gordijn, Annelise Robey, Maggie Kelly, Hilary Demby, Christiny Hogrebe i Chrisa Ruena.

Nieskończoną wdzięczność żywię dla Rona Bernsteina, który jest ni mniej, ni więcej, tylko zdumiewający.

Nie mogłabym nie wspomnieć o przedsięwzięciu pod nazwą „Whale Trail”, które ostatnio ze swoją wystawą rzeźb wielorybów dotarło do południowo-wschodniej części stanu Connecticut, a zwłaszcza o powiązanych

z nim Dianie Atwood Johnson i Suzanne Mylar – obu z firmy K & M Productions. Moja niezrównana siostrzenica Amelia Onorato zastąpiła mnie wtedy podczas rzeźbienia i powołała do życia wala białego, który trafił do biblioteki w Old Lyme – jestem z Ciebie bardzo dumna, złotko! Dziękuję również swojej siostrze Maureen i jej mężowi Olivierowi Onorato za ciągłe wsparcie i wyjaśnienia dotyczące astronawigacji.

Całusy i wyrazy wdzięczności dla całej rodziny Rosemary: jej męża Rogera Goettsche i ich rewelacyjnych córek – Kate, Molly i Emily.

Stokrotne dzięki, Lyn Gammill Walker, za niebywale zrozumienie i celne uwagi.

Nigdy nie przestanę dziękować w duchu Sea Education Association z Woods Hole w stanie Massachusetts, która to organizacja wieki temu umożliwiła mi pierwszą w życiu wyprawę „na wieloryby”.

Dziękuję E. J. McAdamsowi – nowojorkowowi i poecie.

Podziękowania jestem też winna Subhankarowi Benerjee za jego fantastyczne przejmujące fotografie z Alaski, a ściśle z Arctic National Wildlife Refuge.

Nie byłabym sobą, gdyby nie delfiny baraszkujące u wybrzeży Rodanthe w Karolinie Północnej, troszczący się o nie personel Cape Hatteras National Seashore i obrońcy środowiska naturalnego na całym świecie.

Chylę czoło przed Williamem Twiggiem Crawfordem, Paulem Jamesem i J. M. – za ich monumentalną wiedzę o rekinach.

Wielkie dzięki dla Susan Caruso, Mary Lou Cuccio, Ellie i Buda Fordów i pań z organizacji Domestic Violence Valley Shore Services.

Uśmiech dla Sary Walker, która jest największą śmieszką w całym Nowym Jorku.

W tym miejscu raz jeszcze dziękuję Carolyn Schwartz – tym razem za to, co zrobiła dla mnie w Charlestonie; jestem także pełna podziwu dla zespołu czasopisma „Family Circle” – dziękuję wam za atrakcję w postaci imprezy pod nazwą Family Circle Cup.

Na zawsze zapamiętam nieustraszonych Sama Whitneya i Sadie Whitney–Havlicack – byliście dla mnie inspiracją!

Nie mogę zapomnieć o Johnie S. Johnsonie, skoro wyżej padło nazwisko Diany Atwood Johnson.

Zapewniam Martę Curro i Mary Perrin – nigdy nie przestanę was kochać!

Do końca życia pozostanę dłużniczką moich licznych wspaniałych przyjaciół i artystów, spośród których tutaj wymienię tylko następujące osoby (w przeciwnym razie zabrakłoby mi miejsca): Mark Lonergan, Dore Dedrick, Maura Fogarty i Fletcher Buckley oraz zespół muzyczny The Atwaters.

Głębokie podziękowanie dla doktora Matthew Gouleta.

Na wyrazy wdzięczności dla doktor Susan Robertson brak mi słów. To ona sprawiła, że byłam w stanie napisać tę powieść i wszystkie inne swoje książki. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie jej pomoc.

## *PROLOG*

Moje wesele było jak z bajki. Wszystko odbyło się tak jak trzeba i nawet teraz, kiedy wracam wspomnieniem do tamtego dnia, oczyma wyobraźni widzę piękny film z rzecz jasna szczęśliwym zakończeniem.

Ślub brałam w przecudny lipcowy poranek w ogrodzie mojej babci, w jej domu położonym tuż nad brzegiem morza w Hubbard's Point. Dookoła kwitły liliowce – właśnie je najlepiej zapamiętałam oprócz róż. Pomarańczowe, żółte, cytrynowe, rdzawe i białżółte liliowce na długich łodyżkach, poddające się delikatnej letniej bryzie, grzejące się radośnie w ciepłych promieniach słońca zawieszzonego na przepastnym błękitnym niebie. Jednakże to róże były specjalnością mojej babci, jej dumą i szczęściem, i tamtego roku, gdy wychodziłam za mąż, kwitły olśniewająco, przyćmiewając nawet wielobarwne liliowce.

Najbardziej imponująca ze wszystkich, szkarłatna „Dublin Bay”, pięła się po drewnianym treliażu przy drzwiach prowadzących do niewielkiego, niewysokiego domku o pobielających od słońca, wiatru i soli ścianach; intensywnie czerwona i herbaciana „Garnet-and-Golds” oraz blad różowa „New Dawns” oplótła kamienny komin wybrzuszący jeden z boków budynku; grządki za żeliwną ławką mieniły się wszelkimi odcieniami odmian klasycznych, podczas gdy wzdłuż murku, wokół studni życzeń i obok schodków wiodących na drogę rosły niskie krzaki upstrzone śnieżnobiałymi i kremowymi kwiatami. Krawędź dzielącą ogród od oceanu odgradzały wysokie na półtora metra krzewy róży japońskiej o kwiatach białych i purpurowych, pomiędzy którymi tu i ówdzie przeżyły się ostróżki i gęstniały hortensje.

Byłaby to wspaniała oprawa dla każdego ślubu – taka, o jakiej nigdy nie śmiałam marzyć, żeby nie zapeszyć. Cóż, dość długo sądziłam, iż nie jestem stworzona do małżeństwa. Można powiedzieć, że na wszelki wypadek zachowywałam przesadną ostrożność. Widzicie, bardzo wcześnie straciłam oboje rodziców. Zanim to się stało, byłam dosłownie zanurzona w miłości. Tak, wiem, brzmi to niezwykle egzaltowanie, ale tak właśnie wygląda prawda. Już będąc małym szkrabem, czułam się kochana przez matkę i ojca i czułam ich wzajemną miłość. Darzyli się uczuciem żywiołowym, dzikim, lekko-myślnym, jakby nigdy nic złego nie mogło się zdarzyć. Obserwowałam ich w poczuciu błęgiego bezpieczeństwa i chyba właśnie wtedy – mając zaledwie cztery latka! – uznałam, iż nie zadowolę się niczym mniej wspaniałym i gorącym. A potem, kiedy nieoczekiwanie zginęli w wypadku promu wiozącego ich do Irlandii, moje serce na długo pograżyło się w letargu, mimo że nie byłam świadkiem tego strasznego wydarzenia, przebywając na suchym lądzie u babci w stanie Connecticut.

Dlatego moje wesele – a także wszystko to, co do niego doprowadziło, czyli spotkanie Edwarda Huntera i zakochanie się w nim bez pamięci, co jawiło mi się cudem w najczystszej postaci, jako że nie podejrzewałam się o zdolność do podobnego uczucia – stanowiło swego rodzaju rezurekcję. Zmartwychwstanie małej ufnej dziewczynki, która dwadzieścia siedem lat wcześniej poszła na dno Morza Irlandzkiego razem ze swoimi rodzicami.

Edward zdawał się mnie kochać całym sobą. W początkach naszej znajomości ani na chwilę nie spuszczał ze mnie oczu. Wszystko, co się z nim wiązało – wyraz jego twarzy, gdy mnie przytulał, ciepło jego ciała – miało intensywność lampy sztormowej podkręconej do maksimum. Kiedy obdarzył mnie tym światłem, znalazłam się pod jego urokiem.

Mierzył tylko sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, ale że mnie brak paru centymetrów do metra sześćdziesięciu, musiałam stawać na palcach, kiedy chciałam go pocałować. Na Harvardzie grywał w rugby, co nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę jego sylwetkę: nabitą mięśniami, o szerokich barach, chociaż może w istocie to ten sport wyrobił w nim imponującą posturę. Samochód, którym jeździł – czerwony saab – „ozdobiony” był naklejkami macierzystej uczelni oraz Columbia Business School, gdzie robił studia podyplomowe, i hasłem: „Rugbiści jedzą trupy”. Dowcip polegał na tym, że Edward był najłagodniejszym człowiekiem na świecie i prawdę mówiąc, z wielkim trudem potrafiłam go sobie wyobrazić, jak uprawia ten brutalny sport.

Wracając pamięcią do dnia naszego ślubu, widzę czerwony samochód Edwarda zaparkowany na drodze tuż przy schodkach wiodących w dół na posesję – przedni błotnik przesłoniła cembrowina studni życzeń porośniętej dziką różą i bluszczem i ozdobionej łukiem z kutego żelaza z napisem „Ogród morski”. Taka była nazwa posiadłości, nadana jeszcze za życia mojego dziadka. Czarne litery wykute w surowym metalu rdzewiały w morskim powietrzu i cieniały z każdym dniem nawet wówczas, dwanaście lat temu. Tamta chwila bardzo silnie wryła mi się w pamięć: stałam w babcinym ogrodzie, wiedząc, że wkrótce wsiądziemy z Edwardem do jego czerwonego auta – ja jako jego żona! – i odjedziemy w siną dal, aby rozpocząć nasz miodowy miesiąc.

Czy mogłabym teraz z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że gdy patrzyłam na pożerany przez rdzę napis, pomyślałam, iż na tym świecie wszystko – także to co najpiękniejsze i teoretycznie wieczne – może zostać zniszczone i zbrukane? Nie, na pewno nie. Ale nie skłamię, mówiąc, iż widok chropawych, nierównych liter, które kiedyś gładkie i czytelne wyszły spod



wprawnej ręki kowala, sprawił, iż po plecach przebiegły mi ciarki, mimo iż dzień był piękny i słoneczny, a lipiec ledwie się rozpoczął.

Moja babcia i Clara Littlefield – jej najbliższa sąsiadka i przyjaciółka jeszcze z lat dzieciennych – dołożyły starań, aby wesele należało do udanych, zaliczając się do kategorii spełnionych marzeń, bo jak inaczej nazwać przyjęcie ślubne wyprawione na cyplu Hubbard's Point dumnie wcinającym się w cieśninę Long Island? Pomiedzy dwoma przycupniętymi na klifie domkami rozstawiono namiot w żółto–białe pasy, tak wielki, że zajął niemal całą przestrzeń, pozbawiając obie posesje trawnika. Pod nim i obok niego znalazły miejsce liczne stoliki nakryte kremowymi obrusami. Na każdym stał wazon z kwiatami świeżo zerwanymi w ogrodzie. W powietrzu unosiły się dźwięki Vivaldiego wygrywane przez kwartet smyczkowy Szkoły Muzycznej imienia Hartta z Hartfordu. Moje wszystkie przyjaciółki wystroiły się, jak wymagała tego okazja: w jaskrawe sukienki, słomkowe kapelusze i okulary przeciwsłoneczne.

W którymś momencie tuż przede mną stanęła babcia. Byłyśmy tego samego wzrostu i kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, wybuchnęłyśmy wesołym śmiechem – takie szczęśliwe czułyśmy się obydwie. Ja miałam na sobie białą suknię ślubną, ona skromną, staromodną szyfonową sukienkę w kolorze ecru. Przed słońcem chronił ją słomkowy kapelusz z szerokim rondem, którego główkę zdobiła błyszcząca złota wstążka z zatkniętymi drobnymi kwiatuskami. Wiatr targał welonem, grożąc, że zniszczy mi fryzurę, rozsiewał wokół oszałamiający zapach kwiatów, które złożyły się na mój bukiet: białych róż i mlecznych ostróżek, i cierpką woń zielonego bluszczu stanowiącego przybranie.

– Żałuję, że nie będzie nikogo ze strony Edwarda – powiedziała babcia, gdyśmy szły po stopniach ku studni życzeń, skąd miał wyruszyć orszak.

– Wiem – odparłam. – Edward stara się jak może...

– Cóż – rzekła rażno babcia – jestem pewna, że niebawem poznasz jego bliskich. Życie zaskakuje nas na każdym kroku... – Po chwili milczenia dodała:

– Wierz mi, że twoi rodzice są tu dziś z tobą.

– Babciu, bo się rozplaczę!

Babcia wyprostowała ramiona.

– Dzisiaj pozostaniemy silne, i ty, i ja – oznajmiła z mocą. – Doprowadzę cię do ołtarza albo nie nazywam się Maeve Jameson.

– Mama i tata byliby z ciebie dumni – wsparłam ją, ponieważ wiedziałam, że myśli o nich równie często, jak ja odganiam od siebie myśli na ich temat. A potem uśmiechnęłam się szeroko, aby pokazać, że jestem bardzo daleka od płaczu.

– Byliby dumni z nas obu – podchwyciła i wsunęła mi dłoń pod ramię właśnie w chwili, kiedy muzycy zaczęli grać Bacha.

Od tamtego dnia upłynęło wiele czasu, a mimo to wspomnienia pozostają w moim umyśle czyste i jasne. Ucisk babcinych palców na moim ramieniu, dodający mi otuchy i pozwalający jej iść prosto; moje wakacyjne przyjaciółki, Bay i Tara, uśmiechające się do mnie promiennie; zapach róż i morskiej wody; krótkie ciemne włosy Edwarda, jego złota opalenizna podkreślona przez bladoniebieską koszulę i płową lnianą marynarkę, szeroko otwarte oczy, którymi na mnie patrzył...

Pamiętam, że pomyślałam, iż jego szmaragdowe oczy wyglądają jak oczy małego psotnego chłopca. A przecież Edward okazał się dojrzałym mężczyzną. Przez cały ranek dzielnie wszystkim dyrygował, komenderując, gdzie mają

stanać stoły i krzesła, w którą stronę powinien zwrócić się kwartet smyczkowy, aby dźwięk był najlepiej słyszalny. Dziwnie było mieć znów mężczyznę u steru na tym skrawku ziemi zamieszkanym przez same silne kobiety. Babcia i ja kilkakrotnie wymieniliśmy rozbawione spojrzenia, pozwalając mu jednak udawać, że rządzi. Za parę chwil, gdy staniemy przy prowizorycznym ołtarzu wzniesionym w ogródku mojej babci, znów dostrzegę w nim zagubionego urwisa, wszakże w tej krótkiej chwili, kiedy podchodziłam do niego, pokonując kolejne stopnie, zobaczyłam w jego oczach pustkę, naładowaną negatywnie emocjonalną pustkę, i to sprawiło, że zawahałam się i zwolniłam, sięgając dłonią do zaciśniętych na moim ramieniu palców babci.

Do dziś nie zapomniałam tego spojrzenia. Mój narzeczony, przyglądając się, jak się doń zbliżam, poczuł strach. Lata minęły i czas odsłonił wszystko to, co powinnam wiedzieć o moim mężu i jego strachu, ale na razie udawajmy, że wciąż jest tamten letni dzień, że dopiero mam złożyć małżeńską przysięgę i że jak dotąd została mi oszczędzona ta wiedza. Tak więc wtedy, szybko jedno po drugim, pomyślałam coś i poczułam coś wręcz przeciwnego. Nie, wróc... Najpierw coś poczułam, a dopiero potem pomyślałam.

Ogarnęło mnie zimno – po plecach przebiegły mi ciarki, tak samo jak wcześniej, gdy patrząc na czerwonego saaba, zauważyłam pordzewiały, łuszczący się metalowy łuk z napisem „Ogród morski”. Przegoniłam to niechciane uczucie następującą myślą:

*Edwardzie! Hej, skarbie!... Nie obawiaj się, proszę... ani o to, że pobieramy się za wcześnie, ani tym bardziej o to, że moja babcia nie jest do ciebie przekonana. Liczy się tylko to, że cię kocham. Kocham cię, słyszysz?*

*Kocham cię...*

Wypowiedziałam w duchu słowa, które rzadko opuszczały moje usta – przynajmniej aż do tej pory. Odkąd poznałam Edwarda, używałam ich niemal bez ustanku. Dawna Mara Jameson była nazbyt zamknięta w sobie i mająca się na baczności, by pozwolić sobie na szczerść i czułość, jednakże nowa Mara Jameson pragnęła wykrzyczeć całemu światu prawdę o swojej miłości.

Znajdowałam się na dobrze mi znanym gruncie – w domu, w którym się wychowałam, pośród rodziny i przyjaciół, którzy mnie wspierali – to Edward był z dala od domu i miał prawo czuć się niepewnie. Jego najbliższym nie udało się zorganizować przyjazdu na nasz ślub. Takie myśli przemykały mi przez głowę, kiedy w końcu stawałam obiema nogami na poziomie drogi, gdzie Edward czekał na mnie, i kiedy babcia przekazywała mu moją dłoń ze słowami: „Zajmij się nią dobrze”. Skinął na to głową, lecz jego spojrzenie nie zmieniło się ani na jotę.

Uwaga na marginesie dla mnie sprzed dwunastu lat i wszystkich panien młodych na świecie: jeżeli lada moment macie stanąć przy ołtarzu albo przed urzędnikiem stanu cywilnego i jedyne, o czym potraficie myśleć, to dlaczego wasz przyszły mąż wygląda na podenerwowanego, a może nawet niezadowolonego oraz co gorsza, przestraszonego, nie ignorujcie małej czerwonej lampki, która zapala się wam z tego powodu w głowie.

Tymczasem ceremonia trwała. Tak teraz o tym myślę: wszystko działo się samo – kroki, słowa, muzyka. Czy coś znaczyły? Trudno znaleźć dla nich znaczenie, jeszcze trudniej zdobyć się na cynizm. Tak czy inaczej uroczystość odsłoniła przede mną bolesną prawdę: małżeństwo to umowa jak inne. Z chwilą złożenia przysięgi i podpisania stosownych dokumentów można zapomnieć o romantycznej wizji, tak lubianej przez narzeczone i ich matki. Małżeństwo – nade wszystko – jest prawnym, wiążącym obie strony

kontraktem, w którego wyniku dwie niezależne do tej pory osoby zostają połączone w jedno. Ich walory majątkowe ulegają scaleniu, a losy są odąd powiązane na dobre i na złe w majestacie ni mniej, ni więcej, tylko państwa bądź Kościoła – w zależności od tego, kto pobłogosławił związek.

Gdy teraz myślę o strachu, który ogarnął Edwarda na parę chwil przed zawarciem przez nas związku małżeńskiego, uważam, iż w ostatnim momencie zwątpił, iż przebrnę przez ceremoniał i w istocie złożę swój podpis na wykropkowanej linii. Co by się stało, gdybym stchórzyła i wycofała się z danej mu obietnicy? Gdybym posłuchała tego cieniutkiego głosiku w mojej głowie, który towarzyszył czerwonemu ostrzegawczemu światełku i poświęciła jednemu i drugiemu choć odrobinę uwagi.

Wszelako gdybanie na wiele się nie zda. Byłam ślepa i głucha na wszystko. Chyba z powietrza – na swoje usprawiedliwienie mam to, że letniego i ciepłego, rozgrzewającego krew w żyłach i dodającego chęci do życia – wzięłam pewność, nadzieję, wiarę i miłość. Po czym ujęłam dłoń Edwarda w swoją i wyszeptałam zaklęcie: „Biorę sobie ciebie za męża... póki śmierć nas nie rozłączy”. Edward wymamrotał swoją formułkę i pocałował żonę w usta. Tłum gości wiwatował. Kiedy popatrzyłam na moje przyjaciółki, wszystkie płakały i szczyrzyły zęby równocześnie. Cieszyły się moim szczęściem.

Zatem byliśmy mężem i żoną. W ten ciepły letni dzień niebo było niebieskie jak lazur, a fale na oceanie ledwie zauważalne. Bach zmienił się płynnie w Mozarta, tak jak przedtem jemu ustąpił Vivaldi. Liście szumiały, kwiaty pachniały, ludzie weselili się – wszystko było tak doskonale, tak perfekcyjne, że po prostu musiało być zwiastunem wspaniałej, radosnej przyszłości.

Rozpromieniona odwróciłam się do Edwarda. Z wilgotnymi od łez oczyma i z zaciśniętym ze wzruszenia gardłem wyszeptałam jego imię i umilkłam, kiedy zalała mnie fala nadziei, marzeń i planów na wspólne życie. Przed nami otwierało się tyle możliwości! Odwzajemnił spojrzenie i wtedy zauważyłam, że strach zniknął z jego oczu zastąpiony przez... Pozwólcie, że co to było, ujawni dopiero moja dalsza opowieść. W każdym razie faktem jest, że spoglądając w oczy mego świeżo poślubionego małżonka, poczułam, jak ziemia – ta cienka warstwa gleby nawianej na grubą granitową płytę, z której zbudowane jest wybrzeże – usuwa mi się spod nóg.

Edward wyciągnął rękę i musnął kwiaty w moim bukietcie.

– Jesteś taka delikatna, Maro – powiedział cicho. – Jak biała róża. Przecież białe róże są najdelikatniejsze, byle dotyk potrafi zostawić ślad na ich nieskazitelnych płatkach. Czy dlatego twoja babcia prosiła mnie, abym się tobą dobrze zajął...?

Zabrakło mi tchu. Czyż słowa te nie wskazywały na jego wielką wrażliwość? Na zrozumienie i chęć roztoczenia nade mną opieki? Naturalnie, że tak. Edward potrafił być niesłychanie czuły. Byłabym niesprawiedliwa, twierdząc inaczej.

Lecz czy widzicie też zawartą w nich groźbę, tak jak ja widzę to teraz?

Wydaje mi się, że z chwilą gdy babcia mnie mu oddała, nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak się mną zajmie. Krótka, rzucona w przypiływie nadopiekuńczości prośba skupiła całą jego uwagę. Czy w ogóle słyszał słowa przysięgi? Czy był duchem koło mnie, gdy ślubowałam mu miłość, wierność i to, że nie opuszczę go do grobowej deski? Czy to dlatego oczy mu rozbłyły dziwnym blaskiem, kiedy wspomniął babcine słowa?

Całkiem niedawno śniła mi się kobieta, która chowała twarz pod warstwami welonów. Czarnych, szarych, srebrnych, sinych, gołębic... Ściągnąć z niej jeden, a odsłaniał się następny. Spędzała życie w ustawicznej ciemności nawet wtedy, gdy świeciło słońce. Kryła się. Z trudem spoglądała na świat, a inni nigdy nie mogli jej zobaczyć. Dręczyło mnie pytanie: kto ubrał ją w tę maskę? Czy sama to sobie uczyniła? Czy ktoś ją do tego zmusił? W moim śnie kobieta zdejmowała welon za welonem i w końcu ostatni z nich – czy może raczej pierwszy – okazał się welonem ślubnym. W moim życiu welony zostały ze mnie zdarte siłą. Niczego bardziej nie pragnęłam jak tego, by je na sobie zatrzymać – nie macie pojęcia, jak strasznie ich potrzebowałam.

Kobiety opanowały trudną sztukę przetrwania. Potrafią kochać i okazywać uczucie. Mają swoje osiągnięcia, swoje kariery, swoje nagrody, swoje domy, swoje ogrody, swoje szczęśliwe małżeństwa, swoje udane dzieci. Dość wcześnie uczą się – za ogólnym cichym przyzwoleniem – ukrywać przed światem swój ból, cierpienie, nieszczęście, zło, szkielet w szafie, mrok w mężowskich oczach. Niektórym udaje się to aż do samego końca, ale w życiu innych szkielet wypada z szafy i nie daje się wepchnąć z powrotem.

To właśnie przytrafiło się mnie. Babcia była pierwszą osobą, która się zorientowała. Wyłącznie najmądrzejsi ludzie bowiem są w stanie rozeznąć się w prawdzie, patrzeć na taką kobietę jak ja i nie pokusić się o prosty osąd. Bo osądzenie zawsze jest proste: czarne albo białe, tak albo nie, w lewo albo w prawo, dobre albo złe. Niczym suche uderzenie sędziowskiego młotka. To pomaga unikać trudnych pytań, prób pomocy, zastanawiania się nad sobą.

Moja babcia nikogo nie oceniała. Ona starała się zrozumieć. I gdyby był na świecie ktoś, kto potrafiłby zrozumieć to, co mnie się przytrafiło, ona byłaby tym kimś. Kobieta, która wychowała mnie samotnie nad cieśniną Long

Island. Kobieta mająca dość cierpliwości, by wyhodować na kamiennej glebie stanu Connecticut czerwone, różowe, żółte i białe róże, by wlać w osieroconą wnuczkę chęć do życia, by obserwować tak długo, aż opadnie ostatni welon i polegnie ostatnie kłamstwo, aby w końcu zamiast ferowania wyroków podać pomocną dłoń.

Pomóc naprawdę, a nie tylko po faktach i słowami: „Jak mogłaś zostać z nim tak długo? ". Ale mam odpowiedź i na to pytanie: ukryłam się za welonami. Chociaż pytana mówiłam zawsze: „Kochałam go". Zresztą w pewnym sensie to także było prawdą. I moja babcia to rozumiała.

Oczywiście nie była to prawdziwa miłość. Przekonałam się o tym zbyt późno, by pomóc sobie samej. Zbyt późno zrozumiałam, że prawdziwa miłość jest jak bumerang – wraca do tego, kto kocha i umie to okazać. Z Edwardem było inaczej – w nim topiło się każde uczucie, każdy jego przejaw znikał niczym w czarnej dziurze. Moja miłość do męża pożarła mnie, odebrała mi wszystko, co kiedykolwiek mogłam uważać za swoją własność, i znacznie więcej, aż ostatecznie zaczęła mnie dusić i wciągać w odmęt, powodując w moim życiu nieogarniony chaos.

Ale teraz już to rozumiem – i mam Liama i Rose. Moja córeczka urodziła się dziewięć lat temu, po tym jak uciekłam z domu. Opuściłam ukochany stan Connecticut, gdzie spędziłam całe swoje dotychczasowe życie, zostawiłam babcię, żeby wyrwać się spod złego uroku Edwarda i uratować choć część siebie. Dewiza moja rodzinnego stanu to: „Ten, który się przeniósł, przetrwał". Jakkolwiek po staroświecku to brzmi, niesie wiele prawdy. Ojcowie założyciele wiedzieli, co robią, używając rodzaju męskiego. Bo przeniesiona ona rozpada się na kawałki. A już na pewno przeniesiona ja rozpadłam się na kawałki. Bez domu, bez przyjaznej duszy koło siebie załamalam się do ostatka



i dopiero narodziny Rose wydobyły mnie z czarnej dziury. Na nowo nauczyłam się kochać. A potem, najpierw z pomocą mojej córki, później także Liama, odbudowałam się kawałek po kawałku. Nie poradziłabym sobie, gdyby nie babcia. Mimo że nie było jej przy mnie fizycznie, ani na moment nie opuściła mojego serca, kierując mną każdego dnia, który spędziłam z dala od domu, na obcej ziemi, pod fałszywym nazwiskiem.

Bo widzicie, to babcia umożliwiła mi ucieczkę. Zdecydowała się na niewyobrażalne poświęcenie – utracić jedyną wnuczkę i prawnuczkę, krew z krwi, kość z kości jej syna. Zapewniła nam środki, dzięki którym mogłam odejść od Edwarda i zacząć wszystko od nowa. Była opoką, dzięki której przetrwałam i ożyłam. Gdyby nie ona, zmaltrretowana do szpiku chyba już nigdy nie stanęłabym na własnych nogach. Wiem jednak, że zapłaciła za to wysoką cenę. Boję się, że zbyt wysoką...

Obecnie nazywam się Lily Malone. Tak przedstawiłam się po raz pierwszy po ucieczce i nowe imię i nazwisko przyłgnęło. Postanowiłam nie komplikować spraw bardziej i przyjęłam je. „Lily” – wzięłam od wielobarwnych liliowców kołyszących się na swych długich łodyżkach w porywach zimnego wiatru znad oceanu, „Malone” – z piosenki, którą babcia zwykła mi śpiewać w dzieciństwie:

*W cudownym Dublinie, który z dziewcząt swych słynie,*

*Po raz pierwszy ujrzałem słodką Molly Malone.*

*Ciągnęła swój kramik wąskimi uliczkami,*

*Krzycząc: „Małże i kraby najlepsze dla was mam!”*

Te urocze słowa kołysały mnie do snu, kiedy miałam kłopoty z zaśnięciem, i zawsze wydawały mi się niesłychanie romantyczne i niosące zapowiedź nieoczekiwanej gorącej miłości. Przyjęłam więc nazwisko Malone

dla uczczenia kołysanki w wykonaniu mojej niezastąpionej babci, ale również z innego, mroczniejszego powodu. To miano pomaga mi strzec się; ilekroć się przedstawiam, przypominam sobie, że ktoś kiedyś także zwrócił na mnie uwagę. Podobnie jak Molly Malone ciężko pracowałam, a on bardzo to we mnie lubił.

Chciałabym móc wyjaśnić babci, skąd moje nowe imię i nazwisko. Chciałabym móc ją znowu zobaczyć. Chciałabym przedstawić jej Liama i przede wszystkim pokazać Rose.

Jednakże nie dlatego powróciłam z mego dziewięcioletniego wygnania. Jestem tutaj, ponieważ muszę ją ocalić, tak jak ona niegdyś ocaliła mnie. To z jej powodu snuję te wspominki. Nie chcę uronić żadnego szczegółu, aby w ten sposób nie umniejszyć jej zasług. Muszę mieć jasność co do tego, co moja babcia zrobiła dla mnie – dla kobiety, którą byłam i którą się stałam.

Niniejsza opowieść to modlitwa za Maeve Jameson.

Historia zaczęła się dwanaście lat temu – na trzy lata przed tym, zanim opuściłam Hubbard's Point i przeniosłam się do najodleglejszego zakątka, jaki znalazłam na mapie. Podówczas nosiłam imię Mara. I byle dotyk potrafił zostawić na mnie ślad.

# ROZDZIAŁ 1

Jak powrócić do życia, z którego zrezygnowało się dziewięć lat wcześniej? Jak wślizgnąć się niezauważenie do swego rodzinnego miasta, wiedząc, że nigdy nie zakończono poszukiwań, że każdy policjant nadal ma pod powiekami portret pamięciowy zaginionej, że wszystkie gazety w Connecticut i w okolicznych stanach zamieściły na pierwszych stronach wielkie zdjęcie z apelem o pomoc w odnalezieniu kobiety, z której zniknięciem po dziś dzień nie pogodziła się najbliższa przyjaciółka i rodzina, nawet jeśli wszyscy pozostali w skrytości ducha uważają ją za zmarłą?...

Dla niej odpowiedź była prosta: trzeba wejść przez drzwi frontowe jakby nigdy nic.

I to właśnie Lily Malone zrobiła wczesnym rankiem dziewiątego sierpnia. Była dopiero pierwsza w nocy, kiedy Liam Neill zaparkował swój wóz w zatoczce niemal na samym krańcu Hubbard's Point, wziął na ręce śpiącą Rose – zmęczoną długą podróżą z Nowej Szkocji – i podążył w ślad za Lily po kamiennych schodach prowadzących w dół.

Lily rzuciła okiem na łuk nad studnią życzeń – litery układające się w nazwę posiadłości dzielnie trzymały się metalowego obramowania, chociaż zdawały się jeszcze cieńsze i bardziej pordzewiałe, niż kiedy widziała je po raz ostatni. Uświadomiwszy sobie upływ czasu oraz zmiany będące jego wynikiem, Lily westchnęła głośno. Jej ciało przeszedł dreszcz.

Znowu była w domu. Wciągnęła w płuca bryzę znad cieśniny Long Island i bezwiednie porównała ją z powietrzem nad Zatoką Świętego Wawrzyńca położoną w Kanadzie tuż nad Atlantykiem, gdzie ukrywając się, spędziła minione dziewięć lat. Tutaj wiatr nawet o tej porze był cieplejszy,

łagodniejszy; niósł woń piaszczystych plaż i leżących nieco głębiej bagnistych brzegów, nie zaś surowych arktycznych klifów, które obmywała krystalicznie czysta woda pochodząca z topniejącego, unoszącego się na powierzchni oceanu lodu morskiego.

– Och – powiedziała na głos, czując, jak przepełnia ją radość z powodu powrotu do stron rodzinnych. W tej samej chwili w nozdrza uderzył ją intensywny zapach róż. Cóż za powitanie! pomyślała. Krzewy i pnącza (zwłaszcza te porastające treliąż), nawet jeśli wydawały się nieco mniej zadbane niż dziewięć lat wcześniej, w dalszym ciągu prezentowały się imponująco. Lily wyciągnęła rękę i unikając kłujących kolców, wsunęła ją w gęstwinę, po omacku szukając kamiennej półeczki, na której babcia zawsze trzymała zapasowy klucz do drzwi wejściowych. Wciąż tam był! Leżał tuż obok staromodnego włącznika światła na ganku, chroniony przez gęste listowie i ostre kolce. – Nie zabrała go... – szepnęła.

– Oczywiście, że nie – odszepnął Liam wprost w jej ucho, stojąc pół kroku za nią z ciężącą mu w ramionach Rose. – Ani na moment nie przestała wierzyć, że wrócisz.

– Maeve także wróci do domu – rzekła Lily, otwierając skrzypiące drzwi siatkowe i przytrzymując ich sprężynujące skrzydło ramieniem, tak by móc włożyć odnaleziony klucz do zardzewiałego zamka – prawda? Powiedz, że wszystko będzie dobrze...

– Wszystko będzie dobrze, Lily – zapewnił ją Liam.

Zamek szczęknął, zapadki się przesunęły i drzwi stanęły przed nimi otworem. Choć minęło tyle lat, Lily poczuła znajome szarpnięcie, kiedy stary, poluzowany zawias stawiał przejściowy opór. Chwilę później już wchodzili do kuchni. Ich płuca wypełnił zapach stęchlizny, charakterystyczny dla nad-

morskich domów pozbawionych opieki właściciela. Nie był wszakże dokuczliwy, gdyż ktoś – najpewniej Clara – uchylił kilka okien. Lily snuła się po parterze domu niczym duch nawiedzający swoje ukochane miejsce na ziemi. Jej twarz zdobił coraz szerszy uśmiech.

– Nic się nie zmieniło – oznajmiła w przestrzeń.

Księżyc właśnie wyłonił się zza horyzontu i jął opromieniać świetlistym blaskiem wody cieśniny. Srebrzysta poświata ślizgała się po spokojnej tafli i odbijając od niej, zalewała jasnością wnętrze domu. Lily wyraźnie widziała znajome kapy, wysłużone tkane chodniki, własnoręcznie haftowane poduszki... Dotknęła opuszkami palców swojej dawnej kolekcji muszelek, przejechała dłonią po grzbietach książek w biblioteczce, zatrzymała wzrok na zebranych na pobliskiej plaży kamieniach księżycowych. Chciała zobaczyć wszystko to, co niegdyś pozostawiła za sobą, lecz nie mogła jeszcze włączyć lampy. Gdyby to zrobiła, jej powrót stałby się oficjalny. Musiałaby przyznać sama przed sobą, że wróciła na dobre, że jej wygnanie nareszcie się skończyło, że nie wolno jej dłużej udawać zaginionej czy martwej. Sąsiedzi dostrzegliby żółte kwadraty okien i przyszliby sprawdzić, kto myszkuje po domu Maeve Jameson. Wieść o jej powrocie rozniosłaby się i prędzej czy później doszłaby do uszu Edwarda.

– Gdzie mam położyć Rose? – wyrwał ją z zamyślenia Liam.

– W moim pokoju – odpowiedziała szeptem i poprowadziła go na górę po wąskich schodach.

Na piętterku znajdowały się cztery niewielkie sypialnie. „Ogród morski” być może zasłużył na swoją nazwę, jednakże domek nie był duży i prawie niczym nie różnił się od innych nadmorskich willi. Serce Lily waliło jak młot, kiedy przekraczała próg swego dawnego pokoju. Pomieszczenie było narożne, o skośnym suficie, który załamywał się pod najróżniejszymi kątami za sprawą

ostro spadzistego dachu, a na wyposażenie składało się niezbyt szerokie łóżko, szafa i biurczko. Na blacie nadal leżały papierowe wycinanki lalek. Lily przełknęła rodzącą się w jej gardle gulę wzruszenia i podeszła do łóżka, by zdjąć narzutę. Leżąc pod spodem pościel została obleczona w powłoczki zadrukowane w drobne niebieskie różyczki. W nogach kołdry leżał schludnie złożony w kostkę różowy cienki pled, w sam raz na chłodniejszą letnią noc. Lily nachyliła się i wciągnęła głęboko powietrze, przekonując się, że z pościeli wciąż unosi się delikatny zapach płynu do prania i zmiękczacza do tkanin.

– Babcia spodziewała się naszego przyjazdu – powiedziała przez ściśnięte gardło. – Zanim zabrali ją do szpitala, zdążyła zmienić pościel...

Wspólnie układali Rose do snu. Dziewczynka obudziła się tylko na moment, by rozejrzeć się po nieznanym pomieszczeniu z wyrazem zachwyty na buzi.

– Jesteśmy już na miejscu? – spytała.

– Tak, skarbie. Wszystko zobaczysz rano, jak się wyśpisz. Słodkich snów.

– Dobranoc – wymamrotała niewyraźnie Rose, ponownie zapadając w sen.

Lily z Liamem zeszli na parter. Księżycowy blask odbijał się od ledwie pomarszczonej powierzchni wody i oślepiał odzwyczajone od tego widoku oczy. W przeszłości Lily obserwowała stąd niezliczone wschody księżyca – szerokie i pozbawione zasłon okno wyglądało wprost na skaliste zbocze i rozciągający się dalej ocean. Panorama swą otwartością bardzo różniła się od tego, co było normą w Cape Hawk, gdzie skryła się pośród tajgi, na strażników wyznaczając jastrzębie i sowy.

Liam był jednym z pierwszych ludzi, na jakich się natknęła w Nowej Szkocji. W odległym obcym mieście pojawiła się odpowiednio przebrana: ścięła długie kasztanowe włosy, ufarbowała je na jasny brąz i zaczęła nosić okulary, których wcale nie potrzebowała. Stare szylkretowe oprawki były prezentem od babci. Liam okazał się najlepszym przyjacielem, jeśli nie zbawcą, mimo że broniła się przed jego opieką, jak tylko mogła. Uważała, że jest to winna sobie i swemu jeszcze nie narodzonemu dziecku.

Pierwsze tygodnie w Nowej Szkocji były pełne sprzeczności. Z jednej strony proza życia wiążąca się ze spartańskimi warunkami, w jakich zamieszkała, i nieustające zagrożenie, że ktoś odkryje prawdę o niej i doniesie Edwardowi, który za jej odnalezienie wyznaczył nagrodę kojarzącą się raczej z nagrodą dla łowców głów, z drugiej – ciągła, troskliwa acz nienarzucająca się obecność Liama, będącego zawsze na miejscu, kiedy był najbardziej potrzebny. Lily nigdy nie zapomni tego, co dla niej zrobił w dzień narodzin Rose – jak przyjął jej córeczkę na świat i złożył przyrzeczenie, iż do końca swych dni będzie chronił zarówno dziecko, jak i jego matkę. A miał ręce pełne roboty z racji tego, że Rose urodziła się ze skomplikowaną wadą serca i dopiero w początkach tego lata przeszła ostatnią operację umożliwiającą jej normalne funkcjonowanie.

Matka ze złamanym sercem, dziecko z wadą serca – pomyślała Lily, chłonąc widok tarczy księżyca wstającego nad cieśniną i obejmując ciasno Liama, który odwzajemniał uścisk. Budzące się mewy pokrzykiwały przenikliwie, a choć ich kolonię na gołych skałach dzielił od brzegu dobry kilometr, głos niósł się w czystym rześkim powietrzu nadzwyczaj łatwo. Lily poczuła ukłucie w piersi, kiedy dźwięki wydawane przez ptaki skojarzyły jej

się ze smutną celtycką muzyką, rozbrzmiewającą dorocznie w Cape Hawk z okazji festiwalu zapoczątkowanego przez zespół Ceili.

Obróciła lekko głowę i spojrzała na stojącego przy niej Liama: wysokiego i szczupłego, o oczach niebieskich i zasnutych mgiełką własnego cierpienia. Trwale okaleczony podczas wypadku z rekinem, w którego wyniku jego brat poniósł śmierć, od dzieciństwa miał tylko jedną rękę i przydomek „kapitan Hak”. W małej społeczności czyniło to zeń zarówno pośmiewisko, jak i postać godną współczucia. Liam jednak nie poddał się i dzielnie przebrnął przez college, a potem uniwersytet, zostając szanowanym oceanologiem i ichtiologiem specjalizującym się w żarłaczku białym – gatunku rekina, który okaleczył jego rodzinę, duszę i ciało.

Lily nie potrafiłaby powiedzieć, co skłoniło ich ku sobie. I prawdę powiedziawszy, wcale nie potrzebowała tego definiować. Wystarczało jej, że odnaleźli się w tym odległym zakątku ziemi. Musiała opuścić swoje strony rodzinne i poczytywała niemal za cud, że na dalekiej północy odkryła coś na podobieństwo rodziny zastępczej. Anne, Marisa, Marlena – jej przyjaciółki i klubowiczki, Dziewczyny Nanouk z Mroźnej Północy – były dla niej niczym siostry. No i miała Liama. Był z nią już wcześniej, ale w dniu narodzin Rose zrozumiała, że nigdy jej nie zostawi. Dziewięć lat spędzone w Cape Hawk dało jej siłę bardziej, niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać.

Jednakże musiała powrócić do Hubbard's Point ze względu na chorobę babci. Patrickowi Murphy'emu, detektywowi prowadzącemu sprawę jej zaginięcia, udało się do niej dotrzeć i kilkoma słowami sprawić, że wszystko inne przestało mieć znaczenie. Lily nie miała najmniejszych wątpliwości, co powinna uczynić.

Dlatego znalazła się znów w domu.



– Naprawdę wróciłam – szepnęła, opierając się biodrem o Liama.

– Jak samopoczucie przed jutrem? – spytał taktownie.

– Nie narzekam – odparła. – Babcia mnie potrzebuje. Nie może mi teraz zabraknąć odwagi.

– Wiem – kiwnął głową. Głos miał cichy, lecz pewny siebie.

Delikatnym gestem pogładził ją po włosach i Lily poczuła, jak dostaje gęziej skórki z podniecenia. To wszystko było dla niej takie nowe! Zaledwie parę tygodni wcześniej pocałowali się po raz pierwszy. Lily wciąż było trudno uwierzyć, że po latach otaczania miłością wyłącznie córeczki ma u swego boku mężczyznę.

– Nie chcę, żeby Rose go spotkała – powiedziała, wiedząc, że nie musi wymieniać imienia, aby Liam ją zrozumiał.

– Pozwól mi ją stąd zabrać – poprosił. – Ukryję ją dobrze. Tylko ty będziesz wiedziała, gdzie jesteśmy.

Serce Lily stanęło na moment. Czowała się tak, jakby świat zamarł – morze stężało, mewy zamilkły, wiatr ucichł. Czy to możliwe? Czy jest szansa, aby wspólnymi siłami zdołali uchronić Rose przed Edwardem?

– Na północy – odezwała się ledwie słyszalnie – w Kanadzie, wydawało mi się, że wszystko jest możliwe. Czulałam się panią siebie i uważałam, że mam pełną kontrolę nad Rose. Ale teraz, tutaj w Stanach, niczego już nie jestem pewna... Co będzie, jeśli on po nią przyjdzie? Jeśli uzna, iż Rose jest świetnym sposobem, by zaleźć mi za skórę? Jeśli postanowi skrzywdzić nas obie?

Przesunęła się lekko, opierając plecami o jego silną klatkę piersiową, pozwalając, by jego jedyne ramię mocniej ją objęło. Przez długą chwilę kołysali się miarowo, zapatrzeni w srebrzyste odblaski na wodzie.

– Moim zdaniem powinnaś zobaczyć się z babcią sama

– przemówił wreszcie Liam. – Powiedz tylko słowo, a ukryję dobrze Rose.

– Moglibyśmy poprosić o pomoc Patricka...

– Moglibyśmy – zgodził się – ale jest też inne wyjście. Mój stary przyjaciel, który obecnie wykłada oceanografię na kursach magisterskich, mieszka w Scarborough Beach nad Zatoką Narragansett. Na pewno nie miałby nic przeciwko temu, żebyśmy się u niego zatrzymali.

– Rose i ja zawsze byliśmy razem – zaprotestowała Lily – jeśli nie liczyć jej pobytów w szpitalu...

– Scarborough Beach nie jest daleko – przekonywał Liam. – Poza tym ta rozłaka wyszłaby jej tylko na zdrowie. Lepiej, żeby pozostawała z dala od Edwarda do czasu, aż się zorientujesz, czego można się po nim spodziewać.

– Rose na pewno bardzo się spodoba pomysł takiej wycieczki – podjęła decyzję Lily. Jej córeczka kochała Liama całym swoim maleńkim, pokancerowanym serduszkim. Zaledwie miesiąc temu, z okazji swych dziewiątych urodzin, życzyła sobie tylko dwu rzeczy: aby ujrzeć Nanny, legendarną białuchę z Zatoki Świętego Wawrzyńca, i by za ojca mieć kogoś takiego jak Liam. – Tylko jak wiele powinnam jej powiedzieć?

– Tyle, ile twoim zdaniem jest w stanie znieść.

Łatwo powiedzieć – pomyślała Lily. Nie czuła się na siłach, by samodzielnie oceniać, jaką wytrzymałość ma Rose tuż po przejściu ostatniej z serii operacji na otwartym sercu. Dziewczynka wciąż była w okresie rekonwalescencji. Wszyscy mieli nadzieję, iż wada, z którą się urodziła – tetralogia Fallota – należy już do przeszłości.

– No nie wiem... – zawahała się Lily. – Z pewnością zasypie mnie pytaniami, a to nie skończy się dobrze...

– Wszystko się ułoży, Lily, zobaczysz – wpadł jej w słowo Liam.

Uśmiechnęła się do niego.

– To nie pierwsza obietnica, jaką mi składasz – rzekła, patrząc mu prosto w oczy. Ta, którą najlepiej zapamiętała, brzmiała: nigdy nie opuszczę ciebie ani Rose. Nigdy nie zapomni tamtej sceny parę chwil po porodzie małej.

– Nigdy żadnej nie zламаłem – przypomniał jej całkiem niepotrzebnie.

– Jak dotąd, nie – przyznała, stając na palcach i składając na jego wargach długi i mocny pocałunek. Krew zaczęła jej żywiej krążyć w żyłach. Każdy dotyk Liama był obietnicą, zapowiedzią magii. Za oknem fale rozbijały się o brzeg, listowie szumiało. Lily przeciągnęła się, pragnąc czegoś więcej.

– Zatem zgadzasz się? – spytał Liam.

Przymknęła oczy, nagle nie umiejąc wydobyć z siebie słowa. Wszystko działo się tak szybko! Ledwie usłyszała wieści o Maeve, postanowiła opuścić swoją kryjówkę i nim się opamiętała, już jechała na południe.

– Nie musisz podejmować decyzji teraz – dodał Liam. – Potrzebujesz przede wszystkim snu. Kiedy się obudzisz, na pewno będziesz wiedziała, jak chcesz postąpić.

– Muszę się zdecydować, zanim wstanie słońce – odparła po krótkim namyśle. – Jeśli Clara wypatrzy twój wóz, natychmiast przyjdzie tutaj wy badać sprawę. A wtedy zobaczy nie tylko ciebie, ale i Rose. I po sekrecie. Oczywiście nie ona stanowi zagrożenie, to najłagodniejsza kobieta, jaką znam, i wprost nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę, ale... Liam nie pozwolił jej skończyć.

– Wiem. W twoim odczuciu nie byłoby w porządku prosić ją o dochowanie tajemnicy, której być może nie będzie w stanie zrozumieć. Chodźmy się położyć, do świtu pozostało jeszcze parę godzin.

Poszli na górę, trzymając się za ręce. Lily w dalszym ciągu nie zapalała światła. Te kilka godzin, które pozostały do świtu, miały im upłynąć w swego rodzaju zawieszeniu. Lily nie była jeszcze gotowa na następny krok. Na szczęście знаła ten dom jak własną kieszeń: wiedziała o każdym meblu, o każdej skrzypiącej desce w podłodze, o każdym możliwym przeciągu. Babcia pozostawiła wszystko tak, jak było przed dziewięciu laty. Lecz choć budynek nie miał przed nią najmniejszych tajemnic, Lily właśnie tutaj po raz pierwszy od bardzo dawna stanęła w obliczu mnóstwa pytań. Mimo to przepełniała ją radość spowodowana miłymi wspomnieniami i znanymi zapachami wnętrza domu i kwiatnych płatków.

Poprowadziła Liama prosto do największej sypialni – tej samej, którą jej babcia zawsze rezerwowała dla gości: położonej od frontu domu, wyposażonej w mansardowe okna wychodzące wprost na cieśninę opromienioną srebrzystym blaskiem księżyca – i uchyliła podzielone szprosami skrzydła tyle, ile się dało, wpuszczając do środka świeże powietrze.

Ciepła letnia bryza poruszyła śnieżnobiałymi firankami i ochłodziła rozgrzaną skórę Lily. Plusk fal rozbijających się o skały poniżej działał kojąco, wręcz hipnotycznie, aż Lily musiała się otrząsnąć, aby w poczuciu matczynego obowiązku zajrzeć do Rose. Nachyliwszy się nad łóżkiem, obserwowała unoszącą się i opadającą klatkę piersiową dziewczynki. Z ulgą odnotowała, że oddech córki jest równy i rytmiczny jak fale za oknem. Oczywiście wiedziała, że pozostawiona pod opieką Liama Rose znajdzie się w doskonałych rękach, mimo to myśl o rozstaniu z córką sprawiała jej niewysłowiony ból.

– Lily... – szepnął Liam, stając za nią i kładąc dłoń na jej ramieniu – chodź już spać...

W odpowiedzi potrząsnęła tylko głową. Nie potrafiła się ruszyć. Dlaczego nagle ogarnął ją przemożny strach? Przecież wokół panował spokój: Rose spała smacznie w łóżku swej mamy, zza okna dolatywała woń wiciokrzewu i różnobarwnych róż: czerwonych, różowych i białych. Czy to dlatego z odmětów pamięci powróciły do niej dawne słowa: „...białe róże są najdelikatniejsze, byle dotyk potrafi zostawić ślad na ich nieskazitelnych płatkach”. Nie odrywając wzroku od twarzyczki córki, musiała sobie dodawać otuchy tym, że Edward nie ma pojęcia o istnieniu dziecka.

Zresztą ją samą uważał za martwą. Umarła dla wszystkich dziewięć lat temu, kiedy była w ósmym miesiącu ciąży. Ta myśl spowodowała, że Lily najpierw się wzdrygnęła, a potem poczuła zalewającą ją falę ulgi. Jak gdyby bogowie dali jej nagle przepustkę do świata żywych na specjalnych prawach. Edward nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że został ojcem...

– Zgadzam się – oznajmiła nieoczekiwanie. Mówiła do Liama, chociaż patrzyła nadal na Rose. Wodziła spojrzeniem od długich ciemnobrązowych rzęs, opadających na smukłe kości policzkowe, do zgrabnie wyciętych usteczek, które teraz pozostawały lekko uchylone. Z rozczuleniem spoglądała na zgiętą w łokciu małą rączkę, której palce dotykały delikatnej szyi: w ten sposób dziewczynka nawet podczas snu chroniła serce i zasłaniała bliznę powstałą wskutek licznych operacji. – Chcę, żebyś ją ukrył.

– Z troszczyć się o nią – odszepnął Liam z za jej pleców.

Lily skinęła potakująco głową.

– Wiem. Troszczysz się o nią od dnia jej narodzin.

Uklękła przy łóżku i wpatrywała się w śpiącą córkę do chwili, gdy ta poruszyła się i westchnęła przez sen. Nie chcąc zbudzić dziecka, pocałowała je lekko w czoło i podniósłszy się na nogi, ruszyła w ślad za Liamem do ich

sypialni. Czuła pewność, że nic innego na świecie nie zmusiłoby jej do odesłania Rose, jednakże teraz nade wszystko pragnęła zobaczyć babcię – kobietę, która ją wychowała – i upewnić się, iż nic jej nie grozi.

Tylko to mogło być równie ważne jak dobro Rose.

Lily odsunęła kordonkową narzutę i położyła się do łóżka, pozwalając, by Liam przylgnął do niej całym ciałem. Z zamkniętymi oczyma przysłuchiwała się współbrzmiącemu zgodnie szumowi fal i świstowi powietrza wydychanego z męskich płuc. Licząc uderzenia fal, jednocześnie odliczała uderzenia serca Liama. W oddali krzyk mew stawał się coraz głośniejszy.

W pewnym momencie Lily uniosła powieki i wpatrując się w bladą twarz księżycy zawieszoną za półotwartym oknem, rozkoszowała się ciepłem oddechu na swojej szyi. Zamykając na powrót oczy, objęła się ciasniej ramieniem Liama i bezgłośnie zmówiła modlitwę, aby to co robi, okazało się słuszne.

Świt nadszedł nagle jak burza, zaskakując ich oboje. Liam wiedział, iż nie pozostało wiele czasu i powinien jak najszybciej odjechać z Rose, a jednak nie potrafił tego zrobić, gdyż pragnął zostać z Lily.

Lily najpierw zaparzyła kawę i przyrządziła owsiankę na mleku, a dopiero potem obudziła Rose i szybko ją umyła i ubrała. Podczas gdy oni przygotowywali się do nowego dnia, za oknami różowił się świt, zmieniając barwę nieba z purpurowej w lazurową, kiedy słońce wieńczyło koroną wschodni horyzont. Liam wiele się nasłuchiwał o Hubbard's Point w ciągu minionych lat i uważał to miejsce niemal za mityczne. To tutaj dorastała Lily, tu wychowywała ją ukochana babcia, z równą pasją i troską hodująca róże, które zdobywały wszelkie możliwe nagrody i wyróżnienia, na jakie

zasługiwała także jej piękna i mądra wnuczka. Liam dopił kawę na bocznym ganku, skąd miał doskonały widok na granitowe płyty kaskadą opadające ku wodom cieśniny Long Island. „Ogród morski” leżał na samym czubku cypla, a dom zajmował niemal całe wzniesienie na jego krańcu, tak więc w pewnym sensie prawdą było to, co Lily powiedziała jemu i Rose podczas podróży z Cape Hawk: mianowicie że Hubbard's Point to koniec świata.

Liam znad krawędzi filizanki popatrywał na budynek stojący na sąsiedniej posesji – niemal identyczny, tyle że z turkusowymi okiennicami i drzwiami oraz z oknami ozdobionymi doniczkami z geranium. W którymś momencie wydało mu się, że widzi ruch za żakardową firanką, toteż cofnął się nagle w cień ganku i prędko wszedł do środka. Wróciwszy do kuchni, gdzie Lily i Rose jadły wczesne śniadanie i gawędziły przy stole, położył dłoń na ramieniu Lily.

– Ktoś mnie zobaczył – poinformował – z okna tego domu po sąsiedzku.

– To musiała być Clara – stwierdziła Lily. – Odkąd pamiętam, wstaje razem z kurami, aby jak najszybciej przeczytać świeże wydanie „Hartford Couranta”.

– Powinniśmy się zbierać – rzucił Liam.

– Jak to? – zdziwiła się Rose, marszcząc śmiesznie brew. – Przecież dopiero co tutaj przyjechaliśmy. Nic nie rozumiem...

Lily wzięła głęboki oddech. Nie uszło to uwagi Liama, który doskonale wiedział, co znaczy dla niej rozstanie z córką. Aby dodać Lily otuchy, dotknął jej lśniących włosów. Lily tymczasem ukucnęła przy Rose i patrząc jej prosto w oczy, powiedziała:

– Skarbie... Ty i Liam przez parę dni pobędziecie razem, tylko we dwoje. Zamieszkacie gdzie indziej niż mamusia, ale niezbyt daleko. Przez cały czas będę wiedziała, gdzie mogę cię znaleźć. Zaraz pojedziesz tam z Liamem.

– A dlaczego ty z nami nie pojedziesz?

– Muszę dopilnować czegoś w związku z babcią.

– Z twoją babcią? – zainteresowała się dziewczynka.

Lily potaknęła bez słowa.

– Tak – podjęła po chwili. – Jak wiesz, jest poważnie chora i...

– To dlatego przyjechaliśmy tutaj z Cape Hawk – wtrąciła Rose.

Lily wpatrywała się w córkę, jakby próbowała podjąć decyzję, ile może powiedzieć dziecku, nie narażając go na niebezpieczeństwo ani koszmary. Liam wyglądał przez boczne okienko, nie ponaglał jej, ale dając do zrozumienia, że nie pozostało im wiele czasu.

– Tak, dlatego tutaj przyjechaliśmy – powiedziała wreszcie Lily. – Ale dawno temu, kiedy mamusia stąd wyjeżdżała, miała ważny powód. I teraz musi także z tą sprawą zrobić porządek, zanim będziesz mogła tu wrócić i zamieszkać na dłużej. Rozumiesz, skarbie?...

– Ale mamusiu... – Głos Rose załamał się, w jej oczach pokazała się panika.

– Skarbie, to nie potrwa długo, zobaczysz...

– Ale ja chcę, żebyś pojechała z nami!

– Przyjadę do was – obiecała Lily – i to bardzo szybko, zobaczysz.

Jak tylko uporam się tutaj z tymi dwiema sprawami. Obiecuję, że nie będę zwlekać ani chwili, aby znów się z tobą zobaczyć. Ale przez jakiś czas będzie się tobą opiekował Liam.



Rose była rozdarta. Wyglądała na zaniepokojoną, lecz ostatnie słowa matki jakby ją uspokoiły. Odszukała wzrokiem oczy Liama i znalazła w nich obietnicę bezpieczeństwa. Mężczyzna uśmiechnął się do niej i uścisnął jej rączkę. Odruchowo wyciągnęła ku niemu ramiona, a on podniósł ją z ziemi jednym sprawnym ruchem. Z dzieckiem na ręku nachylił się ku Lily. Spojrzenia dorosłych skrzyżowały się.

– Uważaj na nią – szepnęła Lily.

– Nie martw się – zapewnił ją w odpowiedzi. – Będę o nią dbał jak o własną córkę.

Pochylił się jeszcze bardziej, żeby Lily i Rose mogły się uściskać na pożegnanie i żeby on również mógł choć przez jeszcze jedną chwilę trzymać je obie w objęciach. Ich torby były już w wozie. Lily miała oczywiście numer telefonu komórkowego Liama i została zaopatrzona we wszystkie dodatkowe informacje, takie jak: adresy i telefony miejsca zamieszkania i pracy przyjaciela Liama, niejakiego Johna Stanleya, a także ręcznie narysowaną mapkę, dzięki której nie powinna mieć trudności ze znalezieniem drogi do Scarborough Beach.

– Do zobaczenia, kochanie – wyszeptała Lily przez ściśnięte gardło, czując pod powiekami łzy.

– Do widzenia, mamo!

– Zadzwoń do ciebie – obiecała jeszcze Lily i spojrzeniem dała Liamowi znak, żeby już szli.

Obejrzał się za siebie tylko raz, brnąc przez trawę po kolana i uważając, aby nie poślizgnąć się na rosie. Trzymając mocno Rose, wspiął się po stopniach i minął porośniętą gęsto studnię życzeń.

– Co to? – zapytała dziewczynka, pokazując palcem.

– Studnia życzeń – odpowiedział Liam, otwierając drzwi wozu. Później usadowił Rose na tylnym siedzeniu, starannie przypiął pasem, po czym zamknął drzwi i obszedł samochód, aby zająć miejsce za kierownicą. Kiedy wkładał klucz do stacyjki, usłyszał następne pytanie:

– Moja prababcia ma studnię życzeń w swoim ogródku? – Rose wydawała się tym zdumiona.

– Tak – potwierdził Liam, wrzucając wsteczny bieg i naciskając pedał gazu. W tej samej chwili turkusowe drzwi domu na sąsiedniej posesji otworzyły się na oścież i ze środka wybiegła siwowłosa staruszka.

– Chciałabym, żeby – szepnęła Rose i powtórzyła: – Chciałabym, żeby...

Liam czuł uderzenia tętna w skroniach, kiedy wycofywał wóz z zatoczki i wyjeżdżał na drogę. Cypel z trzech stron otaczały modre wody cieśniny; wzdłuż niego na niewielkich wzniesieniach przycupnęły całkiem liczne domki ustawione frontami do oceanu i upiększone ukwieconymi ogrodami. W większości z nich rosły róże. Liam jednak nie podziwiał krajobrazu, tylko patrzył na Lily, która stała przed gankiem z ramionami ciasno splecionymi na piersi. Wyglądała, jakby zastygła niczym kamienny posąg.

– Kim jest ta pani? – zapytała Rose, nie odrywając wzroku od staruszki, która najpierw zwolniła, potem zamarła bez ruchu, po czym nagle wydała z siebie zduszony okrzyk i ruszyła z kopyta w stronę Lily.

– To Clara – poinformował dziewczynkę Liam. – Na pewno niedługo ją poznasz.

– Mam nadzieję – odrzekła Rose nieswoim głosem. – Bardzo się ucieszyła na widok mamusi.

– O tak, to prawda – przytaknął Liam i mając pod powiekami obraz Lily wyciągającej ramiona na powitanie najstarszej przyjaciółki jej babci, zmienił bieg i udał się w drogę do Rhode Island.

TTLRR

## ROZDZIAŁ 2

– To nie może być prawda! Na pewno mam przywidzenia! – wykrzyknęła Clara Littlefield, zatrzymując się niecały metr przed Lily, czyli w sam raz tyle, by nabrać pewności, iż stoi przed żywym człowiekiem, a nie przed zjawą.

– To ja, Claro – rzekła spokojnie Lily. – Wróciłam do domu.

– Och, moja droga... – W oczach staruszki pojawiły się łzy, kiedy przyciągała młodszą kobietę do siebie, aby ją serdecznie uściskać. Lily garnęła się do niej niczym mała dziewczynka. Clara, będąca dla Maeve jak siostra, dla niej była kimś w rodzaju ciotki.

– Claro, opowiedz mi, proszę, o babci.

– Sama nie wiem, od czego zacząć – poskarżyła się starsza pani. – Mam do ciebie ze sto pytań. Co się z tobą działo? Gdzie się podziewałaś? Jak się tutaj dostałaś?

– Podwiózł mnie znajomy. Wszystko opowiem ci później, najpierw muszę zobaczyć się z babcią.

– Leży w szpitalu w Shoreline.

– To wiem. Możesz mnie do niej zawieźć? Nie potrafię znaleźć kluczyków do jej samochodu.

– Pewnie są w jej torebce, którą trzymam w domu, odkąd przyniosłam ją ze szpitala. Ale to nie ma znaczenia, oczywiście, że pojedziemy tam razem.

Lily zaczerpnęła powietrza. Pokonała pierwszą przeszkodę, której tak się obawiała. Pobiegła za próg, schwyciła swoją torbę i w pośpiechu zamknęła drzwi wejściowe. Idąc ścieżką ku Clarze, wsunęła telefon komórkowy do kieszeni płóciennych spodni – był dla niej równie ważny jak lina ratunkowa dla rozbitka; tylko dzięki temu urządzeniu mogła się skomunikować z Rose i

Liamem. Upewniwszy się, że zabrała wszystko co potrzebne, ruszyła za Clarą w stronę stojącego na podjeździe niebieskiego chryslera.

Parę chwil później jechały przez Hubbard's Point w pełnym świetle dnia. Lily rozglądała się na boki z zaciekawieniem. Zauważała sporo zmian, ale wiele pozostało po starym. Większość domków zachowała swój specyficzny urok, polegający głównie na wpasowaniu w krajobraz do tego stopnia, że wydawały się naturalnym elementem okolicy. Jednakże niektóre...

– O co tutaj chodzi? – zapytała Lily, kiedy mijaly posiadłość Langtrysów.

– Ojej – pokręciła głową Clara. – Takich widoków jest więcej... – Westchnęła. – No więc ludzie kupują stary dobry domek letniskowy i zamieniają go w nie wiadomo co. Do końca życia pozostanie dla mnie tajemnicą, w jaki sposób niektórym udaje się zamienić zwykły dom w zakład pogrzebowy.

– Wyobrażam sobie, co myśli na ten temat babcia – wtrąciła Lily.

– Powiedziała kiedyś do mnie: „W ten sposób oswajają się ze swoim nowobogactwem” – zareagowała błyskawicznie Clara. – Jakże mi brakuje rozmów z nią i przekomarzanek. Nikt inny nie potrafi mnie tak rozbawić jak ona.

Potrafi. Lily wychwyciła czas terażniejszy i poczuła przyływ nadziei.

– Co mówi lekarz?

– Nic konkretnego. Ponoć Maeve ucierpiała od patologii neurologicznej. Wystaw sobie, Lily: patologii! Podejrzewam, że gdyby moja biedna przyjaciółka to usłyszała, chichotałaby jak sam szatan. Powiedziałyby, że nazwa jej przypadłości brzmi jak jakiś zwrot z astrofizyki.

– Ale co dokładnie się stało? – dociekała Lily, czując, jak powoli ogarnia ją chłód.

– Tego właśnie na razie nie wiadomo. Wciąż przeprowadzane są różne testy i badania.

– Claro, wspomniałaś, że babcia leży w Shoreline. Tamtejszy szpital nie należy do wiodących placówek medycznych w kraju.

– Kotku, atak był nagły, liczyła się każda sekunda. Zresztą to nie jest jakaś ostatnia dziura. Ty się tam urodziłaś, twój ojciec również. Twój własny dziadek oddał tam ducha Bogu...

– No nie wiem, czy to wystarczająca rekomendacja...

– W każdym razie Maeve ma tam świetną opiekę. A ja... cóż... nie miałam pojęcia, co począć. Zdajesz sobie sprawę, że po tych wszystkich latach nadal wpisywała cię w rubrykę „nazwisko osoby, z którą należy się skontaktować w razie wypadku”?... – Lily słuchała, patrząc prosto przed siebie. Ostatnia informacja sprawiła, że zatrzęsała się, jakby najechały na potężny wybój. Clara jednak już mówiła dalej: – Jakby przez te wszystkie lata czuła, że kiedyś wrócisz... Tak jakby wiedziała...

– Yhm.

– Maro? Ona wiedziała?

– Nie nazywam się już Mara. Noszę imię Lily. Lily Malone.

– Lily... – powtórzyła Clara, ponownie kręcąc głową. – Trochę czasu zajmie, nim się przyzwyczaję... Maro... to znaczy: Lily... zaraz całkiem się pogubię... możesz powiedzieć mi, co się naprawdę stało?

– Uciekłam, Claro. Uciekłam od Edwarda.

– Podejrzewaliśmy go, że cię zamordował.

– Wiem.

– Doprawdy nie powinnaś była robić tego swojej babci – oznajmiła Clara pełnym wyrzutu głosem.

– Nie feruj wyroków, Claro, gdyż nie znasz jeszcze całej historii – zripostowała Lily, równocześnie zastanawiając się, jak staruszka by zareagowała, dowiadując się, iż Maeve wiedziała o wszystkim od samego początku i ukryła prawdę przed swoją najlepszą przyjaciółką.

– Pragnę ją poznać, podobnie jak Maeve. Twoje zniknięcie przysporzyło jej tyle stresu, Mar... Lily. Ale wszystko się zmieniło po tym, jak Edward pojawił się znów na scenie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Clara skinęła głową do własnych myśli.

– Wczesnym latem ni stąd, ni zowąd zatrzymał się pod domem Maeve. Z bagażnika wyciągnął torbę pełną przedmiotów należących kiedyś do ciebie. Powiedział, że postanowił je zwrócić...

– Pewnie chciał jej sprawić tym przykrość – wtrąciła Lily.

– O, i to mu się udało! – zgodziła się z nią Clara. – Maeve była taka pobudzona... Bo widzisz, ona sądziła, iż to Edward cię zabił... – Staruszka urwała, popatrując z ukosa na pasażerkę. Lily w dalszym ciągu patrzyła na drogę przed nimi. „Wcale nie”, miała na końcu języka. – Oczywiście o nic cię nie obwiniam – mówiła szybko Clara – proszę, nie odbieraj tego w taki sposób.

– Twarz jej pociemniała, oczy zaszyły mgłą. – Ale jeszcze zanim Edward wyprowadził ją z równowagi swoim nagłym pojawieniem się, niesłuchanie cierpiała każdego dnia. Zwłaszcza latem... Marzyła o tym, abyś z nią była tutaj, w Hubbard's Point, i żebyś mogła cieszyć się życiem. Wyobrażała sobie, ile lat miałoby jej prawnuczátko... – Clara ponownie urwała, dając Lily szansę na przejęcie pałeczki, ta jednak uparcie milczała. – Prawnuczátko, Mar... Lily. Twoje dziecko – podkreśliła. – Co się z nim stało?

– Straciłam je, Claro – odpowiedziała prędko Lily. – To był chłopiec. Proszę, nie pytaj mnie o niego.

– Och, tak bardzo mi przykro, kochana...

Lily skinęła głową, przyjmując kondolencje, ale nie powiedziała nic więcej. Każde jej słowo miało odciągać uwagę Clary i każdego, kto by ich słuchał, od prawdy. Czowała się nieswojo, okłamując przyjaciółkę babci, toteż popatrzyła ukradkiem na siedzącą obok kobietę i zdumiała się. Jakże Clara się postarzała! Włosy miała całkiem siwe, a nie jak kiedyś rude ze srebrnymi pasemkami, twarz pomarszczoną, dłonie żylaste i pokryte ciemnobrązowymi plamami, aczkolwiek wciąż zdolne pewnie trzymać kierownicę. Lily aż ścisnęło w żołądku, kiedy uświadomiła sobie, ile lat przegapiła z życia Clary. Z życia Maeve. Jakie niespodzianki czekają na nią w szpitalu?

Clara prowadziła niezbyt wolno, ale ostrożnie. Zamiast autostrady wybrała widokową trasę wzdłuż Shore Road. Lily czuła się jak mała dziewczynka jadąca z nosem przyklejonym do szyby. Całą sobą chłoneła przesuwane się obrazy: stare sklepiki, nowe domy, rzadziejące lasy, zmieniającą się linię brzegową, gęstniejącą i bardziej monotonna zabudowę na przedmieściach. Z nagłą ogarnęła ją tęsknota za położonym daleko na północy ustroniem, w którym znalazła dla siebie i Rose bezpieczną przystań.

Wreszcie dojechały do szpitala, leżącego w kwartale ulic pomiędzy alejami Sachem i Seaside, i zatrzymały się na obszernym parkingu. Wciąż jeszcze było wcześnie, na długo przed zwyczajowymi godzinami odwiedzin u pacjentów, więc wolnych miejsc postojowych nie brakowało.

– Nadal jest na oddziale intensywnej terapii? – zapytała Lily z drżeniem serca.



– Nie, już ją przenieśli na zwykły oddział – odparła Clara. – Zaraz cię zaprowadzę.

Lily czuła palącą potrzebę, aby zobaczyć babcię w pojedynkę, bez świadków, mimo to nie zaprotestowała. Za nic nie chciała urazić uczuć Clary. Razem przeszły przez szerokie drzwi frontowe, wsiadły do windy i wjechały na czwarte piętro. Lily miała wrażenie, że dudnienie jej serca rozlega się echem w długim pustym, sterylnym korytarzu, kiedy wędrowały do właściwej sali.

– To tutaj – przerwała milczenie Clara, stając przy drzwiach do separatki.

Lily nacisnęła klamkę i niemal od razu zmrużyła oczy, kiedy poraziły ją jaskrawe promienie słoneczne wpadające przez wysokie okna z widokiem na nowoangielską Thames River. Jeszcze z przymkniętymi powiekami usłyszała cichutkie popiskiwanie aparatury medycznej. Kiedy je rozwarła, ujrzała szpitalne łóżko częściowo odgrodzone od reszty pomieszczenia żółtym parawanem. Biel pościeli była nieskazitelna. Pod przykryciem odcinał się drobny kształt.

– Babciu... – wyszeptała Lily, podchodząc.

– Maeve, najdroższa – włączyła się Clara – masz gościa... Mara przyjechała do domu, aby się z tobą zobaczyć. Słyszysz, moje kochanie? Mara jest w domu... – Głos jej się załamał i musiała cofnąć się do progu, aby opanować wzruszenie.

Lily stała w nogach łóżka jak przymurowana. Przed sobą miała swoją babcię. Kobieta leżała na wznak, z długimi, niemal całkiem białymi włosami rozrzuconymi na poduszce. Jej powieki były lekko uchylone, tak że od czasu do czasu dało się dostrzec błękit tęczówek, raz po raz zastępowany błyskiem

białek. Lily zrobiła parę kroczków i dotknęła babcinej ręki. Potem nachyliła się, żeby złożyć na czole chorej pocałunek.

W powietrzu unosił się zapach choroby niewyczuwalny na korytarzach. To pewnie on wywołał w oczach Lily łzy. Jej babcia zawsze była zdrowa jak koń, zawsze pachniała ulotnym zapachem swoich róż, morskiej słonej wody, lemoniady, herbaty pomarańczowej, ciasteczek imbirowych i nieśmiertelnego L'Air du Temps.

– Babciu – powtórzyła Lily, tłumiąc płacz i ściskając dłoń chorej – wróciłam. Musiałam cię zobaczyć. Proszę, obudź się. Zrób to dla mnie...

– Miałam nadzieję, że jak usłyszysz twój głos, natychmiast się ocknie – powiedziała cicho Clara. – Ona musi się dowiedzieć, że żyjesz. Nie pozwolę, żeby odeszła, nie poznawszy prawdy.

Lily zaczęła gładzić opuszką kciuka pergaminową skórę na dłoni Maeve. Usiadła w głowach łóżka tak, aby być jak najbliżej twarzy babci. Wodziła wzrokiem po doskonale znanym profilu, obrysowywała go w pamięci bez końca, myślami przebywając daleko w przeszłości. Był czas – wkrótce po tym, jak zginęli w wypadku jej rodzice – że co wieczór drżała ze strachu i za wszelką cenę broniła się przed zaśnięciem, jakby przeczuwając, że gdy nazajutrz się obudzi, od nowa będzie musiała stawić czoło światu bez nich.

Ostatnie dziewięć lat było bardzo podobne. Każdy ranek był dla niej torturą, ponieważ budziła się z myślą o osobie równie jej bliskiej i drogiej jak rodzice, którą musiała opuścić. Z wielkim bólem znosiła świadomość tego, że jej córka wychowuje się z dala od Maeve, posiadającej w sobie nieprzebrane pokłady miłości dla nich obu. Podjęta przed dziewięciu laty decyzja mściła się na niej co dnia.

– Czy to przeze mnie? – szeptała dalej. – Czy spotkało cię to dlatego, że poczułaś się zmęczona wiecznym czekaniem na nas?

– Dzień dobry, doktorze – powiedziała za jej plecami Clara.

– Witam, pani Littlefield. Pielęgniarka właśnie mi powiedziała, że zastanę tutaj panią w towarzystwie...

– To krewna Maeve – tak Clara przedstawiła wnuczkę swej serdecznej przyjaciółki – bardzo bliska krewna...

– Jestem doktor Kirkland.

– A ja nazywam się Lily Malone i jestem wnuczką Maeve Jameson – odezwała się Lily, wstając i odwracając się twarzą do przybyłych.

Lekarz okazał się stosunkowo młodym przystojnym, wysokim blondynem zaczepującym wysoko włosy i noszącym okulary w drucianej oprawie. Obok niego stała korpulentna pielęgniarka, na której twarzy jął malować się szok z chwilą, gdy tylko jej spojrzenie padło na odwiedzającą.

– To ty! Ale przecież nazwisko... – Ubranej w biały fartuch i czepek z czarnym paskiem kobiecie zabrakło słów. Wyglądała tak, jakby właśnie zobaczyła ducha.

Lily po raz drugi tego dnia poczuła, iż wraca z martwych.

– Przy urodzeniu nazywała się inaczej – próbowała ratować sytuację Clara, zawsze skora do wyjaśnień i tłumaczeń, nawet gdy nikt jej o to nie prosił – ale teraz woli, żeby tak się do niej zwracać.

– Muszę wiedzieć, co z babcią – rzekła z mocą Lily, podchodząc do lekarza i wyprowadzając go na korytarz, by kontynuować rozmowę. – Co jej jest?

– Żeby nie przedłużać: nie wiemy dokładnie. – Lekarz rozłożył bezradnie ramiona.

– Jakie badania zostały wykonane?

– Tomografia mózgu, elektroencefalografia, elektrokardiografia, kompleksowe badanie krwi... – zaczął wymieniać doktor Kirkland.

– Clara napomknęła, że była mowa o patologii neurologicznej. Czy Maeve doznała udaru mózgu? – zapytała Lily bez ogródek. Od rozmowy z Clarą miała na uwadze możliwość skontaktowania się z lekarzem Rose rezydującym w Bostonie. Był wybitnym specjalistą w dziedzinie kardiologii i z pewnością zdołałby pomóc jej babci, gdyby w grę wchodził zabieg kardiochirurgiczny. Transport można by załatwić praktycznie z dnia na dzień, a w Bostonie już by się zajęli nieprzytomną Maeve, radząc sobie ze skutkami wylewu, czy cokolwiek to było, i przywracając jej sprawność.

– Takie było nasze pierwsze podejrzenie – przyznał doktor Kirkland – kiedy trafiła do nas w stanie śpiączki. Ale badanie EKG nie wykazało odchyień od normy. A wkrótce potem zaczęły się konwulsje... – Lily robiła co mogła, aby zachować kamienną twarz, jednakże w głębi ducha była z bólu na myśl o tym, że zazwyczaj pełna energii i niezależna Maeve cierpi na padaczkę. – Jako potencjalnego winowajcę wskazaliśmy guza mózgu. Moim zadaniem jako lekarza prowadzącego było wezwanie na konsultację neurologa. Jestem pewien, że jeszcze będzie pani miała okazję poznać doktor Mead.

– Powiedział pan: „potencjalnego” – Lily złapała się tego słowa jak tonący brzytwy – zatem to nie był guz?

Przystojny blondyn potrząsnął głową.

– Wygląda na to, że nie.

– Więc co to było?

– Badania krwi wykazały... cóż...

– Tak? – ponagliła lekarza Lily.

– Coś dziwnego. Mianowicie stwierdziliśmy podwyższony poziom karboksyhemoglobiny. Z czymś takim zazwyczaj mamy do czynienia w długie i mroźne zimy w wypadku ludzi, którzy dogrzewają mieszkania nie do końca sprawnymi piecykami gazowymi albo pozostają w garażu w aucie z włączonym silnikiem na jałowym biegu...

– Mówi pan o zatruciu tlenkiem węgla? – Lily spędziła ostatnie dziewięć lat na mroźnej północy, więc ten temat nie był jej obcy. Wiedziała dobrze, iż system grzewczy powinien być regularnie serwisowany, a wykrywacz trującego bezwonnego gazu bynajmniej nie stanowił fanaberii w sytuacji, gdy każde zaniedbanie groziło utratą życia własnego lub bliskich. Nauczyła się uchylać okna w samochodzie, kiedy stała na światłach albo na kogoś czekała, i w ogóle miała się na baczności w ogrzewanych pomieszczeniach. Ale przecież w Connecticut był środek lata!

– Być może, ale panno Jameson... eee... znaczy, panno Malone, niczego nie jesteśmy pewni. Jeśli brać pod uwagę wyniki badania krwi, wszystko wskazuje na to, że nastąpiło zatrucie, jednakże doprawdy trudno w to uwierzyć...

Lily przerwała lekarzowi.

– Wiem, co się stało.

Doktor Kirkland wydawał się zaintrygowany zarówno podwójną tożsamością Lily, jej nagłym pojawieniem się, jak i właśnie zgłoszoną teorią na temat tego, co przytrafiło się Maeve Jameson. Najwyraźniej ciekawość paliła nie tylko jego. Pielęgniarka, która rozpoznała w Lily Marę, zdążyła poinformować już swoje koleżanki i teraz na końcu korytarza, poza zasięgiem słuchu, lecz w dobrym punkcie widokowym, tłoczyła się pokaźna grupka podnieconych kobiet.

Wszyscy patrzyli wyczekująco na Lily. Czując na sobie wzrok wielu osób, powiedziała, ani trochę nie tracąc pewności siebie:

– To sprawka Edwarda.

– Słucham? – zapytał skonsternowany lekarz.

– Edward to mój mąż. I nie mam cienia wątpliwości, że próbował uśmiercić moją babcię.

– Uśmiercić?... – powtórzył całkiem zbity z pantałyku doktor Kirkland. Jego gładkie czoło przecięła sieć zmarszczek, kiedy wysilał umysł i próbował poskładać w całość zasłyszane rewelacje.

Lily pokiwała głową, czując, że jej oczy przepelniają się łzami.

– Moją babcię... – powtórzyła, przeokrutnie żałując, że Maeve nie uciekła wraz z nią przed dziewięcioma laty, że we trójkę nie znalazły schronienia w Cape Hawk, zacierając za sobą wszelkie ślady i ratując się przed mężczyzną nazwiskiem Edward Hunter.

## ROZDZIAŁ 3

Dnie w Cape Hawk zrobiły się długie. Ostre północne światło utrzymywało się aż do dziewiątej wieczorem, kiedy to pałeczkę przejmowały wśród sosen robaczki świętojańskie wabiące partnerów blaskiem, który rozjaśniał nocnym sowom drogę ich długich wędrówek i umożliwiał skuteczne polowania. W okolicy zrobiło się też cieplej; każdy ranek wstawał promienny, woda w zatoce była gładka jak szkło, jeśli nie liczyć momentów, gdy na powierzchnię wynurzały się wieloryby, by zaczerpnąć powietrza.

Pierwsi chętni do ich oglądania pojawiali się na przystani już o wpół do dziewiątej rano. Tłoczyli się na molo, żeby zająć najlepsze miejsca w łodziach należących do rodziny Neillów. Większość spędzała noc w gościńcu prowadzonym przez Anne Neill, a teraz powierzała swe życie jej mężowi Jude'owi zawiadującemu rodzinną flotą. Ich kuzyn Liam ograniczał się do funkcji lokalnego oceanologa rezydenta.

Pośród różanych krzewów panował rejwach – to miejscowe pszczoły pracowicie zbierały pyłek – jednakże prawdziwe zamieszanie miało miejsce w hotelu, gdzie trwały przygotowania do zbliżającego się festiwalu muzyki celtyckiej. Idąca ścieżką prowadzącą na nabrzeże Marisa Taylor skrzywiła się, słysząc dobiegający od cieśniny jazgot rozmaitych instrumentów: skrzypiec, fletów, gitar, harf i harmonii. To członkowie zaproszonych kapel nie tracili czasu w trakcie przeprawy promem, który uginał się od będących ich własnością odrapanych furgonetek.

Dotarłszy na miejsce, Marisa wyjęła z kieszeni mosiężne kółko na klucze i otworzyła drzwi „Igły z nitką”. Podczas nieobecności przyjaciółki ona i pozostałe członkinie klubu Dziewczyn Nanouk zmieniały się, doglądając

sklepiku, ponieważ chciały, aby Lily ze spokojną głową mogła się poświęcić załatwianiu spraw w Connecticut. Wewnątrz niemal wszystkie ściany pokrywały haftowane obrazy autorstwa właścicielki: dominował motyw letniego ogrodu spowitego w róże, lilie i ostróżki, ale nie brakowało też widoczków błękitnych wód zatoki upstrzonych burtami łodzi do obserwowania wielorybów ani rzecz jasna Nanny, słynnej i uwielbianej przez wszystkich białuchy królującej w tych wodach. Poza tym nie można było nie zauważyć scenek rodzajowych przedstawiających matki, córki, przyjaciółki i siostry.

Siostry – pomyślała Marisa, wciąż mając w uszach kakofoniczny zgiełk. Nawet nie zamknąwszy za sobą drzwi sklepiku, włączyła stojący na kontuarze komputer, żeby zajrzeć do skrzynki mailowej. Wprawdzie sprawdzała pocztę elektroniczną przed wyjściem z domu – zaledwie pół godziny wcześniej – ale przecież nigdy nic nie wiadomo... Niestety, skrzynka odbiorcza pozostała pusta.

Do sklepu wpadła Jessica, jej dziewięcioletnia córka. Z samego rana udała się na brzeg, żeby korzystając z odpływu, poprzyglądać się rozgwiadom i znacznie częstszym węzowidłom. Nogawki džinsów miała podwinięte do kolan, a w jej tenisówkach chlupotała jeszcze woda.

– Napisała wreszcie? – wysapała, machając rękoma na wszystkie strony.

– Hola! – krzyknęła Marisa. – Zostawiasz mokre ślady. To nie nasz sklep, zapomniałaś?

– Przepraszam – bąknęła dziewczynka i zrzuciła z nóg przemoczone obuwie. – No to jak? Napisała czy nie? – zażądała odpowiedzi.

– Nie, jeszcze nie – odparła Marisa, wywołując tym smutek Jessiki.

– Co za lato! Ciocia Sam nie pisze do ciebie, a mnie opuściła moja najlepsza przyjaciółka!



– Ale wróci – przypomniała jej Marisa z optymizmem. W głębi ducha wszakże czuła się równie opuszczona jak jej córka. Kiedy Lily i Rose wyjechały do Connecticut, pozostawiły po sobie pustkę, którą mógł wypełnić tylko ich rychły powrót do Cape Hawk.

– Dziwnie jest słyszeć irlandzką muzykę i nie widzieć cioci Sam. Pamiętam, jak zawsze grałyście razem – zauważyła nieoczekiwanie Jessica. Marisa popatrzyła na nią ze zdumieniem.

– Ja odbieram to w dokładnie taki sam sposób.

– Myślisz, że jednak przyjedzie?

– Nie wiem. – Marisa wciąż się łudziła, że tak się stanie, jednakże nie chciała rozbudzać nadziei u swojej córki.

– Wygracie festiwal – stwierdziła z mocą dziewczynka. – Byłyście wystarczająco dobre, żeby zarobić na szkołę pielęgniarstwa.

– Jakoś sobie radziłyśmy – potaknęła Marisa.

Zatopiła się we wspomnieniach. Doskonale pamiętała, co napisał o nich „Baltimore Sun” po ich ostatnim wspólnym występie w pubie Molly Maguire na obrzeżach uczelnianego kampusu.

*Upadłe Anioły grają z nerwem, ocierając się o metafizykę i seks. Udało im się ożywić tradycyjną irlandzką muzykę, wprowadzając nowe, osobiste elementy, które brzmią zaskakująco świeżo i szczerze. Jeśli łakniecie swego rodzaju religijnego przeżycia, skierujcie swe kroki do pubu Molly Maguire, gdzie można usłyszeć ten duet skrzypaczek.*

Ze wspomnień wyrwał ją głosik Jessiki:

– Poddałaś jej adres strony www?

– Tak.

– W takim razie – zmarszczyła czoło dziewczynka – ciocia na pewno jeszcze nie otrzymała twojej wiadomości. Przebywa daleko od nas, prawda? Gdzieś w Ameryce Południowej.

– W Peru – uściśliła Marisa.

– No właśnie. I dlatego jeszcze nie odpisała. – Do myśli Jessiki zakradła się niepewność. – A może dlatego, że jest bardzo zajęta. Jest świetną pielęgniarką, zupełnie jak ty kiedyś, i z pewnością ma pod opieką mnóstwo chorych ludzi. Odezwie się, jak tylko wróci do Baltimore. Po prostu jesteśmy zbyt daleko od siebie...

– Masz rację, kochanie – powiedziała Marisa.

Chciała się uśmiechnąć, ale prawda zawarta w słowach córki poraziła ją jak uderzenie prądem. „Jesteśmy zbyt daleko od siebie...” Jessica miała rację, aczkolwiek nie o dystans w sensie geograficznym tu chodziło. Ostatnimi czasy podjęła liczne próby skontaktowania się z siostrą, lecz Samantha zignorowała je wszystkie. Przepaść, jaka się między nimi rozwarła, zdawała się poszerzać i pogłębiać z każdym dniem. Marisa nie przestawała jednak żywić nadziei, że wiadomość o festiwalu muzyki celtyckiej wzbudzi zainteresowanie Samantha i że siostra w końcu przyjedzie na północ. Wtedy mogłyby nareszcie porządnie porozmawiać.

— A jeśli ciocia się zgubiła, to co?

– Jak to: zgubiła? – nie zrozumiała Marisa.

– No, zwyczajnie – odpowiedziała Jessica. – W tym całym Peru mogło jej się coś stać. – Dziewczynka wyglądała na zaniepokojoną nie na żarty.

– Och, skarbie... To prawda, że ciocia wiele podróżuje, ale na pewno nic jej nie jest.

– Ale jeżeli coś jej się przytrafiło? – nie ustępowało dziecko. – Może powinnaś poprosić jakiegoś detektywa, żeby pomógł nam ją znaleźć.

– Hm. – Marisa zmarszczyła brwi.

– Na przykład tego, który przyjechał w poszukiwaniu Lily. Miał na imię Patrick, tak? Mnie wydał się bardzo miły.

– Być może masz rację, kochanie, ale Patrick jest teraz daleko.

– Przecież są samoloty! – rezolutnie przypomniała Jessica.

– Jak zwykle wygrałaś. – Marisa przygarnęła córkę do siebie i mocno ją przytuliła.

Niewykluczone, że Patrick rzeczywiście byłby w stanie pomóc – pomyślała.

Nic nie stało na przeszkodzie, żeby do niego zadzwoniła. Oczywiście – przekonywała się w duchu – nie będzie to miało nic wspólnego z jego niesamowicie niebieskimi oczami ani z tym, że kiedy przebywał w Cape Hawk, spędzili ze sobą całkiem sporo czasu.

Mogłaby do niego zatelefonować i niezobowiązująco zapytać, jak detektyw poradziłby sobie z zadaniem odnalezienia kogoś, kto nie odpowiada na maile. Kogoś, kto niegdyś był częścią jej zespołu i najbliższą osobą na świecie. Jej siostry Sam, która najwyraźniej zapadła się pod ziemię.

Anne klęczała w ogrodzie za budynkiem, uważnie przesadzając złocenie i zerkając w dół z boczna na sklepik Lily. Podczas gdy właścicielka zajmowała się swoimi sprawami na południu, ona, Anne, ustaliła harmonogram, według którego Dziewczyny Nanouk na zmianę prowadziły „Iglę z nitką”. Przytulne wnętrza wypełnione kłębkami wełny i kordonka i haftowanymi obrazami od dawna stanowiło ich punkt zborny, toteż opieka nad nim do powrotu Lily nie stanowiła większego problemu.

Kiedy znów podniosła wzrok znad żółtych główek kwiatów, dostrzegła Marisę i Jessicę stojące w drzwiach sklepu i zapatrzone w stronę zatoki – zupełnie jak te niegdyś kobiety, które oczekiwały powrotu swych mężów z wypraw wielorybnych.

– Czemu ukrywasz się w ogrodzie – przerwał jej zajęcie Jude, który pojawił się nagle na ścieżce, dzierżąc po kubku kawy w każdej ręce; za paskiem spodni miał umocowany niewielki młotek – kiedy w środku tyle się dzieje?

– I kto to mówi? – odrzekła z uśmiechem, przyjmując od męża jeden z kubków. – Ty zaraz się zaokrętujesz na tę swoją łajbę i znikniesz na cały dzień... Dziękuję, tego było mi trzeba – dodała, upiwszy mały łyżeczek gorącego aromatycznego napoju.

– Cóż – bronił się Jude – trzeba korzystać z każdej okazji, żeby się wyrwać z tego oblędu. A propos, Camille użera się właśnie z członkami zespołu, którym zabrakło wyobraźni, żeby zarezerwować wystarczającą liczbę pokoi, a w kolejce czekają następni, którzy chcą się zamienić miejscami na rozpisce z jeszcze innymi, którzy z kolei zgubili akordeonistę gdzieś w Halifaksie...

Anne uniosła ręce, przerywając ten potok słów.

– O tym ostatnim wiem wszystko – powiedziała cierpko. – Dał sobie złamać nos mandoliniście w walce o solistkę, ślicznotkę świeżo przybyłą z Dublina. Między innymi z tego powodu jestem w ogrodzie, a nie w hotelu. Z żółcieniami o wiele łatwiej obcować niż z muzykami. Zwłaszcza o dziewiątej rano.

– Dobrze mówisz, Anne. Dla ciebie kwiaty, dla mnie wieloryby i turyści. Zapomnijmy o festiwalu, przynajmniej do chwili powrotu do domu. Ale musisz przyznać, że muzyka wpada w ucho.

– O, tak – zgodziła się Anne, przysłuchując się dźwiękom dud, na których ktoś wygrywał porywającą interpretację starej irlandzkiej pieśni patriotycznej.

– To chyba „Minstrel Boy” – rozpoznał melodię Jude.

– Cudny utwór, prawda?

– Grano go na pogrzebie Connora. Nie sposób pomylić go z żadnym innym.

– To było tak dawno temu... Miałeś wtedy zaledwie jedenaście lat.

– Ano tak.

Anne popijała kawę małymi łyчками, spoglądając w stronę zatoki. Doprawdy trudno było uwierzyć, że tak brutalny atak miał miejsce w pobliżu brzegu. Rekin odebrał życie Connorowi i odjął rękę Liamowi, ale pozbawił również czegoś Jude'a. Anne chodziła z nim do jednej klasy – o rok niżej od Neillów – i nie mogła nie zauważyć, że kiedy jej przyszły mąż wrócił do szkoły, oczy miał puste, a ramiona zgarbione, jakby próbował chronić serce.

– No dalej – ponaglił ją teraz jego głos. – Otrzep ręce z kurzu i chodź mi pomóc.

– W czym?

– Z widownią, moja droga. Camille twierdzi, że ławki się chybczą, i chce, abym je jakoś umocnił.

Zabrali swoje kubki i udali się w stronę tarasu mającego pełnić funkcję sceny. Naprzeciw ustawiono w czterech długich, wznoszących się rzędach szereg ławek. Co roku wydobywano je z graciarni i co roku Camille drżała, że

cała konstrukcja zawiedzie, doprowadzając do wypadku i posyłając lokalnych tuzów z górki na pazurki wprost do oceanu.

Jude podszedł do pierwszego rzędu i mocno nim potrząsnął. Zdaniem Anne całość wyglądała dość solidnie, lecz Jude i tak wyjął z kieszeni kilka gwoździ i zaczął przybijać je młotkiem. Miarowe stukanie, które się rozległo, zagłuszyło dźwięki dud, o co być może głównie chodziło jej mężowi. Anne wzruszyła lekko ramionami i wdrapała się do ostatniego rzędu audytorium, gdzie zauważyła wystający z ławki gwóźdź. Pokazała go palcem Jude'owi, który skwapliwie podał jej młotek. Zamachnęła się i uderzywszy dwukrotnie, spłaszczyła główkę, po czym zeszła na dół, upewniając się, że widzów nie czeka więcej takich niespodzianek. Uporawszy się z zadaniem, wystawiła twarz na powiew lekkiego wiatru przynoszącego świeży zapach morskiej wody i różnorakie dźwięki. Ogarnęło ją przecucie, że nadchodzący festiwal także przyniesie do Cape Hawk coś niespodziewanego.

– Co twoim zdaniem robi teraz Liam? – zapytał Jude.

– Pomaga Lily, tak żeby ona i Rose mogły jak najprędzej wrócić do domu.

– Spodziewałaś się, że znajdzie sobie kogoś?

– Wszyscy w to wątpiliśmy – zgodziła się Anne – ale potem nagle pojawiła się Lily.

– To jeszcze nic pewnego – zauważył Jude. – Lily wciąż przecież może przejrzeć na oczy i zadać sobie pytanie, po co jej jednoręki specjalista od rekinów.

Anne nie odrywała wzroku od panoramy rozpościerającej się u stóp wzgórza. Była zdania, że życie zwycięża wszystko i leczy nawet najpaskudniejsze rany. Zmrużyła oczy, kiedy poraziły ją odblaski od

przejrzyście błękitnej wody. Zatokę zamykał półkolem krąg występów skalnych i majestatycznych sosen. Ona zakochała się w mężu, jeszcze gdy chodzili do szkoły; stało się to chyba w pierwszej klasie, a na pewno na długo przed morderczym atakiem rekina ludojada. I od tamtej pory darzyła go niesłabnącą miłością. Teraz chciała mu powiedzieć, że nie tylko jednoręcy specjaliści od krwiożerczych ryb bywają trudni w pożyciu, ale zamiast się odezwać, z impetem wbiła jeszcze jedną wystającą główkę gwoździa.

– No, nareszcie skończyła się ta piosenka – odetchnął z ulgą Jude.

– Y–hy – bąknęła, a jej mąż popatrzył na nią uważniej.

– Można powiedzieć, że jesteś kierownikiem festiwalu. Mogłabyś w przyszłym roku wprowadzić zakaz jej grania.

– No nie wiem... – Anne nadal patrzyła w stronę zatoki. Zmarszczyła czoło, jakby się zastanawiała nad propozycją męża, lecz w rzeczywistości ani myślała zabraniać muzykom przedstawiania ich interpretacji słynnej „Minstrel Boy”. Ilekroć ją słyszała, czuła, że Connor jest tuż–tuż, i podejrzewała, że jej mąż odbiera to tak samo. Z tego właśnie powodu szczerze uwielbiała irlandzką muzykę. Najbardziej magiczne wydawały jej się dźwięki skrzypiec. Ten instrument zdawał się nastrojony na duchy i marzenia krążące w powietrzu i posiadał zdolność ściągania ich na ziemię, pomiędzy żyjących, którzy inaczej nigdy by ich nawet nie zauważyli. Muzyka przywracała zmarłych do życia i czyniła marzenia realniejszymi od tego co materialne.

W dole wzgórza Marisa stała w drzwiach sklepiku, spoglądając w stronę nadpływającego promu. Anne wiedziała, że przyjaciółka wypatruje swej dawno zaginionej siostry. Ona również miała nadzieję, że Upadłe Anioły zagrają podczas festiwalu, przewidziała nawet dla nich okienko, tak by świat znów mógł usłyszeć siostry skrzypaczki. Nie wierzyła, aby Samantha

naprawdę zaginęła; człowiek może przepaść jak kamień w wodę na wiele różnych sposobów, lecz na szczęście nie brakuje też metod odnalezienia się nawet po wielu latach rozłąki. Na myśl przyszła jej od razu Lily, przebywająca właśnie w Connecticut wraz z Rose i Liamem. To dopiero jest historia ze szczęśliwym zakończeniem! No i Patrick, ten przystojny gliniarz, który zapalał afektem do Marisy. Nieoczekiwanie dla samej siebie poczuła na ciele gęsią skórę, kiedy dudziarz wyciągnął ostatnią przeraźliwą nutę i równocześnie uderzyła w nią słona bryza. Cape Hawk to magiczne miejsce, bez dwóch zdań – pomyślała. – A gdyby nie ta muzyka...

Ani przez moment nie wątpiła, że magia tego miejsca dociera także do tych, którzy znaleźli się daleko od Cape Hawk.

Lily, siedząc przy łóżku babci, czuła się jak ostatni głupiec. Co ona tak naprawdę wie? Jakie ma dowody? Na jakiej podstawie podniosła alarm dziewięć lat temu i postąpiła, jak postąpiła? Puste spojrzenie, którym obdarzył ją lekarz, przypomniało jej o tamtym dniu w Berkshires, kiedy to popadła w histerię na oczach obcych ludzi popatrujących na nią z coraz większym niepokojem i niedowierzaniem.

Poruszyła się, chcąc przegonić precz nieprzyjemne wspomnienia. Zmusiła się, by całą swą uwagę poświęcić leżącej bez ruchu babci. Lekarz właśnie odstąpił od łóżka i szeptem konferował z Clarą. Początkowo rozróżniała poszczególne słowa, wszakże gdy ci dwoje wyszli za drzwi i zaczęli się oddalać korytarzem, ich głosy zlały się w jedno. Odtąd mogła sobie tylko wyobrażać, o czym rozmawiają. Przeraziła się, gdy pomyślała, co mogą myśleć.

W separacie zrobiło się bardzo cicho. Pozostały tylko one dwie: Lily i Maeve. Od jakże dawna Lily marzyła o tym spotkaniu! Pochwyciła w obie



dłonie leżącą bezwładnie rękę babci i mocno zacisnęła palce; czuła się przy tym jak mała dziewczynka. Pod powiekami przelatywały jej obrazy: trzymając babcię za rękę, kroczy do szkolnego autobusu, udaje się na lekcje pływania, na pocztę, do sklepu pani Foley po torbę cukierków...

– No, no... patrzcie państwo. Czy mnie oczy mylą czy to wnuczka marnotrawna we własnej osobie? – od progu rozległ się głęboki baryton.

Lily zamrugła i obejrzała się przez ramię.

W drzwiach stał Patrick Murphy. Delikatnym ruchem przyciągnął skrzydło do futryny, pozostawiając tylko niewielką szparę, po czym podszedł bliżej, nie odrywając wzroku od twarzy Maeve. W jego płomiennej czuprynie igrały promienie światła. Spojrzenie niebieskich oczu miał poważne, jak gdyby to jego babcia leżała w tym szpitalnym łóżku.

– Żałuj, że nie słyszałaś, o czym się mówi na korytarzu – rzucił.

– Powiedzieli ci, że Edward to zrobił?

– Zaraz do tego przejdziemy – podniósł uspokajającym gestem rękę. – Policja jest już w drodze. Oskarżenie takie jak to nie może przejść bez echa.

– Ale przecież ty też jesteś z policji. Chcę, abyś to ty poprowadził śledztwo.

– Wystąpiłem ze służby – przypomniał jej. – Skończyłem z tym na dobre. Przez ciebie, Maro, jeśli mam być szczery. Te trwające niemal dekadę poszukiwania ciebie, a właściwie twojego ciała, ponieważ wierzyłem, że Edward cię zamordował... Znaleźliśmy w jego bagażniku wapno gaszone. Wiesz, co to takiego? Związek chemiczny o silnym działaniu żrącym. Byłem przekonany, że najpierw pozbawił cię życia, a potem potraktował wapnem, tak że nie została z ciebie nawet kosteczka.

Lily mimowolnie się wzdrygnęła.

– Przede mną nie musisz udawać, dziecinko.

– To on doprowadził babcię do takiego stanu – oznajmiła z mocą Lily. – Wiesz, że całkiem niedawno odwiedził ją w domu? Mnie powiedziała o tym Clara.

– Tak, słyszałem o wszystkim. Nawiasem mówiąc, Clara wylądowała przez ciebie na oddziale kardiologicznym. Omal nie przyprawiłaś jej o atak serca.

– Nie żartuj w ten sposób – ostrzegła groźnym tonem Lily. Jej córka Rose spędziła wystarczająco dużo czasu w szpitalach i na salach operacyjnych, by podobne uwagi mogły ją bawić.

– Ale chyba nie zaprzeczysz, że można cię uznać za powstałą z martwych – ciągnął Patrick. – Za tymi drzwiami aż świszczy od domysłów. Clarze i pielęgniarkom dzielnie wtórują lekarze. Wszyscy zebrali się w okolicach dyżurki i bawią się w zgadywanki. Mówię poważnie – skinął głową na pytające spojrzenie Lily. – Większość jest zdania, że dziewięć lat temu zostałaś porwana przez swojego męża... nie, zaczekaj... przez jakąś sektę, najlepiej satanistów. W opozycji są ci, którzy uważają, że sama wszystko zainscenizowałaś, wyprowadzając nas w pole.

Lily starała się nie przykładać wagi do słów Patricka, koncentrując się na suchej chłodnej dłoni Maeve.

– Nie obchodzi mnie, co ludzie myślą – odparła z drzeniem. – Teraz liczy się tylko to, że babcia zatrula się przez Edwarda.

– Tak, słyszałem od lekarzy, że tak uważasz.

– Więc lepiej uwierz w moje słowa, a nie zajmuj się tym, co się stało prawie dziesięć lat temu!

– Ty naprawdę nie ogarniasz swojej sytuacji! – zakrzyknął zdumiony Patrick. – Stałaś się fenomenem, sensacją... Nie masz nawet pojęcia, ile zainteresowania i spekulacji wzbudziło twoje zniknięcie.

– Nie, to prawda – zgodziła się – i niech tak zostanie. To co się ze mną działo, to moja prywatna sprawa.

– Maro... – Kiedy zgromiła go wzrokiem, poprawił się: – To znaczy, Lily... Musisz mi wybaczyć, dla mnie przez ostatnie dziewięć lat byłaś Marą Jameson. Odszedłem z policji w niesławie między innymi dlatego, że nie potrafiłem cię znaleźć, moja żona uznała, że mam na twoim punkcie obsesję, i rozwiodła się ze mną... długo by wyliczać. Sądzę, że jesteś mi coś winna. Przynajmniej odrobinę uprzejmości, jeśli już nic innego.

– Przecież mnie znalazłeś – zripostowała, patrząc mu prosto w oczy. – Inaczej by mnie tu nie było.

– Ale zabrało mi to całe dziewięć lat. I potrzebowałem pomocy twojej babci, która praktycznie wcisnęła mi do ręki mapę. – Pobiegł wzrokiem do twarzy leżącej kobiety. – Chryste, Maeve... Chciałbym, żebyś się wreszcie obudziła. Mógłbym wtedy powiedzieć ci, co myślę o tym, że przez te wszystkie lata ukrywałaś przede mną prawdę.

– Babcia zrobiła to, co było trzeba. Obie zrobiłyśmy...

Patrick potrząsnął głową ze współczuciem.

– Świadomość, że ma prawnuczkę, której nie może zobaczyć, musiała ją zabijać dzień po dniu.

Lily podskoczyła jak dźgnięta ostrogą na wzmiankę o swojej córce.

– Posłuchaj, Patrick... Edward nie ma pojęcia o istnieniu Rose.

– Dopóki ukrywałaś ją w Kanadzie, być może tak było. Lecz teraz, po powrocie do Stanów... do domu, kręcący się przy tobie dzieciak będzie się wyróżniał. Nie uważasz?

– Teraz także jest bezpiecznie ukryta. Pomóż mi, żeby tak zostało. Zadaliśmy sobie wiele trudu...

– My? – wpadł jej w słowo.

– Liam i ja. Proszę...

– Policja będzie chciała cię przesłuchać. I mnie również, ponieważ to ja cię odnalazłem.

– Wiem – westchnęła Lily. – Zamierzam powiedzieć całą prawdę z wyjątkiem tego kawałeczka o Rose. Po tym wszystkim co przeszłam, nie mogę pozwolić, żeby Edward położył na niej swoje łapska.

– Wciąż próbuję zrozumieć, dlaczego... – Spojrzał na nią uważniej i w jego oczach zabłyśły refleksy światła słonecznego wpadającego przez okno. – Naprawdę chciałbym poznać całą historię. Czy on cię bił? Maltretował? Znęcał się nad tobą?

Lily milczała. Wpatrywała się w jego twarz, próbując ocenić, ile ten mężczyzna zdoła zrozumieć. Wreszcie powiedziała ostrożnie:

– Tak, chociaż nie w taki sposób, jak wyobraża sobie większość ludzi.

– I co z tym zrobiłaś? Twierdzisz, że twój mąż próbował cię zabić.

Podjęłaś jakieś kroki w tej sprawie? Zgłosiłaś to na policji?

– Nie – odpowiedziała Lily.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ wiedziałam, że nikt mi nie uwierzy. Nie miałam na swoje słowa żadnych dowodów. A Edward to istny czaruś, potrafi być bardzo przekonujący. Musiałam myśleć przede wszystkim o swoim maleństwie, nie

mogłam pozwolić, by dowiedział się o dziecku, podczas gdy traciłabym czas na komisariacie.

Patrick pokręcił głową, a potem z uporem powtórzył:

– Powinnaś była powiedzieć o wszystkim policji.

– Zwierzyłam się babci. Tylko jej mogłam zaufać.

– A ona ci uwierzyła... – zawiesił znacząco głos.

– Oczywiście, że tak!

– Zatem otwarłaś się przed Maeve, a później...

– Natychmiast zaczęłam się szykować do wyjazdu. To znaczy, obie zaczęłyśmy.

Równocześnie popatrzyli na leżącą bez ruchu staruszkę.

– Chryste – jęknął Patrick i Lily przeniosła na niego wzrok. Wydawało jej się, że przed jego oczami pojawiają się odległe wydarzenia, być może wspomnienia z czasów, kiedy prowadził dochodzenie w sprawie jej zniknięcia. Pewnie starał się przypomnieć sobie kłamstwa, którymi Maeve mamiła go z myślą o dobru wnuczki. Niczego nie pragnęła bardziej niż tego, aby Mara pozostała bezpieczna w ukryciu. Nagle spojrzenie mu się wyostrzyło. – Nie rozumiem, czemu Maeve nie pojechała z tobą.

– Musiała zostać na miejscu, żeby zmylić Edwarda.

– Kłamiąc policji?

– Nawet kłamiąc, gdyby było trzeba.

– A teraz ty zamierzasz uczynić to samo – raczej stwierdził, niż zapytał Patrick.

W szpitalnym korytarzu rozległo się echo ciężkich kroków i szcęknięcia krótkofalówek. Policja błyskawicznie odpowiedziała na wezwanie. Lily

poczuła, jak na plecy występuje jej zimny pot – objaw paniki wywołanej obawą, co powie funkcjonariuszom Patrick.

– Zrobię wszystko, byle ochronić Rose – rzekła twardo.

– Jezu Chryste!

– Pamiętaj, że znasz zaledwie wycinek tej historii... Błagam, nie wydaj nas. Nie wydaj mojej córki... Ona dopiero co odzyskała swoje życie. Nawet nie masz pojęcia, ile przeszła operacji, żeby pozostać wśród żywych.

– To akurat wiem. – Chciał powiedzieć coś więcej, ale w tej właśnie chwili rozległo się pukanie do drzwi. Patrick poruszył się, żeby podejść i otworzyć je, lecz Lily złapała go za ramię.

– Proszę...

– Powiedz mi choć jedno, Lily. Gdzie ona jest? Muszę mieć pewność, że nic jej nie zagraża.

– Rose jest z Liamem Neilem, tylko tyle mogę ci powiedzieć. Będą razem do czasu, aż ja do nich dołączę. Moja córka jest z nim bezpieczna. Pamiętasz Liama z Cape Hawk, prawda? Ty i Marisa znaleźliście nas w jego domu. Nie muszę ci więc chyba mówić, ile Rose dla niego znaczy. Dlatego raz jeszcze proszę cię... – urwała, widząc po jego twarzy, że podejmuje jakąś decyzję.

Wtedy jednak drzwi do izolatki otworzyły się na oścież i do środka weszła para stróżów porządku.

– Hej, Murphy, co ty tu robisz? – zapytała policjantka.

– Wpadłem, żeby zobaczyć, jak się miewa moja stara znajoma Maeve.

Wchodźcie dalej – wykonał zapraszający gest – zdaje się, że nie obejdzie się bez prezentacji.

Lily przesunęła się pod ścianę i opierając się o metalową ramę łóżka, sięgnęła po leżącą na szpitalnej pościeli dłoń babci. Od początku tkwiły w tym razem. Babcia i wnuczka chroniące nowe kruche życie. Lily była przygotowana na ciężkie chwile, gotowa stawić czoło wszystkiemu, cokolwiek przyniesie przyszłość, jednakże potrzebowała wsparcia Maeve. Przy niej czuła się odważna jak lwica.

– Przedstawiam wam Lily Malone. Lily, poznaj detektywów Christine Dunne i Lance'a Sheridan.

– Powiedziano nam, że w szpitalu była Mara Jameson.

– „Była” to bardzo użyteczne słówko. I wieloznaczne – zauważył Patrick. Rzucając szybkie spojrzenie w stronę Lily, dodał: – Znosi się na to, że twoje dawne imię jeszcze wyjdzie ci uszami.

– Y–hy.

– No cóż, sama chyba wszystko najlepiej wytłumaczysz – rzucił i odsunął się w cień.

Nie powiedział ani słowa o Rose! Tylko to liczyło się w tamtym momencie dla Lily. Posłała mu ostrożne spojrzenie, którym chciała wyrazić wdzięczność, i zwróciła się w stronę dwójki detektywów. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta wyglądali na pełnych podejrzeń, lecz równocześnie szczerze zaciekawionych. Christine miała około trzydziestu pięciu lat, krótkie płowe włosy i ogromne zielone oczy. Lily postanowiła, że będzie mówić do niej.

– Poinformowałam lekarza, że ktoś próbował zabić moją babcię.

– Dlatego właśnie jesteśmy – wtrąciła Christine.

– No, nie tylko – odezwał się Patrick.

Wzrok obojga policjantów zawisł na nim, lecz on wzruszył ramionami. – Nie ma co owijać w bawełnę. Jesteście tu także po to, by ostatecznie rozwiązać

sprawę pewnego zniknięcia sprzed lat. Z tą minutą sprawa zniknięcia Mary Jameson ulega zamknięciu, gdyż właśnie odnaleźliście zaginioną. Moje gratulacje!

Lance Sheridan uśmiechnął się i skinął Patrickowi głową. Christine Dunne jednak wbiła spojrzenie swych szmaragdowych oczu w Lily, jakby chciała przeniknąć ją na wskroś. Lily dzielnie zniosła tę inwigilację. Zdawała sobie sprawę, że policjantka ją szacuje i ocenia, że wszystko co powie w przyszłości, każda udzielona przez nią odpowiedź zostanie skonfrontowana z pierwszym wrażeniem Christine.

– Gdzie pani się podziewała? – zapytał cicho Sheridan.



## ROZDZIAŁ 4

Patrick Murphy pozostał w cieniu białej szpitalnej ściany, podczas gdy dwoje policjantów przesłuchiwało Lily. To co usłyszał, pokrywało się ze znaną mu już wersją historii.

Dziewięć lat temu Mara Jameson, dowiedziawszy się, że jest w ciąży, uciekła od męża. Dotąd na co dzień żyła w strachu o własne życie i za nic nie chciała pozwolić, by jej dziecko wychowywało się w podobnych warunkach. Dlatego postanowiła zniknąć. Nie, nie zainscenizowała swego zniknięcia – po prostu wyjechała. Czy ktoś jej w tym pomógł? Nie. Dokąd się udała? Za wcześnie, by zdradzić miejsce jej stałego pobytu. Gdzie teraz jest dziecko Huntera? Chłopiec urodził się martwy.

– Chłopiec? – wyrwało się Patrickowi.

– Tak – potwierdziła Lily z miną smutną i poważną.

Lustrował ją wzrokiem, lecz nawet nie mrugnęła. Zdradzało ją tylko pulsowanie tętnicy na szyi, ale podenerwowanie było zrozumiałe w takiej sytuacji, więc nie wzbudziło uwagi nikogo innego poza Murphym. Kiedy przedstawiała detektywom swoją teorię na temat zatrucia tlenkiem węgla, skórę miała bladą, wyraźnie odcinającą się na tle kasztanowych włosów przyciętych równo na wysokości ramion, oczy przepełnione bólem i świadczące o bezbronności.

Patrick nieomal parsknął. Lily Malone była tak bezbronna jak wojownik ninja uzbrojony w miecz śmierci. Ta kobieta stanowiła uosobienie siły. Murphy'ego wciąż paliło uczucie wstydu na myśl, jak wodziła go za nos przez wszystkie te lata, kiedy jej poszukiwał. Chcąc nie chcąc, musiał chylić przed nią czoło.

Lily także rzuciła mu jedno czy dwa spojrzenia. Nie powiedział więcej ani słowa. Detektywi podjęli przesłuchanie, wracając do kwestii martwo urodzonego dziecka. Lily drżącym głosem odparła, iż to wspomnienie jest zbyt bolesne, by mogła o nim mówić. Było pewne, że nie udaje rozpacz – Patrick podejrzewał, że odpowiadając na pytania policjantów, przed oczyma ma Rose. Czy to czekającą na kolejną z serii operacji, czy to ukrytą teraz gdzieś pod opiekuńczymi skrzydłami Liama. Mowa ciała także jej nie zdradzała. Ruchy miała oszczędne, wykalkulowane. Delikatnie podkreślała gestami swoje słowa.

Podążając jej tropem aż do Kanady, poznał Marisę. Życie jest jednak nieprzewidywalne.

– A teraz, jeśli państwo wybaczą – powiedziała w końcu Lily – chciałabym zostać sam na sam z babcią.

Dunne i Sheridan podziękowali za poświęcony im czas i oznajmili, że później będzie mogła ich znaleźć w domu Maeve, gdzie „trzeba się rozejrzeć”, po czym skierowali się do drzwi. Patrick postąpił za nimi, lecz w progu się zawahał. Pomyślał, że być może Lily będzie chciała zamienić z nim słówko na osobności. Zobaczył jednak, jak Lily pokazuje mu plecy. Potraktowała go jak członka zespołu detektywów, niemile widzianego na jej terenie. Gdy nachyliła się nad łóżkiem, żeby poprawić poduszkę pod głową Maeve, jej rysy zrobiły się delikatniejsze. Łagodnym ruchem ręki odgarnęła z czoła nieprzytomnej kobiety zlepiony kosmyk włosów.

Patrick przestąpił próg i dołączył do kolegów po fachu, którzy wyraźnie na niego czekali. W głębi korytarza, przy dyżurce pielęgniarek, wciąż kłębił się mały tłum podekscytowanych postaci. Pojawienie się policji w szpitalu zawsze wzbudzało sensację, a tym razem była to istna bomba, zważywszy na fakt, iż Mara Jameson nieoczekiwanie odnalazła się po dekadzie.

– O co w tym wszystkim chodzi? – naskoczyła na Patricka Christine Dunne.

– Nie rozumiem, o co pytasz... – bąknął.

– Coś między wami jest, to jasne jak słońce – stwierdziła policjantka.

– Między nami?

– Między tobą i Marą... i Lily... Między tobą i tą kobietą, jakkolwiek zechce się nazywać. Wymienialiście spojrzenia, jakbyście znali się przez te wszystkie lata.

– Rzeczywiście dobrze ją znam – przyznał Patrick – może nawet lepiej, niż ona zna siebie. Pamiętam, w jaki dzień się urodziła, mogę podać jej grupę krwi i ulubiony deser... tarta z jagodami, gdybyś była ciekawa... oraz tytuły ulubionych filmów, powód, dla którego tak bardzo lubi haftować, a nawet różnicę pomiędzy zwykłym haftem a haftem krzyżkowym. To ostatnie również jest ważne, gdy chce się przeniknąć sposób, w jaki ona działa. Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Cholera, Murphy, nie o to cię pytałam!

– Powiem ci – ciągnął, jak gdyby jej nie usłyszał. – Matka Lily zajmowała się hafciarstwem. Była Irlandką. Rozumiesz już? My, Irlandczycy, jesteśmy urodzonymi opowiadaczami. Jeśli z jakiegoś powodu nie możemy swojej historii opowiedzieć na głos, znajdujemy inną metodę. Mała Lily akurat świetnie sobie radziła z igłą. Od jej babci wiem, że dziurawiąc płótno i pastwiąc się nad własnymi palcami, dawała ujście przepełniającym ją uczuciom.

– Tak ci powiedziała Maeve Jameson?

– We własnej osobie. W trakcie jednego z licznych przesłuchań.

– A w tego martwego chłopca wierzysz? – zaatakowała Christine z innej strony.

Przed oczyma stanęła mu Rose – uśmiechnięta od ucha do ucha, obejmująca szyję Lily wåtłymi ramionkami, piegowata, kasztanowowłosa i zielonooka. A także bez dwóch zdań żywa.

– Niby czemu miałbym nie wierzyć? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Bez względu na wszystko brukowcom trafi się nie lada gratka – odezwał się Lance. – Wyobrażacie sobie, co się będzie działo, kiedy pismacy się dowiedzą, że Mara Jameson wróciła z zaświatów? Do szczęścia będzie im brakować tylko małego rozczochranego urwisa i walki na noże z jego ojcem.

– Socjopatą nazwiskiem Hunter – dodała Christine przez zaciśnięte zęby. Patrick popatrzył na nią z zainteresowaniem, na co zaczerwieniła się po koniuszki uszu. – To chyba oczywiste, co? Z tego faceta musi być kawał drania, skoro udało mu się zmusić Marę–Lily do opuszczenia rodzinnych pieleszy i tułania się po świecie przez dziewięć lat.

– A jeśli ona nie mówi nam prawdy? – Lance włożył kij w mrowisko.

– Akurat co do tego jej wierzę – odburknęła Christine.

Patrick Murphy uśmiechnął się pod nosem. Nie spodziewał się, że tak szybko zapala sympatią do drobiazgowej policjantki.

Rose Malone siedziała na skałach, wpatrując się w wodę. Gdyby się nad tym zastanowiła, przyznałaby, że to jej ulubione zajęcie. Pozostawać blisko oceanu, pozwalać, by rozpylona w powietrzu słona mgiełka otulała jej twarz, i obserwować srebrzyste błyski pod powierzchnią wody, śmigające dosłownie na wyciągnięcie ręki. Zatoka Narragansett nie była tak przejrzysta i pełna życia jak ta przy Cape Hawk, będąca uchyłkiem Zatoki Świętego Wawrzyńca, ale i

tutaj – nachylając się wystarczająco nisko – Rose mogła wypatrzeć wiele rodzajów rybek i innych morskich żyjątek.

– Doktorze Neill, niech pan tu podejdzie i zobaczy! – zawołała.

– Co tam masz? – zapytał, podchodząc.

– Raki pustelniki – odparła, pokazując na dno, gdzie kłębiło się paręnaście tych skorupiaków – i srebrzarki. Czemu jest ich aż tyle? – zaciekawiała się.

– Nie jestem pewien – odpowiedział poważnie. – Być może trzymają się brzegu, żeby ich coś nie zjadło na głębokiej wodzie.

Doktor Liam Neill z Cape Hawk wiedział o wielorybach i rekinach więcej niż ktokolwiek inny w Kanadzie, a może nawet na całym świecie. Rose przyjrzała mu się uważniej. Zmrużonymi oczyma wpatrywał się w linię horyzontu, wystawiając twarz do słońca i nie wstydząc się kurzych łapek wokół przejrzyste błękitnych oczu.

– Czego pan tak wypatruje? – zapytała. – Czekają pan na Nanny?

– Jak to odgadłaś? Wzruszyła ramionami.

– Ja też nie mogę doczekać się chwili, kiedy znów się pojawi.

Nanny była białuchą albo inaczej walem białym. Przypląnęła tutaj na południe, do Nowej Anglii, bardzo daleko od jej rodzimych wód w Zatoce Świętego Wawrzyńca, mniej więcej wtedy, kiedy ona i jej mama dowiedziały się o wypadku prababci. To wydało się dziewczynce niezwykłym zbiegiem okoliczności. Wieloryb, którego dorastając, kochała całym serduszkiem, przebył daleką drogę w tym samym czasie co one – jakby podążał za nimi lub je prowadził.

– Sprawdzi pan w swoim komputerze? – poprosiła, wstając i gramoląc się po skałach, żeby spojrzeć za niego.

Doktor Neill miał w laptopie specjalny program, który umożliwiał śledzenie tras wędrówek wielu waleni i rekinów, a także przedstawiciele innych morskich gatunków, którym jemu i jego współpracownikom udało się wszczepić nadajniki. Drugim ulubionym zajęciem Rose było patrzenie, jak ekran komputera rozświecła się różnobarwnymi kropkami – zielone oznaczały wieloryby, czerwone zaś rekiny. Jednakże w pełnym świetle dnia mało co było widać na matrycy ustawionego na ziemi laptopa.

Pociągnęła doktora Neilla za rękę, a on przebiegł palcami po klawiaturze, uruchamiając program. Potem powrócił do obserwowania zatoki, próbując namierzyć Nanny w bardziej tradycyjny sposób. Powierzchnia wody pozostała jednak niezmacona. Nad taflą z krzykiem unosiło się kilka mew.

– Tęsknię za mamusią – powiedziała nagle dziewczynka.

– Ja też za nią tęsknię, Rose.

– Kiedy ona wróci?

– W tej chwili opiekuje się swoją babcią. Na pewno do nas zadzwoni, jak tylko się okaże, że Maeve nie zagraża niebezpieczeństwo.

Rose pokiwała głową. Z doświadczenia wiedziała, że nie ma na świecie lepszej opiekunki chorych aniżeli jej matka. Rose urodziła się z czterema defektami serca. Tuż po porodzie jej skóra miała odcień indygo – cała była sina z powodu niewystarczającej ilości tlenu w organizmie. To dlatego Rose nie rosła tak jak inne dzieci i wciąż miała pałeczkowate palce.

Teraz powiodła wzrokiem po ramieniu doktora Neilla. Nie po tym prawdziwym, ale po protezie. Ładnie mieściła się w rękawie, jednakże dłoń, która wystawała, różniła się znacznie od normalnej ręki. Też wydawała się inna, łopatkowata. Dzieciaki z Cape Hawk powtarzały za jego plecami historie, jakie usłyszały od swoich rodziców – to, że doktor Neill z początku, zaraz po

ataku rekina, który zabił Connora, a jemu oderwał rękę, nosił zamiast dłoni metalowy hak.

Rówieśnicy wołali za nim „kapitan Hak” i przydomek jakoś przylgnął.

Rose nie mogła znieść myśli, że ktoś naśmiewa się z doktora Neilla. Ona za nim przepadała. Nieraz słyszała od mamy historię o tym, jak doktor Neill stał się jej pierwszym przyjacielem po przybyciu do Cape Hawk. Któregoś dnia po prostu zaszedł do niej do domu. Rose uwielbiała wyobrażać sobie tę scenę. Mały domek w leśnych ostępach, dookoła żywej duszy i doktor Neill na progu. Doszły go z wnętrza jakieś hałasy, a to tylko ona postanowiła właśnie przyjść na świat. Doktor Neill przyjął poród.

– Czemu ma pan taką zmartwioną minę? – zapytała go teraz, przerywając mu baczne przepatrywanie horyzontu.

– Nie martwię się – zaprzeczył. – Po prostu zastanawiam się, co znaczą te tłumy tyranów, to znaczy srebrzatek, jak ty je nazwałaś.

– Czy one mają coś wspólnego z Nanny?

– Niewykluczone – odparł i pochylił się nad laptopem. Jednym puknięciem palca otworzył na ekranie nowe okno.

Widniały w nim jakieś wykresy przedstawiające siłę prądów i temperaturę wody. Rose przyglądała się, jak palce jego jedynej ręki uderzają w klawisze, powołując napis: „Narragansett, Rhode Island”. Kiedy uderzył ENTER, ekran znów się zmienił. Za ich plecami mewy wzmożyły krzyk i zaczęły pikować w stronę tafli wody. Rose usłyszała także nawoływania jakichś dzieci i kiedy się odwróciła, zobaczyła, że pokazują sobie coś na falach.

Doktor Neill instynktownie złapał ją za rękę. Dzieciarnia nie przestawała wrzeszczeć i wytykać palcami czegoś, co miała przed sobą. Doktor Neill obdarzył Rose długim spojrzeniem, po czym oboje równocześnie zaczęli biec.

Dwaj chłopcy gnali już w stronę falochronu, który wyrastał z wąskiej kamienistej plaży. Zdzierali sobie gardła, żeby usłyszał ich kolega, który wędrował po przeciwnej stronie, mocując się z wędką w jednej dłoni i czerpakiem w drugiej. Poza tym owinięty był jeszcze ogromną siecią. – Co łowisz? – zapytał go doktor Neill.

– Żarłacza, człowieku! – odkrzyknął chłopak.

– Żarłacza? Czy on mówi o rekinie? – zaniepokoiła się Rose.

– Chyba tak – potwierdził doktor Neill i uspokajająco ścisnął ją za rękę.

– Patrzcie! – Chłopak wskazał coś kijem wędki.

I nagle Rose udało się dostrzec powód powstałego na brzegu zamieszania: wielkie czarne trójkątne płetwy śmigające, zda się, po powierzchni spokojnych wód zatoki.

Dziewczynka spytała cienkim głosem:

– Czy one zrobią krzywdę Nanny?

– Jej tu nie ma, skarbie – przypomniał Neill, nie odrywając oczu od widowiska. – Nie udało nam się jej namierzyć w komputerze, prawda?

Popatrzył na nią i uśmiechnął się, chcąc jej dodać otuchy. Objął ją zdrowym ramieniem. Stali tak i przyglądali się, jak rekiny krążą po zatoce. Rose poczuła, że tęskni za matką jeszcze bardziej niż parę chwil wcześniej. Wiedziała, że rozdzielić je może tylko coś naprawdę złego, na przykład rekiny. Zagryzła wargę w próbie powstrzymania cisnących jej się do oczu łez, po czym z płaczem zarzuciła doktorowi Neillovi obie ręce na szyję.



## **ROZDZIAŁ 5**

W „Igle z nitką” robiło się coraz tłoczniej. Do sklepiku zaglądały stałe klientki, prosząc o tę samą włóczkę co zawsze, natomiast całkiem nowe osoby przebierały w wielobarwnych kordonkach i długo przyglądały się wyhaftowanym obrazom, zanim wybrały któryś na podarunek dla kogoś bliskiego. Jessica dzielnie tkwiła za ladą, wspierając duchowo matkę, która zwijała się jak w ukropie, chcąc zadowolić wszystkich. Festiwal muzyki celtyckiej przysparzał mieszkańcom Cape Hawk nie tylko masę frajdy, ale również licznych klientów. W spokojnej na ogół osadzie roiło się od muzyków i turystów, którzy przyjechali, by ich wysłuchać, i niemal każdy zatrzymywał się w sklepie Lily Malone, ciekaw, co ma do zaoferowania.

Jessica siedziała cichutko jak mysz pod miotłą. Próbowwała rozeznąć się w tym, co naprawdę zaszło pomiędzy jej matką a ciocią Sam. Marisa nie dawała wiele po sobie poznać, toteż dziewczynka rzucała się na każdy zasłyszany strzęp informacji. Teraz także jej się poszczęściło.

– O, jest pani z Waszyngtonu? – powiedziała Marisa do młodej kobiety z gitarą na ramieniu. – Grywa pani może w „Złotej Harfie”?

– Owszem, słyszała pani o niej? – zdziwiła się gitarzystka.

– Wieki temu sama tam grywałam. Siostra i ja uczyłyśmy się w Baltimore i w niektóre weekendy wpadałyśmy do Georgetown...

Jessica nastawiła uszu i podniosła wzrok na matkę, licząc, że jej twarz zdradzi coś więcej. I rzeczywiście, w oczach Marisy pojawił się zbolący wyraz, który gościł tam, ilekroć wracała myślą do starych dobrych czasów w szkole pielęgniarstwa.

– Wszyscy ci prawnicy i kongresmani! – zaśmiała się młoda kobieta z gitarą. – Jak nawiedzeni szukają swych irlandzkich korzeni i poezji w życiu.

– Swojej utraconej duszy – dodała Marisa cichym głosem. – Tak przynajmniej twierdziła moja siostra.

– Cóż, właśnie to im dajemy, czyż nie? – Gitarzystka nagle się rozgadała. – Przychodzą nas słuchać i dostają to, co zgubili gdzieś po drodze. Na tym polega magia muzyki celtyckiej. Przywraca ludziom serca i dusze. Ale pani również chyba nie narzeka, żyjąc w takim uroczym zakątku. Podejrzewam, że muzyka po prostu panią przepęlnia?... – Kobieta zawiesiła głos, oczekując jakiejś reakcji, jednakże Marisa pozornie pochłonięta była podliczaniem rachunku klientki. Jessica wiedziała, że matka, która na ogół świetnie sobie radziła z liczbami, tylko udaje po to, aby nie musieć udzielać odpowiedzi. – Wystąpi pani podczas festiwalu? – zapytała gitarzystka po chwili ciszy.

– Jeżeli moja siostra zjawi się na czas. A to mało prawdopodobne, ponieważ przebywa daleko poza granicami kraju.

– Proszę przekonać ją, żeby się jednak stawiła na festiwalu! – rzuciła na odchodnym klientka, w obu rękach trzymając torby i torebki.

– Postaram się – bez przekonania powiedziała do jej pleców Marisa.

Serce Jessiki zamarło. W pełnych bólu oczach matki dostrzegła migoczące łzy. Dziewczynka dobrze wiedziała, jak bardzo jej mama pragnie znów zobaczyć ciocię Sam. Czując, że i ją kłuje pod powiekami, opuściła szybko głowę, aby ukryć wzruszenie.

– Skarbie? – zaniepokoiła się Marisa. – Jesteś taka cicha...

– Ta pani chciała wiedzieć, czy muzyka cię przepelnia.

– Wiem.

– Kiedyś cię przepelniała...

– I to się nie zmieniło. Muzyka nigdy nie odchodzi. Kiedy człowiek raz ją w sobie odkryje, pozostaje z nim na zawsze.

Dziewczynka pokiwała smutno głową. Bardzo chciałaby wierzyć, że to prawda. Gdy była malutka i nieszczęśliwa z powodu śmierci taty, ciocia często ją odwiedzała, przyjeżdżając aż z Baltimore. Mama i ciocia Sam rozmawiały w kuchni przyciszonymi głosami, co w jej uszach zdawało się muzyką, a potem – po sutej kolacji – wyciągały skrzypce i zaczynały grać naprawdę. Muzykę miały we krwi; ćwiczyły od najmłodszych lat. Jessica zamieniała się wtedy w słuch. Nieprawdopodobnie piękne dźwięki skrzypiec przeganiały cały ból i tęsknotę za ojcem.

– W takim razie dlaczego... – zaczęła Jessica i urwała.

– Dlaczego co, Jess? – zachęciła ją Marisa.

– Dlaczego przestałaś grać? – zapytała dziewczynka.

– Cóż, chyba potrzebna mi do tego Samantha.

Jessica zacisnęła dłonie, żeby przestały drżeć. Przez jej ciało przelała się fala emocji. Odkąd w szkole w planie lekcji pojawiło się wychowanie

muzyczne, Jessica po kryjomu ćwiczyła nuty i gamy – po to, aby jej matka miała znów partnerkę, na wypadek gdyby ciocia Sam jednak nie wróciła.

Rozmowa urwała się, kiedy do lady podszedł następny klient. Dziewczynka spostrzegła, że jej matka odetchnęła z ulgą. Najwyraźniej cieszyła się, że nie musi kontynuować tego tematu.

– Mamusiu, mogę wysłać maila do Rose? – zapytała Jessica, poprawiając się na wysokim taborecie, na którym siedziała.

– Jasne, skarbie – odparła z roztargnieniem Marisa, odwracając się do kolejnej gitarzystki, która z konieczności targała instrument wszędzie ze sobą. Klientka była skora do rozmowy, a nawet rozpięła suwak pokrowca, żeby pokazać swoje cudo. Marisa zaczęła się rozplęwać nad doskonałością gitar Gibsona. Ta tutaj zaliczała się do linii „Emmylou Harris”.

– Pojechałam po nią specjalnie do Memphis – poinformowała młoda kobieta, dziewczyna niemal, wygrywając kilka nut.

Jessica przestała słuchać i w całości skupiła uwagę na ekranie komputera. Pomagając sobie myszką, otworzyła skrzynkę pocztową. Nie było w niej żadnych nowych wiadomości, wystukała więc na klawiaturze krótkie pozdrowienia dla swej przyjaciółki Rose:

*Tęsknię za tobą, Rose.*

*Lada dzień rozpocznie się festiwal muzyki celtyckiej na  
który ma przyjechać moja ciocia...*

Przynajmniej tak twierdzi mama – pomyślała i kliknęła WYŚLIJ.

Zerknęła na matkę, po czym mając nadzieję, że nie zostanie przyłapaną, weszła do folderu ze starą pocztą. Były tam maile od cioci Sam. Jej mama nie kasowała ich, tylko skrzętnie je przechowywała, jak gdyby miały szczególną

wartość i zostały wysłane tylko do niej, a nie do większej grupy osób. Jessica otworzyła list z minionego miesiąca, zatytułowany „Hola! z Peru”.

*Hola! moi drodzy!*

*Dotarłam do Peru w jednym kawałku. Obecnie jestem w Iquitos nad Amazonką – jest tu gorąco i wilgotno, bo niemal przez cały czas pada, a poza tym niezwykle kolorowo i zarazem ubogo i przebogato.*

*Wczoraj otworzyliśmy szpitalik przy szkole. Setki ludzi cierpliwie czekały w wijącym się w dżungli ogonku na swoją kolej. Rozdaliśmy mnóstwo specyfików przeciw pasożytniczych, bo to chyba najbardziej palący problem przy takim niedożywieniu, jakie tu panuje. Mamy ze sobą pediatrę chirurga i lekarza chorób stóp, a także zespół dentystów, którzy zdążyli już wyrwać setki zębów. Dwóch innych lekarzy ma zjawić się w najbliższych dniach. Rozpaczliwie potrzebujemy dermatologa...*

*Ja utknęłam na „oddziale” ginekologiczno-położniczym. Przyjęłam około dwudziestu pacjentek – większość z nich to ciężarne nastolatki, było też parę zdrowych dorosłych kobiet oczekujących rozwiązania i jedna dziewczyna z objawami żółtaczki oraz druga, nieco tylko starsza, z ewidentnym guzem wewnątrzmiędnym. Tej ostatniej niestety nie stać na wyprawę do miasta i wizytę w szpitalu z prawdziwego zdarzenia. Wszystkie zdawały się najbardziej potrzebować odrobiny zainteresowania i czułości. Ciekawe, co przyniosą następne dni...*

*Dopiero tutaj poczułam, że żyję. To wspaniałe znajdować się w tym świecie, który tak bardzo poszerza horyzonty i wrażliwość.*

*Adios na razie, Sam.*

Nie umiając się powstrzymać, Jessica otworzyła następny mail – o nagłówku „Peru – aktualizacja” – który przyszedł niecałe dwa tygodnie

wcześniej, zaraz po tym jak Marisa przypomniała siostrze, że rozpoczęcie festiwalu muzyki celtyckiej w Cape Hawk zbliża się wielkimi krokami. W treści wiadomości nadmieniła również, że ma nadzieję na pojednanie na scenie, ponieważ nic nie leczy serc lepiej od muzyki.

*Hola!*

*Jest wpół do ósmej rano i czas stawić czoło nowemu dniu w slumsach Amazonii. Wczorajszy był pełen wrażeń w naszej klinice otoczonej przez szalasy na kurzych łapkach. Okolica słynie ze spektakularnych wydarzeń, ale to co się zdarzyło minionego dnia, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Zanim mój zegarek pokazał ósmą, mieliśmy do czynienia z napadem z bronią w rękę. Musieliśmy zmienić porządek dnia, przyjmując najpierw pokłute nożem ofiary, które wymagały natychmiastowej pomocy medycznej. Odtąd po wiosce snują się patrole policji.*

*Przy pomocy moich dwóch asystentów – studentów medycyny stąd pochodzących i znających miejscowe narzecze – udało mi się wczoraj przebadać aż czterdzieści pacjentek. Na szczęście zdecydowana większość to hipochondryczki, którym pomogły ciepłe słowa, witaminy w pigułkach i środki przeciwpasożytnicze. Parę przypadków nadciśnienia, zbyt wiele zaćmy, mnóstwo problemów dermatologicznych, dwie kobiety cierpiące na poważne reumatyczne zapalenie stawów, wszystkie skarżące się na bóle pleców i głowy... To ostatnie akurat nie dziwi, jako że każda z nich wydała na świat od sześciorga do dziesięciorga przychówku, pracuje fizycznie od świtu do nocy – albo w domu, albo w polu, albo na targu i nie ma z tego absolutnie nic. Każdy odrębny przypadek od nowa mnie zdumiewa. Wczoraj na przykład rozmawiałam z Indianką, która urodziła siedmioro dzieci, ale szóstka ją odumarała z powodu zakażenia lub nieszczęśliwego wypadku, z kilkoma*

*nastolatkami – w wieku od czternastu do siedemnastu lat – w zaawansowanej ciąży, jakby się miały do czego śpieszyć, z dwoma przypadkami ciąży wysokiego ryzyka (podejrzenie zatrucia krwi i groźba przedwczesnego porodu). Co ciekawe, tutejsze kobiety wchodzą w okres menopauzy tuż po czterdziestce... Gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, moglibyśmy pomóc im wszystkim, a tak zajmujemy się tylko najpilniejszymi przypadkami. Nasz dzielny zespół naprawił już wiele końsko-szpotaowych stóp, wyrwał wiele zepsutych zębów i przeprowadził niezliczone inne drobne zabiegi chirurgiczne.*

*Rozpisałam się, a powinnam się zbierać. Dzisiaj opuszczamy na cały dzień naszą bazę i idziemy pomagać mieszkańcom paru małych wiosek rozrzuconych w górze rzeki. A potem czeka mnie urlop w domu...*

*Życie jest piękne.*

*Napiszę do Was jeszcze, Sam.*

„Urlop w domu” – napisała ciocia Jessiki. Co dokładnie miała na myśli? Jessica często wracała do tych maili, szukając w nich podpowiedzi. Czyżby ciocia Sam naprawdę mogła zawitać do Baltimore i nawet nie pomyśleć o tym, żeby stawić się na festiwal? Odwiedzić rodzinę? Jessica nie dopuszczała do siebie takiej możliwości. Przecież ciocia Sam ją kocha i na pewno za nią tęskni...

Jednakże nawet dziewięcioletnia dziewczynka nie mogła zignorować czegoś, co aż nadto wyraźnie rzuciło się w oczy z ekranu komputera. Mail, który właśnie skończyła czytać, zaadresowany był do każdej osoby, którą Samantha знаła i z którą utrzymywała kontakt. Marisa Taylor była wymieniona pośród wielu innych nazwisk wyszczególnionych u szczytu strony. Jak gdyby ciocia Sam nie potrafiła całkowicie wykreślić jej ze swojego

życia, a równocześnie nie czuła wystarczającej potrzeby, aby napisać do niej coś osobistego.

Jessica przymknęła oczy i całą siłą woli powstrzymywała łzy. Lecz one bezustannie rodziły się pod powiekami i jedna po drugiej wydostawały na zewnątrz – nie dlatego, że zrozumiała, iż ciocia Sam nie przejmuje się ich losem, lecz dlatego, że pomyślała, iż być może siostra jej mamy w ten sposób chroni samą siebie. Dziewczynka wiedziała, że obie kobiety cierpią, ponieważ sama odczuwała wielki ból.

Zamrugła, żeby strącić zbierające się na rzęsach łzy, i popatrzyła na matkę, która wciąż była zatopiona w rozmowie na temat gitary. Nagle poczuła, że mama może się mylić. Że muzyka czasem jednak opuszcza człowieka. Co z tego, że pozostaje zamknięta gdzieś na dnie duszy, skoro nikt jej nie może usłyszeć?

Jessica podniosła głowę i wyjrzała przez otwarte drzwi sklepu na zewnątrz. Omiotła wzrokiem gospodę, w której trwały przygotowania do festiwalu, pobiegła spojrzeniem do klifów Cape Hawk i wiszącego nad nimi przejrzyste błękitnego nieba. Żałowała, że nie potrafi wysłać w powietrze piosenki, tak jak przed chwilą dzięki magii Internetu przesłała wiadomość Rose. Gdyby nutki miały skrzydełka, takie jakie mają małe ptaszki – myślała – poleciałyby hen, na południe i zaniósły cioci Sam prośbę o powrót do domu.

W ciągu następnych dwóch i pół dnia Lily przestała żyć własnym życiem. Nade wszystko pragnęła być z Liamem i Rose, jednakże musiała ograniczyć się do kontaktów telefonicznych, i to połączeń komórkowych nie najlepszej jakości. Ilekroć z nimi rozmawiała, na linii ciągle coś szumiało i trzaskało. Rose opisała jej ze szczegółami obszerny dom i błękitne wody zatoki, a także jakieś zamieszanie na brzegu – chodziło chyba o to, że w



wodzie jest więcej ryb niż zazwyczaj i że zdaniem Liama może to mieć związek z tym, że Nanny zapuściła się aż tak daleko na południe.

Przyjaciółki z dzieciństwa, Tara O'Toole i Bay McCabe, wjechały rowerami pod górkę, zaparkowały je pod starym kamiennym murem ograniczającym drogę i wbiegły na dziedziniec.

– Wróciłaś! – krzyczała Bay. – Naprawdę wróciłaś!...

– O mój Boże... – szeptała Tara, trzymając ją w ramionach i kołysząc, jak gdyby tylko przez kontakt fizyczny umiała się przekonać, że jej najdawniejsza przyjaciółka naprawdę tu jest. Lily, milcząc, także nie wypuszczała jej z objęć, pozwalając, by miłość przepływała między nimi bez przeszkód i bez zbędnych słów.

Tyle miały do siebie pytań! Nie chodziło tylko o to, że odkąd widziały się po raz ostatni, minęło parę dobrych lat. Przecież w tym czasie życie Lily uległo diametralnej zmianie. Przede wszystkim nazywała się teraz Lily, a nie jak kiedyś – Mara. Trzy kobiety wciąż przed oczyma miały swoje szczenięce lata, mimo że od dawna były już matkami własnych dzieci. Rose nie schodziła z myśli Lily Malone, kiedy jej przyjaciółki opowiadały o swoich pociechach.

– Nie masz pojęcia, co tu się działo, kiedy zniknęłaś – powiedziała w pewnym momencie Bay. Wskazała na żółtą konewkę i gumki w kolorze jaskrów stojące w kącie kuchni Maeve. – Tylko tyle po tobie zostało. Można by powiedzieć, że rozplynęłaś się w powietrzu, i rzeczywiście, niejeden dziennikarz tak właśnie to ujął na antenie ogólnokrajowej telewizji.

– Bo w pewnym sensie tak właśnie było – wtrąciła Lily.

– Razem z Tarą brałyśmy udział w poszukiwaniach, które zorganizowano zaraz po twoim zniknięciu. Na apel policji stawily się setki ludzi, niemal wszyscy mieszkańcy Hubbard's Point. Przeczesywaliśmy okoliczne lasy i

grzędawiska, nawet plażę... Dziesiątkami ściągali do pomocy ludzie z Black Hall, a także bardziej oddalonych miejscowości.

– Przemknęło nam przez głowę, że być może postanowiłaś odejść...

– Och, Taro...

– Kto mógłby cię za to winić? – zapytała Bay, ściskając rękę odnalezionnej przyjaciółki. – Nie rozmawiałaś o tym nigdy z nami, ale my i tak wiedziałyśmy.

Lily w milczeniu przypatrywała się stojącym obok niej kobietom i czuła się tak, jakby spoglądała na nie przez te wszystkie lata, które je rozdzieliły.

– Spodziewałaś się dziecka. Jego dziecka – syknęła Tara. – Musiałaś marzyć o ucieczce. Och, Maro... Lily... Masz moje pełne zrozumienie i poparcie. Jakże się cieszę, że się od niego uwolniłaś, dziecinko – znowu padły sobie w ramiona. – Tak mi przykro z powodu śmierci twojego dziecka...

Serce Lily omal nie pękło. Wtulona w ramię przyjaciółki poczuła, jak na twarz wypełza jej wiele mówiący rumieniec. Była pewna, że gdyby teraz Bay albo Tara spojrzały na nią, wyczytałyby w niej prawdę o Rose. Czy naprawdę nie domyśliły się wszystkiego, kiedy tylko ją zobaczyły? Poczowała, że zaczyna jej brakować powietrza. Zaczęła się zastanawiać, czy to bezpieczne. Oraz – czy się odważy? Utrzymanie istnienia Rose w sekrecie wydawało jej się sprawą najwyższej wagi, ale przecież nie mogła zataić tego, że urodziła śliczną małą dziewczynkę, przed tymi dwiema kobieta mi o gołębach sercach, przed swoimi najlepszymi, najpierwszymi przyjaciółkami!

– Musicie mi obiecać, że nie powiecie o tym nikomu, nawet najbliższym – powiedziała, spoglądając im kolejno w oczy.

– Nie powiemy o czym? – zapytała Tara. Oczy Bay zamigotały i Lily zrozumiała, że jej przyjaciółka już się domyśla. Tara tymczasem ponagliła ją: – Musimy obiecać, że nie powiemy nikomu o czym, Lily?

– Mam córkę – oświadczyła cicho.

– Och, Lily! – wykrzyknęła Bay. – To cudownie!

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznacie. Na razie wysłałam ją do Rhode Island, tam, gdzie nie znajdzie jej Edward.

– To dobrze. – Tara nareszcie otrząsnęła się z szoku.

– Masz całkowite prawo trzymać ją od niego z daleka. Jak ona ma na imię?

– Rose.

Bay uśmiechnęła się szeroko.

– Wspaniałe imię!

Lily skinęła głową.

– Nazwałam ją tak w hołdzie dla babci. Tak bardzo tęskniłam za nią i jej ogrodem...

– Czy ona wie?...

Lily potaknęła.

– Zaraz po narodzinach Rose zatelefonowałam do niej do domu mojego krewnego w Providence. Nie chciałam dzwonić do niej bezpośrednio, bo nie wiedziałam, czy telefon nie jest na podsłuchu. Ten krewny obchodził właśnie siedemdziesiąte urodziny i wyprawiał przyjęcie, które zaplanowano do najdrobniejszego szczegółu z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Miałam więc pewność, że zastanę u niego babcię. W końcu to był jej jedyny brat.

– Taka wiadomość musiała wytrącić Maeve z równowagi – zauważyła Bay. – Wiedzieć, że ma się prawnuczkę, i nie móc...

– ...jej ani zobaczyć, ani poznać w jakikolwiek inny sposób – dokończyła za przyjaciółkę Lily. – Często się zastanawiam, jak babcia się z tym czuła. Na pewno było jej bardzo ciężko...

– Nam wszystkim było bardzo ciężko – rzekła Bay, zaciskając mocniej palce na dłoni Lily i zaglądając jej w oczy, jakby wciąż od nowa potrzebowała dowodu, że jej dawno zaginiona przyjaciółka naprawdę stoi obok niej we własnej osobie.

– Nikt nie chciał wierzyć, że umarłaś. Nie dopuszczaliśmy do siebie takiej myśli.

– Czuwaliśmy przy świecach – dodała Tara. – Molo zdawało się od nich płonąć. Na plaży zebrał się prawdziwy tłum. Noc była wtedy ciepła, wyjątkowo przyjemna... – oczyma wyobraźni wróciła do wspomnień sprzed lat. – Poszukiwania trwały już którąś z rzędu dobę, ochotnicy byli wycieńczeni, powoli zaczęli tracić nadzieję...

– Tak mi przykro – szepnęła Lily, próbując wyobrazić sobie, na co naraziła swoich bliskich.

– Maeve wygłosiła przemówienie – ciągnęła Tara. – To było wspaniałe czuwanie. Wiem, że to śmieszne, ale żałowałam wtedy, że ciebie z nami nie ma. Że nigdy się nie dowiesz, jak bardzo cię wszyscy kochaliśmy...

– Każdy trzymał w ręku świeczkę – opowiadała dalej Bay – i wszyscy wypatrywali Maeve. Pamiętam, że wyłoniła się nagle z ciemności ubrana w długą zwiewną suknię. Nie od razu ją zauważyliśmy, bo przez jakiś czas pozostawała na tle żółtego domku i ten kremowy szyfon zlewał się z nim w jedno. Dopiero po dłuższej chwili, chyba dopiero kiedy weszła na molo, skojarzyłam, że to ta sama staromodna sukienka, którą miała na twoim weselu.

Lily niemal poczuła chłodny, śliski dotyk szyfonu.

– Oczy miała czerwone jak królik – kontynuowała Bay.

– Z pewnością przepłakała wiele godzin, jak każdego dnia w tamtym czasie. Towarzyszyła jej Clara. Wszystkie twoje przyjaciółki z plaży otoczyły ją kręgiem. Ja stałam najbliżej i Mar... to znaczy, Lily... słyszałam, jak cichutko zawodzi, jakby zgubiła własne serce i przyszła na brzeg oceanu szukać go pośród fal. W pewnym momencie zaczęła płakać otwarcie, a ja pomyślałam, że morze zaraz wystąpi z brzegów i czeka nas potop.

– Tak bardzo żałuję, że naraziłam ją na tyle bólu – wyszeptała zmartwiałymi wargami Lily. Wiedziała, iż jej babcia płakała nie dlatego, że miała ją za martwą, lecz ponieważ była przekonana, że nie zobaczy ukochanej wnuczki nigdy więcej.

– Nagle ktoś musiał dać sygnał. Do dziś nie wiem, kto to był... W każdym razie w pewnej chwili została zapalona pierwsza świeczka, a po niej następne. W ciągu paru minut molo i plaża stały się oceanem światła. Nad naszymi głowami migotały niezliczone gwiazdy...

– Maeve wspięła się na jedną z tych białych ławek, które były rozstawione w nierównych odstępach na całym molo – dodała Tara po chwili wypełnionej ciszą. – Bay i ja stałyśmy tuż przy niej, aby ochronić ją przed upadkiem. Sądziłyśmy, że zbiera się w sobie, aby poprosić wszystkich, żeby nie przestawali cię szukać, żeby się nie poddawali, ale ona jak zwykle nas zaskoczyła. Milcząc, wpatrywała się w przestrzeń ponad głowami tłumu.

– Nagle – podjęła opowieść Bay – zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Było słyhać tylko ciężki oddech twojej babci i plusk fal rozbijających się o brzeg. Wszyscyśmy czekali, co powie.

– Dotąd pamiętam jej słowa – odezwała się znów Tara. – „Jesteście tutaj dlatego, że kochacie Marę tak samo silnie jak ja. Moja wnuczka to dobra i

słodka istota. Zasluguje na miłość, a nie na...". Głos jej się załamał i nic więcej nie usłyszeliśmy. Razem z Bay pomogłyśmy jej zejść z ławki i zaprowadziłyśmy ją przez molo, plażę i mostek do domu.

Wszystkie trzy kobiety milczały przez parę chwil, aż Bay przerwała dźwięczącą ciszę.

– Edward musiał się wściec, kiedy się dowiedział, że wróciłaś. Wiedziałaś, że dołożył starań, aby oficjalnie uznano cię za zmarłą? A do tego doprowadził do unieważnienia małżeństwa?

– Obawiam się, że spodziewał się mego powrotu – powiedziała cicho Lily.

– Jak to?

– Co masz na myśli?

Lily powiodła wzrokiem po twarzach przyjaciółek.

– Sądzę, że to on skrzywdził Maeve.

– Ale dlaczego właśnie teraz? – zdziwiła się Tara.

– Edward jest cierpliwy – wyjaśniła Lily. – Można powiedzieć, że wyspecjalizował się w czekaniu. Moim zdaniem przez cały ten czas zamierzał jakoś ukarać Maeve, i to nie tylko za to, że opowiadała o nim różne rzeczy. Największym przewinieniem babci, w oczach Edwarda oczywiście, było to, że przejrzała go. Poznała się na nim pierwsza.

– Nie martw się, nie pozwolimy, żeby cię skrzywdził – zapewniła ją Tara.

– Będziemy na zmianę mieszkać z tobą i jedna z nas zawsze będzie przy tobie. Ten drań już nigdy nie tknie cię choćby małym palcem.

– Danny i Joe nam pomogą – dorzuciła Bay, mówiąc o ich mężach.

– Nie musicie aż tak się mną kłopotać – zaprotestowała Lily, w duchu jednak poczuła wielką ulgę.

– Dość się namieszał – warknęła Tara. Jej oczy miały błyskawice. – Przez niego ucierpiało tyle osób...

– To prawda – zgodziła się z przyjaciółką Lily. – Kiedy mieszkałam w Cape Hawk, poznałam tam kogoś, kto go zna równie dobrze jak ja. Jego drugą żonę. Kobieta, z którą się związał po moim zniknięciu.

– Poznałaś ją? – zdumiała się Tara. – Jak? Chyba nas nie okłamujesz?

– Ironia losu chciała, że za sprawą Edwarda, chociaż on oczywiście nic o tym nie wiedział. Mógł jej kazać mówić na siebie Ted, ale ja od razu go rozpoznałam z opisu. Bardzośmy się polubiły, nawiasem mówiąc.

– Cieszę się, że nie byłaś tam zupełnie sama – odetchnęła Bay. – Zmierzenie się z czymś takim w pojedynkę przerasta możliwości nawet najsilniejszego człowieka.

– Cape Hawk to wspaniałe miejsce – powiedziała Lily i dodała szybko: – Oczywiście tęskniłam za wami okrutnie i bez przerwy śniłam o Hubbard's Point, ale tam, na północy, jest tyle mądrych kobiet... Marisa i ja miałyśmy wiele szczęścia, że trafiłyśmy właśnie tam.

W gardle ją zadrapało, więc urwała i wyjrzała przez okno, chłonąc widok róż opierających się główkami o moskitierę. Za nimi, w oddali, połyskiwała błękitna powierzchnia cieśniny Long Island. Mewy krążyły w powietrzu, skrzecząc przeraźliwie, a w którymś momencie na wodzie pojawił się srebrzysty błysk. Lily natychmiast pomyślała o wielorybach z Cape Hawk, a szczególnie o Nanny, która tego lata zapuściła się tak daleko na południe. Przed oczyma stanęło jej urodzinowe przyjęcie Rose, które odbyło się na jednej z łodzi należących do rodziny Liama. Od tamtego czasu minęło zaledwie kilka tygodni.

Wtedy w powietrzu aż wibrowało od miłości. Rose otaczały jej najlepsze przyjaciółki, a ją – jej własne. Dziewczyny Nanouk stawiły się tłumnie, aby uczcić dziewiąte urodziny jednej z nich. Matki i córki wspólnie dodawały otuchy dziewczynce, która niebawem miała przejść kolejną trudną operację. Marisa wyznała tajemnice, których nigdy wcześniej przed nikim nie ujawniała. Lily długo tuliła ją w ramionach, zapewniając, że po deszczu zawsze przychodzi słońce.

Marisa uciekła od tego samego niebezpiecznego mężczyzny co ona. Lily bardzo by chciała, żeby jej przyjaciółka podtrzymała znajomość z Patrickiem. Nie miała bowiem wątpliwości co do tego, że między tymi dwójkiem zaiskrzyło od pierwszego spojrzenia. Do niedawna sama się bała, że nigdy już nikogo nie pokocha, jednakże Liam udowodnił jej, że wciąż jest zdolna do miłości. Życzyła Marisie z całego serca, aby i ona się o tym przekonała.

Od strony drogi dobiegł huk wystrzału gaźnika i Lily o mało nie wyskoczyła ze skóry. Ze zdwojoną mocą uderzył ją w nozdrza zapach róż dochodzący z ogrodu przez otwarte okna zabezpieczone tylko siatką. Wprawdzie powiedziała Marisie, że po deszczu przychodzi słońce, ale przecież nie mogła mieć co do tego stuprocentowej pewności. Lily zastanowiła się z drżeniem, gdzie teraz przebywa Edward, czy już ją obserwuje, planując powrót do jej życia. Jakby wyczuwając niepokój przyjaciółki, Bay schwyciła ją za rękę.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała.

– Edward potrafi wyczekać na odpowiedni moment – szepnęła Lily.

– Ale my jesteśmy od niego sprytniejsze i cierpliwsze – zapewniła ją

Tara.



W ciszy, która zaległa, dawało się słyszeć wyłącznie tykanie zegara wiszącego na ścianie w kuchni. W tej ciszy Lily pomyślała, że pragnie, aby przyjaciółki stały przy niej murem, kiedy Edward znów się pojawi na horyzoncie.

TTLR

## ROZDZIAŁ 6

Futerał skrywający skrzypce znajdował się w głębi schowka w holu, za stertą walizek i kupą nieużywanych teraz zimowych butów. Próbując się do niego dostać, Marisa straciła pudło z rękawiczkami stojące na najwyższej półce i nabiła sobie guza na skroni, próbując zrobić unik i oszczędzić ciemię przed kolizją z twardym i ciężkim kartonem. Ale w końcu trzymała w rękach futerał ze świńskiej skóry i ścierała z niego kurz biało-czerwoną rękawiczką z jednym palcem, która wpadła jej w ręce.

Dłonie lekko jej się trzęsły, kiedy odsuwała blaszany haczyk i otwierała wieko. Z drzeniem serca spojrzała na instrument. Miała go od niepamiętnych czasów – i było to widać. Niegdyś gładkie i błyszczące drewno uległo w wielu miejscach zarysowaniom i zmatowieniu, a szyjka – mniej więcej w połowie długości – pękła. Wyjmując skrzypce z kokonu, w którym przeleżały nie tak znów mało lat, Marisa pieśczośliwym gestem przejechała ręką po pudle.

Och, jakże tęskniła za tym dotykiem. Pociągnęła palcem wskazującym za struny, uwalniając cztery brzdęki – każdy w innej tonacji – i rozpoczęła strojenie ze słuchu.

Znów zapragnęła ująć smyczek w dłoń, kiedy klientka w sklepie pokazała jej swoją gitarę. Szczerze powiedziawszy, walczyła z tą pokusą od początku lata, odkąd Jessica zaczęła zadawać pytania na temat tego, gdzie podziewa się muzyka, której dźwięków nikt nie wydobywa z instrumentów.

Marisa przestała grać na skrzypcach, gdy jeszcze żyła z Tedem. Nie od razu wszelako. Z początku udawał, że lubi słuchać jej gry, a nawet prosił, by podczas ćwiczeń grała określone melodie. Jednakże po krótkim czasie ilekroć sięgała po skrzypce, mówił, że boli go głowa albo musi się skupić bądź też nie

słyszcy własnych myśli. Kiedy użył słów „w tym jazgocie”, zarzuciła granie zupełnie.

Jej miłość do muzyki w ogóle, a do muzyki skrzypiec w szczególności sięgała czasów o wiele wcześniejszych aniżeli te, w których poznała Teda. Uczyć się gry na skrzypcach zaczęła już w czwartej klasie szkoły podstawowej. Uwielbiała czuć napięte struny pod opuszkami palców i smyczkiem wydobywać z nich dźwięki. Ledwie skończyła ćwiczyć gamy, przeszła do tradycyjnej pieśni angielskiej zatytułowanej „Over the Hills”, która stała się jej i Samantha popisowym numerem.

Teraz także zagrała tę melodię, czując, jak w oczach wzbierają jej łzy. Ona i Samantha. Tyle je poróżniło w ostatnich paru latach. Największy problem z niesnaskami pomiędzy bliskimi sobie osobami polega na tym, że im więcej czasu upływa, tym trudniej zaleczyć zranione uczucia i doprowadzić do zgody.

Muzyka wróciła do niej, jakby Marisa nigdy jej nie zdradziła. Wygrywała jedną po drugiej wszystkie melodie, które wraz z Samantha mozolnie godzinami ćwiczyła w pierwszych latach nauki: „Mary Had a Little Lamb”, „London Bridge Is Falling Down”, „Twinkle Twinkle Little Star”, „Row Row Row Your Boat”. To sprawiło, że nieomal potrafiła uwierzyć, iż Samantha jest przy niej i zachęca ją do dalszego wysiłku.

Zabierając się do III Koncertu skrzypcowego G–dur Wolfganga Amadeusza Mozarta, przypomniała sobie, jak wielki podziw żywiła dla swej siostrzyczki, która wygrywała nowe, coraz trudniejsze melodie, jakby sama je stworzyła. Samantha wykazywała talent muzyczny, jeszcze zanim zaczęły grać na skrzypcach: nim nauczyła się mówić, już potrafiła śpiewać. Obie dziewczynki miały wspólną sypialnię i Marisa zasypiała do wtóru nuconych

przez siostrę piosenek. „Ja, ja, ja, ja” – wydawała z siebie idealne dźwięki bez jednej fałszywej nuty.

Marisa wprost nie mogła się doczekać, kiedy Samantha zacznie chodzić i mówić. Kiedy to się wreszcie stało, dziewczynki śpiewały unisono, wymyślały zabawy, w których znaczącą rolę odgrywała muzyka, pisały teksty piosenek z myślą o rodzicach i sobie nawzajem. Jednakże to Sam miała głos anioła i potrafiła grać bezbłędnie na wszystkim, co jej wpadło w ręce. W wieku czterech lat umiała zagrać na pianinie melodię, którą usłyszała tylko raz. Choć Marisa początkowo była jej przewodniczką w świecie muzyki, rychło zamieniły się rolami. Teraz to Samantha wodziła rej.

Marisa i Sam siadywały na tylnym ganku i ćwiczyły w promieniach księżycy; zdawało się, iż sprawia im to tyle przyjemności, że mogłyby tak siedzieć do białego rana, byle tylko pozostać razem. Smyczki śmigają po strunach, jakby kierowała nimi jedna ręka, a Marisa myślała w duchu, jak to dobrze mieć siostrę, która lubi robić to samo co ona.

– Możemy tak grać do końca życia – powiedziała Marisa, kiedy miała dziewięć lat. Nazywała się wtedy Patty.

– Co masz dokładnie na myśli? – zacięła się Sam.

– Nauczmy się grać jak najwięcej melodii. Wtedy będziemy nie do zastąpienia, bo nikt inny nie będzie znał tych samych piosenek co my. W ten sposób będziemy mogły razem grać, aż się zestarzejemy i umrzemy.

– A co będzie, jeśli wcześniej rozjedziemy się w różne strony, jak czasem się zdarza z rodzeństwem? – zapytała Sam.

– Nie opowiadaj głupstw! – fuknęła na nią Patty. – Zawsze będziemy razem.

– Ale przecież siostry nie zawsze mieszkają w tym samym mieście – upierała się Sam.

– Skoro tak – Patty zmarszczyła czoło – musimy zawrzeć pakt. Jeżeli kiedykolwiek się rozdzielimy, każdego lata będziemy do siebie przyjeżdżać, żeby móc grać na skrzypcach.

– Obiecujesz?

– Obiecuję – odparła Patty i dziewczynki wymieniły silny uścisk dłoni, za świadka mając księżyc w pełni.

Przez długi, długi czas nie musiały pamiętać o przyrzeczeniu. Były sobie bardzo bliskie i nie zdarzyło się lato – ani żadna inna pora roku – by nie pozostawały na wyciągnięcie ręki. Najtrudniejszy dla Marisy był pierwszy rok szkoły pielęgniarstwa, ponieważ Samantha chodziła wtedy jeszcze do liceum. Ale gdy tylko stało się to możliwe, młodsza siostra poszła w ślady starszej i również zapisała się do szkoły dla pielęgniarek.

Czesne było wysokie, toteż dziewczęta uczyły się pilnie przez cały tydzień, aby w weekend móc grać po irlandzkich barach, czym zarabiały na opłacenie szkoły i drobne wydatki. Występowały w pubie Molly Maguire, w „Blarney Stone” „Galway Bay” i „U Morana”. Za widownię miały najczęściej młodych ludzi o błyszczących entuzjazmem oczach i otwartych sercach, którzy śpiewali z nimi i przytupywali do rytmu, wznosząc toasty za utalentowane siostry.

Nazwały się Upadłymi Aniołami, ponieważ uważały, że realniejsze i bardziej zabawne jest być grzesznikiem niż świętym. W głębi ducha Marisa uważała, że Samantha jest prawdziwym aniołem. Była taka bystra i miła, zawsze skora do pomocy. W szkole i w pracy tak wiele dawała z siebie pacjentom, którymi się opiekowała, że potrzebowała tych weekendowych

występów, aby oczyścić serce i umysł z bólu nagromadzonego podczas prób udzielenia pomocy każdemu, kto tego wymagał. Zazwyczaj na scenie były tylko one; pozostali usuwali się w cień, pławiąc się w anielskiej muzyce.

Po jakimś czasie, gdy już skończyły szkołę i odpracowały swoje w klinice w Baltimore, zrobiły sobie wakacje. Pojechały do Paryża. Całe jedno popołudnie spędziły, pijąc wino w winiarni nad Sekwaną w okolicach Pont de l'Alma. Do stolika obok nich przysiadł się mężczyzna. Był potężnie zbudowany i ładnie opalony, miał krótki kucyk z ciemnych włosów i przylegające do twarzy przeciwsłoneczne okulary. Jego tors okrywał skórzany bezrękawnik ujawniający silnie umięśnione barki. Zdawał się mocarny jak siłacz. Nazywał się Bono.

Obie siostry z mety się w nim zakochały. Postawiły mu drinka. Potem on zamówił całą butelkę. Zaczęli rozmawiać. Choć były we Francji, a nie w Irlandii ani nawet w Stanach, czuły się jak w domu. Padło wiele słów, serca i dusze zostały odsłonięte, wino lało się strumieniem. Kiedy Bono zapalił papierosa, Samantha zrobiła to samo, żeby dotrzymać mu kroku. Bono przed chwilą powiedział, że jest pod wrażeniem jej pragnienia, aby zostać pielęgniarką pracującą przy ONZ.

Wznosili toasty za biednych i bogatych, za Irlandię i Amerykę, Dublin, Baltimore, Elvisa, muzykę, poezję, seks, rocka i wszystkie upadłe anioły tego świata.

– Za Matkę Bożą, Maryję Pannę – zahuczał w którymś momencie Bono, uderzając swoją szklanką najpierw o kieliszek Samantha, a potem Patty.

– Ona ma na drugie Maria – powiedziała Samantha, wskazując na siostrę.

– Powinnaś mieć tak na pierwsze – obwieścił Bono. – Maria albo jakoś podobnie... Maureen, Muire, Maura, Marisa...

Samantha klasnęła w dłonie.

– Tak będę cię odtąd nazywać. Marisa. Koniec z Patty!

Wiele lat później, kiedy porzucała swoje stare życie, uciekając od przeszłości, przyjęła to imię za swoje. Na dobre została Marisą.

Późnym wieczorem Bono potrząsnął ich dłońmi. Pachniał dymem papierosowym, piżmem, skórą i Saint-Emilion. Opuszki palców miał stwardniałe – po tym rozpoznawało się zagorzałych gitarzystów.

– Chcę zawsze o nim pamiętać – westchnęła Sam, uśmiechając się do widmowych świateł rozjaśniających Sekwanę i cały Paryż, podczas gdy Bono odchodził w noc. Chwila wydawała się im obu magiczna, jak gdyby powołały ją do życia samą siłą woli.

– Kiedy mówiłaś o tym, że chcesz zostać pielęgniarzką przy ONZ-ecie – zauważyła Marisa – miałaś całkiem poważną minę.

– Bo naprawdę tego pragnę. – Samantha przytuliła mocno siostrę. – Ale nie mogłabym cię zostawić, żeby podróżować z misjami po świecie. Za bardzo bym tęskniła.

Życie pokazało, że to Marisa miała pierwsza opuścić rodzinne gniazdo. Do tamtej pory obie pracowały w Baltimore, a Samancie udawało się od czasu do czasu wyjeżdżać z ONZ-owską misją za granicę, jednakże zawsze na krótko i nie częściej niż dwa razy do roku. Dalej też grywały w kawiarniach i piwiarniach Baltimore – aż do chwili, kiedy Marisa wyszła za mąż i wyjechała do Bostonu. Dopiero wtedy wspólny dotychczas szeregowy domek niedaleko zatoki przeszedł w wyłączne użytkowanie Samantha (pod warunkiem że akurat była na miejscu).

Trzymając skrzypce przy piersi, Marisa pomyślała, z jaką łatwością przyszło im dotrzymać złożonej w dzieciństwie obietnicy. Każdego lata

udawało im się znaleźć czas, by zagrać razem i odnowić łączące je więzi. Samantha przepadała za pierwszym mężem Marisy, a kiedy została ciotką, wprost nie posiadała się ze szczęścia. Marisa czuła, że dzięki pojawieniu się jej córeczki nikt i nic nie będzie w stanie zagrozić miłości pomiędzy siostrami.

– To było ładne, mamó – powiedziała Jessica, wróciwszy z ogrodu i zastawszy matkę z zamyśloną miną. – Co to?

– Mozart – odrzekła Marisa.

– Nie brzmiało jak zwykle rzępolenie na skrzypkach.

– Może dlatego, że to był koncert skrzypcowy. Jessica uśmiechnęła się od ucha do ucha. Była przeszczęśliwa, że jej matka znowu zaczęła grać. Marisa poczuła w piersi ukłucie.

– A po czym poznaje się różnicę? – zapytała dziewczynka.

– Jess, przecież wiesz...

Jessica skinęła głową i z trudem powstrzymała płacz. Ciocia Sam wiele ją nauczyła, jeśli chodzi o muzykę.

– Instrument jest niby ten sam, ale wszystko zależy od tego, jak się na nim gra – wyjaśniła Marisa.

– Skrzypce przemawiają do umysłu człowieka, a skrzypki do jego serca – dodało dziecko, ale Marisa gotowa była przysiąc, że usłyszała głos dorosłej kobiety. Jej siostra uwielbiała cytować ich nauczycielkę z Baltimore, niejaką pannę Tilly Lonergan. – Skrzypce mają struny, a skrzypki powrózki – ciągnęła Jessica. – Na skrzypcach gra się siedząc, a na skrzypkach stojąc... – Te śmieszne różnice na ogół wywoływały na twarzy dziewczynki uśmiech, tym razem jednak jej wargi wygięły się w podkówkę.

– Och, kochanie...

– Mamusiu... Czemu ciocia Sam do nas nie przyjeżdża?



– Ponieważ jest na mnie zła – powiedziała Marisa i przyciągnęła córkę do siebie. Dziewczynka załkała i wtuliła się w jej biust. Próbując pocieszyć Jessicę, starając się jej jakoś pomóc, nieomal żałowała, że wyciągnęła futerał ze skrzypcami z najciemniejszego zakamarka szafy w holu. – Ciocia jest zła na mnie, nie na ciebie... – mówiła Marisa. – Nawet przez chwilę nie myśl, że to twoja wina.

– Ale przecież nie potrafię sprawić, żeby zapomniała, co się stało! – płakała dziewczynka. – Gdybym umiała, gdybym była wystarczającym powodem, żeby ci wybaczyła, byłaby tutaj z nami teraz.

Serce Marisy zaczęło bić jak szalone. Złościć się na nią to jedno, ale ranić przy tym istotę tak niewinną jak jej córka to zupełnie inna sprawa. Wyszepiała coś o tym, że wszystko dobre, co się dobrze kończy, i że ciocia Sam na pewno się odezwie – zatelefonuje albo napisze – jak tylko wróci do kraju. Na zewnątrz udawała spokój, w środku jednak cała aż się trzęsła. W jakiś sposób muszę uświadomić siostrze, że krzywdzi Jessicę.

Dziewczynka tymczasem oswobodziła się z uścisku matki i ująwszy najpierw skrzypce, a potem smyczek, wyciągnęła obie ręce przed siebie. Marisa dostrzegła w jej oczach niemą prośbę. Doskonale wiedziała, że muzyka zawsze wpływała na jej córkę kojąco. Często razem z Samanthą grały Jessica po śmierci jej ojca.

– Co chciałabyś usłyszeć, skarbie? – zapytała więc.

– „Over the Hills” – padła natychmiastowa odpowiedź. Marisa знаła ją, nim jeszcze słowa opuściły buzię dziecka.

Zawiesiła smyczek nad strunami i przeciągnęła nim, wydobywając z instrumentu słodką, sentymentalną melodię. Jessica przymknęła z błogości

oczy. Wydawała się taka krucha! Przez ułamek sekundy Marisie zdawało się, że w twarzyczce córki dostrzega rysy Samantha.

A jeśli stało się coś złego? – poraziła ją nagła myśl. Przecież Sam mogła mieć w Peru jakiś wypadek...

Wiedziała, że to irracjonalne, że podświadomie chwyta się sztuczek, ale prawdą było, iż podobnie jak Jessica nie potrafiła uwierzyć, że Sam odwróciła się od nich na dobre.

Przed oczyma stanął jej Patrick Murphy. Wydał jej się taki godny zaufania – niczym opoka – kiedy przybył do Cape Hawk minionego miesiąca. Wiedziała teraz, że przez wiele lat nie ustawał w wysiłkach, aby wpaść na jakikolwiek trop Lily. Może więc mogłaby do niego zadzwonić i poprosić, aby się zorientował, co się dzieje z Samantha. Ale czy zechce to dla niej zrobić?

Nie przestając grać i spoglądać na swoją córkę, zrozumiała, że musi spróbować.

Patrick Murphy prosto ze szpitala udał się na swoją łódź, z której pokładu obserwował, jak rybitwy polujące na małe rybki kołują nad wodą i nagle pikują w dół, żeby przebić smukłym ciałem powierzchnię. Pod nią aż roiło się od płotek. Patricka nie dziwiło, że jest ich pełno przy ujściu, ale jego łódka stała dobre dziesięć kilometrów w dół rzeki. Tam gdzie wymieszaniu ulegała woda morska ze słodką, panował prawdziwy raj zarówno dla ryb, jak i dla ptaków. Patrick aż wychylił się za burzę, żeby śledzić łowy wargacza, który sunął tuż pod powierzchnią, kłapiąc na wszystko, co się rusza. Kiedy zabrzączał jego telefon komórkowy, nawet nie spojrzął na wyświetlacz – tak był pochłonięty podziwianiem rybiego baletu – i wyłuskawszy aparat z kieszeni, od razu przyłożył go do ucha.

– Halo.

– To ty, Patricku?

Nie miał kłopotów z rozpoznaniem głosu, który rozległ się w słuchawce. Był doświadczonym gliną, mającym za sobą lata praktyki w identyfikowaniu osób, a zresztą ten ciepły głos wybitnie zapisał mu się w pamięci.

– Marisa – raczej stwierdził, niż zapytał.

Roześmiała się urywanym, nerwowym śmiechem, a on poczuł, jak włoski na jego ciele stają na sztorc.

– Tak – potwierdziła całkiem niepotrzebnie. – Poznałeś mnie tak łatwo? Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Proszę pani, jestem starym detektywem – odparł żartobliwie – płacą mi za to, żebym wszystko wiedział.

– Aha – zachichotała.

– Jak tam życie w Cape Hawk?

– U nas wszystko... mmm... dobrze.

Patrick nic nie mówił. Ze słuchawką przy uchu spoglądał na mewy zataczające coraz szersze kręgi. Czekał, żeby Marisa powiedziała coś jeszcze. Wyczuł w jej głosie jakby wahanie i zastanawiał się, jaka jest jego przyczyna. Kiedy się nie doczekał ciągu dalszego, zagaił:

– Z pewnością brakuje ci przyjaciół. Lily i Rose. No i Liama.

– Rozmawiałam z Lily przez telefon, ale fakt, bardzo za nią tęsknię. Bardziej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. – Zrobiła krótką pauzę. – Wygląda na to, że w tej chwili tęsknię niemal za wszystkimi...

Serce Patricka zaczęło bić żywiej. Czyżby Marisa mówiła o nim? Jeszcze w Cape Hawk obiecał sobie, że kiedy spotka się z nią następnym razem – albo gdy będą rozmawiali tak jak teraz przez telefon – rozegra to na spokojnie. Wiedział, że oddziałuje na niego w sposób, w jaki nie oddziaływała nań żadna

kobieta od czasu... hm... od czasu kiedy był z Sandrą. Czuł się przy niej całkowicie bezbronny. Cieszył się więc, że Marisa nie może zobaczyć jego czerwonej jak burak twarzy.

– Za wszystkimi?... – spytał słabo.

– Owszem – potaknęła. – A zwłaszcza za jedną osobą. Moją siostrą.

No tak. Patrick przywołał się do porządku i odchrząknął cicho. Marisa zatelefonowała do niego w oficjalnej sprawie.

– Czy twoja siostra zaginęła?

– Nie, tego bym nie powiedziała – zaprzeczyła szybko. – To znaczy, mam nadzieję, że tak się nie stało. Widzisz – wyjaśniała – ona jest pielęgniarką i jej praca wymaga licznych podróży po świecie. Ostatnio była w Peru, stamtąd też dostawałam od niej wiadomości. Chodzi o to, że zaprosiłam ją na festiwal muzyki celtyckiej, i...

– Prrr! Jedną chwileczkę! Na co ją zaprosiłaś?

– Na festiwal muzyki celtyckiej.

– Zatem nie przesłyszałem się!... – ucieszył się Patrick. – Nie zapominaj, że mam nazwisko Murphy. Słowa „muzyka” i „celtycka” sprawiają, że krew zaczyna mi żywiej krążyć w żyłach. No wiesz, irlandzkie geny... Zatem, wracając do tematu, zaprosiłaś swoją siostrę do Cape Hawk, a ona nie odpowiedziała?

– Mniej więcej tak to wygląda.

– Moim zdaniem anioły tak nie postępują. Nawet te upadłe.

– Pamiętasz... – szepnęła Marisa. Ona z kolei nie umiała zapomnieć, że to zachęty Patricka sprawiły, że znów zapragnęła zagrać na skrzypcach.

Zmrużył oczy i jął wodzić spojrzeniem za białymi i szarymi pociskami przecinającymi przejrzystą powierzchnię wody.

– Żaden Irlandczyk, który by usłyszał o tym zespole, nie puściłby go łatwo w niepamięć. A ja dodatkowo nie przestałem marzyć, że usłyszę was pewnego dnia... – W odtwarzaczu płyt kompaktowych miał jak zwykle CD z muzyką zespołu The Chieftains, pstryknął więc włącznik i lekko podkręcił głośność. – Ale kontynuujmy. Twoja siostra nie odpowiedziała na zaproszenie. Czy jesteście sobie bliskie? – jak rasowy gliniarz zadał następne pytanie.

– No więc... – Marisa zaczęła mówić, ale urwała.

– Wnioskuje z tego, że nie za bardzo?

– Och, byliśmy sobie niesłychanie bliskie. Ale potem ja wyszłam za Teda...

– Edward Hunter znowu uderza – rzucił z sarkazmem Patrick. Przed oczyma miał Marę i Maeve, dwie cudowne kobiety rozdzielone przez takiego dupka! – Co się wtedy między wami stało?

– Nie od dziś chciałabym to wiedzieć... – westchnęła. – Na pewno nie chodziło o jakąś jedną, konkretną rzecz. Myślę, że Samantha nie mogła znieść tego, że zdradzam siebie. Ona jest bardzo silna, zresztą ja także kiedyś taka byłam. Zostałyśmy pielęgniarzkami właśnie dlatego, że bez względu na trudy i przeciwności pragnęłyśmy pomagać chorym i biednym tego świata... – Gardło jej się ścisnęło i nie zdołała powiedzieć nic więcej.

Patrick poprawił w dłoni komórkę, żałując, że nie może pocieszyć Marisy, wziąć jej w ramiona, dodać otuchy i wiary w siebie. Aż nazbyt dobrze pamiętał jej zaszczute spojrzenie, takie samo, jakie nieraz widywał na twarzach innych kobiet, z którymi miał do czynienia w trakcie długiej służby jako stróż prawa.

– Osoby maltretowane zmieniają się – rzekł łagodnie. – Nie powinnaś się obwiniać. Czas sobie przebaczyć i żyć dalej.

– Wolałabym, aby to Samantha mi przebaczyła.  
– Być może ją odepchnęłaś... Coś takiego często się dzieje, kiedy...  
– Właśnie to jest najgorsze – wpadła mu w słowo. – Jessica tak bardzo kocha swoją ciotkę, a ja... ja mam wrażenie, że im dłuższe jest milczenie między nami, tym mniejsze mamy szanse na pojednanie.

– Martwisz się o nią? – Pytanie pozostało bez odpowiedzi, więc Patrick zaczął z innej beczki: – Gdzie ostatnio pojechała? Do Peru?

– Tak. Mieli bazę w górach i jeździli do rozsianych po dżungli wiosek.

– A pamiętasz, jak nazywa się organizacja, która ją tam wysłała?

– „Global Care”. Ma siedzibę w Baltimore, przy uczelni.

Patrick wyciągnął z kieszeni notes i zapisał uzyskane informacje.

– Jesteś pewna, że dotąd nie opuścili Peru?

– Na sto procent. Ostatni mail, który od niej dostałam, został wysłany z Peru. Informowała w nim wszystkich swoich znajomych, że zwijają obóz i przenoszą się w inny rejon kraju.

– Jak twoja siostra dokładnie się nazywa? Co ma napisane w paszporcie?

– Samantha Joan Mahon.

– Chcesz, żebym zadzwonił do paru znajomych związanych z czymś w rodzaju Interpolu? Mogliby pomóc nam ją namierzyć.

– Mówisz serio?

– Oczywiście.

Marisa milczała przez długą chwilę. Zmagala się z samotnością swoją i Jessiki, z pragnieniem odszukania Samantha za wszelką cenę, ale myślała także o tym, jak siostra by zareagowała na podjęte przez nią próby nawiązania kontaktu.

– Nie wydaje mi się, żeby Sam była tym zachwycona – powiedziała wolno. – Wiem, że czasem bardzo ciężko jest uzyskać pozwolenie na przebywanie na terenie danego kraju. Jeszcze trudniejsze bywa dotarcie w rejony, w których ludzie naprawdę potrzebują pomocy medycznej. Za nic nie chciałabym przysporzyć ich grupie kłopotów. Myślę, że lepiej będzie, jeśli uzbroję się w cierpliwość i zaczekam, aż Sam odezwie się do mnie z miejsca nowego postoj.

– Rozumiem cię – zapewnił ją Patrick. – Czy Sam odwiedziła cię już kiedyś w Cape Hawk?

– Nie. Ale wiem, że bardzo by się jej tutaj spodobało. Zwłaszcza teraz, kiedy odbywa się ten festiwal. Wyobrażam sobie, że chciałaby zobaczyć swoją siostrzenicę sprzedającą lemoniadę tuż przy scenie. To znaczy, dawna Sam na pewno nie przepuściłaby takiej okazji.

Patricka ogarnęła nagła tęsknota. Słyszał w głosie Marisy nieskrywaną miłość i wiedział, że uczyni wszystko, aby jej pomóc. Tam, w Cape Hawk, połączyło ich coś, czego nawet nie umiał nazwać słowami.

Przedłużającą się ciszę przerwała Marisa.

– Tak czy inaczej chciałabym ci podziękować, Patricku – powiedziała.

– Nie musisz dziękować – zaprotestował.

– Zagram ci coś. Naszą ulubioną melodię. Moją i Samantha. – Po tych słowach Patrick usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki i nie dający się pomylić z niczym innym dźwięk smyczka przeciągniętego po strunach. Wkrótce w eterze popłynęła najpiękniejsza melodia, jaką w życiu słyszał.

Patrick Murphy zamknął oczy. Pod nim kołysała się łódź. Jego świat drżał w posadach, odkąd rozwiedli się z Sandrą. Czasami myślał, że cała Ziemia zmieniła oś nachylenia względem ekliptyki i grozi mu zsuniecie się z

jej powierzchni w otchłań zimnego kosmosu. Jednakże teraz, nawet gdy „Nierozwiązana Sprawa” coraz silniej bujała się na falach, on zaczynał odnosić wrażenie, że nareszcie odzyskuje grunt pod nogami.

Muzyka przepelniała jego umysł i serce. Pragnął, by nigdy nie umilkła. Mógłby tak słuchać przez całą noc. Nuty wydobywane ze skrzypiec przez Marisę przywoływały wspomnienia wzgórz, klifów, skał i waleń w okolicy Cape Hawk. Zapalał nagle chęcią, by odpalić silnik i popłynąć na północ, przez kanał Cape Cod na otwarte wody, aż do Nowej Szkocji.

Musiał napominać się w duchu, powtarzać sobie, że Marisa po prostu wyraża swoją wdzięczność, a nie zaprasza go do siebie. Rozluźniał się coraz bardziej, podczas gdy dźwięki wypełniały mu uszy, ciało i duszę.

Mógłby przysiąc, że słyszy bicie jej serca. Było ono równie mocne jak jej wcześniejsze uczucia, niemal zwalające z nóg. Choć napawało go to obawą, poczuł rodzącą się na dnie duszy nadzieję. Nadzieję na co – tego nie umiałby dokładnie powiedzieć. Rozkoszował się muzyką i wiedział już, że nie ustanie w wysiłkach dopóty, dopóki nie przywiedzie Samantha do Cape Hawk, do siostry.



## *ROZDZIAŁ 7*

Letnia noc na Hubbard's Point – najbliższe błogostanowi przeżycie, jakiego większość ludzi może doświadczyć tutaj, na ziemi. Fale obmywały brzeg, świerszcze cykały w gęstych splecionych pnączach kapryfolium, a w nasyconym solą powietrzu unosił się upajający zapach róż, macierzanki i sasafrasu. Nad głową migotały miriady gwiazd, niżej zaś – pośród roślinności – błyskały światełka robaczków świętojańskich.

Lily siedziała na tylnym ganku owinięta kocem i przysłuchiwała się szumowi fal. Nerwy miała napięte jak postronki, toteż każdy najlżejszy nawet szmer podrywał ją na nogi. W oddali powoli gasły latarnie rozjaśniające cypel do późnych godzin wieczornych. Gdzieś nad mokradłami rozkrzyczał się lelek i wnet otrzymał równie przeraźliwą odpowiedź. Nawet przyroda sprawiała złowieszcze wrażenie, jak gdyby zło czaiło się w każdym cieniu. Lily nieomal pragnęła, aby Edward nareszcie się pojawił, ponieważ czekanie na jego pierwszy ruch dosłownie ją wykańczało.

Utkwiła spojrzenie w tafli wody i zamyśliła się. Czy Rose już smacznie śpi? Rozmawiała z córką przez telefon dobre parę godzin temu i usłyszała od niej, że Liam przeczytał jej już bajkę na dobranoc, ale ona wcale nie czuje się śpiąca.

Lily również nie chciało się spać. Kątem oka dostrzegła meteor przecinający aksamit nieba i wstrzymała oddech. Spadająca gwiazda! Odruchowo chciała przytulić Rose – i Liama – lecz ich tutaj nie było. Od trzech dni mieszkali w małym domku w Rhode Island. I tyle czasu Lily ich nie widziała.

Jak to wszystko w ogóle mogło się stać? Czy ludzkie życie składa się z nieprzewidywalnych, pozostających poza kontrolą, zdumiewających wydarzeń przypominających meteory? Czy może jednak jest w nim ukryty jakiś głębszy sens, jakiś wzór, który – gdyby tylko zdołała go rozszyfrować – wytłumaczyłby, dlaczego znajduje się w tym, a nie w innym miejscu? Jakkolwiek chciała postrzegać swoje życie, Edward wywarł na nie niebagatelny wpływ. Mimowolnie zaczęła się cofać w czasie do dnia, w którym go poznała. Kiedy wciąż nosiła imię Mara.

Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby była przymierającą głodem artystką, a nie odnoszącą sukcesy projektantką? Kto by pomyślał, że wymyślanie wzorów na haftowane obrazy, które następnie trafiały do modnych miejskich sklepów, przynosi pieniądze?... A jednak Edward nie miał co do tego wątpliwości.

Na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku Mara Jameson leciała z Providence do Waszyngtonu. Ivy, właściciel sklepu w Georgetown i zarazem jeden z jej najlepszych odbiorców, zaprosił ją na wigilijkę, podczas której miała poznać jego stałych klientów, a swoich fanów. Ponieważ była śnieżna zima, ponieważ zbliżały się święta, ponieważ czuła się przepracowana, a także dlatego, że babcia kazała jej o sobie dbać, wykorzystwała wylatane z linią lotniczą kilometry na bilet w pierwszej klasie i zarezerwowała pokój w hotelu „Hay-Adams”.

W trakcie lotu wpadli w turbulencje, ale Mara nie bała się o swoje życie. Ilekroć znajdowała się w samolocie, którym trzęsło, myślała o swoim ojcu. Był pilotem w czasie drugiej wojny światowej, bohaterem, który dwadzieścia pięć razy przebył kanał La Manche, by zrzucić bomby na hitlerowskie Niemcy. Bez

względu na pogodę, bez względu na ataki wroga. Po tym wszystkim co przeżył w powietrzu, zginął wiele lat później w katastrofie promu turystycznego, który wiozł jego i jego żonę do rodzinnej Irlandii. Mara miała wówczas cztery latka.

Dorastała w przekonaniu, że nie sposób przechytryć przeznaczenia. Nikt z nas nie wie, kiedy umrze. Trzeba się po prostu starać i pozostawać otwartym na to, co niesie życie. Strach w czasie lotu samolotem to zwykła strata sił i środków.

Podczas lądowania Mara zauważyła, że wszyscy pasażerowie siedzą sztywno, wstrzymując oddech – z wyjątkiem niej. Ona jakby nigdy nic wyciągała szyję i wyglądała przez okno. Czuła jednak w piersi ucisk. Poczucie pustki dzwoniło w niej i odbijało się echem, jak gdyby była dzwonem i dzwonnica w jednym. We wszystkich tkankach, kościach i nerwach czuła wibracje, kiedy samolot walczył z prądami powietrza napierającymi na jego dziób. Ktoś w równoległym rzędzie modlił się na głos.

Nagle samolotem zatrzęsło, jakby zaraz miał się rozpaść niczym model z plastiku. Jakaś kobieta krzyknęła wniebogłosy. Oczy Mary wezbrały łzami. Nie bała się śmierci. Nie знаła tego uczucia od dnia, w którym zginęli jej rodzice. Zdarzały się chwile, kiedy żałowała, że nie znalazła się wtedy na pokładzie promu razem z nimi, zamiast zostać w Connecticut pod opiekuńczymi skrzydłami babci.

Na jej życie składała się praca, hafciarstwo i babcia. Miała trzydzieści jeden lat i chyba ani razu nie była naprawdę zakochana. Po co się zakochiwać, skoro wszystko może się skończyć pewnego dnia podczas spokojnej przeprawy promowej na urlopie? Kiedy więc wysunięte z podwozia koła samolotu dotknęły wreszcie płyty lotniska (lądowanie bynajmniej nie było miękkie) i

pasażerowie zaczęli wiwatować, Mara Jameson po prostu sięgnęła po bagaż podręczny.

Pasażerowie pierwszej klasy opuścili pokład pierwsi. Wstając do wyjścia, zauważyła, że w kabinie klasy ekonomicznej ustawiała się kolejka. Na jej przedzie stał młody mężczyzna ubrany w tweedową sportową marynarkę. Mara poczuła na sobie jego wzrok i posłała mu przepaszające spojrzenie. Sądziła, że guzdrając się, opóźnia także innych. Następnie pośpiesznie wysiadła z samolotu.

W drzwiach pożegnali ją stewardzi i stewardesy oraz kapitan. Wszyscy byli wyraźnie wstrząśnięci niełatwym lotem. Ktoś zawołał za nią: „Mamy nadzieję, że spotkamy się znów na pokładzie naszych linii!”. Mara odwróciła się i odkrzyknęła: „Naturalnie!”. Czuła się wyprowadzona z równowagi nie przez turbulencje i twarde lądowanie, lecz przez emocjonalną burzę. Pomyślała nawet, że może powinna podjąć noworoczne postanowienie i odtąd bardziej otwierać się na ludzi.

Wciąż zatroskana ustawiała się w kolejce na postojach taksówek. Stojąc już na krawężniku i wypatrując następnego samochodu, zauważyła, że mężczyzna w tweedowej marynarce ociężale biegnie w jej stronę. Dostrzegła jego przysadzistą budowę ciała już wcześniej, w samolocie. Silne ramiona zdawały się rozpieierać gęsty splot materiału, z którego uszyto marynarkę. Teraz zastanowiła się, czy nie jest mu zimno bez wierzchniego okrycia. Neseser, który trzymał w ręce, wyglądał na mocno zdefasonowany, jak gdyby był w jego posiadaniu co najmniej od czasów liceum. Włosy miał brązowe i lekko kręcone, przycięte bardzo krótko. W oczy rzucił się jej jeszcze znaczek Uniwersytetu Harvarda przyklejony do bagażu. Wtedy odwróciła wzrok – nie lubiła chwali się, a nie

ulegało wątpliwości, że nieznajomy jest dumny z ukończenia prestiżowej uczelni.

W końcu taksówka podjechała i Mara wyciągnęła rękę, aby otworzyć drzwi w tej samej chwili, kiedy uczynił to mężczyzna. Oczy mu pociemniały i błysnęły, jakby zamierzał walczyć z nią o pierwszeństwo do taryfy. Bijąca z niego energia przestraszyła ją i Mara się cofnęła.

– Proszę bardzo – bąknęła.

– Może pojedziemy razem? – zaproponował, reflektując się.

– Raczej nie. Proszę się nie krępować.

– Nalegam. Dokąd panią podrzucić?

Jego oczy złagodniały, na twarzy zagościł promienny uśmiech. Teraz nieznajomy wydawał się Marze niegroźny, czarujący i beztroski. Nie zdziwiłaby się, gdyby zaraz zaoferował, że zabierze ją na szaloną wycieczkę po stolicy. Choć wciąż pamiętała pierwsze niekorzystne wrażenie, jakie na niej wywarł, ujął ją jego słodki uśmiech i bez cienia wątpliwości uwodzicielski ton głosu.

Mara uśmiechnęła się uprzejmie i podbiegła do drugiej taksówki, rzucając do kierowcy: – Hotel „Hay–Adams”, proszę – po czym wsiadła do środka tak szybko, jak to było możliwe, aby uciec od mężczyzny, który wciąż stał na chodniku z rozdziawionymi ustami, wyrazem zachwyty w szmaragdowych oczach i – tak, to nie przesada! – dłonią na sercu.

Po niezbyt długim kursie znalazła się w luksusowym hotelu oddzielonym od Białego Domu tylko Parkiem Prezydenckim. Wiedziała, że zatrzymali się tu kiedyś jej dziadkowie, i czuła opiekuńcze skrzydła babci, kiedy meldowała się przy wyłożonej marmurem recepcji, wjeżdżała na piętro windą o mahoniowej boazerii i przekraczała próg utrzymanego w żółciach pokoju, z którego

rozciągał się widok na ośnieżony park i panoramę siedziby prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ledwie zdążyła otworzyć walizkę, żeby wyjąć sukienkę i najnowsze wzory obrazów do haftowania, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

Wyrzała ostrożnie przez judasza i zobaczyła kogoś, kto trzymał przed sobą wielki bukiet czerwonych tulipanów. To pewnie babcia... – pomyślała i złapała za torebkę, aby dać chłopcu hotelowemu sowity napiwek.

– To pan – sapnęła, otworzywszy drzwi. Przed sobą miała młodego mężczyznę z samolotu i postoją dla taksówek.

– Musiałem ci je przynieść – powiedział. – Z nieba sypie się śnieg, a ty jesteś taka piękna... Pomyślałem, że takiej dziewczynie w taki dzień należą się czerwone tulipany.

– Ale skąd pan wiedział, gdzie mnie zastać?

– Moimi krokami kierowało Przeznaczenie – odparł, zaczynając ostatnie słowo wielką literą.

Mara uniosła brwi. Trzymała skrzydło drzwi lekko uchylone; ona była w środku, on stał na zewnątrz. Serce waliło jej jak młot, w ustach miała sucho. Czowała się po trosze przestraszona, a po trosze podniecona. Mężczyźni tak się nie zachowują, myślała. Może coś takiego jest na porządku dziennym w Paryżu czy Rzymie albo jakimś innym romantycznym miejscu na ziemi, ale z pewnością nie w Ameryce. Ktoś, kto zimą leci z Providence do Waszyngtonu, ma na głowie inne zmartwienia niż bukiet kwiatów.

– Nie wydaje mi się, żeby Przeznaczenie wiedziało, gdzie się zatrzymam – zauważyła.

– Samolot, burza śnieżna, parę tulipanów, ja i ty – zamruczał, szczerząc się łobuzersko, a zarazem poetycko.

– Hmm...

Wyrzała za drzwi, lustrując hol. Był całkowicie pusty. Gdyby nieznajomy miał złe zamiary, już dawno zablokowałby drzwi kolaniem i teraz wpychał się do środka. Jakby odczytując jej myśli, mężczyzna postąpił krok do tyłu.

– Bez względu na to, w jaki sposób Przeznaczenie przywiodło nas do siebie, wiem jedno – powiedział. – Tulipany są dla ciebie. – Znowu ten uśmiech! – Pójdę teraz do swojego pokoju i będę o tobie marzył.

– Do swojego pokoju? Zatrzymał się pan w tym samym hotelu co ja?

Skinął głową.

– Teraz już znasz mój sekret. Wysiadłem pod hotelem i znalazłem się we foyer akurat na czas, by zobaczyć, jak znikasz w windzie. Pomyślałem sobie: „Rany! Naprawdę szkoda, że nie wzięliśmy jednej taksówki”. Tyle zbiegów okoliczności: ten sam samolot, ta sama taksówka, ten sam hotel. W sumie trzy...

– A potem wskoczył pan do drugiej windy i odgadując, na którym piętrze się zatrzymam, wybrał odpowiedni przycisk?

– Nie. – Szmaragdowe oczy zalsniły. – Przekupiłem portiera. Głupio mi z tego powodu. Wiem, że może się to wydać nazbyt pochojne, ale od razu pobiegłem do kwiaciarni, wybrałem najpiękniejsze kwiaty, jakie mieli, i w te pędy wróciłem tutaj. Mówię szczerze, nie chciałem tracić ani minuty z czasu, który możemy spędzić razem.

Mara roześmiała się. Był zabawny – i bardzo przystojny. Miał ostre rysy, które przypominały jej młodego Cary'ego Granta, wyraziste oczy i mocno zarysowaną linię zuchwy. No i ten uśmiech! Lily do dziś pamiętała, że jej wargi w odpowiedzi same rozciągały się w szerokim uśmiechu. Wystarczyło

pięć minut w jego towarzystwie. A ludzie zawsze jej mówili, że jest nazbyt poważna, w czym mieli wiele racji.

– Pozwól zaprosić się na kolację.

– Ale przecież nawet nie znamy swoich imion – zaprotestowała.

– Ja nazywam się Edward Hunter – poinformował natychmiast.

– A ja jestem Mara Jameson – zrewanżowała się. – No to już wiemy, z kim mamy do czynienia!

Zaśmiała się ponownie. Wtedy wręczył jej bukiet, a ona włożyła nos w kwiaty i wciągnęła do płuc ich zapach. Tulipany pod koniec grudnia! pomyślała. Cóż za ekstrawagancja!

– No więc, Maro? Tyle trudu sobie zadałem. Proszę, zgódź się na kolację ze mną.

– Trudu?

Uśmiech rozjaśnił mu oczy. Edward Hunter podszedł bliżej. Czowała teraz jego oddech na swoim czole. Przyjechała do Waszyngtonu w interesach; była bardzo ambitna i zdeterminowana, aby odnieść sukces. Wahala się, bała powiedzieć „tak”, ale on wciąż patrzył na nią tymi roześmianymi oczami...

– Nie łam mi serca, Maro – rzekł, dotykając jej twarzy dłonią.

– Nie jestem dla ciebie dość ważna, abym mogła złamać ci serce – odparła nieswoim głosem, tonąc w jego szmaragdowym spojrzeniu.

– Nie bądź tego taka pewna! W życiu jeszcze nie kupiłem nikomu czerwonych tulipanów w środku zimy – powiedział i pocałował ją.

Pozwoliła się pocałować nieznanemu mężczyźnie dosłownie parę minut po tym, jak poznała jego nazwisko. Zaufała temu, co mówił, jego uśmiechowi, pełnym ciepła oczom, kwiatom, które jej podarował. Ile mogły



kosztować? Dziesięć dolarów, piętnaście? Myśląc o tym teraz, zastanawiała się, czy sprzedała swoje życie za cenę bukietu tulipanów poza sezonem.

Czy naprawdę zatrzymał się w hotelu czy tylko ją śledził? Tego nie wiedziała i nie liczyła, że kiedykolwiek się dowie. Doskonale jednak zdawała sobie sprawę z tego, iż miała na sobie kosztowny kaszmirowy płaszcz, kolczyki ze szmaragdami, a na szyi gruby złoty łańcuszek po dziadku, służący mu za dewizkę. Ubrała się tak, ponieważ chciała zrobić wrażenie na klientach Ivy'ego. Wyglądała jak zamożna dziewczyna z Nowej Anglii. No i kazała się zawieźć do jednego z najdroższych hoteli w mieście. Była pewna, że Edward usłyszał, jak podaje adres taksówkarzowi.

Wciąż tkwiąc na ławce za domem Maeve, Lily opatuliła się szczelniej kocem. Patrzyła na zatokę, na ścielące się na wodzie promienie księżyca. Jej pilnie dotąd strzeżone serce zmiękło pod czarem Edwarda Huntera, by wkrótce stwardnieć na kamień. Księżyc odbijał się w tafli wody, rozpryskując się na miliony światełek, kiedy nocny wiatr marszczył powierzchnię. Po tym co zrobił jej Edward, całkowicie zamknęła się w sobie. Nie było żadnych romansów, żadnego bujania w obłokach.

Jej miłość do Liama narastała powoli. Z każdym rokiem życia Rose stawała się głębsza i bardziej szczera. Lily nie pozwalała sobie jej poczuć ani w nią uwierzyć, aż w końcu nie mogła przed sobą ukrywać, że Liam zamieszkał w jej sercu. Gdyby zamiast krok po kroku odzierać je z kamiennych łusek, zamachnął się na nie kilofem swego uczucia, Lily mogłaby tego nie przeżyć. Jednakże on dał jej bardzo dużo czasu.

Trzy dni bez niego i bez Rose to było więcej, niż mogła znieść. Choć było już dobrze po północy, odrzuciła okrywający ją koc i wbiegła do domu. Tam zamieniła piżamę na dżinsy i koszulkę. Drżącymi rękoma odnalazła

klucze do drzwi frontowych i kluczyki samochodowe. Zamknąwszy za sobą drzwi, ruszyła w dół po stopniach.

Cypel zdawał się bezludny. Wszyscy sąsiedzi zażywali zasłużonego odpoczynku. Jej strażniczki – Tara i Bay – dotrzymywały jej towarzystwa wcześniej wieczorem i w końcu udały się do siebie, jako że Hunter się nie pokazał. Lily upewniła się, że ma w kieszeni odręcznie narysowaną mapkę z instrukcjami, i wsiadłszy do auta, skierowała się ku drodze międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć.

Opuściła okna i pogłośniła radio. Kiedy na antenie pojawiła się Bonnie Raitt, Lily zaczęła śpiewać razem z nią. Kilometry uciekały, powietrze na zewnątrz robiło się coraz chłodniejsze. Lily rzuciła okiem w lusterko wsteczne. Tuż za nią jechał ten sam samochód, który widziała, kiedy opuszczała Hubbard's Point. Poczowała ucisk w żołądku. Może jednak popełniła błąd? Co będzie, jeśli doprowadzi jakiegoś reportera – albo co gorsza Edwarda – prosto do Rose?

Jednakże zanim dojechała do New London, podejrzany wóz zniknął. Na drodze zaroilo się od ciężarówek, w czym nie było niczego dziwnego na tym odcinku. Lily sięgnęła po komórkę. Pomyślała, że powinna zawiadomić Liama o swoim przyjeździe. Zaraz jednak zmieniła zdanie. Było bardzo późno. Postanowiła, że pozwoli mu się wyspać, zanim wkrótce go obudzi – osobiście.

Podniecona myślą, że już niebawem zobaczy dwoje najbliższych jej ludzi, straciła czujność i nie zwróciła uwagi na nadal podążający za nią samochód, który schronił się za trzema czy czterema innymi autami. Nawet gdyby go jednak dostrzegła, nie umiałaby stwierdzić, czy ma do czynienia z przyjacielem czy wrogiem. Wóz trzymał się około pół kilometra za nią.

Liam przewracał się z boku na bok i miotał w pościeli od wielu godzin, kiedy jego uszu dobiegł odgłos kroków na ganku. Podparł się na łokciu i spojrzał w stronę drzwi małego domku, w którym dzięki uprzejmości Stanleyów zatrzymał się z Rose. Chociaż wcześniej wyłączył zewnętrzne światło, księżycowa poświata umożliwiła wypatrzenie ludzkiej sylwetki poruszającej się za oknem. Mimo że nie sposób było rozpoznać kto to, Liam poczuł pewność, że to ona.

Kiedy wstał z łóżka i otworzył drzwi, Lily stała na ganku zbitym z pomalowanych na biało desek. Jej ciemne włosy targał silny wiatr. Bez jednego słowa, dokładnie w tym samym momencie, wyciągnęli do siebie ręce i przytulili się mocno. Stali tak, kołysząc się w ciemności, przez wieczność. Czując ją przy sobie, pomyślał, że nareszcie jest w domu. I nie miało znaczenia, że znaleźli się w domu, w którym żadne z nich wcześniej nigdy nie było. Jego dom był tam, gdzie była Lily. Rozkoszował się dotykiem jej gładkich dłoni na plecach, kiedy wślizgnęła się pod jego T-shirt, i raz po raz składał na jej głowie pocałunek.

Oboje byli nieporadni w okazywaniu sobie uczuć. Liam wprawdzie kochał ją od dziewięciu lat – niemal od dnia, w którym się poznali, jednakże jeszcze do niedawna był zawsze powściągliwy, ostrożny, mający się na baczności. Lody uległy przełamaniu na początku lata, w trakcie wyprawy do Bostonu. Rose jechała wtedy na ostatnią z serii operacji mających uratować jej życie, ale Liam wiedział, że nie tylko ona potrzebuje ocalenia. Odtąd on i Lily nie mogli bez siebie żyć. Przeczuwał to już od jakiegoś czasu, wszakże teraz z każdym mijającym dniem upewniał się w swym przekonaniu.

- Nie mogłam dłużej wytrzymać bez ciebie i Rose...
- A nam było bardzo ciężko bez ciebie...

Odchyliła głowę do tyłu, żeby mógł ją pocałować w usta. Smakowała i słodko, i słono równocześnie. Kiedy znaleźli się w chacie, Lily nerwowym ruchem odsunęła kotary. Ze zmartwioną miną spoglądała w mrok.

– Coś się stało? – zapytał.

– Pewnie mi się przywidziało, ale kiedy opuszczałam Hubbard's Point, wyjechał za mną samochód...

– Wyjdę i sprawdzę – powiedział, lecz Lily złapała go za rękę, przyciągnęła do siebie i mocno pocałowała. Chciał ją wtedy podnieść i zanieść do łóżka, jednakże przyjrzał jej się dobrze, uśmiechnął i poprowadził przez domek do sypialni, w której spała Rose.

– Moja Rosie – szepnęła Lily ze łzami w oczach.

– Bardzo za tobą tęskniła, ale ma się świetnie – zapewnił ją.

Przyglądał się, jak Lily kuca, a potem klęka obok łóżeczka. Pocałowała córkę w czoło, po czym zerknęła na wyzierającą zza koszulki bliznę, aby sprawdzić, czy dobrze się goi. Następnie delikatnym gestem odciągnęła rękę Rose, ciasno przylegającą do mostka, jak gdyby dziewczynka broniła swego serca nawet przez sen. Rose nie obudziła się podczas tych zabiegów; posapywała tylko cichutko i uśmiechała się, jakby wyczuła obecność matki w swoich marzeniach sennych.

Kiedy po cichu przeszli do salonu, Lily przez chwilę chłonęła wygląd tego miejsca. Wodziła wzrokiem po steranych wiklinowych meblach, poduszkach obszytych wyblakłym perkalem, starych rycinach przedstawiających Zatokę Narragansett oraz cieśninę Block Island, na dłużej zatrzymała spojrzenie na teleskopie z obiektywem wycelowanym w zatokę i regałach bibliotecznych uginających się pod ciężarem licznych czasopism

fachowych i encyklopedii. Kiedy o miejscu będącym schronieniem dla jej córki dowiedziała się wystarczająco dużo, wtuliła się w pierś Liama.

Objął ją jedynym ramieniem. Kiedy ją pocałował, pod wargami wyczuł wilgoć i sól. Wyciągnęła ku niemu dłoń i musnęła jego twarz opuszkami palców. Pomyślał, że może chce porozmawiać, i sięgnął do włącznika światła, lecz powstrzymała go w pół ruchu, kładąc mu palec na ustach.

Przeszli do sypialni. Liam zawsze był bardzo opiekuńczy wobec Lily. Musiał być silny za nich oboje. Wiedział, ile ją kosztowała rozłąka z babcią, z Rose. Na pewno zamartwiała się o nie obie. Mimo to wewnątrz aż drżał z podniecenia. Przy Lily czuł się znów jak siedemnastolatek.

Zwłaszcza kiedy opierała się o niego tak jak teraz całym ciałem, przylegała doń biodrami, dyszała mu prosto w szyję. Jej pocałunki stawały się coraz bardziej drapieżne. Wszystko co robiła, mówiło mu, że nie może się go doczekać. Serce waliło mu w piersi jak szalone, toteż musiał się uspokajać w myślach i napominać, żeby z wrażenia nie zapomniał oddychać. Już ściągnęła mu przez głowę koszulkę, już błędziła palcami po jego nagiej skórze, wywołując dreszcz ekscytacji.

Tak wiele mieli sobie do powiedzenia, lecz ciała mówiły za nich. Żadne słowa nie wyraziłyby tego, co Liam czuł do Lily. Byli ze sobą całe życie – całe życie Rose. Ich wspólnym marzeniem było zachować ją w zdrowiu, chronić i zapewnić wspaniałą przyszłość. Serce Liama urosło za sprawą jego miłości do Lily i Rose. Dla nich był zdolny uczynić wszystko.

Właśnie to pragnął powiedzieć Lily – i powiedział. Swymi wargami, językiem, palcami, każdym fragmentem ciała i duszy. Tę noc spędzili razem i Liam czuł pewność, że nic nigdy nie zdoła ich rozdzielić.

– Nie chcę jechać – szepnęła do niego, kiedy leżeli spleceni pod prześcieradłem, obserwując, jak za oknem czerń powoli przechodzi w szarość i błękit, gdy słońce brało we władanie coraz większy skrawek nieba.

– I ja tego nie chcę – odszepnął, całując jej włosy.

– Nie zadzwonił ani nie pokazał się – powiedziała Lily. – To dziwne, myślałam, że natychmiast wyskoczy jak diabeł z pudełka, kiedy tylko usłyszy wiadomości w telewizji.

– Ponoć twój powrót wzbudził sensację. Ja tutaj nie włączam telewizora, żeby chronić Rose przed tym, co mogłaby usłyszeć, ale wiem od Stanleyów, że było sporo zamieszania w prasie i na wielu kanałach. Jesteś pewna, że to nie on jechał za tobą?

– Nie jestem pewna nawet tego, czy naprawdę był jakiś samochód – przyznała Lily. – Zrobiłam się strasznie nerwowa. Spodziewam się go w każdej chwili. Wiem, że tylko czeka na właściwy moment...

– Zdaję sobie sprawę, że przede wszystkim musimy bronić przed nim Rose, ale chciałbym, żebyśmy byli razem, bym mógł zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Najlepsze co możesz dla mnie zrobić, to zaopiekować się Rose. Ale ja też żałuję, że nie jesteśmy wszyscy razem w domu w Cape Hawk.

– Może powinniśmy tam wrócić na parę dni? – zaproponował. – Posłuchalibyśmy muzyki, to by nam na pewno dobrze zrobiło.

– Sza! – wycisnęła na jego ustach mokrego całusa. – Nawet mnie nie kuś! Wiesz przecież, że nie mogę zostawić babci.

– Wiem – westchnął.

Wstali i przeszli przez pokój, trzymając się za ręce. Liam zatrzymał się przy biurku. Na blacie spoczywały sterty książek i czasopism z prywatnej

biblioteki Johna Stanleya. Znalezienie archiwalnych egzemplarzy czasopisma „Copeia”, magazynu dla ichtiologów założonego jeszcze w dziewiętnastym stuleciu, poświęconego badaniu i ochronie rekinów, wzbudziło w nim zachwyty. Od razu pogrążył się w lekturze, starając się znaleźć wytłumaczenie fenomenu, który zaobserwował w ostatnich latach, a który dotyczył zbierania się narybku przy brzegu w niesłychanych wprost ilościach. Najchętniej natychmiast wróciłby do pracy.

Lily pociągnęła go w stronę drzwi. Stanęli na ganku i zgodnie zapatrzili się w niebo, na którym bledły gwiazdy. Świt zdawał się powiększać ocean, który teraz jakby nie miał granic. Nieboskłon z niknącymi punkcikami stanowił jego przedłużenie. W powietrzu wyraźnie widoczna była mgiełka z morskiej piany.

– Co to? – zapytała Lily, wskazując palcem przed siebie.

– Bioluminescencja – odparł Liam. – Niektóre morskie żyjątka potrafią wytwarzać światło.

– Przypomina zorzę polarną, tylko że pod wodą.

– I jest równie rzadkie.

– Czy to może mieć jakiś związek z pojawieniem się w tych wodach Nanny? – zaciekała się Lily.

Przyglądając się oceanowi, Liam rozumiał, czemu Lily wierzy, że białucha przybyła na południe aż z Nowej Szkocji. On również miał przecucie, że w zatoce pojawił się olbrzymich rozmiarów morski ssak bądź też inne stworzenie, chociaż wskazania jego komputera temu przeczyły.

Zeszli po stopniach i ruszyli w stronę wody. Szum fal narastał. Mimo że woda pieniała się u brzegu, pod powierzchnią można było dostrzec zarys

zwiewnych, niemal przezroczystych meduz i tysiące srebrzystych błysków, które musiały być małymi rybkami. Poruszały się z gracją wzdłuż linii brzegu.

– Ależ huk! – zauważyła Lily, nie umiejąc oderwać oczu od rozpościerającego się przed nią widoku.

– To z powodu Widmowych Wzgórz.

– Czego?

Liam, świeżo po lekturze starych wydań naukowego czasopisma, wyjaśnił:

– Pomiedzy nami a Block Island znajduje się rafa. Na ogół wszystko tutaj jest przewidywalne i obywa się bez niespodzianek, ale kiedy zbiegnie się parę czynników, zazwyczaj w środku sezonu huraganów, silne wiatry i prądy wywołują olbrzymie fale. Ktoś nazwał je Widmowymi Wzgórzami.

– Trafniejsze byłoby określenie „Galopujące Konie”.

– To prawda. Fale mogą sięgać wysokości dwudziestu metrów. Niesłychana siła. Chyba tylko surferzy je lubią. Wyjeżdżają za rafę na motorówkach albo ślizgaczach i mają używanie. Problem w tym, że kiedy pojawiają się Widmowe Wzgórze, przybywają też rekiny.

Lily przytuliła się do jego boku. Wiedziała, ile znaczą te zwierzęta w życiu Liama. Stali nad brzegiem, pozwalając, by kropelki słonej wody osiadały im na twarzach. Na plaży pachniało rybą – to dlatego, że w wodzie nagromadziło się tyle narybku. Tak działał ocean. Widmowe Wzgórze potrafiły zmienić ustalony raz na zawsze porządek i zakłócić łańcuch pokarmowy. Wraz z Golfsztromem napływały rozmaite żyjątka z południa, a Prąd Labradorski przyciągał gatunki normalnie występujące na północy.



– Czyli dlatego Nanny wyruszyła na południe – powiedziała w zamyśleniu Lily, ani na chwilę nie przestając wierzyć, że magiczny wieloryb podążył za nią i za jej córką.

– Niewykluczone – zgodził się z nią Liam. – Przynajmniej był to dla niej jeden z powodów. Mało który wielki morski ssak odmówiłby sobie uczty, jaką zapewniają tutaj te wielgachne fale.

– Rose uważa, że Nanny popłynęła za nami, aby nas chronić...

– To także może być prawda – rzekł z uśmiechem Liam. Pomyślał, że za nic nie pozwoli Lily odejść.

– Mam nadzieję, że Nanny jest bezpieczna – szepnęła Lily, spoglądając w stronę horyzontu ponad wzburzonym morzem. Hen, daleko nadpływający z północnego wschodu trałowiec dokonywał długiego, skomplikowanego i powolnego zwrotu.

Liam zmrużył oczy i przyglądał się dziwnie znajomemu kształtowi z natężoną uwagą.

– Robi się późno – odezwała się znów Lily. – Chcę spędzić trochę czasu z Rose, ale potem będę musiała wrócić do Hubbard's Point.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała – stwierdził Liam, przenosząc wzrok z ciemnej sylwetki statku na kobietę.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, mając za świadków ocean, gwiazdy i wstające słońce, jak gdyby wierzył, że jeśli tylko będzie trzymał ją wystarczająco mocno, nigdy nic złego jej się nie stanie. Że dzięki temu zawsze będą razem. Po długiej chwili odwrócili się i ruszyli z powrotem do malej chaty, żeby побыć z Rose tak długo, jak się da, zanim Lily będzie musiała sięść za kółkiem.

Liam żałował, że nie może zabronić jej powrotu do miejsca, z którym wiązała złe wspomnienia. Czuł się bardziej bezradny niż w obliczu mętnych wód, które pochłonęły na wieczność jego brata.

Patrick powstrzymał się od obdzwonienia swoich znajomych w Baltimore. Marisa wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie chce, aby szukał jej siostry, musiał więc uszanować tę prośbę. Jakkolwiek bardzo chciał zacząć działać.

W nocy zaczęła mu się śnić Północ. Widział znów strzeliste sosny rosnące na stromych klifach, gładkie jak szkło wody bezdennych zatok, przejrzyste błękitne niebo, złotookie rysie zamieszkujące w lasach, jastrzębie szybujące w powietrzu, a także Marisę.

W trzecią noc od ich rozmowy znowu mu się przyśniła. Szli na przełaj przez zaśnieżoną połąć, trzymając się za ręce, a potem kąpali się w lodowato zimnej wodzie, do której dostali się przez przerębel wycięty w lodzie. Woda robiła się coraz cieplejsza, im dłużej się całowali i dotykali...

Patrick jęknął i obudził się. Odrzucił przykrycie z wąskiej koi. Plecy i uda miał złane potem, serce chciało wyskoczyć mu z piersi. Przerzucił nogi za krawędź łóżka i usiadł. Oparł głowę na dłoniach. Flora, jego wierny czarny labrador, spoglądała na niego czujnie ze swego legowiska. – Umiesz tłumaczyć sny? – zapytał ją.

Pies uderzył kilka razy ogonem.

Noc była ciepła i spokojna. Patrick złapał butelkę wody i wyszedł na pokład. Na zewnątrz było chłodniej niż w kajucie. Usiadł w sterówce w samych bokserkach, pozwalając, by lekka bryza osuszyła jego spocone ciało. Wciąż przed oczyma miał sceny ze snu... Rozejrzał się wokół, jakby nie

dowierając, że jest w stanie Connecticut, sam na swojej bezpiecznie zacumowanej łódce, a nie daleko na północy w towarzystwie Marisy.

Popijał wodę, przy każdym łyku zadzierając głowę, aby przyjrzeć się niebu. Gwiazdy zdawały się maleńkimi dziurkami w aksamicie nieba, za którym ktoś zapalił potężną lampę. Patrick odnalazł na firmamencie Gwiazdę Polarną. O, tam jest... Zastanawiał się, czy gdyby ruszył na azymut w jej stronę, dotarłby do Marisy. Wystarczyło, żeby zwolnił cumy. Jego łódź była dość silna, aby udać się w morską wędrówkę.

Z westchnieniem odstawił butelkę i zszedł pod pokład. Położył się na koi i czekał, aż sen powróci. Przypomniało mu się, że kiedy był mały, babcia opowiadała mu historię o aniele, który szybował w nocy nad światem na swoich olbrzymich skrzydłach, chroniąc każdego, kto tego potrzebował, i pomagając odnaleźć drogę zagubionym. Staruszka wskazywała Drogę Mleczną i mówiła, że to co widzi, to cień tego właśnie anioła. Patrick bardzo by chciał, żeby jakiś anioł sprowadził do domu Samanthę.

– Co za bzdury! – warknął, obudzony rano. Anioły być może istnieją w głowach staruszek, ale policjant powinien wiedzieć, że jeżeli będzie siedział na tyłku beczynnym, nie na wiele się to zda.

Znalazł numer telefonu uczelni, o której mówiła Marisa, wybrał go i poprosił o połączenie z „Global Care”.

– Dzień dobry – powiedział, kiedy zgłosiła się jakaś kobieta. – Nazywam się Patrick Murphy.

– Tak?

– Dzwonię w sprawie pielęgniarki, która została wysłana przez waszą organizację do Peru.

– Czy jest pan z rodziny?

– Nie, nie jestem... – urwał i podrapał się po głowie. Zmartwiło go, że rozmówczyni nie wydaje się osobą, na której słowa „policjant na emeryturze” zrobią jakiegokolwiek wrażenie. Kiedy przed oczami stanęła mu twarz Marisy i Jessiki, wiedział już, co powinien zrobić. – Proszę posłuchać. Jestem detektywem policji stanu Connecticut.

– Ojej... czy coś się stało?

– Pielęgniarka, o którą pytam, nie ma żadnych kłopotów, jeśli o to pani chodzi – odpowiedział szybko, pamiętając, że Marisa mówiła mu, iż ta praca jest bardzo ważna dla Sam. – Próbuję się z nią skontaktować, ponieważ...

– Proszę pana – przerwała mu pracownica „Global Care” – nasza polityka jest taka, że nie rozpowiadamy na prawo i lewo o naszych ludziach. Proponuję, żeby napisał pan do nas list, który postaram się przekazać dalej...

– Bardzo pani dziękuję za dobre chęci – burknął Patrick – ale nie wydaje mi się, żeby to było konieczne.

Pora zabrać Floreę na poranny spacer. Wypuścił psa na brzeg i patrzył, jak zatacza coraz szersze kręgi wokół łodzi, wpadając do lasu i z niego wypadając. W myślach rozważał różne warianty. Mógł zadzwonić do Peru i próbować namierzyć grupę „Global Care”. Albo zatelefonować do swego starego znajomego, wciąż zatrudnionego w policji na terenie Baltimore, i upomnieć się o odwzajemnienie przysługi.

Nie pamiętał numeru, ale dość szybko go znalazł w starym notesie sprzed lat. Słuchając sygnału, spodziewał się, że zaraz usłyszy głos przyjaciela, ale odezwała się poczta głosowa: „Tu detektyw James Hanley, po sygnale zostaw wiadomość”.

– Cześć, Jim – zaczął. – Tu Pat Murphy. Kopę lat, co nie? Posłuchaj, zależy mi na uzyskaniu paru informacji na temat pewnej kobiety z Baltimore,

niejakiej Samantha Mahon... – Patrick rozgadał się. Pozostawił długą wiadomość o „Global Care”, misji w Peru, kobiecie zagubionej w środku dżungli i martwiącej się jej siostrze. Rozłączając się, zastanawiał się, kiedy kolega odsłucha pocztę głosową i do niego oddzwoni.

Miał nadzieję, że prędko. Marisie bardzo zależało na tym, aby odnaleźć siostrę. Jeżeli sprawa będzie się przeciągać, nie pozostanie mu nic innego, jak wsiąść w samolot i polecieć do Ameryki Południowej, żeby ją stamtąd przywieźć.

TTLR

## ROZDZIAŁ 8

Wracając z Rhode Island, Lily czuła się pełna energii, jakby krótkie spotkanie z Rose i Liamem podładowało jej akumulatory. Na nowo ogarnęła ją fala pożądania wobec mężczyzny, którego kochała, i miłości do córki, którą przyrzekła chronić za wszelką cenę. W porównaniu z siłą targających nią uczuć Widmowe Wzgórza powstające na oceanicznej rafie były niczym. Wciąż pamiętała chwilę, kiedy Rose otworzyła oczy i jej spojrzenie padło na siedzącą na skraju łóżka matkę. Wciąż słyszała echo pisku, który dziewczynka wydała, dając ujście swej radości.

Przejechała pod wiaduktem kolejowym, będącym swego rodzaju bramą do Hubbard's Point, i niemal od razu zobaczyła spacerowiczów zażywających z samego rana świeżego powietrza. Jedni kroczyli majestatycznie, przyglądając się scenerii i podziwiając zadbane ogródki, drudzy zaś pracowicie truchtali dla zdrowia. Niektórzy odbywali poranną przechadzkę czy jogging samotnie, wsłuchując się w szum fal i szelest liści na drzewach, ale większość skupiona była w pary lub małe grupki, od których dobiegały odgłosy rozmów i śmiechu.

Niemal tuż po tym jak Lily wzięła pierwszy zakręt i zaczęła piąć się pod górę, jej wzrok padł na przyjaciółki. Tara pchała wózek z małym Joeyem w środku, a Bay maszerowała dzielnie przy niej. Obie były zmachane i spocone z wysiłku, lecz na widok Lily rozpromieniły się i podniosły ręce w geście pozdrowienia. Lily pomachała im, uśmiechając się szeroko. Spotkanie z Rose i Liamem sprawiło, że zniknęły gdzieś nocne demony.

Serce na moment jej stanęło, gdy podjechawszy pod dom, dostrzegła nieznanego mężczyznę. Zaczęło bić znowu, dopiero kiedy spostrzegła, że wysoki ciemnowłosy przystojniak ma na sobie granatową koszulkę z napisem

FBI. Mężczyzna, siedzący w cieniu na żelaznej ławeczce Maeve, podniósł się na jej widok z wyciągniętą ręką.

– Nazywam się Joe Holmes – przedstawił się. – Jestem mężem Tary.

– A ja jestem Lily Malone – odwzajemniła jego uścisk.

– Cieszę się, że nareszcie mam okazję cię poznać – rzekł z uśmiechem. – Tak wiele o tobie słyszałem. Wybacz, że cię nachodzę, ale...

– Ależ nic nie szkodzi! – przerwała mu. – Jestem wam bardzo wdzięczna za pomoc. Wiem, że być może sprawiam wszystkim niepotrzebny kłopot. Zwłaszcza że...

– Nawet nie próbuj się teraz wykręcać – wpadł jej w słowo. – Wiesz, jaka jest Tara. A może już zapomniałaś?... Sprzeczenie się z nią to jak tłumaczenie huraganowi, że powinien podążyć na wschód, podczas gdy on pcha się na zachód.

– O tak, to prawda – uśmiechnęła się Lily.

– Poza tym jesteśmy ci coś winni – naciągnął dwoma palcami koszulkę na piersi. – Chcemy ci zapewnić ochronę przynajmniej teraz. Niezły numer nam wszystkim wykręciłaś. Któregoś dnia będę musiał z ciebie wyciągnąć, jak udało ci się schować przed nami na całe dziewięć lat.

– Czy mogę cię o coś zapytać? – rzuciła nagle, przypominając sobie o samochodzie, który minionego wieczoru jechał jej śladem. – Czy ktoś z was depta mi po piętach?

– Nie – odparł lekko zdziwiony Joe. – Przysłała mnie do ciebie Tara. Kiedy przyjechałem, nie zastałem ani ciebie, ani twojego wozu. W domu było ciemno. Tara uznała, że spędzasz noc w szpitalu.

Lily pokręciła głową.

– Późnym wieczorem postanowiłam odwiedzić moją córeczkę w Rhode Island. Ale wydawało mi się, że ktoś za mną jedzie...

– Myślisz, że to mógł być Edward?

– Boże, mam nadzieję, że nie.

– Fakt, same z nim kłopoty. – Joe zastanawiał się nad czymś przez chwilę. – Postaram się sprawdzić, co robił w nocy. No ale my tu gadu–gadu, a czas ucieka... Nie będę ci dłużej przeszkadzał. Zachowuj się normalnie i nic się nie martw, nie spuścimy cię z oka.

– Jadąc do domu, spotkałam Tarę z Joeyem. Twoja rodzina chyba ma ważniejsze sprawy niż pilnowanie mnie.

– Ważniejsze sprawy niż pomoc komuś, kogo się zna i lubi? – Potrząsnął głową. – Tara i ja jesteśmy co do tego jednomyślni. W tej chwili nic innego się dla nas nie liczy.

Dzień był upalny. Żdźbła trawy łaskotały Rose w gołe stopy. Bawiła się na dworze, podczas gdy doktor Neill wykonywał swoją pracę. Kiedy jej wzrok padł na huśtawkę zawieszoną na grubej gałęzi przed domem, podeszła do niej i wgramoliła się na siedzisko. Nad jej głową szumiały liście. Spłoszony ptak sfrunął na równo przycięty żywopłot. Rose czuła w środku pustkę. Mama przyjechała, żeby zjeść z nią śniadanie, ale teraz znów jej nie było.

Huśtając się, Rose widziała ulicę z góry. Już wcześniej zauważyła, że w domu obok mieszka rodzina z dwojgiem dzieci starszych od niej o parę lat. Teraz przyglądała się, jak wsiadają do błyszczącego kombi i odjeżdżają w siną dal. Ilekroć widziała jakieś dzieci, zaczynała tęsknić za swoją przyjaciółką Jessicą. Obejrzała się za siebie. Doktor Neill stanął właśnie w oknie chaty. Rose pomachała mu, a on jej odmachął. Ta wymiana pozdrowień sprawiła, że poczuła się troszkę lepiej.



Zaciskając dłonie na grubym sznurze i mając nogami, żeby huśtać się wyżej i mocniej, zobaczyła, że drogą podjeżdża samochód. Minął najpierw dom sąsiadów, a potem ich chatę i pojechał dalej. Parę minut później wracał z przeciwnej strony. Tym razem poruszał się bardzo wolno. Przy zjeździe do chaty zatrzymał się zupełnie, ale nie skręcił.

Może kierowca się zgubił – pomyślała Rose. Rzuciła znów spojrzenie doktorowi Neillowi, lecz on patrzył już na papiery leżące na biurku. Chociaż auto stało na drodze, a nie na podjeździe, prowadzący je mężczyzna wyszedł i ruszył w stronę chaty. Był niższy od doktora Neilla, ale cięższy. Miał krótkie, kręcone brązowe włosy. Z początku Rose trochę się go przelękała, jednakże uczucie strachu szybko ustąpiło, kiedy nieznajomy uśmiechnął się.

Wydawał się miły i przyjaźnie nastawiony. Mimo to Rose nie zeskoczyła z huśtawki. Nie bała się już, lecz pamiętała przestrogi matki, aby nigdy nie rozmawiała z ludźmi, których nie zna. Mężczyzna nadal szedł w jej kierunku. Na jego twarz padał cień z wysokich drzew, toteż nie dało się zobaczyć wiele więcej niż jego uśmiech.

– Mieszkasz tutaj? – zapytał ją.

Rose w odpowiedzi potrząsnęła głową.

– Przyjechałaś do kogoś z wizytą? – Był już tylko parę metrów od niej. Mogła teraz widzieć jego oczy: błyszczące jak zielone szklane kulki, lecz dziwnie nieruchome.

Rose skinęła głową i niespokojnie obejrzała się na okno. Doktor Neill był tam, uważnie obserwował zbliżającego się mężczyznę. Nagle drgnął.

– Z rodzicami?

Drzwi chaty otwarły się. Doktor Neill ruszył ku niej i coś w wyrazie jego twarzy powiedziało jej, że powinna natychmiast do niego podbiec. Zeskoczyła

bokiem z huśtawki i rzuciła się przed siebie. Serce waliło jej jak młot. Kiedy w połowie drogi obejrzała się przez ramię, nieznajomy człowiek wracał do swojego samochodu. Jakby wyczuwszy na sobie jej spojrzenie, okręcił się na pięcie i zawołał:

– Masz bardzo ładne zielone oczy! I kasztanowe włosy! Podobają mi się twoje warkocze.

– Jedną chwileczkę! – krzyknął doktor Neill, zmierzając w stronę mężczyzny. – Chciałbym z panem porozmawiać!

Żadnej reakcji. Nie spuszczać spojrzenia z Rose, obcy mężczyzna wsiadł do auta. Ruszył niemal natychmiast. Przez parę uderzeń serca spoglądał jeszcze na nią, zanim nie znalazł się hen, daleko na drodze.

– Kto to był? – zapytała doktora Neilla.

– Ktoś, na kogo powinniśmy bardzo uważać – odpowiedział. – Nie będziesz już wychodzić na dwór sama, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się cicho.

Patrzyli sobie prosto w oczy. Rose zamrugła. Nie miała pojęcia, co właśnie się stało, lecz wiedziała, że jej serce biło przy tym o wiele za szybko. Tamten mężczyzna gapił się na nią. Uśmiechał się z początku, jak gdyby był dobrym wujkiem, ale zaraz potem przeraził ją swymi oczami. Lśniły niezdrowo i były puste. Tak wyglądają oczy głodnego zwierzęcia, pomyślała Rose i zadrżała.

Doktor Neill przytulił ją i wprowadził do domu.

Liam usiadł do komputera, wokół którego leżały dawne wydania czasopisma „Copeia”, żeby się czymś zająć i uspokoić po niespodziewanej wizycie. Nie miał wątpliwości co do tego, kto im ją złożył. Edward Hunter śledził Lily minionej nocy i teraz wrócił, aby zobaczyć to miejsce w świetle

dnia. Jaka szkoda, że Liam pozwolił Rose pobawić się na zewnątrz! Gdybyż chociaż wysłał ją na tylny plac zamiast do ogrodu od frontu!...

Postanowił bezzwłocznie poinformować o wszystkim Lily.

– Co mówił? Co robił? – dopytywała.

– Powiedział najwyżej parę zdań. Pytał, czy Rose przyjechała tutaj ze swoimi rodzicami. Potem przez długą chwilę stał i tylko patrzył na nią.

– Och, nie... – załkała Lily. – Dowiedział się... Co teraz zrobimy?

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli Rose i ja przyjedziemy do Hubbard's Point. Nie ma potrzeby, żebyśmy dalej tu tkwili, skoro tajemnica się wydała.

– A jeśli to nie był on?... – Lily błędziła po omacku. – Jeśli to był jakiś inny mężczyzna, przejezdny albo sąsiad...

– Lily... – powiedział łagodnie Liam.

– Nie wiem, co robić – rzekła bezradnie. – Ta kryjówka wydawała się takim dobrym rozwiązaniem. Może nadal tak jest. W końcu on nie ma pojęcia, że to jego córka. Skąd mógłby wiedzieć...

– Napomknął coś o jej kasztanowych włosach i zielonych oczach.

– Takich samych jak jego...

– Właśnie – potwierdził Liam.

– O mój Boże... – jęknęła Lily. – Muszę coś wymyślić...

– Dobrze – zgodził się Liam. – Tylko nie myśl za długo. Chcę, żebyśmy byli wszyscy razem.

Rozłączywszy się, Liam spojrział na Rose, która klęcząc na krześle, wyglądała przez okno. Promienie słońca wydobywały z kosmyków jej włosów miedziane odblaski. Kiedy rankiem Lily wyjechała, Rose poprosiła go, żeby zaplótł jej warkocze. Choć nie było to łatwe – miał przecież tylko jedną rękę – poradził sobie nad wyraz dobrze. Ale teraz włosy dziewczynki były

rozpuszczone, spływały jej luźno na ramiona. W palcach Rose trzymała gumkę do włosów i bawiła się nią bezmyślnie. Nie chciała, aby nieznajomy mężczyzna chwalił jej warkocze.

Kiedy ktoś zapukał do drzwi, żołądek podjechał Liamowi do gardła. Niemal chciałby, żeby to był Edward. Nareszcie mogliby stanąć oko w oko i zmierzyć się. Jednakże gdy opuścił gabinet i przeszedł spory salon, żeby otworzyć, przekonał się, że w progu stoi jego przyjaciel, John Stanley. Jego ciemna opalenizna odznaczała się wyraźnie na tle białej koszulki polo i spłowiałych ciemnych szortów. Spoglądał zawadiacko zza szkieł okularów w metalowej oprawie. Przyłożył dłoń do ronda panamy, którą miał na głowie, lecz zaraz mina mu zrzędła.

– Hej, to tylko ja – powiedział.

– Niedawno mieliśmy nieproszonego gościa – wyjaśnił Liam. Wyciągnął szyję i wyjrzał na zewnątrz, lustrując podwórko i drogę. – Lepiej wejdź do środka.

– Znalazł was? – zmartwił się John. Wiedział, dlaczego Liam i Rose ukryli się w jego chacie. – Słuchaj, jest coś, co odciągnie twoje myśli od problemów. Zauważyłeś całe to zamieszanie? – ręką wskazał w stronę wody.

– Trudno go nie zauważyć – skwitował Liam. Wcześniej tego ranka był nad brzegiem i widział kłębiące się na płyciźnie tysiące, jeśli nie setki tysięcy morskich organizmów, z których większy zjadał mniejszego i sam był zjadany przez giganta w swojej skali.

– Zabierzesz się ze mną na przejażdżkę łodzią? Pokazałbym ci coś wprost nieprawdopodobnego.

– Jestem z Rose...

– Moje dzieciaki uwielbiały pływać ze mną po oceanie. Dla Rose też jest miejsce na pokładzie.

Liam zawahał się. Być może zabranie Rose na łódkę to najlepsze, co mogę dla niej zrobić, pomyślał i skinął przyjacielowi głową.

– Pozwól, że ją najpierw zapytam.

Znalazł Rose tkwiącą nieruchomo na tym samym miejscu co przedtem. Siedziała teraz w krześle prosto, z książką na kolanach, nie czytała jednak. W jej oczach czaił się niepokój. Liam nie miał wątpliwości, że wizyta Edwarda wywarła na niej duże wrażenie.

— Rose – zaczął – pan Stanley chce nas zabrać na wycieczkę łódką. Masz ochotę popływać?

– Chcę do mamy – odpowiedziała. Liam podszedł do niej i ukucnął.

– Wiem. Już niedługo będziemy znów razem. Ale jeszcze nie dzisiaj i pomyślałem sobie, że taka wyprawa mogłaby ci poprawić na razie humor.

– Nie podobał mi się tamten człowiek.

– Domyśliłem się tego.

– Jeśli popłynę, nie znajdzie mnie i nie będzie zaczepiał, prawda?

– Prawda.

– W takim razie popłynę.

Liam z westchnieniem ulgi zaczął pakować laptopa, komórkę, lornetkę i inne drobiazgi do swojej torby. Znalazł okulary i nasadził je na nos, nałożył też czapkę chroniącą przed słońcem. Po drodze złapał jeszcze jakąś przekąskę i kartonik z sokiem dla Rose.

Kiedy trzymając się za ręce, stanęli przed Johnem Stanleyem, powiedział:

– Rose, przedstawiam ci właściciela chaty, w której mieszkamy od paru dni.

– Dzień dobry – przywitała się Rose grzecznie. – I dziękuję bardzo.

– Nie ma za co – odparł John Stanley. – Miło mi cię poznać, Rose.

Lubisz pływać łódką?

Wargi dziewczynki rozciągnęły się w uśmiechu, który sięgnął zielonych oczu. Cała jej twarz pojaśniała, kiedy z zapalem kiwała głową.

– O tak, bardzo!

– A interesujesz się oceanologią?

– Tak!

– To dobrze... – Ściszył głos. – Bo wiesz, mamy tutaj ostatnio do czynienia z pewną tajemnicą, którą jeśli zechcesz, możesz pomóc nam rozwiązać.

Podniecenie Liama nie ustępowało podnieceniu okazywanemu przez Rose. Widmowe Wzgórza! Pokolenia oceanologów zajmowały się tym fenomenem, próbując dociec przyczyn i skutków. Nie mogąc się już doczekać, kiedy znajdą się na otwartym oceanie, podał Rose tubkę kremu z filtrem przeciwsłonecznym, prosząc, by posmarowała sobie odkryte fragmenty ciała, upewnił się, że ma w torbie wszystko co potrzebne, i po paru chwilach przecinali na przełaj podwórko Stanleyów.

Z plaży wyrastał dziesięciometrowy kamienny falochron, obrastający naniesionymi przez fale kamykami i muszelkami oraz piaskiem. Jego zadaniem było chronić linię brzegową tego miejsca. Służył także jako swego rodzaju przystań dla łodzi. Teraz były koło niego zacumowane dwie jednostki: „Wy-tchnienie” – najpopularniejszy na świecie jacht kilowy, oraz „Czapla Modra” – ponad dziesięciometrowa łódź rybacka przerobiona na statek oceanograficzny.

Rose była starym marynarzem dzięki latom spędzonym w Cape Hawk na statkach Neillów służących do obserwacji wielorybów, wiedziała więc, jak się

zachować na pokładzie. Stała w stosownej odległości, kiedy John Stanley uruchamiał silnik „Czapli Modrej”, i nawet nie myślała o tym, żeby trzymać za rękę doktora Neilla, który nawiasem mówiąc, szedł grzbietem falochronu, rozglądając się jeszcze za Edwardem, zanim nie odrzucił lin cumowniczych i nie wskoczył za burtę.

Powierzchnia wody była gładka i spokojna, gdy John kierował łódź na południe, wzdłuż wybrzeży Zatoki Narragansett. Na pokładzie prawie wcale nie bujało, silniki pracowały cicho, wywołując zaledwie lekką piankę za rufą. Dwa nieduże stadka słońek leciały nisko nad wodą, prowadząc dużą, pomalowaną na niebiesko łódź. Rose, nie mogąc się powstrzymać, wskazała je ręką, na wypadek gdyby mężczyźni ich nie zauważyli. Liam skinął głową i uśmiechnął się, jednakże uwagę miał skupioną na większych ptakach: mewach i rybitwach zawzięcie kołujących w trakcie polowania.

– Ptaki przy pracy – powiedział, wydobywając z torby lornetkę. Chwilę później obserwował, jak dzioby chwytają, a szyje przetykają upolowane małe rybki. W pobliżu w wodzie aż błyszczało od płetw i ogonów ich większych pobratymców.

– Aha – zgodził się z przyjacielem John i dalej jakby nigdy nic sterował łodzią.

Przepełnęli wzdłuż dwu innych plaż, na których na swoich deskach odpoczywali surferzy, spoglądając tęsknie w stronę otwartego oceanu i rodzących się za rafą Widmowych Wzgórz, świadomi, że muszą się zadowolić mniejszymi falami bliżej brzegu. W pewnym oddaleniu od ludzi nad plażą szybowała para rybołówów – najwyraźniej ptaki także zrobiły sobie wolne, zanim znów wrócą do korzystania z obfitości ryb.

Kiedy minęli Point Judith, zapach ryb stał się silniejszy. Liama to nie zdziwiło. Wiedział, że cypel stanowi bazę wypadową dla malej floty rybackiej. Trałowce, pożerające ropę jak smoki, przybijały do brzegu i od niego odbijały, tak że wydawało się, iż w Zatoce Uciekinierów nie zmieści się najmniejsza choćby łódź. Rybacy eksploatowali Georges Bank, najdalej wysuniętą część szelfu kontynentalnego w tej okolicy. Ich sieci pękały od łupaczy, dorszy, morszczuków, witlinków, fląder, a także homarów. Ci ludzie niczym nie różnili się od swoich odpowiedników żyjących z morza na północy, na terenie Nowej Szkocji.

Liam nie miał przesadnie wrażliwego nosa; w swoim czasie nawąchał się dość nadpsutych ryb i gnijącej przynęty, jednakże tutaj – nawet pomimo działających statków rybackich – w powietrzu pachniało żywymi rybami. Pachniało oceanem – błękitnym, głębokim i tajemniczym. Poczuł, jak włoski na karku stają mu na sztorc. Zerknął na Johna, który przybrał zafrasowaną minę, nie przestając wszakże mknąć po falach. Odruchowo przygarnął do siebie Rose, niby to nie chcąc, żeby się przewróciła, kiedy łódź skakała, odbijając się od twardej powierzchni wody.

– Dokąd płyniemy? – zapytała dziewczynka.

– Już niedaleko – odpowiedzi udzielił John.

Spojrzenie Liama skierowało się ku brzegowi. Lily znajdowała się zaledwie dwadzieścia parę kilometrów na zachód od tego miejsca. Wiele by dał, aby wiedzieć, co robi w tym właśnie momencie... Zastanowił się, czy atawistyczny strach, który poczuł przed paroma chwilami, nie miał przypadkiem czegoś wspólnego z nią i z tym, co przeżywała.

– No, dopłynęliśmy – oznajmił John, dławiąc przepustnicę i pozwalając, by silnik tylko cicho pomrukiwał.



– Gdzie jesteśmy? – spytała Rose.

Stały wyciągnął przed siebie rękę.

– Tam jest latarnia na Point Judith.

Nad brzegiem górowała kilkunastometrowa wieża wzniesiona z czerwono-brunatnego piaskowca. Niższa część konstrukcji zdawała się wyblakła, jej szczyt wieńczyły soczewki odbijające światło w promieniach słońca.

– A jakieś dziesięć kilometrów w tamtą stronę położona jest Block Island – dodał Liam.

– Prawie sześć i pół mili – sprecyzował John. – Dokładnie tyle wynosi odległość od Point Judith do północnego skrawka Block Island. Pamiętam to z czasów, kiedy robiłem licencję pilota. Gdyby w połowie drogi wysiadły mi silniki, musiałbym szybować trzy i dwie dziesiąte mili. Doświadczeni piloci mówią, że parę minut szybowania równa się całemu popołudniu wyczynowego pływania. – Wzdrygnął się. – Dzisiaj chyba wolałbym jednak szybować, niż tutaj pływać. Słyszycie?

Rose ściągnęła brwi. Przy ściszonej pracy silnika wyraźnie dał się słyszeć chłopot fal uderzających o kadłub. Ale zaraz, czy to na pewno fale robiły ten hałas?... Dźwięk wydawał się zbyt gwałtowny, zbyt głośny – jak gdyby równocześnie setki silnych dłoni stukało w zanurzoną w wodzie burzę. Z głębin dobiegał narastający szmer.

– Co to? – Rose nie posiadała się z ciekawości. Podbiegła do burty i schwyciła w dłonie jej poręcz. Liam natychmiast stanął obok niej. Razem wychylili się i zamiast błękitnej wody zobaczyli żywe srebro. Srebrne łuski, srebrne ogony, srebrne płetwy. Tysiące, setki tysięcy niewielkich ryb kłębiło się tuż pod powierzchnią.

– Trwa uczta – powiedział Liam.

– Coś takiego zazwyczaj dzieje się tu we wrześniu, jeśli w ogóle się dzieje – poinformował John Stanley. – Podobny fenomen nie zdarza się co roku.

Łódź zaatakowało dziesięć, nie, dwadzieścia! mew srebrzystych, mew żółtonogich, mew siodłatych, rybitw różowych... – wszystkie uniosły się zaraz w powietrze, przesłaniając na parę sekund niebieskie niebo, by z przeraźliwym krzykiem puścić się głowami w dół. Liam ponownie wyjrzał za burtę i zobaczył, jak tysiące małych ryb pierzchają we wszystkie strony. John niewzruszenie zbliżał się do Block Island. Im bliżej byli brzegu, tym wyraźniejsze stawały się strumienie i rzeki złożone z rybich ciał. Morskie ptaki w swej nieposkromionej żarłoczności zapuszczały się nad ląd poprzecinany strugami słono-słodkiej wody kipiącej teraz od życia. Liam nigdy w życiu nie widział naraz tylu ptaków – i tylu ryb.

– Czy to jest...? – zapytał, wskazując w górę palcem.

– Tak, to głuptak biały – potwierdził jego podejrzenia John. – Normalnie większość życia spędza nad otwartym oceanem, jeśli nie liczyć czasu, kiedy postanawia założyć rodzinę – dodał na użytek Rose. – Wtedy na chwilę przysiada na twardej ziemi i składa jajka.

– Ale teraz przyleciał aż tutaj?

Usta Johna zacisnęły się w wąską kreskę. Liam domyślał się, jakie myśli chodzą przyjacielowi po głowie. Skoro niesłychana obfitość narybku zwabiła tu ptaki, spędzające większość życia w powietrzu, i liczne drapieżne ryby, jakie jeszcze stworzenia mają w tej chwili pod kilem? Liam przypomniał sobie o Nanny – której położenie pozostawało zagadką od dobrych paru dni – i mimowolnie zadrżał.

Nagle szum silników wzmógł się – mijała ich flotylla złożona z motorówek, z których część ciągnęła za sobą narciarzy wodnych i łaknących wrażeń surferów. Liam jednak patrzył na płynący nieco dalej ciemnozielony trałowiec o dziwnie znajomej sylwetce. Przyłożył lornetkę do oczu i poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach. To nie był żaden trałowiec, tylko kuter z wypisanym na burcie „Mar IV”. Jego portem macierzystym był Cape Hawk, o czym można się było przekonać, patrząc na złote, mniejsze litery pod spodem. Liam nie musiał tego robić. Już dostrzegł na pokładzie postać kapitana, Gerarda Lafarge'a.

– Ktoś znajomy? – zapytał John.

– Wręcz przeciwnie – zaprzeczył żywo Liam. – Rybak z Nowej Szkocji. Ma ze mną na pieńku, odkąd przyłapałem go na tym, jak łowi delfiny i sprzedaje ich mięso, mówiąc, że to tuńczyk.

– Zaraz damy znać straży, jaki gagatek zawitał na nasze wody – rzekł John, sięgając po krótkofalówkę. – Jako Kanadyjczyk nie ma prawa łowić w stanie Rhode Island.

– On nie łowi – powiedział wolno Liam, jeszcze mocniej przyciskając lornetkę do twarzy, tak że z oczu puściły mu się łzy. Lafarge stał jak posąg zapatrzony w fale. Wysięgniki były schowane, sieci schludnie zwinięte, włoki beczynne.

– A co robi?

– Sam chciałbym wiedzieć – odparł Liam, przyglądając się, jak „Mar IV” podąża śladem motorówek.

Tuż przed nimi, zdawało się, powstają do życia gigantyczne fale. Widmowe Wzgórza. Liam widząc je, niemal czuł, jak temperatura oceanu podnosi się znacznie; przecież powodem powstawania Widmowych Wzgórz

był Golsztrom, ciepły prąd morski, lazurowy czy też raczej przejrzysty jak światło słoneczne. Fale wyrastały na kilkanaście metrów w górę, dzikie i nieokiełznane, po czym jakby ześlizgiwały się po rafie, wciąż olbrzymie i dumne, aż w końcu rozpryskiwały się w białą pianę.

– Co to takiego? – zapytała zafascynowana widokiem Rose.

– Najwyższe fale, jakie kiedykolwiek widzieliśmy, ty i ja – rzekł Liam, obejmując ją zdrowym ramieniem.

– W głębi oceanu? – zdziwiła się dziewczynka. – Myślałam, że fale powstają tylko przy brzegu.

– To zdarza się raz, góra dwa razy na stulecie – wyjaśnił Stanley. – Wtedy gdy wszystkie okoliczności: wiatr, prąd i faza Księżyca, są sprzyjające.

Liam wyjmował już laptopa. Uruchomił go niecierpliwymi ruchami, po czym przywołał na ekran program śledzący pozycję dużych morskich drapieżników. Czekając, aż zacznie działać, wpisał do Google'a kilka danych i zapatrzył się na odpowiedź przebiegającą po matrycy. W okolicy przylądka Hatteras w Karolinie Południowej rozpętała się tropikalna burza, która zmieniła się nieomal w huragan, nim dotarła do wybrzeży Nowej Szkocji. To zjawisko meteorologiczne wywołało rzadki efekt próżni, który pociągnął w tę stronę spiętrzone masy wody.

– To czego jesteśmy świadkami, niezwykle rzadko zdarza się na wschodnim wybrzeżu... – John urwał, przyglądając się, jak jeden ze śmiazków na desce surfingowej dosiada wielkiej jak dom fali przy wiwatach i zachętach ze strony kumpli. – Tego rodzaju rzeczy są typowe dla północnego wybrzeża Maui, jednej z wysp Hawajów. Zresztą tam także widzi się takich zapaleńców jak ten tam...

– Tamten fenomen okrzyknięto mianem „Szczęk” – wtrącił Liam. – Z oczywistych powodów.

– Zgadza się – potaknął John. – Rzeczywiście bardzo przypomina to, co w Stanach możemy zaobserwować na północ od wybrzeży San Francisco, w Half Moon Bay, i co surferzy nazywają między sobą „Mavericks”. No i oczywiście i na Hawajach, i w Kalifornii aż roi się od rekinów.

– Podobnie jak tutaj – dodał Liam, patrząc na świecący jak choinka ekran laptopa.

– Zielone kropki dla wielorybów, a czerwone dla rekinów? – zapytała Rose, przysuwając się do niego bliżej.

– Tak – potwierdził Liam i uściśnął jej dłoń.

– Czyli jedna z tych zielonych kropek to może być Nanny?

– Nanny tutaj nie ma – powiedział Liam, uprzednio poszukawszy znacznika **SM122**, który wskazywał zaprzyjaźnioną białuchę.

– To dobrze – odrzekła dziewczynka. – Proszę tylko popatrzeć, ile tu wokół rekinów.

Nie dało się tego ukryć. Liam rozpoznawał większość z tych, które pływały pod samą powierzchnią: ostronosy, żarłacze tygrysy, żarłacze bycze, a także te, które cierpliwie krążyły o wiele niżej: dwa wielkie okazy żarłacza białego.

Surferzy nadal rzucali wyzwania falom, nie wiedząc, jakie niebezpieczeństwo czai się w głębinie. Liam poczuł w żyłach adrenalinę, jak gdyby sam gnał na chybotałej desce nad głowami potworów.

Przypomniawszy mu się samochód wolno sunący wzdłuż drogi, przy której stała chata Stanleyów. Będąc na wyciągnięcie ręki od najgroźniejszych znanych nauce morskich drapieżników, zdawał sobie sprawę, że wśród ludzi

spotkać można o wiele niebezpieczniejsze osobniki. Ani trochę mniej nienasycone i okrutne. Przyciągnął Rose do siebie i objął ją ciasno ramieniem.

Chociaż wokół nich roiło się od rekinów, dotąd jego największych wrogów, ignorował je, oczyma wyobraźni spoglądając wzdłuż drogi, która prowadziła od chaty Stanleyów do Hubbard's Point. Do Lily.

TTLR

## ROZDZIAŁ 9

Lily wiedziała, że coś się stało, w chwili gdy opuściła windę na piątym piętrze szpitala. Przed drzwiami do pokoju, w którym leżała Maeve, stało kilku lekarzy zbitych w grupkę. Wszyscy odwrócili się jak jeden mąż, słysząc jej kroki. Serce podeszło Lily do gardła.

– Panno Malone! – odezwała się doktor Mead. – Właśnie mieliśmy do pani dzwonić.

– W jakiej sprawie? – zapytała, opierając się barkiem o ścianę.

– Mamy dla pani dobre wiadomości – informowała lekarka. – Pani babcia zaczęła reagować na bodźce zewnętrzne.

– Wyszła ze śpiączki?

– Nie, niezupełnie... – W oczach doktor Mead pojawiło się wahanie. Uśmiechając się słabo, dodała: – Ale otworzyła oczy, powiodła nimi wokół siebie, a potem pozytywnie przeszła kilka testów neurologicznych.

– Czy coś mówiła?

– Powiedziała: „Mara”. – Teraz już doktor Mead uśmiechała się otwarcie.

– Muszę ją natychmiast zobaczyć – oznajmiła Lily.

– Oczywiście – zgodziła się lekarka i wraz z kolegami odstąpiła od drzwi separatki, tak żeby Lily mogła wejść do środka.

Maeve śniła biały sen. Miewała je przez całe swoje życie, począwszy od czasów, kiedy była bardzo młoda i miała trudności z wybudzeniem się z głębokiego snu. Później takie sny zazwyczaj przychodziły w noc przed wyjątkowym, mającym przynieść coś ważnego dniem. Na przykład gdy czekała ją wygrana w konkursie ortograficznym, kiedy była w czwartej klasie. Napisała wtedy poprawnie „technologia hydrometalurgiczna” i pozostawiła

konkurencję daleko w tyle. Podobny sen naszedł ją nocą przed wygranym turniejem tenisowym w klasie maturalnej. A także nad samym ranem w dniu, w którym poślubiła swego męża.

Dla niej biały sen był zwiastunem wielkiej radości. Bez względu na to, jaką formę przybierał – a tych mogło być bez liku. Mogła unosić się pośród rozjaśnionych promieniami słonecznymi pierzastych białych obłoczków albo pływać w mlecznej pianie fal łagodnie rozbijających się o zachodnie brzegi Korsyki bądź też jakimś cudem znaleźć się na grzbiecie bielusińskiego jak śnieg gołębia. Cokolwiek przeżyła we śnie, budząc się, czuła się zawsze tak samo. Białe sny przesycaly ją najniezwyklejszymi doznaniem, dzięki którym czuła, że naprawdę żyje. Jej duszę przepelniało światło, miłość i zachwyty sprawiające, że nie musiała tak jak kiedyś walczyć, aby otworzyć oczy i stawić czoło nowemu dniu. Wręcz przeciwnie, nie umiała się doczekać, kiedy wstanie z łóżka i przekona się, co los dla niej przygotował.

Dzisiejszy biały sen rozgrywał się w ogrodzie. Maeve stała na ścieżce, wzdłuż której wszędzie rosły białe róże. W rękę trzymała stary sekator – jakże wyraźnie czuła ciężar narzędzia w dłoni! – a za plecami słyszała dodający otuchy plusk fal. Dobiegał od frontu posiadłości, zatem to musiał być jej ogród, a ona jak zwykle doglądała swoich róż. Powietrze było czyste i rześkie, jak gdyby unosiły się w nim namacalne kryształki soli. Zauważyła, że włosy ma białe, podobnie jak kobieta pracująca u jej boku. Clara, oczywiście.

Pracowały w milczeniu. Stanowiły teraz zespół. Och, naturalnie, że przez minione lata nieraz się kłóciły; bynajmniej nie miały na wszystko takich samych poglądów. Jednakże białe sny mają to do siebie, że usuwają w cień wszelkie troski, wydobywając zewsząd uczucie miłości.



– Mara – powiedziała Maeve, przycinając kolczaste pędy i prześwietlając krzewy.

– Znaczy „morze” po gaelicku – dokończyła zdanie Clara.

– Ard na Mara to miejsce w Irlandii, gdzie zginął mój syn i jego żona – wyjaśniła Maeve.

– Skoro tak, dlaczego wydajesz się taka wesoła? – zdziwiła się Clara.

– Jestem wesoła – odparła Maeve – ponieważ niedługo się z nim zobaczę.

– Nie możesz ot, tak sobie zniknąć – zauważyła radośnie Clara. – Przecież wnuczka do ciebie przyjechała.

– Mara – powtórzyła Maeve, słysząc, jak jej głos rezonuje w uszach. Było tak, jakby znajdowała się na granicy jawy i snu. Czyżby biały sen dobiegał końca, a ona przechodziła na drugą stronę, do rzeczywistości? Dlaczego życie znów się o nią upomniało, wyrywając ją ze szczęśliwości, którą odczuwała, śniąc? – Mara... Mara...

– Babciu – usłyszała głos, który z pewnością nie należał do Clary Littlefield. – Babciu, to ja... Mara. Jestem przy tobie.

– Moja droga... – powiedziała Maeve i poczuła, że ktoś uścisnął ją za rękę. Było to bardzo miłe uczucie, takie prawdziwe i cudowne. Poznałaby je nawet we śnie! To tę dłoń trzymała w swojej podczas niezliczonych spacerów po plaży i wypraw do szkoły, w czasie wizyt u lekarza i dentysty, w trakcie pogrzebu swojego syna i synowej.

– Słyszysz mnie, babciu? – Tak, to na pewno nie była Clara. Ani to nie był sen. Maeve zamrugała... Ojej, to chyba nie jest...

– Mara? – zapytała.

– Tak, babciu – odpowiedziała Lily, czując, jak przepelnia ją radość i ekscytacja.

Maeve dalej zawzięcie mrugała powiekami, próbując wyostrzyć wzrok i dostrzec więcej szczegółów. Odkasznęła i ten chemiczny posmak: gęste jak syrop, duszące powietrze, które łykała niczym jakiś eliksir, znów pojawił się w jej ustach, wypełnił wszystkie zmysły, sprawił, że ponownie zrobiło jej się słabo. Nie potrafiła przeniknąć grubej, oddzielającej ją od rzeczywistości warstwy; jeszcze nie teraz... Potrzebowała paru chwil. Tylko nigdzie nie odchodź, nie zostawiaj mnie znów samej, myślała, zdrzemnę się troszkę, daj mi jakieś pięć minutek...

– Babciu, obudź się – powiedział ten sam głos. Niezaprzeczalnie głos Mary. – Proszę cię, obudź się. Chcę cię zobaczyć, chcę opowiedzieć ci o Rose... Ona ma dziewięć lat, babciu. I jest taka piękna...

– Rose – wymruczała Maeve, znalazłszy się znów w ogrodzie. Wszędobylska woń róż wciskała jej się w nozdrza, działając jak środek usypiający. Czowała, że znów zapada się w sen, oddalając się od tego cudnego głosu. Głosu jej wnuczki, Mary. Próbowwała otworzyć oczy, spojrzeć na twarz osoby siedzącej obok niej na łóżku; och, gdyby tylko zdołała unieść te powieki (ciężły jej jak dwa kamienie!) i gdyby choć trochę zelżał ten upojny zapach... Co on jej kiedyś powiedział? Starła się przypomnieć sobie słowa, które zacytowała jej Mara. „Białe róże są najdelikatniejsze, byle dotyk potrafi zostawić ślad na ich nieskazitelnych płatkach...”.

– Babciu! – Mara podniosła głos. – Zostań ze mną, przebudź się wreszcie! Potrzebuję cię, babciu...

„Białe róże są najdelikatniejsze, byle dotyk potrafi zostawić ślad na ich nieskazitelnych płatkach...”.

Biały sen zmienił się diametralnie. Wszechobecną biel zastąpił mrok i Maeve już wiedziała, że musi ostrzec Marę. Musiała się obudzić bez względu

na to, ile wysiłku miałyby ją to kosztować, i ostrzec swoją ukochaną wnuczkę, że niebezpieczeństwo powróciło. Mara musi chronić siebie i dziecko.

Jednakże sen znowu oplótł ją swymi mackami, zniewolił i wciągał coraz głębiej w odmęty nieświadomości – tam, gdzie nikt nie był w stanie do niej dotrzeć.

Lily zaczęła rozpaczać, lecz doktor Mead tłumaczyła jej, że to normalne w takich przypadkach. Pacjenci w komie wynurzają się ze stanu nieświadomości i powracają doń wielokrotnie, zanim w końcu uda im się pozostać przytomnymi na stałe. Lily nie było łatwo przyjąć tego do wiadomości, tak wielkie nadzieje rozbudził w niej widok błękitnych oczu babci, których nie zobaczyła ani razu przez długie dziewięć lat, i dźwięk jej głosu, za którym tak bardzo tęskniła, w chwilach największego smutku wyobrażając sobie, że babcia znów wypowiada jej prawdziwe imię.

Wstrząśnięta ostatnimi przeżyciami postanowiła zejść do szpitalnej kantyny na filiżankę herbaty. Ustawiała się w kolejce, zdając sobie sprawę, że ludzie poszeptywali najpierw, gdy szła korytarzem, i później, gdy przekroczyła próg kantyny. Wybierając z drewnianej skrzyneczki torebkę z herbatą, nalewając do filiżanki wrzątku, starała się zapanować nad drzeniem rąk. Uważając, aby nie rozlać naciągającego naparu, poszukała wzrokiem wolnego stolika w najdalszym końcu pomieszczenia i usiadła twarzą do okna wychodzącego na parking.

– Witaj, Lily.

Jej imię było inne, lecz głos ten sam. Poczowała, jak sztywnieje, jak strach rodzi się gdzieś na wysokości kręgów szyjnych i stacza się niczym kostka lodu w dół kręgosłupa. Jej klatka piersiowa zamarła – zupełnie jak kiedyś u Rose, gdy dziewczynka była jeszcze niemowlęciem i miała trudności z nabieraniem

powietrza do płuc. Dwa słowa – w tym jej nowe imię – i ogarnęło ją tak dobrze znane uczucie totalnego przerażenia.

– Edward... – wykrztusiła.

– No, no – powiedział, górując nad nią jak wieża. Wydał jej się starszy, bledszy. Zniknęła gdzieś jego młodzieńcza zuchowatość. Wokół ust i oczu powstały głębokie zmarszczki. A może po prostu wyglądał tak w tamtej właśnie chwili. Edward Hunter miał zdolność przeistaczania się nawet na jej oczach. Przedzierzganiam z człowieka w...

Uniosła do ust filiżankę. Herbata nie zdążyła jeszcze naciągnąć, woda wciąż była wrząca. Mimo to Lily oplotła naczynie palcami, pozwalając, by wysoka temperatura oparzyła jej opuszki. Pomyślała, że całkowicie podda się szokowi, jakie wywołało to spotkanie, jeśli nie zrobi czegoś, co umocuje ją w rzeczywistości. Poza tym filiżanka z wrzątkiem świetnie nadawała się na broń. Mogłaby cisnąć w niego naczyniem i zacząć uciekać. Teraz, zaraz...

– No, no – powtórzył. – Moja żona. Sądziłem, że już nigdy cię nie zobaczę.

– Czego chcesz? – zapytała, odwracając wzrok.

– Czego chcę? – powtórzył pytanie. – Hmm... Zastanówmy się, czego mogę od ciebie chcieć. Może tego, żebyś wyjaśniła mi, co się stało. Dlaczego ode mnie uciekłaś. Co ja ci takiego straszego zrobiłem, że zabrałaś się i poszłaś sobie?

– Edwardzie, jesteśmy tutaj sami – powiedziała Lily. – Oboje wiemy, jaka jest prawda. Nie udawajmy więc.

– Upokorzyłaś mnie... – zaczął i urwał. – Nie, nie upokorzyłaś. To słowo nawet w części nie oddaje tego, na co mnie naraziłaś. Pozwoliłaś mi wierzyć,

że nie żyjesz. Pozwoliłaś, żeby podejrzewano mnie o morderstwo własnej żony.

Chciała zasłonić sobie uszy rękami. Wiedziała, że musi go powstrzymać, zanim rozkręci się na dobre. Lecz z drugiej strony nie potrafiła powściągnąć niezdrowej ciekawości; w pewnym sensie była ciekawa jego i tego, co jeszcze powie. Czuła się zafascynowana jak ktoś, kto w pogodny letni dzień przygląda się wystającym nad powierzchnię wody płetwom rekinów, krążących wokół łodzi, albo żmii miedziance, która bez ruchu wygrzewa się na poboczu drogi. Edward miał bowiem w sobie coś z niebezpiecznego zwierzęcia i podobnie jak one intrygował, hipnotyzował swoją ofiarę. Większość normalnych ludzi nie do końca pojmuje, jak to możliwe, że dzielą ten świat – albo życie – z czymś, co jest zarazem tak piękne i groźne, a do tego pozostaje na wolności.

– Edwardzie – odezwała się, otrząsając z ponurych myśli. – Co ty tu w ogóle robisz?

– Dowiedziałem się z gazet, że przyjechałaś, ponieważ twoja babcia trafiła do szpitala. Przeszedłem więc z wizytą do Maeve. Choć o tym nie wiesz, Maeve i ja przez długi czas utrzymywaliśmy ze sobą kontakt.

Lily poczuła nagle chęć, żeby poderwać się na nogi i wydrapać Edwardowi oczy. Krew tętniła jej w żyłach, oddech przyśpieszył, lecz ona nadal siedziała nieruchomo, koncentrując się na tym, by nie uronić ani kropli z filiżanki. Nieomal słyszała głos babci, która mówi jej, że musi pozostać spokojna, że nie wolno jej dać mu satysfakcji, że powinna ukrywać przed nim swoje prawdziwe uczucia.

– Czy Maeve wspominała ci, że ją odwiedzałem? – spytał uprzejmie.

Lily wpatrzyła się w zawartość filiżanki. W głowie dudniło jej jedno pytanie: dlaczego Edward jeszcze nie wymienił imienia Rose? Czyżby Liam

się mylił? Czyżby tamten mężczyzna w Rhode Island był przypadkowym przejezdny? Przecież gdyby Edward wiedział o istnieniu Rose, zdążyłby już o nią zapytać.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaśmiał się cicho.

– Nie, oczywiście, że o niczym ci nie wspominała. Nie miała pojęcia, że żyjesz. Oszukiwałaś ją tak samo jak nas wszystkich. To by było tyle na temat bliskości panującej w rodzinie Jamesonów.

– To przez ciebie Maeve trafiła do szpitala – oskarżyła go.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął i Lily poczuła, jak po krzyżu wędrują jej zimne ciarki. Ignorując jej wypowiedź, zagaił:

– Zgadnij, kogo widziałem dziś rano...

Lily poczuła suchość w ustach. Jakby nigdy nie zamoczyła wargi w herbacie, nie chcąc mu pokazać po sobie żadnej reakcji. Nie mogła utwierdzić go w przekonaniu, że jego dziecko żyje. Przychodziło jej to z wielkim trudem, ponieważ Edward mógł się pochwalić wyśmienitą intuicją. Miał nosa do ludzi i tajemnic i nigdy nie przestawał węszyć.

– Dziewczynkę o zielonych oczach – udzielił odpowiedzi, kiedy cisza się przedłużała.

Krew uderzyła jej do głowy. Gdyby stała, zatoczyłaby się, a może nawet upadła. Wolno podniosła na niego wzrok. Z chwilą gdy ich spojrzenia się spotkały, twarz Edwarda zmieniła się w maskę o zimnych, okrutnych rysach.

– Wiesz, co było w tym najpodlejsze? – spytał. – To, że udawałaś miłość do mnie, a potem potraktowałaś mnie jak jakiegoś śmiecia. Strzeż się, Lily, bo nie wiesz, co cię spotka. Tak jak ja nie wiedziałem, że zamierzasz mnie opuścić.

Lily zaczęła drzeć. W tym samym momencie do kantyny wszedł Patrick Murphy. Natychmiast ich zobaczył i pokonał przestrzeń dzielącą stół od drzwi w nie więcej niż dwie sekundy. Przewyższał wzrostem Edwarda, niemal przyszpilając go do krzesła. Napięcie, które wytworzyło się między dwoma mężczyznami, było niemal namacalne i groziło wybuchem w każdej chwili, jednakże dzięki niemu Lily zyskała pierwszą sposobność, aby lepiej się przyjrzeć swemu byłemu mężowi.

Niezbyt wysoki, mimo upływu lat nadal był dobrze umięśniony. Karnację miał przyciemnioną zdrową opalenizną, na sobie luźne płócienne spodnie i niebieską koszulkę polo ze znaczkiem nowojorskiego klubu jachtowego. Na nadgarstku wciąż nosił rolex, który podarowała mu, kiedy jeszcze byli razem. Włosy lekko zapuścił, tak że zdawały się teraz raczej pofalowane niż kręcone. Skronie przyprószyła mu siwizna. Jego oczy nie przestały błyszczeć i świdrować otoczenia, jednakże pod nimi powstały brzydkie worki i sińce – nieomylny znak folgowania sobie, jeśli chodzi o alkohol. Pewnie szlaja się po barach ze swymi kumplami od wiosła – pomyślała z niechęcią Lily, która dobrze pamiętała, jak karmił ją kłamstewkami na temat swego pradziadka, kapitana statku oceanicznego.

– No proszę. – Patrick przerwał panujące przy stole milczenie. – Kogo my tu mamy. Jak traktuje cię życie, Edwardzie?

– Całkiem, całkiem – padła spięta odpowiedź. Edward Hunter wytrzymał spojrzenie Patricka przez jakieś dwie sekundy, potem patrzył wszędzie, tylko nie na emerytowanego policjanta.

– Z pewnością masz teraz mnóstwo czasu na golfa i żeglowanie... Kupiłeś sobie może jakąś większą łódź?

– Nie potrzebowalem, moja jest wystarczajaco duza – powiedzial Edward, po czym usmiechnal sie, jakby przypomnial mu sie swietny kawal, i dokończył: – W przeciwienstwie do twojej starej fajby.

– Ach tak – mruknal Patrick i zmiazdzyl go wzrokiem.

– Czego tu szukasz?

– Tak jak mowilem juz Lily, przyszedlem z wizyta do Maeve.

– Nieprawda – zaprzeczyl Patrick. – W jej sprawie toczy sie dochodzenie.

– Ale ty przeciez juz nie sluzysz w policji – zauwazyl Edward, usmiechajac sie jeszcze szerzej. Ktos z boku dostrzeglyby w nim podstarzalego lowelasa, ktory przywołuje do zycia swój dawny charme. – Wyobrazam sobie, ze ciagnace sie przez dziesiec lat sledztwo i podejrzewanie niewinnego czlowieka o morderstwo, ktore w ogole nie miało miejsca, nie pomogło twojej karierze...

– Trzymaj sie z daleka od Maeve i jej rodziny – rzucil Patrick, wciaz patrzac na Edwarda z gory.

– Bo ty mi kazesz? Ciekawe, w jaki sposob chcesz mnie powstrzymac?

Patrick Murphy nieoczekiwanie rozciagnal wargi w usmiechu.

– Znaleziono twoje odciski palcow na piecyku do wody w domu Maeve. Juz niedlugo bedziesz musial odpowiedziec na pare pytan.

– Naprawialem jej termostat – skontrolowal Edward, wytrzymujac spojrzenie. – Moze raczysz wreszcie zauwazyc, ze jej wnuczki nie bylo w poblizu, kiedy Maeve potrzebowała pomocy. Ktos musial wyświadczyc starszej kobiecie przysluge.

– Moja babcia nigdy by nie skorzystala z twojej pomocy – syknela Lily. – Bez względu na to w jakiej sytuacji by sie znalazla, nigdy by nie poprosila, zebyś jej pomogl. Łzesz w żywe oczy.



Twarz Edwarda pociemniała, jak działo się niezliczone razy wcześniej, ilekroć Lily sprzeciwiła mu się w jakiś sposób bądź rzuciła mu wyzwanie. Usta zacięły się w wąską kreskę, zielone oczy przybrały ciemniejszy, groźniejszy odcień, kiedy błysnęła w nich wściekłość. Lily wiedziała, że wzbiera w nim gniew, którego źródło tkwiło gdzieś w głębi ciała bądź umysłu, które przez krótki czas kochała. Ogarnął ją strach.

– Uważasz, że kłamię? No to może najpierw zapytaj Maeve... – Edward zrobił krok w jej stronę.

Lily wypuściła z płuc powietrze, jakby właśnie otrzymała cios w splot słoneczny. Edward musiał wiedzieć, że Maeve jest pogrążona w śpiączce.

– Lily – usłyszała spokojny głos Patricka – może pójdziesz na górę i zobaczysz, jak się miewa twoja babcia?

Skinęła głową, nie spuszczając oczu z Edwarda. Zrobiła kilka kroków do tyłu odprowadzana jego wzrokiem.

– Trzymaj się od nich obu z daleka – powtórzył Patrick.

– Nie zapominaj, że trwa dochodzenie...

– Myślę, że rzeczywiście dam sobie z nimi spokój – oświadczył Edward, przewiercając Lily na wylot zimnym spojrzeniem. – Mam ciekawsze rzeczy do roboty. Kogoś specjalnego, kogo muszę odwiedzić.

Lily spięła się do skoku i byłaby rzuciła się na niego z pięściami i paznokciami, lecz on odwrócił się na pięcie i szybko odszedł. Lily wydała zduszony dźwięk, na poły ze strachu, na poły z frustracji.

– O czym on mówił? – zaciekawił się Patrick

– Edward zobaczył dziś Rose – wyjaśniła Lily. – Rano. Zeszłej nocy pojechał za mną do Rhode Island. Z początku wydawało mi się, że widzę śledzący mnie samochód, ale potem jakby zniknął. Czułam takie podniecenie,

że znów zobaczę Rose i Liama, że musiałam stracić czujność. – Uniosła obie dłonie do głowy, wczepiła palce we włosy. – Po tych wszystkich latach sama go do niej zaprowadziłam.

– Skąd wiesz, że ją zobaczył?

– Ktoś zatrzymał się przy chacie, zaszedł na podwórko, żeby zamienić z nią kilka słów. Liam zadzwonił do mnie i powiedział, że jego zdaniem to był Edward. A Edward sam przed chwilą przyznał, że widział dziewczynkę o zielonych oczach.

Patrick zmrużył oczy w wąskie szparki.

– Po prostu bawi się z tobą.

– Co on zamierza?

– Cokolwiek ma w planach, nie podoba mi się to. Przez lata zastanawiałem się, co uczynił tobie. Teraz, mając przed oczami Marisę, chyba znalazłem na to pytanie odpowiedź. Ten mężczyzna to wcielone zło, skoro udało mu się sprawić, aby takie kobiety jak wy uciekły od niego na drugi koniec świata.

– Czy to co powiedziałeś o znalezionych odciskach palców, jest prawdą?

– zainteresowała się Lily.

Patrick pokręcił głową.

– Niestety nie. Ale wywołało ciekawą reakcję, przyznasz chyba sama? Teraz liczy się tylko to, że policja ani myśli pozwalać, żeby kręcił się przy bezbronnej Maeve. Zaraz do nich zadzwonię... – Zamyślił się i popatrzył z uwagą na Lily. – Wiesz, co jeszcze mnie zastanowiło? To, że z taką łatwością mówił ci po imieniu... – Lily potaknęła i poczuła, jak na powrót ogarnia ją przerażenie. – Przecież znał cię jako Marę. Mnie jest się trudno przyzwyczać do tego, że zmieniałaś imię, a nie byłem twoim mężem.

– Rozumiem, o co ci chodzi – rzekła wolno – ale nie ma w tym niczego dziwnego. To tylko nowe imię. Dla Edwarda wszystko jest wymienne. Imiona, ludzie, żony. Ja czy Marisa... co za różnica? Nic dla niego nie jest realne, nic nie ma naprawdę znaczenia. Nawet Rose.

– Pewnie masz rację – westchnął. – Aż strach pomyśleć, ile nieszczęścia, smutku i bólu pozostawił za sobą. Bez wahania uderzał w najczulszy punkt swojej ofiary... Policjantów uczy się w teorii o przemoc domowej, poznajemy statystyki i sposoby emocjonalnego i fizycznego znęcania się, i tę paradoksalną zależność, że kobiety o wyższej od męzowskiej pozycji zawodowej i materialnej cierpią najbardziej. A jednak dopiero po rozmowie z tobą i Marisą zrozumiałem, jakie to okropne przestępstwo.

– Emocjonalne znęcanie się – powtórzyła Lily. W duchu aż się cała trzęsła. Ten zwrot, taki uładzony, uprzejmy, nijaki, nawet w przybliżeniu nie oddawał prawdy o piekle, przez które przeszła.

– Odebrał ci wszystko, co miało dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie – ciągnął Patrick. – Wbił w ciebie pełno małych haczyków, raniąc serce i duszę i rozdzierając portmonetkę.

– To prawda – przyznała zamyślona Lily. – Pamiętam, że dziwiłam się, czemu przynosi tak mało pieniędzy. Podejrzywałam go nawet o to, że prowadzi podwójne życie.

– Maeve zmusiła nas, abyśmy sprawdzili i tę ewentualność.

– Poważnie? – Właściwie Lily nie powinna się dziwić. Bardzo dobrze pamiętała pewną rozmowę z babcią...

– Te wszystkie jego podróże...

Lily skinęła. Hawthorne było zamożnym miastem, a Edward utrzymywał, że jego obowiązkiem jest prowadzić interesy z klientami w ich własnych

domach. Niektórzy mieli wille w Naples albo Palm Beach, inni wyjeżdżali na narty do Aspen czy Taos. Ten i ów mógł się pochwalić chatą z drewnianych bali w Edgartown, Sag Harbor czy Nantucket. Niemal wszyscy trzymali jachty zacumowane przy brzegach Key Largo, do czego mieli prawo jako członkowie Ocean Reef Club.

– Tak, nalatał się za wszystkie czasy...

– Nigdy nie udało nam się potwierdzić, jakie dokładnie interesy prowadził w tych miejscach – stwierdził sucho Patrick.

Lily poderwała głowę.

– Co takiego? O co chodzi? – dopytywał, widząc jej nagłe poruszenie. Uciekła wzrokiem, nie mając pewności, czy powinna się z nim tym podzielić, czy to co pamięta, ma większe znaczenie. – No dalej, Lily – ponaglił ją. – Chcę o tym usłyszeć od ciebie.

– Robiłam raz porządek w garażu – zaczęła powoli. – Natknęłam się w nim na parę starych butów do golfa. Naprawdę starych, aż zapleśniałych. I takich, których na pewno ani razu nie miał na nogach. Wszystkie swoje buty do golfa trzymał w specjalnej szafce w domu. Potrząsnęłam nimi bezmyślnie i usłyszałam, że coś w środku dźwięczy. To był kolczyk.

– Jak się domyślam, nie należał do ciebie.

– Nie... – potrząsnęła głową, niechętnie wracając do wspomnień. – Długo trzymałam go w ręku. Nie miał większej wartości ani nic takiego. To był kawałek zwykłego metalu ze szkiełkiem zamiast brylantu.

– Rozmawiałaś z nim o tym?

– Tak. Powiedział, że nie ma pojęcia, skąd kolczyk wziął się w jego bucie. Ale kiedy to mówił, jego oczy... – wzdrygnęła się. – Jego oczy zrobiły

się prawie czarne, jakbym obudziła do życia tkwiącego w nim potwora. Nie miałam wątpliwości, że wściekł się z powodu mojego znaleziska.

– Co więc zrobiłaś?

– Przy kolejnych porządkach wyrzuciłam i but, i kolczyk. – Wbiła paznokcie w ciało, dłonie trzymając za plecami, tak aby Patrick nie mógł tego widzieć. Odczuwała strach tak silny jak wtedy, kiedy to się działo. Od bardzo dawna nie pozwalała tym wspomnieniom wracać i to, że teraz o nich mówiła, sprawiło, iż przerażenie dopadło ją ze zdwojoną siłą.

– Znalazłaś jeszcze kiedyś coś podobnego?

– Tak. Kilka kolczyków, w innej parze butów. Wydaje mi się nawet, że Edward wyjął ze śmieci tamten, który wyrzuciłam, i na powrót schował. Tym razem do zwykłych adidasów. Upchnięte daleko w noski tkwiły trzy kolczyki nie od pary. Ten pierwszy, o którym ci już mówiłam, ze zwykłym szkiełkiem, i jeszcze jakieś dwa. Wszystkie długie, wiszące. Jeden był ze złota.

– Czy pomyślałaś wtedy, że Edward podczas swoich podróży utrzymuje stosunki z innymi kobietami? – zapytał delikatnie Patrick.

Oczy Lily wypełniły się łzami. Kilka słonych kropeł skapnęło jej na policzki, gdy potrząsnęła energicznie głową w geście zaprzeczenia.

– Nie. Moim zdaniem on je mordował.

Patrick milczał, ze współczuciem spoglądając na drżącą wciąż ze strachu Lily. Zanim się odezwał, podał jej swoją chusteczkę do nosa.

– Tak mi przykro, że musiałaś radzić sobie z czymś takim sama – powiedział cicho. Lily wytarła oczy i wydmuchała nos. – Wszystko wskazuje na to, że bardzo się pilnował. Dokładnie sprawdziliśmy wszystkie jego zeznania, także te na temat podróży służbowych. Do niczego nie byliśmy w stanie się przyczepić.

– Do niczego? – zapytała Lily, przyciskając chusteczkę do piersi.

Patrick skinął ponuro głową.

– Nie mogliśmy go przyskrzynić, Lily, pomimo imponującego dossier – rzekł cicho. – A teraz, na szczęście, to wszystko jest już historią...

– A jeśli on uweźmie się teraz na Rose? Policjant popatrzył na nią zdziwiony.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że może uznać, iż chce, aby Rose stała się częścią jego życia. Może się zacząć ubiegać o przyznanie praw rodzicielskich.

Patrick zamrugał. Teraz patrzył na Lily, jakby była niespełna rozumu.

– Nie może, Lily – rzekł łagodnie. – Na pewno to zrobi. Chyba o tym wiesz?

## ROZDZIAŁ 10

„Nierozwiązana Sprawa” zakołysała się na fali wywołanej przez potężny liniowiec pasażerski, powodując, że Patrick zachwiał się i uderzył ramieniem w burzę, do której przyczepiona była mapa. Wyjrzał na zewnątrz i wypatrzywszy wielki statek, poczuł ledwie dającą się zdławić chęć, aby odcumować, pognać jego śladem i nawymyślać nieostrożnemu kapitanowi. Nie dało się ukryć, że Patrick Murphy zrobił się ostatnimi czasy bardzo nerwowy.

Spotkanie z Edwardem tylko pogorszyło sprawę. Patrick zamartwiał się w związku z tym, co Lily przeżyła w przeszłości i czego ciągle musiała doświadczać, a w dodatku wciąż miał przed oczami Marisę – nadal na wygnaniu daleko na północy, z dala od domu i ukochanej siostry. Coraz bardziej żałował, że nie udało mu się wsadzić Huntera za kratki, kiedy miał po temu sposobność – to znaczy, miałby, gdyby bardziej się postarał i coś na niego znalazł. Uwierała go świadomość, że Lily i jej bliscy przeżywają piekło, co dzień spodziewając się najgorszego.

Kiedy zadzwoniła jego komórka, odebrał natychmiast.

– Halo!

– Patrick Murphy! Naprawdę ty zostawiłeś mi tę wiadomość?

— Jim Hanley?

– We własnej osobie. Co u ciebie?

– Wszystko dobrze, Jim. Jestem na emeryturze.

– Łapiesz ryby zamiast przestępców? – zażartował Jim.

– Jakbyś zgadł... – Patrick spoważniał. – A ty jak się miewasz?

– Doskonale. Pracuję właśnie nad sprawą korupcyjną – odparł Jim i przez jakiś czas wymieniali uwagi, jak gdyby byli partnerami. Poznali się osiem lat

temu, kiedy Jim dokonał zatrzymania podejrzanego w sprawie o rozbój prowadzonej przez policję stanu Connecticut. Na prośbę detektywa, czyli Patricka właśnie, postarał się, żeby aresztowany trafił do New London bez zbędnej reklamy. Obaj policjanci zapalali do siebie sympatią. – Wybacz, że trochę mi zajęło, zanim odezwałem się do ciebie – Jim w końcu przeszedł do sedna – ale najpierw chciałem to i owo sprawdzić. Jeśli mam być szczery, z początku pomyślałem, że coś pokręciłeś. Twierdziłeś, że Samantha Mahon przebywa w Peru...

– Wysłała ją tam organizacja o nazwie „Global Care” działająca przy uniwersytecie...

– Rozmawiałem z nimi, ale nikt mi nic nie powiedział – Jim wpadł przyjacielowi w słowo – więc odnalazłem Samanthę Mahon w książce telefonicznej i pojechałem pod jej dom. Mieszka w bliźniaku nie tak znów daleko od szpitala.

– Chcesz powiedzieć, że zastałeś ją w domu?

– Otóż to! Spotkałem ją twarzą w twarz. Wróciła z Peru tydzień temu.

Patrick poczuł, jak w żołądku formuje mu się ciężka kula. Marisa mówiła mu, że martwi się o siostrę, parę dni później, a to oznaczało, że Samantha nie powiadomiła jej o swoim powrocie do Stanów. Pomyślał o Marisie i Jessice wypatrujących maili, mających nadzieję, że Sam przyjedzie do Cape Hawk, jeśli tylko zdąży na czas wrócić z wyprawy do Ameryki Południowej – a tu proszę, Samantha Mahon jest już w domu od tygodnia.

– Co od niej usłyszałeś?

– Niewiele. Za to sam musiałem wyjaśnić, dlaczego policja z Baltimore interesuje się miejscem jej pobytu.

– Tak? I co dokładnie jej powiedziałaś?



– Że szuka jej siostra gotowa skorzystać z pomocy policji. Poradziłem jej, żeby się z nią skontaktowała.

– Jak na to zareagowała?

– Powiedziała coś dziwnego – oznajmił Jim.

– Mianowicie?

– Że od dawna nie ma siostry. A potem zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

– Auć – syknął współczująco Patrick. – Bardzo nieładnie z jej strony.

– Zgadza się. No ale rodzinne historie rozgrywają się za zamkniętymi drzwiami. I należą do najpaskudniejszych, z jakimi miałem w życiu do czynienia. Tak to wygląda, jeśli chcesz znać moje zdanie. Podać ci jej adres i numer telefonu czy odpuścisz sobie brnięcie w tę uliczkę?

– Podaj – poprosił Patrick i chwilę potem miał te informacje zanotowane.

– Skoro już rozmawiamy, może zrobiłbyś sobie jutro wolne? Poszlibyśmy na obiad na świeżego homara do jednej z tych knajpek na wybrzeżu. Chętnie posłucham o tej aferze korupcyjnej, nad którą pracujesz. Spotkajmy się w „Pustelniku” o szóstej.

– Nagle masz ochotę na homara? – zapytał ironicznie Jim.

Patrick westchnął.

– Mam znajomą, która okrutnie tęskni za swoją siostrą. Do zobaczenia jutro.

Lily siedziała przy łóżku Maeve. Ciszę panującą w separacie zakłócał tylko cichy szum klimatyzacji i popiskiwanie monitorów, ciemność rozjaśniały ich przytłumione światła. Jakiś czas temu zajrzała tam pielęgniarka, próbując powiedzieć Lily, że godziny odwiedzin dawno się skończyły, jednakże zobaczywszy wyraz jej twarzy, bąknęła coś tylko i wycofała się na korytarz.

Teraz więc Lily siedziała niemal po ciemku i trzymając babcię za rękę, starała się zmusić ją siłą woli do tego, by otworzyła oczy i wybudziła się ze śpiączki. Jakże jej potrzebowała! Jakże łaknęła rady kobiety, którą kochała jak matkę! Maeve Jameson na pewno wiedziałaby, co Lily powinna zrobić. Pewien mężczyzna zadał im obu wiele bólu. A teraz uwziął się na Rose.

– Babciu – szeptała – babciu, proszę cię... Obudź się wreszcie... Nie poradzę sobie bez ciebie...

Maeve poruszyła się, jej usta drgnęły. Lily bardzo chciała wierzyć, że babcia ją słyszy, że ze wszystkich sił stara się przebić kokon nieświadomości. Co ten Edward jej zrobił, do licha?!

Spotkanie z nim doprowadziło ją znów do kresu wytrzymałości nerwowej. Pomimo zapewnień Patricka, że były mąż nie będzie jej więcej niepokoił i że policja ma go cały czas na oku, Lily wyskakiwała ze skóry na każdy najlżejszy dźwięk kroków na korytarzu i wtedy, gdy światła reflektorów samochodowych przesuwwały się szeroką smugą po ścianie za łóżkiem z chorą.

Edward Hunter umiał podchodzić ludzi dosłownie i w przenośni. Potrafił przekonać do siebie każdego, wmówić, że jest dobry i miły. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak słodkimi słówkami mami pielęgniarki strzegące piętra i separatki. Kiedyś czuła się przy nim bardzo bezpieczna. Pozwalała mu się trzymać nocą w ramionach, czerpała otuchę z tego, jak gładził ją po włosach, słuchając opowieści o jej rodzinie, młodości, bezdennym smutku po stracie rodziców.

Pamiętała wciąż, jak leżała w jego łóżku w apartamencie, który wynajmował w Hawthorne, zaledwie tydzień po tym jak wrócili z Waszyngtonu, tuż po świętach. Trzymał ją mocno i słuchał. A ona opowiadała mu o swoim życiu i o malowaniu, o haftowanych obrazach, z których każdy

snuł swoją opowieść. Przedstawiały najczęściej wybrzeże Connecticut – impresjonistów stojących przy sztalugach nad brzegiem Lieutenant River, dzieci bawiące się na plaży Hubbard's Point, żaglówki zimujące w Hawthorne Harbor.

– Uwielbiam opowiadać historie – mówiła – i kocham swoją pracę. Przepadam też za ludźmi, których dzięki niej spotykam.

– Mam nadzieję, że twoja praca jest właściwie wynagradzana – rzekł cicho. Kiedy milczała, pociągnął ją za język, tak że w końcu przyznała, iż całkiem nieźle sobie radzi, malując i sprzedając obrazy do haftowania w ekskluzywnych sklepach z prezentami na całym Wschodnim Wybrzeżu, od Bar Harbor aż do Palm Beach.

On był brokerem w domu maklerskim w Connecticut, będącym filią domu maklerskiego z Wall Street. Powiedział jej, że od ukończenia Harvardu zaczepił się w paru miejscach, ale obecny pracodawca okazał się pod każdym względem najlepszy. Zajmował się wyłącznie najzamożniejszymi klientami, którzy traktowali go raczej jak przyjaciela niż doradcę finansowego. Czasami czuł się jak ich syn.

– Trenuję w małej lidze – dodał. – I uczę w przedszkolu gry w koszykówkę. Staram się, aby dzieciaki dostały to, czego ja nigdy... – Urwał, pocałował ją w czoło z zamyśleniem. Po krótkiej pauzie podjął: – Powiedzmy, że chcę, aby miały lepiej niż ja kiedyś.

– Ale przecież ty studiowałeś na Harvardzie. Zaśmiał się. – Tylko dzięki stypendium, które uzyskałem jako urodzony sportowiec. Moich rodziców nie byłoby stać na opłacenie czesnego. Wierz mi, jedyny college, o jakim starszankowie w ogóle słyszeli, to szkoła, w której moja matka myła podłogi. A ojciec pobierał edukację w więzieniu w Somers.

– Tak mi przykro, nie wiedziałam... – bąknęła zszokowana Mara.

– No cóż, dzięki temu przynajmniej wiedziałem, czego w życiu należy unikać – ciągnął, pocałowawszy ją znowu w czoło. – Tyle dobrego, że nasz ksiądz był przyzwoitym człowiekiem... Zastępował mi ojca, kiedy ten był „niedysponowany”. Od niego się nauczyłem, że jedyny sposób na życie to służba. Służąc innym, służysz Panu i sobie, zwykł powtarzać.

– Jaka ładna maksyma.

– Nie miałem łatwego życia – zwierzał się dalej Edward. Leżał teraz na boku, tak by patrzeć jej prosto w oczy. Czują na sobie jego kochające spojrzenie, miłość przepływającą od niego do niej. – Jako dziecko byłem bity, Maro. Nie będę wdawał się w szczegóły, chcę ci ich oszczędzić.

– Edwardzie!

– Nie skrzywdziłbym muchy – kontynuował, gładząc jej policzek tak delikatnie, jakby była najbardziej kruchą, najbardziej mu bliską kobietą na ziemi. – Z dzieciństwa wyniosłem jeszcze jedną naukę: okazywać łagodność i miłość.

– Jesteś bardzo łagodny – przyznała.

Pokręcił głową.

– Niewystarczająco. Pokaż mi, jak być jeszcze delikatniejszym...

– Nie muszę tego robić – odrzekła poruszona jego szczerością i otwartością. Sama należała do osób niezwykle skrytych, niemniej zdobyła się na to, by opowiedzieć mu o utonięciu swoich rodziców.

– Oboje wiele przeszliśmy – skwitował, przyciskając wargi do jej szyi. Poczują na skórze wilgoć i wiedziała, że Edward stara się opanować wstrząsające nim łkanie. – Nigdy nie spotkałem kogoś, kto by rozumiał mnie tak jak ty – dodał po długiej chwili. – Jakbyśmy byli sobie przeznaczeni...

Jego słowa wprawiły ją w zadumę. Czy na tym właśnie polega miłość? myślała. Że człowiek opuszcza swój ochronny pancerz i zaczyna wierzyć, że świat nie jest jednak takim złym miejscem?

– Kocham cię – usłyszała.

Odpowiedziała mu, nim zdążyła się zastanowić, co robi:

– Ja ciebie też kocham. – Po raz pierwszy w życiu powiedziała to mężczyźnie.

– Chcę być z tobą do końca życia.

Mara poczuła dreszcz podniecenia i strachu zarazem. Czy to nie dzieje się zbyt szybko? myślała spłoszona.

Na ścianie w jego apartamencie wisiała fotografia – piękne stare, utrzymane w kolorach sepii zdjęcie przedstawiające statek rybacki skutym lodem. W oddali majaczyły fiordy, wokół panowała biel. Kiedy zmrużyła oczy, była w stanie odczytać nazwę statku: "Pinnacle". Bardzo lubiła patrzeć na tę fotografię. Pragnęła wierzyć, iż pomimo całego lodu i zimna na świecie, pomimo ciągłej brutalnie mroźnej zimy dwoje ludzi jest w stanie dać sobie wystarczająco dużo ciepła i miłości, aby bezpiecznie i szczęśliwie przeżyć razem życie.

– To statek wielorybiczny mojego prapradziadka – poinformował ją pewnego razu.

– Naprawdę?

Edward pokiwał głową. Zapatrzył się w zdjęcie w ramkach, jakby to były wrota do innego, lepszego świata.

– Edward Hunter był jego kapitanem. To po nim otrzymałem imię. W początkach dziewiętnastego wieku nasza rodzina była bardzo zamożna, szanowana przez wszystkich. Mój prapradziadek był podróżnikiem i odkrywcą.

Niektóre stare mapy pokazują cieśniny w okolicach Ziemi Ognistej nazwane na jego cześć.

– Nie do wiary.

– Czasem oddaję się pod jego opiekę. Kiedy jestem wzburzony, po prostu myślę o nim, jak stoi u steru, przedzierając się przez potworne lody Antarktyki... Nie mam pojęcia, dlaczego nasza rodzina nagle straciła na znaczeniu. Jednego dnia byliśmy wielcy, a drugiego nikt o tym nawet nie pamiętał. Było mi szczerze żal moich rodziców... Jednakże to prapradziadek jest moim kołem ratunkowym i Gwiazdą Polarną.

– Tak samo myślę o mojej babci – rzekła cicho.

– Bardzo chciałbym ją poznać.

Wtuliła się w niego, próbując zwolnić rytm swego serca. Babcia również nalegała na to spotkanie. Kiedy się dowiedziała, że Mara poznała kogoś, była wzniebowzięta, zwłaszcza że wybranek mieszkał niedaleko, w Hawthorne, a nie gdzieś na końcu świata.

– Pewnie uważa, że nie jestem dla ciebie dość dobry...

– Skądże! – zaprzeczyła. – Co też ci przychodzi do głowy. Oczywiście, że jesteś dla mnie dość dobry.

– Dlatego, że jestem brokerem, skończyłem Harvard, a mój prapradziadek był wielorybnikiem?

Zaśmiała się i pocałowała go w usta.

– Nie, nie dlatego. Jesteś dobrym człowiekiem, Edwardzie, i to wystarczy.

Jego reakcja zdumiała ją. Oczy mu się zaszklily, jakby nikt nigdy nie powiedział mu czegoś podobnego. Trzymał ją ciasno w ramionach, aż niemal zabrakło jej tchu.

– Wierzysz we mnie – szepnął. – Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

– Miło mi to słyszeć – odrzekła, czując się poruszona do żywego, ale i trochę niepewna.

– Chcę być z tobą do końca życia – powtórzył. – Do dnia, w którym złożą nasze ciała do jednego grobu.

Te ostatnie słowa zmroziły ją. Mimo to zignorowała swoją intuicję i dzwonki alarmowe, które rozbrzęczały się jej w głowie. Wmawiała sobie, że to co czuje do niej Edward, znacznie wykracza poza wszystko, z czym miała dotychczas do czynienia.

Zdradziła siebie na tyle sposobów!... Ignorując wiele mówiące drobiazgi, oszukując się, że są bez znaczenia, przeganiając z pamięci zimną furię w jego oczach, kiedy trzymali rękę na klamce tej samej taksówki na lotnisku.

Wpatrzona w nieruchomą twarz babci spoczywającej w szpitalnym łóżku, Lily zdumiewała się, jak szybko wszystko się potoczyło i jak często odsuwała na bok większe i mniejsze znaki ostrzegawcze. To na przykład, ile razy Edward zmieniał pracę. Albo jak wydłużały się okresy, kiedy pozostawał w ogóle bez pracy, rzekomo szukając odpowiadającego mu stanowiska. Czy też to, że w końcu dała mu upoważnienie do swojego konta w banku, gdyż łatwiej było pozwolić mu rozporządzać jej pieniędzmi, aniżeli bez przerwy płacić jego rachunki.

Uwagę tuż przed ślubem... „Białe róże są najdelikatniejsze, byle dotyk potrafi zostawić ślad na ich nieskazitelnych płatkach...”.

Patrick Murphy wspomniał coś o imponującym dossier Edwarda. Lily nie знаła materiałów, które zebrała policja, nazbyt dobrze jednak wiedziała, co Edward ma na sumieniu. Podczas ich nocy poślubnej opowiedział jej o swej dawnej dziewczynie, niejkiej Judy Houghton. Nie mieszkali ze sobą

wprawdzie, lecz spędzali razem mnóstwo czasu. Edward zostawał na noc w położonym w Haddam jej olbrzymim wiktoriańskim domu, który Judy odziedziczyła po swojej ciotecznej babce. Któregoś wieczoru Judy udała się pubu. Kiedy wróciła, Edward wyczuł na jej skórze zapach innego mężczyzny. Powiedział jej o tym, co ją bardzo rozzłościło. A potem ją uderzył.

– O mój Boże! – Mara zakryła usta ręką.

– Miała złamaną zuchwę. Jej matka zawiadomiła policję. To było nieporozumienie między mną i Judy, ale tamta zawsze się we wszystko wtrącała. Nie miała o niczym pojęcia, niczego tak naprawdę nie rozumiała, zawsze jednak wtykała ten swój paskudny nos w nie swoje sprawy. Rozeszliśmy się właśnie przez to...

– Ale Edwardzie... – zaczęła i zaraz urwała. Nie wiedziała, od czego powinna zacząć. Dlaczego Edward wspomniał o Judy dopiero teraz? I czemu wybrał na zwierzenia o tym incydencie akurat ich noc poślubną?

– Tobie nigdy bym czegoś takiego nie zrobił – zapewnił szybko. Gładząc ją po twarzy, odsunął zasłaniający jedno jej oko kosmyk włosów. – Proszę, nie martw się o nic ani się mnie nie bój... W niczym nie przypominasz Judy.

– Edwardzie... jakakolwiek ona była i cokolwiek zrobiła, nie zasłużyła na to, byś ją uderzył!

W oczach mu błysło. Przez ułamek sekundy zobaczyła w nich tę samą czerń, którą dostrzegła podczas ich pierwszego spotkania.

– Judy mnie zdradzała – rzekł twardo.

– Mimo to... – Mara wzruszyła ramionami. – Gdyby mężczyzna mnie uderzył, gdyby tknął mnie choćby palcem, nie mówiąc nawet o złamaniu szczęki, zostawiłabym go bez wahania.



Edward wpatrywał się w nią z nadzwyczajnym napięciem. Zaczęła się czuć jak mucha obserwowana przez gekona, który nie zdecydował jeszcze, czy ją zje czy nie. Trwało to zaledwie moment. Zły czar prysnął, kiedy Edward uśmiechnął się do niej. Teraz wiedziała, że miał w zanadrzu cały arsenał uśmiechów. W zależności od sytuacji obdarzał ją promiennym, psotnym wyszczerzeniem zębów albo uwodzicielskim, niezwykle sugestywnym wywinięciem dolnej wargi. Pomiedzy nimi znajdowała się istna gama grymasów. Tamten, którym wtedy ją obdarzył, był czymś w rodzaju zawieszania broni. Prośbą o pokój.

Jednakże linie na piasku zostały już wyznaczone i nie dało się tego cofnąć.

Edward dał jej do zrozumienia, że ma pięści i posłuży się nimi, jeśli go sprowokuje. Ona w odpowiedzi zakomunikowała, że jeśli zdarzy mu się ją uderzyć, opuści go bez chwili zastanowienia.

To czego się wtedy o sobie dowiedzieli, było istotne dla obu stron. Mara niestety mniej skorzystała na tej wymianie informacji. Gdyby nie wyraziła się z taką jasnością na temat tego, co go czeka, gdyby podniósł na nią rękę, zaoszczędziłaby sobie wiele cierpienia. Po prostu któregoś dnia niechcący doprowadziłaby go czymś do wściekłości, a on by ją uderzył. W efekcie dwie sekundy później byłaby za drzwiami i ani myślała do niego wracać. Dzieląc się z nim swymi poglądami na przemoc i tym samym ostrzegając, zmusiła go, aby obmyślił subtelniejsze od bicia sposoby zadawania jej bólu.

Lily zatrzepotała powiekami i skupiła wzrok na postaci Maeve. Od dawna wiedziała, że poślubiając doktora Jekylla, wyszła za pana Hyde'a. Jednakże wiele czasu zajęło jej zrozumienie, że Edward nadweręza jej ducha odrobina po odrobinie, tak że z początku nawet tego nie zauważyła. A później

zawsze udawało mu się ją omamić, utrzymać na niewidzialnej lince, rzucić jej strzępek nadziei, której trzymała się dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Jak mogła być taka głupia?!

Nie miała wątpliwości, że Liam jest inny, że naprawdę się o nią troszczy i dba o Rose. Jednakże w uszach dźwięczały jej słowa Patricka: „Nie może, Lily, ale na pewno to zrobi"... Przez nią wszystkie osoby, które kochała, znalazły się w niebezpieczeństwie. A ona nie miała pojęcia, jak je chronić. Przed oczyma stanęła jej twarzyczka Rose. Jej Rose...

TTLRR

## ROZDZIAŁ 11

W drodze do Baltimore Patrick opuścił w samochodzie szyby, pozwalając, by wiatr chłodził mu twarz. Florę zostawił na przystani pod opieką Angela, dobrego przyjaciela, który już przedtem czasem się nią zajmował, kiedy Patrick musiał gdzieś wyjechać. Tym razem nie miał pewności, jak długo potrwa śledztwo, i wolał nie narażać labradorki na spędzanie długich godzin w zamkniętym nagrzanym wozie. Ale tęsknił za jej towarzystwem, toteż z radością przywitał dzwonek telefonu, który pozwolił mu zająć czymś myśli.

– Edward pokazał się znowu? – zapytał.

– Nie, od tamtego czasu nie – odpowiedział Liam. – Na wszelki wypadek nie pozwalam Rose wychodzić na dwór.

– Bardzo dobrze – pochwalił stary gliniarz.

– Chciałbym już być z Lily w Hubbard's Point – dodał po chwili wahania Liam – ale ona z jakiegoś powodu uważa, że trzymanie Rose z dala od tego miejsca jest bezpieczniejsze...

– Niewykluczone, że ma rację. Edward się nie rozerwie i nie da rady być w dwóch miejscach równocześnie, prawda? Wydaje mi się, że pokazał się wtedy w szpitalu dlatego, że martwi go możliwość wybudzenia się Maeve ze śpiączki. Polepsza jej się, a on się boi tego, co mogłaby powiedzieć.

– Czy coś wskazuje na to, że faktycznie był zamieszany w jej „wypadek”?

– Jeden fragmentaryczny odcisk palca na grzejniku. Ale zeznania Maeve mogłyby wiele wyjaśnić. Dobrze byłoby usłyszeć, co dokładnie wydarzyło się w jej domu, zanim straciła przytomność.

– Czy ona się w ogóle obudzi, Patricku?

Przez kilka sekund Murphy prowadził auto w milczeniu. Wyobraził sobie błyszczące życiem, pełne determinacji oczy Maeve, wspomniawszy to, z jakim uporem chroniła sekret Lily, zachowując się całkowicie altruistycznie przez dziewięć długich lat.

– Ja bym nie stawiał na niej krzyżyka – rzekł cicho.

– Obyś się nie mylił – westchnął Liam. – Także ze względu na Lily.

– Były sobie bardzo bliskie... Ta cała sprawa z pewnością mocno ją dotknęła. A teraz jeszcze musi martwić się tym, co Edward zamierza w związku z Rose. Moim zdaniem powinieneś zostać tam, gdzie jesteś. Przynajmniej na jakiś czas. Pilnuj jej dobrze, Liamie... Nie pozwól mu się do niej zbliżyć.

– Spokojna głowa. – W głosie doktora Neilla zadźwięczały twardsze nutki. – Lepiej dla niego będzie, jeśli zostawi nas w spokoju. Na wszelki wypadek większość dnia spędzamy na łodzi przyjaciela. Nawiasem mówiąc, dlatego właśnie dzwonię.

– O co chodzi?

– Wypatrzyłem na wodzie takiego jednego gościa z Cape Hawk – zaczął powoli Liam. – Nazywa się Gerard Lafarge. To rybak, ale nie cieszy się na północy dobrą reputacją. Ma na koncie odławianie delfinów i wielorybów. Tu, w Rhode Island, mamy teraz do czynienia z pewną anomalią oceanograficzną... Wskutek splotu różnych czynników powstają olbrzymie fale, które wywołują niesłychaną aktywność przy brzegu, mam na myśli pojawienie się gatunków niezwykle dla rejonów przybrzeżnych...

– U nas jest to samo – wtrącił Patrick, mając przed oczami widok tysięcy małych rybek śmigających w zazwyczaj spokojnych i słabo zarybionych wodach zatoczki, przy której cumuje „Nierozwiązana Sprawa”.

– Wprawdzie Lafarge nie ma zarzuconych sieci – kontynuował Liam – a prawo nie zabrania mu pływać po tych wodach, ale... – zawiesił głos. – Ale ja wiem, że za jego obecnością tutaj kryje się jakiś powód, i wiele bym dał, aby go poznać.

– Skontaktowałeś się z kimś z Cape Hawk?

– Tak. Rozmawiałem już z moim kuzynem, ale nie umiał mi powiedzieć nic konkretnego.

Widząc na horyzoncie panoramę Baltimore, Patrick włączył kierunkowskaz, aby znaleźć się na zewnętrznym pasie i móc w każdej chwili skorzystać z nadarzającego się zjazdu do miasta. Zwolniwszy, rzucił okiem na siedzenie pasażera, na którym leżała kartka z adresem zapisanym po rozmowie z Jimem.

– Posłuchaj... Znosi się na to, że sam będę musiał pojechać do Cape Hawk w najbliższych dniach. Jeśli rzeczywiście tam dotrę, rozejrzę się, dobra?

– Byłbym ci bardzo zobowiązany – odetchnął z ulgą Liam. – Wybierasz się na festiwal?

– Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli – rzekł z zadumą Patrick, starając się jechać według wskazówek Jima – osobiście dostarczę na miejsce jednego z biorących w nim udział muzyków.

Liam życzył mu powodzenia i pożegnali się. Ledwie Patrick zjechał z trasy międzystanowej, zaczął znów czuć ocean. Być może dlatego pomyślał o Marisie, o tym, jak konsekwentnie przesuwała się wzdłuż linii brzegowej Atlantyku przez całe swoje życie. Z Newport na południu do Baltimore, potem

jeszcze dalej na północ, do Bostonu, i w końcu do Cape Hawk. Patrick także nie potrafił żyć bez zapachu morskiej wody w nozdrzach. Czuł, że naprawdę żyje tylko wtedy, gdy płuca wypełniało mu słone powietrze. Jakby od nowa pobudzony do działania kluczył wąskimi ulicami, aż wreszcie znalazł się pod wskazanym przez Jima adresem.

Ujechał jeszcze kawałek, szukając miejsca parkingowego, o co było niełatwo, gdyż w pobliżu znajdował się duży szpital i kto miał w nim coś do załatwienia, dla wygody zostawiał auto w bezpośredniej jego bliskości. Budynki stojące przy bocznej uliczce były dwurodzinne, zadbane, z małymi frontowymi ogródkami i drewnianymi gankami. Na chodniku po obu stronach jezdni bawiły się chmary dzieciaków, a starsi ludzie wygrzewali się na ławeczkach. Patrick wysiadł z samochodu, wrócił do numeru sześćdziesiątego czwartego przy Fish Street, wszedł po stopniach prowadzących na werandę i zapukał do drzwi.

Czekając, aż ktoś mu otworzy, czuł walące mocno serce – zupełnie jak kiedyś, gdy był na tropie, a stawka była naprawdę wysoka. Kiedy czekanie przedłużało się, spróbował zajrzeć przez szybkę w drzwiach. Częściowo przesłaniała ją koronkowa firanka. Murphy umiał docenić precyzyjną robotę, lecz tym razem skupił się raczej na tym, co było dalej, we wnętrzu domu. Niewiele jednak wypatrzył. Zauważył za to, że choć większość domów przy tej ulicy może się poszczycić ładnie utrzymanymi ogródkami albo przynajmniej skrzynkami z kwiatami w oknach, ten, przed którym stał, był pozbawiony tego rodzaju upiększeń. Doszedł do wniosku, że Samantha rzeczywiście sporo podróżuje i po prostu nie ma czasu, aby zajmować się roślinami.

W końcu musiał się poddać. Drzwi pozostały zamknięte na głucho. Wrócił do samochodu i spojrzał na zegarek. Z Jimem był umówiony na szóstą,

miał więc jeszcze trochę czasu. Ruszył w wolny objazd po mieście, bezwiednie kierując się w stronę szpitala. To tutaj Marisa zdobywała pielęgnarskie szlify. Uświadomiwszy to sobie, uważniej przyjrzał się monumentalnemu budynkowi z czerwonej cegły. Był ciekaw, ilu osobom Marisa pomogła.

Nagle pomyślał, że być może Samantha wróciła do pracy. Nie miał pojęcia, co w przeszłości zaszło pomiędzy siostrami, i prawdę powiedziawszy, nie był to jego interes. Zastanowił się nawet, co on u licha tam robi. Zaraz jednak stanęła mu przed oczami twarz Marisy. Poczuł się, jakby znów był w Cape Hawk. Potem przypomniał sobie ten koncert przez telefon. Pogrążony we wspomnieniach jechał dalej przed siebie.

„Pustelnik” mieścił się przy Inner Harbor. Patrick zaparkował w pobliżu i przeszedł uliczką wysadzaną kocimi łbami, by zniknąć w hałaśliwym wnętrzu. Obrzucił wzrokiem bar i salę i wyłuskawszy Jima siedzącego w głębi, zrobił krok w tamtą stronę. Przedzierając się przez gęsty tłum, zauważył, że przy stoliku siedzi ktoś jeszcze. Jack O'Brien – zastępca prokuratora okręgowego, który parę lat temu okazał się dość pomocny podczas prowadzenia pewnej sprawy.

– Cześć, Patrick! – krzyknął Jim. – Dobrze cię znów widzieć!

– Ciebie również. – Wymienili uścisk dłoni. – Witaj, Jack, co u ciebie?

– Po staremu, Pat – odparł urzędnik prokuratury.

– Jim wspomniał, że będziesz w mieście, więc pomyślałem sobie, że się do was przyłączę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? Trochę czasu upłynęło... To prawda, że przeszedłeś na emeryturę?

– W samą porę – wyszczerzył zęby w uśmiechu Patrick.

– Za dużo roboty policyjnej, za mało prawdziwego życia, wiesz, jak to jest...

Przez paręnaście minut wspominali dawne czasy; Murphy poinformował kolegów, że podejrzany w tamtej sprawie, przy której razem pracowali, nadal tkwi w więzieniu w Somers, odsiadując piętnastoletni wyrok za napad na bank, oni zaś zapytali o postępy w sprawie Mary Jameson i dowiedzieli się, że nieoczekiwanie powróciła do świata żywych pod nowym nazwiskiem. Tymczasem podszedł do nich kelner i przyjął zamówienie. Mężczyźni popijali swoje drinki, spoglądając na zatoczkę i gawędząc.

– Zatem jesteś na emeryturze – zagaił Jim. – Jak na emeryta wydajesz się dość aktywny...

Murphy obruszył się.

– To nie tak... Po prostu próbuję odnaleźć zagubioną siostrę mojej znajomej.

– Taa... Jim powiedział mi, że szukasz jednej z sióstr Mahon – odezwał się Jack. – Upadłe Anioły...

– Znasz je?

– Kiedyś znałem. Ale ich muzykę wciąż mam w uszach, mimo że minęło tyle czasu. Grały w jednym pubie niedaleko sądu. Pamiętam, że podkochiwała się w nich połowa glin i prawników... Mój kumpel chodził nawet z Samantha przez jakąś chwilę już po tym, jak Patty się wyprowadziła.

Starając się to czynić bardzo taktownie, Murphy pociągnął dawnego znajomego za język. Okazało się, że Sam Mahon zaczęła się w klinice po ukończeniu szkoły i dołączyła do zespołu pielęgniarek mającego w planach wyjazdy do Ameryki Południowej, Afryki i na Daleki Wschód, to znaczy wszędzie tam, gdzie byłyby akurat potrzebne, pod warunkiem że znajdą się fundusze na daleką podróż.



– Okrutnie tęskniła za siostrą – ciągnął Jack. – Utkwiło mi to w pamięci, bo pomyślałem sobie, że są jak dwie papużki nierozłączki. Słyszałem, że Samantha zapisała się do szkoły pielęgniarstwa dlatego, że jej starsza siostra już tam była. Wydawały się sobie naprawdę bliskie. Może więc nic dziwnego, że kiedy Patty wyszła za mąż i przeprowadziła się do Bostonu, jej siostrze nie było lekko.

– Przestała grać, kiedy została sama? – zapytał Patrick.

O'Brien pokiwał głową.

– Sięgała po skrzypce tylko wtedy, gdy siostra przyjeżdżała z wizytą. Dały nawet kilka wspólnych występów. Jak zwykle wywołały furorę.

– Co było potem?

– Hm... Zdaje się, że zmarł pierwszy mąż Patty, a ona wyszła za kogoś drugiego. Pośpieszyła się, takie krążyły plotki. Trafił jej się prawdziwy dupek. Samantha go nie lubiła. Nie podobało jej się to, co robił jej siostrze.

– Bił ją? – Jim włączył się do rozmowy.

Patrick napił się coli. Pomyślał, że gliniarzy zjada rutyna. Zawsze pytają, czy mąż bił żonę, jakby jedyną krzywdę można wyrządzić rękami.

– Nie – odpowiedział za prokuratora.

– Ano właśnie, ty ją ponoć znasz – zainteresował się Jim.

– Tak – przyznał Murphy. – Właśnie przez nią znalazłem się znów w Baltimore. Bardzo tęskni za siostrą, zwłaszcza że tam gdzie teraz mieszka, w Nowej Szkocji, odbywa się właśnie festiwal muzyki celtyckiej. Zależy jej, żeby siostra przyjechała do niej, by mogły razem wystąpić.

– Chętnie bym ich znowu posłuchał – rozmarzył się Jack. – Mam żonę, dwójkę dzieciaków, jestem szczęśliwym ojcem rodziny, ale z ochotą bym sobie przypominał, jak to było roztapiać się jak wosk przy dźwiękach ich muzyki...

A propos... – sięgnął do kieszeni i wyjął kasetę, którą położył na stole i pchnął w kierunku Patricka.

– Co to?

– Bootleg nagrany w „Blarney Stone” podczas obchodów Dnia Świętego Patryka wiele lat temu. Zachowałem go, ale odkąd się ożeniłem, nieczęsto miałem okazję posłuchać. Z jakiegoś powodu moja pani uważa, że Upadłe Anioły grają zbyt seksownie jak dla jej męża. Bierz i niech się raduje serce twoje.

– Dzięki. – Patrick z lekkim wahaniem schował kasetę do kieszonki koszuli.

Przy akompaniamencie krzyków mew dochodzących od strony portu kelner postawił przed nimi zamówione potrawy. Na wielkim talerzu piętrzyły się raczyńce, w trzech wiklinowych koszykach podano frytki, a w miseczkach sałatkę coleslaw. Trzej mężczyźni równocześnie sięgnęli po knyple, żeby rozbić twardy pancerz skorupiaka. Jedząc, rozmawiali o tym, co przez lata wydarzyło się w ich życiu, o swoich rodzinach i prowadzonych sprawach. Po skończonym posiłku i jeszcze kilku kolejkach drinków Patrick serdecznie podziękował im za spotkanie i wyraził nadzieję, że niebawem znów się spotkają.

Wracając na Fish Street, słuchał muzyki nagranej na kasecie, którą otrzymał od Jacka O'Briena. Z głośników rozbrzmiewały słodkie, pełne uczucia dźwięki dwojga skrzypiec, w pewnym momencie zastąpione przez głosy sióstr a capella. Śpiewana przez nie piosenka nosiła tytuł „Cliffs of Dooneen”.

Patrickowi zmiękły kolana. Pozwalając, by wiatr targał mu włosy, przysłuchiwał się głosowi Marisy śpiewającej w duecie z siostrą. Zachwycała

go harmonia, wstrząsnął nim potężny ładunek emocjonalny tej znanej każdemu Irlandczykowi piosenki. Poczul się tak, jakby Marisa była tuż obok niego, jakby sączyła romantyczne słowa wprost do jego ucha. Jakość nagrania była dość kiepska, ale czego innego mógł się spodziewać po bootlegu? W tle rozbrzmiewał brzęk kieliszków i rozmów bywalców baru, nic jednak nie było w stanie zagłuszyć niesłychanej tęsknoty w jej głosie.

Równie dobrze mogłaby śpiewać o Cape Hawk – o wysokich klifach, wzgórzach, wodnej mgiełce. Niemal widział ją, jak stoi w drzwiach swojej chaty; niemal czuł ją w ramionach. Jak bardzo by się ucieszyła, gdyby faktycznie do niej przyjechał, przywożąc Samanthę? Na pewno czułaby radość nie mniejszą niż on, gdyby zdecydował się to dla niej uczynić.

Znalazłszy miejsce parkingowe dwie przecznice dalej, zanim wysiadł z samochodu, wyjął z odtwarzacza kasetę i włożył ją do kieszonki na piersi. Miał nadzieję, że przyniesie mu szczęście. Potem skierował się znów do domu oznaczonego numerem sześćdziesiąt cztery. Już podchodząc, zauważył, że w środku pali się światło. A kiedy zapukał, niemal od razu rozległy się kroki w holu.

Po paru sekundach drzwi otworzyła mu kobieta. Włosy miała o kilka odcieni jaśniejsze niż Marisa – były koloru pszenicznego złota – jednakże Patrick rozpoznał ją bez trudu. Rodzinne podobieństwo było uderzające. A te oczy... Łagodne, zaciekawione, z pobłyskującymi swawolnymi iskierkami. Ani przez moment nie wątpił, z kim ma do czynienia.

- Dzień dobry – przywitała go.
- Dzień dobry – odparł. – Nazywam się Patrick Murphy.
- Porządne irlandzkie imię i nazwisko – uśmiechnęła się.
- Czy mam przyjemność z panią Samanthą Mahon?

– Tak. Samantha Mahon to ja. W czym mogę panu pomóc?

– Mogłaby pani na przykład zagrać coś dla mnie...

Roześmiała się, ale w jej oczach pojawił się sceptycyzm.

– Doprawdy? A czy my się znamy?

– Pani mnie nie zna.

– W takim razie...

– Jestem znajomym pani siostry – dodał szybko.

– Czy u niej wszystko w porządku? I u Gracie też? – Pytania padły błyskawicznie, niemal zanim zdążyła pomyśleć.

– Obie mają się świetnie – zapewnił z uśmiechem. – Tylko że ja mówię na Gracie Jessica.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Przyglądała mu się teraz uważnie, mrużąc powieki. Zęby mimowolnie zacisnęła, podobnie jak palce na klamce, jak gdyby po to, żeby w każdej chwili móc zamknąć mu drzwi przed nosem.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – zapytała podejrzliwie.

– Pani siostra bardzo by chciała, żeby przyjechała pani do niej do Nowej Szkocji... do Cape Hawk – uściślił. – Myśli, że jest pani nadal w Peru, i wypatruje wiadomości z serca dżungli.

– To sprawa między mną a moją siostrą – rzekła drżącym z emocji głosem. – Myślę, że powinien już pan pójść.

– Proszę cię, Sam...

Jednym pociągnięciem ręki przymknęła drzwi. Znalazła się za ich skrzydłem, tak że nie mógł zobaczyć jej twarzy. Przez koronkową firankę także nie było nic widać. Słyszał jednak wyraźnie jej przyśpieszony oddech. Nieomal czuł, jak próbuje podjąć decyzję.

– Czy pan i ona... Czy jesteście parą? – zapytała zza drzwi.

Patricka zdziwiła ta bezpośredniość.

– Nie – odparł zmieszany. – Jestem po prostu jej znajomym.

Nadal się wahała, ale swoją odpowiedzią, zdaje się, wytrącił jej broń z ręki. Otworzyła drzwi na oścież i wpuściła go do holu.

Salon, do którego przeszli, był niewielki. Mieścił tylko kanapę i dwa fotele. Wskazała mu ręką jeden z nich, po czym usiadła w drugim. Obserwował ją, jak przysiada na samym brzeżku, nadal niepewna. Aby ją uspokoić, rozejrzył się po pokoju. Całe pomieszczenie udekorowane było różnymi kolorowymi pledami czy też ponchami, najwyraźniej przywiezionymi z zagranicznych wypraw. Futerał na skrzypce spoczywał na szczycie biblioteczki.

Na ścianach zaś wisiały liczne fotografie w ramkach. Wiele z nich przedstawiało Marisę.

Patrick zaczerpnął do płuc powietrza i spojrzał Samancie prosto w oczy.

– Mieszkałyście tu kiedyś razem? – zapytał, mając w pamięci słowa Jacka O'Briena.

– Tak. Właściwie najpierw to było jej mieszkanie. – Wskazała kolejno na mały mahoniowy stolik, świecznik z brązu, kryształową figurkę sowy. – Ta figurka to pozostałość po kolekcji kryształów naszej babci – wyjaśniła – a świecznik i stolik Patty kupiła, kiedy się tu sprowadziła. Po to, żeby poczuć się doroślej i nadać temu miejscu przytulną atmosferę. Do Baltimore przyjechałam z jej powodu. Pielęgniarką zostałam też przez nią...

– Brałaś wzór ze swojej starszej siostry.

– Można tak powiedzieć.

– Ona za tobą tęskni, Sam.

Popatrzyła w dół, na czubki swoich stóp. Patrick przyglądał się jej, kiedy próbowała nad sobą zapanować, i nie mógł wyjść z podziwu, jak bardzo jest podobna do Marisy. Ten sam kształt twarzy – owalny, z wysokimi kośćmi policzkowymi; ta sama jasna piegowata cera; zielone oczy; szerokie, pełne wyrazu usta. Różniły je tylko włosy. Marisa miała ognieście rude, podczas gdy Samantha mieniły się odcieniami miedzi.

– Jestem pewna, że masz dobre intencje – rzekła cicho – ale nie wiesz, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi.

– Więc może mi powiesz?

Przechyliła głowę, otworzyła lekko usta. Już myślał, że każe mu pilnować własnego nosa, lecz zaskoczyła go.

– Jak mam to wytłumaczyć komuś, kto zna ją od niedawna? – zaczęła z namysłem. – Patty bardzo się zmieniła. Kiedyś miała wszystko pod kontrolą. Żałuj, że jej nie widziałeś, jak uwija się na izbie przyjęć w nocy, jak praktycznie zawiaduje całym oddziałem za dnia. Była niezwykle utalentowana... Wiem, że to brzmi dziwnie w uszach kogoś spoza branży, ale potrafiła umieścić wenflon w żyłę pacjenta, tak że się nawet nie zorientował, co się dzieje. Umiała uspokajać przerażone dzieci, wywoływać na ich buziach uśmiech w chwili, kiedy chirurg zakładał im szwy. Darzyła miłością każdego, kim się zajmowała, a pacjenci odwzajemniali tę miłość.

Patrick słuchał, wierząc w każde jej słowo. Sprzed jego oczu nie zniknęła twarz Marisy.

– Pomagała założyć „Horyzont”. To dom pomocy dla niezamożnych kobiet i ich dzieci, położony niedaleko kliniki. Ogólnie przeznaczony dla ludzi, którzy potrzebują pomocy medycznej, a nie mogą sobie na nią pozwolić. –

Mówiąc, Samantha nie odrywała wzroku od czubków swoich stóp. Kiedy w końcu podniosła oczy na Patricka, dostrzegł w nich łzy.

– Byłam z niej taka dumna... – szepnęła.

– Czy to dlatego zajmujesz się tym, czym się zajmujesz? – spytał delikatnie.

– Ktoś musi to robić – odrzekła krótko.

– Chodzi ci o to, że odkąd Marisa porzuciła posadę pielęgniarki...

Przerwała mu prychnięciem.

– Marisa! – sarknęła. – To zwykle przydomek nadane jej przez wstawionego chłopaka imieniem Bono podczas wycieczki po Paryżu.

– Ona używa go teraz z całkiem innego powodu.

– Nieprawda – zaprzeczyła żywo. – To jej pseudonim. Wiesz, na czym polega największa ironia? Że założony przez nią „Horyzont” pomaga maltretowanym kobietom. Moja siostra знаła problem od podszewki, a i tak pozwoliła to sobie zrobić.

– I co, nie możesz jej tego wybaczyć? – Pytanie zadał tonem ostrzejszym, niż zamierzał, i Samantha poderwała głowę, jakby uderzył ją w policzek.

– Nie masz o niczym pojęcia – powiedziała gniewnie. – Nie wiesz nic o mojej siostrze i o mnie, o tym, co nas łączyło... – Twarz jej poczerwieniała, łzy zawisły na rzęsach.

– W takim razie opowiedz mi. Proszę.

– Byłyśmy sobie bardzo bliskie – podjęła. – Wszystko sobie mówiłyśmy. Jeśli potrzebowałam jej, wsiadała w pociąg i była u mnie, zanim się obejrzałam. Kiedy Paul, to znaczy jej pierwszy mąż, zmarł, wzięłam miesięczny urlop i pojechałam do niej i do Gracie. Byłyśmy sobie wtedy

potrzebne. Kochałam Paula jak własnego brata. – Z trudem powstrzymywała płacz.

Patrick siedział bez ruchu, kiedy podnosiła się, podchodziła do ściany i zdejmowała z haczyka jedną z fotografii w ramce. Drgnął dopiero, gdy mu ją wręczyła. Zdjęcie przedstawiało Marisę jako pannę młodą i stojącą za nią Samanthę – jej druhnę. Uwieczniony na kawałku celuloide mężczyzna musiał być wspomnianym Paulem, pierwszym mężem Marisy. Pan młody był wysoki, blondwłosy, pełen życia i radości. Po chwili miejsce tego zdjęcia w jego dłoniach zajęło następne – tym razem dwie siostry wspólnie trzymały zawiniątko z niemowlęciem.

– Moja siostrzenica – oznajmiła, ocierając oczy z łez.

– Kochałam ją, jak gdybym to ja ją urodziła. Jestem jej matką chrzestną i zapewniam cię, że nikt nigdy nie brał tej roli równie poważnie jak ja.

– Nie wątpię, że to prawda – rzekł Patrick, widząc, z jakim natężeniem kobieta wpatruje się w maleństwo na zdjęciu.

– Po śmierci Paula moja siostra była całkowicie bezbronna. Bałam się, że poprzestawiają jej się klepki w głowie. Wiem, o czym mówię, bo byłam wtedy przy niej. Sytuacja ją przerosła. Dlatego bez wahania zostałam z nią przez cały miesiąc. Kręcił się koło niej taki jeden doradca inwestycyjny...

– Edward Hunter – wtrącił Patrick, sztywniejac.

Samantha spojrzała na niego zdziwiona.

– My mówiliśmy na niego Ted. Czyżby on również zmienił imię? Znałeś go? – zarzuciła go pytaniami.

– Owszem. Byłem wtedy detektywem, a on podejrzanym w sprawie, którą prowadziłem.

– Zatem nie muszę się nad nim rozwodzić.



Pokręcił głową.

– Niestety, poznałem go aż za dobrze.

– Wykorzystywał ludzi. Powstrzymałam się, żeby jej tego nie powiedzieć, bo wydawała się z nim taka szczęśliwa. Cóż, pojawił się we właściwym momencie... Kiedyś usłyszałam od niej, że Ted pomaga jej pozbierać się do kupy. W rzeczywistości zrobił coś zupełnie innego. Zamienił jej życie w pas gównianych udręk – zażartowała ponuro.

– Sądzisz, że nie posłuchałaby twojej rady?

– Ona wtedy już nawet ze mną nie rozmawiała! – W jej zielonych oczach zabłysnął ogień. Nie odrywała spojrzenia od zdjęcia, na którym była ona, jej siostra i siostrzenica. – To przez niego straciłyśmy kontakt. Najpierw przestała do mnie dzwonić. Potem unikała moich telefonów. Gracie musiała mi mówić, że jej matka leży w łóżku cała zapłakana. Prosiłam, żeby ze mną porozmawiała, ale ignorowała moje prośby. Jeśli jakimś cudem udało nam się zamienić dwa słowa, udawała, że wszystko jest dobrze. Że ona ma się świetnie, Gracie nic nie grozi, a Ted jest wspaniały i stanowią szczęśliwą rodzinę. Robiło mi się od tego niedobrze.

– Musiałaś bardzo się o nią martwić.

– Martwiłam się, to prawda, ale byłam też na nią wkurzona. Zastanawiałam się nawet, czy nie powinnam pojechać i zabrać Gracie do siebie. W końcu byłam jej chrzestną, czułam się za nią odpowiedzialna.

– Życie pokazało, że byłoby to nie najgorsze rozwiązanie.

Samantha jakby go nie usłyszała.

– Nadszedł dzień, że moja siostra nie chciała mnie widzieć na oczy. Trzymając mnie z dala od siebie, była w stanie obronić swoją bajeczkę o Tedzie. On ją krzywdził, a ona go broniła. Czy to nie koszmar?

– Nie bądź dla niej niesprawiedliwa. Ona także przechodziła piekło – zauważył Patrick.

Popatrzyła na niego zimno.

– Na własne życzenie – syknęła.

– Sama na to wpadłaś?

– O co ci chodzi? – zaperzyła się.

– Pielęgniarka – pokręcił głową i zacmokał. – Siostra miłosierdzia niosąca pomoc kobietom na całym świecie. Czy twoja siostra nie była jedną z nich?

– Siostra, którą znałam i kochałam, zniknęła. Patty przestała istnieć,

– Skąd ta pewność? Nie widziałaś jej od tak dawna...

– Bo nie mogę się z nią zobaczyć! Nie wyobrażam sobie, że mogłabym stanąć oko w oko z kobietą, która boi się własnego cienia i uczy swoją córkę tego samego.

– Niektórzy tak reagują na przeżyty traumę – powiedział ostrożnie Patrick. – Dlatego tym bardziej potrzebują bliskich w zasięgu ręki. Ponoć muzyka łagodzi obyczaje – dodał po chwili.

Samantha potrząsnęła głową i Patrick dostrzegł w tym geście odbicie uporu jej płomiennorudowłosej siostry.

– Tegoroczny festiwal wspaniale się zapowiada. Będzie ostra rywalizacja, a twoja siostra ma zamiar wziąć w niej udział. Czy tak twoim zdaniem zachowuje się kobieta bojąca się własnego cienia?

– Nigdzie nie jadę – rzekła Samantha nieustępliwie.

Patrick westchnął. Widział, że okopała się na swoich pozycjach, a doświadczenie podpowiadało mu, że nie ma sensu próbować jej stamtąd

wyciągać. Wstając, raz jeszcze rzucił okiem na zdjęcie sióstr i nagle podjął decyzję.

– Masz w domu magnetofon?

– Dlaczego pytasz?

W odpowiedzi tylko przechylił głowę, a ona wzruszyła ramionami. Sięgnął do kieszonki na piersi i wyciągnął kasetę. Nic nie mówiąc, włożyła ją do odtwarzacza i wcisnęła klawisz PLAY. Rozległy się dźwięki muzyki i Upadłych Aniołów.

*Możecie wybrać się daleko, za progi domu rodzinnego,*

*Za szczyty gór wysokich, za fale morza spienionego,*

*Ale nigdzie na tym świecie*

*Miejsca takiego nie znajdziecie,*

*Jak klify mojego Dooneen.*

Patrick patrzył, jak łzy płyną z oczu Samantha, i czuł pieczenie pod powiekami. Pomyślał przelotnie, czy to możliwe, żeby pamiętała tamten wieczór, kiedy ona i jej siostra śpiewały w „Blarney Stone”. Nie miał wątpliwości co do tego, że słyszy pobrzmiewającą za nutami harmonię, która połączyła je w młodości. Dostrzegł, jak Samantha raz jeszcze zerka na zdjęcie, a potem na futerał ze skrzypcami.

Odchrząknawszy lekko, Patrick podał jej swoją wizytówkę.

– To na wypadek, gdybyś jednak zmieniła zdanie. Wybieram się do Cape Hawk już za parę dni.

– Dziękuję – powiedziała i odłożyła kartonik na stół z mahoniu. Nie uśmiechnęła się nawet.

Patrick z całej duszy chciał odzyskać kasetę, ale Samantha nawet nie drgnęła, aby wyjąć ją z magnetofonu. Uznał, że jej będzie bardziej potrzebna.

Pożegnali się więc i rozstali. Kiedy szedł do samochodu, czuł na swoich plecach jej wzrok. Za nim pośród nocy rozbrzmiewała muzyka, którą wciąż miał w uszach, gdy opuszczał Baltimore.

TTLR

## ROZDZIAŁ 12

Po powrocie do domu Lily natychmiast poszła popływać. Słona woda chłodziła jej skórę, obmywając ciało i oczyszczając umysł. W wodach zatoki czuła się znów blisko Liama i Rose. Unosiła się na niewielkich falach, wyobrażając sobie, że nadeszły ze wschodu, od otwartego oceanu, i że musiały zahaczyć o Rhode Island.

Małe rybki łaskotały ją po nogach, ale jej to nie przeszkadzało. Powitała je chętnie, myśląc, że są częścią fenomenu Widmowych Wzgórz. Może nawet zapowiadały pojawienie się Nanny. Lily przymknęła oczy i oddała się rozważaniom, czy wszystko nie powróciłoby do normy, gdyby zobaczyła znów ukochaną białuchę Rose. Potrzebowała wpływu magicznego wieloryba na ich życie, by odzyskać pewność, że wszystko będzie dobrze.

Wyszła z wody i wytarła się do sucha. Przysiadła na stopniach ganku, lecz zaraz się poderwała na odgłos kroków. Edward mógł wrócić w każdej chwili, to była tylko kwestia czasu. Jednakże kiedy już wysunęła głowę z ramion i spojrzała ponad wysokimi krzewami róż, zobaczyła, że w jej stronę zmierzają Tara i Bay. Obie były ubrane w koszulki, szorty i tenisówki, a w rękę trzymały rakiety do tenisa.

– Pora sprawdzić, czy nie zaśniedziałaś na tej północy! – zawołała do niej Tara. – Masz gdzieś tutaj swoją starą raketę? Zaraz się przekonamy, czy ćwiczyłaś bekhend.

– Przecież jest już prawie ciemno! – odkrzyknęła Lily.

– Odkąd wyjechałaś z Hubbard's Point – powiedziała Bay, podchodząc – wiele się tutaj zmieniło. Jedną z tych zmian jest nowe oświetlenie na kortach tenisowych.

– No już – ponagliła ją Tara. – Żadnych więcej wymówek. Idziemy pograć.

Lily zapatrzyła się na wodę, na linię horyzontu. Czuła się skonana. Wiele godzin spędziła, czuwając przy Maeve, która nadal nie wybudziła się ze śpiączki. Zżerała ją tęsknota za córeczką. Rozpaczliwie pragnęła bliskości Liama, jej prawdziwej miłości. Nie, nie mogła znów wychodzić z domu...

– Chyba jednak będziecie mi musiały wybaczyć – powiedziała słabo.

– Lily – próbowała jej przemówić do rozsądku Tara. – Jeżeli cokolwiek zmieni się w stanie Maeve, szpital natychmiast się z tobą skontaktuje. Podałaś im przecież numer komórki. Podobnie jak Liamowi, który wie, jak cię znaleźć, gdyby zaszła potrzeba. Gdyby Rose cię potrzebowała...

„Gdyby Rose cię potrzebowała”... Lily wiedziała, że Rose potrzebuje jej bezustannie – tak samo jak ona jej.

Co ja robię z dala od nich? pomyślała z nagłym przerażeniem.

– Nie będziemy grały długo – namawiała ją Bay. – Ot, pół godzinki.

– Jeśli się zmęczysz, będzie ci się lepiej spało – dodała Tara, ciągnąc ją za łokieć.

– No dobrze... – zgodziła się niechętnie Lily. – Dajcie mi się przebrać i odszukać rakietę.

Kiedy była gotowa, wszystkie trzy ruszyły w górę po stopniach. Hubbard's Point powoli spowijał mrok. W nasyconym solą powietrzu unosił się upojny zapach róż, kapryfolium i igieł sosnowych. Wiał lekki wietrzyk, ciepły, lecz z chłodniejszą nutą zapowiadającą rychły koniec sierpnia i początek jesieni. Nad ich głowami powoli zapalały się gwiazdy, jakby odzwierciedlały to, że ludzie w domach i chatkach zaczęli włączać światło.

Z każdym krokiem Lily ubywało lat. Maszerując wzdłuż dróg i drózek cypla, znów czuła się małą dziewczynką. U swego boku miała tak jak niegdyś dwie najlepsze przyjaciółki. Babcia ją kochała i roztaczała nad nią opiekę. Nic złego nie mogło się stać.

Na kortach tenisowych było pusto. Oświetlenie może było nowe, ale nawierzchnia ta sama co zawsze. Asfaltowa, nic specjalnego. Teren ten leżał na piaszczystym końcu sporego parkingu i z powodu bezpośredniej bliskości wody często ulegał zalaniu. W asfalcie pojawiały się pęknięcia i dziury, które obsługa kortów łatała jak mogła. Tara pewnie podeszła do

drewnianej skrzynki przymocowanej do wysokiego słupa. Otworzyła drzwiczki, włożyła rękę do środka i coś przekręciła. Na kortach zrobiło się jasno.

– Niech stanie się światłość – rzuciła.

– Niewiarygodne – zachwyciła się Lily. – Naprawdę nie mogę uwierzyć, że komuś chciało się modernizować to miejsce. W dzieciństwie często grałyśmy po ciemku. Prawie nie widziałyśmy piłki, lecz mimo to świetnie się bawiłyśmy i za nic nie chciałyśmy wracać do domu. Tak wiele się zmieniło...

– Ale wiele też zostało po staremu. – Bay objęła ją krótko. – Wciąż miło spędzamy czas.

Lily pochyliła się i udała, że wiąże rozsypłaną sznurówkę.

Nie chciała, żeby Bay zobaczyła wyraz jej twarzy. Lily było bardzo daleko do miłego spędzania czasu w ostatnich dniach.

– Zagramy w nierównego debła? – zaproponowała Tara. – Ty i ja przeciwko Bay.

– Jasne. Czemu nie. – Prostując się, Lily wzruszyła ramionami. – Skoro tego właśnie chcesz...

– Tego chcę – potwierdziła Tara i także objęła przyjaciółkę, mocno ją ściskając. Potem podała jej piłkę.

Lily podbiegła do linii serwu. Wysokie latarnie rzucały długie cienie na szary w sztucznym świetle asfalt. Linie jednak były wyraźnie widoczne, musiano je niedawno odświeżyć, bo połyskiwały srebrzyście. Bay odbiła zreźnie posłaną na jej połowę piłkę. W oddali, na moczarach, zahuczała sowa. Był to dziwny, przejmujący do szpiku kości dźwięk.

– Jesteście gotowe? – zawołała Bay, przymierzając się do kolejnego uderzenia. – Na pewno jesteście gotowe?!

– Dawaj! – Tara postukiwała dłonią o raketę, schodząc z drogi skupionej Lily. – Pokażemy ci, kto tu potrafi grać!

Bay znowu bez problemu poradziła sobie z piłką. Lily zeszła z linii strzału. Bach! Tara odebrała piłkę z bekhendu. Widząc wymach Bay, Lily poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić, i przykucnęła, aby się skoncentrować. Choć minęły lata, odkąd ostatni raz grała w tenisa, wszystko przypomniało jej się w ciągu zaledwie dziesięciu sekund. Niesłychane, zważywszy, że miała ponad dziewięcioletnią przerwę! Nie trzymała rakiety tenisowej w dłoni, odkąd się dowiedziała, że jest w ciąży z Rose. Wcześniej jednak niezliczone razy grywała – właśnie tutaj – z koleżankami, pozwalając, by ramiona omdlewały jej ze zmęczenia. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak często przychodziły na korty. Lily wprost uwielbiała tę grę. Niemal rokrocznie brała udział w plażowych rozgrywkach z okazji Święta Pracy. Była trzecią w rankingu graczka w singla w Black Hall, gdzie chodziła do szkoły średniej.

Bach! Bach! łbach!



Wdała się kiedyś w rozmowy z pewnym wydawcą z Nowego Jorku, który zaproponował jej prowadzenie miesięcznika poświęconego hafciarstwu, ona jednak miała inny, szerszy pomysł na swoje czasopismo. Chciała, aby jego czytelniczkami zostały kobiety, tenisistki i hafciarki zarazem. Pierwszy numer planowano wypuścić na wiosnę następnego roku, w kwietniu albo w maju. Oczyma wyobraźni widziała już nawet winietę: stylizowaną wyhaftowaną raketę tenisową i żółtozieloną piłkę. Zamierzała przeprowadzać wywiady z czołowymi tenisistkami, ale i zamieszczać artykuły o przyjaciółkach, które dorastały razem, wiele czasu spędzając wspólnie na kortach tenisowych.

Bach!

Lily stała na linii końcowej, czekając na piłkę. Odbiła ją mocno, bez wahania. Nie miała czasu odpocząć ani zmienić pozycji, kiedy piłka znowu do niej wróciła. Uderzyła ją z jeszcze większą pasją. Mięśnie rąk i nóg ją paliły. Następnym razem Bay posłała piłkę niemal na aut, ale Lily zdołała ją odebrać. Odblaskowa kulka poszybowała tuż nad siatką. I jeszcze raz, i kolejny. Lily z wysiłku aż zgrzytała zębami. Teraz piłka leciała wysoko, lecz i tak spotkała się z raketą Lily, kiedy przyszła pora. I wylądowała z tyłu pola Bay. Na korcie pozostały dwie godne siebie przeciwniczki: Bay i Lily; Tara się wycofała.

Zzajana Lily ganiała z jednego końca swojej połowy na drugi, odbierając każde uderzenie. Nawet o tym nie wiedząc, zachowała w ramieniu siłę, z której była znana w liceum. Jej rakietą stanowiła śmiercionośną broń. „Pokażemy ci, kto tu potrafi grać!” – powiedziała Tara i Lily pokazała.

Grzmocąc raketą w piłkę, rozprawiała się ze wszystkim, co uczynił jej Edward, z czego ją ograbił. Każde uderzenie było za coś albo za kogoś: za Rose, za Maeve. Za Liama. Za każde marzenie, jakie Lily kiedykolwiek miała. Za życie, które wciąż w niej tętniło, mimo że on robił co mógł, aby je w niej

stłamsić. Za jej magazyn, który nigdy nie ujrzał światła dziennego. Za lata spędzone z dala od rodziny i przyjaciół. Za to, że teraz Liam i Rose musieli ukrywać się z dala od niej.

– Dalej, Lily! – dopingowała ją Tara. – Pokaż, co potrafisz!

Rzucając się na piłkę, Lily czuła wzbierający jej w piersi szloch. Panującej na Hubbard's Point ciszy nie przerywało jednak nic poza pohukiwaniem sowy, kłaśnięciami piłki tenisowej, jęczeniem rakiet i ciężkim oddechem Lily, która sapiąc z wysiłku, przez moment była znów tą młodą dziewczyną, która umiała się dobrze bawić i czerpać radość z życia.

Jadący z Baltimore Patrick był w rozterce. Raz po raz wracał myślami do odbytej z Samanthą rozmowy i dochodził do wniosku, że jego misja się nie powiodła. Z każdym ujechanym kilometrem czuł się coraz bardziej przygnębiony. Wiedział, że powinien zadzwonić do Marisy, przekazać, iż jej siostra żyje i ma się całkiem dobrze, jednakże nie potrafił. Kiedy osiągnął zjazd do Black Hall, opuścił drogę szybkiego ruchu i zaczął się posuwać wzdłuż wybrzeża.

Po powrocie najpierw odebrał od Angela Floreę. Potem wolniutko pojechał do Hubbard's Point, żeby tak jak obiecał Liamowi, sprawdzić, co u Lily, a przy tym kupić sobie trochę czasu, zanim w końcu będzie musiał przekazać Marisie wiadomość. Ale w domu Maeve nikogo nie zastał. Pukał i pukał, lecz za oknami wciąż było ciemno, jeśli nie liczyć zapalanej lampy nad stołem w kuchni, którą dostrzegł już z daleka, odnotowując również zaparkowany samochód. Serce podeszło Patrickowi do gardła. Już raz wyparowała stąd jak kamfora. Wyobraźnia natychmiast podsunęła mu obraz grzejnika z niewyraźnym odciskiem palca, a nogi jęły prowadzić pod drzwi do piwnicy z drugiej strony domu.

Można by powiedzieć, że dom Maeve to swego rodzaju statek. Tkwił przycupnięty na występie skalnym, który wcinał się w cieśninę Long Island. Ponad nim migotały gwiazdy, zupełnie jak na otwartym morzu. W panujących ciemnościach były doskonale widoczne, choć księżyc powoli podnosił się nad horyzontu, rzucając bladą poświatę. Brnąc przez zarośnięty krzakami róż tylny ogród, zobaczył nagle widok jak z piekła. Coś błysnęło mu przed oczami i zniknęło. Nie patrząc wprost w to samo miejsce, tylko prześlizgując się wzrokiem po powierzchni ciemnej wody, ponownie dostrzegł błysniecie bieli.

Coś białawego, połyskującego wystawało z głębin. W świetle gwiazd i słabego księżyca wydawało się twarde; najbardziej chyba przypominało kłodę dryfującego drewna. Odartą z kory i wypolerowaną przez miesiące spędzone wśród fal. Patrick postąpił parę kroków do przodu, wyteżył wzrok. I omal nie podskoczył ze strachu. To coś miało oczy i zdawało się na niego patrzeć! W pierwszej chwili nie uwierzył w to, co widzi, ale kiedy ogromne, wilgotne czarne oczy mrugnęły, nie mógł mieć więcej wątpliwości. – Jasna cholera! – zaklął.

Flora warknęła. Z wyprostowanym sztywno ogonem podeszła ostrożnie do wału nadmorskiego i zaczęła wzdłuż niego drobić to w lewo, to w prawo, nie przestając gardłowo warczeć. Potwór zignorował ją. Nie zwracając uwagi na imponujących rozmiarów labradora, tkwił na swoim miejscu i gapił się na Patricka.

Zdumiona Flora szczeknęła. Przywarła przednimi łapami do ziemi i nie spuszczać wzroku z lewiatana, pokazywała go swojemu panu. Kiedy nie zareagował, poderwała się na cztery łapy i rozszczękała. Patrick położył jej dłoń na łbie. Był w końcu rybakiem. Odkąd przeszedł na emeryturę, często wypuszczał się na „Nierozwiązanej Sprawie” daleko w ocean, a nawet brał

udział w zawodach rybackich. Raz udało mu się złowić medalowego tasergala, który ważył prawie dwadzieścia kilogramów. Ten połów ustawił we właściwym świetle wszystkie jego wcześniejsze dokonania. Niemniej to co zobaczył teraz, sprawiło, że zawstydził się swej wcześniejszej dumy. Zjadle obszczekiwany przez Florę lewiatan miał ze cztery metry długości i z tego co Patrick Murphy wiedział z wycieczek do muzeum marynistycznego i oceanarium w Nowej Szkocji, musiał być walem białym.

Białuchy bowiem mieszkały na północy, o czym przekonał się podczas swojej bytności w Cape Hawk, kiedy odnalazł Lili i Rose i nasłuchiwał się opowieści o Nanny. Wieloryb ten – czy raczej wielorybica – ponoć popłynął już raz na południe, wtedy gdy Rose przechodziła w Bostonie swą najważniejszą operację na otwartym sercu. Czy to możliwe, że widzę tę samą cholerną białuchę? pytał się w duchu, gładząc jedwabiste uszy Flory. Czy między innymi tym objawia się ta anomalia oceanograficzna, o której wspomniał Liam?

Kimkolwiek był i skądkolwiek przybył, wieloryb nigdzie się nie wybierał. Serce Patrickowi waliło jak młot, tak szybko, że ledwie mógł oddychać. Tymczasem Flora pod ręką swego pana jakby się pogodziła z obecnością olbrzymiego ssaka morskiego. Położyła się koło nogi Patricka i dyszała zmęczona. Białucha natomiast nie spuszczała z niego oka – by tak rzec.

Zbliżając się ku niej, również zaczął odczuwać spokój. Serce zaczęło bić mu normalnie, ciało się rozluźniło i czuł się dobrze jak nigdy przedtem. W tym zwierzęciu było coś niezwykłego. Jego oczy wydawały się niemal ludzkie, jak gdyby w jego wnętrzu kołatała się dusza. Znienacka Patricka ogarnęło poczucie, że już wie, co powinien zrobić.

Bez zastanowienia wyjął telefon komórkowy. Wybrał numer, którego dotąd rzadko używał, ale który zadziwiająco dobrze wbił mu się w pamięć.

– Halo. – Kobięcy głos.

– Mariso, to ja, Patrick...

– Cześć, Patricku.

– Muszę ci coś powiedzieć. Pojechałem gdzieś dzisiaj...

– Naprawdę? A dokąd?

– Do Baltimore.

– Och! – krzyknęła podekscytowana. – Kiedyś mieszkałam tam z Samantha. Nawiasem mówiąc, ona niedługo tam wróci, chyba że przyjedzie prosto tutaj, na festiwal...

– Mariso – przerwał jej łagodnie. – Pojechałem zobaczyć się z Samantha.

– Ale przecież ona jest w Peru.

Patrick spoglądał na białuchę. Jej wielkie jak talerze czarne słodkie oczy wzywały na niego zza fal. Bardzo chciał znaleźć delikatny sposób przekazania Marisie tego, co miał jej do powiedzenia. Złapał nawet słuchawkę obiema dłońmi, jakby to była ręka Marisy.

– Ona już wróciła do domu – rzekł.

Po drugiej stronie linii zapanowała cisza.

– Nie – wydusiła wreszcie kobieta.

– Przykro mi – westchnął. – Samantha jest w domu już od tygodnia.

– Dlaczego więc do mnie nie zadzwoniła? – szepnęła Marisa.

Patrick usłyszał w jej głosie ból i zdziwienie. Przed oczyma zaś miał twarz Samantha, która nie kryjąc emocji, opowiadała mu o tym, jak bardzo jej siostra się zmieniła. Nie umiał się zmusić, aby powiedzieć o tym Marisie. Za nic nie chciał jej przysporzyć jeszcze więcej bólu.

– Myślę, że była dość zajęta – zaryzykował. – Dopiero co wróciła z dalekiej podróży i...

– A co z Gracie? – zadała pytanie Marisa, zdradzając się po raz pierwszy, odkąd go poznała. – To znaczy, chciałam powiedzieć: co z Jessicą?

– Wiem od Samantha, że jest jej matką chrzestną.

– To jedyna osoba, której bez strachu powierzyłabym opiekę nad swoją córką – oznajmiła Marisa. Głos miała cichy, przytłumiony. Wydawała się całkowicie zagubiona.

– Jestem pewien, że bardzo ją kocha – rzekł Patrick. – Że kocha was obie.

– Powiedziała ci to?

– Nie musiała. Jesteście obecne wszędzie w jej domu. Wasze zdjęcia są co krok. Zostawiła sobie nawet twój świecznik i kryształową sowę po babci...

– Sądziłam... – zaczęła Marisa i urwała. Milczała przez długą, ciągnącą się w nieskończoność minutę. – Sądziłam, że raczej się ich pozbędzie. Przecież chce o mnie zapomnieć, wyrzucić mnie z pamięci. Mnie i Jess.

– To niemożliwe – zaprotestował Patrick, żałując, że nie może jej w tej chwili przytulić. – Nikt nigdy nie byłby w stanie cię zapomnieć.

Zamilkł i pozwolił, by jego słowa zapadły jej w duszę. Czy wiedziała, jak wiele o niej myśli? Pragnął wyznać jej, że marzy o tym, by śpiewała mu dniami i nocami, że marzy o n i e j i że tak bardzo chciałby sprawić, aby ona i Samantha pojednały się wreszcie.

– To bardzo ładnie z twojej strony, że zadałeś sobie tyle trudu... Nie musiałeś przecież jechać taki kawał drogi i rozmawiać z nią... – wybąkała. – Naprawdę jestem ci wdzięczna. Nawet jeśli...

– Nie trać nadziei – nie pozwolił jej skończyć. – Daj jej trochę czasu. Samantha musi przemyśleć wiele spraw. Ona jest rudzielcem, pamiętasz? A my, rudzi, jesteśmy uparci jak wszyscy diabli.

Zaśmiała się, Patrick zaś poczuł, jak wargi układają mu się w uśmiech. Do szczęścia było jeszcze daleko, ale był to przynajmniej jakiś początek.

– Zgadnij, na co patrzę – rzekł po chwili, zmieniając temat.

– Nawet nie będę próbowała!

– Na wala białego – odparł. – Jest tutaj, u wybrzeży Connecticut. Jakieś dwadzieścia parę metrów ode mnie.

– Czy to może być Nanny? – spytała Marisa z podnieceniem.

– Tak sędzę – odpowiedział bez namysłu. – Tylko co ona tutaj robi?

– Cóż, pewnie szuka Rose.

– Szuka Rose... – powtórzył Patrick i zamilkł. Mierzyli się z wielorybem wzrokiem. Napawało go to dziwnym, nieznanym mu dotąd uczuciem. Miał wrażenie, że to zwierzę go zna, że wie, kim on jest. Białucha leniwie mrugała oczami. Były nie tylko czarne i przepastne, ale także nadzwyczaj mądre, jakby wieloryb posiadał wiedzę, której poskapiono Patrickowi.

– Tak, szuka Rose – potwierdziła Marisa. – Jak inaczej wytłumaczyć, że znalazła się właśnie tam?

– Ciekawe, co by na to powiedział Liam – zastanowił się Patrick. – Jego zdaniem doszło tutaj do jakiejś oceanograficznej anomalii.

– Hm... Nie jestem oceanologiem, więc się nie wypowiadam, ale co do anomalii, ma całkowitą rację. Miłość to fenomen.

– Miłość? – powtórzył, czując, jak tętno znowu mu przyspiesza.

– A niby dlaczego nie? Wieloryby są ssakami. Nawiązują między sobą przyjaźnie i są zdolne do odczuwania wyższych uczuć. Tak jak my, ludzie...

Patrick chłonał jej słowa całym sobą.

– Jestem pielęgniarzką – powiedziała nagle. – Znam dobrze anatomię. Wieloryb i człowiek są bardzo podobnie zbudowani. Dlaczego więc mieliby się różnić, jeśli chodzi o sferę emocjonalną?

Patrick zmarszczył czoło. Jako policjant aż za dobrze wiedział, jacy naprawdę są ludzie. Naoglądał się żon zamordowanych przez mężów, mężów pozbawionych życia przez żony, dzieci zabitych przez rodziców. Widział chyba każdą możliwą odmianę zła i bólu, zadanych i doświadczonych przez człowieka. Rozwód z kolei sprawił, że zgorzkniał i przestał wierzyć w miłość. Ze względu na wieloryby miał szczerą nadzieję, że są jednak od ludzi lepsze. Mimo to słuchał Marisy z zainteresowaniem.

– Nie wierzysz mi – powiedziała.

– Bardzo bym chciał... – zaczął i urwał.

– Czy ona wciąż tam jest?

– Białucha? Tak – odpowiedział, przebijając wzrokiem ciemność.

Istotnie była. Wyglądała, jakby się unosiła na powierzchni wody. Fale i narastający przypływ przysuwały ją do brzegu, a ona delikatnymi ruchami ciała okręcała się tak, by patrzeć wprost na Patricka. Coraz mocniejsze światło księżyca opromieniało jej sylwetkę, lecz ona nic sobie z tego nie robiła, wolna i piękna po prostu nadal dryfowała.

– Patricku?... – przerwała ciszę Marisa. – Jesteś tam jeszcze?

– Tak – odparł, nie odrywając wzroku od wieloryba.

Na niebie pojawiło się parę chmur; zakryły tarczę księżyca zwiewnym całunem. Patrick wystraszył się, że w całkowitej ciemności mógłby stracić białuchę z oczu, lecz nawet tak znikoma ilość światła wystarczała, aby wydobyć z mroku jej kształt.



– Dziękuję ci za to, co dziś dla mnie zrobiłeś – rzekła cicho. – Dziękuję, że odszukałeś Samanthę i porozmawiałeś z nią.

– Nie ma za co.

– Chciałabym...

– Co byś chciała? – zapytał z drżącym sercem.

– Chciałabym, żebyście przyjechali tutaj oboje... Ty i Samantha. Z okazji festiwalu. – Jakby nie mogła mówić dalej, pożegnała się szybko i rozłączyła.

Siedząc później na stopniach ganku od frontu, Patrick miał kłopoty z wyrównaniem oddechu. Marisa właśnie mu powiedziała, iż chce, żeby do niej przyjechał. Zgoda, Samantha też, ale i on... Opuścił głowę i wpatrzył się w trzymany wciąż w ręku telefon. Żałował, że ta rozmowa skończyła się tak nagle. Nie był jeszcze gotów rozstać się z Marisą.

Odetchnął głęboko i wcisnął na telefonie parę klawiszy. Wcześniej zrobił Nanny kilka zdjęć i teraz zdecydował, że prześle je Marisie. Pomyślał sobie, że sprawi jej przyjemność ich obejrzenie, że widok tego majestatycznego, niesamowitego zwierzęcia zrodzi w niej przekonanie, że nawet najcudowniejsze, najmniej prawdopodobne rzeczy czasem się zdarzają.

Kiedy otrzymał potwierdzenie, że wiadomość dotarła, przeniósł się na bujany fotel Maeve. Przed oczyma wciąż miał lśniący bielą kształt Nanny, w uszach zaś głos Marisy. Serce dudniło mu jak szalone. Rozmowa z Marisą poruszyła w nim czułą strunę. Nagle zobaczył pewne sprawy w całkiem nowym świetle. Przypomniał mu się Liam, więc i jemu przesłał zdjęcia Nanny z krótką wiadomością. Potem poderwał się i z Florą u nogi ponownie przeszedł na tyły domu. Właśnie gdy wyłaniał się zza rogu, zobaczył, że cielsko wieloryba obraca się i powoli zanurza w głębinie.

Patrick przysiadł z wrażenia na ziemi i zamyślił się nad tym, co właśnie się wydarzyło.

TTLR

## ROZDZIAŁ 13

Zmierzch zastał Liama przy pracy. Sprawdzał treść raportów nadchodzących od kolegów oceanologów. Rose siedziała na wewnętrznym ganku, oddzielonym od podwórka gęstą moskitierą, i czytała „Lwa, czarownicę i starą szafę”. Była to jej ulubiona książka, która nigdy jej się nie nudziła. Ilekroć zatapiała się w lekturze, przypominała sobie Jessicę, swoją najlepszą przyjaciółkę. Liam przypuszczał, że dobrze znana dziewczynce opowieść uspokajają i pozwala zapomnieć o niebezpieczeństwie, i z tkliwością myślał o tym, jak wiele razy w przeszłości Lily musiała czytać ją córce.

Przed sobą miał otwartego laptopa; na ekranie wciąż było zdjęcie Nanny, które otrzymał od Patricka. Fotografia była bardzo niewyraźna: pośród czerni i srebrzystych odblasków księżycy w wodzie słabo rysował się jaśniejszy kształt z tylko jednym, odcinającym się od tła okiem. Towarzysząca zdjęciu wiadomość mówiła:

*Popatrz tylko, kto się pokazał, żeby złożyć wizytę pannom Malone. Wielka szkoda, że teraz jest tutaj tylko jedna z nich. Może mógłbyś spakować manatki i przyjechać tu z Rose? Pozostawać z dala od ludzi, których się kocha, to poważny błąd – wiem, o czym mówię! Lily bardzo Cię potrzebuje.*

Liam nie odrywał wzroku od matrycy i bił się z myślami. Przez cały dzień główkował nad fenomenem Widmowych Wzgórz, odbierając dane i rozszyfrowując tożsamość rekinów i wielorybów, które on albo John byli w stanie rozpoznać, teraz wszakże miał całkiem nowy orzech do zgryzienia.

Niczego bardziej nie pragnął, jak postąpić zgodnie z radą Patricka. Odkąd znalazł się w Rhode Island, trapiły go problemy ze snem, ponieważ non stop myślał o Lily. A teraz jeszcze miał świeżo w pamięci jej dotyk i zapach, po

tym jak odwiedziła go w tym domu, w tym łóżku. Kładąc się w pościeli, którą tak niedawno dzielili, czuł, że ogarnia go płomień pożądania. Niestety, zapach ukochanej kobiety ulatniał się z każdą mijającą godziną.

Ale czy faktycznie powinien wrócić z Rose do Hubbard's Point? Bez wątplenia tęsknił za Lily tak samo silnie jak ona za nim, lecz w grę wchodziły przecież także inne sprawy. Przede wszystkim nie wolno mu było nie doceniać Edwarda Huntera. No i jeszcze mógł mieć pewność, że zna Lily znacznie lepiej niż Patrick. Zatem czy Murphy na pewno nie mylił się w swojej ocenie sytuacji?

To Liam był z Lily, kiedy wydawała na świat Rose. Ni stąd, ni zowąd pokazał się w jej oddalonej od cywilizacji chacie. Lily skryła się tam przed całym światem. Skoro uciekła od męża brutala prawie dwa tysiące kilometrów, nie miała zamiaru ryzykować odnalezienia teraz, w najważniejszej chwili w jej życiu. Zamiast więc udać się do szpitala, wołała urodzić swoją córeczkę w głuszy, byle tylko zapewnić jej i sobie bezpieczeństwo.

Liam błyskawicznie znalazł się w tej nowej dla niego sytuacji. Zagotował litry wrzątku i przyszykował czyste ręczniki, zupełnie jak robią to bohaterowie filmów. Lily leżała na podłodze w kuchni zalana potem i łzami. Prawie nie znała Liama, ale musiała mu zaufać. Po dziś dzień pamiętał, jak kurczowo trzymała go za rękę, wpijając mu paznokcie w ciało za każdym razem, kiedy nadchodził kolejny skurcz. Płakała wtedy już całkiem otwarcie.

Szóstym zmysłem wyczuwał, że jej ból ma korzenie głębsze niż tylko cierpienie związane z wydawaniem dziecka na świat. Gdy wyła, słyszał w jej głosie echo prawdziwego przerażenia. Wiedział, że nigdy w życiu nie spotkał osoby równie samotnej jak ona, i miał przeczucie, że ktoś zastraszył ją niemal

na śmierć. Nie było mowy o mężu ani o krewnych, lecz zanim Liam poznał jej całą historię, zrozumiał, że pokochał ją na zawsze.

Nie miało dla niego znaczenia, że była już raz mężatką i że tak naprawdę nigdy się nie rozwiodła. Cóż go to obchodziło? Przecież ludzi łączą nie rytuały, ceremonie i dokumenty, tylko coś zupełnie innego. Liczyło się dlań jedynie to, że kocha Lily każdą komórką swojego ciała. Została królową jego serca, Rose zaś była jego księżniczką. Cokolwiek się stanie, one są moim życiem – myślał.

Dlatego upływ czasu nie martwił Liama równie mocno jak rozłąka. Pragnął Lily całym sobą i oddałby duszę, aby spędzić z nią choćby dziesięć minut. Lecz tak miało być przez lata. I teraz, i jutro, i za ćwierć wieku sama myśl o niej będzie wywoływała u niego przyspieszone bicie serca.

Musiał więc poważnie zastanowić się nad radą Patricka. Co nagle, to po diable. Ten kto zastraszył ją niemal na śmierć, był jej mężem, ojcem jej dziecka. Postarał się o to, by uznano ją za zmarłą, a potem spieniżył polisę ubezpieczeniową i sprzedał z domu wszystko, co dało się sprzedać. Liam wiedział o tych szczegółach od Patricka.

Edward Hunter niejako widział w Lily wyłącznie źródło pokarmu. Takie skojarzenie nasunęło się Liamowi, który całe swoje dorosłe życie poświęcił na badanie wielorybów, lecz przy tym dowiedział się równie wiele o zwierzętach będących zawsze na obrzeżach jego naukowych zainteresowań.

O rekinach.

Jego brat Connor zginął w szczękach tego samego żarłacza białego, który pozbawił go ręki. Liam dość wcześnie zrozumiał, że rekiny żyją po to, aby jeść. Przemierzają głębiny oceanu w nieustannej pogoni za zdobyczą. Atakują nie z nienawiści do swojej ofiary, lecz całkowicie bez emocji – po to, by zaspokoić ciągły głód.

Liam nie miał cienia wątpliwości co do tego, że Edward Hunter jest ludzkim odpowiednikiem rekina. Osaczył Lily, ponieważ uznał, że znajomość z nią dobrze rokuje. Prawdopodobnie był zdania, że u jej boku dożyje swych dni jak u Pana Boga za piecem. Jednakże ludzie, w odróżnieniu od rekinów, z najbliższego powodu dają upust swojej wściekłości. Liam czuł pewność, że kiedy Lily postanowiła odejść od dręczącego ją męża, wywołała jego wielki gniew – którego skutki odczuwano aż do dziś.

Doktor Neill podszedł do badania jego przypadku metodycznie, jak prawdziwy naukowiec. Doszedł do wniosku, że Edward Hunter należy do bardzo szczególnego rodzaju ludzi. Wygląda i zachowuje się zupełnie jak inni. Wie, co mówić i robić, aby ktoś nabrał do niego zaufania. Podchodzi swoje ofiary – tak było z Lily, a potem z Marisą – niezwykle sprytnie na długo przed tym, zanim wykona pierwszy krok. Pozwala im o sobie mówić, okazuje zainteresowanie, odkrywa, co jest dla nich ważne. A potem pozornie daje im to, czego najbardziej potrzebują.

Jak to ujął doktor Robert D. Hare na pierwszej stronie swojej książki zatytułowanej „Psychopaci są wśród nas”:

*Wszyscy kiedyś natknęliśmy się na kogoś takiego, pozwoliliśmy, aby manipulował nami i oszukiwał nas, a później musieliśmy radzić sobie z wyrządzonymi przez niego szkodami. Osobnicy ci, nieraz czarujący – ale zawsze śmiertelnie niebezpieczni – mają swoją kliniczną nazwę: psychopaci. Ich charakterystyczną cechą jest brak sumienia, a zajęciem – zaspokajanie własnych pragnień cudzym kosztem. Niektórzy z nich przebywają w więzieniach, inni na wolności. Wszyscy biorą znacznie więcej, niż dają.*

Nie mogąc robić dla Lily wszystkiego tego, co by chciał, Liam uznał, że odda się temu, co potrafi najlepiej: studiowaniu i wyciąganiu wniosków. Miał

nadzieję, że uda mu się odkryć coś, co pomoże ukochanej kobiecie poradzić sobie z Hunterem. Siedział więc nad książkami i rozprawami psychologicznymi, z trudem poskramiając chęć, aby rozerwać drania na strzępy.

Nigdy nie czuł czegoś podobnego w odniesieniu do rekinów.

Otrząsając się ze wspomnień, podniósł słuchawkę i wybrał numer Lily. Odebrała, ledwie odezwał się pierwszy dzwonek.

– Przywiozę Rose do ciebie – rzucił Liam bez wdawania się w jakiegokolwiek wstęp. – Nie możemy pozwolić, żeby ten łajdak dyktował nam, jak mamy żyć.

Lily milczała. Liam wyczuwał, że myślami przebywa miliony kilometrów od niego, zagubiona w swoim dawnym życiu. Pragnął przywołać ją do rzeczywistości, przypomnieć to, co ich połączyło, pokazać jej, jak bardzo ją kocha, zapewnić, że razem będą niezwyciężeni. Gotowi stawić czoło wszystkiemu, co przyniesie życie.

Ciszę przerwał huk gigantycznych fal dobiegający przez otwarte okno. Liamowi wydało się, że chata zadrżała w posadach. Widmowe Wzgórza przybierały na sile. Wytrwale uderzały w plażę, rezonowały w jego ciele.

– Lily? – zapytał niespokojnie Liam.

– Bardzo bym chciała, żebyście oboje przyjechali... – Mówiła tak cicho, że jej słowa niemal zagłuszał ryk rodzący się piętnaście mil od brzegu. – Ale muszę myśleć przede wszystkim o Rose. Daj mi się zastanowić, proszę...

– A ja proszę ciebie, żebyś pozwoliła mi przyjechać. Muszę cię znów zobaczyć.

Po zakończonej rozmowie długo trzymał słuchawkę w ręku, wsłuchując się w odgłosy oceanu i własne serce. Jego tętno zdawało się odzwierciedlać

tempo i głośność przybierających na sile fal, które rozbijały się o rafę. Czuł się obezwładniony, wciągany pod powierzchnię, pozbawiony tchu. Z wysiłkiem oderwał spojrzenie od ekranu ze zdjęciem Nanny, wyłączył komputer i przeszedł przez dom, by stanąć w otwartych drzwiach prowadzących na ganek.

Upewniwszy się, że Rose pochłonęła lektura, zadarł głowę i popatrzył na niebo. Było całe rozgwieżdżone. Konstelacje wyłaniały się z wody hen, na horyzoncie, jakby żywe, zdolne do bioluminescencji morskie stworzenia opuściły swój żywioł i zamieszkały na firmamencie. Liam żałował, że nie może podzielić się tym widokiem z Lily. Gwiazdy milcząco opowiadały odwieczną historię o miłości. Wśród spiętrzonych fal oceanu pływały białuchy. Lily potrafiłaby docenić cudowność tego wszystkiego.

Liam miał szczerą nadzieję, że Nanny faktycznie w jakiś sposób chroni Lily, ponieważ na razie pozostawał daleko i nie mógł tego robić sam.

Marisa nigdy wcześniej nie widziała w Cape Hawk takiej nocy. Zazwyczaj spokojne, uśpione uliczki tętniły życiem. Roilo się na nich od ludzi noszących przeróżne instrumenty, na ostatnią chwilę czyniących przygotowania do występu, zapisujących się na listę uczestników festiwalu. Wiele osób urządziło sobie po ciemku piknik na trawniku przed gospodą, pozostałe koczowały na plaży. Dziewczyny Nanouk z Mroźnej Północy wybrały się do centrum, by posłuchać improwizowanych koncertów, i Marisa starała się czerpać z tego radość.

Rozłożyły przyniesione koce w jednym rzędzie tuż obok kamiennej figury rybaka na placu będącym sercem Cape Hawk. Marlena przyniosła dojrzałe winogrona, pieczywo i ser, Cindy wino dla nich i lemoniadę dla ich dzieci, Alison własnoręcznie przyrządzoną sałatkę, a Anne wyniesione z ho-



telowej kuchni przekąski z homarem. Marisa i Jessica upiekły czekoladowo-orzechowe ciasteczka będące ich specjalnością.

Podczas gdy jej przyjaciółki toczyły ożywioną rozmowę, Marisa wyciszyła się i łowiła dźwięki muzyki. Myślała o tym, że na festiwal zjechało tyle kobiet z całego świata, i zastanawiała się, ile z nich jest siostrami, które wspólnie rzuciły wszystko i podążyły za głosem serca do Nowej Szkocji. Przyglądała się twarzom i próbowała odnaleźć rodzinne podobieństwa, co udawało jej się częściej, niżby można oczekiwać. Radowała się szczęściem nieznajomych, w swoim wnętrzu jednak czuła pustkę i żal z powodu Samantha.

Anne Neill dostrzegła, że Marisa trzyma się na uboczu, i przysiadła się do niej. Anne miała kasztanowe włosy splecione w warkocz francuski, naprawdę duże niebieskie oczy i na ogół wybierała jaskrawe kolory. Teraz także włożyła intensywnie brzoskwiniowy, robiony na drutach sweter, opadający miękko na biodra okryte limonkowozielonymi wygodnymi rybaczkami. Marisa zawsze twierdziła, że żywe barwy strojów Anne są odbiciem jej żywego ducha. Nieraz też doświadczyła niesłychanej opiekuńczości i gościnności Anne, która była urodzoną panią domu i prowadzenie hotelu miała we krwi.

– Co u ciebie? – zapytała Anne Marisę.

– Wszystko dobrze – odparła Marisa, uśmiechając się słabo. – Świetnie się spisałaś, organizując tegoroczny festiwal.

– Cieszę się, że to mówisz. To dla mnie wyjątkowa pora roku, choć dopięcie wszystkiego na ostatni guzik kosztuje mnie sporo wysiłku. Siedzieć tu z wami i po prostu słuchać muzyki jest miłą odmianą.

Marisa pokiwała w zamyśleniu głową.

– Ileż to razy brałam udział w podobnych festiwalach. W Newport, w Marylandzie, w Bostonie... sama nie pamiętam już, gdzie jeszcze.

– I zawsze razem z siostrą?

Marisa chciała odpowiedzieć, ale coś ścisnęło ją za gardło. Przełknęła ślinę i modliła się w duchu, żeby się nie rozplakać.

– Wciąż trzymamy dla was miejsce na liście uczestników, wiesz... – powiedziała cichym głosem Anne.

– Nie sądzę, żebyśmy z niego skorzystały.

Anne nie skomentowała tego w żaden sposób, popatrzyła tylko na Marisę swymi błękitnymi łagodnymi oczyma i uśmiechnęła się krzepiąco. Marisie omal na to nie pękło serce – na to i na pierwsze dźwięki „Taibreamh”. Ta tradycyjna, niezwykle ckliwa irlandzka piosenka, której tytuł znaczy po gaelicku „Marzenia”, była ulubioną kołysanką Samantha. Łzy zapiekły ją pod powiekami i pomyślała, że jeszcze chwila, a zupełnie się rozklei.

– Gdzie jest twoja siostra teraz? – spytała Anne delikatnie.

– W Baltimore... Jeszcze niedawno sądziłam, że wciąż jest w Peru, ale dowiedziałam się, że już tydzień temu wróciła do domu...

– I nie powiedziała ci o tym – dokończyła za nią Anne.

Marisa potaknęła, wyobrażając sobie Patricka zmierzającego wzdłuż Fish Street w stronę małego domku i rozmawiającego z Samantha.

– Usłyszałam o tym od przyjaciela.

– Czy ty i Samantha jesteście sobie bardzo bliskie?

– Niegdyś byliśmy.

– Siostry... – westchnęła Anne. – Dorastają w jednym domu, mają wspólne sekrety, wiedzą o sobie praktycznie wszystko. Nawet czują niemal tak samo.

– Samantha i ja właśnie takie byłyśmy – przyznała Marisa, pojmując nagle, że Anne musi mieć siostrę. – Właśnie takie...

– Kiedy moja siostra Emily i ja byłyśmy małe, prawie wszystko robiłyśmy razem. Wy grałyście na skrzypcach, a my stepowałyśmy.

– Na imprezach takich jak ta?

– Tak. – Anne pokiwała głową ze smutkiem. – A potem Emily poszła na studia. Wyprowadziła się do Toronto, a jeszcze później do Vancouveru, gdzie dostała lepszą pracę. Wszystko się dla mnie zmieniło. Czułam się przez nią opuszczona, porzucona. Bo jak ktoś, z kim dotąd spędzałam każdą wolną chwilę, kogo kochałam bardziej niż siebie samą, moja najlepsza przyjaciółka, jak ktoś taki mógł mnie zostawić?

– Ale przecież Emily cię nie zostawiła! – zaprotestowała Marisa, mając przed oczami siebie i swoją przeprowadzkę do Baltimore, do szkoły, a potem ślub z Paulem i przenosiny do Bostonu. – Po prostu poszła własną drogą.

– Teraz to wiem – skinęła Anne – ale wtedy... – wzruszyła ramionami.

– Ze mną i Samantha było inaczej – oświadczyła Marisa. – Ona zawsze stała po mojej stronie, pochwalała moje wybory. Tęskniłyśmy za sobą, to jasne, lecz zawsze znajdowałyśmy sposób, aby się spotkać. Ale pewnego razu pozwoliłam, żeby ktoś źle mnie potraktował, a siostrze zabroniłam zbliżać się do mnie. Choć bardzo chciała mi pomóc, nie mogła tego zrobić.

– Ty jesteś starsza od niej?

– Tak.

Anne uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Młodsze siostry chciałyby, żeby ta, która urodziła się wcześniej, była od nich mądrzejsza, żeby wskazywała drogę. Mają zbyt wysokie wymagania.

– Ty byłaś tą młodszą?

– Zgadza się.

– A czy teraz... ty i Emily... to znaczy... – plątała się Marisa.

– Teraz jesteśmy sobie bliskie jak nigdy przedtem. Trochę czasu mi to zajęło, ale w końcu zrozumiałam, o co w tym chodzi. Emily nie straciła do mnie cierpliwości, po prostu zaczęła na mnie, aż zmądrzeję. Sądzę, że czasami siostry muszą się przeciwko sobie zbuntować, zupełnie jak nastolatki buntują się przeciwko rodzicom. W obu wypadkach nie ma mowy o braku miłości. Zwyczajnie trzeba nabrać najpierw dystansu, aby potem móc być ze sobą naprawdę blisko. – Słuchając jej słów, Marisa miała nadzieję, że przyjaciółka się nie myli. – Kim jest ten przyjaciel, o którym wspomniałaś?

– Proszę? Jaki przyjaciel?

– Ten, który pojechał do Baltimore i odnalazł Samanthę. Kto to taki?

– Patrick Murphy.

– Ten detektyw, co tu przyjechał, żeby...?

– Żeby odnaleźć Lily. Tak, on – potwierdziła Marisa.

– Może... – Anne urwała na chwilę, lecz zaraz podjęła: – Może powinnaś go zaprosić na festiwal.

– Napomknęłam o tym w ostatniej rozmowie, ale nie wydaje mi się, żeby przyjechał. Właściwie chyba wcale bym tego nie chciała. Nie jestem jeszcze gotowa. – Pomyślała o Tedzie, o przepaści pomiędzy nią i Samanthą, o Jessice. – Prawdę powiedziawszy, nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miała być gotowa.

– Wiesz... – rzekła cicho Anne. – Lily mówiła dokładnie to samo. Ale potem pojawił się Liam. Żadne z nich nie miało łatwego życia. Lily męczyła się w małżeństwie z Edwardem, a Liam w jednym ataku rekina stracił brata i

własną rękę, rodzina mu się rozpadła. Mimo że los ciężko doświadczył ich oboje, potrafili sobie wzajemnie pomóc, odzyskali chęć do życia. Ty i Patrick...

– Nie! – wpadła jej w słowo Marisa. – Z nami jest inaczej. Przecież prawie w ogóle się nie znamy.

Anne przechyliła lekko głowę.

– Moim zdaniem ludzie szukają się, wysyłając sygnały. Po to właśnie są organizowane festiwale muzyki celtyckiej. Żeby ludzie mogli otworzyć serca i śpiewać o miłości. Jesteśmy wszyscy jak łódeczki miotane prądem życia, obmywane z bólu przez ocean muzyki, robiące na swym pokładzie miejsce na prawdziwe uczucie.

Ledwie Anne skończyła mówić, w zasięgu wzroku pojawił się Jude. Pomachała mu, po czym spojrzała z powagą w oczy Marisy.

– Ja na twoim miejscu nie stawiałabym krzyżyka na siostrze. Dlatego zachowam w harmonogramie miejsce na wasz występ.

– Ale... – bąknęła Marisa.

Anne w odpowiedzi tylko potrząsnęła głową i uśmiechnęła się szerzej. Przytuliła Marisę i pobiegła do Jude'a, do czekającej ją pracy.

– Pamiętaj, musimy być gotowe na jej przyjazd! – zawołała, odwracając się przez ramię.

Marisa powiedziała przyjaciółkom że ma ochotę na spacer i ruszyła w kierunku zatoki. Jej wody lśniły błękitno-srebrzyście w świetle gwiazd. Na falach kołysała się flota rybacka zakotwiczona w pewnym oddaleniu od brzegu Marisa zapatrzyła się na południe i wyobraziła sobie Patricka na pokładzie jego łodzi i Samanthę w jej mieszkaniu. Z jednej strony nie miała trudności z wyobrażeniem

sobie tego, że przybywała do Cape Hawk. z drugiej zaś wydawało jej się to całkowicie niemożliwe

Wyjęta z kieszeni kartkę papieru i ołówek i zapisała słowa Anne , łódeczki miotane prądem życia. Czuła, że rodzi się w niej piosenka. Podejrzewała nawet, że wie dla kogo ją napisze

TTLR

## ROZDZIAŁ 14

Maeve śniła o swojej wnuczce. Pracowały razem w ogrodzie, doglądając różanych krzewów. Powietrze znad oceanu było rześkie i czyste, unosił się w nim upajający zapach kwiatów. Słyszała własny głos wołający kogoś. Ze zdziwieniem dostrzegła, że zbliża się ku niej jakiś mężczyzna. Czy to Patrick? Anioł zesłany z nieba? A może jeszcze ktoś inny? Maeve sięgnęła dłonią do oczu, przetarła je, zamrugła i dopiero wtedy zobaczyła, kogo naprawdę ma przed sobą.

Nad jej łóżkiem pochylał się Edward Hunter. Patrzył na nią zimnym wzrokiem. Maeve poczuła, jak jej wargi się rozchylają i równocześnie występują na nią siódme poty. Ogarnęły ją mdłości. Było to dziwne o tyle, że dotąd nigdy się nie bała

– a przynajmniej nie okazywała strachu. Tym razem jednak nie umiała powstrzymać rodzącego się w niej uczucia przerażenia. Z jej ust musiały dobywać się jakieś dźwięki, ponieważ nachylił się jeszcze bardziej i przyłożył ucho do jej twarzy.

– Bredzisz od rzeczy – skwitował, wyprostowawszy się.

– W całym swoim życiu nie powiedziałaś jednego sensownego słowa. Dlatego tutaj trafiłaś. Zaczęła ci się odklejać piąta klepka. Jesteś już stara i nikt nie dba o to, co się z tobą stanie. Nawet twoja wspaniała wnuczka ma cię gdzieś.

Maeve miała ochotę wrzeszczeć wniebogłosy, ale tylko przymknęła oczy. Niestety nadal słyszała jego głos i przebijające zeń okrucieństwo. O dziwo, podniosło ją to na duchu.

A więc jednak nie zwariowałam – myślała – bynajmniej nie zwariowałam. Edward okazał się dokładnie tym, za kogo miała go przez te wszystkie lata. Ani na chwilę w to nie wątpiła i proszę – jednak miała rację!

Pograżyła się znów w sobie. Edward wciąż coś mówił, lecz ona już go nie słyszała. Jeszcze przez chwilę miała przed oczami widok jego wykrzywionej nienawiścią twarzy, wszakże zaraz z ciemności wyłoniły się obsypane kwiatami krzewy róż i kapryfolum i przesłoniły go.

Zwłaszcza róże były piękne. Rosły splątane w dzikszej części ogrodu. Nawet tam dochodził uspokajający szum fal liżących spalone słońcem skały. Szu, szu, szu... Woda w studni życzeń była głęboka i chłodna. Maeve sięgnęła po pieniążek i upuściła go, jak czyniła wiele razy wcześniej na przestrzeni lat. Pomyślała życzenie. Zamknęła oczy i czekała, aż życzenie się spełni.

– Chcę, żeby moja wnuczka wróciła. Maro, Maro...

Rose z każdym dniem dzielącym ją od operacji czuła się coraz lepiej – jeśli nie liczyć jednego. Tęskniła za matką. Doszła nawet do przekonania, że nie ma gorszych słów od: „Tęsknię za mamą”. Nie wypowiadała ich często, ponieważ nie chciała dodatkowo martwić doktora Neilla, niemniej słowa te towarzyszyły każdemu jej oddechowi, zostawiając ślad na jej dopiero naprawionym serduszku.

Ostatnie dni, choć pełne słońca i ciepła, za to bez fizycznego bólu, należały do najsmutniejszych i najdziwniejszych w jej dotychczasowym życiu. Przede wszystkim znajdowała się w jakimś starym domu przy plaży nad Zatoką Narragansett. Doktor Neill przydzielił jej oficjalną funkcję wypatrywacza wielorybów, toteż jeśli akurat nie spędzali dnia na łódce doktora Stanleya, Rose siedziała przy oknie albo z nosem przyklejonym do szyby, albo zerkając w obiektyw teleskopu, który został wycelowany w wody zatoki.



Naoglądała się skaczących rybek, lśniących srebrzyście i stalowo; ich płetwy z oddali wydawały się kawałkami cieniuteńkiej blaszki, zaś wyraźne czarne paski niektórych przypominały kawałki okręconego wokół ich ciał drucika. Przyglądała się mewom zataczającym nad wodą szerokie kręgi, potem pikującym w dół i znów podrywającym się do lotu, tym razem ze zdobyczą w żółtych dziobach – czasem była to ryba, czasem krab lub inne morskie żyjątko. Raz nawet zobaczyła morskiego żółwia płynącego leniwie tuż przy powierzchni.

Nie dostrzegła jednak żadnych wielorybów. Po Nanny nie było śladu.

– Czy mogę jeszcze raz zobaczyć jej zdjęcie? – poprosiła, stając za plecami doktora Neilla, który pracował przy biurku.

Przed nim na blacie leżały stosy książek i jakichś papierów. Na niektórych stronach widniały fotografie ostronosów, żarłaczy tygrysich, byczych i białych, a także olbrzymich, lecz łagodnych rekinów słonecznych i ich bardziej krwiożerczych krewniaków, rekinów polarnych; poza tym były tam ssaki morskie z rodziny waleni, takie jak: humbaki, płetwale karłowate, płetwale błękitne, finwale, kaszaloty i białuchy oraz delfiny butlonose, i wreszcie foki – pospolite i grenlandzkie, zwane również siodlastymi. Rose widząc znajomy bałagan na biurku doktora Neilla, poczuła się znacznie lepiej, niemal jak w domu. A teraz jeszcze przesunął w jej stronę laptopa i wywołał na pulpit zdjęcie Nanny.

– Proszę, oto ona – powiedział.

– Kto zrobił jej to zdjęcie, bo zapomniałam?

– Patrick Murphy.

– To ten pan, który przyjechał do Cape Hawk, żeby powiedzieć mamie o chorobie prababci? – spytała przejęta.

– Ten sam. Rose uniosła brwi i śmiesznie nimi poruszyła. Czy doktor Neill naprawdę nie widzi, jakie to idiotyczne? On i ona tkwią tutaj, w domu obcych ludzi, w okolicy, gdzie właściwie prawie nikogo nie znają, podczas gdy jedyna osoba, na której im zależy i która kocha ich oboje jak nikogo innego na ziemi, czyli matka Rose, jest daleko stąd, bo aż w Hubbard's Point. Nawet Nanny tam przyплыnęła! Jej gest chyba nie zrobił na doktorze Neillu wrażenia, bo nadal siedział z nosem w papierach, mozolnie wprowadzając dane na temat różnorodności gatunków zwierząt dostrzeżonych w bliskości rafy.

– Doktorze Neill... – zaczęła.

– Wiesz co, Rose? – przerwał jej. – Myślałem o tym od dłuższego czasu i właśnie doszedłem do wniosku, że chyba powinnaś mi mówić po imieniu. Co ty na to?

Rose potrząsnęła głową. Proponował jej to już wcześniej, ale ona udawała, że zapomniała. Mówienie do niego „Liam” nie pasowało do tego, co do niego czuła; tak mogła mówić doń jej mama. Dorośli ludzie zwracali się do siebie po imieniu, podobnie jak dzieci między sobą. Wszelako jej nie wypadało. A zresztą jeśli już, bardziej by pasowało inne imię... Rose aż się zaczerwieniła, kiedy o tym pomyślała. Przełknęła kilkakrotnie ślinę, czując, jak gorąco pali ją w policzki.

– Nie chcesz? – zapytał, widząc jej minę.

– Nie – odparła z uporem. – Doktor Neill brzmi fajnie. No więc, doktorze Neill, dlaczego jeszcze nie jedziemy do mamy?

– Cóż, przede wszystkim dlatego, że twoja mama ma teraz masę spraw na głowie – odparł. – Uzgodniliśmy wspólnie, że najlepiej dla ciebie będzie zostać tutaj, dopóki nie upora się przynajmniej z częścią z nich.

– Ale tak jest całkiem sama, a my przecież moglibyśmy jej pomóc! – powiedziała rezolutnie dziewczynka.

– Wiem – westchnął. – Zgadzam się z tobą co do tego i możesz mi wierzyć, że robię co w mojej mocy...

Rose oparła się bokiem o jego tułów i ufnie złożyła głowę na jego barku nie dlatego, że poczuła się zmęczona, ale po prostu dlatego, że chciała to zrobić. Przez parę chwil trwali bez ruchu, błędząc daleko myślami i wodząc wzrokiem po ekranie ze zdjęciem Nanny. Rose była pewna, że byliby o wiele szczęśliwsi, gdyby znaleźli się znów wszyscy razem.

– A kiedy mama się... – zawahała się, próbując powtórzyć użyte przez doktora Neilla słowo – upora ze swoimi sprawami? – Tyle ostatnio zmieniło się w jej życiu. Pozbyła się swojej wady serca, zamieszkała z jednorękim doktorem Neillem, babcia jej mamy trafiła do szpitala... Kto wie, co jeszcze przyniesie los? – Kiedy wszystko znów będzie dobrze?

– A nie uważasz, że wszystko jest dobrze? – zapytał ją doktor Neill.

Rose ponownie zmarszczyła brwi. Chyba wiedziała, o co mu chodzi. Mama zawsze powtarzała, że trzeba być wdzięcznym bez względu na kłopoty, dostrzegać błogosławieństwo w drobiazgach. Nawet kiedy Rose nie umiała oddychać jak należy i nie mogła bawić się z innymi dziećmi, nawet gdy musiała leżeć w szpitalu z powodu wady serca, nawet w najcięższych chwilach mama przykładała wargi do jej ucha i szeptała: „Jest dobrze, kochanie, bo mamy siebie nawzajem”.

– A pana zdaniem jest? – zapytała butnie. – Jak pan może tak twierdzić? My jesteśmy tutaj, a mama i Nanny są w Hubbard's Point.

Doktor Neill odwrócił się od ekranu komputera i popatrzył jej prosto w oczy. Rose zdawała sobie sprawę, jak bardzo ważna jest jego praca, to, czego

dowiaduje się na temat tych wielkich fal i dziwnych ryb. Wiedziała też, że będąc na morzu, wypatrzył łódź z Cape Hawk i że z jakiegoś powodu go to zmartwiło. Mimo to w tamtej chwili całą swoją uwagę poświęcił jej – Rose Malone.

– Rose, posłuchaj... Również moim zdaniem to nie ma sensu.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Tęskni pan za nią tak jak ja?

– Bardziej, niż kiedykolwiek za kimkolwiek tęskniłem.

– Ale ja... ja myślałam, że panu podoba się praca tutaj, te wycieczki do Widmowych Wzgórz na łodzi doktora Stanleya.

– To tylko praca – uśmiechnął się do niej. – Ty i twoja mama należycie do mego życia.

Rose pokiwała głową. Wiedziała, że doktor Neill jej nie okłamuje. To, że są częścią jego życia, czuła już od dawna, od dnia, w którym przyszła na świat. Zastępował jej ojca. Kiedy inne dzieci opowiadały o swoich ojcach, Rose miała świadomość, że i jej tata jest gdzieś w szerokim świecie, mimo to nigdy za nim nie tęskniła ani nie pytała o niego, ponieważ miała doktora Neilla, który w zupełności jej wystarczał. Takiego ojca większość dzieci mogła sobie tylko wymarzyć.

Kiedy o tym wszystkim myślała, doktor Neill podniósł wzrok i spojrzał ponad jej głowę. Rose dostrzegła zmianę na jego twarzy i poczuła dreszcz, jak gdyby znikąd zawiał cudowny wiatr, jak gdyby nagle poprawiła się pogoda.

– Rose... – rzekł doktor Neill, znów opuszczając wzrok na nią. – Coś mi mówi, że odtąd wszystko zawsze będzie już dobrze...

Rose obejrzała się i zrozumiała, dlaczego doktor Neill tak uważa – pod dom zajechał niebieski samochód i właśnie parkował przy wysokim żywopłocie.

– Mamusia! – wołała Rose, wypadając przez drzwi i biegnąc przez przystrzyżony trawnik prosto w ramiona Lily.

TTLR

## ROZDZIAŁ 15

Nie minęło wiele czasu, a już byli spakowani i w drodze do Hubbard's Point. Liam był zwarty i gotowy od minionej nocy. Decyzję podjął właściwie już z chwilą, kiedy odczytał wiadomość od Patricka. Zawsze wychodził z założenia, że dobre pomysły potrzebują dobrego tempa. Cieszył się jak małe dziecko, że tym razem Lily była tego samego zdania.

– Co się stało? – zapytał, kiedy jechali autostradą numer jeden.

– Zmądrzałam – odparła Lily. Chwilami prowadziła tylko jedną ręką, drugą ściskając dłoń Liama. – Wypadki toczyły się tak szybko, że prawie nie miałam czasu usiąść i nad wszystkim się zastanowić.

– On nic nam nie może zrobić – rzucił cichym głosem Liam.

– Kto nie może? – zaciekawiała się z tylnego siedzenia Rose, której uwadze nigdy nic nie umknęło.

– Rosie, Rosie... – powiedziała Lily, lekko przechylając głowę. Miała nadzieję, że uda jej się odwrócić uwagę dziewczynki. – Niedługo zobaczysz, kto czeka na ciebie w Hubbard's Point.

– Nanny! – krzyknęła Rose. – Doktor Neill ma jej zdjęcie w komputerze!

– Patrick je zrobił – wyjaśnił mężczyzna, spoglądając na Lily niespokojnie.

Ona jednak wzrok miała utkwiony w drodze przed sobą, gdzie rysował się zjazd na stację benzynową. Zjechała, uznawszy, że lepiej nie ryzykować z jedną czwartą baku.

Kiedy do ich samochodu podszedł pracownik stacji i zaczął nalewać paliwo do zbiornika, wszyscy troje wysiedli z auta, żeby rozprostować nogi. Rose oczywiście chciała zajrzeć do sklepu, zatem Lily i Liam obejmując się

ciasno, podążyli za nią. Drewniany budynek sklepu wydał im się dziwaczny i jakby nie na miejscu. Pewnie kiedyś był to zwyczajny dom. Po jego lewej stronie stało kilka łodzi na podporach, niektóre z nich oznaczone były tabliczkami NA SPRZEDAŻ.

Na ganku, na który wchodziło się po drewnianych schodkach, wystawiono ławki i fotele na biegunach oraz stojaki z lokalną prasą. Do ściany przybita była tablica informacyjna – widniały tam poprzyczepiane wizytówki, reklamy i mnóstwo ogłoszeń, po części także o sprzedaży łódek, z którymi właściciele z jakichś powodów chcieli się rozstać. Druga tablica, tylko trochę mniejsza, od paru lat informowała o tym, kto w okolicy złowił największą rybę sezonu. Pośród uwiecznionych trofeów były nawet kilkumetrowe rekiny.

Lily, Liam i Rose przeszli przez drzwi. Deski podłogi zaskrzypiały pod ich stopami, kiedy mijali dystrybutor wody pitnej, zbliżając się do głównej części pomieszczenia, gdzie w wielkich koszach wyłożono świeże produkty rolnicze. Lily na ten widok natychmiast złapała koszyk i wyładowała go jędrnymi pomidorami, bazylią, kukurydzą i butelkowanymi wyciskanymi sokami z owoców. Rose tymczasem podbiegła już do przeciwległej ściany i aż pisnęła z wrażenia.

– Co tam znalazłaś? – zapytał Liam i wraz z Lily pośpieszył za dziewczynką.

– Patrzcie! – Rose wycelowała w znalezisko palcem.

W ścianie znajdowały się szerokie drzwi przesłonięte tylko półprzezroczystą czerwoną tkaniną. Rose bez oporów włożyła głowę pomiędzy zasłony, a kiedy Liam uczynił to samo, zorientował się, że odgrodzoną część sklepu wypełniają dziesiątki, a może nawet setki rekinich szczęk w dowolnym

rozmiarze. Zajmowały dosłownie każdy centymetr kwadratowy powierzchni na ścianach. Na stołach z kolei tkwiły rzędy słoików, w których ktoś zakonserwował w formaldehydzie maleńkie rekinki. Płyn był już z lekka mętny, ale nie można było mieć wątpliwości co do tego, co się w nim unosi: ostro zakończone pyski i charakterystyczne trójkątne płetwy mówiły wszystko. Na wielkim niebieskim blacie leżały odcięte płetwy dorosłych rekinów, a także delfinów. Wszystko tutaj miało swoją cenę, o której informowały metki z wypisanymi liczbami. Lily ogarnęła spojrzeniem ten kramik i czym prędzej wyciągnęła stamtąd Rose.

– Mogę w czymś pomóc? – nagle wyrósł obok nich jakiś mężczyzna. Twarz pokrywał mu całodniowy zarost, włosy i skórę cienka warstwa soli. T-shirt, który miał na sobie, informował: „Centrum Rybackie Kapitana Nicka”.

– To pan jest kapitan Nick? – zapytał go Liam.

– Bingo! – padła odpowiedź. – Jeśli jest pan zainteresowany wynajęciem łodzi, radzę się pośpieszyć. W zatoce mamy teraz wielgachne żarłacze białe prosto z Bahamów i jeszcze od nich większe białuchy z Nowej Szkocji.

– Wale białe są gatunkiem narażonym na wyginięcie – powiedział Liam.

Kapitan Nick roześmiał się.

– A tak, słyszałem... – rzucił. – Dlatego nie proponuję, żeby pan je łowił, tylko oglądał. Przepraszam, jeśli zabrzmiało to inaczej. Po prostu dałem się ponieść emocjom. Jeszcze nigdy nie było tutaj takiego lata. To czyste rybackie szaleństwo! Ponoć zawdzięczamy je jakimś wielkim falom... Nie uwierzy pan, co nam się trafiło wczoraj. Jakiś cudak z purpurowym grzbietem, różowymi bokami, długi na prawie dwa metry i pływający zygzakiem jak węgorz albo nawet wąż morski. Musiał tu przypląć prosto z tropików.

– Strojnik – stwierdził Liam.



– Jak zwał, tak zwał, ale nie da się ukryć, że takiego dziwaka jeszcze nie widział. Może się pan sam przekonać, od frontu mam całą galerię trofeów mojej klienteli.

– Cóż, bardziej interesują mnie trofea, które ma pan tam. – Liam wskazał ręką za zasłonkę, mając szczerą chęć przyskrzyknąć kapitana Nicka za zamordowane rekinki, odcięte płetwy i spreparowane szczęki. Opuścił jednak, ponieważ usłyszał, jak Lily woła jego imię. I może dobrze. Odkąd Edward Hunter pojawił się znów w jej życiu, Liam żył na najwyższych obrotach i nie do końca panował nad sobą i swoimi emocjami.

Znalazł je na ganku. Rose szaleńczo bujała się w fotelu, a Lily wpatrywała się w tablicę, o której dosłownie przed chwilą wspomniał kapitan Nick. Kiedy do niej podszedł, postukała palcem w niewyraźne zdjęcie.

– Czy to jest ten, kto myślę? – zapytała go.

Liam zmrużył powieki. Najbardziej rzucała się w oczy fotografia strojnika, o którym mówił kapitan Nick – ryba była faktycznie imponujących rozmiarów i niezwykle kolorowa. Ale wzrok Liama przyciągnęły i inne: rekin, marlin, ryba młot, tuńczyk... Zdjęcia robiono już w porcie; wędkarze każdorazowo stali półkolem wokół wagi z miarą, na której rozciągnięty był okaz, który odłowili. Lily jednak pokazywała mu zdjęcie butlonosa, na oko czteroipółmetrowego, wiszącego głową w dół w paskudnie wyglądającej sieci.

– Niech pani głowa o to nie boli – rzekł z porozumiewawczym uśmiechem kapitan Nick, który już zdążył do nich podejść. – Ta ryba nie jest nieżywa.

– To nie jest ryba – sprostował Liam. – To ssak.

– Kto go złowił? – zapytała Lily drżącym głosem.

– Och, to nie jest takie istotne – machnął ręką kapitan Nick. – Liczy się to, że bestia wciąż żyje. Nie zabiliśmy jej, stosujemy się do wszystkich przepisów co trzeba.

– Ale czemu pan w ogóle łowi delfiny? – drażyła Lily, spoglądając teraz wprost na niego.

– Z całym szacunkiem, psze pani – odwarknął – ale to chyba nie pani interes.

– Chodźmy już, Lily – powiedział Liam, ciągnąc ją za łokieć. Potem opiekuńczym gestem przygarnął do nich Rose.

Chwilę później zmierzali już w stronę samochodu. Liam w środku cały aż się trząsł, nie chciał jednak tego dać po sobie poznać. Lily ostatnimi czasy przeszła wystarczająco dużo – myślał – na co jej dodatkowe zmartwienia? Teraz priorytetem było dowieźć ją i Rose do domu. Do Johna zatelefonuje później; zresztą do Patricka i Jude'a również. Intuicja podpowiadała mu, że dzieje się coś dziwnego, i potrzebował pomocy w rozwiązaniu zagadki.

Wsiadając do auta, raz jeszcze rzucił okiem za siebie. Pokazane mu przez Lily zdjęcie było zamazane, fotografowi wyraźnie zadrżała ręka, bo napis na burcie łodzi stał się całkowicie nieczytelny, jednakże Liam nie miał wątpliwości co do tego, z jakim kutrem ma do czynienia, ponieważ wszędzie poznałby szczerzącego zęby szypra.

Ta łódź nosiła miano „Mar IV”.

– Widziałeś to co ja? – spytała szeptem Lily.

– Gerard Lafarge – ponuro przytaknął Liam.

Oboje wiedzieli, że kapitan Nick może sobie wierzyć, w chce, a delfin z sieci dawno nie żyje.

Wysiadając z samochodu w Hubbard's Point, Liam czuł, że wrócił do domu. Lily i Rose czuły chyba to samo, bo długo stali we trójkę, obejmując się i kołysząc, nie mówiąc ani słowa. Rose oswobodziła się pierwsza i pobiegła do ogrodu, ale Liam i Lily stali dalej przytuleni do siebie. Nie chciał pozwolić jej odejść. Patrzył w jej błękitne niczym ocean oczy i powoli nachylał się, żeby pocałować ją w usta. Nie potrafił uwierzyć, że znów są razem.

Oderwali się od siebie, dopiero gdy zza domu zaczęli wychodzić jacyś ludzie. Lily przezornie poprosiła przyjaciół, żeby mieli oko na dom podczas jej nieobecności. Teraz złapała go za rękę i zaczęła mu wszystkich przedstawiać: Bay McCabe i Dana Connolly'ego, Tarę O'Toole i Joego Holmesa – swoje najstarsze przyjaciółki jeszcze z czasów dzieciństwa, ich mężów i dzieci. Liam wymieniał z nimi uściski dłoni, nie mogąc się nadziwić, że znów jest normalnie po tak wielu – zbyt wielu – długich nocach i dniach, kiedy z konieczności pozostawali z dala od siebie, i po tym nieprzyjemnym odkryciu na stacji benzynowej.

Potem Lily zabrała się do przedstawiania wszystkim Rose. Liam patrzył i czuł, jak rośnie mu serce. Lily trzymała czubki palców na ramieniu dziewczynki instynktownym gestem, z jej głosu i oczu biła duma; Tara i Bay spoglądały na Rose i w ich oczach zbierały się łzy. Liam był świadom, jaki to ważny dzień w życiu każdego z obecnych, i cieszył się, że może być świadkiem tego spotkania po latach.

– Bay i ja znamy twoją mamę od zawsze – powiedziała Tara, kucając. – Zaprzyjaźniłyśmy się, kiedy byłyśmy mniej więcej w twoim wieku.

– W co się bawiłyście? – zapytała Rose. W oczach dorosłej przecież kobiety mignął figlarny ognek.

– Wypuszczaliśmy się na łódkach aż na Wyspę Mew, zakradałyśmy się do Indiańskiej Pieczary, kopałyśmy w poszukiwaniu skarbów na Malutkiej Plaży, zbierałyśmy muszelki i kamyki, robiłyśmy naszyjniki, grałyśmy w tenisa do późna w nocy, chodziłyśmy do kina na otwartym powietrzu, zostawiałyśmy sobie liściki w szufladach sklepu Foleyów...

– Ekstra! – klasnęła w dłonie Rose. – Ja i moja przyjaciółka Jessica też robimy razem masę różnych rzeczy.

– Masz najlepszą przyjaciółkę? – zapytała poważnie Tara.

Rose potaknęła.

– Nie tutaj, tylko w Cape Hawk – dodała tytułem wyjaśnienia.

– No, to masz już pojęcie na temat tego, co można robić w Hubbard's Point – dorzuciła Tara. – Myślę, że będzie ci się tutaj podobało.

– Tak bardzo się cieszę, że nareszcie mogę cię poznać, Rose – rzekła wzruszona Bay. – Kochamy twoją mamę i już zakochałyśmy się w tobie.

Rose spłoniła się i uśmiechnęła do obu kobiet nieśmiało.

Liam nie spuszczał z niej wzroku i czuł się dumny jak każdy ojciec. Rose odziedziczyła po swojej matce łagodność i ciekawość świata. Na co dzień powodowało ją całkowicie naturalne pragnienie wiedzy, toteż bez strachu wypróbowywała nowe rzeczy i zabierała się do lektury książek, które w programie nauczania były przewidziane dla wyższych klas. Ot, nie dalej jak wczoraj zastał ją klęczącą przy biblioteczce Stanleya i szperającą w archiwalnych wydaniach „Przeglądu Oceanograficznego”, w których jak mu powiedziała, poszukiwała artykułów o białuchach.

– Należą do podrzędu zębowców – poinformowała go potem. – Żywią się skorupiakami i głowonogami. Skorupiakami są na przykład kraby i homary. Teraz już się nie dziwię, że Nanny podoba się tu, na południu. Sama

widziałam, jak mewy łowią w morzu różne kraby i trzymając je w dziobie, odlatują do gniazda...

– To wszystko prawda. – Liam uśmiechał się do niej, puchnąc z dumy. – Będzie z ciebie niezły oceanolog, Rose – dodał.

– Taki jak pan, doktorze Neill – odpowiedziała, promieniejąc z radości.

Znad cieśniny wiatr przynosił chłodniejsze, lekko słone powietrze. Słońce zaczynało z wolna zachodzić, ścieląc się złocistymi promieniami na wodzie i gładkich występach moreny lodowej. Tara i Bay przyniosły ze sobą pizzę i włożyły ją do piecyka, aby pozostała gorąca i chrupiąca. Lily szybko wypakowała z bagażnika torbę z zakupami, ugotowała na parze kilka kolb kukurydzy i przygotowała sałatkę z pomidorów. Dzieciaki Bay i Dana: Eliza, Annie, Billy i Pegeen, z towarzyszącym im malcem Tary i Joego, Joem juniorem, otoczyły wianuszkiem Rose, z podnieceniem witając w Hubbard's Point jeszcze jedno dziecko, z którym można się będzie bawić.

Liam i Lily siedzieli obok siebie na huśtawce i przysłuchiwali się toczącej się gładko rozmowie. Ze względu na dzieci nie poruszano poważniejszych tematów. Mówiono o utrzymującej się dobrej pogodzie, o planowanych rozgrywkach w tenisa, o kończących się wakacjach i powrocie do szkoły; Lily podzieliła się z przyjaciółmi i bliskimi najświeższymi wieściami na temat stanu zdrowia Maeve. Liam w pewnym momencie poszedł po laptopa i wróciwszy na huśtawkę, włączył go, by po paru chwilach wydać głębokie westchnienie ulgi. Zielona kropka oznaczająca Nanny pojawiła się na ekranie!

– Gdzie ona jest? – Rose rozejrzała się po zatoczce.

– Tutaj. – Liam wskazał na ekranie miejsce. – To będzie jakieś dwieście metrów od brzegu.

– Może szuka kolacji – powiedziała Rose. – Wale białe żywią się skorupiakami.

– My też możemy nałapać raków! – zawołał podekscytowany Billy.

Lily wyposażyła dzieciaki w durszlaki, sita i chochle – najlepszy sprzęt, gdy chodziło o łapanie raków – po czym Annie i Eliza poprowadziły gromadkę młodszych dzieci w dół po skałach. Uszu dorosłych dochodził chrzęst kamieni i grzechotanie upuszczanych na ziemię pustych muszli po małżach, które były doskonałą przynętą na raki. Gdy tylko na horyzoncie zrobiło się czysto, Lily, Liam i ich goście zaczęli rozmawiać.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że jesteście tu wszyscy! – powiedziała Bay do Lily i Liama.

– Tyle czasu wam to zabrało... – dodała z lekkim wyrzutem Tara.

– Wspaniale jest cię nareszcie poznać po tym wszystkim, co o tobie słyszałem – włączył się Dan.

– Liamie, od tej chwili należysz do rodziny mieszkańców Hubbard's Point – oznajmiła uroczyście Tara.

– Bardzo wam dziękuję za takie przyjęcie – rzekł Liam i skierował wzrok na Joego, męża Tary. Od Lily wiedział, że Joe pracuje w FBI. – Czy twoim zdaniem popełniamy błąd, otwarcie przywożąc tutaj Rose i narażając ją na spotkanie z Hunterem?

– Trudne pytanie – pokręcił głową Joe. – To zależy...

– Od czego? – przerwała mu Lily.

– Prawdopodobnie znacznie większym błędem byłoby ciągle ukrywanie się przed nim, przez co zyskiwałby nad wami i waszym życiem coraz większą władzę. To co uczynił tobie, Lily, sprawiło, że czuł się naprawdę ważny. Narcyz taki jak on wykorzysta każdą okazję, aby utwierdzić się w przekonaniu

o własnej wielkości. Jeśli piejesz z zachwytu, cieszy się, ale jeśli płaczesz, cieszy się jeszcze bardziej.

– Czy on wiedział, że Lily żyje? – zapytał Liam wprost.

– Wiedział, że jej nie zamordował – odrzekł z namysłem Joe – zatem tak, musiał wiedzieć, że pozostała przy życiu.

– Szukał mnie? Nas? – schrypniętym z emocji głosem spytała Lily, ruchem głowy wskazując miejsce na płyciźnie, z którego dochodziły krzyki dzieci i między innymi jej Rose.

– Tego nie można wykluczyć – oświadczył Joe. – Ale na pewno nie wychylał się z tym. W końcu był podejrzewany o morderstwo i mimo że w tym akurat nie miał sobie nic do zarzucenia, wolał, aby inne jego sprawy pozostały niewykryte. Musiał więc uważać na każdy swój krok. W jego życiu aż roi się od kart, na które jego zdaniem policja nie powinna patrzeć.

– Jak na przykład co? – zaciekawiał się Liam. Joe wzruszył ramionami.

– Edward Hunter to stary oszust. I nie ma tu nic do rzeczy to, że większość jego działań jest legalna. Sprzedawanie akcji i bogate ożenki. Tak czy siak mydli ludziom oczy, naginając prawdę, z zamiarem oskubania ofiar z pieniędzy i majątku.

– I z serc – dodała cicho Lily.

Jej słowa sprawiły, że żołądek Liama zacisnął się w twardą kulę. No tak, Lily oddała tamtemu mężczyźnie swoje serce i ciało, obdarzając go miłością. Popatrzył na nią i od razu dostrzegł oznaki niepokoju i bólu w jej oczach. Zapragnął nagle chronić ją przed każdym, najdrobniejszym nawet cierpieniem w przyszłości, sprawić, żeby zapomniała o wszystkich nieprzyjemnościach, które ją spotkały, i żeby przestała się wreszcie zamartwiać. Pamiętał, co opowiadała mu o Edwardzie – a podzieliła się z nim zaledwie częścią

koszmaru, który stał się jej udziałem – i miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała wracać do przykrych wspomnień, zwłaszcza do tych, które ukryła najgłębiej. Dziewięć lat spędzone w Cape Hawk było dla niej terapią. Najlepiej świadczyła o tym dzisiejsza konfrontacja. Już samo to, że się na nią zdobyła, że naprawdę wyszła z ukrycia, wiele mówiło o jej sile i woli przetrwania.

– Byliśmy na twoim ślubie – powiedziała Tara – a potem z bólem patrzyliśmy, jak się od nas oddalasz. Im dłużej byłeś z nim związana, tym bardziej odcinałeś się od nas.

– Rzeczywiście, nie prowadziliśmy zbyt bogatego życia towarzyskiego – przyznała Lily. – A Edward nie lubił, kiedy wychodziłam z domu, żeby spotkać się z moimi przyjaciółmi. – Wzdrygnęła się i objęła ramionami.

Liam przysunął się do niej bliżej, żałując, że nie może dać jej więcej ciepła. Wiedział jednak, że chłód, który ją przejął, nie ma nic wspólnego z rześkim wieczornym powietrzem i wietrzykiem wiejącym od morza. Ten chłód rodził się na dnie jej duszy, brał źródło we wspomnieniach o życiu z mężem, który rozniósł w proch jej marzenia i zmusił ją, aby pozostawiła wszystko to, co kochała i co miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie, i wyjechała daleko od domu.

Diabeł wyskoczył z pudełka. Lecz nie sam; to Lily pokazała go światu. Opowiadając o nim po trochu przy różnych okazjach, odkrywała jego prawdziwą naturę – innym, ale również sobie. Liam był wstrząśnięty uczuciami, jakie wywoływały w nim i pozostałych słuchających zwierzenia Lily, kiedy mówiła o dawnych czasach i wspólnym życiu z Edwardem. Wiele z tego podejrzewali, jednakże aż dotąd nie mogli mieć pewności.

W pewnym momencie Lily nieoczekiwanie wstała i rozglądając się na wszystkie strony, zaczęła szukać oczyma Rose. Panowała letnia, spokojna noc.



Dzieciaki śmiały się i krzyczały, chlapiąc się w płytkiej wodzie poniżej. Choć słońce już dawno zaszło, nie było całkiem ciemno. Promienie księżyca oświetlały wody cieśniny, granitowe występy skalne, leżącą w dole zatoczkę. Mimo to Bay krzyknęła do Annie i Elizy, żeby już przyprowadziły małego Joeya.

Liam spodziewał się, że Lily pójdzie w jej ślady i przywoła Rose, ona jednak tego nie uczyniła. Nachyliła się tylko przez balustradę werandy i przyglądała się z góry córeczce. Lekko pomarszczona wiatrem powierzchnia wody mieniła się srebrzyście w świetle księżyca. Rose przykucnęła zafascynowana spektaklem życia rozgrywającym się u jej stóp. Potrafiła tam wypatrzeć ciągnące się przy dnie wstęgi wodorostów, nieliczne pobrażki, zabarwione purpurą muszle małży i nakrapiane pancerzyki krabów czmychających na wszystkie strony przy jej najlżejszym ruchu. Liam także patrzył na dziewczynkę i w pamięci miał własną fascynację morzem, gdy jeszcze był chłopcem. Impulsywnie nachylił się do ucha Lily i szepnął:

– Nasza przyszła pani biolog.

– Tak... – odszepnęła Lily z oczami mokrymi od łez.

Liam przytulił ją do siebie, czując, jak ogarnia go radość z powodu jej szczęścia. Wydawała się tutaj taka spokojna, taka rozluźniona. Miała przy sobie córkę, przyjaciół, dom babci, księżyc, który oświetlał jej drogę w dzieciństwie i młodości. Miała jego... Lily nie była osobą, która potrafiłaby długo pozostać przybita. Ducha miała niespożytego.

Nagle Rose poderwała się na równe nogi. Podskakiwała w górę i w dół, w górę i w dół, wskazując palcem morze.

– Nanny! – wołała. – Nanny!

W swoim życiu Liam widział niejednego wieloryba. Wychowywał się na północnym zachodzie Nowej Szkocji, gdzie z wielorybów się żyło. Nie pamiętał jednak takiej radości i takiego podniecenia na widok żadnego z nich – nic nie równało się z uczuciem, które dopadło go teraz, kiedy dostrzegł SM122, białuchę z Zatoki Świętego Wawrzyńca, znaną również jako Nanny, w pobliżu swego nowego domu.

– Widzicie ją? – wołała Rose.

– Tak, widzimy! – odkrzyknęli chórem przyjaciele Rose, zarazem zdumieni i zachwyceni tym, co mieli przed oczami.

Liam ujął Lily za rękę. Równocześnie zaczęli biec w dół, po skałach, przez płyciznę ku falochronowi. Potykali się i wspinali na podwodne kamienie, byle szybciej stanąć obok Rose, byle szybciej zobaczyć Nanny z tak bliska, jak to było możliwe. Niedaleko brzegu płynęła białucha, popatrując na nich swymi ciemnymi mądrymi oczyma. Takich oczu Liam także nie widział u żadnego wieloryba. Czuł się tak, jakby wieloryb prześwietlał go spojrzeniem na wylot, odczytując to, co ma w sercu, i pozwalając innym zajrzeć do jego wnętrza. – To naprawdę ona! – sapnęła Rose.

– Naprawdę – zgodziła się z nią Lily.

– Teraz wszystko już będzie dobrze – powiedziała Rose z przekonaniem.

– Jesteśmy tu razem – rzekła Lily. – Tylko to się liczy.

W górze rozległ się odgłos telefonu i Lily pobiegła do domu, aby odebrać rozmowę. Wkrótce doszedł ich uszu jej radosny okrzyk.

Liam rzucił się do przodu, wychodząc jej na spotkanie, a ona niemal sfrunęła w dół ku niemu

– Obudziła się! – krzyczała, płacząc. – Babcia się obudziła!

## ROZDZIAŁ 16

Maeve oddałaby życie za szklanekę wody, taka była spragniona. Czowała się tak, jakby znalazła się na pustyni, gdzie nie było nic poza rozgrzanym do białości piaskiem i dławiącym upalnym powietrzem, a przebudziwszy się, nagle wkroczyła do oazy obiecującej odpoczynek.

– Czy mogłabym dostać trochę wody? – wyszeptała do nachylającego się nad nią lekarza, który świecił jej w oczy małą latareczką. Uświadomiła sobie, że to jej pierwsze słowa od naprawdę bardzo dawna. Wciąż miała pod powiekami obrazy pustyni i raz po raz nawracającą fatamorganę w postaci Mary.

– Oczywiście, za chwilę – odparł lekarz. – Ale najpierw proszę mi powiedzieć, czy pani pamięta, jak się nazywa.

– Jestem Maeve Jameson.

– A wie pani, ile ma lat?

– Osiemdziesiąt trzy.

– Doskonale – ucieszył się lekarz. Ujął w palce jej nadgarstek i przez niemożliwie ciągnącą się chwilę mierzył jej tętno. Maeve niecierpliwiła się. Czy ten człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak uciążliwe jest uczucie palącego pragnienia? Zwłaszcza jeśli w dodatku ma się w ustach okropny chemiczny posmak. – Może mi pani jeszcze powiedzieć, gdzie się znajdujemy?

Maeve zacisnęła usta. Teraz ją miał! Ostatnie co pamiętała, to widok Hubbard's Point. Była w ogrodzie, przycinała swoje krzewy róż. Towarzyszyła jej Clara i ktoś jeszcze. Ale potem zaczął wiać wiatr, który przyniósł deszcz – rozpętała się ulewa, jakie często nadchodziły z północnego wschodu – i nie było wyjścia; musieli się rozejść i schronić w czterech ścianach, by w suchym i

ciepłym wnętrzu przeczekać najgorsze, podczas gdy żywioty pastwiły się nad wybrzeżem. Pamiętała, jak okrywała się ciaśniej szalem, ponieważ poczuła chłód. Z nudów podeszła do biblioteczki, żeby wybrać jakąś książkę do poczytania przy kominku, lecz w oczy rzucił jej się kurz na półkach, więc zamiast usiąść, zaczęła odkurzać...

Rozejrzała się dookoła. Teraz otaczały ją białe ściany, ostre fluorescencyjne światło, nieskazitelna czystość. Uznała, że może zaryzykować zabawę w zgadywanie.

– W szpitalu?

– Zgadza się – potwierdził lekarz z ulgą. – No, jeszcze jedno pytanie i będziemy mogli przejść do ważniejszych spraw...

Maeve nie zdołała się powstrzymać i cichutko załkała. Łzy jednak nie popłynęły jej z oczu. Znienacka przypomniała sobie sny, w których główną rolę odgrywała Mara. Były tak realne, jakby Mara rzeczywiście siedziała tuż obok niej i trzymała ją za rękę, szeptała jej do ucha, ocierała zwilżoną gąbką spoczone czoło. Maeve pomyślała, że podobne wrażenie miała w odniesieniu do Clary, no ale przecież Clara była u niej naprawdę. Przyjaciółka na pewno by ją odwiedziła w szpitalu.

Jednakże te sny o Marze... Przepelniała je miłość. I nic dziwnego, skoro przez lata połączyła je niezwykła więź – tak ciasna jak to tylko możliwe, z tyloma sekretami, iloma udało im się podzielić w ciągu wspólnych lat, kiedy Maeve była świadkiem dorastania i dojrzewania Mary i kiedy Mara razem z nią pielęgnowała ogródek... Bez wątpienia sny o wnuczce były najwspanialszymi, jakie kiedykolwiek śniła; szkoda tylko, że działo się to w szpitalu i że były to tylko sny.

– Młody człowieku... – odezwała się zdecydowanie. Nie wierzyła własnym uszom. Głos miała suchy i skrzeczący, jak nie przymierzając czarownica z filmu. – Traktuje mnie pan jak starą wariatkę. – Nagle ogarnął ją strach. A jeśli faktycznie postradała zmysły? Zapadała się w te swoje sny i z nich wybudzała, nie przestając zaklinać rzeczywistości i przywoływać Mary przez dzielące je przestrzeń i czas. Czyżby więc w istocie pomieszało jej się w głowie? Nie potrafiła wyobrazić sobie nic gorszego.

– Przykro mi, że tak to pani odebrała – rzekł szybko lekarz. – Po prostu musiałem przeprowadzić mały test. To rutyna w przypadku pacjentów, którzy przez jakiś czas pozostawali w śpiączce.

– W śpiączce? – powtórzyła Maeve i zachwyciła się. Zabrzmiało to naprawdę jak z filmu. Z dramatu. Śpiączka to z pewnością coś o wiele lepszego niż zwykła szajba.

– Zaczynaliśmy się już o panią martwić – ciągnął wyjaśnienia lekarz. – Nie było pani z nami ponad dwa tygodnie.

– Dobry Boże! – szepnęła Maeve. Czowała mieszaninę ulgi, że udało jej się w końcu obudzić, i przerażenia, że w ogóle spotkało ją coś podobnego. Zaczynała nawet rozumieć, skąd te niesłychanie realne sny o Marze. Być może znalazła się w owym słynnym tunelu, na którego końcu błyska słabe światelko. W jej wypadku jasnością, do której zmierzała, była niewątpliwie miłość, jaką zawsze miała dla wnuczki. Chyba tylko dzięki niej udało jej się przetrwać te wszystkie minione lata wypełnione na równi tęsknotą i zmartwieniem. Opadła na pościel z westchnieniem. – Co to było? Wypadek samochodowy? – zapytała, chociaż we wspomnieniach nie potrafiła się doszukać żadnego pisku hamulców, żadnego skręcania kierownicą w ostatniej chwili, żeby ominąć jakieś nieszczęsne zwierzę.

– Nie, pani Jameson. Zatręła się pani tlenkiem węgla.

Ach, więc to stąd ten dziwaczny smak w ustach! Spróbowowała oblizać wargi, lecz język okazał się wyschnięty na wiór. Ten lekarz bardzo się stara – uznała. Obserwowała go, jak szeptem konsultował się z innym lekarzem, kobietą, i jeszcze z dwiema pielęgniarkami. Wszyscy czworo stali stłoczeni w nogach jej łóżka i wyglądali na wielce zaaferowanych, spoglądając wciąż w stronę drzwi. Maeve pomyślała sobie, że widać w ich szpitalu niezbyt często się zdarza, aby pacjent wybudził się ze śpiączki trwającej ponad dwa tygodnie. Odchrząknęła głośno.

– Wody... – wycharczała.

– Pani Jameson... – przemówiła do niej lekarka. Miała ciemne kręcone włosy i łagodny uśmiech. – Jestem doktor Mead. Chciałabym przekazać pani pewną wiadomość... dobrą wiadomość – dodała szybko, widząc poruszenie w oczach pacjentki. – Najpierw jednak muszę się upewnić, że jest pani na nią gotowa.

– Na dobre wiadomości jestem zawsze gotowa – zapewniła Maeve, z wdzięcznością przyjmując z rąk jednej z pielęgniarek kubek z wodą. Przypięła się do słomki i zaczęła chciwie ssać życiodajny płyn.

– Chodzi o pani wnuczkę – oznajmiła doktor Mead z promiennym uśmiechem, po czym znów obejrzała się na drzwi.

Maeve skończyła właśnie pić i oddawała kubek pielęgniarce. W ustach wciąż miała smak najlepszej wody, jaką kiedykolwiek piła ze studni, źródła czy rzeki, i była pewna, że taką wodą podlewa się rajskie ogrody. Wszelako to co usłyszała, było jeszcze lepsze! Z jednej strony nie mogło być prawdą, a jednak nią było. Przez moment nawet myślała, że nadal śni, lecz przecież czuła

się taka żywa. Podciągnęła się do pozycji siedzącej i szeroko rozłożyła ramiona.

– Mara!– krzyknęła.

Przy drzwiach pokoju pokazało się nagle więcej osób. Ktoś próbował powstrzymać Marę, lecz ona ani myślała go słuchać. Przy sobie miała jakiegoś mężczyznę i dziecko i razem niczym taran torowali sobie drogę wśród szpitalnego personelu. Maeve usłyszała szloch wnuczki, zanim Mara przebyła połowę dzielącej je odległości.

– Babciu! – zawołała przez łzy.

– Och, mój kwiatuszku...

– Wróciłam do domu, babciu – powiedziała Mara i rzuciła się w jej otwarte ramiona.

Maeve poczuła na sobie jej dłonie, te same, które tak dobrze знаła, tyle że teraz już całkiem dorosłe i jakby o wiele silniejsze. Maeve z kolei trzymała Marę, jakby ta była wciąż jej malutką wnuczką. Tylko łącząca je miłość była zupełnie ta sama. Obejmowały się i ścisnęły, wiedząc, że już nigdy nic ich nie rozdzieli i że zawsze będą razem.

Lily siedziała na brzegu łóżka Maeve, obejmując ramieniem Rose. Przedstawiła już babci Liama i teraz miała przed sobą najważniejszy moment w swoim życiu – zapoznanie Maeve i Rose – o którym myślała i marzyła przez długich dziewięć lat. Wcale jej nie zdziwiło, że wszystko przebiega tak jak w jej marzeniach i że Maeve zachowuje się, jakby знаła Rose od urodzenia, Rose zaś – choć nad wyraz nieśmiała i spokojna – wykazuje ciekawość i patrzy na prababcię otwartymi szeroko oczami.

– Tego lata skończyłaś dziewięć lat! – powiedziała Maeve z uśmiechem.

– Tak – potwierdziła z powagą dziewczynka. – Dwudziestego siódmego czerwca. Skąd wiedziałaś?

– Wiem o tobie wszystko, skarbie – odparła Maeve.

– Mimo że nigdyśmy się nie widziały i mieszkałyśmy tak daleko od siebie?

– Tak – pokiwała głową staruszka – pomimo tego.

Lily całą sobą chłoneła tę scenę. Była zachwycona sposobem, w jaki jej babcia pożera wzrokiem Rose. Wodziła spojrzeniem od rozjaśnionych przez słońce kasztanowych warkoczyków do zielono–złoty oczu i dalej, do różowych usteczek. Zauważyła oczywiście, że dziewczynka jest mała jak na swój wiek – winę za to ponosiła wada serca, z którą się urodziła – lecz nie zająknęła się na ten temat ani słowem, wręcz przeciwnie, czuła do prawnuczki jeszcze większą miłość.

– A ja mam bliznę – oznajmiła Rose.

– Naprawdę?

Rose skinęła. Popatrzyła na matkę, szukając u niej potwierdzenia, że może pokazać bliznę prababci. Na gardle Lily zacisnęły się szponiaste palce wzruszenia. Wiedziała, jak istotną rolę w życiu jej córki, w tym, kim się stała, odegrała choroba, i ujęło ją, że dziewczynka bez żadnych ceremonii, natchmian po poznaniu Maeve, chce podzielić się z nią swym sekretem. Pomogła więc córce odciągnąć bluzeczkę poza linię obojczyków, tak żeby Maeve mogła ujrzeć najświeższą bliznę na ciele Rose, tę po ostatniej operacji.

– Rose przeszła operację na otwartym sercu w początkach lata – poinformowała. – Teraz nic już jej nie grozi.

– Tak bardzo się cieszę! – powiedziała Maeve. Nie skrzywiła się na widok szramy ani nie przybrała zmartwionej miny. Po prostu dalej uśmiechała



się do Rose, jakby wiedziała, że niektórzy ludzie przechodzą operacje serca, inni zaś zapadają w śpiączkę, lecz życie toczy się dalej i przynosi im to, co miało przynieść. – Czy blizna jeszcze cię boli? – spytała.

– Tylko lekko swędzi – odpowiedziała Rose.

– No tak – rzekła Maeve, jakby dokładnie wiedziała, co Rose ma na myśli. Ujęła rączkę dziewczynki i potrząsnęła lekko. – Bardzo podoba mi się twoje imię – zauważyła. – Rose...

– Dziękuję – rozpromieniła się dziewczynka. – I ja, i mama dostałyśmy imiona po kwiatach.

– Twoja mama nosi imię będące nazwą kwiatu? – zdziwiła się Maeve, podnosząc wzrok na swoją wnuczkę.

– Odkąd wyjechałam z Hubbard's Point, zaczęłam używać imienia Lily – wyjaśniła. – Wybrałam je, bo chciałam pamiętać o twoim ogrodzie. O wszystkich jego kwiatach pławiących się w promieniach słońca.

– Ja i mój ogród bardzo za tobą tęskniliśmy – szepnęła Maeve z błyszczącymi oczami.

– Ja również za wami tęskniłam – zapewniła Lily. – Sama już nie wiem, ile wyhaftowałam obrazów przedstawiających „Ogród morski”: studnię życzeń, chatę, róże pnące się przy drzwiach, metalową ławkę...

– To wyjątkowo piękne miejsce – wtrącił Liam.

– Dziękuję. – Maeve równocześnie uśmiechała się do niego i krzywiła, jakby chciała być miła nawet wtedy, kiedy dokonuje jego oceny. – Czy zna pan moją wnuczkę długo?

– Parę dni dłużej, niż żyje pani prawnuczka.

Maeve zamrugnęła, próbując zrozumieć prawdziwe znaczenie tych słów. Wciąż jeszcze czuła się oszołomiona. Na razie nie zdążyła się przyzwycząić do

świadomości, że w ciągu dwóch tygodni, kiedy pozostawała w śpiączce, odzyskała całą rodzinę. W dodatku nieoczekiwanie poczuła się stara i zmęczona, jakby dopiero teraz dopadł ją stres ostatnich dziewięciu lat. Lily przyglądała się babci uważnie i sądząc po tym, jak patrzyła na Liama, doszła do wniosku, że Maeve czuje się przy nim bezpieczna.

– Zatem zna je pan już kawał czasu.

– Znam i kocham – powiedział uśmiechnięty Liam.

– Babciu – odezwała się Lily – nie chcemy cię zamęczyć. Potrzebujesz teraz mnóstwo odpoczynku...

– Kwiatuszku – wpadła jej w słowo Maeve. – Czuję, że mogłabym tańczyć.

Lily dobrze wiedziała, co jej babcia ma na myśli, ponieważ czuła się równie lekko. Jednakże Maeve wydawała się niezwykle krucha; policzki miała zapadnięte i blade. Pielęgniarki zaczęły się tłoczyć w separacie, dając znać, że czas kończyć wizytę. Lily ujęła więc dłoń babci, choć wiedziała, z jakim trudem przyjdzie jej się pożegnać mimo świadomości, iż przecież będzie mogła znów ją odwiedzić z samego rana. To lata rozłąki wywołały taki skutek – teraz każda minuta razem zdawała się na wagę złota. Lily w głębi ducha drżała, że jeśli wypuści dłoń babci ze swojej, jeśli ją zostawi, nigdy już nie przeżyje chwili takiej jak ta. Choć tego nie chciała, drzenie ogarnęło jej ciało i Maeve to wyczuła.

– Wszystko będzie dobrze, kwiatuszku.

– Skąd wiesz?

– Po prostu to czuję. Liamie, powiedz jej, proszę...

– Twoja babcia ma rację, Lily. Wszystko będzie dobrze – powiedział, kładąc jej dłoń na ramieniu.

– Jest taka modlitwa... – rzekła zamyślona Maeve. – Autorstwa, zdaje się, świętej Julianny z Norwich, angielskiej pustelnicy, zdaniem niektórych największej mistyczki i teologa swoich czasów. Wszyscy moi ulubieni święci są mistykami, ponieważ tylko oni mają prawdziwie głęboką wiarę. Dostrzegają to, co innym wydaje się niemożliwe, dlatego że patrzą oczyma duszy i nie wstydzą się używać serca. Kiedy ciebie tu nie było – popatrzyła na Lily – odmawiałam tę modlitwę każdego dnia. Idzie to tak: „I wszystko będzie dobrze, i wszelkie sprawy ułożą się dobrze”.

– Podoba mi się ta modlitwa – powiedziała Rose.

– Mnie też – dodał Liam.

– I naprawdę działa – podsumowała Maeve. – Obiecuj mi, kwiatuszku, że zmówisz ją od czasu do czasu.

– Postaram się. – Lily nadal nie czuła się pewnie na myśl o tym, że ma wypuścić dłoń Maeve ze swojej i zostawić babcię samą.

– Kiedy będę mogła wrócić do domu? – zwróciła się Maeve do lekarza robiącego jakieś adnotacje na karcie choroby.

– Musimy panią jeszcze trochę poobserwować – odpowiedział. – Jutro wyślemy panią na oddział neurologiczny, tam zrobią pani kilka testów i dopiero wtedy będziemy mogli podjąć jakąś decyzję.

– Nie mogę się doczekać powrotu do domu! – rzekła Maeve z ożywieniem. Uśmiechnęła się do Liama i poprosiła:

– Proszę się nimi dobrze opiekować do czasu, aż mnie wypuszczą ze szpitala.

– Może pani na mnie liczyć – odrzekł poważnie doktor Neill.

Lily uściskała mocno babcię, po czym trzymając wciąż w dłoniach jej twarz, zajrzała w jej łagodne niebieskie oczy. Wydawało jej się, że ostatni raz

robiła to przed całymi wiekami, i poczuła, jak pod powiekami znowu zbierają jej się łzy.

Maeve odwzajemniała uściski z zadziwiającą siłą. Kiedy w końcu zaczęli opuszczać separatkę, robili to tyłem, aby móc jeszcze machać jej na pożegnanie. W odpowiedzi przesyłała im w powietrzu całusy.

– Do widzenia, kochani – mówiła. – Do widzenia, Lily, Liamie i Rose.

Lily odwróciła się pierwsza, gdyż nie zdołała pohamować łez. Jej babcia właśnie nazwała ją „Lily”. Zatem Mara odeszła na zawsze.

Było grubo po dziesiątej wieczorem. Przez most Gold Star udali się na drugą stronę Thames River, wiedząc, że tam o nawet tak późnej porze będzie na nich czekał otwarty bar – nomen omen – „U Rosie”. We wnętrzu dominowały kolory srebrny i turkusowy, a goście siedzieli w łóżach wykładanych niebieskozieloną sztuczną skórą. Rose była niezwykle podniecona, że zje kolację w miejscu, które nazywało się prawie tak jak ona, i z wrażenia zamówiła podwójną porcję naleśników z jagodami, nie bacząc na to, że o tej porze powinna już właściwie dawno spać.

Matka i córka siedziały obok siebie, naprzeciwko mając Liama, który położył na dzielącym ich blacie rękę, tak by mógł trzymać dłoń Lily. Gawędzili na temat Maeve i Rose w pewnym momencie zapytała, jak powinna się do niej zwracać: czy zwyczajne „babciu” będzie odpowiednim określeniem? Lily odparła, że trzeba będzie o to zapytać samą zainteresowaną, kiedy znowu się z nią zobaczą.

– Maeve to bardzo ładne imię – zauważyła Rose.

– Nosiła je królowa wojowniczką z irlandzkiej legendy – wyjaśniła Lily.

– Pochodziła z Coonaught na zachodzie Irlandii.

– To musi być miłe uczucie, nosić imię po królowej wojownicze – rozmarzyła się dziewczynka.

– Podobnie jak nią być. – Liam puścił oko do Lily. – Jesteś godną wnuczką Maeve.

– Naprawdę uważasz, że w moich żyłach płynie krew wojowników? – zapytała go zdziwiona.

– Absolutnie, mamó! – odpowiedziała za niego Rose.

– Zwłaszcza jak pokrzykujesz na personel szpitala, kiedy ci się zdaje, że nie zajmuje się mną jak należy.

– Hm... Przypuszczam, że czasem zdarzało mi się wyjść z siebie... – bąknęła Lily.

Ich przekomarzanki przerwało pojawienie się kelnerki z wielkim talerzem naleśników z jagodami. Stawiając go na stole, niechcący potrąciła szklankę Liama i trochę soku pociekło mu na spodnie. Bez jednego złego słowa zapanował nad sytuacją, ratując resztę napoju i spodnie, a Lily poczuła, jak ogarnia ją spokój i poczucie bezpieczeństwa. W pamięci miała aż nadto wspomnień, w których Edward robił kelnerowi karczemną awanturę tylko za to, że nieszczęsny człowiek prysnął na niego kroplą wody. Przyjemny nastrój wieczoru warzył się w jednej chwili z powodu takiego głupstwa. Przez resztę posiłku przy stole panowała minorowa atmosfera, Edward nie otwierał ust, a kiedy kończyli jeść, ciskał należność na blat, zapominając rzecz jasna o napiwku. Lily już wtedy podejrzewała, że takie zachowanie nie jest normalne, jednakże zrozumiała to w pełni znacznie później.

A teraz, przyglądając się, jak uśmiechnięta od ucha do ucha Rose dzieli się naleśnikami z Liamem, wiedziała, że w jej życiu na powrót zapanował spokój i bezpieczeństwo, których nic nie może zburzyć.

– Może jednak mogłabym zwracać się do niej po imieniu – powiedziała Rose z pełnymi ustami.

– Do prababci? – upewniła się Lily.

– Tak. – Rose pokiwała energicznie głową. – Jej imię strasznie mi się podoba. No i wzięła je od królowej wojowniczkki. Chyba nie będę umiała się oprzeć, żeby do niej tak nie mówić.

– A mnie się wydawało, że nie lubisz mówić do dorosłych po imieniu – wtrącił Liam.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam! – zaperzyła się dziewczynka, marszcząc brwi.

Lily popijała koktajl mleczny, zastanawiając się, o czym tych dwoje rozmawia.

– A wtedy, kiedy poprosiłem cię, żebyś zwracała się do mnie po imieniu? – przypomniał jej.

Rose spiekła raka.

– O co chodzi, skarbie? Sądzisz, że byłoby niegrzecznie nagle przestać mówić do Liama per „doktorze Neill”? Dlatego, że jest naszym dobrym znajomym, a nie krewnym, tak jak babcia?

– Nie, nie dlatego – pokręciła głową Rose. Głos opadał jej do szeptu równie szybko jak odkładany widelec na talerz. W olbrzymich oczach pojawiły się łzy. – Ja wolałabym mówić do doktora Neilla jeszcze inaczej.

– A jak? – zaciekawiała się Lily.

Liam już się domyślał. Lily wiedziała o tym, ponieważ poczuła, jak ściska ją za dłoń.

– Tatusiu – wyszeptała Rose, spuszczać wzrok.

## ROZDZIAŁ 17

Patrick Murphy pognał do szpitala, jak tylko usłyszał dobrą nowinę. Kiedy znalazł się na miejscu, nie zastał w separacie Maeve, którą zabrano na niższe piętra celem najpierw wykonania jakichś testów, a później poddania jej fizykoterapii. Siedział więc na krześle w głowach łóżka, w którym spędziła tak wiele czasu, i czekał na jej powrót.

Rozmyślał o Marisie i jej siostrze, pielęgniarce. O tym, jak wielu osobom pomogły. Nie dawało mu spokoju, że dotąd nie zdołał ich do siebie zbliżyć. Patrzył przed siebie pustym wzrokiem, wiedząc, że wszystkie one: Maeve, Marisa i Samantha, a także Lily i Rose, były ofiarami jednego człowieka. Edwarda Huntera.

Pracując jeszcze w policji, nieraz miał do czynienia z przypadkami ofiar w śpiączce. Najczęstszą przyczyną ich stanu było uderzenie tępym narzędziem, otrucie, strącenie z wysokości, ale też cała masa innych powodów, niejednokrotnie takich, że normalnemu człowiekowi nie mieściły się w głowie. Przez lata służby Patrick zauważył pewną prawidłowość. Ludzie pogrążeni w śpiączce przechodzili określone fazy i ten kto osiągał punkt, w którym zdawał się totalnie wycofany z rzeczywistości, przyjmując pozycję niemal embrionalną, bardzo rzadko odzyskiwał przytomność. Dlatego Patrick uważał przebudzenie Maeve za prawdziwy cud. Na razie jednak nie wiedział, czy Maeve, którą miał za parę chwil zobaczyć, będzie tą samą kobietą, którą znał. Czy chowając się przed światem, nie utraciła przypadkiem czegoś ze swej istoty.

Gdy w korytarzu rozległ się klekot kółek, Patrick zerwał się na równe nogi. Spodziewał się, że zobaczy Maeve ułożoną na ruchomych noszach. Po

prawdzie był przygotowany na widok starej, pomarszczonej, skulonej kobiety, która wodzi wokół nieprzytomnym wzrokiem. Kiedy drzwi się otworzyły i pielęgniarz do środka wepchnął wózek inwalidzki z siedzącą w nim wyprostowaną, schludnie uczesaną staruszką o bystrych przejrzystych oczach, Patrick poczuł, że mimowolnie szczerzy się jak głupi do sera.

– No, niech mi ktoś powie, że nie jesteś balsamem dla zmęczonych oczu!

– przywitał ją z szerokim uśmiechem.

– Patrick Murphy! – zawołała, również obdarzając go jednym ze swych słynnych uśmiechów.

Pochylił się, żeby ostrożnie cmoknąć ją w policzek, ale ona objęła go mocno za szyję i przytuliła na długą chwilę. Uznał, że to dobry znak. Musiał nawet ukryć twarz w zagłębieniu jej ramienia, ponieważ nie chciał, aby zobaczyła, jak pod powiekami zbierają mu się łzy wzruszenia.

– Czym sobie na to zasłużyłem? – spytał, kiedy wreszcie go wypuściła.

– Tym, że ją odnalazłeś – odparła, – Marę?

– Lily. Chce, żeby teraz nazywać ją Lily – wyjaśniła.

Patrick zaśmiał się cicho.

– Maeve, Maeve, Maeve – kręcił z niedowierzaniem głową. – Bez dwóch zdań pozbierałaś się do kupy szybciej, niżby to uczynił którykolwiek osiemdziesięcioletek, jakiego znam.

– No cóż – wzruszyła ramionami. – To chyba zrozumiałe, że ona nie chce żyć przeszłością. Zresztą któż mógłby ją za to winić? Widziałeś już Rose?

– A jakże! Miałem przyjemność poznać twoją śliczną prawnuczkę.

– Prawda, że jest piękna? Wprost nie mogę się doczekać powrotu do domu, gdzie będę mogła mieć ją na oku i przyglądać się, jak pływa w zatoce i



wdrapuje się po skałach w poszukiwaniu kryjówek raków. – Wyraz rozmarzenia w jej oczach ustąpił zaciekawieniu. – A Liam? Czy i jego znasz?

Patrick potaknął.

– To dobry człowiek – rzekł. – Sprawdziłem go, więc wiem, co mówię. Nie notowany przez policję, kawaler, pracownik naukowy z dorobkiem, zafascynowany dziedziną, w której się specjalizuje. Jest ichtiologiem. Ichtiologia to nauka zajmująca się...

– Rybami – wpadła mu w słowo. – A zatem także rekinami. Mój drogi, tyle to wiedzą nawet osiemdziesięcioletnie staruszki. Powiedz mi lepiej, czy to, że nie ma jednej ręki, w jakiś sposób łączy się z jego zainteresowaniem tymi krwiożerczymi bestiami.

– W rzeczy samej – potwierdził Patrick. – Jak się domyśliłaś?

Maeve zapatrzyła się ponad jego głowę na chmury przesuwające się wolno po niebie. Wyraz jej twarzy przywodził mu na myśl jakąś świętą – na przykład świętą Teresę – albo przynajmniej Mona Lizę. Doszedł do tego wniosku podczas minionych lat, kiedy często spotykał się z Maeve w związku z prowadzonym dochodzeniem. Dopiero teraz jednak zrozumiał coś jeszcze. Maeve Jameson była bardzo mądrą kobietą.

Stojący wciąż w drzwiach pielęgniarz przerwał jej zadumę, pytając, czy chciałaby się położyć, ona jednak potrząsnęła głową. Dość miała leżenia; siedząc, choćby i w wózku inwalidzkim, czuła się wreszcie jak człowiek i nie miała zamiaru z tego rezygnować. Pielęgniarz poprawił więc tylko pled na jej nogach i wyszedł, po cichu zamykając drzwi.

– Sądzę, że powiedziało mi o tym coś, co dostrzegłam w jego oczach – powiedziała. – Liam to bardzo przystojny mężczyzna. I kocha Lily; wystarczy na niego spojrzeć, aby to zobaczyć. Ale w jego oczach czai się smutek. Myślę,

że jest pełen dystansu, oczywiście z wyjątkiem chwil, które spędza razem z Lily i Rose. Bije od niego aura kogoś, kto został straszliwie zraniony.

– Zdołałaś to wszystko wyczytać z jego oczu? – zdumiał się Patrick. – Chryste, powinnaś była zostać detektywem. Przy tobie czuję się żałośnie, jak jakiś żółtodziób zaraz po szkole policyjnej, bez krztyny doświadczenia.

– Widzisz, mój drogi – tłumaczyła – nauczycielki bywają detektywami...  
– Przyjrzała mu się uważniej. – Zresztą w tobie dostrzegam to samo.

– To samo?

– Twardy glina, co? A w rzeczywistości dobry człowiek zraniony przez życie i to ciągnące się latami dochodzenie.

– Maeve... – poprosił. – Pozostańmy lepiej przy wersji „twardy glina”, dobrze?

Staruszka westchnęła.

– Miałam kiedyś w klasie takiego ucznia... To było trzydzieści lat temu, ale po dziś dzień go pamiętam. Nazywał się Peter Liffey. Któregoś dnia przyszedł do szkoły z ręką na temblaku. Powiedział, że to złamanie. – Kiedy mówiła, z jej oczu wycierało tak żywe współczucie, jakby historia nie wydarzyła się przed ponad ćwierćwieczem. – Ucierpiała z tego powodu nauka. Musiałam go poprosić, żeby zostawał po lekcjach, inaczej miałby potworne zaległości. W miarę upływu czasu zaczęłam mieć pełniejszy obraz. Tu rzucił słówko, tam się skrzywił. Raz dowiedziałam się, że jego matka chodzi z podbitym okiem. Innym znowu razem usłyszałam, że jego ojciec wścieka się, kiedy Peter zapomni wyrzucić śmiecie. Albo kiedy zadaje zbyt wiele pytań. Wiesz, o czym mówię...

– Przemoc domowa. – Patrick pokiwał głową z ponurą miną. – W czasach kiedy mężczyźni mogli tłuc żony i dzieci za zamkniętymi drzwiami, a

gdy nawet robili to na widoku, policjanci skwapliwie odwracali głowy. Mówiło się na to „sprawa rodzinna”.

– Tak właśnie było – potwierdziła Maeve.

– Co się stało z tym Peterem? Udało ci się go wyprowadzić na ludzi czy raczej podążył w ślady ojca i teraz bije swoją żonę i dzieciaki, licząc, że pozostanie bezkarny?

– Wyszedł na ludzi – powiedziała Maeve. – Skończył szkołę średnią, a potem poszedł na studia medyczne. Przez cały ten czas pozostawaliśmy w kontakcie. Wiem, że został psychiatrą i napisał wiele rozpraw i artykułów na temat przemocy domowej. Bada to, co za młodu przysporzyło mu najwięcej cierpienia.

– To dlatego z taką łatwością domyśliłaś się, że ichtiolog stracił ramię w szczękach rekina?

– Tak, chociaż nie tylko. Liam ma takie samo zdeterminowane spojrzenie jak Peter Liffey. Tacy jak oni nie ustaną w wysiłkach, dopóki nie zrozumieją tego, co ich przeraża.

Patrick sięgnął po krzesło, przysunął je sobie w pobliże wózka Maeve i klapnął na nie.

– Maeve, muszę cię o coś zapytać. Czy pamiętasz wizytę Edwarda u siebie w domu?

Zmarszczyła brwi. Po długiej chwili oderwała wzrok od widoku za oknem i powiedziała:

– Tak. Clara i ja byliśmy akurat w ogrodzie. Zaszedł i oznajmił, że jest w podróży służbowej po okolicy.

– Poprosiłaś go, żeby naprawił ci grzejnik?

– Ależ skąd! – prychnęła Maeve. – Niby dlaczego miałabym to robić?

– Lily rzuciła pewne oskarżenie. Takie, jakiego nie można zlekceważyć.

– Mianowicie?

– Twoja wnuczka uważa, że Edward Hunter manipulował przy twoim systemie grzewczym z myślą, aby cię zatruć. Niewykluczone, że podejrzewał, iż ona wciąż żyje. I dobrze ją znając, wiedział, że dotknie ją najbardziej, jeśli skrzywdzi cię.

Oczy Maeve rozszerzyły się.

– Oraz że ona wróci do domu, jeśli uzna, że jej potrzebuję.

– Podejrzewamy, że mógł bez twojej wiedzy uzyskać dostęp do elementów systemu grzewczego. Do niektórych z nich można się dostać od zewnątrz, prawda? – Nie czekając na potwierdzenie faktu, co do którego nie miał wątpliwości, ciągnął: – Najłatwiej byłoby rozpylić coś w szybie wentylacyjnym albo przeciwnie, zatkać go czymś na amen. Zaglądałem tam, ale nie znalazłem żadnych śladów, tylko jeden fragmentaryczny odcisk palca. Sądzę, że cokolwiek zrobił, spowodowało to gromadzenie się dwutlenku węgla w przewodach. To gaz zabójca, nie można go wyczuć ani zobaczyć, bo jest bezwonny i bezbarwny.

– Jest lato, nie powinnam była włączać ogrzewania – przyznała Maeve ze wstydem – ale od jakiegoś czasu coraz bardziej marznę. Nawet kiedy innym jest ciepło, ja czuję mróz w kościach. Czasami, zwłaszcza w chłodniejsze noce, włączam więc ogrzewanie albo rozpalam w kominku.

– Edward mógł się tego domyślić i wykorzystać twoją skłonność do marznięcia. Czy coś w domu wydało ci się inne? To mogło być cokolwiek, jakiś drobiazg. Zastanów się dobrze, Maeve, to naprawdę ważne...

– Nie pamiętam – wymruczała w odpowiedzi.

Patrick zauważył, że nagle przygasła. Zrobiła się bledsza niż jeszcze parę chwil wcześniej i nie siedziała już tak prosto jak przedtem. Kiedy dotknął jej dłoni, była wilgotna i lodowato zimna.

W pomieszczeniu działała klimatyzacja, nigdzie jednak w zasięgu wzroku nie było termostatu. Patrick wstał i podniósł z łóżka Maeve biały wełniany koc, który zarzucił na ramiona kobiety i troskliwie ją opatulił. Potem znów usiadł obok niej. Trzymając jej rękę, myślał, że przez te wszystkie lata pokochał ją jak własną babcie.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – przemówiła Maeve po długiej chwili ciszy. – Lily urodziła Rose i poznała Liama.

Patrick przytaknął, zastanawiając się, czemu w takim razie ze spojrzenia staruszki nie zniknął wyraz niepokoju.

Maeve przytknęła chusteczkę do kącików oczu.

– Dawno temu miałam nadzieję, że ty i moja wnuczka zakochacie się w sobie – powiedziała ze słabym uśmiechem. – Potem, kiedy rozpadło się twoje małżeństwo, a ty nie ustawałeś w wysiłkach, żeby odnaleźć Lily, na której wyraźnie ci zależało, myślałam, że to wciąż jest możliwe. Wydawałeś się nią zafascynowany...

Patrick słuchał w milczeniu, z rękoma splecionymi na piersi i spojrzeniem wbitym w panoramę za oknem.

– Ileż to razy śniłam, że ją znajdujesz! – rzekła Maeve po krótkiej przerwie. – Że obdarzasz miłością ją i jej dziecko. Oczywiście bardzo się cieszę, że Lily i Liam są razem. Ale martwię się o ciebie. Czy będziesz umiał pogodzić się z tym, że Lily jest z innym mężczyzną?

Patrick jeszcze przez parę chwil spoglądał na sunące leniwie chmury, po czym przeniósł wzrok na Maeve.

– Poznałem kogoś – oświadczył.

– Patricku! – zawołała Maeve z błyskiem w oku.

Potrząsnął wstydliwie głową.

– Jest wspaniałą kobietą, ale mieszka daleko stąd. I nie chodzi mi tylko o zwykłą odległość, mierzoną w kilometrach. Mam na myśli to, że wiele w życiu przeszła i schroniła się w stworzonej przez siebie skorupie. Ona... Cóż, ktoś bardzo ją skrzywdził. Boję się, że w to nie uwierzysz, Maeve, ale ta kobieta była drugą żoną Edwarda. Poślubił ją po tym, jak Lily została uznana za zmarłą.

– Mówisz o tej kobiecie z Bostonu? O Patty... tak jej było na imię, prawda? Tej samej, która ma córeczkę mniej więcej w wieku Rose... imieniem Gracie, zgadza się?

Patrick potaknął, czując, jak po krzyżu przebiega mu dreszcz.

– Uciekła od niego i zatrzymała się dopiero w Nowej Szkocji, w Cape Hawk, zupełnie jak Lily. Dlatego, że utkwiała jej w pamięci stara fotografia Edwarda przedstawiająca statek wielorybiczny skuty lodem daleko na północy. Teraz nazywa się Marisa Taylor, a jej córka nosi imię Jessica.

– A ty...?

– Poznałem ją, kiedy pojechałem po Lily. Ona jest taka piękna... I bardzo uzdolniona. Umie grać na skrzypcach i śpiewać, w przeszłości założyła nawet dwuosobowy zespół ze swoją siostrą skrzypaczką. Niestety bardzo oddaliły się od siebie od tamtego czasu. Przez niego, przez Edwarda. Nie pozwalał jej widywać się z siostrą, co wyrządziło wiele szkody ich wzajemnej relacji. Staralem się pomóc, starałem się przekonać Samanthę, siostrę Marisy, że powinna się zdobyć na wybaczenie, pojechać do Cape Hawk i odnowić więzy rodzinne, ale nie dała się namówić.

Maeve słuchała go uważnie, spoglądając błyszczącymi mądrymi oczami.

– Och, Patricku... – powiedziała wreszcie. – Tyle dobrego uczyniłeś, próbując poskładać w całość życie ludzi skrzywdzonych przez tego człowieka. Moje życie, życie Lily, a teraz także tamtej kobiety. Ale co z tobą?...

– Nie rozumiem...

– Co z twoim życiem prywatnym, z twoim szczęściem? Wiem, że jesteś „twardy”, jak lubisz o sobie myśleć – uśmiechnęła się – ale wiem też, że rozwód wywarł na ciebie wielki wpływ. Nie sądzisz, że powinieneś pojechać i zobaczyć się z tą swoją Marisą? Nawet jeżeli jeszcze jest za wcześnie na to, aby pojednała się z siostrą, z pewnością wiele skorzysta, mając u boku ciebie jako przyjaciela.

– Sam nie wiem, co powinienem zrobić, Maeve.

– Mój drogi, jeśli to doświadczenie w ogóle czegoś mnie nauczyło, to tylko tego, że ludzkie życie jest zbyt krótkie i zbyt cenne, aby je trwonić na niepotrzebne dzielenie włosów na czworo. Przykro mi, że Marisa i Samantha tracą czas na dąsy i nie potrafią dostrzec tego, co najistotniejsze, ale uważam, że nie powinieneś popełniać tego samego błędu. Nie zwlekaj, jedź do Cape Hawk.

Patrick obdarzył ją takim spojrzeniem, jakby był jej wnukiem, a ona najmądrzejszą kobietą na ziemi.

– Proszę cię, Patricku – kontynuowała Maeve. – Nie pozwól, żeby Edward Hunter zabrał jeszcze coś komukolwiek z nas. Zaczynaj znów żyć i zwróć prawdziwe życie Marisie. Nie poddawaj się po tym wszystkim, co dla nas zrobiłeś.

Nie będąc w stanie odpowiedzieć, tylko skinął głową. Maeve ścisnęła go za rękę i przyciągnęła bliżej do siebie. „Nie poddawaj się” – powiedziała przed

chwilą i Patrick wiedział, że miała rację. Musi podjąć jeszcze jedną próbę. Jeśli przegra, trudno; widać tak chciał los. Tak czy inaczej czeka go pilna podróż. Najwyższy czas, by udał się w drogę.

Spodziewali się, że prędzej czy później to nastąpi. Zarówno Lily, jak i Liam wiedzieli, że tylko kwestią czasu jest, kiedy to się stanie. A jednak gdy w końcu doszło do konfrontacji, okazała się ona zarazem mniej i bardziej znacząca, niż tego oczekiwali.

Lily była w kuchni, gdzie przygotowywała coś do jedzenia. Większość dnia spędziła w szpitalu, a Liam i Rose pod jej nieobecność zrobili sobie wycieczkę do sklepu rybnego, gdzie wybrali homara na obiad. W drodze powrotnej do domu zatrzymali się przy straganie warzywnym i kupili parę kolb kukurydzy, potem zaszli też do piekarni w Black Hall po placek z jagodami, a nawet zajrzeli do lodziarni. Liamowi sprawiało przyjemność poznawanie miejsca, w którym urodziła się i dorastała Lily, a Rose była wprost zachwycona, że może mu towarzyszyć w takich zwykłych, codziennych czynnościach.

– Czy w tej cieśninie żyją homary? – zapytała go, kiedy schodzili ostrożnie w dół po skałach, żeby nabrać do wielkiego garnka morskiej wody.

– Zdecydowanie tak – odpowiedział. – Mają tutaj wymarzone warunki do bytowania z tymi wszystkimi półkami skalnymi, pod którymi mogą się chować przed wrogami.

– A czy w Cape Hawk też są homary?

– Tak. Całkiem sporo tamtejszych łodzi rybackich wyrusza w morze na ich połów. Homary stanowią pokaźną część tego, co wpada w sieci.

– A czy moglibyśmy sami zapolować na homary? – pytała dalej dziewczynka, pomagając Liamowi utrzymać garnek w jednej pozycji, tak by



wlewająca się do niego woda pozostała wewnątrz. Następnie dorzucili do środka trochę różnych wodorostów i glonów. W rodzinie Liama zawsze gotowało się homary z wodorostami i Lily chciała wypróbować ten przepis. Rose zostawiła buty na skale i teraz bez problemu poruszała się po śliskich kamieniach, wyciągając spod powierzchni długie wiechcie. Choć wiał chłodny wiatr, nogawki dzinsów i rękawy bluzki miała podwinięte, a skórę zdrowo zaróżowioną. Liam patrzył na nią i serce w nim rosło na myśl, że Rose znów zachowuje się jak zwyczajne dziecko, radosne i beztroskie.

– Pewnie, że moglibyśmy – potwierdził. – Potrzebowalibyśmy jednak łódkę i parę dużych garnków.

– Mogłabym z tobą popłynąć? – Oczy aż jej się zaświeciły z podniecenia.

– Pod warunkiem, że mama się zgodzi – zastrzegł.

Zanim wrócili do domu, wyszukali jeszcze pod kamieniami nieco małży, które gotując się razem z homarem, nadawały potrawie wyjątkowy smak. Liam nie potrafił się powstrzymać i wymieniał łacińskie nazwy wszystkiego, co znalazło się w garnku, a więc: *Homarus americanus* i *Mytilus edulis* dla zwierząt, *Chondrus crispus* dla roślin. Wierzył, że Rose ma przed sobą wspaniałą karierę w dziedzinie oceanografii. Wspólnie rozglądali się za Nanny, aczkolwiek było na nią jeszcze zbyt wcześnie. Kiedy byli gotowi, wdrapali się z powrotem na górę i ruszyli w stronę domu.

Liam zobaczył go, ledwie wyszli z za węgła. Natychmiast rozpoznał kanciastą masywną sylwetkę, porażający uśmiech i błyszczące zielone oczy mężczyzny, którego przez krótką chwilę widział w Rhode Island. Niosąc w zgięciu łokcia zdrowego ramienia ciężki garnek, nie był w stanie zareagować odpowiednio szybko i przygarnąć Rose do siebie, ponieważ wciąż jeszcze nie nauczył się korzystać z protezy jak należy. Na jego oczach Rose przecięła

drogę Edwarda, który właśnie wysiadł ze swego jaguara. Liamowi zdawało się, że jest świadkiem, jak dziewczynka wpada pod koła rozpedzonej ciężarówki.

– Rose... – przywitał ją cicho.

Wydawała się zahipnotyzowana widokiem mężczyzny schodzącego w dół po kamiennych schodach i stojącego przy studni życzeń. Ukucnął przy niej, w całości obdarzając ją swoją uwagą. Liam zdążył już odstawić garnek na ziemię, zrobić dwa kroki i złapawszy dziewczynkę za rękę, pociągnął ją w swoją stronę. Działał instynktownie, bez namysłu – tak by uczynił, zobaczywszy zagrażającego dziecku jadowitego węża. Rose podniosła na niego zdziwiony wzrok. Serce biło Liamowi jak szalone. Wiedział, że nie wolno mu spuścić oka z Edwarda, zarazem jednak miał świadomość szoku, jaki wywołała u Rose jego nagła brutalność.

– Wejść do domu – polecił jej. Zdawał sobie sprawę, że wypowiedział te słowa ostrzej, niżby chciał, jednakże nie było czasu na ceregiele. Pchnął dziecko w kierunku drzwi do domu i stanął pomiędzy nimi a Edwardem.

– Moja córka – wysyczał Edward Hunter, nawet przez chwilę nie unikając spojrzenia Liama. – To jest moja córka, tak? Moje dziecko. Wygląda jak zdjeta ze mnie skóra. Poznałbym ją, nawet gdybym był ślepy.

– Jakim prawem pan tu wszedł? – zapytał go Liam.

– Jakim prawem? – powtórzył Edward złowieszczo. – Matka tej dziewczynki i ja braliśmy tutaj ślub, a ty, człowieku, pytasz mnie, co tu robię? Kim ty w ogóle jesteś?

– Nazywam się Liam Neill – padła odpowiedź. Liam wyprostował się na całą swoją wysokość, górował teraz nad Edwardem, blokując mu dostęp do domu i nakłaniając w duchu, żeby postąpił jeszcze krok, żeby spróbował go wyminąć i wejść do środka...

– To jest moje dziecko – powiedział Hunter raz jeszcze. – Jako jego ojciec mam prawo tutaj być. Zejdź mi z drogi.

– Nie jest pan tutaj mile widziany – rzeki Liam. Głos miał niezwykle niski jak na siebie; z wielkim trudem panował nad ogarniającym go gniewem. Został ichtiologiem, ponieważ rekin zabił jego brata, a teraz, stanąwszy twarzą w twarz z Edwardem Hunterem, poczuł pierwotną nienawiść do drapieżców wszelakiego rodzaju.

– Liam. – Rozległo się kłaśnięcie siatkowych drzwi i obok niego wyrosła Lily.

Doktor Neill w dalszym ciągu mierzył intruza ciężkim wzrokiem. Chciał rozegrać to sam, chciał – gdyby było trzeba – w pojedynkę bić się z tym gościem, wszakże zbytnio szanował Lily, aby nie pozwolił jej wziąć udziału w tej walce. Koniec końców to była jej wojna. Mimo to Edward Hunter musiał wiedzieć, że występując przeciwko Lily i Rose, występuje również przeciwko niemu, Liamowi, pogromcy rekinów.

– Maro, oszustka z ciebie – odezwał się nieprzyjemnym głosem Edward.  
– Naraziłaś mnie na katusze, zdajesz sobie chyba z tego sprawę? Przesłuchiowano mnie w sprawie o morderstwo. Wyobrażasz sobie, co to znaczy? To był koszmar! W dodatku nie powiedziałaś prawdy o dziecku. Ta dziewczynka jest moją córką. Ma moją twarz, moje oczy. Wygląda jak moje lustrzane odbicie. To moja krew!

– Ona nie jest twoja – syknęła Lily. – Nie należy ani do ciebie, ani do nikogo innego. To osoba sama w sobie, samodzielny człowiek, pełna piękna i prawdy istota, która nigdy nie miała, nie ma i nie będzie miała nic wspólnego z tobą.

– W jej żyłach płynie moja krew!

– Jak śmiesz tu przychodzić i opowiadać takie rzeczy?! – Głos miała spokojny, choć była na krawędzi wybuchu. – Po tym wszystkim, co mi zrobiłeś? Zachowaj swoje gierki dla innych ludzi, tych, którzy jeszcze się na tobie nie poznali. Mnie jednak nie próbuj więcej mamicić. Przejrzałam cię na wskroś, wiem, kim jesteś naprawdę.

– To ty jesteś szalona! Byłem dla ciebie dobrym mężem. Zapytaj, kogo chcesz. Nie miałaś prawa odejść, zabierając moje dziecko. Ona jest moja, słyszysz?! Odbiorę ci ją, zapamiętaj to sobie! Odbiorę, co mi się należy!...

– Nie słyszał pan, co powiedziała Lily? – włączył się Liam. – To dziecko nie jest pańskie, nie ma pan do niego żadnych praw. Czy to tak trudno zrozumieć? Żaden człowiek nie jest niczyją własnością. A poza tym Lily wyraziła się chyba wystarczająco jasno. Nie życzy sobie mieć z panem nic wspólnego. Proszę natychmiast stąd odejść.

– Jednoreki cudak – parsknął Edward, spoglądając na niego kąpiąco.

Czy to nie zabawne? pomyślał Liam, w ułamku sekundy dostrzegając wszystko to, co jeszcze przed momentem umknęło mu z powodu nadmiaru adrenaliny we krwi. Złowrogie błyski w zielonych oczach Edwarda, zaborczość w jego głosie, kiedy mówił o tym, co jest „jego” i co mu się z prawa „należy”, pełną arogancji i agresji postawę. Dopiero ta krótka, z pozoru nieistotna uwaga, rzucona od niechcienia obelga mająca dopiec do żywego, otworzyła mu oczy na to, kogo naprawdę ma przed sobą.

– Ani mi się waż tak o nim mówić! – krzyknęła Lily. Nagle opuścił ją cały spokój. – Liam jest najwspanialszym, najczulszym, najlepszym człowiekiem na świecie! Kocha moją córkę, moją i jego córkę!–rzuciła mu prosto w twarz.

Liamowi wystarczyło jedno spojrzenie na nią, by zrozumiał, jak bardzo Lily pragnie, aby była to prawda. Z walącym jak młot sercem pojął, że nareszcie zaakceptowała to, co on czuł wobec niej i Rose od samego początku. W końcu uznała, że stanowią prawdziwą rodzinę.

– Co takiego? – zapytał z niedowierzaniem w głosie Edward. – To jest jego dziecko?

Lily zbytnio się trzęsła na całym ciele, aby udzielić odpowiedzi. Liam przytulał ją zdrowym ramieniem, kołysząc delikatnie, i stali tak na podwórku od frontu skapani w promieniach zachodzącego słońca, które pomarańczową poświatą zabarwiało wszystko dokoła, sprawiając, że kwiaty róż wyglądały, jakby stały w płomieniach.

– Nie wierzę ci! – wrzasnął Edward Hunter. – Ona jest podobna do mnie. Ma tyle lat co trzeba. Klnę się na Boga, że ci ją odbiorę! Zobaczysz, jeszcze pożałujesz!...

Liam starał się niczym tarcza ochronić Lily przed padającymi na nią słowami, jakby to były ostre kamienie. Czuł, jak drży u jego boku, jak jej ciałem wstrząsa szloch.

Rzucona przez Edwarda groźba: „Klnę się na Boga, że ci ją odbiorę!” długo dzwoniła w uszach Liama. Rozpierało go pragnienie, aby postąpić dwa kroki do przodu i zabić intruza gołymi rękami. Ale przede wszystkim musiał myśleć o Lily. Odwrócił się plecami do potwora w ludzkiej skórze i wprowadził ukochaną kobietę do domu, w którym spędziła dzieciństwo i młodość pod opieką babci.

Rose jak skamieniała tkwiła w drzwiach kuchni, na jej twarzy malował się wyraz prawdziwego szoku. Jeszcze nigdy nie widziała matki w takim stanie. Liam wątpił, by Lily kiedykolwiek podniosła głos w obecności córki.

Obejrawszy się przez ramię, przez okno zobaczył, że Edward wciąż stoi przy studni życzeń i niemal zatacza się od szaleńczego śmiechu.

– Dlaczego ten pan się śmieje? – zapytała Rose cichutko. – Przecież mamusia płacze przez niego...

– Rose... – wyszeptała Lily, opadając przy dziewczynce na kolana i przyciągając ją do siebie, by opleść ciasno ramionami.

– Mamusiu, co się stało? – pytała spanikowana Rose. Mówiła niewyraźnie, ponieważ wargi miała przyciśnięte do skóry na szyi matki. Lily trzymała ją tak mocno, jakby nigdy już miała nie wypuścić jej z objęć.

Liam uznał, że trzeba obie usunąć z pola widzenia Huntera. Zaganiając matkę i córkę przed sobą jak zbłąkane owce, przeszedł z nimi do saloniku i usadowił je na kanapie. Trzymał Lily w ramionach, podczas gdy ona nieprzerwanie płakała, zachłystując się co jakiś czas powietrzem, a Rose spoglądała na niego skonfundowana. Ten pan, który krzyczał na podwórku, był przecież w błędzie. Ona ani trochę go nie przypomina! Liam również nie dostrzegł między nimi żadnego podobieństwa; owszem, Rose miała zielone oczy, ale były pełne ciepła i głębi, i inteligencji, tymczasem kiedy patrzył w oczy Edwarda Huntera, widział tylko chłód i gadzią bezmyślność.

– Powiedźcie mi, co się stało – nalegała Rose. – To jest ten sam człowiek, który przyszedł do nas, kiedy mieszkaliśmy w Rhode Island. Czego on chce? Kto to jest?

– Nazywa się Edward Hunter... – zaczął Liam.

– I mówi, że jest moim ojcem – dokończyła Rose.

– Skarbie, tak bardzo mi przykro, że cię na to naraziłam – przepraszała Lily. – Nigdy nie myślałam o nim jako o twoim ojcu. On cię nawet nie zna.

Zabrałam cię z dala od niego, zanim jeszcze się urodziłaś. Chciałam dla ciebie jak najlepiej...

– Nie podobał mi się, kiedy widziałam go w Rhode Island, i nie podoba mi się teraz – stwierdziła Rose. – Ten jego uśmiech... – Dziewczynka wyraźnie się wzdrygnęła. – To nie był prawdziwy uśmiech, nawet zanim zaczął na nas wszystkich wrzeszczeć.

Liam potaknął zadziwiony przenikliwością dziewięciolatki. Nie dała się nabrać na jego fałszywy urok, była na to za mądra.

W czasie gdy tak siedzieli, rozmawiając i pocieszając się nawzajem, słońce zdążyło zejść całkowicie. W domu zrobiło się ciemno. Mimo to nikt nie poruszył się, żeby zapalić światło. Nie czuli też głodu; przez tę awanturę stracili apetyt.

Kiedy wszedł księżyc, Liam podniósł się wreszcie i udał do kuchni. Edwarda już nie było. Jego jaguar także zniknął. Rose stała u boku Liama, wyglądając przez okno i przepatrując cienie na podwórku. Księżyc rzucał zimną niebieskawą poświatę na skały i rośliny. Łagodne piękno Hubbard's Point nagle przybrało groźne oblicze.

Liam spytał Rose, czy ma ochotę na szczypce homara, ale dziewczynka odmówiła. Zapytała nawet, czyby nie mogli wypuścić złapanych małży i kupionego homara na wolność. W odpowiedzi Liam podniósł pokrywę wielkiego garnka stojącego wciąż na podłodze. Homar drapał szczypcami o metal, próbując wydostać się z niewoli. Na ten dźwięk Liamowi przebiegły po krzyżu ciarki. Ujął gar za ucho, umieścił go sobie w zgięciu łokcia tak jak wcześniej i skinąwszy na Rose, wyszli z domu. Już idąc w stronę wody, zauważyli charakterystyczny kształt Nanny. Białucha pływała skąpana księżycowym światłem.

– Karmiliśmy ją kiedyś rakami – oznajmiła Rose – ale nie chcę, żeby zjadła tego homara.

– Wiem, skarbie.

Liam ostrożnie zdjął gumki zaciśnięte na homarzych szczypcach, po czym pokazał Rose, jak może chwycić pancerz skorupiaka, aby ten nie zdołał jej uszczypnąć. Potem wspólnie umieścili zwierzę w płytkiej wodzie zatoczki. Pomimo ostatnich przeżyć okazało się dość żywotne, by natychmiast odpłynąć i schronić się wśród szczelin i wodorostów.

Później długo stali i patrzyli w stronę Nanny. Liam wiedział, że Lily im towarzyszy, wyglądając przez okno wysoko nad nimi. Jego umysł ani na chwilę nie przestawał pracować na najwyższych obrotach. Wciąż od nowa odtwarzał w myślach to, co Lily powiedziała do Edwarda. W końcu Rose ostatni raz pomachała Nanny i nadszedł czas, aby udać się na spoczynek.

Liam stał w holu, podczas gdy Lily siedziała na brzeжку łóżka Rose i czytała jej „Fałdkę czasu”, jedną ze swoich ulubionych książeczek z czasów dzieciństwa. Nie chciał zostawiać ich samych nawet w zaciszu sypialni. Wiedział, że Lily potrzebuje tych paru minut sam na sam z córką, tak samo jak on potrzebował dojść do ładu z własnymi myślami.

Kiedy Lily wyszła z pokoju Rose, przymykając ostrożnie drzwi, wyglądała na wyczerpaną. Ujął ją za rękę i sprowadził po schodach na dół. Usiedli na ganku, skąd mieli piękny widok na srebrzące się wody zatoki i pluskającą się w nich Nanny.

– Rose uznała, że trzeba wypuścić homara na wolność – powiedziała zamyślona Lily.

– Owszem – potaknął Liam. – A wiesz dlaczego? Lily w odpowiedzi potrząsnęła głową.



– Moim zdaniem to przejaw instynktu łagodności – rzekł Liam. – Zobaczyła kogoś, kto zachowywał się władczo i okrutnie, i choć nie do końca rozumiała, czego on chce, ani tym bardziej nie potrafiła się rozeznąć we własnych uczuciach, postanowiła, że dla kontrastu zrobi coś dobrego, coś, co wynika z jej natury.

Lily zaszkliły się oczy.

– To prawda – przyznała. – Rose jest z natury dobra. Ona nie ma w sobie nic z niego.

– Wiem. – Liam trzymał ją za rękę, gładząc delikatnie jednym palcem, za wszelką cenę chcąc odgonić od niej ból i złe wspomnienia. – Słyszałem, co mi powiedziałaś.

– Pewnie wszyscy mieszkańcy Hubbard's Point słyszeli.

– Ale mnie chodzi o to, co powiedziałaś o mnie. O nas. O tym, że Rose jest twoją i moją córką.

Teraz już łzy płynęły po jej twarzy ciurkiem.

– Myślisz, że w to uwierzył? Że powstrzyma go to przed nachodzeniem nas w przyszłości? Chyba jednak nie powinnam była tutaj wracać. Pomimo miłości do Maeve...

– Lily – przerwał jej łagodnie Liam. Podniosła na niego wzrok i zatoneła w jego spojrzeniu. – Rose jest naszą córką.

Lily bezradnie potrząsnęła głową.

– Ale przecież nie jesteś jej biologicznym ojcem. Jeśli Edward uprze się, żeby przeprowadzić test...

– W każdy sposób, jaki naprawdę się liczy – przerwał jej Liam – Rose jest naszym dzieckiem. Byłem przy tobie, kiedy ją rodziłaś. Własnoręcznie przyjąłem ją na świat i ułożyłem na twoim płaskim brzuchu, żebyś mogła objąć

ją po raz pierwszy. Tamtego dnia czułem się jak ojciec, Lily. I od tamtej pory nawet na chwilę nie przestałem być jej ojcem. Ojcem Rose.

– Byłeś dla niej zawsze wtedy, gdy cię potrzebowała – zgodziła się szeptem Lily.

– Staralem się. Liczyło się dla mnie tylko to, żebyście byli szczęśliwi.

– Obiecałeś, że będziesz się o nas troszczył – mówiła Lily przez łzy. – Och, Liamie, przez taki długi czas odpychałam cię na wszystkie sposoby... Nie ufałam ci, nie ufałam całemu światu... Ale nigdy nie zapomniałam tamtej obietnicy ani tego, że byłeś z nami, kiedy najbardziej cię potrzebowałyśmy. To w twoje oczy Rose popatrzyła, kiedy znalazła się na tym świecie.

Na niebie gwiazdy wypalały maleńkie dziurki, tak jasne, że nie było ich w stanie przyćmić nawet coraz silniejsze światło księżyca. Liam czuł, że wszystkie ciała niebieskie migotają dla Rose i Lily.

– Jesteście moją rodziną – powiedział, składając na jej dłoni pocałunek. – Ty i Rose.

– A ty jesteś nam najbliższy – odszepnęła.

– To właśnie miałaś na myśli, kiedy mówiłaś do Edwarda, że Rose jest twoją i moją córką. Teraz to wiem. Wiem też, że tak właśnie jest i tak było od tamtego pierwszego dnia, bez względu na wszelkie przeciwności.

– Jeździłeś z nami po szpitalach. Płaciłeś rachunki za leczenie – wymieniała Lily. – Nigdy ci za to nie podziękowałam, bo czułam, że tak naprawdę robiłeś dla nas znacznie więcej. Czuwałeś nad nami, Liamie. Nawet gdy nie dopuszczałam cię do siebie, ty byłeś w pobliżu. Nic nie było w stanie cię zrazić. Zawsze miałam pewność, że kiedy cię zawołam, natychmiast znajdziesz się koło mnie. I tak było.

– Zrobiłbym o niebo więcej, gdybym tylko mógł.

– Był czas, kiedy myślałam, że Rose urodziła się z wadą serca dlatego, że pozwoliłam, aby on złamał mi serce – wyznała Lily.

– Od samego początku wiedziałem, że ktoś cię skrzywdził. I niczego innego nie pragnąłem tak bardzo jak tego, abyś pozwoliła mi się wyleczyć.

– To właśnie uczyniłeś...

Liam słyszał szum fal oceanu oraz dudnienie własnej krwi. W oczach Lily odbijały się spadające gwiazdy. Niezdarnie przyciągnął ją do siebie, złożył na jej wargach długi pocałunek. Ciało miała rozgrzane, jakby trawiła ją gorączka. Kiedy oderwał usta od warg Lily, nadal trzymał ją blisko przy sobie, nie przestając zaglądać jej w oczy.

– Lily, wyjdiesz za mnie? – zapytał.

– Och, Liamie...

– Pragnę ożenić się z tobą od chwili, w której cię poznałem. Wiesz o tym, prawda?

– Ja również kochałam cię na długo przed tym, zanim to do mnie dotarło... – szepnęła.

– Ale teraz już to wiesz?

– Tak.

Oczy jej lśniły i Liam mógłby przysiąc, że po raz pierwszy tej nocy – po raz pierwszy od dawna – widzi w nich szczęście. Dało mu to nadzieję, której potrzebował, wzmocniło więź, która ich połączyła, a która nie dawała się nazwać słowami.

– Lily, chcę, abyśmy pobrali się jak najszybciej. Najlepiej przed upływem tego tygodnia. Jak tylko uda nam się załatwić formalności. Pragnę adoptować Rose. Żeby on już nigdy nie mógł powiedzieć, że jest jego, żeby przestał mieć do niej jakiegokolwiek prawo.

Lily ujęła go za rękę i poprowadziła w dół po schodkach ganku, za dom, na wąski pas trawy pomiędzy budynkiem i urwiskiem. Trawa była chłodna pod ich bosymi stopami, mimo to pociągnęła go w dół, na ziemię, i wślizgnęła się na niego. Jej ciało prężyło się pod jego dotykiem, było gorące i zroszone potem. Liam oddychał z trudem, czując, jak ogarnia go płomień pożądania.

Przejechała dłońmi po jego bokach, wsunęła palce pod dżinsy, żeby wyszarpnąć zza paska poły koszuli. Raczej czuł, niż widział, jak odpina mu powoli guziki i sięga do suwaka spodni. Ustami błędziła po jego twarzy, skubiąc go rozgrzаныmi wargami i domagając się pocałunków. Przez cały czas obejmował ją zdrową ręką, pozwalając, by obsypywała pocałunkami nie tylko jego twarz, ale także szyję, i zjeżdżała niżej, poza linię obojczyków.

Wszystkie myśli opuściły umysł Liama. Zbyt wiele czasu spędzili, posiłkując się rozumem – każdy ich krok musiał zostać przenegocjowany, wyznaczony dokładnie niczym kurs statku na otwartym morzu, rozważony. Lily ciągle oglądała się przez ramię i to stało się jej więzieniem. Znalazła się daleko od domu, daleko od przyjaznych jej ludzi, czuła ciągłą konieczność ukrywania się. Teraz nareszcie przełamała mury swego psychicznego więzienia, a on był tuż przy niej, kiedy to się działo.

Uprawiali miłość fizyczną i chyba po raz pierwszy, odkąd ze sobą byli, nie myśleli o niczym. Liam czuł ostre żdźbła trawy na swojej skórze i wiedział, że Lily czuje to samo. Miał przy sobie palące ciało Lily i łaknął jej dotyku jak nigdy przedtem. Znad wody dolatywała lekka morska bryza, wieszcząc rychły koniec lata. W powietrzu wciąż jeszcze unosił się intensywny zapach róż.

Kiedy skończyli, długo jeszcze trzymał ją w objęciach; ich tętno niechętnie zwalniało do normalnego rytmu. W oddali raz po raz odzywał się jakiś nocny ptak. Liam pamiętał czasy, kiedy krzyk mew omal nie

doprowadzał Lily do obłądu – w ten sposób przejawiała się mieszanina buzujących w niej uczuć: zmartwienia z powodu Maeve i strachu, co też może wymyślić Edward. Teraz nie zwracała uwagi na szepty nocy ani ptasie wrzaski; jakby nigdy nie leżała na wznak, patrząc w niebo i rozpościerając na trawie ręce, jak gdyby chciała objąć wszystkie gwiazdy naraz.

– Liamie... – szepnęła.

– Lily...?

– Ile może być gwiazd na niebie?

– Tyle, że nie sposób ich zliczyć.

– To niezbyt naukowa odpowiedź, przyznasz sam – roześmiała się.

– No dobrze... W naszej galaktyce jest ich paręset miliardów.

Uśmiechnęła się usatysfakcjonowana.

– A jak brzmi łacińska nazwa Nanny?

– *Delphinapterus leucas* – odparł, podpierając się na łokciu i przyglądając, jak białucha podpływa do brzegu. – Rose już to wie.

– Co to dokładnie znaczy?

– Pozbawiony płetw białas, ale w języku staronordyckim wale białe określano mianem „wieloryba trupa”, a współcześnie rybacy mówią o nich „morskie kanarki”. Wszystko zależy od tego, na co ktoś chce zwrócić uwagę.

– Jesteś oceanologiem. Czy będąc naukowcem, potrafisz przewidzieć, jaka będzie pogoda we wrześniu?

– Hm... – zamyślił się, czując, jak puls znowu mu przyśpiesza. – Nie jestem pewien. A dlaczego pytasz?

– Liamie... – zaczęła. – Maeve niebawem wróci do domu, Rose wyzdrowiała, ty i ja... To co nas połączyło, jest tak cudowne, że nigdy nie

śmiała marzyć o czymś podobnym. Pomyślałam sobie, że... Masz rację, Liamie. Po co zwlekać? Jesień jest tuż–tuż.

– Lily – westchnął, przyciągając ją znów do siebie. Jej oczy lśniły najczystszy błękitem nawet w ciemnościach.

– Kocham cię, Liamie – szepnęła, patrząc mu prosto w oczy. – Pragnę cię. Moja odpowiedź brzmi „tak”.

– „Tak”?

– Tak, wyjdę za ciebie. Tak, chcę cię poślubić. Liamie, pobierzmy się, nim nastanie jesień.

Zapatrzył się w jej oczy, aż uśmiech ogarnął całą jej twarz. Czuł się oszołomiony. Pomyślał o tym wszystkim, przez co przeszła, i wyobraził sobie Widmowe Wzgórza – gigantyczne fale powstające na obrzeżach rafy. Wysokie na prawie dwadzieścia metrów, zdolne unicestwić każdego, kto by stanął na ich drodze. Liam wiedział, że Lily raz omal nie zginęła. Przyrzekł sobie, że nie dopuści do tego, by kiedykolwiek jeszcze zagroziło jej jakieś niebezpieczeństwo.

## ROZDZIAŁ 18

Łagodne słoneczne światło utrzymało się do wczesnego wieczoru, ozłacając strome klify, wpadając do fiordów, muskając spokojne wody zatoki. W tle grała muzyka skrzypiec i flażoletów, zapraszając ludzi do tańca, wywołując wszystkich z domów na ostatnie koncerty festiwalu. Marisa z Jessicą siedziały przy kamiennym postumencie zasłuchane w skoczne dźwięki.

– Mamusiu, czemu ty nie bierzesz udziału w festiwalu? – spytała Jessica.

– Bez cioci Sam to nie byłoby to samo – odparła Marisa.

– Ale przecież napisałaś tę nową piosenkę i w ogóle... Istotnie tak było.

Zainspirowana frazą użytą przez Anne,

mając przed oczyma siebie i Patricka Murphy'ego, Marisa skomponowała utwór, któremu nadała tytuł „Miotani prądem życia”. Był gotów do odegrania, jednakże Marisa czuła, że będzie musiała poczekać z premierą do czasu, kiedy oba Upadłe Anioły: ona i jej siostra, ponownie będą razem.

Przed nimi przebiegła grupa młodych dziewcząt, tancerek z Irlandii, ubranych w charakterystyczne zielone suknie; przejechała, podskakując na kocich łbach, półciązarówka z rejestracją Wyspy Księcia Edwarda, wypakowana po brzegi śpiewakami nie żałującymi gardeł. Na scenie dawał występ kwartet z Yarmouth: dwie skrzypaczki w szybkim tempie grające „Maureen's Reel” przy akompaniamencie flażoletu i harmonii. Publiczność żywo przytupywała w takt nogami, zastępując perkusję.

Marisa miała oczy dokoła głowy. Spoglądała na każdy samochód wjeżdżający do miasteczka, obserwowała przybijający do brzegu prom, mrużąc oczy przed rażącymi odblaskami słońca w szybach sterówki. W oddali na moment błysnął grzbiet wieloryba – lśniąca czernią wysepka, która skryła się

pod powierzchnię na dźwięk syreny portowej. Z każdą mijającą chwilą zakradał się zmierzch. Jeszcze godzina, jeszcze kwadrans i kolejny dzień dobiegnie końca. Kolejna szansa na to, by wziąć udział w festiwalu, przypadnie... Marisa z uwagą przysłuchiwała się nutom wyciąganym przez duet skrzypaczek. Były dobre, bardzo dobre, lecz ona wiedziała, że razem z Samanthą z łatwością by je pobiły.

Jessica podbiegła do brzegu, wpatrując się w wodę i czekając, aż znowu pojawi się jakiś wieloryb. Zawsze to robiły. Po każdym nurkowaniu, jak już najadły się planktonu w głębokich wodach Zatoki Świętego Wawrzyńca, wielkie morskie ssaki musiały się wydostać na powierzchnię i zaczerpnąć oddechu. Marisa nauczyła się, że choć na to jedno można w życiu liczyć.

W trakcie swojego małżeństwa z Tedem utraciła całą nadzieję, przestała liczyć na cokolwiek, w tym na samą siebie. Opuściła ją muzyka, a potem także Samantha. Jakby nigdy nie było spotkań w „Blarney Stone” z okazji Dnia Świętego Patryka, jakby nie ściągały do Baltimore – Samantha z najdalszych zakątków świata, a Marisa z Bostonu – i nie brały sceny w posiadanie, rozpalając atmosferę baru swoją muzyką.

Marisa pozwoliła, by niezdrowy związek wziął nad nią górę. Kiedy rozważała to na chłodno, wprost nie potrafiła uwierzyć, że coś takiego przytrafiło się właśnie jej: kobiecie silnej, twardej i odważnej. Przecież udało jej się otworzyć ośrodek dla ubogich rodzin i zanedbywanych kobiet w Baltimore, a potem drugi w południowym Bostonie. Ba, udało jej się pracować nawet po tym, jak u jej pierwszego męża, Paula, zdiagnozowano chłoniaka i musiała się nim zajmować. Gdyby tylko pozostała sobą po jego śmierci, zamiast dać się oczarować znajomemu brokerowi, któremu Paul ufał za życia. Człowiek ten – zdolny zabić szczeniaczka jej córki! – sprawił, że zaczęła czuć



się jak śmieć i oddaliła się od własnej siostry. Na szczęście w końcu oprzytomniała i wykrzesła z siebie dość odwagi i samozaparciu, aby uciec, zabierając ze sobą Jessicę.

– Mamo, patrz! – zawołała Jessica, wskazując na wyłaniającego się z wody wieloryba.

Marisa popatrzyła we wskazanym kierunku akurat na czas, by zauważyć fontannę kropli opadających w ślad za ogromnym cielskiem, powtórnie nurkującym pod powierzchnię. Uśmiechnęła się do córki, dając jej znać, że widziała ten cud natury, i właśnie wtedy coś przykuło jej wzrok.

Do portu zmierzał następny prom. Znajdował się mniej więcej w połowie pomiędzy wysokimi granitowymi ścianami fiordu. Choć był wciąż dość daleko, Marisa wyraźnie widziała jego zastawiony różnymi pojazdami pokład. Ludzie nie przestawali płynąć szeroką rzeką na festiwal muzyki celtyckiej w Cape Hawk, mimo że impreza miała się ku końcowi. Niektórzy opuścili samochody i stali przy burcie, wdychając świeże morskie powietrze i wyławiając odległe dźwięki muzyki. Ponad promem zataczały coraz szersze koła dwa jastrzębie; wiele par oczu odprowadzało je, kiedy znikwały w nadbrzeżnym gęstym sosnowym lesie. Tylko jeden człowiek wpatrywał się z uwagą w brzeg, a dostrzegłszy sylwetkę Marisy, jął do niej szaleńczo machać. Zobaczywszy go, poczuła ukłucie w piersi.

– Jess, chodźmy! – krzyknęła do córki.

Bez słowa wyjaśnienia chwyciła rękę dziewczynki i pociągnęła ją w stronę przystani. Dźwięki skrzypiec na chwilę umilkły, po czym podjęły nową melodię. Tym razem była to skoczna „Geese in the Bog”. Ludzie na widowni i ci rozłożeni szerokim kręgiem na trawniku przed gospodą zaczęli do wtóru klaskać w dłonie. Anne i Jude Neillowie stali na tarasie, mając oko na

wszystko, i teraz także nie umknęło ich uwadze, co się dzieje. Zawołali nawet coś do Marisy, lecz ona tylko pomachała im i biegła dalej przed siebie.

Silniki promu zostały przełączone na wsteczny bieg i wokół pomalowanych na czerwono burt zapieniło się od wzburzonej wody. Na pomoście wszczął się ruch, kiedy prom wolno dobijał do desek. Uszy przeszywały ostre dźwięki metalu trącego o metal, skrzypienia drewna, krzyku mew. W końcu zostały rzucone i przywiązane grube liny. Prom zacumował. Ludzie wsiadali do aut, uruchamiali silniki. Marisa wyciągała przed siebie ręce, jak gdyby z miejsca, gdzie stała, mogła objąć patrzącego wciąż na nią mężczyznę.

Tu i ówdzie rozległy się dźwięki klaksonów. W jednym samochodzie zabrakło kierowcy. Patrick Murphy nadal stał przy burcie, nie zważając na podnoszący się hałas. Promienie zachodzącego słońca lizaly jego rude włosy, wywołując w nich miedziane błyski. Przejrzyste niebieskie oczy miał wbite prosto przed siebie. Przy jego nodze siedział czarny labrador. Flora machała na powitanie ogonem i zdawała się uśmiechać z wywieszonym czerwonym śliskim językiem.

– Przyjechałeś!– krzyknęła Marisa.

– Musiałem.

– Musiałeś? Dlaczego? . .

– Mam zadanie do wykonania. Misję...

Marisa przekrzywiła głowę, Jessica natomiast wyciągnęła ręce, jakby nawet z tej odległości mogła dosięgnąć psa i pogłaskać.

– Moja ciocia też jeździ po świecie z misją – powiedziała poważnie dziewczynka. – Teraz na przykład jest w Peru...

– Jess! – upomniała Marisa, wiedząc, że jak jej córka zacznie opowiadać o cioci Sam, to nie wie, kiedy skończyć. Poza tym w głębi ducha czuła rozczarowanie, że prom nie przywiózł kogoś innego.

Uśmiech Patricka poszerzył się.

– ...Ale tutaj jedzie – ciągnęła niezrażona Jessica. – Przecież dobrze wie, że odbywa się festiwal muzyki celtyckiej i że obie na nią czekamy. Ciocia Sam nie przepuściłaby okazji, aby znów zagrać razem z tobą na skrzypcach, no i nie zawiodłaby też mnie!

– Jessico... – powiedziała Marisa, nie przestając się zastanawiać, dlaczego Patrick wydaje się taki zadowolony. Nie spuszczał z niej swoich niebieskich oczu, uśmiechając się już od ucha do ucha.

– Myślę, że ani trochę się nie mylisz – przyznał, zerkając na Jessicę. – Ciocia na pewno nie chciałaby cię zawieść.

– Patricku... – rzekła ostrzegawczym tonem Marisa. Nawet on nie mógł wiedzieć, jak bardzo Jess kocha jej siostrę i jak bardzo będzie nieszczęśliwa, jeśli się okaże, że Samantha jednak nie przyjedzie.

– Niech pan lepiej zsiądzie z promu – poradziła Jessica, w dalszym ciągu marząc o tym, by pogłaskać przyjaznego labradora. – Skoro ma pan tutaj jakieś zadanie do wykonania...

– Moje zadanie... – powtórzył Patrick, przenosząc wzrok na Marisę.

– Na pewno jest równie ważne jak misja cioci Sam – oznajmiła nieoczekiwanie Jessica.

– No nie wiem! – padło gdzieś z góry.

Marisa spojrzała tam. Sterówka była wysokim i dość wąskim prostopadłościanem ustawionym pośrodku pokładu, przeszklonym dookoła, tak żeby kapitan na czas mógł zobaczyć wszystko, co znajdowało się na linii kursu

– wieloryby, delfiny, łodzie rybackie, morskie ptaki... Może nawet upadłe anioły...

Zwłaszcza te ostatnie, skoro jeden z nich znalazł się na pokładzie promu gdzieś na trasie pomiędzy miejscem startu a Cape Hawk. Teraz kapitan szczyrzył zęby do wgapionej w sterówkę Marisy. Obok niego stała wysoka piegowata zjawa o zielonych błyszczących oczach i aureoli z miedzianych włosów, unosząca nad głową futerał ze skrzypcami w geście powitania, odzywająca się śpiewnym głosem, bardzo dalekim od głosu upadłych aniołów, bliższym za to niebiańskich istot obdarzonych skrzydłami.

– Tutaj jestem! – zawołała.

– Ciocia Sam!! – wrzasnęła Jessica na całe gardło, podskakując z radości.

Kiedy w końcu Patrick zjechał z promu i zaparkował samochód, przyglądał się powitaniu sióstr, stojąc taktownie na uboczu. On i Flora ze wzruszeniem obserwowali pojednanie. Marisa obejmowała Samanthę, jedną ręką przygarniając Jessicę, tak by dziewczynka także była włączona w siostrzany uścisk. Obie dorosłe kobiety płakały, witając się. Marisa raz po raz odsuwała się nieco i zaglądała w oczy siostry, upewniając się, że rzeczywiście jest, że stoi koło niej we własnej osobie.

– Przyjechałaś... – szeptała zdumiona. – Och, Sam...

– Potrzebowałam małej pomocy – odrzekła Samantha, błyszczącymi od łez oczami odszukując Patricka.

– Dziękuję. Tak bardzo ci dziękuję, Patricku... – Marisa obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

Dopiero wtedy postąpił nieśmiało krok do przodu i szybkim ruchem zamknął ją w objęciach. Serce Marisy zaczęło bić żywiej, kiedy poczuła na

swoim ciele silne ręce Patricka. Wyciągnęła dłoń, aby dotknąć jego policzka, a on ucałował ją lekko.

– A ja bardzo się cieszę, że mi się udało – powiedział, nie spuszczać z niej wzroku.

– Jak to było? – dopytywała Marisa.

– Po prostu zadzwoniłem do twojej siostry – opowiadał – a ona już była gotowa do drogi. Podjęła decyzję i zastanawiała się właśnie, jak tu dojedzie.

– Postanowiłaś jednak przyjechać? – Marisa upewniła się, że dobrze zrozumiała słowa Patricka.

Samantha pokiwała głową, nie przestając płakać. Odkąd ostatnio widziała siostrę, minęły ponad dwa lata. Marisa nie potrafiła oderwać spojrzenia od jej twarzy. Wokół dużych jasnozielonych oczu pojawiła się delikatna sieć zmarszczek i Marisa chciała ich dotknąć, w jakiś sposób powstrzymać płynące łzy. Jednakże bała się uczynić jakikolwiek ruch i po prostu stała, drżąc.

– Byłam gotowa. – Samantha powtórzyła słowa Patricka głosem niskim i chrapliwym ze wzruszenia. Opanowała się nieco i mówiła dalej: – Jego wizyta... cóż... dzięki niemu zrozumiałam, jak bardzo za tobą tęskniłam i że muszę cię znów zobaczyć.

– My też za tobą tęskniłyśmy i nie marzyłyśmy o niczym innym, tylko o tym, aby cię ujrzeć – zapewniła Marisa.

– Tak było, ciociu – potwierdziła Jessica. – Słowo honoru.

– Ależ ty urosłaś! – zachwyciła się Samantha, kucając obok dziewczynki.

– Wprost nie do wiary! – Potrząsnęła głową, zaczynając płakać od nowa. – Straciłam dwa pełne lata z twojego życia...

– A ja nawet na chwilę nie przestałam o tobie myśleć! – rzuciła Jessica na jednym wydechu, obdarzając ją spojrzeniem swoich wielkich oczu.

– Och, złotko... – westchnęła Samantha. – Ja też myślałam o was codziennie. Bez względu na to, gdzie akurat byłam i co robiłam.

– Kochamy cię, Sam – szepnęła Marisa.

– Jeszcze jak! – zawołała Jessica.

– Utraconego czasu nikt nam nie zwróci – rzekła Samantha. – Jesteście w stanie mi to wybaczyć?

To dopiero pytanie! Spoglądała na nie obie wzrokiem pełnym nadziei i błagania, a Marisa widziała przed sobą po prostu swą młodszą siostrę, którą zawsze nieodmiennie kochała, której czytała „Chatkę Puchatka” i z którą razem zgłębiała tajniki biochemii i epidemiologii.

– Och, Sam...–wyszeptała Marisa.

– Nie wiedziałam – mówiła Samantha, trzymając siostrę za rękę – że opuściłaś go na dobre. Przedtem odchodziłaś od niego wiele razy, ale zawsze wracałaś. Nie byłam w stanie więcej na to patrzeć.

– Tak mi przykro...

Znowu się objęły. Marisie wydawało się, że czas nie ma znaczenia. Że dokądkolwiek Samantha podróżowała w ciągu tych dwóch lat, że jakkolwiek długo ze sobą nie rozmawiały, nigdy nie straciły ze sobą kontaktu. Były przecież siostrami, na wieczność połączonymi na dobre i na złe.

– Już po wszystkim – wtrąciła Jessica. – Teraz już zawsze będziemy razem.

Marisa ponownie spojrzała na Patricka, oczyma wyrażając wdzięczność, której nie potrafiłaby ubrać w słowa. To, że znów była z siostrą, zawdzięczała w całości jemu, a jednak stał z boku, jakby wyłączony z ich szczęścia. Kiedy popatrzyli prosto na siebie, chciała do niego wyciągnąć rękę, zaprosić go gestem, lecz nagle uderzyła w nią fala emocji. Patrzył na nią z taką

łagodnością, jakiej nie widziała w niczyich oczach od lat. Poczwała dreszcz przebiegający jej po ciele na myśl o tym, w jaki sposób spoglądał na nią za życia Paul...

– Patricku – powiedziała raz jeszcze. – Dziękuję ci.

– Nie musisz mi dziękować – odparł głosem cichym i lekko zduszonym.

– Jak to? – obruszyła się. – Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś?

– Potrzebowałaś znów być z siostrą – rzekł – a ona potrzebowała być z tobą.

– To prawda... – Marisa czekała, czy Patrick powie coś jeszcze.

– Powinniśmy chyba pozwolić jej się rozgościć – oświadczył, robiąc krok do tyłu.

Marisa już otwierała usta, aby coś powiedzieć, lecz zrezygnowała. Może Patrick tylko przywiózł tu Samanthę i nie zamierza zostać na dłużej? Może źle odczytała wysyłane przez niego sygnały? Ale przecież nie mogła się mylić co do tego spojrzenia, tak bardzo przypominającego jedyną miłość jej życia – to znaczy, jedyną, jaką знаła do tej pory. Nie miała wątpliwości, że tak patrzy na kobietę mężczyzna, który nigdy nie chce spuścić z niej oczu.

– Ciociu, przywiozłaś skrzypce? – zapytała z podnieceniem Jessica.

– Tak – potwierdziła Samantha, rzucając szybkie spojrzenie w stronę Marisy. – Zaraz zrobimy z twoją mamą porządek na scenie. Wszystkie inne kapele pospadają z krzeseł, jak nas usłyszą.

– Zagramy razem? – spytała Marisa, nie dowierzając własnym uszom.

– Wypadałoby, prawda? – zachęciła ją delikatnie Samantha. – Zwłaszcza że Patrick zadał sobie tyle trudu, aby mnie tu przywieźć.

– Cieszę się, że znowu jesteście razem – powiedział, w dalszym ciągu nie odrywając wzroku od twarzy Marisy. Poczowała, jak tętno jej przyśpiesza i ogarnia ją lekki zawrót głowy.

– Bardzo mi się podoba pana pies – oznajmiła Jessica, klękając przy Florze i gładząc jej jedwabiste czarne futro.

– Floro, poznaj Jessicę. – Patrick Murphy odwrócił się wreszcie od Marisy, przeciągnął po długiej podróży i rozejrzał wokół, niewykluczone, że szukając drogi ucieczki od rodzinnej sielanki. Nagle jednak dodał: – Mam nadzieję, że w gospodzie przyjmują psy. Powinienem był najpierw zatelefonować i zapytać, ale jakoś nie miałem głowy do takich drobiazgów...

Zatem jednak zamierza zostać! – ucieszyła się w duchu Marisa. Na jej twarz wypląnął pełen ulgi uśmiech.

– Anne i Jude dopilnowują organizacji festiwalu – powiedziała na głos. – Jestem jednak pewna, że znajdą dla ciebie i Flory jakiś przytulny pokój. Chodźmy do nich zaraz i przekonajmy się...

– Sprawdźcie przy okazji harmonogram występów – zawołała za nimi Samantha.

Następnie obejrzała się za siebie, na prom. Jego kapitan, człowiek znany Marisie z widzenia, aczkolwiek nigdy jej nie przedstawiony osobiście, zdążył już wpuścić na pokład grupę pasażerów pragnących wyjechać z Cape Hawk. Marisa przyjrzała się uważniej szczupłemu, by nie rzec: chudemu, a nawet patykowatemu mężczyźnie z krótkimi brązowymi włosami ukrytymi pod zwykłą czapką rybaka, który w niezwykle zmysłowy sposób nachylał się nad konsolą z instrumentami, a kiedy zobaczył, że Samantha patrzy w jego stronę, uśmiechnął się do niej szeroko.

– Znasz go? – zapytała Marisa.



Samantha pokiwała głową.

– To T. J. McGuinn – odpowiedziała, machając mu na pożegnanie, ponieważ cumy właśnie zostały rzucone i stateczek zaczął się oddalać od brzegu.

– Byłaś na pokładzie tego promu przez dwadzieścia minut – nie mogła wyjść z podziwu Marisa – i zdążyłaś poznać nazwisko kapitana? Ja mieszkam tu już dość długo, a dopiero teraz się dowiedziałam, jak się nazywa!

Samantha uśmiechnęła się z zakłopotaniem; na jej policzkach pojawiły się sympatyczne dołeczki.

– No cóż... T. J. i ja chyba z mety przypadliśmy sobie do gustu – wzruszyła ramionami.

– Proszę... – Jessica pociągnęła matkę za rękę. – Czy moglibyśmy już znaleźć pokój dla pana Murphy'ego i Flory i upewnić się, że będziecie mogły wystąpić na festiwalu jako Upadłe Anioły?

– Doskonały pomysł! – pochwalił dziewczynkę Patrick, szczerząc się do Marisy.

Nieoczekiwanie Samantha ujęła ją pod rękę i tak pomaszerowali w stronę hotelu: one dwie przodem, a Patrick z Jessicą za nimi. Kiedy Marisa obejrzała się przez ramię, zobaczyła, że końcówka czerwonej smyczy Flory przechodzi z rąk do rąk. Patrick pokazywał dziewczynce, w jaki sposób powinna włożyć dłoń w pętlę.

– Miałam kiedyś szczeniaczka – zwierzyła mu się Jess.

– Naprawdę? – ucieszył się Patrick. – Zatem lubisz psy?

– Uwielbiam! – zakrzyknęła Jessica, nie posiadając się z radości, że prowadzi na smyczy takiego wielkiego labradora.

– To zupełnie tak jak ja – stwierdził Patrick.

A Marisa poczuła zadowolenie, że idzie parę kroków przed nimi, u boku siostry, ponieważ lepiej się stało, że żadne z nich – ani Patrick, ani Jessica – nie mogli dostrzec wyrazu jej twarzy, kiedy uświadomiła sobie, co dla jej córki znaczy spotkać mężczyznę, który kocha swojego psa.

TTLR

## ROZDZIAŁ 19

Kiedy w końcu Maeve mogła wyjść ze szpitala, pojechali po nią we trójkę: Lily z Liamem i Rose. Zaczekali, aż pielęgniarka zwiezie ją w wózku do dolnego holu, a tam już Liam pomógł staruszce wsiąść do samochodu. Przez całą drogę do domu Maeve zachwycała się wszystkim dokoła: a to soczystą zielenią poboczy, a to lazurem nieba, to znowuż ciepłym dnem i orzeźwiającym zapachem morskiego powietrza. Bez ustanku prostowała się na tylnym siedzeniu i dotykała ramienia prowadzącej auto Lily, jakby nie mogła się nacieszyć tym, że faktycznie znów są razem. Poklepywała też dłoń siedzącej obok niej Rose.

– Nie do wiary – powtarzała – że po tym wszystkim jesteśmy tu razem jakby nigdy nic...

– Dzwoniłam do Patricka – poinformowała Lily – żeby do nas dołączył, ale okazało się, że wyjechał do Cape Hawk.

– A, tak – powiedziała Maeve. – Patrick to kochany chłopak.

Przejeżdżając pod wiaduktem kolejowym, Lily ponownie poczuła, że wróciła do domu i na nowo zakochała się w tym miejscu. Czy to możliwe, aby człowiek miał krajobraz dzieciństwa na całe życie wryty w pamięci? Aby instynktownie rozpoznawał pewne widoki, jakby miał je we krwi czy w genach? Przez opuszczone okno samochodu wpadało rześkie powietrze, będące kwintesencją zapachu róż i oceanu i stanowiące najlepszy środek uspokajający, jaki znała. Mimo to – mimo że czuła się tam naprawdę jak u siebie i nic więcej nie było jej potrzebne do szczęścia – w głębi duszy tęskniła za dzikimi pejzażami Cape Hawk.

Clara czekała już na nich, opierając się biodrem o studnię życzeń. Nad drzwiami powiewał napis zrobiony przez Rose, a zawieszony przez Liama – na szerokiej wstążce wypisano słowo: „Witaj w domu, Maeve!”. Kiedy Clara podeszła do nich i zamknęła w objęciach przyjaciółkę, którą znała i kochała przez całe osiemdziesiąt trzy lata ich wspólnego życia przez płot, Maeve otwarcie się rozplakała i długo nie przestawała szlochać.

– Wybacz mi, kochana – mamrotała, ściskając Clarę za rękę. – Tak bardzo chciałam powiedzieć ci prawdę, nie mogłam jednak tego zrobić...

– Musiałas za wszelką cenę chronić naszą małą dziewczynkę – Clara kiwała głową ze zrozumieniem – to oczywiste i nie ma tutaj nic do wybaczenia. Najważniejsze, że już wróciłaś do domu, cała i zdrowa. Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym żyć dalej bez ciebie.

Z okazji powrotu Maeve do domu Liam i Rose nałapali homarów. Lily pozwoliła im wybrać i kupić małą łódź z napędem spalinowym, w której były także wiosła. Wyprawili się nią aż za skały oznaczone bojami pomalowanymi w biało–zielone paski i tego ranka, w czasie kiedy Nanny wciąż jeszcze pluła się w pobliżu, błyskając w promieniach wschodzącego słońca zabarwioną na różowo bielą swojego zwalistego ciała, udali się, nie włączając silnika, na pierwszy połów.

W trzech garnkach znalazło się dziesięć homarów. Lily stała potem na ganku i przyglądała się, jak Liam tłumaczy Rose, że każdego osobnika należy dokładnie obejrzeć i zmierzyć mu pancerz, aby przypadkiem nie ugotować homarzego dziecka albo matki spodziewającej się potomstwa. Tym razem okazało się, że mogą zatrzymać trzy sztuki, resztę zaś musieli wrzucić do morza. Rose nadal czuła obiekcje i nie była pewna, czy zjedanie homarów to

dobra rzecz, jednakże przede wszystkim chciała uhonorować Maeve, jej powrót do zdrowia.

Maeve podczas tych przygotowań kręciła się po domu, zaglądając we wszystkie kąty. Rose dołączyła do niej, gdy tylko odniosła i uwolniła z Liamem mniejsze sztuki homarów. Pokazywała prababci obrazki, które namalowała, kwiaty, które zerwała, astry, które zupełnie jak Lily w dzieciństwie zasuszyła w rodzinnej Biblii. Maeve zrewanżowała się, pokazując prawnuczce futrynę drzwi jednego z pokoiów na dole – na ciemnym drewnie wyraźnie odznaczały się kreski będące miarą wzrostu Lily – a także spłowiałe niebieskie wstążki, które Lily miała wpięte we włosy podczas jakichś zawodów pływackich na plaży, oraz jej pierwsze trofea wygrane w turnieju tenisowym, jak również najpierwszą robótkę, przedstawiającą oczywiście ogród różany.

– Widzisz? – powiedziała Maeve. – Twoja mama zawsze kochała róże.

Rose rozpromieniła się, wiedząc, że prababcia robi aluzję do jej imienia.

– No, moja panno – mruzczała Maeve, przetrząsając szufladę komody w poszukiwaniu ołówka kopiowego – ciebie też przydałoby się zmierzyć.

– Nie jestem zbyt wysoka... – zastrzegła dziewczynka, stając wyprostowana przy futrynie drzwi. Czubek jej głowy znalazł się tuż pod kreską, którą Maeve zaznaczyła, kiedy Lily miała sześć lat. Lily, przyglądająca się tej scenie z korytarza, poczuła ukłucie w piersi. Trzy lata i taka różnica!

– To nie ma żadnego znaczenia – stwierdziła Maeve, zaznaczając nową kreskę. – Pamiętaj, że porównywanie się z innymi nic nie daje. Zarówno jeśli chodzi o wzrost, jak i inne sprawy w życiu. Najważniejsze jest to, co dzieje się w twoim wnętrzu. Czy się starasz i uczysz na swoich błędach... Tylko to ma tak naprawdę znaczenie. Tylko to, kwiatuszku...

– Dziękuję – odrzekła Rose, spoglądając na prababcię poważnym wzrokiem, po czym odwróciła się, odnalazła na futrynie swoją kreskę i uśmiechnęła się.

– Nieraz myśląc o tobie, wyobrażałam sobie, jak razem robimy różne rzeczy... – powiedziała Maeve. – Wodziłam palcem po tej futrynie i widziałam pojawiające się na niej kreski...

– Nawet gdy mnie jeszcze nie znałaś? – zdziwiła się dziewczynka.

– Och, Rose... – szepnęła Maeve, przyciągając prawnuczkę i mocno ją ściskając. – Zawsze cię znałam w ten najistotniejszy sposób ze wszystkich.

– To znaczy w jaki?

– W głębi serca.

Rose poważnie skinęła głową. Prababcia nawet o skomplikowanych sprawach mówiła tak, że wszystko z tego rozumiała.

Przerwał im dopiero Liam, który krzyknął z kuchni, że homary są już prawie gotowe. Lily wyjęła ugotowaną kukurydzę, polać ją stopionym masłem, a na miseczkę wyłożyła pokrojone w kostkę pomidory, świeżo zebrane w ogrodzie Clary. Rose pomagała nakrywać do stołu.

W końcu zasiedli do posiłku. Złączyli ręce i Maeve odmówiła modlitwę dziękczynną. Lily musiała spuścić nisko głowę, taka była wzruszona. Cała ich czwórka siedziała przy jednym stole w domu, w którym się wychowała. Ona, Maeve, Liam i Rose. W najśmielszych marzeniach nie sądziła, że ten dzień kiedykolwiek nadejdzie.

Któregoś ranka, kiedy Maeve odpoczywała w swoim pokoju, a Liam z Rose popłynęli gdzieś łódką, Lily zaparzyła sobie kawę i z filiżanką przeszła do ogrodu, żeby usiąść na ławce i poczytać. W powietrzu czuło się nadchodzącą zmianę pogody. Koniec lata był bliski. Nad cyplem wisiała nisko

zimna, lepka mgła, która zmiękczała kontury skał i zarysy roślinności. Z oddali dochodziły odgłosy syren portowych i dzwonów mgielnych.

– Witaj, Maro.

Tak po prostu – pomyślała, czując, jak stają jej włoski na karku. Minęło dziewięć lat, które spędzili oddzielnie, a on wszedł za furtkę, jakby był właścicielem tego miejsca. Edward Hunter wyłonił się z mgły i stanął na wprost niej. Rozejrzała się w poszukiwaniu samochodu, dziwiąc się, że nie usłyszała go, jak podjeżdżał.

– Zaparkowałem przy plaży i przyszedłem na piechotę – wyjaśnił.

Nadal patrzyła na niego bez jednego słowa. Zaczęła mimowolnie drżeć i nie ufała swojemu głosowi; nie chciała, aby wyczuł jej strach. Po długich dziewięciu latach po raz pierwszy znalazła się z nim sam na sam. Przytłaczał ją swoją sylwetką jeszcze bardziej niż kiedyś, był teraz bowiem cięższy, jakby przybrał sporo na wadze. Włosy przyprószyła mu siwizna. Oczy miał jednak takie same: intensywnie zielone, zdolne przebić najgęstszą mgłę niczym błędne ogniki.

– Po coś tu przyszedł? – zapytała, kiedy już wzięła się w garść. – Prosiłśmy cię, żebyś zostawił nas w spokoju.

– My? – uniósł jedną brew. – My to ja i ty, Maro. Jesteśmy małżeństwem.

– Postarałeś się o to, aby unieważniono nasze małżeństwo i uznano mnie za zmarłą.

– Tego przecież chciałaś, czyż nie? – spytał podniesionym głosem. Gniew uchodził z niego na podobieństwo pary z garnka. – Czy ty w ogóle masz pojęcie, co ja przez ciebie przeszedłem? Policja dręczyła mnie, jakbym

był kryminalistą. Traktowali mnie jak psa, ciągnęli po przesłuchaniach, rzucali na pastwę prasy...

Lily spoglądała ponad jego ramieniem, w stronę domu. Nie chciała patrzeć w te jego oczy. Opanował się, mówił teraz cicho, lecz ona czuła bużującą w nim wściekłość. Bała się, że jego wzrok mógłby ją sparzyć.

– Nie wiesz, jak to było, odpowiadać na pytania dziennikarzy, wiedząc, że cały świat zastanawia się, czy rzeczywiście cię zabiłem, poćwiartowałem twoje ciało i utopiłem szczątki w zatoce.

Lily wzdrygnęła się bezwiednie. Mogła mieć tylko nadzieję, że tego nie dostrzegł. „Poćwiartowałem twoje ciało i utopiłem szczątki w zatoce” – powiedział. Te słowa odbijały się w umyśle Lily upartym echem, jak gdyby zyskała właśnie pewność, że coś podobnego faktycznie przyszło mu na myśl, kiedy jeszcze prowadzili wspólne życie.

– Martwiłeś się z powodu mojego zniknięcia – oznajmiła mu teraz – tylko dlatego, że to postawiło cię w złym świetle. Nie chodziło o mnie ani o dziecko. Zresztą ty nawet nie chciałeś tego dziecka, Edwardzie. Przez całą ciążę właściwie się do mnie nie odzywałeś, chyba że akurat nasza cię chęć, aby się poskarżyć, jak to nasze życie bardzo się zmieni, kiedy malec się narodzi.

– To ty postawiłaś mnie w złym świetle! – warknął. Wydawało się, że nawet nie usłyszał wzmianki o dziecku. Lily jednak nie dała się zbić z tropu.

– Wpadałeś na mnie z impetem, ilekroć nadarzyła się sposobność. Zrzucałeś na mnie ciężkie przedmioty. Kiedy cię mijałam, podstawiałeś mi nogę. Ile razy przez ciebie upadłam, będąc w ciąży?

– To nie moja wina, że się ciągle przewracałaś!



– Byłeś zbyt wielkim tchórzem, aby zwyczajnie mnie uderzyć – powiedziała. – Ale miałeś swoje metody, w inny sposób okazywałeś mi swoją siłę. Maltretowałeś mnie na tysiąc sposobów, chociaż nie pięściami.

Wyraz jego twarzy nieznacznie się zmienił. W oczach pojawił się błysk zadowolenia, wargi drgnęły w uśmiechu. Być może przypomniał sobie swoje małe okrucieństwa. A być może przyjemność sprawiło mu to, że go rozgryzła.

– Byłaś niezgrabą, Maro. Odkąd cię znałem, zawsze się guzdrałaś i gramoliłaś.

Stężała. Pomyślała o sobie śmigającej po korcie tenisowym, dobiegającej do najtrudniejszych piłek, wymachującej precyzyjnie rakieta. Przypomniała sobie, jak troskliwie nosiła na ręku Rose będącą niemowlęciem i raczkującym berbeciem – malutkie dziecko na jednym ręku, w drugim zaś siatka z zakupami, torba z wełną albo worek z solą do posypania śliskiego jak lodowisko podejścia do chaty w Cape Hawk. Nigdy nie miała kontuzji, nigdy nie upadła przez własną niezręczność.

– To wszystko przeszłość, Edwardzie – powiedziała z westchnieniem. – Teraz już to wiem.

– O czym ty mówisz? – zapytał niespokojnie.

– Wiem, jaki naprawdę jesteś. Dlatego nie możesz mnie już zranić. Zrozumiałam, co z ciebie za człowiek.

Hunter zrobił krok do przodu. Był już bardzo blisko, niemal następował jej na czubki palców u nóg. Jego oddech poruszał jej grzywką. Choć nie był wiele wyższy od niej, jej zdawał się rozjuszonym gigantem. Nawet zapach go zdradzał.

– Owszem, mogę – wycharczał z poczerwieniałą nagle twarzą – i zamierzam to zrobić. – Zazgrzytał zębami.

– Odejdź stąd – powiedziała Lily.

– Nie. Ujdzie. Ci. Na. Sucho. To. Co. Mi. Zrobiłaś. – Wyrzucając z siebie poszczególne słowa, aż do bólu zaciskał dłonie w pięści. – Upokorzyłaś mnie jak nikt wcześniej.

– Edwardzie, ja tylko ratowałam swoje życie – wzruszyła ramionami. – Pamiętasz góry, Edwardzie? Pomyśl o nich następnym razem, kiedy wyda ci się, że nie wiesz, czemu od ciebie uciekłam.

Ich oczy się spotkały. Lily nie uciekła wzrokiem. Dokładnie dziewięć i pół roku temu zrozumiała prawdę o swoim mężu i on o tym wiedział. Rzucenie mu tego w twarz teraz wywołało w niej wspaniałe uczucie mocy smakującej zemstą. Jednakże widok jego poczerwieniałej twarzy, wytrzeszczonych ze złości oczu i kropelek śliny zbierającej się w kąciakach ust sprawił, że w jej żołądku pojawiła się zimna kula.

– Nie wezwalaś wtedy policji – przypomniał jej z perfidnym uśmiechem. Zdawał sobie sprawę, iż to był jej największy błąd. Dzięki temu zdołał wykręcić się sianem.

– Byłeś moim mężem – odparła ze znużeniem. – Wmawiałam sobie, że się mylę.

Edward Hunter gapił się na nią, nie przestając zaciskać pięści.

– Nosилаm twoje dziecko – ciągnęła Lily. – Nie chciałam dać wiary, że poślubiłam potwora.

– Co takiego?! – krzyknął. – Mówisz o mnie jak o psie, gorzej: jak o rzeczy! Traktujesz mnie, jakbym był śmieciem, i zawsze tak mnie traktowałaś! Na tym polega twój problem, Maro. Ty nie lubisz mężczyzn. Nie s z a n u j e s z ich. Naprawdę żal mi twojego nowego znajomego... jak mu tam... jednorękiego cudaka.

Lily zaczęła się wycofywać. Edward napawał ją obrzydzeniem. Był ohydny zarówno w tym, co mówił, jak i w tym, co robił, a nawet w tym, co myślał i czuł. Chciała po prostu wejść do domu, znaleźć się w pobliżu swojej rodziny, uwierzyć znów w światło i dobroć.

– Powinnaś była zawiadomić wtedy policję – wysyczał. – Wiesz o tym teraz, prawda?

Lily nie odpowiedziała.

– Tak byłoby dla ciebie o niebo lepiej. – Mówiąc, uśmiechał się brzydko. – Znalazłaś może ostatnio jakieś kolczyki?...

Lily zaczęła niekontrolowanie drżeć na całym ciele. Czuła się wyczerpana, jak zawsze w czasach, gdy jeszcze mieszkała z nim pod jednym dachem. Wnętrznosci miała skręcone jak motek wełny w ręku niesfornego dziecka.

– Nikt cię nie usłyszy... Sprawdziłem to, zanim pozwoliłem, żebyś mnie w ogóle zobaczyła. Moja córka jest na łódce z tym twoim cudakiem, a Maeve jak zwykle drzemie. Zajrzałem do niej przez okno, to że parapet jest tak nisko, znacznie ułatwiło mi sprawę...

– Nie waż się jej tknąć! – krzyknęła Lily, odnajdując w sobie pokłady odwagi.

– Maeve? Ja nie tracę czasu na ludzi takich jak Maeve. Ona mnie nie obchodzi. Gdyby jeszcze stanęła w mojej obronie po tym, jak mnie zostawiłaś. Ale nie... Doskonale wiedziała, co się z tobą dzieje, wiedziała, że ż y j e s z, a mimo to pozwoliła, żeby policja dalej mnie dręczyła. – Sięgnął do kieszeni, wyjął zwiniętą w rulon kartkę. – Wiesz co? – spytał, uderzając rulonem o otwartą dłoń. – Ty nie masz pojęcia, co się tak naprawdę stało. Nie możesz mieć pewności, czy sobie tylko nie wyobraziłaś tego zajścia w górach. Masz

nadzwyczaj bujną wyobraźnię, Maro. Jesteś niezwykle kreatywna... Widzisz rzeczy, których nie ma, uważasz, że powiedziałem coś, podczas gdy w rzeczywistości mówiłem coś całkiem innego... Masz wątpliwości, prawda? Nawet teraz, w tej chwili, pytasz siebie: „Czy na pewno tak było? A może jednak coś pokręciłam?”. No przyznaj, że tak jest! – Uśmiechnął się szerzej, jakby właśnie opowiedział świetny dowcip. Serce Lily waliło jak oszalałe.

– Nie mam żadnych wątpliwości, Edwardzie. Już nie. I nie ma ich twoja druga żona. Obie wiemy, do czego jesteś zdolny. Wiemy, jaki naprawdę jesteś.

– Słucham? – zamarł w pół ruchu.

– Pamiętasz Patty? – zapytała go, nie kryjąc satysfakcji. – Matkę dziewczynki imieniem Grace?

Wydawał się szczerze zaskoczony.

– A ty skąd je znasz?

– Wszystkie od ciebie uciekłyśmy, Edwardzie – podjęła Lily. – Patty to wspaniała kobieta. Niezwykle jej współczuję, że musiała przejść przez to samo piekło, które stało się moim udziałem. Z pewnością bardzo cię ucieszy wiadomość – szydziła – że podobnie jak ja odżyła z dala od ciebie i świetnie sobie radzi w życiu.

Lily posunęła się za daleko. Zrozumiała to w chwili, w której zmienił się wyraz twarzy Edwarda. Najpierw gniew, potem szok, który z kolei ustąpił miejsca czystej furii. Edward cisnął trzymanym w ręku kawałkiem papieru w stronę metalowej ławki. Kartka rozwinęła się lekko i poszybowała łukiem za oparcie, w gęstwę niskiego cedru rosnącego w dole.

– Poczytaj sobie, Maro – syknął przez zęby – i dopiero potem mów o tym, że świetnie sobie radzisz. Mam nadzieję, że lektura bardzo ci się spodoba.

Lily potrząsnęła głową i wolnym krokiem ruszyła ku domowi.

– Wyciągnij to z tych krzaczorów! – ryknął za nią. – I przeczytaj!

Nadal go ignorowała. W środku aż się gotowała, ale szła prosto, jakby nie kosztowało jej wiele wysiłku stawianie stopy za stopą. Poczwała pod dłonią szklaną gałkę od drzwi, jej kojący chłód. Przekręciła ją, pchnęła skrzydło drzwi, weszła do środka i po cichu zniknęła Edwardowi z oczu.

Stał na podwórku z rozdziawionymi ustami i patrzył na zamknięty na głucho dom. Lily widziała, jak próbuje zaglądać przez kuchenne okno – nie więcej niż cień we wszechobecnej mgle. W gardle czuła dławiącą ją kulę. Wycofała się pod ścianę, potem do korytarza, byle dalej poza zasięg jego świdrujących oczu. Wydawał się przymurowany do podłoża, z dłońmi sztywno wspartymi na biodrach, jakby zamienił się w posąg.

Dopiero po bardzo długiej chwili drgnął, podszedł do ławki, nachylił się nad nią i wydobył przyczepioną do gałęzi zmiętą kartkę. Wygładził ją dłonią, otrzepał z igieł. Potem starannie złożył na dwoje. Lily widziała, jak zmierza w kierunku drzwi frontowych, lecz w pewnym momencie straciła go z oczu, ponieważ widok przesłonił jej wysoki krzak róż rosnący przy ścianie domu. Z zapartym tchem przysłuchiwała się dochodzącym z zewnątrz odgłosom. Przez jakąś minutę nic się nie działo, później rozległo się skrzypienie siatkowych drzwi. Tętno jej przyśpieszyło, rozejrzała się wokół siebie, próbując odszukać wzrokiem telefon, gotowa w każdej chwili wybrać numer alarmowy.

W tej samej chwili, kiedy wypuściła wstrzymywane powietrze, skrzydło zewnętrznych drzwi klasnęło zamykane i zaraz ujrzała, jak Edward idzie ku studni życzeń, wspina się po kamiennych stopniach i w końcu znika z jej pola widzenia.

Lily udała się na piętro, skąd rozciągał się lepszy widok na podwórko od frontu i ślepy zaułek drogi. Edwarda nigdzie nie było. Maeve nadal przebywała

w krainie snu, a Liam z Rose wciąż jeszcze nie wrócili z wyprawy łódką. Lily wolno zeszła na dół i wkroczyła do kuchni.

Trzęsącymi się rękami otworzyła drzwi. Złożona na dwoje kartka tkwiła zatknięta w szczelinę. Wyjmując ją stamtąd, Lily skaleczyła się w opuszkę palca. Edward umieścił w środku białą różę z kolcami. Kwiat upadł teraz u stóp Lily, a krew z palca zabrudziła papier, kiedy rozkładała go, aby przeczytać:

### **WEZWANIE DO SĄDU**

*Wyciąg ze statutu stanu Connecticut.*

*Paragrafy 46b–168 (przed zmianami: paragrafy 52–184).*

*Testy DNA na ojcostwo.*

*Zasady ogólne.*

*W wypadku gdy nie ma pewności co do tożsamości ojca, sąd lub ratusz mogą na prośbę dowolnej strony zarządzić przeprowadzenie testu genetycznego (tzw. DNA) mającego na celu ustalenie ojcostwa domniemanego ojca albo małżonka. Badanie takie musi zostać przeprowadzone na terenie właściwej placówki medycznej, takiej jak: szpital, laboratorium medyczne, gabinet lekarski bądź też w miejscu wskazanym przez sąd lub ratusz. Wyniki testu, wykonanego na mocy niniejszego paragrafu, a w szczególności paragrafów 46b–168a, są miarodajne do ustalenia bądź wykluczenia ojcostwa i nie wymagają żadnych innych dowodów autentyczności ani dokładności, chyba że do sądu lub ratusza wniesione zostanie odwołanie na piśmie nie później niż w ciągu dwudziestu dni od przedłożenia wyniku testu...*

Lily opadła na krzesło, nie odrywając wzroku od zadrukowanego maczkiem papieru. Słowa Patricka ziściły się, zmaterializowały się jej najgorsze koszmary. Minuty mijały, a ona w dalszym ciągu siedziała

odrętwiała, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu. Do rzeczywistości przywołały ją głosy na zewnątrz. Podniosła głowę i dostrzegła twarzączkę Rose w kwadracie okna. Dziewczynka była zaróżowiona, roześmiana, beztroska; właśnie wróciła z fantastycznej przejażdżki łódką i radośnie machała mamie na powitanie. Miała takie ładne zielone oczy...

Lily uśmiechnęła się do niej. Schyliła się, żeby wziąć do ręki białą różę. Idąc do drzwi z kwiatem i urzędowym druczkiem, nie przestawała patrzeć na córkę. Powiadają, że oczy to okna duszy – dumiała. – Odsłaniają to, co skrywa wewnątrz człowieka. W takim razie duszyczka Rose jest czysta i piękna jak rzadko która...

To nie może się dziać naprawdę! – pomyślała nagle. Czuła się przestraszona, a zarazem podniecona, jakby dopiero co wylądowała po długim i niebezpiecznym locie. Nogami stała już twardo na ziemi, jednakże w środku wciąż kipiała od wrażeń. Że ten dzień nadejdzie, wiedziała od chwili, w której postanowiła powrócić do Hubbard's Point. Wszakże ta świadomość w żaden sposób nie przygotowała jej na otwartą wojnę z Edwardem. Na to, że Rose – jej ukochana wrażliwa, delikatna Rose – znów dostanie się w centrum wydarzeń.

Ledwie otworzyła drzwi, córka wpadła jej w ramiona.

– Mamy trochę suchego chleba? – zapytała bez wstępów. – Widziałam łabędzie i chciałabym je nakarmić.

– Oczywiście, skarbie – powiedziała Lily i już przeszukiwała szafki kredensu w poszukiwaniu czerstwego pieczywa.

– Pójdiesz z nami je pokarmić? – poprosiła dziewczynka. – To niedaleko...

Lily chciała odmówić. Musiała przecież skontaktować się z prawnikiem, musiała przekopać się przez kruczki obowiązującego w stanie Connecticut prawa, musiała zacząć ich pakować i znów chyłkiem zbiec z Hubbard's Point, Black Hall, Connecticut, Stanów Zjednoczonych Ameryki... W żyłach buzowała jej adrenalina, nadnercza pracowały, pompując jeszcze więcej hormonu, który sprawiał, że człowiek myślał tylko o tym, aby walczyć lub uciekać. Ale przed sobą miała Rose, uśmiechniętą, podekscytowaną perspektywą karmienia ogromnych ptaków, zadyszana zwykłymi zajęciami dziewięciolatki.

– Jasne, że pójdę – odparła więc Lily.

W jedną rękę złapała torebkę z chlebem, w drugą dłoń Rose i pobiegła za córką w dół zbocza tuż za domem, mijając cementowy medalion wysadzany muszelkami i odcisk piaskowego dolara, które Lily wykonała własnoręcznie, będąc młodą dziewczyną. Liam czekał na nie, stojąc na skałach. Rose puściła rękę Lily i pognąła ku niemu, wyciągając przed siebie torebkę z pieczywem. Łabędzie zdawały się pływać pośród srebrnej mgły, wszędzie jak okiem sięgnąć, Liam jednak nie patrzył na nie, tylko na Lily. Po jej minie od razu poznał, że coś się stało.

Ptaki gromadziły się przy Rose rzucającej chleb do wody. Poruszały się majestatycznie, niczym wielkie kłęby śnieżnobiałej waty opatrzone pomarańczowymi dziobami. Wyglądały naprawdę dystyngowanie i uroczo. Pisklaki, które wykluły się z jajek na początku lata, zdążyły już podrosnąć; piórka miały wciąż ciemne, ale tu i ówdzie przebłyskiwała już biel.

– Mamusiu... – zaczęła Rose. – Doktor Neill powiedział mi, że łabędzie w pewnym sensie są jak białuchy. Rodzą się ciemne, żeby nie mogły ich



dostrzec drapieżniki... to się nazywa kamu... kamuflaż... a potem w miarę dorastania jaśnieją, aż w końcu robią się całkiem białe, kiedy są już dorosłe.

Lily przysłuchiwała się córce i tylko kiwała głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Czyż nie są piękne? – zachwycała się dziewczynka. Wyciągnęła rękę, a jedna z łabędzic, korzystając z tego, podплыnęła tak blisko, że mogła niemal skubnąć czubki palców Rose.

Lily krzyknęła i rzuciła się do przodu, zamykając córkę w objęciach. Zachwiały się przy tym obie, a Lily otarła sobie kostkę o kolonę pąkli.

– Mamusiu! – wyrywała się Rose.

– Bądź ostrożna, skarbie – mówiła Lily, połykając łzy i nie wypuszczając córki z objęć. – Nie chcę, żeby przytrafiło ci się coś złego.

– Dobrze, mamo. Będę ostrożna – powiedziała Rose, wyglądając na nieco zdziwioną. – Ale teraz mnie już puść, nic mi nie jest.

– Nic jej nie jest – powtórzył jak echo Liam, podchodząc do nich. – Wszystko jest w porządku.

Lily skinęła głową, myśląc jednak, że nic nie jest w porządku. Wszystko uległo nagiej zmianie, i to na gorsze.

Wokół nich zacieśniała się mgła. Zakradała się z każdym ich oddechem, wysysała z krajobrazu kształty i kolor. Woda srebrzyła się nienaturalnie, skały szarzały, dom mienił się burymi odcieniami brązu, a róże zdawały się wyprane z wszelkiego życia. Nic nie było takie, jak powinno być. Nic a nic.

Nagle świat stał się obcym miejscem.

## ROZDZIAŁ 20

Wezwanie do sądu leżało na kuchennym stole, na wyciągnięcie ręki. Jednakże Lily omijała je szerokim łukiem. Gdyby miała pewność, że wraz z każdym odczytaniem jego treści dokument będzie blednął i zniknął, czytałaby go w nieskończoność. Nic jednak nie było w stanie sprawić, aby wezwanie się zdematerializowało.

Clara po sąsiedzku zaprosiła Rose na podwieczorek, co tak naprawdę było tylko pretekstem, aby Lily, Liam i Maeve mogli się zastanowić, co z tym fantem zrobić. Mgła snująca się za oknem i wciskająca przez szpary do środka domu tylko potęgowała uczucie nierzeczywistości i niepokoju.

– On będzie próbował mi ją zabrać – powiedziała Lily w którymś momencie.

– Nigdy mu się nie uda – zareagował ostro Liam.

– To wszystko moja wina – jęczała Maeve. – Gdybym nie zachorowała...

– Och, babciu – próbowała przemówić jej do rozsądku Lily.

– Nie powinnaś była wracać do domu – oświadczyła z przekonaniem Maeve. – Kwiatuszku, może po prostu stąd wyjedziesz? Zabierz Rose i wracaj do Kanady. Ukryjcie się nawet jeszcze lepiej niż przedtem...

– Nie możemy zostawić cię samej – zaprotestował Liam.

Lily przysłuchiwała się tej wymianie zdań, myśląc, jak szybko opuściło ich szczęście. Jeszcze niedawno, nawet mając świadomość, iż Edward wie o jej powrocie, czuła się względnie bezpieczna. Z powrotem z babcią, w rodzinnym domu, wśród odzyskanych przyjaciół, u boku Liama, z którym dość nieoczekiwanie bardzo się zbliżyli, w miejscu, które chyba i on pokochał,

gotowa wyjść za niego za mąż – zyskała niesłuszne poczucie własnej mocy i niezwyciężoności.

Ale teraz Edward zamierzał wciągnąć sąd w swoje podłe gierki. Lily dobrze pamiętała, jaki był z dziećmi, kiedy jeszcze mieszkali razem. Dzieci Bay były wtedy malutkie i często przybiegały do nich wprost z plaży, pytając, czy mogą się pobawić na skałach za domem. Ilekroć ona i Edward przyjeżdżali z wizytą z Hawthorne, Lily wyczekiwała tych spotkań, zawsze się na nie ciesząc. Miała w pogotowiu worek z suchym pieczywem do karmienia łabędzi, swoje dawne utensylia do połowu raków, wędki z patyków, które dzieciaki mogły zarzucać do wody, próbując coś złowić. Spoglądała na dwie dziewczynki i chłopca, potomstwo swojej najlepszej przyjaciółki z dzieciństwa, i zastanawiała się, jak to będzie, kiedy ona i Edward dochowają się własnych pociech, zakładając wreszcie prawdziwą rodzinę. Ile będą mieli dzieci? Czy maluchy od razu zapalają miłością do oceanu i plaży, jak ona? Czy też raczej będą miłośnikami gór i lasów, jak Edward?

Spodziewała się, że Edward ma podobne myśli. Dzieciaki Bay były urocze, bystre, zabawne. Uwielbiały żartować i przekomarzać się i nigdy nie marudziły na pełzające wszędzie kraby, wszechobecne wodorosty ani oślizgłość przynęty. Były uśmiechnięte i kochane, lecz Edward nawet nie chciał z nimi rozmawiać.

– No – prosiła go Lily, ciągnąc za rękę – urządzmy konkurs pływacki. Możemy ustalić metę przy tej wielkiej skale, o, tam. Jest idealna do opalania po męczącym kraulu.

– Tam jest pełno ptasiego łajna – mówił, opędzając się od niej i zasiadając w fotelu na ganku, gdzie zostawił swojego laptopa. Wlepił wzrok

w ekran komputera, nie widział więc, jak najpierw ogarnia Lily poczucie desperacji, a później podejmuje ona nagłą decyzję.

– No dobrze – mówiła, próbując podejść go z innej strony. – W takim razie zabierzmy je na nurkowanie. Wczoraj jak pływałam, widziałam całe mnóstwo małych homarów niedaleko brzegu.–

– Pracuję właśnie nad najnowszą wersją swojego CV – warczał. – Może raczyłybyś to wreszcie zauważyć?

Lily wiedziała, że to nieprawda. Edward włączył jakąś grę komputerową – nie miała co do tego wątpliwości, ponieważ odwrócony od niej ekran laptopa odbijał się wyraźnie w szybie. Chciała nawet z przekąsem zapytać męża, dlaczego zasiada do stworzenia idealnej wersji swojego życiorysu wyłącznie wtedy, kiedy przychodzą do nich w odwiedziny dzieci jej przyjaciół. Normalnie poszukiwanie pracy jakoś nie spędzało mu snu z powiek. Trzymał się doradztwa finansowego jak rzep psiego ogona, chociaż nie był w tym dobry, i ani myślał poszukać zajęcia, które dawałoby mu prawdziwą satysfakcję. Po prostu dryfował od jednego biura maklerskiego do drugiego, zaczepiając się na krótko. Zdarzało się i tak, że zmieniał firmę, zanim jeszcze zdążył otrzymać pierwszą wypłatę. Wiedząc to wszystko, Lily zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby miała rzucić się głową w dół na głęboką wodę. Za wszelką cenę chciała spędzić miło tamten dzień.

– Edwardzie – powiedziała.

Milczał i nie patrzył na nią.

– Proszę, Edwardzie...

– Och, idź już i zajmij się tymi swoimi małymi gośćmi – burknął.

– Tak właśnie zrobię – poddała się w końcu. – Mam tylko nadzieję, że kiedy będziemy mieli swoje dzieci, zechcesz się z nimi bawić.

Edward nie przestawał walić z furją w klawisze. Lily pokręciła nad nim głową, czując, jak ogarnia ją frustracja i smutek. Dzieciaki stały w dole na skałach, zadzierając głowy i czekając, aż do nich dołączy. Sama. Były dobrymi obserwatorami i nie miały złudzeń co do Edwarda.

Była już w pół drogi do nich, na poły schodząc, na poły ześlizgując się po porośniętych mchem kamieniach, kiedy Edward krzyknął za nią:

– Hej, wiesz co?

Lily obróciła się z nadzieją. Musiała przyłożyć dłoń do oczu, ponieważ słońce świeciło jej prosto w twarz.

– Świetnie wyglądasz! – zawołał do niej i uśmiechnął się.

Miała na sobie jednoczęściowy błękitny kostium kąpielowy, który opinał smukłe, umięśnione ciało.

– Dziękuję! – odkrzyknęła. Nie miała pewności, czy Edward w ten sposób proponuje jej zawarcie rozejmu, ale i tak na wszelki wypadek odwzajemniła uśmiech.

– Kobiety na ogół strasznie się zapuszczają, będąc w ciąży – dodał głośno i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Lily poczerwieniała na twarzy, zamarła w bezruchu. Dlaczego musiał powiedzieć coś takiego w obecności dzieci jej przyjaciół? Dlaczego w ogóle musiał powiedzieć coś takiego? Pod powiekami zapiekły ją łzy. Odwróciła się i nie bacząc na grożący jej w każdej chwili upadek, zbiegła zgrabnie na dół. Tam pochyliła się i długo gmerała przy zapięciu kłapek. Zapanowawszy nad sobą, jakby nigdy nic pokazywała dzieciakom, jak zakłada się spławiki i nadziewa na haczyk przynętę, po czym zarzuca wędkę. Choć z pozoru zachowywała się normalnie, w środku czuła się cała odrętwiała. Wystarczyło kilka okrutnych słów Edwarda.

Tamtej nocy w łóżku Edward zdawał się jej tak spragniony, jakby zrozumiał, że jest jej coś winien. Niezwykle rzadko okazywał jej namiętność, toteż pomyślała, że zapomni o urazie, i oplótszy go ramionami za szyję, wygięła ciało w łuk, starając się wzbudzić w sobie pożądanie.

Było tak, jakby jej ciało i dusza rozdzieliły się zupełnie. Jakby jej serce i umysł przebywały całkiem gdzie indziej niż mięśnie, kości i krew. Całą sobą pragnęła być dotykana i pieszczona tak, by sprawiało jej to przyjemność, jednakże ręce, które czuła na swojej skórze, były twarde, chropawe, niedelikatne i szorstkie, jak gdyby celem Edwarda było raczej zadawanie jej bólu, a nie dostarczanie miłych doznań.

Zastanawiała się, czy przypadkiem nie na tym polega małżeństwo. Czy po początkowym okresie, pełnym uniesień i pasji, nie przychodzi zawsze rutyna będąca udziałem wszystkich par o jakimś tam stażu. Z bolesną szczerością wobec samej siebie musiała przyznać, że po raz pierwszy od bardzo dawna Edward w ogóle okazał zainteresowanie nią jako kobietą. Zazwyczaj po prostu spali w tym samym łóżku oddzieleni murem z poduszek, a kiedy zdarzyło się, że ona wykazując inicjatywę, pieszczotliwym gestem przejechała ręką po jego plecach czy udzie, wzdrygał się jakby ze wstrętem.

Zanim się jeszcze pobrali, oznajmił, że marzy, aby zostać ojcem. Lecz później, po ślubie, słyszała już tylko o tym, że rodzicielstwo to same obowiązki, że ciąża psuje figurę kobiety, że pragnie ją mieć tylko dla siebie i nie chce dzielić jej z nikim.

No ale teraz uprawiali seks. Nie patrzyli sobie wprawdzie w oczy (Edward utkwiał wzrok w zagłówek łóżka) i Lily było z tego powodu bardzo przykro, poczuła nawet, że zbiera jej się na płacz. W dodatku ruchy frykcyjne sprawiały jej ból. Edward poruszał się w niej tak, jakby zapomniał, że wszedł

w najdelikatniejszą część jej ciała. Zacisnęła obie dłonie na pościeli, dodając sobie odwagi.

Łzy pociekły jej z oczu, kiedy uświadomiła sobie, że zamiast jak zwykle w takiej sytuacji myśleć: „Może dziś w nocy uda nam się począć dziecko, może nareszcie zostanę matką”, myślała tylko o tym, że czuje się niszczona od środka, rozrywana na strzępy, że to co się z nią dzieje, nie ma nic, ale to nic wspólnego z kreacją nowego życia.

Lily przypomniała sobie to wszystko, siedząc teraz przy stole Maeve i nie przestając drżeć na całym ciele. Pod przymkniętymi powiekami przewijały się najgorsze obrazy z jej życia. Noc, w czasie której doszło do poczęcia Rose, niestety do nich należała. Płakała jeszcze długo po tym, jak jej współżycie z Edwardem dobiegło końca.

Nazajutrz rano pojechała do babci. Nie powiedziała jej, że czuje się nieszczęśliwa. Wtedy już była mistrzynią kłamstwa; uśmiechała się i żartowała, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Jakby wszystko było „dobrze”.

„Jak się masz, kochanie?” – Dobrze.

„Chciałabyś herbaty?” – Dobrze.

„Jak minął ci weekend? Dobrze?” – Dobrze.

Ale oczywiście nic nie było dobrze. Zwłaszcza po kłótniach, które następowały po sobie jeszcze częściej niż z początku. Po jednej z nich – chyba najgorszej w całym życiu Lily (nigdy wcześniej nie krzyczała na kogoś tak głośno, że aż bolało ją gardło, a Edward jak zwykle patrzył na nią z tym swoim uśmiechem, ciesząc się ze zwycięstwa, jakie swoim zdaniem osiągał, ilekroć zdołał wyprowadzić ją z równowagi) – była bliska załamania. On ukrył się w sypialni, zakrył twarz poduszką. Ją paliło w piersi i bardzo się bała.

Ale była przecież młoda. W jej rodzinie nikt nie chorował na serce. To na pewno tylko stres – mówiła sobie. Próbowwała nawet zmierzyć tętno, lecz ręce jej się trzęsły i nie umiała się skupić na liczeniu uderzeń serca.

Wzięła kilka głębokich oddechów i zapukawszy cicho do drzwi sypialni, weszła do środka. Starając się zachować spokój, powiedziała:

– Chyba dostałam ataku serca.

Zignorował ją, jak gdyby go poinformowała, że czuje się zmęczona, jest jej zimno albo boli ją żołądek. Nie myślała jasno, nie potrafiła od jakiegoś czasu. Wzbraniała się przed zadzwonieniem na pogotowie. To by tylko niepotrzebnie zwróciło uwagę obcych ludzi na ich pełne chaosu życie i małżeństwo. Parę tygodni wcześniej sąsiedzi wezwali policję w trakcie ich wyjątkowo burzliwej awantury. Kiedy w ciemnościach nocy na ich progu stanęła para policjantów, Edward powiedział: „Nic się nie stało, panie władzo”, a Lily odegrała swoją rolę, uśmiechając się miło do stróżów porządku, których znała z widzenia. „Wszystko jest dobrze” – mówiła. – „Wszystko jest w najlepszym porządku”.

„Domowi krzykacze” – takiego określenia użyła jedna sąsiadka w rozmowie z drugą parę dni później podczas szeptanej wymiany zdań w korytarzu, podczas gdy Lily stała w mieszkaniu z uchem przyciśniętym do drzwi i palącą od wstydu twarzą.

Chyba głównie dlatego zamiast zadzwonić po pogotowie i narazić się na kolejną falę plotek, włożyła płaszcz, wsiadła w samochód i sama zawiozła się do szpitala. Im bliżej celu była, tym gorzej się czuła. W piersi paliło ją żywym ogniem, jak gdyby ktoś włożył rozżarzony węgiel w miejsce, gdzie powinno być jej serce. Dotknąwszy mostka, poczuła, że ból promieniuje aż na żebra. Na



przemian wydawało jej się, że ktoś grzebie rozgrzanym pogrzebaczem w jej klatce piersiowej, łamie żebra, przeciska pomiędzy nimi zwiniętą pięść.

Zanim dotarła na ostry dyżur, ledwie trzymała się na nogach. Trzęsąc się, z dłonią w okolicach serca, przycupnęła w poczekalni izby przyjęć i zaczęła po cichu płakać. Była pacjentką tej kliniki, odkąd się urodziła. Jej rodzice przynieśli ją tam w środku nocy, kiedy jako maleńkie dziecko zachorowała na krup. W wieku czterech lat podano jej tam zastrzyk przeciwtężcowy, po tym jak nadepnęła gołą stopą na zardzewiały gwóźdź. Na tydzień przed ślubem z Edwardem robiła tam sobie rutynowe badanie krwi. W archiwum szpitala znajdowała się jej szczegółowa karta, personel znalazł ją i rozpoznawał.

Przyjmująca ją tamtej nocy rejestratorka kupowała od niej przybory do haftowania, lekarka mająca dyżur zamówiła u niej kilkanaście haftowanych poduszek na krzesła do jadalni. Obie znały Maeve, która mieszkała w Black Hall od zawsze. Uzmysłowiwszy to sobie, Lily pomyślała, że chyba jednak powinna była pojechać gdzie indziej. Dokądś, gdzie nikt nie zna ani jej, ani Edwarda, którego naraziła na potępiające spojrzenia, kiedy następnym razem z jakiegoś powodu znajdzie się na terenie kliniki.

– Myślę – mówiła z wielkim trudem Lily – że dostałam ataku serca...

Wszyscy byli dla niej bardzo mili. Natychmiast została przyjęta przez lekarza. Wolałaby, aby badała ją lekarka, lecz nie miała siły o to poprosić. Obawiała się szyderczego śmiechu mężczyzny żartującego z niej, że robi wielkie halo z niczego. Lekarz jednak sumiennie zrobił jej EKG, nie odchodząc ani na chwilę od kozetki, na której leżała. Patrzył na nią łagodnym wzrokiem, a jego obecność była tak kojąca, że Lily ponownie się rozplakała.

Kiedy elektrody zostały już podłączane od jej ciała, lekarz osłuchał jej serce. Dotyk jego ręki na ramieniu, podczas gdy drugą dłonią przytykał do

piersi stetoskop, delikatnie przesuwał go w górę i w dół, w lewo i w prawo, wydał jej się łagodniejszy od dotyku męża z czasów, gdy jeszcze kochali się, żywiąc do siebie namiętność. Poczwała, że odzyskuje znaczenie, że jest warta tego, by się o nią troszczyć, że jej serce kogoś interesuje.

Doszedłszy do mostka, lekarz delikatnie ucisnął kość dwoma palcami. Lily omal nie krzyknęła z bólu.

– Tutaj – zapytał – boli panią najbardziej?

– Tak – załkała.

Tutaj i jeszcze głębiej – chciała powiedzieć. – Tam gdzie nie sposób dotrzeć podczas zwykłego badania lekarskiego.

Milczała jednak i tylko przyglądała się, jak lekarz odczytuje wydruk EKG, mierzy jej ciśnienie, cierpliwie czeka, aż przestanie płakać. W końcu zapytał ją, czy w życiu albo w pracy jest narażona na stres. Drżąc, odparła, że tak.

– W pracy? – dopytywał.

– W domu – wyrzuciła z siebie w odpowiedzi. Kosztowało ją to wiele wysiłku.

Lekarz pokiwał tylko głową.

Po pewnym czasie, kiedy już skończył ją badać, wzruszył lekko ramionami.

– Nie znalazłem niczego, co by świadczyło o chorobie serca – powiedział. Lily milczała, chłonąc każde jego słowo. – Oczywiście nie oznacza to, że nie ma czegoś głębiej ukrytego, czegoś, czego nie wykryją podstawowe badania podczas ostrego dyżuru... Niemniej z całą pewnością mogę stwierdzić, że nie przechodzi pani ataku serca ani zawału, ani niczego takiego.

– Ale tak bardzo mnie boli – wystękała.

Lekarz ponownie skinął głową. Widać było, że jej wierzy i bierze poważnie każde jej słowo. Dobrze pamiętała, jak wielką ulgę poczuła, że nareszcie ktoś jej wierzy, a nie nazywa wariatką albo histeryczką. Zaczęła nawet głębiej oddychać.

– Trzeba będzie przeprowadzić jeszcze kilka innych badań – oświadczył lekarz. – Ale tym będzie musiał się zająć kardiolog z prawdziwego zdarzenia. Polecę pani kogoś... choć nie sędzę, żeby się okazało, że ma pani chore serce.

– Zatem co to jest? – zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

Od wzajemnił spojrzenie. Był młodym mężczyzną, wysokim i szczupłym, o intensywnie niebieskich oczach i już rzednących blond włosach. Biel fartucha dodawała mu powagi. Nie spuszczał z niej wzroku, ujął ją za rękę, jakby to było najnaturalniejsze zachowanie pod słońcem.

– Moim zdaniem cierpi pani z powodu złamanego serca.

Te słowa wywołały nowy potok łez. Lily siedziała na kozetce w gabinecie miłego młodego lekarza i płakała jak fontanna, dla dodania sobie otuchy trzymając rękę mężczyzny, którego widziała pierwszy raz w życiu. W głębi duszy wiedziała, że diagnoza jest prawidłowa. Po prostu nigdy się nie spodziewała, że usłyszy ją kiedykolwiek od lekarza. Mężczyzna wolną ręką zapisał na białym recept nazwisko kardiologa, a pod nim nazwę organizacji, do której jego zdaniem powinna się zwrócić o pomoc. Stowarzyszenie Pomocy Ofiarom Przemocy Domowej.

– On mnie nie uderzył – szepnęła, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, który wywołały w niej te słowa napisane czarno na białym.

– Maltretować można nie tylko fizycznie, ale również słownie albo emocjonalnie – odparł lekarz łagodnym tonem.

– Ale w moim wypadku przecież nie może być mowy o przemoc domowej, prawda? – popatrzyła na niego błagalnie.

– Proszę o to zapytać swoje serce – rzekł lekarz, poklepał ją po ramieniu i opuścił gabinet.

Lily zaczęła się ubierać. Szło jej to opornie, ponieważ nadal cała się trzęsła, a stanik i bluzkę miała posklejane żelem użytym przez lekarza podczas badania EKG. Z drżeniem zastanawiała się, czy Edward będzie na nogach, kiedy wróci do domu. Może nawet martwił się o nią przestraszony, że tym razem opuściła go na dobre. Choć to ostatnie było akurat mało prawdopodobne...

W piersi nadal czuła ból, lecz jej mózg już pracował na pełnych obrotach. Obawiała się tego, co zastanie w domu, w jakim nastroju będzie Edward... Przemoc domowa? Potrząsnęła głową. Ten młody lekarz był bardzo miły, ale z pewnością nie miał racji. Przecież Edward nigdy nie tknął jej nawet palcem. Kłócili się, owszem, i mieli swoje problemy. Ciężkie dzieciństwo męża odcisnęło na nim swoje piętno, pozostawiło go samemu sobie z odradzającym się co jakiś czas gniewem...

Lily czytała gdzieś o cyklu przemocy. O tym, że mężczyźni, którzy byli nękanymi jako dzieci, często później nękają swoje żony i potomstwo. Edward uderzył wprawdzie Judy, sam jej o tym opowiedział, ale nigdy nie podniósł ręki na Lily. Czy nie był to najlepszy znak, że panuje nad sobą, że pragnie się wyrwać z błędnego koła przemocy, że chce traktować ją dobrze? Lily żałowała, że nie wyjaśniła tego wszystkiego lekarzowi, który ją badał. Wstydziła się też opowiedzieć doktorowi o jej i Edwarda życiu seksualnym, o tym, ile bólu jej sprawia współżycie.

Opuszczając piętro, musiała podpisać parę papierków w dyżurce. „Jej” lekarz zajmował się już innym pacjentem, lecz dostrzegłszy ją przez szybę,

skinął jej głową. Lily zdobyła się na promienny uśmiech. „Widzi pan?” – zdawały się mówić jej oczy. – „Nic się nie stało. Wszystko jest dobrze...”.

Idąc do wyjścia, pozbyła się recepty z wypisanym nazwiskiem specjalisty i nazwą tej organizacji. Zrobiła to dopiero wtedy, gdy miała pewność, że nikt nie zobaczy, jak kawałek papieru ląduje na dnie kosza. Potem przeszła dziarsko na parking, wsiadła do samochodu i pojechała do domu. Nie miała pojęcia, że w jej ciele rozwija się płód.

Teraz, wiele lat później, po tym jak udała się na koniec świata i wróciła do domu, wyjrzała przez okno i popatrzyła na swoją córkę Rose, która bawiła się w ogrodzie najlepszej przyjaciółki i zarazem sąsiadki jej prababci.

– Musimy znaleźć prawnika – powiedziała twardo. '

Sierpniowy letni dzień wstał chłodny i zamglony, z rozmytymi konturami drzew i klifów; charakterystyczne dla Cape Hawk strzeliste ciemne sosny i jary wyżłobione w czarnej skale za sprawą pogody przybrały odcień szarości. Tylko czerwony okazały dach gospody pozostał wyraźny, widoczny nawet przez cieśninę, po której kursował prom przyzywający ostatnich chętnych na obejrzenie festiwalu muzyki celtyckiej.

Akurat w ten dzień wypadł dyżur Marisy w „Igle z nitką”, toteż jeśli chciały poćwiczyć z Samanthą, musiały robić to w sklepie, uchylwszy drzwi na zaciągniętą mgłą zatokę i przystań. Nie grały w duecie przez ponad dwa lata, a to długo dla muzyków. Obie – ciemnowłosa, wysoka Marisa oraz przewyższająca ją wzrostem rudowłosa siostra – usiadły na taboretach i zabrały się do strojenia instrumentów.

Takie szczęśliwe się czuły, będąc znów razem, zwłaszcza że wróciła dawna bliskość i bezpośredniość, jakby dwa długie lata nagle skurczyły się do paru minut. Marisa podała rano Samancie kawę do łóżka – to znaczy, na

kanapę, gdzie Samantha spała – a Samantha uczesała i zaplotła w warkocze długie włosy Jessiki. Wszystkie trzy czuły się swobodnie, jak to w rodzinie. Wydobywając ze skrzypiec pierwsze nuty, Marisa zastanowiła się, kiedy zaczną ze sobą naprawdę rozmawiać.

Grając, wyglądała za drzwi. Jessica wyszła z Florą na spacer, prowadziła ją właśnie po trawniku przed hotelem. Ziemia była zbyt wilgotna, żeby ludzie zaczęli się tam rozkładać na kocach, jednakże nic nie zdołałoby powstrzymać prawdziwych miłośników muzyki od ściągania w pobliże gospody i festiwalu. Co zapobiegliwsi przynieśli ze sobą składane turystyczne krzeselka, inni po prostu stali w ciasnych grupkach, a wszyscy narzucili na ramiona płaszcze przeciwdeszczowe, pelerynki z przezroczystego plastiku czy choćby płachty zwykłej folii – co tam kto miał pod ręką. Marisa była spokojna; wiedziała, że Patrick pozwolił Jessicę wyprowadzać Florę na dwór, kiedy tylko dziewczynka będzie miała na to ochotę. Rozglądała się pilnie za nim, jednakże nigdzie nie było go widać.

– Zrobimy sobie małą przerwę? – zaproponowała Samantha w pewnym momencie.

Marisa skinęła głową.

– Chyba czytasz w moich myślach – odparła.

Równocześnie zsunęły się z taboretów i jedna za drugą poszły na zaplecze, gdzie z malej lodówki nalały sobie po szklance mrożonej herbaty, którą Lily trzymała zawsze na podorędziu, na wypadek gdyby któraś z klientek zasiedziała się dłużej i miała ochotę na coś do picia. Trącając się szklankami w toaście, siostry uśmiechnęły się do siebie.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś – powiedziała Marisa.

– Nie wierzyłam, że to nastąpi.

– Omal nie podjęłam innej decyzji – przyznała Sam, zaglądając do wnętrza szklanki.

– Kiedy Patrick dał mi znać, że wróciłaś do Baltimore, byłam w szoku – wyznała Marisa.

– Nie chciałam cię zranić...

Marisa czuła się nieswojo. Do tej rozmowy przygotowywała się od tak dawna, jeszcze od czasów, kiedy wciąż była z Tedem. Jej pierś przygniatał jakiś niematerialny ciężar. Mimo to podniosła wzrok na siostrę i spojrzała jej prosto w oczy. Fala emocji, która się przez nią przetoczyła, nieomal zwała ją z nóg, podobnie jak minionego dnia nieoczekiwane pojawienie się Samantha w porcie.

– Moje małżeństwo było okropne... – zaczęła i urwała.

– Ach tak, Ted... – Samantha odstawiła szklankę na blat i ujęła siostrę za obie dłonie.

– Czułam się taka samotna – wyrzuciła z siebie Marisa – jak Paul umarł, a ty wróciłaś do Baltimore. A on był przy mnie i zdawał się mnie darzyć uczuciem. Wydawało mi się też, że pokochał Jessicę...

– Wiem – zapewniła ją Samantha – i z początku cieszyłam się twoim szczęściem. Naprawdę. Ale potem zaczęłaś jakby znikać... Przystawałaś być sobą, byłaś stracona dla świata i dla mnie...

– Wiesz... – powiedziała Marisa i przełknęła ciężko ślinę. Przypomniała sobie, że zawsze chciała świecić młodszej siostrze przykładem i że była dumna, kiedy Samantha naśladowała ją we wszystkim. – Nie miałam pojęcia, co począć. Niełatwo to wytłumaczyć...

– Nie musisz niczego tłumaczyć – wtrąciła Samantha.

– Ale...

– Założyłaś tamte ośrodki. Pomogłaś wielu maltretowanym kobietom. Sądziłam, że wiesz, na jakie sygnały zwracać uwagę. W życiu bym nie przypuszczała, że je przegapisz i że coś takiego przytrafi się właśnie tobie!

– Dla mnie to też było zaskoczeniem. Przecież nasłuchiłam się tylu historii, powinnam być wyczulona na symptomy... Ale on był z początku taki czarujący, taki ujmujący. Każdym gestem i słowem udawał od nowa, że mnie kocha.

– Czy nie to właśnie mówiły tamte kobiety – rzekła Samantha cichym głosem – kiedy pytałyśmy je, od czego się zaczęło?

Marisa skinęła. Przed oczyma miała twarze umęczonych, przerażonych, zagubionych kobiet, w których oczy patrzyła, których dłonie trzymała, próbując dodać im otuchy.

– Najgorsze było to – podjęła po chwili milczenia

– co zrobił szczeniaczce Jessiki. Po dziś dzień nie mogę sobie wybaczyć, że naraziłam własne dziecko na coś podobnego.

– Wierzę ci – zapewniła Samantha. – Jak mi o tym powiedziałaś, chciałam natychmiast przyjechać i udusić go gołymi rękami.

– Potem przestałam ci się zwierzać – ciągnęła Marisa.

– Wydawało mi się, że potępiasz mnie za beczynność, gardzisz mną. To było dla mnie za wiele. Och, Sam, jak ja mogłam mu na to wszystko pozwolić?...

– A ja czułam się całkowicie bezradna. Byłam świadkiem, jak się zmieniasz, jak znika gdzieś moja siostra i przeistacza się w kogoś, kogo nie umiałam poznać. Nie mogłam znieść myśli o tym, że tracisz wiarę w siebie, że przyjmujesz za pewnik to, co ci wmawiał: że jesteś nic niewarta.



– Proszę? – zapytała zszokowana Marisa. Samantha zamrugła gwałtownie, chcąc odpędzić łzy.

– Nie potrafiłam patrzeć, jak pochłania cię jego czarna dziura – rzekła ze szlochaniem. – Ciebie, najpilniejszą uczennicę w szkole pielęgniarstwa, która bez wahania zgłaszała się na ochotnika, aby szczepić malutkie dzieci w najbiedniejszej dzielnicy miasta... – W miarę jak Samantha mówiła, oczy Marisy robiły się coraz większe i coraz bardziej zaszklone.

– Która co noc znajdowała czas, aby ćwiczyć grę na skrzypcach po tym, jak już uporała się z nauką, byle tylko jak najlepiej wypaść podczas weekendowych koncertów, byle zapewnić sowite napiwki, które umożliwią nam opłacenie czesnego za następny semestr w szkole.

– Och, Sam... – westchnęła Marisa, nie będąc w stanie wydusić z siebie ani słowa więcej.

– Grałaś jak prawdziwy anioł, nie jak upadły – uśmiechnęła się Samantha. – Ty nigdy nie byłaś upadłym aniołem, to była moja rola. Ja przebrnęłam przez szkołę pielęgniarstwa uwieszona poły fartucha swojej starszej siostry, myśląc raczej o chłopcach niż o dobrych ocenach z ćwiczeń.

– Nie, Sam! – zaprzeczyła Marisa, odzyskawszy głos.

– Byłaś zawsze cudowna. Nie znam osoby, która by miała bardziej współczujące serce niż ty. Dzięki temu jesteś wspaniałą pielęgniarką i siostrą, i ciotką...

– Cóż, to chyba rodzinne. – Samantha delikatnie zmieniła temat. – Miałas w sobie tyle miłości, serce ze szczerego złota. A on zabrał ci je i spieniężył.

Marisa zachichotała i sięgnęła po długopis.

– To dopiero tekst! – parsknęła. – Myślę, że mogłybyśmy go opchnąć w Nashville za niezłą sumkę...

– Ona miała serce ze szczerego złota – zaśpiewała Samantha, naprędce komponując melodię.

– On był pierwszej wody łotrem – dołączyła do niej Marisa swoim anielskim głosem.

– Zabrał jej serce i sprzedał, idiota! – improwizowała Samantha.

– I tak śpiewano o nich potem – zakończyła Marisa.

Zamiast zaśpiewać chórem refren, wybuchnęły śmiechem i rzuciły się w kierunku skrzypiec. Zaczęły szukać właściwych nut, prokurując muzykę, jakby robiły to przez całe życie bez chwili przerwy. Struny jęczały i zawodziły unisono, ich ciała poruszały się jednym rytmem, stopy wybijały zgodnie takt. Marisa wiedziała już, że wszystko będzie dobrze. Nieraz w przeszłości odreagowywały problemy, grając do upadłego. Zaczynały wieczór, zamartwiając się wynikiem egzaminu albo stanem pacjenta czy jedną z tysiąca innych spraw, a kończyły go, śpiewając na cały głos, tańcząc, wznosząc toasty i obejmując się.

Tak było kiedyś i wszystko wskazywało na to, że nadal tak jest.

Odegrały i odśpiewały skomponowaną na gorąco piosenkę, po czym przeszły do „Galway Lasses”, a następnie do „Geese in the Bog”, by zakończyć nieco spokojniejszą „Maudabawn Chapel”. Kiedy dźwięki skrzypiec ucichły zupełnie, Marisa powiedziała:

– Napisałam piosenkę.

– Naprawdę? Jaka?

– Nosi tytuł „Miotani prądem życia”.

– Czyżby autobiografia ujęta w nuty? – wyszczerzyła się Samantha.

– Coś w tym stylu... – Marisa zerknęła znów na drzwi, szukając wzrokiem Patricka. – Nie jest trudna, zaczyna się w G–dur.

– Oho... – odezwała się Samantha, wysłuchawszy kilku pierwszych taktów. – Ładniutkie. Podobało mi się zwłaszcza to przejście do e–mol.

– Struny serca, co?

– O, tak...

Siostry rozumiały się w pół słowa. Ich życiem było zarówno pielęgniarstwo, jak i muzyka. Znały się równie dobrze na anatomii, jak na nutach. „Struny serca” było niegdyś ich ulubionym powiedzonkiem. Teraz na powrót odnalazły siebie i wzajemne zrozumienie. Marisa wiedziała, że poza tym nic się nie liczy. Nie zaprzestając gry na skrzypcach, spoglądała wciąż przez otwarte drzwi. Grała uważnie, nie gubiąc rytmu nadawanego teraz przez Samanthę, lecz cały czas szukała wzrokiem zwalistego, płomiennorudowłosego Irlandczyka, który sprawił podwójny cud: przywiódł zagubione siostry do siebie i poruszył strunami serca Marisy, budząc w jej duszy muzykę.

## ROZDZIAŁ 21

Prawniczka nazywała się Lindsey Grant Winship. Była współwłaścicielką kancelarii adwokackiej zlokalizowanej w Hartfordzie w stanie Connecticut. Biura firmy mieściły się przy placu Konstytucji – wysokie okna wychodziły wprost na Old State House, wyróżniający się w okolicy budynek wzniesiony z czerwonej cegły i uwieńczony złotą kopułą, będący siedzibą Towarzystwa Historycznego, a zarazem przypomnieniem kolonialnej przeszłości stanu. Serce Lily, która znalazła się tam razem z Liamem, waliło, jakby właśnie ukończyła forsowny wyścig, a nie dopiero go rozpoczynała.

Lindsey miała około pięćdziesięciu lat, była wysoka i szczupła, z orzechowobrazowymi włosami lekko tylko rozjaśnionymi na samych końcach. Zdawała się pełna ciepła i otwarta, instynktownie wyrozumiała i dodająca otuchy, co nadawało jej cech matczynych, aczkolwiek równocześnie w jej piwnych oczach pobłyskiwała ciekawość i entuzjazm młodej dziewczyny. Jej gabinet został urządzony w przyjemnych dla oka barwach; na ścianach wisiały obrazy pędzla jej córki, wspaniałe abstrakcyjne portrety i krajobrazy wykończone złotymi listkami. Wszędzie można było zobaczyć fotografie tejże córki, poczynając od wczesnego dzieciństwa, a skończywszy na chwili obecnej. Najnowsze zdjęcie przedstawiało atrakcyjną młodą kobietę podczas rozdania dyplomów wyższej uczelni. Na półkach stały miseczki wypełnione po brzegi muszelkami i kamykami, które Lindsey i członkowie jej rodziny zebrali na licznych plażach odwiedzonych w trakcie wakacji.

Lindsey przysłuchiwała się z uwagą, zapisując coś od czasu do czasu w grubym notesie wypełnionym żółtymi kartkami, nie przerywając Lily, gdy ta opowiadała o swoim małżeństwie, ucieczce, narodzinach Rose i jej

późniejszych perypetiach, jednym słowem – o całym swoim życiu od chwili, w której poznała Edwarda, aż po dzień dzisiejszy.

– To że dostarczył wezwanie do sądu osobiście, rezygnując z pośrednictwa urzędnika, świadczy o jego determinacji i agresywnym podejściu do sprawy – wyraziła swoją opinię Lindsey, kiedy Lily zamilkła.

– Edward bywał agresywny, choć nie mogę powiedzieć, żeby kiedykolwiek podniósł na mnie rękę – zauważyła Lily.

– Och, to normalne w wypadku tych bardziej wyrafinowanych brutalni – stwierdziła Lindsey. – Używają grózb, aby wywołać w ofierze strach. Miałaś przedsmak tego, kiedy opowiedział ci tę historię z Judy. Postarał się, abyś dobrze zrozumiała, co może cię czekać w przyszłości... że jeśli nie będziesz zachowywała się jak należy, możesz zostać pobita zupełnie jak tamta nieszczęsna kobieta. W ten sposób chciał cię kontrolować, narzucić ci pewne zachowania...

– Czego mam spodziewać się po nim teraz? – zapytała Lily.

– Z pewnością spróbuje wykorzystać sąd rodzinny do tego, aby przypuścić na ciebie atak. Mężczyźni jego pokroju wdają się w przepychanki na wokandzie po to tylko, aby krok po kroku niszczyć eks-żony czy partnerki, przy okazji podtrzymując z nimi kontakt. Przykro mi to mówić, Lily, ale zdarza się, że kobiety doświadczają najokrutniejszego znęcania się właśnie podczas procesu.

– Ale... – zająknęła się Lily – czy sędzia albo sędzina nie przejrzy jego sztuczek?

Lindsey skrzywiła się.

– On jak zwykle będzie grał na użytek innych. Przyjmie rolę poszkodowanego, niesłusznie oskarżanego niewiniątka.

Nie tylko nie potwierdzi twoich słów, ale będzie im zaprzeczał ze wszystkich sił, z niesłychaną stanowczością. Wyciągnie argumenty w postaci swej działalności charytatywnej, przedstawi się w jak najlepszym świetle jako człowiek wrażliwy i łagodny. Przecież to samo robił w czasie małżeństwa, mydląc oczy wszystkim dokoła, czyż nie?

– Nawet mnie utrzymywał w fałszywym przekonaniu... – przyznała z niechęcią Lily. – Dość długo nie miałam pojęcia, jaki naprawdę jest. Mówił jedno, ale zachowywał się inaczej, jego czyny przeczyły słowom. Na przykład zapewniał, że mnie kocha, lecz wszystko co robił, świadczyło o czymś wręcz przeciwnym. O nienawiści. Ponad dwa lata zajęło mi uświadomienie sobie, że powinnam zwracać uwagę na to, co robi, a nie na to, co głosi.

Lindsey pokiwała głową.

– Edward Hunter wygląda na książkowy przykład. Dąży do tego, by manipulować innymi, kontrolować ich, wydaje mu się, że wszystko mu wolno, nie ma za grosz szacunku dla drugiej osoby. Choć to może wydać się szokujące, on szczerze wierzył w to, że cię posiada. Z chwilą kiedy za niego wyszłaś, w jego mniemaniu stałaś się jego własnością. Twoja ucieczka, to, że go przejrzałaś, doprowadziło go do wściekłości, która nie minęła mu po dziś dzień. Właśnie to będzie go napędzało podczas procesu.

– Napędzało? – powtórzyła Lily, jakby nie do końca zrozumiała.

– Każdą próbę, jaką podejmiesz w obronie swoich praw, będzie odbierał jako atak, przejaw agresji. W dodatku na pewno zdążył już uznać, że podobnie jak ty kiedyś, teraz i Rose należy bezapelacyjnie do niego. – Lindsey zastanawiała się nad czymś przez chwilę. – Jaka była jego pierwsza reakcja, kiedy usłyszał, że spodziewasz się dziecka? – zapytała nagle.

Lily zmarszczyła brwi.

– Gdy powiedziałam mu, że jestem w ciąży, cisnął lampką nocną w drzwi. Potem zerwał się z łóżka i kopnął z całej siły w ścianę. Ukruszył spory kawał tynku. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby zachowywał się tak gwałtownie. Popatrzył na mnie i spytał: „A ja? Czy ja nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie? “. Oczy miał puste, jakby szklane. Zawsze tak wyglądały, kiedy opanowywała go niepoohamowana złość.

– Lily... – Liam ujął ją za rękę.

– Czy to wtedy postanowiłaś od niego odejść? – kontynuowała wątek Lindsey.

– Mniej więcej wtedy... – szepnęła, nie chcąc przypominać sobie prawdziwego powodu.

– Co jeszcze się stało, Lily? – Prawniczka nachyliła się w jej stronę ze współczującym wzrokiem.

Lily przymknęła powieki.

– Kiedy gniew mu minął, objął mnie mocno, kołysał w ramionach, obiecywał, że się zmieni... A ja pomyślałam, że może osiągnął punkt krytyczny, nareszcie zrozumiał... że perspektywa zostania ojcem odmieni go na lepsze. Potem poinformował mnie, że zorganizuje dla nas piknik. – Otworzyła oczy i przyglądała się, jak Lindsey z furią notuje każde jej słowo na żółtym papierze. – Wsiedliśmy do samochodu, żeby udać się na przejażdżkę. Była późna jesień, wiatr już dawno ogołocił gałęzie drzew z liści. Ale dzień był piękny, słoneczny i w miarę ciepły. A Edward... Jeśli tylko nie wpadał w szal, był naprawdę miły. Pamiętam, że włączył jakąś przyjemną muzykę i trzymał mnie za rękę na bezpieczniejszych odcinkach drogi. Czułam się uspokojona. Tak bardzo chciałam wierzyć, że uda nam się wszystko naprawić. Miałam nadzieję, że dziecko nas pogodzi, że odtąd wszystko będzie tak jak trzeba... –

Popatrzyła na Lindsey, a ta skinęła głową. – Pojechaliliśmy na północ, aż do Massachusetts. Edward stamtąd pochodził, urodził się w Springfield i jak mówił, czuł się zawsze najszczęśliwszy, wracając do stron rodzinnych. Twierdził, że odzyskuje tam chęć do życia i energię. Choć z dzieciństwem wiązał niemiłe wspomnienia, w Massachusetts wciąż mieszkały jego ulubione ciotki i nauczyciele, którzy wywarli na niego największy wpływ. Pomyślałam sobie, że jedziemy z wizytą do jego krewnych...

– Myliłaś się?

– Tak, myliłam się... – potwierdziła zamyślona Lily. – W pewnym momencie odbiliśmy w stronę hrabstwa Berkshire. W tamtejszych górach Edward, będąc małym chłopcem, uczył się jazdy na nartach. Droga wiała się wśród wzgórz

i lasów, bardzo mi się tam podobało. Edward powiedział, że w lesie czuje się jak w domu. Mnie zostawiał ocean i wodę, jego ciągnęło do lasu... – Otrząsnąwszy się, Lily podjęła relację: – No więc pieliśmy się górskim szlakiem...

– Którym dokładnie?

– Na Mount Blantyre – odparła Lily. – Zostawiliśmy w dole ogołoczone z liści drzewa i wjechaliśmy w wyższe rejony, gdzie dominowały ciemne, strzeliste sosny. Nagle znaleźliśmy się na płaskowyżu, skąd rozciągał się widok zapierający dech w piersiach. Zaparkowaliśmy pośród samochodów innych amatorów pieszych wędrówek po górach. Jak już mówiłam, dzień był wyjątkowo ciepły i słoneczny jak na tę porę roku, toteż sporo ludzi wybrało tę formę aktywnego spędzenia czasu...

– Byłaś już wtedy w ciąży? – upewniła się Lindsey.



– Tak. Miałam za sobą najgorszy okres porannych mdłości. Chciałam jednak rozprostować nogi, zaczerpnąć świeżego powietrza po długiej jeździe samochodem. Edward sięgnął po koszyk z prowiantem i wysiedliśmy z auta...

Liam odwrócił wzrok, jakby wolał nie słyszeć dalszego ciągu opowieści o jej dniu spędzonym sam na sam z Edwardem w leśnej głuszy. A może znał już ów dalszy ciąg...

– Wstąpiliśmy na szlak – kontynuowała Lily. – Minęliśmy parę osób. Wszyscy byli uśmiechnięci, rozluźnieni, traperskim zwyczajem mówili sobie „cześć”. Edward w którymś momencie powiedział, że kiedy dziecko urodzi się i podrośnie, będzie je tu zabierał, by je uczyć jazdy na nartach; obiecywał, że będziemy przyjeżdżać tu co weekend, zarówno zimą, jak i wiosną i jesienią. Lato oczywiście będziemy spędzać w Hubbard's Point...

– Czy wokół was wciąż byli ludzie? – zapytała Lindsey.

– Wtedy już znacznie mniej – odrzekła Lily, oddychając ciężko. Powrót do tamtych wspomnień kosztował ją wiele wysiłku. – Ale nadal wszystko było w porządku. Powoli robiłam się głodna, sądziłam więc, że lada moment zatrzymamy się i coś zjemy. Szlak nie był zbyt stromy; Edward wybrał ten oznaczony żółtym kolorem, a zatem raczej długą leniwą wędrówkę aniżeli ostrą wspinaczkę, i pamiętam, że byłam mu wdzięczna za ten przejaw troski i czułości wobec mnie i dziecka. On był miłośnikiem wyzwań, przepadał za wdrapywaniem się po skałach. Jednakże szlak, mimo że łagodny, miał kilka niebezpiecznych podejść. Chwilami dopadały mnie zawroty głowy, ale nie były zbyt dokuczliwe. Poza tyra przecież byłam mieszkanką Nowej Anglii, zaprawioną w wędrówkach...

– Lily – odezwał się ponownie Liam. Wpatrywał się w nią, jakby wiedział, jakie słowa zaraz padną.

– Nagle Edward się zatrzymał. Staliśmy sami na szczycie skały. W zasięgu wzroku nie było nikogo. I wtedy wykonał taki zwykły, banalny ruch głową... rozejrzał się w prawo, potem w lewo... – Lily urwała na moment. – A ja już wiedziałam.

Lindsey i Liam w milczeniu wpatrywali się w jej twarz ściągniętą odtwarzanym w pamięci strachem. Zjeżyły jej się włosy na karku, gdy przed oczyma stanął jej znów tamten obraz. Obraz Edwarda upewniającego się, że nikt nie zobaczy, jak strąca ją ze zbocza.

– Wydawał się bardzo zaaferowany, jakby miał zrobić coś niezwykle ważnego. Oczy mu pociemniały, gdy skupiał wzrok na mnie. Podszedł i złapał mnie za nadgarstek.

Lily przełknęła ślinę, skrzywiła się boleśnie. Ileż to razy na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat ten właśnie moment przeżywała wciąż od nowa w swoich snach!... To co napawało ją największym przerażeniem, zarazem było najzwyklejsze pod słońcem. Edward zatrzymał się jakby nigdy nic, po czym popatrzył w prawo i w lewo, a następnie schwycił jej rękę i dla pewności ponownie rozejrzał się wokół siebie, a później...

– Próbował cię strącić w przepaść? – zapytała Lindsey.

– Próbował cię z a b i ć?

Lily potaknęła.

– To znaczy, że nie zależało mu na dziecku – stwierdził Liam.

– Ani na mnie... – dodała szeptem Lily.

– Ale i tak wszystko by po tobie odziedziczył – wtrąciła Lindsey, przekładając na blacie dokumenty, które przyniosła ze sobą Lily. Były wśród nich kopie polis ubezpieczeniowych i testamentu na wypadek przedwczesnej śmierci.

– Wtedy włączył się mój instynkt – mówiła dalej Lily.

– Krzyknęłam... Wparłam się stopami w miękką ziemię, czując, że z każdą chwilą tracę oparcie... A on nadal mnie ciągnął, krzycząc na mnie wniebogłosy. Po trwającej w nieskończoność chwili, która zapewne liczyła tylko paręnaście sekund, zza zakrętu ktoś wybiegł. Był to młody mężczyzna samotnie wędrujący po górach. Uczepiłam się jego ramienia. Histerycznym tonem poprosiłam, aby sprowadził mnie na dół, do samochodu.

– A co zrobił Edward?

– Powiedział mi, że nagle objawił się u mnie lęk wysokości. Wszystko zmyślił, ale obcy mężczyzna nie mógł tego wiedzieć i popatrzył na mnie jak na wariatkę. Oczywiście uwierzył Edwardowi, wszyscy mu zawsze wierzyli. Ja nie wyglądałam tak przekonująco, mamrotałam coś bez ładu i składu. Tymczasem pojawiło się kilka innych par wycieczkowiczów. Większość z nich była w starszym wieku. Nie mam pojęcia, co o mnie myśleli, ale przynajmniej pomogli mi zejść na dół. Edward zgrywał naburmuszonego z popsutej wycieczki, szedł jednak za nami... Lindsey – Lily podniosła wzrok na prawniczkę – mogę przysiąc, że Edward Hunter próbował wtedy pozbawić mnie życia. Wierzysz mi?

Lindsey skinęła głową.

– Tak, Lily. Wierzę ci bez zastrzeżeń – odparła pewnym głosem, nie spuszczać oczu z twarzy Lily, która zrozumiała, że może ufać mecenas Lindsey Grant Winship całkowicie.

– Nie pozwoliłam, żeby odwiózł mnie do domu – zakończyła opowieść. – Zadzwoiłam po babcię, która musiała przejechać taki kawał drogi.

– Dobrze zrobiłaś.

– Nie wróciłam do mieszkania w Hawthorne – ciągnęła Lily, jakby nie usłyszała. – Jadąc w samochodzie babci, zaczęłam się zastanawiać nad odejściem od Edwarda. Dopiero co przekonałam się, jak moja sytuacja wygląda w oczach innych ludzi, nie miałam więc złudzeń. Ja byłam wariatką, on jedynym sprawiedliwym. Tak by przedstawił sprawę, gdybym zażądała rozwodu. Dlatego zaczęłam planować wspólnie z babcią spisek...

– I w końcu uciekłaś.

– Aż do Cape Hawk – pokiwała głową Lily. Za wszelką cenę chciała się opanować. Podniosła wzrok i popatrzyła na Old State House.

– Jego nazwisko nie figuruje na akcie urodzenia Rose – oznajmił nagle Liam.

– Dlatego właśnie złożył wniosek o przeprowadzenie testu na ojcostwo – wyjaśniła Lindsey.

– Możemy się jakoś bronić? – dopytywała Lily.

– Owszem – potaknęła prawniczka. – Jakikolwiek jednak kroki podejmiemy, będzie to tylko gra na zwłokę. Sędzia i tak wyda postanowienie, aby zbadać zgodność próbek DNA Rose i Edwarda. Musisz być na to przygotowana, Lily. Twój były mąż będzie zgrywał ofiarę, w końcu to ty pozbawiłaś go kontaktu z córką na dziewięć długich lat. Nastaw się na to, że zobaczysz zranionego, wrażliwego mężczyznę, który robi wszystko dla dobra swojego dziecka.

Tętno Lily przyspieszyło jeszcze bardziej. Nie miała najmniejszych trudności z wyobrażeniem sobie takiego Edwarda – z tym jego spanielowatym wzrokiem, chłopięcym uśmiechem, fałszywą uniżonością. Zastanawiała się tylko, jak odbierze tę grę przydzielony do sprawy sędzia. Czy stróż sprawiedliwości zobaczy w Hunterze ofiarę czy drapieżnika?

– Czego on tak naprawdę chce? – Liam zadał na głos pytanie, które nurtowało również Lily.

– Właśnie miałam do tego przejść – oświadczyła Lindsey, patrząc z uznaniem na towarzyszącego Lily mężczyznę. – Rzeczywiście, to czego Edward chce naprawdę, znacznie różni się od czynionych przez niego pozorów. Lily, moim obowiązkiem jako twojego adwokata jest ostrzec cię, że Edward Hunter prawdopodobnie wystąpi o przyznanie mu pełni praw rodzicielskich.

– O mój Boże!... – wykrzyknęła Lily, zakrywając dłonią usta.

Lindsey postukała czubkiem długopisu w blat biurka. Miała przed sobą sztywną z napięcia kobietę, która wyglądała, jakby szykowała się do walki czy raczej do przyjęcia kolejnego ciosu. Musiała więc ostrożnie ważyć swoje dalsze słowa.

– Oczywiście wcale mu nie zależy na zyskaniu praw do opieki nad Rose. On postrzega to jak grę, której celem jest odniesienie zwycięstwa nad tobą. To przypadek, że areną rozgrywki stanie się sąd, a pionkiem będzie wasza córka. Z doświadczenia mogę podejrzewać, że w istocie wcale nie chce, aby przyznano mu choćby ograniczone prawa rodzicielskie. Nawet jeśli sąd uzna, że Edward ma prawo widywać córkę, on będzie wymigiwał się od spotkań. Tysiąc ważniejszych spraw przeszkodzi mu w odwiedzaniu Rose w wyznaczonych terminach. Do tego dysponujemy jedną, w tym wypadku niezwykle silną bronią...

– Jaką? – zainteresował się Liam, ponieważ Lily w dalszym ciągu słuchała jak skamieniała, nie potrafiąc dobyć głosu.

– Kwestia łożenia na dziecko – oznajmiła z tryumfem Lindsey. – Jeżeli badanie DNA wykaże, że Edward Hunter faktycznie jest biologicznym ojcem Rose, możemy zwrócić się do sądu z wnioskiem o wyznaczenie alimentów.

– Nie wzięłabym od niego ani grosza, nawet gdybym przymierała głodem! – wydusiła z siebie Lily.

– Wiem o tym, Lily... – Lindsey uniosła dłoń w uspokajającym geście. – Po prostu w ten sposób rozgrywa się podobne sprawy.

„Rozgrywa” – powiedziała prawniczka. Czy to naprawdę jest jakaś gra? pomyślała zbulwersowana Lily, pochylając głowę. Zrobiło jej się słabo, czuła się tak, jakby wdepnęła w sam środek sennego koszmaru, z którego nie umiała się obudzić. Niestety, wszystko działo się naprawdę i sytuacja zaczynała ją przerastać.

– Sąd wyznaczy opiekuna z urzędu – tłumaczyła dalej Lindsey. – To osoba mająca za zadanie dbać o najlepiej pojęty interes małoletniego w trakcie procesu.

Lily zdało się, że świat fiknął koziołka. Traciła grunt pod nogami, ześlizgiwała się z powierzchni ziemi, wpadała w pustkę kosmosu, która przyciągała ją do siebie z zadziwiającą siłą. Opiekun z urzędu? Ktoś mający dbać o Rose? Zajmować się jej córeczką lepiej niż ona?... Ledwie poczuła, jak Liam ujmuje ją za rękę.

– Nie wierzę... – wyszeptała. Po chwili ciszy dodała: – Edward nie powinien się w ogóle mieszać w życie Rose.

– Zgadza się – rzekła Lindsey.

– Zatem nawet nie myśl o tym, żeby sprawa posunęła się aż tak daleko! – Liam nie przestał stać pewnie nogami na ziemi, gotów walczyć o szczęście Lily i jej dziecka. – Po prostu jak długo będziesz mogła, podważaj zasadność

wniosku o ustalenie ojcostwa. Bez względu na koszty. Nawet gdybyśmy mieli sprzedać wszystko, co mamy, i przeznaczyć to na ochronienie Lily i Rose przed Hunterem, gra jest warta świeczki.

– Pierwszą rozprawę wyznaczono na przyszły tydzień – powiadomiła Lindsey. – Odbędzie się w wydziale rodzinnym sądu w Silver Bay, a poprowadzi ją sędzia Porter. Zamierzam wykorzystać do maksimum wadę serca Rose i wiążącą się z tym bogatą historię choroby.

– Stawimy się oboje – odpowiedział Liam za Lily – i postaramy się udowodnić sędziemu, jakim człowiekiem jest naprawdę Edward Hunter.

Lindsey popatrzyła powątpiewająco na Lily, jakby próbowała oszacować siły kobiety, jej zdolność do przetrzymania szykującej się bezpardonowej walki na wokandzie.

– Powinam była pozostać w ukryciu – szepnęła Lily martwym głosem. – Prawda, że powinam była pozostać w ukryciu?

Prawniczka nie odpowiedziała.

## ROZDZIAŁ 22

Z górnego pokładu „Ryżego Ogona” – promu kursującego do Cape Hawk – Patrick Murphy mógł widzieć wszystko aż po horyzont. No, prawie. Delikatna mgła spowiła najwyższe wierzchołki potężnych klifów pochylających się nad spektakularnym fiordem. Wyraźnie jednak rysowały się sosny uczone stromych półek skalnych, przysiadające na ich gałęziach tu i ówdzie bieliki amerykańskie doskonale widoczne z oddali z powodu charakterystycznego ubarwienia, otwarte wody zatoki srebrzyste z tej perspektywy i tylko gdzieniegdzie przecięte białym pióropuszem wznieconym przez silnik łodzi rybackiej czy statku, z którego turyści obserwowali wieloryby, bądź też czarnym lśniącym grzbietem wyłaniającego się na powierzchnię walenia. Gdyby odwrócił lekko głowę, miałby doskonały widok na czerwony dach zajazdu, w którym zatrzymał się razem z Florą, ładnie wpasowanego w pejzaż miasteczka, jak również na panoramę nabrzeża z przystanią, gdzie w pewnym oddaleniu od brzegu Marisa gospodarzyła w sklepie Lily.

Patrick wszakże miał przed oczyma wyraz twarzy Marisy, kiedy spostrzegła swoją siostrę. Stał oparty o reling, jakby w ten sposób mógł lepiej usłyszeć dobiegającą z brzegu muzykę poprzez wszechobecny hałas silników promu oddalającego się od portu w Cape Hawk, myśląc, że nic nigdy nie sprawiło mu tyle radości jak ściągnięcie Samantha tutaj. Skupiwszy wzrok na budynku, w którym znajdował się sklepik „Igła z nitką”, wyobraził sobie, że ze szczegółami opowiada Marisie, jak do tego doszło.

Zaraz jednak pomyślał, że może zamiast to robić, powinien wrócić do Connecticut, sprawdzić, czy jest w stanie pomóc Liamowi, a potem udać się



prosto do domu. Nie było mu łatwo zaufać komuś obcemu po tym wszystkim, co przeszedł w związku z rozwodem z Sandrą. Maeve to rozumiała, jednakże namawiała go, aby dał Marisie i sobie szansę. Ponownie zapatrzył się na sklep i jego serce zaczęło szybciej bić na samą myśl, że Marisa jest tam w środku, niewidoczna.

– Wybacz, że zeszło mi tak długo – rozległ się głos tuż obok jego ucha – ale musiałem się upewnić, że pierwszy oficer opuścił maszynownię, i zejść do sterówki.

– Nie ma sprawy – odrzekł Patrick, obracając się do T. J. McGuinna, kapitana „Ryżego Ogonu”.

– Zatem jesteś przyjacielem sióstr Mahon? – zapytał T. J. McGuinn.

– Tak – odparł Patrick.

– Widziałem Marisę parę razy w mieście – mówił jowialnie McGuinn – a mój kumpel Liam spotyka się z Lily, jej przyjaciółką, ale nigdy bym nie powiedział, że Samantha i Marisa to rodzina.

– Nie? – zdziwił się Patrick. – A dlaczego?

McGuinn roześmiał się na cały głos.

– Z tej Samantha to niezły numer... A Marisa, jak zauważyłem, jest raczej spokojna, trzyma się na uboczu. Tymczasem jej siostra ledwie stanęła na pokładzie, już była w drzwiach sterówki, pytając, czy może wejść do środka. Wprawdzie to wbrew przepisom...

– Dziwne, prawda? Zupełnie nie rozumiem, czemu straż przybrzeżna ma pretensje, kiedy przyłapie kapitana stutonowej jednostki, jak flirtuje na służbie... – Patrick zaśmiał się krótko.

– Tylko mnie nie wydaj! – McGuinn udał błagalne spojrzenie. – No więc, jak już mówiłem – podjął – spytała, czy może wejść do środka, a ja oczywiście ją wpuściłem. Jak mógłbym odmówić takim zielonym oczom?

– Miała jakieś specjalne życzenia?

– A owszem! Poprosiła, żebym jej pokazał panoramę miasta... Sądzę, że zauważyła to... – wskazał na niepozorną nalepkę umocowaną od wewnątrz do okna sterówki i Patrick nachylił się, aby się jej przyjrzeć; z bliska w oczy rzucił mu się znak Korpusu Pokoju – bo powiedziała, że na odległość potrafi wyczuć bratnią duszę, gdy taka jest w pobliżu.

– Niezły tekst – z aprobatą przyznał Patrick.

– To znacznie więcej niż tylko słowa – sprostował niezrażony McGuinn. – Okazuje się, że pracowaliśmy w tych samych miejscach. Ja na przykład nauczyłem się prowadzić prom w Ameryce Południowej, gdzie pomagałem w budowie wioski na drugim brzegu rzeki, nad którą Samantha zakładała ostatnio szpital. Ale nieważne... Wskazałem jej najważniejsze punkty miasta: hotel, scenę festiwalu, zabudowania portowe, flotyllę łodzi do obserwacji wielorybów... Każdy kto przyjeżdża do Cape Hawk, robi to w określonym celu i zazwyczaj nie wykracza poza pewne ramy...

– Czyli niewiele się tu dzieje? – wtrącił Patrick.

– Ano niewiele – zgodził się z nim McGuinn. – Czyli jest dokładnie tak, jak lubię. Świat stał się ostatnimi czasy szalonym miejscem. Ja od zgiełku wolę ciszę i spokój i dostaję to w Cape Hawk.

Patrick pokiwał głową i znów zapatrzył się na brzeg. McGuinn miał rację, z tej odległości Cape Hawk wydawało się niesamowicie spokojne. Ot, jedno z wielu miasteczek zlokalizowanych pomiędzy oceanem a górami, w których życie płynie leniwie i bez większych perturbacji. On także powinien

odczuwać spokój – dlaczego więc tak nie było? Obserwował Jessicę, która spacerowała z Florą po trawniku przed zajazdem, raz po raz przenosząc wzrok na uchylone drzwi sklepu, w których jednak nikogo nie było. Marisa zdawała się niedosiężna jak niebo.

– Rozumiem więc, że mieszkasz tutaj? – zapytał, odwracając głowę i mrużąc oczy.

– Dobrze rozumiesz. Mam mieszkanie nad biurami portowymi, przy samej przystani. A czemu pytasz? – zainteresował się McGuinn.

– Tak sobie pomyślałem, że pewnie masz wiele do powiedzenia na temat osób, które często się kręcą w okolicy portu...

McGuinn zaśmiał się tubalnie.

– W większości są to Neillowie. Ich własnością jest bez przesady połowa miasta. Anne prowadzi hotel, Jude organizuje wycieczki na wieloryby, a Liam kieruje jakimś programem badawczym... Ale ostatnio nie ma go w mieście, wyjechał gdzieś...

Patrick Murphy, emerytowany gliniarz, pokiwał głową. Lubił, kiedy elementy układanki pasowały do siebie.

– Znam Liama – rzekł – i prawdę powiedziawszy, bardziej niż on interesuje mnie niejaki Gerard Lafarge.

Wyraz twarzy McGuinna zmienił się w jednej chwili. Kapitan nagle stał się czujny.

– Tak? A co do niego masz?

– Będę z tobą szczery, T. J. – powiedział Patrick. – Próbuję dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– A na co ci to? – zdumiał się McGuinn. – Na co ci zawracać sobie głowę taką szumowiną jak Lafarge? Co on znowu przeszkrobał? I czemu, do diaska, wypytujesz o niego właśnie mnie?

Patrick pomyślał ze smutkiem, że utracił część swoich zdolności. Jeszcze niedawno, w czasie dochodzenia w sprawie zniknięcia Mary Jameson, zanim przeszedł na emeryturę, żaden ze świadków, których przesłuchiwał, nie odważył się zadać mu więcej pytań, niż zadał on. Westchnął ciężko.

– Wiesz, jestem byłym gliną, który wyświadcza przyjacielowi przysługę. Tym przyjacielem jest Liam – dodał.

– Aha – zareagował krótko McGuinn i z ulgą wypuścił powietrze. Wyraźnie się rozluźnił. – Jeśli robisz to dla Liama, to w porządku. On jest okej, prawdziwy z niego bojownik o ochronę przyrody. Dokładne przeciwieństwo tego typka Lafarge'a i jemu podobnych. Tacy uważają, że całe bogactwo na ziemi istnieje wyłącznie ku ich uciechu i na ich potrzeby. Gerard Lafarge to najmniej porządny rybak, jakiego kiedykolwiek widziałem – wyznał. – A możesz mi wierzyć, że spędzając większość życia na morzu, naoglądałem się sporo i poznałem rozmaite podejścia do rybołówstwa.

– Masz może jakąś sugestię co do obecnego miejsca pobytu naszego Gerry'ego? – spytał Patrick, nastawiając uszu.

McGuinn oparł łokcie o krawędź burty i zapatrzył się przed siebie, na gładkie, ołowianografitowe wody zatoki.

– Czy nie dziwne, że o to pytasz? Dopiero co doszły mnie słuchy na jego temat...

– Co na przykład?

– Ponoć przebywa na południu, ogalając rafę w Rhode Island.

– To ładny kawałek drogi stąd – zauważył Murphy.

– Dla Lafarge'a to jak splunąć, zwłaszcza że go na to stać. Opłaca mu się wszystko, co przynosi odpowiedni zysk.

– A jaki może być zysk w połowach tak daleko od domu?

– Dokładnie nie wiem – wzruszył ramionami McGuinn – ale mówi się coś o olbrzymiej fali, która wciska się daleko w wody lądowe za sprawą jakiegoś huraganu. Woda z otwartego oceanu ma się rozbijać o rafę, wyrzucając ku brzegowi mnóstwo gatunków ryb i innych stworzeń, które normalnie nigdy by tam nie zawędrowały.

– To prawda, słyszałem o tym od Liama... – Patrick zamyślił się. – Ale przecież połowa tych zwierząt pochodzi stąd, z północy. Całe stada rekinów i trochę ssaków morskich, ale tych nie wolno łowić...

– Lafarge nie przygląda się, co mu wpada w sieci – stwierdził McGuinn, potrząsając głową.

Pracujące silniki zmieniły ton; zbliżali się do drugiej strony zatoki. McGuinn przeprosił Patricka i szybkim krokiem udał się do sterówki, żeby zwolnić pierwszego oficera. Osamotniony Murphy przeszedł na rufę, skąd bezmyślnie przyglądał się poruszeniu powstałemu na pokładzie. Pasażerom nagle zaczęło się śpieszyć; kończyli rozmowy, przerywali kręcenie filmów i robienie zdjęć, ci najbardziej niemrawi wybudzali się z letargu i wszyscy jak jeden mąż kierowali się ku samochodom.

Przybijanie do brzegu poszło sprawnie, potem rozpoczął się rozładunek. Wszelkiego rodzaju pojazdy opuściły pokład, po czym na znak dany przez kogoś z załogi zaczęły wjeżdżać wozy, których właściciele z jakiegoś powodu postanowili się dostać do Cape Hawk. Tylko jeden Patrick trwał nieruchomo, wdychając morskie powietrze i poddając się kołyszącemu ruchowi fal, opadających i podnoszących się w odwiecznym rytmie. W pewnym momencie

złapał się na tym, że skupia wzrok na zarysie „Igły z nitką”, próbując z tej odległości wypatrzeć prostokąt drzwi, a może nawet ludzką sylwetkę. Nieoczekiwanie dla samego siebie podjął decyzję. Gdy tylko znajdzie się z powrotem w Cape Hawk, pójdzie prosto do Marisy i zaprosi ją na kolację. Uznał, że nie mógłby dalej żyć w zgodzie ze sobą, gdyby nie porozmawiał z nią, stosując się do rady Maeve.

Niemal w tej samej chwili kątem oka dostrzegł wjeżdżającą na pokład białą furgonetkę. Taki wóz w tym miejscu nie dziwił. Zwłaszcza w czasie festiwalu kręciło się ich po okolicy całkiem sporo, jako że były idealne do przewożenia muzyków z instrumentami. Do Cape Hawk nadal zjeżdżali ostatni uczestnicy – upakowani jak sardynki w autach osobowych, telepiący się na otwartej pace półciężarówek albo tkwiący w środku furgonetek dostawczych. Większość tych ostatnich została przerobiona, tak że w części bagażowej znalazły się siedzenia i okna, a na karoserii rozmaite – mniej lub bardziej udane – malunki, w tym nazwa zespołu, rysunki harf, gitar, koniczynek i map Irlandii.

Jednakże furgonetka, która zwróciła uwagę Patricka Murphy'ego, była nietypowa. W tylnej części nie było okien, za to z całą pewnością znalazła się lodówka, co bystre oko eks-gliniarza wychwyciło dzięki charakterystycznym wieżyczkom na dachu oraz śladom kapiącej wody na metalowym w tym miejscu pokładzie. W dodatku jedyne logo, jakie ktoś namalował na karoserii, nie miało nic wspólnego z muzyką ani z Irlandią, przedstawiało za to samotnego delfina – uśmiechając się szeroko, stał na ogonie i jedną płetwą balansował kolorową piłką. Patrick sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd kartkę z wydrukiem policyjnej strony internetowej. Zerknął na nią, żeby się upewnić co

do swoich podejrzeń, i poczuł dreszcz, którego doświadczał nieraz w przeszłości, ilekroć jego żmudna dłubanina przynosiła efekty.

Zresztą w tym wypadku wystarczyło spojrzeć na siedzenie kierowcy. Rozpierał się na nim nie kto inny, tylko Gerard Lafarge.

Mimo że siostry nie miały wiele czasu na wspólne ćwiczenie do występu, Marisa czuła, że obie są już niemal gotowe zagrać razem. Przerobiły wszystkie dawne ulubione utwory, a zanim skończyło się popołudnie, Samantha nauczyła się „Miotanych prądem życia” i grała również ten utwór jak z nut.

Marisę ogarniało wzruszenie, ilekroć spjrzała na Sam. Nie potrafiła wprost wyrazić radości przepelniającej ją na myśl, że po długiej rozłące znów są przy sobie jak za starych dobrych czasów. Przed oczyma stawały jej wydarzenia sprzed wielu lat, kiedy to przychodziła ze szkoły do domu i przekazywała młodszej siostrze wszystko, czego nauczyła się danego dnia o grze na skrzypcach. Dzięki temu już rok później, kiedy osiągnęła odpowiedni wiek, aby zacząć naukę gry na tym instrumencie, Samantha była w stanie wprawić panią od muzyki w zdumienie, prawidłowo wykonując tremolo, podczas gdy reszta uczniów w jej klasie dopiero żmudnie poznawała tajniki pizzicato, piłując niemiłosiernie pierwsze takty „Mary Had a Little Lamb”.

A teraz, po takiej długiej przerwie, znowu grały razem i Marisa omal nie musiała szczytać się raz po raz w rękę, aby w to uwierzyć. Głęboko w duszę zapadły jej słowa Anne o tym, że czasem siostry potrzebują rozstać się na jakiś czas, aby nabrać do siebie dystansu i stać się sobie jeszcze bliższymi. Nigdy wcześniej coś takiego nie przyszło jej nawet do głowy, jednakże teraz zaczynała pojmować tę niełatwą prawdę. Rozłąka rzeczywiście uczyniła ich miłość silniejszą. Marisa nie miała wątpliwości, że wdzięczność za to winna jest Patrickowi.

– Co Patrick ci powiedział? – zapytała. – Jakich słów użył, że zechciałaś przyjechać i zobaczyć się ze mną?

– Jak na wygadane go Irlandczyka przystało, miał całkiem sporo do powiedzenia – przyznała Samantha – lecz naprawdę mnie przekonało nasze wspólne nagranie z przeszłości.

– Nagranie?

– Upadłe Anioły – rzuciła hasło Samantha.

– Jak udało mu się je zdobyć?

– Dostał je od przyjaciela z Baltimore, który obecnie jest zastępcą prokuratora okręgowego, a niegdyś był naszym zagorzałym fanem.

– I Patrick ci je dał? – Marisa powiodła spojrzeniem po zatoce.

– Tak. Wcześniej musiał go słuchać w nieskończoność, bo bezbłędnie udało mu się przewinąć taśmę do miejsca, gdzie zaczynałaś śpiewać „Cliffs of Dooneen”... – Marisę przeszył dreszcz na myśl o tym, że Patrick odtwarzał, i to nie raz, starą kasetę, na której ona śpiewa. – Powiedział, że jesteście tylko przyjaciółmi...

– Bo to prawda.

Samantha skinęła głową, kryjąc uśmiech.

– Dobrze, już dobrze...

– O co ci chodzi?

– O to – odparła Samantha z westchnieniem, ujmując siostrę za rękę – że być może oboje zapomnieliście, jak odczytać mowę własnego serca.

– Oboje?

– Ty i Patrick – uściśliła Samantha miękkim głosem.

– Wiesz, on bardzo przypomina mi Paula z czasów, kiedy się poznaliście.

I naprawdę zadał sobie wiele trudu, żeby mnie tu ściągnąć.



– Chciał, żebyśmy znów zagrały razem – rzekła Marisa.

– Nie wydaje mi się, żeby zrobił to dla siebie czy dla mnie – zauważyła Samantha. Jej siostra jak na zawołanie powiodła spojrzeniem w stronę drzwi i dalej, za nie, na szarzejące wody zatoki. – No i przez cały dzień nie robisz nic innego, tylko go wyglądasz – zakończyła.

– Po prostu pragnę mu podziękować – powiedziała Marisa i dodała: – Za to, że poświęcił swój czas i przywiózł cię tutaj.

– Będiesz miała zaraz okazję – rzuciła Samantha, stając w drzwiach i zamasyście machając ręką. – Prom właśnie przybija do brzegu.

– Zamierzasz się spotkać z McGuinnem? – zapytała Marisa.

– Napomknął, że po południu wpadnie do gospody napić się czegoś – powiedziała wolno Samantha. – Myślę, że też mogę tam wpaść na drinka.

– No to chodźmy! – zaproponowała z ożywieniem Marisa. – Przy okazji spytamy Anne, na kiedy zaplanowała nasz występ.

Ramię przy ramieniu ruszyły w stronę przystani, odbijając nieco w bok i wdrapując się po trawiastym zboczu, na którym stał hotel Neillów. Słońce zdążyło już rozgonić poranną mgłę, teraz powietrze było przejrzyste i złociło się w jego promieniach. Nawet trawnik jakimś cudem zrobił się suchy, tak że kto chciał, mógł rozłożyć pled i przysmaki, organizując spontaniczny piknik. Na scenie szalał dwunastoosobowy zespół z Dublina, jego skoczna muzyka niosła się daleko, napawając serca słuchaczy radością i chęcią do życia. Jessica i jej druga przyjaciółka, Allie, stały pod werandą, wspólnymi siłami trzymając na smyczy Floreę podochoconą ogólnym zamieszaniem.

Suka bez przerwy odwracała łeb w kierunku przystani, jakby wiedziała, że właśnie z tamtej strony nadejdzie jej pan.

Marisa i Samantha weszły po stopniach, minęły szeroki ganek i wkroczyły do gospody. W skromnym, acz z gustem urządzonym foyer za ladą recepcji stała Anne, robiąc jakieś zapiski w księdze gości. Słyszając kroki, podniosła wzrok i uśmiechnęła się szeroko.

– Witaj, Mariso! – zawołała radośnie. – Pozwól, niech zgadnę... To musi być twoja siostra, Samantha...

– W takim razie mam przyjemność z Anne Neill – zrewanżowała się Samantha.

– Witaj w Cape Hawk, Samantho – powiedziała gospodyni. – Tyle o tobie słyszeliśmy... Martwiliśmy się nawet, że zaginęłaś gdzieś w surowych Andach.

– Udało mi się odnaleźć – odrzekła Samantha, ściskając mocno rękę Marisy.

Marisa i Anne wymieniły szybkie spojrzenia i Marisa poczuła wdzięczność za to, że otaczają ją sami dobrzy przyjaciele.

– Cóż – podjęła Anne – najważniejsze, że udało ci się zdążyć na festiwal. Wszyscy czekamy na wasz występ z zapartym tchem. Nikt tu jeszcze nie słyszał, jak gra Marisa, nie mówiąc o was dwu naraz. Co powiecie na niedzielny wieczór? To będzie ostatni dzień festiwalu, na widowni powinny być istne tłumy.

– Mnie pasuje – uśmiechnęła się Samantha.

Zanim Marisa zdążyła wyrazić aprobatę, otwarły się boczne drzwi i do środka weszło parunastu mężczyzn. Marisa rozpoznała ich – w większości stanowili dzienną załogę „Ryżego Ogona”. Zakończywszy ostatni kurs, zaszli do hotelu na jednego głębszego.

Był z nimi T. J. McGuinn w swoim śmiesznym marynarskim nakryciu głowy, które zawadiacko zsunął na bakier. Uśmiechnął się szeroko, zauważywszy Samanthę.

– Cześć! – powiedział. – Jak leci?

– U mnie wszystko dobrze – odparła. – Przyszliśmy z siostrą, żeby dogadać szczegóły występu...

– Czy mogę postawić wam drinka z okazji spotkania po latach? – zapytał.

– Myślę, że powinniśmy z tym poczekać, aż zjawi się Patrick... – odezwała się nieśmiało Marisa.

– Patrick? Dopiero co rozmawiałem z nim na promie – powiedział McGuinn. – Zrobił sobie przejażdżkę w obie strony, a po powrocie na ten brzeg odjechał gdzieś od razu samochodem. Zdaje się, że w stronę klifów.

Serce Marisy stało się ciężkie jak kamień. Zerknęła na Samanthę, która bez trudu rozpoznała, jakie uczucia kłębią się w duszy siostry. Nigdy nie miała trudności w odczytywaniu emocji dręczących Marisę i teraz również wiedziała, jak wielkie rozczarowanie ją ogarnęło.

– Na pewno nie napijesz się z nami? – zapytała z troską Samantha.

– Nie, dziękuję – uśmiechnęła się z wysiłkiem Marisa.

– Nie przejmujcie się mną jednak. Dobrej zabawy!

Samantha ponownie uściśnęła dłoń siostry, tym razem dla dodania jej otuchy.

– Do zobaczenia później – szepnęła i odwróciwszy się, podążyła za McGuinnem, który już zmierzał w stronę baru.

– Możesz na mnie liczyć – zawołała za nią Marisa.

Anne także była zajęta swoimi sprawami. W hotelu pojawiło się wielu nowych gości prosto z promu, szukających zakwaterowania. Marisa wolnym

krokiem przeszła ku drzwiom. Stała tuż za progiem, na ganku, i przez jakiś czas przysłuchiwała się kapeli z Dublina, spoglądając na Jessicę i Allie bawiące się z Florą w aportowanie patyków.

Zamyślona przysiadła na szczytowym stopniu, mając świetny widok na część sceny, długi trawnik i mieniące się w promieniach słońca wody zatoki rozdzielającej dwa skaliste wąskie wybrzeża. Nie było ani jednej fali... Gdzie tu sztorm? – pomyślała Marisa. Mimo to w głowie wciąż przewijała jej się ułożona tak niedawno piosenka oraz myśl, że to doprawdy dziwne, iż napisała ją dla mężczyzny, którego ledwie знаła.

TTLRR

## ROZDZIAŁ 23

Zanim Patrick się opamiętał i przestał śledzić białą furgonetkę, była już prawie ósma wieczorem. Zawrócił do miasta, celowo przejeżdżając w pobliżu „Igły z nitką”, ponieważ dręczyła go obawa, że Marisa dawno poszła do domu – i rzeczywiście sklep był zamknięty na głucho. Zatem przepadła okazja, aby zaprosić ją na kolację, jak sobie zamierzył. Z ponurą miną pojechał dalej i byłby stanął na parkingu za gospodą, ale w porę usłyszał znajome szczeknięcie. Wyjrzał przez opuszczone okno i dostrzegłszy na trawniku przed hotelem Jessicę bawiącą się z Florą, przystanął przy drodze i różnym krokiem ruszył im naprzeciw.

Na scenie grał właśnie zespół jako żywo przypominający mu Chieftains, zatrzymał się więc i zaszuchał, czując, jak ogarnia go dobrze znane uczucie. I wtedy całkiem niechcący wypatrzył Marisę. Nie dostrzegła go jeszcze; siedziała na ostatnim stopniu schodów wiodących na ganek gospody, przyglądała się dokazującej córce i tęsknym wzrokiem spoglądała w stronę zatoki. Patrick natychmiast zmienił plany.

Na taką chwilę czekał. Pokonał niemały kawał drogi z Connecticut po to właśnie, aby pobyć z Marisą. Była mu przychylna, wręcz zachęcająca podczas rozmów przez telefon, dlaczego więc teraz nagle zaczęły zżerać go nerwy?

Przyjrzał jej się i nie po raz pierwszy stwierdził, że bardzo lubi to, jak ciemne włosy opadają jej miękko na twarz, zakrywając jedno oko. Zaczerpnął głęboko powietrza kilka razy. Mimo to nadal czuł, jak serce wali mu w piersi, kiedy wolnym krokiem zbliżał się do ganku i przysiadał obok niej. Przez jakiś czas nic nie mówili, po prostu z uśmiechem patrzyli na siebie. Patrick w dalszym ciągu nie potrafił uwierzyć, że jest tutaj, w tym ukrytym na północy

małym miasteczku, u boku cichej, ostrożnej kobiety, która nie opuszczała jego myśli od chwili, gdy ją zobaczył.

Nawet nie zdając sobie sprawy, że to robi, uniósł rękę i poprawił kosmyk włosów opadających jej na oczy. Zamarł z dłonią przy jej uchu na – zdawało się – całą minutę, po czym opuścił ramię wzdłuż tułowia.

– Och... – bąknęła lekko zdziwiona.

– Masz zbyt ładne oczy, aby je chować...

– Dziękuję.

– Pewnie sądziłaś, że gdzieś sobie pojechałem – powiedział.

– Hm... no cóż... rzeczywiście tak pomyślałam – odrzekła.

– A ja po prostu chciałem, żebyście nacieszyły się sobą z siostrą – wyjaśnił.

– To ładnie z twojej strony... Niemniej zaczęłam chyba za tobą tęsknić.

Nie odrywał wzroku od twarzy Marisy, nie mogąc się nadziwić, ile radości sprawiły mu jej słowa.

Dookoła nich panował rześki wieczór; wszelkie ślady wcześniejszej mgły zdażyły rozwiać się w powietrzu. Na niebie powoli pojawiały się gwiazdy, pobłyskując punktowo na ciemniejącym z minuty na minutę firmamencie rozpostartym ponad wodami zatoki, na których tu i ówdzie marszczyły się małe fale.

– Co robiłeś po południu? – zapytała.

– Odwaliłem kawał dobrej detektywistycznej roboty.

– Dla Liama? – domyśliła się.

– Tak. – Uśmiechnął się do niej łagodnie. – Śledziłem kogoś.

I byłbym śledził dalej – dodał w duchu, wyjątkowo bowiem zawziął się na Gerarda Lafarge'a – gdyby nie myśl o umykającej okazji do spotkania z

tobą... Szkoda tylko, że było zbyt późno na wspólną kolację, tak że pozostało mu tylko te parę chwil spędzonych razem na stopniach gospody.

– W żadnym razie nie chcę cię odrywać od pracy – oznajmiła Marisa. Patrick przyjrzał się jej uważniej. – Gdybyś nie miał nic przeciwko temu, mogłabym ci pomóc.

Uśmiechnął się szerzej.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej – skinęła głową. – Samantha na pewno zajmie się Jessicą i Florą, kiedy ja będę dotrzymywać ci towarzystwa. Wyobrażam sobie, że śledzenie podejrzanego jest straszliwie nudne, kiedy nie ma się obok siebie kogoś, do kogo można otworzyć usta.

– To prawda – zgodził się.

– No to ustalone – ucieszyła się. – Pozwól, że zamienię słówko z Samantha... Nigdzie stąd nie idź, zaraz wracam, dobrze?

– Dobrze – odpowiedział Patrick do jej pleców.

Z niedowierzaniem przyglądał się, jak biegnie w stronę wejścia, aby jak najszybciej dogadać szczegóły z siostrą. Sandra nie cierpiała jego pracy, nie chciała nawet słyszeć o tym, czym w danym momencie się zajmował, nie mówiąc już o towarzyszeniu mu podczas długiego samotnego siedzenia w nieoznakowanym samochodzie, kiedy prowadził obserwację. Westchnął ciężko, pomyślawszy, że Marisa pewnie zmieni zdanie, gdy się przekona, że to naprawdę niebywale nudne zajęcie.

Nagle tuż przed nim wyrosła Flora połączona smyczą z małą dziewczynką. Patrick podrapał labradorkę za uszami, dokładnie tak jak jego ulubienica uwielbiała, uśmiechając się ciepło do stojącej obok Jessiki.

– Flora jeszcze nigdy nie miała takiej oddanej opiekunki – rzekł.

– Och, ona jest cudowna! – zawołała z podnieceniem Jessica. – To najwspanialszy pies ze wszystkich, jakie kiedykolwiek znalazłam, nie licząc oczywiście jednego... – urwała.

– Tak? Jak miał na imię? – zaciekawił się Patrick.

– To była ona – wyjaśniła dziewczynka. – Suczka. Wabiła się Tally...

– A gdzie teraz jest?

Jessica nie odpowiedziała, tylko odwróciła się, odpięła smycz Flory i rzuciła z całych sił zielonożółtą piłką tenisową. Suka pognąła za nią z wywieszonym językiem i zanim Patrick się obejrzał, Jessica także biegła już na przelaj przez trawnik. Toczyła się na nim gra we frisbee, ale psu i dziewczynce udało się zgrabnie wyminąć latający odblaskowy krążek i przemknąć w stronę tarasu. Patrick widział, jak Flora wyskakuje w górę, żeby złapać w zęby odbitą od podłoża piłkę, po czym w pełnym galopie robi zwrot i wbiega na schodki niewielkiej kolistej budowli wzniesionej na samym środku trawnika.

– Witaj, Patricku – przywitała się Samantha, która nieoczekiwanie pojawiła się na ganku.

– Cześć.

– Bawią się tak przez cały dzień – poinformowała go, spoglądając w stronę siostrzenicy z psem. – Przez jakiś czas były we trójkę, bo dołączyła do nich przyjaciółka Jessiki, Allie, ale teraz jak widzę, znowu są tylko we dwie...

Patrick patrzył, jak dziewczynka przysiada na drewnianych deskach, obejmuje Florę za szyję i szepcze jej coś do ucha.

– Naprawdę dobrze opiekuje się moim psem – zauważył.

Samantha zerknęła na niego zdziwiona.

– Nie rozumiesz? – spytała cicho. – To twój pies opiekuje się Jessicą...



Przepełniona smutkiem łagodność jej głosu sprawiła, że przeniósł na nią wzrok i chciał zapytać, co dokładnie ma na myśli, lecz właśnie w tym momencie w drzwiach gospody pokazała się Marisa z następującym jej na pięty McGuinnem.

– Na pewno nie sprawi ci to kłopotu? – upewniała się Marisa.

– Zajęcie się moją siostrzenicą? Chyba żartujesz!...

– Mógłbym wam przez chwilę dotrzymać towarzystwa? – zaofiarował się T. J. McGuinn. – Potem będę musiał zakotwiczyć w domu, pierwszy kurs promu jest o świcie.

Samantha uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, podczas gdy Marisa zbierała już swoje rzeczy: lekką marynarkę i torbę. Krzyknęła do Jessiki, że wkrótce będzie z powrotem, i dziewczynka pomachała do niej ręką na znak, że usłyszała. Później spojrzeniem dała znak Patrickowi, że jest gotowa do drogi.

Ramię przy ramieniu ruszyli w stronę zaparkowanego nieopodal wozu Patricka. Wokół rozbrzmiewała wciąż muzyka, roiło się od przysłuchujących się jej ludzi rozciągniętych na kocach wprost na trawniku albo siedzących na widowni przed tarasem. Wiele głów odwróciło się w ich stronę i Patrick poczuł na plecach palące spojrzenia. Był dumny, że jest widziany z kobietą taką jak Marisa. Przy dźwiękach jakiejś skocznej irlandzkiej melodii otworzył jej drzwi samochodu, po czym obszedł wóz, zajął miejsce za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Pojechali wzdłuż przystani, potem skręcili w drogę prowadzącą ku porośniętym ciemnymi sosnami wzgórzom. Stamtąd zatoka zdawała się pogrążona w głębokim cieniu. Ziemia, woda, skały, roślinność, budynki – wszystko przybrało rozmaite odcienie szarości. Ocieniona wysokimi klifami zatoka straciła kontury, nie sposób było powiedzieć, gdzie kończy się morze, a

zaczyna łąd. Ciemnogrnatowe niebo było bez jednej chmurki, za to z miriadami gwiazd. Wyglądało to tak, jakby niektóre z nich zawieszono były wprost na gałęziach, które pochylały się nisko nad drogą.

Patrick podążał tą samą trasą, którą wcześniej jechał za białą furgonetką należącą do Gerarda Lafarge'a. Na tym odcinku drogi prawie w ogóle nie było domów, tylko co jakiś czas od głównej szosy odchodziły w bok wyłożone kamieniem dróżki prowadzące w głąb lasu po obu stronach.

– Czy możesz mi powiedzieć, kogo śledzimy? – zapytała Marisa, przerywając panujące w aucie milczenie.

– Oczywiście – zreflektował się Patrick. – W ubiegłym tygodniu Liam wypatrzył na południu kogoś z Cape Hawk. Było to w cieśninie Block Island, w rejonie tamtejszej rafy, a jak wiadomo, kanadyjskim rybakom nie wolno łowić na wodach terytorialnych Stanów Zjednoczonych. Co więcej, tamten człowiek zdawał się nie tylko zarzucać sieci, ale polować na delfiny. Tak się złożyło, że dziś zjeżdżając z pokładu „Ryżego Ogona”, zobaczyłem tę samą osobę...

– To chyba dobrze, prawda? – spytała Marisa. – Skoro jest tutaj, przestał być w Nowej Anglii i nie niepokoi już amerykańskich delfinów.

– Być może. – Patrick nie dał się ponieść optymizmowi Marisy. – Niestety, ze słów Liama i McGuinna wynika, że ten gość, Gerard Lafarge, to wyjątkowo śliska kreatura. Ma tutaj furgonetkę chłodnię i poczułbym się lepiej, gdybym wiedział, co skrywa jej wnętrze.

– Gerard Lafarge? – zdziwiła się Marisa.

– Ano tak. – Patrick ostrożnie zjechał z głównej szosy, wybierając jedną z szutrowych dróg wijących się między wzgórzami równoległe do fiordu.

– Ale przecież Gerard Lafarge wcale tutaj nie mieszka... – mówiła dalej, intensywnie o czymś myśląc. – Nie znam go osobiście, ale kilka razy widziałam, jak wychodzi z domu po przeciwnej stronie miasta, tuż obok poczty. Mają podjazd przy ogólnodostępnym parkingu, dlatego każdy może zobaczyć, jak on albo jego żona wsiadają do samochodu czy z niego wysiadają. Mnie rzucił się w oczy, akurat jak szłam na pocztę odebrać przesyłki.

Patrick zwęził oczy w szparki. To co usłyszał, ani trochę mu się nie spodobało. Wcześniej widział, jak Lafarge parkuje za małym ceglanym domkiem, wysiada z furgonetki i wita się z jakąś kobietą. Uznał wtedy, że jest świadkiem powrotu kłusownika w domowe pielesze, tymczasem okazało się, że sprawa może być o wiele pikantniejsza. Gerard Lafarge miał chyba kochankę na boku i ta jego kochanka mieszkała właśnie gdzieś tutaj.

Okolica była tak gęsto porośnięta drzewami i krzakami, że Murphy musiał włączyć silniejsze reflektory. Kiedy już stanął, ciemność w ułamku sekundy połknie jego wóz, nie zdradzając ich obecności, jednakże teraz konieczność używania świateł, i to długich, wywołała w nim zrozumiałą nerwowość. Tędy nie mogło przejeżdżać wiele samochodów nawet w ciągu dnia, a co dopiero teraz, po nocy. W okolicy stało raptem parę domów, których mieszkańcy z pewnością nie przyjmowali często gości. Zresztą były to raczej chaty niż domy z prawdziwego zdarzenia, pozostałości po dawnej osadzie drwali; ostało się też parę działających wciąż wędzarni.

– Znasz przypadkiem jego żonę? – zadał pytanie Marisie.

– Nie, tego bym nie powiedziała. Ale wiem, jak wygląda.

– Taka mała, przy kości, wydaje się wysportowana, z jasnymi włosami? – dopytywał, opisując kobietę, która przywitała Lafarge'a przy ceglanym domu.

– Nie – odparła coraz bardziej zdziwiona Marisa. – Jego żona jest mniej więcej tego wzrostu co ja i ma rude włosy. Odcień zbliżony do koloru włosów Samantha.

– Hm... – mruknął tylko Patrick.

Kiedy zbliżali się do ceglanego domu, zgasił światła, nawet pozycyjne. Minał dom na ledwie pykającym silniku, sprawdzając, że biała furgonetka w dalszym ciągu stoi zaparkowana za węglem, a w oknach palą się lampy, co stwierdził, chociaż zasłony były zaciągnięte. Zresztą o tym, że ktoś jest w środku, świadczył dym unoszący się z komina oraz charakterystyczna zimna poświata z ekranu telewizora pojawiająca się i znikająca w kwadracie okna po lewej. Patrick ujechał jeszcze pół kilometra, po czym skręcił w nieoznaczoną w żaden sposób ścieżkę, którą upatrzył sobie już wcześniej, podczas pierwszej bytności tutaj. Wiła się pośród gęstego lasu i urywała nagle tuż przed polanką, przy której stał ceglany dom. W ich sytuacji było to idealne miejsce obserwacyjne. Mając pewność, że gałęzie i krzaki wystarczająco maskują samochód, Patrick zatrzymał wóz i wyłączył silnik. Tkwili w swego rodzaju tunelu z gęstej roślinności, mając zakrytą nawet klapę silnika i przesłoniętą częściowo przednią szybę.

Patrick wiedział, że nie mógłby znaleźć lepszego miejsca do obserwacji Lafarge'a. Lub do tete-à-tete z Marisą. Świadomość tego ostatniego sprawiła, że serce zaczęło mu bić szybciej z podniecenia, które nie miało nic wspólnego z dochodzeniem.

– Uwielbiam zapach lasu – powiedziała Marisa, wdychając głęboko powietrze.

– Ja też – odrzekł Patrick i zapytał: – Dorastałaś na wsi?

– Nie, w Newport w stanie Rhode Island. W samym centrum, na Spring Street, dosłownie naprzeciwko kościoła Świętej Trójcy. Newport to nieduże miasto...

– Byłem w Newport – ożywił się Patrick. – Jak ktoś się wychowuje u wybrzeży Connecticut, musi często tam bywać. My jeździliśmy do Newport w prawie każdy weekend. Miło wspominać te wycieczki, chociaż czułem się tam trochę nie na miejscu, bo mój ojciec nie należał do bogaczy i nie stać nas było na własną łódź.

– Mój tata też nie był zamożny i z całą pewnością nie mógł sobie pozwolić na jacht – powiedziała Marisa.

Patrick oderwał spojrzenie od ceglanego domu na chwilę wystarczająco długą, aby zobaczyć uśmiech na jej twarzy.

– Serio? – zapytał. – A ja myślałem, że wszystkie dziewczyny z Newport mają bogatych ojców, opalają się na własnych jachtach, chodzą do prywatnych szkół, posiadają zabezpieczenie w postaci funduszy inwestycyjnych i tak dalej, i tak dalej... Podczas gdy ja byłem synem klepiącego biedę gliny, mającym w przyszłości też zostać gliną.

– Mój tata był nauczycielem – zwierzyła mu się Marisa. – A mama pielęgniarką.

– Czy dlatego ty i Samantha... – zawiesił głos.

– Tak – skinęła głową. – Chodziłyśmy do szkoły publicznej, w której uczył tata, a w domu przysłuchiwałyśmy się opowieściom mamy, które przynosiła po ostrym dyżurze. Wiedziałyśmy chyba o każdym ciekawszym przypadku, jaki się trafił... Mama jednak głównie mówiła o ludziach. Naprawdę wszystkimi się przejmowała. Jeszcze będąc dziećmi, nie miałyśmy z Samantha wątpliwości, że mama przepada za swoją pracą. Cieszyło ją, że może

komuś pomóc. W ciągu lat uratowała wiele istnień ludzkich, ofiary wypadków samochodowych, podtopień, dzieci, które niemal się czymś udławiły albo z jakiegoś powodu dostały wysokiej gorączki. Zatem tak, jestem pewna, że to ona zainspirowała mnie i Samanthę, abyśmy poszły w jej ślady.

– A muzyka? Skąd ona w twoim życiu? – spytał cicho Patrick.

Marisa zbyła jego pytanie wybuchem śmiechu.

– Newport to rozśpiewane miasto – powiedziała. – Jedna rodzina dochowała się aż dziesięciorga dzieci, które same stanowiły chór naszego kościoła. Każdy z sąsiadów na czymś grał. Mnie i Samancie strasznie to imponowało, też chcieliśmy grać albo śpiewać. Dlatego jeszcze w podstawówce zaczęłam się uczyć gry na skrzypcach, a Samantha, jak to młodsza siostra, z zazdrości mnie zmałpowała.

– A potem byliście takie dobre, że z łatwością zarobiłyście na chesne w szkole pielęgniarstwa – wtrącił Patrick.

Marisa skinęła głową potakująco.

– W dodatku granie sprawiało nam wielką przyjemność. W ciągu tygodnia miałyśmy mnóstwo zajęć, tak że niemal się nie widywałyśmy. Ale w piątek po południu wsiadałyśmy do samochodu i jechałyśmy do Georgetown albo Baltimore. Stawałyśmy na scenie i nawet jeśli nie poświęciłyśmy ani chwili na wspólne ćwiczenia przed występem, byłyśmy w stanie zagrać i zaśpiewać w absolutnej harmonii, zupełnie jakbyśmy robiły to co wieczór, a nie tylko od święta.

– Z tego co mi mówiono, było czego słuchać – odezwał się Patrick. – Zresztą jestem pewien, że nic się pod tym względem nie zmieniło.

– Skąd ta pewność? – zapytała go Marisa.

– Poprosiłem Samanthę, żeby mi to oddała – powiedział, wkładając rękę do kieszeni na drzwiach i wyjmując kasetę, którą natychmiast wsunął do odtwarzacza. Następnie sprawdził, czy pokrętko głośności ustawione jest w pozycji „min”, wcisnął PLAY i zapatrzył się na Marisę, której wyraz twarzy nagle się zmienił, gdy w aucie rozległy się pierwsze zawodzące dźwięki „Over the Hills”.

– Nigdy nie nagrywałyśmy swoich występów – rzuciła pomiędzy nutami.

– To piracka kasetka. Prawdziwy bootleg. Biały kruk.

– Samantha twierdzi, że właśnie ta kasetka przesądziła o jej przyjeździe.

Patrick pokręcił głową.

– Nie dziwię się, że tak ci powiedziała, chociaż akurat tutaj rozminęła się z prawdą.

– Tak?

– Ano tak. Przyjechała tu ze względu na ciebie. Z powodu tego, co zawsze wobec ciebie czuła.

– Skąd wiesz?

Patrick milczał. Po prostu słuchał urokliwej melodii, wdychał zapach lasu sosnowego, bacznie wyglądał przez przednią szybę. Obok niego siedziała Marisa, cichutko nucąc do taktu z muzyką płynącą z głośników. Na skórze czuł tysiące drobniutkich igiełek, jakie wywołała jej bliskość. Była to dla niego nowość, przynajmniej od dłuższego czasu. Tak czy inaczej Marisa Taylor działała na niego w ten sposób od samego początku, od chwili kiedy pojawił się w Cape Hawk, będąc jeszcze na tropie dawnej sprawy zniknięcia Mary Jameson. Może przez te wszystkie lata tak naprawdę szukał nie Mary, tylko Marisy...

– Masz przepiękny głos – powiedział cicho.

Marisa potrząsnęła głową, nie przyjmując komplementu.

– Samantha śpiewa o wiele ładniej – odrzekła. – Wstrzymaj się z opinią, aż usłyszysz nas obie. Ona potrafi z taką lekkością wyciągać wysokie nuty... Zresztą już jutro wieczorem sam się przekonasz.

– Przekonuję się teraz – ujął jej dłoń w swoją. – Tutaj, z tobą...

Popatrzył jej głęboko w oczy. Były jak dwa szlachetne kamienie połyskujące w świetle gwiazd. Nigdy przedtem nie widział takich tęczywek i byłby najszczęśliwszy, gdyby mógł odtąd spoglądać w nie bez końca. Łagodnym gestem zamknął ją w objęciach i złożył na jej wargach długi pocałunek.

Przez jakiś czas siedzieli przytuleni do siebie, aż wreszcie Marisa oparła głowę o jego pierś. Patrick natychmiast zastanowił się, czy słyszy mocne bicie jego serca. Jej ramię wpasowało się w jego bok, tkwili jedno obok drugiego i Patrick marzył o tym, aby ta chwila nigdy się nie skończyła. Przemknęła mu przez głowę myśl, że przyjechali tutaj, by śledzić mieszkańców ceglanego domu, jednakże nagle wszystko inne, niezwiązane bezpośrednio z nim i z Marisą, przestało mieć znaczenie.

Gdzieś nad nimi zaszeleściła gałąź i do lotu poderwał się ogromny szary ptak. Patrick nawet nie drgnął; potrafił myśleć tylko o tym, że Marisa przytula się do jego boku. Objął ją ciasniej ramieniem, kiedy zdał sobie sprawę, że mogła się przestraszyć nagłego ruchu. Ona jednak przechyliła leciutko głowę i z uśmiechem poinformowała:

– To tylko sowa.

– Na pewno?

Marisa skinęła głową z powagą.



– Sowy śpią w dzień, a nocą, właściwie zaraz po zmroku wylatują na polowanie. Wokół mojego domu aż się od nich roi po zachodzie słońca.

Patrick, który nigdy wcześniej nie zastanawiał się specjalnie nad sowami, nagle pomyślał, że to niezwykle romantyczne ptaki. Nieoczekiwanie wszystko wokół zdało się przesycone magią. Sowy wystrzelające spośród gałęzi nad nimi wprost w nocne rozgwieżdżone niebo; wieloryby wyłaniające się z głębin oceanu i wpływające do zatoki... Mającą już swoje lata, steraną duszę Patricka ogarnęło ciepło. Promieniowało głównie od Marisy, od jej ciała przytulonego do niego, od jej głosu zapisanego dawno temu na taśmie magnetofonowej, od jej subtelnego nucenia. W oczach Patricka jawiła się największym cudem ze wszystkich.

Wyciągnął ku niej rękę i pogładził ją delikatnie po twarzy. Potem raz jeszcze ją pocałował, zsuwając się niżej w fotelu, tak by mógł mieć ją przy sobie jeszcze bliżej. Skóra Marisy była gładka i miękka, w życiu czegoś takiego nie dotykał. Wiele by dał, aby nigdy się od niego nie odsunęła, wszakże ona po paru chwilach poruszyła się i spytała:

- Czy mogę ci zadać pytanie?
- Oczywiście, pytaj, o co chcesz – odpowiedział.
- Dlaczego mi pomogłeś? Dlaczego przywiozłeś tu Samanthę?
- Nie wiesz?

Wpatrywała się w niego olbrzymimi oczyma z widocznym napięciem, jakby zaraz miała usłyszeć coś, co ją zszokuje. Poczul na swym przedramieniu jej dłoń i zapragnął unieść ją do ust i pocałować, lecz nie potrafił wykonać żadnego ruchu. Jedyne co umiał robić, to tonąć w niesłychanej głębi jej spojrzenia.

– Chyba już wiem – odparła po długiej chwili ciszy. – Ale i tak chciałabym to usłyszeć od ciebie. Widzisz, jest jeszcze Jessica...

– Wiem – wpadł jej w słowo. – Twoja córka. Skinęła głową i nie odrywając od niego wzroku, kontynuowała:

– Cokolwiek robię, cokolwiek mi się przytrafia, cokolwiek czuję, zawsze nurtuje mnie pytanie, jaki to wywrze wpływ na nią. Nie mogę sobie pozwolić, żeby... – urwała, a Patrick widział, że próbuje znaleźć najlepsze słowo na to, co chciała wyrazić. – Nie wolno mi pozwolić, aby znów znalazła się w sytuacji, która ją zrani.

– Naturalnie – zgodził się z nią Patrick. Rozumiał, o czym mówi; żadne z nich nie musiało wymieniać imienia i nazwiska czających się w ciemności.

– Przyglądałam się Jessice i Florze. Nie da się ukryć, że mała szaleje za twoim psem. Och, ona uwielbia wszystkie psy... Taka już jest, przepełniona miłością do wszystkiego i wszystkich, ufna bez granic... Ale nie wspominam o Florze bez powodu... To pierwszy pies, z jakim Jessica nawiązała bliższą znajomość od bardzo dawna...

– Wspomniała mi, że miała kiedyś szczeniaczka – wtrącił Patrick. Marisa przytaknęła w milczeniu. – Kiedy ją zapytałem, gdzie jest teraz, nie odpowiedziała. Czy ty możesz mi wyjaśnić, co się stało z Taily?

Marisa drgnęła na dźwięk dawno nie słyszanego imienia.

– Ted ją kopnął. Na oczach mojej córeczki. Jessica patrzyła, jak próbuję uratować życie pieskowi. Nie udało mi się i Tally umarła na moich rękach.

– Tak mi przykro – szepnął Patrick.

– Chodzi o to, że Jess cierpiała przeze mnie. Oczywiście wiem, że ty jesteś cudownym człowiekiem – zapewniła pośpiesznie – wszyscy to wiedzą...

Jednakże na mnie spoczywa odpowiedzialność za Jessicę. Muszę być bardzo ostrożna. Czy to co mówię, ma w twoim odczuciu sens?

Patrick pokiwał głową twierdząco. Nagle poczuł pragnienie, aby opowiedzieć Marisie o swoim małżeństwie. O tym, że poważnie brał złożone przyrzeczenia, że poważnie podchodził do swej roli męża. Chciał wytłumaczyć siedzącej przy nim kobiecie, że sam nie wie, jak i kiedy popełnił najgorszy błąd w swoim życiu: przestał zwracać wystarczającą uwagę na osobę, która była mu najdroższa na świecie. Że nie wiedzieć kiedy praca w policji stała się ważniejsza od życia prywatnego, co kosztowało go utratę ukochanej żony. Wzruszenie ścisnęło mu gardło i był w stanie wydukać tylko:

– Mariso...

– Jessica zakochała się we Florze – oznajmiła Marisa, kończąc wątek.

– To dobrze. – Odchrząknął. – Naprawdę mnie to cieszy.

– Tak sądzisz? – spytała, po czym przez całą wieczność czekała na odpowiedź, podczas gdy Patrick raz jeszcze chrząknął, przełknął ciężko ślinę, odkaszlnął, robiąc, co tylko przyszło mu do głowy, aby pozbyć się drapiącej jak jeżowiec kuli w gardle.

– Tak sędzę – potwierdził. Miał ochotę dodać: „Ponieważ odtąd będą spędzały ze sobą naprawdę dużo czasu”. Był sam jak palec od przeszło czterech lat i ani razu nawet nie otarł się o miłość. Teraz jednak, siedząc u boku Marisy, czuł, że również właśnie się zakochał.

Znów się pocałowali. Marisa pieszczotliwym gestem przejechała palcem po jego ręce. Zadrżał odruchowo, bezwiednie, gdyż zaraz poczuł rozlewające mu się po piersi ciepło; to jego serce – od tak dawna pokryte lodem obojętności – zaczynało tajać.

Na zewnątrz granat nieba przeszedł w czerń. Na aksamitnym firmamencie mrugały wesoło gwiazdy. Znienacka pojawiło się na nim mnóstwo czerwonych punkcików. Wydobywały się z komina ceglanego domu. Marisa dojrzała je pierwsza i usiadła prosto. Patrick dopiero wtedy przypomniał sobie, dlaczego w ogóle siedzą sam na sam w jego samochodzie na takim odludziu.

– Ciekawe, co to jest... – zastanowiła się Marisa.

– Palą coś w kominku – mówił Patrick, przyglądając się czerwonym rozbłyskom. – Coś suchego... może papier. Podkradnę się do okna i spróbuję zobaczyć.

Kiedy zaczął delikatnie otwierać drzwi, Marisa zrobiła to samo ze swoimi. Rzucił jej spojrzenie przez dzielącą ich szerokość samochodu.

– Chcę pójść z tobą – powiedziała.

W pierwszym odruchu miał na końcu języku polecenie, aby została tam, gdzie jest bezpiecznie, czyli w aucie, jednak że dostrzegłszy determinację w jej oczach, skinął przyzwalająco głową. Równocześnie zamknęli drzwi wozu, każde po swojej stronie, całkowicie bezgłośnie, i zaczęli się skradać w stronę budynku. Pod stopami mieli grubą warstwę opadłych sosnowych igieł, które tłumili odgłosy ich kroków. W powietrzu unosiła się mieszanina zapachów: świeżego morskiego powietrza, olejków eterycznych iglaków, palonego drewna, a także najmniej przyjemnego z nich wszystkich zapachu rozkładającego się rybiego mięsa.

Kiedy dotarli do białej furgonetki, Patrick skinął na Marisę, żeby przy niej została. Dała mu znak oczami, że rozumie, czego od niej chce, i ukryła się w cieniu rzucanym przez budę, podczas gdy on sunął dalej do przodu, coraz bardziej zbliżając się do ścian ceglanego domu. Podwórko niemal w całości

pozbawione było drzew i krzewów, jednakże rosnący wokół gęsty las skutecznie wyłapywał wszelkie światło, czy to księżyc, czy to gwiazd. Patrick pochylony nisko przemknął ku ścianie i zamarł w pobliżu uchylonych okien. Ze środka dobiegały odgłosy telewizji. Patrick wolnym ruchem podniósł głowę i zajrzał do wnętrza, ustawiając się tak, by patrzeć przez wąską szczelinę w zaciągniętych zasłonach. Pokój, do którego zaglądał, okazał się niewielki, kwadratowy i niemiłosiernie zagracony meblami.

Na kanapie siedziało dwoje ludzi: kobieta, którą Patrick widział już wcześniej, teraz z wypiekami na twarzy wlepiająca oczy w telewizor, i Lafarge rozmawiający przez telefon. Patrick starał się wyłowić padające z jego ust słowa, na próżno jednak – odbiornik włączony był na cały regulator i całkowicie zagłuszał wszystkie inne dźwięki. W pewnym momencie Lafarge zerwał się z kanapy i przyskoczył do kominka z pogrzebaczem. Dźgnął metalowym prętem między palące się kłody drewna i Patrick zadarł głowę akurat na czas, by zobaczyć nowy gejzer czerwonych iskier ulatujących z komina w nocne niebo.

Choć teraz w każdej chwili groziło mu zdemaskowanie – Lafarge stał obrócony twarzą do okna – Patrick mógł przynajmniej usłyszeć strzępki wypowiedzianych przez niego zdań.

– ...nie potrwa wiele dłużej, fala już opada... tak, oczywiście, że o tym wiem na pewno... ostatnia okazja, zanim znów tu wróci i zacznie od nowa czarować turystów... a niby dlaczego nie, skoro jest w tym kasa dla nas?... – Potem Patrick usłyszał jeszcze tylko dwa niepełne słowa: – ...schwytać biało... – i Lafarge przeszedł parę kroków dzielących go od kanapy, usiadł obok kobiety i już zwrócony tyłem kontynuował cichą rozmowę.

Mniej więcej w tej samej chwili Patrick usłyszał skrzypnięcie zawiasów. Obrócił się i zobaczył – nie wierzył własnym oczom! – że Marisa otwiera drzwi białej furgonetki i wspina się do szoferki. Przebiegłszy przez podwórkę bez zachowania środków ostrożności, dopadł wozu akurat na czas, by zobaczyć, jak kobieta znika pomiędzy dwoma rzędami siedzeń, kierując się na tył pojazdu.

– Co ty wyprawiasz? – wysyczał.

– Lepiej byś otworzył tylne drzwi – rzuciła nerwowo.

Patrick obiegnął furgonetkę dokoła i zaczął manipulować przy zamku. Tylne drzwi były zamknięte. Rozejrzał się wokół, upewnił, że nikt nie nadchodzi. Zaczął gorączkowo myśleć o tym, co robi: włamanie się do czyjegoś samochodu bez ważnego nakazu było przestępstwem, a on nie tylko nie miał dokumentu wystawionego przez prokuratora, ale nawet nie dysponował w miarę wiarygodnym powodem, którym mógłby wytłumaczyć pogwałcenie prywatnej własności. Tyle że Marisa była już w środku i potrzebowała jego pomocy. Nie zastanawiając się dłużej, wrócił do szoferki, wyjął ze stacyjki kluczyki i ponownie przeszedł na tył wozu, żeby otworzyć drzwi, o których mówiła Marisa.

Kłapa odskoczyła z takim impetem, że omal go nie zmiotła niczym dobrze rzucona kula kręgle. W środku pozbawionej okien budy furgonetki panowały egipskie ciemności, ale nie przeszkadzało to usłyszeć powtarzającego się skomlenia. Przypominało popiskiwanie pozostawionego bez opieki szczeniaka wołającego matkę. Niemal wczolgując się do wnętrza, Patrick potracił coś, co okazało się wiadrzem ze śledziami – z całą pewnością martwymi, bo zajeżdżającymi ohydą duszącą wonią.

– Usłyszałam, jak płaczą – szepnęła Marisa tytułem wyjaśnienia.

Kiedy wzrok Patricka przyzwyczał się już do ciemności i eks-glina zaczął wychwytywać kontury przedmiotów, zobaczył, że Marisa klęczy nad czymś, co wyglądało jak kojec albo klatka na zwierzęta, i stara się przeciągnąć to coś w stronę otwartych na oścież tylnych drzwi. Nawet nie próbując wypatrzyć, co znajduje się w środku, Patrick sięgnął ręką, szarpnął i już po chwili klatka stała na ziemi.

Dopiero wtedy zajrzał między spleciony gęsto drut. Napotkał spojrzenie czworga ogromnych oczu umieszczonych w dwu białych pyszczkach ponad dwoma czarnymi jak smoła nosami otoczonymi przez dwa pęki wąsów czuciowych, na których tańczyły odbite promienie światła księżyca.

– Co to jest?–wyszeptał zdumiony.

– Foczęta – odparła szeptem Marisa.

Patrick stał jak wmurowany, spoglądając w wielkie focze oczy wyzierające spośród białego jak śnieg futra, a w myślach huczały mu słowa Lafarge'a: „...schwytać biału...”. Foczęta – pomyślał. – Więc to na nie się teraz uwzięli kłusownicy. Na stęknięcie Marisy ponownie wyciągnął rękę i pomógł jej wydostać się z furgonetki. Zeskoczyła zgrabnie i natychmiast pochyliła się nad klatką.

– Musimy je stąd zabrać – powiedziała bez cienia wahania w głosie.

– Racja – zgodził się z nią Patrick.

Nie miał bladego pojęcia, czemu Lafarge trzyma foczęta w niewoli i czy ma na to jakieś zezwolenie, za to pamiętał pewną akcję sprzed lat, kiedy policja zrobiła nalot na nielegalną hodowlę psów. Warunki w tamtym miejscu były tak straszne, że wprost nie do opisanego, jednakże z jakiegoś powodu Murphy'emu wydawało się, że to co widzi teraz, jest znacznie gorsze. Być

może odniósł takie wrażenie dlatego, że małe foki leżały na boku i dysząc i popiskując, oddychały ciężko. Ich ciała drżały niekontrolowanie.

Gdyby nakryła ich teraz policja, zostaliby niechybnie aresztowani za kradzież, ale Patrick miał to w nosie. Napiąwszy mięśnie, oderwał klatkę od ziemi i zaniósł do swego samochodu, gdzie ostrożnie umieścił ją wraz z zawartością w części bagażowej. Marisa zaczęła się gramolić obok kojca, ale Patrick złapał ją za ramię.

– Nie możesz tutaj jechać – powstrzymał ją. – Usiądź na fotelu pasażera. Obiecuję, że będę jechał powoli, nic im się nie stanie. Na pewno będą o wiele bezpieczniejsze niż w furgonetce.

Marisa potrząsnęła głową, w jej oczach zabłysła determinacja.

– Muszę być przy nich – powiedziała stanowczo.

Patrick zaczął coś mówić, próbując jej przetłumaczyć, że przesadza, jednakże momentalnie zrezygnował. Nagle bowiem zrozumiał, że Marisa podjęła taką a nie inną decyzję, myśląc o Tally. Choć nie było jej winą, że szczeniaczek Jessiki umarł, czuła się winna jego cierpienia i niepotrzebnej śmierci i w ten sposób chciała zadośćuczynić za krzywdę wyrządzoną w przeszłości. Zamiast powiedzieć coś jeszcze, po prostu ją pocałował i podał jej swoją marynarę, żeby miała na czym usiąść, szeptem uspokajając, że będzie jechał bardzo ostrożnie. W ostatniej chwili zanim zamknął drzwi, Marisa wepchnęła mu w dłoń plik kartek, które zabrała z furgonetki Lafarge'a.

Wycofując się z wąskiej leśnej ścieżki, Patrick nie włączył świateł. Jadąc, czuł każdy wykrot, każdy korzeń na drodze i modlił się w duchu, aby siedząca z tyłu Marisa i jej podopieczne nie podskakiwały zanadto; bardzo liczył na zachwalane przez sprzedawcę amortyzatory. Zalewała go krew wymieszana z adrenaliną na myśl o słowach Lafarge'a i ohydny więzieniu, w którym



przetrzymywał foczki. Zastanawiał się nad zdjęciem delfina, o którym wspomniał mu Liam; próbował się domyślić, co tak naprawdę robią ci wszyscy ludzie...

Gdy tylko wy dostał się na szosę, włączył reflektory i lampkę w kabinie. Kartki, które dostał od Marisy, leżały w nieładzie na fotelu pasażera i teraz mógł przyjrzeć im się dokładnie. Na jednej z kopert widniało takie samo logo jak na burcie furgonetki Lafarge'a – uśmiechnięty delfin stojący na ogonie. Nagłówek głosił: „Morski Kanion”.

Patrick bardzo chciał poznać treść listu, lecz wiedział, iż najważniejsze to jechać przed siebie – i czym prędzej zawiadomić Liama. Jednakże nie przestawał zerkać na leżące na siedzeniu obok papiery i w którymś momencie wpadło mu w oko nazwisko adresata. Nagle wszystko zaczęło mieć sens.

Marisa postukiwała w szybę oddzielającą część pasażerską od bagażowej i popędzała go, dając znaki, że foczeta umierają. Krzyknął do niej, żeby się mocno trzymała, i dociskając gaz do dechy, zjechał z szosy wiodącej wzdłuż fiordu na drogę prowadzącą wprost do Cape Hawk. Kontrolując prędkość na desce rozdzielczej, jechał tak szybko, jak się odważył.

Nim dojechali do miasta, zadzwonił jego telefon.

Dopiero gdy wszyscy poszli spać i Liam miał trochę czasu tylko dla siebie, sięgnął po telefon, żeby zadzwonić tam, gdzie pragnął zadzwonić przez cały dzień. Aż do tej pory powstrzymywał go wyraz niepokoju w oczach Lily. Nie przestała się martwić nawet po spotkaniu z prawniczką i ustaleniu strategii obrony, w końcu jednak zmęczenie wzięło górę i strapiona kobieta udała się na spoczynek, pozostawiając Liama samemu sobie. Wyszedł na ganek i wybrał numer Patricka Murphy'ego. W słuchawce rozległ się głęboki męski głos.

– Halo.

– Cześć, tu Liam.

– Jesteś jasnowidzem? – spytał Patrick. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Czy mi się wydaje, czy rzeczywiście siedzisz za kierownicą i prowadzisz wóz? – spytał Liam.

– Jestem w samochodzie – przyznał Patrick. – Z tyłu mam Marisę, która usiłuje utrzymać przy życiu dwie umierające małe foki. Zabraliśmy je z furgonetki Lafarge'a.

– Z furgonetki Lafarge'a? O czym ty mówisz? Lafarge jeździ zwykłym czarnym poobijanym pikapem. A poza tym jego nie ma w Nowej Szkocji, bo wciąż kręci się gdzieś tutaj.

– Wiem – rzucił Patrick. – Ale o tym potem. Najpierw powiedz mi, panie oceanologu, dokąd mam zawieźć foczeta wymagające reanimacji.

– Jakies piętnaście kilometrów na wschód od Cape Hawk jest takie centrum badawcze dzikich zwierząt – padła natychmiastowa odpowiedź. – Skręć w prawo za latarnią morską i jedź tak długo, aż zobaczysz tablice informacyjne. Zaraz przedzwonię do Jean Olivier, to moja dobra koleżanka. Prowadzi ten ośrodek. Będzie na was czekała w pełnej gotowości.

– Dobra, oddzwoń, jak już ją uprzedzisz... – Po paru chwilach brzęczyk komórki rozległ się ponownie. – Widzę już latarnię morską – poinformował Liama Patrick.

– Trzymaj się moich wskazówek – poinstruował go Liam. – Jean już na was czeka. Żeby nie tracić czasu, opowiedz teraz o tej furgonetce.

– Chyba należy do firmy pod nazwą „Morski Kanion” – zaczął relacjonować Patrick. – Przynajmniej tak można wnosić z logo namalowanego na burcie. W szoferce znaleźliśmy jakieś papiery, w tym listy skierowane do

Gilberta Lafarge'a. Koperty noszą ten sam znak, wygląda więc na to, że zostały wysłane do niego właśnie od nich... Kto to jest Gilbert Lafarge?

– Brat Gerarda – wyjaśnił Liam. – Zatem siedzą w tym obaj. O „Morskim Kanionie” też słyszałem co nieco. To przedsięwzięcie zakrojone na dość dużą skalę, a zlokalizowane w rejonie Digby.

– Podśledzałem, jak rozmawia z kimś przez telefon – kontynuował Patrick. – Mówił coś o coraz niższej fali...

– Widmowe Wzgórza – wpadł mu w słowo Liam.

Przez to zamieszanie, spowodowane ponownym pojawieniem się na scenie Edwarda Huntera i wysuniętym przez niego wnioskiem o ustalenie ojcostwa Rose, niemal całkiem zapomniał o fenomenie, który z dnia na dzień tracił na sile, by w końcu zupełnie zaniknąć. John zdążył mu tylko napomknąć, że sytuacja zaczyna się normować; zamęt w przybrzeżnych wodach ustępował, ponieważ prądy morskie przestały napędzać z głębin oceanu żyjące tam zwierzęta pelagiczne. Wyglądało na to, że niezwykle rzadcy goście wracali do siebie, aby – być może – kiedyś znowu pokazać się u brzegów Connecticut.

– Słyszałem, jak ten cały Gilbert mówi: „...schwytać biału...” – ciągnął podekscytowany Patrick. – Wykoncypowałem sobie, że mówił o foczętach, jak zobaczyłem ich śnieżnobiałe futro. Reszty nie dosłyszałem, bo odwrócił się od okna, a w pokoju był włączony telewizor.

Liam starał się jak mógł pomóc przyjacielowi, jednakże jego myśli w dalszym ciągu zaprzętała Lily i Rose. Ledwie potrafił skupić uwagę na braciach Lafarge czy nawet nieszczęsnych młodych fokach. Jego umysł pracował na okrągło, próbując przewidzieć rozwój wypadków i przebieg procesu w sądzie.

– Co u ciebie? – spytał Patrick, kiedy cisza się przedłużała. – Dzwoniłeś z jakiegoś konkretnego powodu?

– Chodzi o Rose... – zaczął Liam. – Martwimy się o nią. Lily niemal chodzi po ścianach.

– Znowu coś z sercem małej?

– Nie – odparł krótko Liam. – Tym razem ma to związek z Edwardem. Wystąpił do sądu z wnioskiem o ustalenie, kto jest biologicznym ojcem Rose.

– Ten człowiek nie powinien nawet zbliżać się do Rose – huknął Patrick.

– Ja o tym wiem, ale teraz będziemy musieli przekonać sędziego. Termin rozprawy został już wyznaczony. Na najbliższy poniedziałek. Zdaje się, że potrzebujemy cudu na miarę tego z „Jedenastej godziny”.

– To znaczy?

– Moim zdaniem nasz pierwszy krok powinien... – i Liam zaczął wyłuszczać swój plan.

Patrick słuchał go z uwagą, od czasu do czasu wtrącając jakiś pomysł czy ulepszenie. Podał Liamowi nazwisko, którego ten potrzebował, i wspólnie postanowili, że wtajemniczą w całą sprawę Joego Holmesa, aby miał kto wyszperać dla nich świadka mającego być clou całej intrygi.

– Ja też przyjadę – zapowiedział Patrick.

– Na pewno dasz radę? – zaniepokoił się Liam.

– Postaram się. Marisa ma występ jutro wieczorem, więc wyjadę na ostatnią chwilę, ale będę pruł jak szalony, byle tylko zdążyć.

– Dziękuję ci – rzekł po prostu Liam.

– No dobra, o reszcie pogadamy później. Teraz nie mogę przegapić tego twojego centrum ratowania małych foczek.

– Pamiętaj, Jean Olivier. Ona wszystkim się zajmie.

Po tych słowach pożegnali się i rozłączyli. Liam raz jeszcze zatelefonował do przyjaciółki, łapiąc ją w drodze ku bramie, gdzie miała czekać na samochód Patricka z cennym ładunkiem, „...schwytać biału...” – nie przestawało tłuc mu się po głowie. Co też mógł mieć na myśli Gilbert Lafarge?

Liam czuł się tak, jakby nagle znalazłszy się pod wodą, został wystawiony na niebezpieczeństwo. Nie wiedział, z której strony nadejdzie ani nawet w jakiej postaci, a do tego miał całą masę innych problemów, bardziej palących. Odwracały jego uwagę od męczącego poczucia, że coś mu umknęło. Coś bardzo ważnego. Przyciskając palce do lewej skroni, skoncentrował się na dopracowywaniu planu, przewidywaniu odpowiedzi Huntera, tak by móc ułożyć właściwe pytania, które trzeba zadać, jeżeli rozprawa ma się zakończyć werdyktem po ich myśli. Dla uspokojenia spoglądał w stronę zatoki i oddychał głęboko, licząc oddechy.

Nagle uświadomił sobie, że nie widzi Nanny. Wyteżył wzrok, próbując przebić spojrzeniem ciemność, i zaczął nasłuchiwać dźwięków, jakie mogłaby wydawać, będąc w pobliżu brzegu. Uderzenia wielkiego ogona o powierzchnię wody, wypuszczanie powietrza tuż przed nurkowaniem, cokolwiek...

– nic jednak nie słyszał, „...schwytać biału...”

Nie, to niemożliwe – pomyślał. – A jeśli jednak?... Serce waliło mu jak młot, kiedy raz jeszcze przeczesywał wzrokiem odległe fale pogrążone w mroku. Oparł się ciężko o balustradę ganku i wodził spojrzeniem od lewej do prawej strony horyzontu i z powrotem. Robił to przez kilka długich minut, aż wreszcie ogarnęło go niesłychanie silne uczucie niepokoju. Postanowił, że pójdzie teraz na górę i postara się zapomnieć o maltretowanych foczętach, samotnych białuchach i czekającej ich walce z Edwardem Hunterem – o wszystkim z wyjątkiem Lily i dotyku jej ciała.

## ROZDZIAŁ 24

Nazajutrz rano, siedząc na ganku gospody, Patrick Murphy długo rozmawiał przez telefon. Zadzwoił do Joego Holmesa, pracownika biura terenowego FBI w stanie Connecticut, choć – jako że była niedziela – złapał go nie w pracy, a w domu w Hubbard's Point.

Rozmowa trwała ponad godzinę. Patrick przekazał Joemu wszystkie informacje, które uzyskał minionego wieczoru od Liama, dodając do tego adres zapamiętany jeszcze z czasów dochodzenia w sprawie tajemniczego zniknięcia Mary Jameson. Przyjaciel zapewnił go, że wszystkim się zajmie. Jakby na marginesie Patrick wspomniął o Gilbertcie Lafarge'u i firmie noszącej nazwę „Morski Kanion”.

– Sprawy wiążące się z ochroną przyrody nie należą do moich kompetencji – powiedział Joe – ale jeśli to ma pomóc Liamowi, rozejrzę się trochę.

– Pomyślałem sobie – bąknął niezniechęcony Patrick – że mógłbyś powiadomić kogo trzeba w Kanadzie. Ktoś powinien przerwać ten proceder. Uważałbyś tak samo, gdybyś widział te dwie nieszczęsne foczki.

– Zrobię, co się da – rzucił Joe. – Przede wszystkim jednak muszę odszukać tego świadka dla Lily, żeby się dowiedzieć, czy w ogóle będzie chętny do współpracy.

– Wiem, że to dość naciągane, a w dodatku zostało nam bardzo mało czasu – przyznał Patrick. – Niemniej to chyba ostatnia szansa dla Lily. I pomyśleć, że Liam na to wpadł, a nie ja... – pokręcił głową.

– Też żałuję, że o tym nie pomyślałem. A będę żałował jeszcze bardziej, jeśli się uda.

– No właśnie – mruknął Patrick. – J e ś 1 i...

Kiedyś, wcale nie tak dawno temu, grunt paliłby się Patrickowi pod nogami; chciałby jak najszybciej wrócić do Connecticut, aby znaleźć się w centrum wydarzeń. Rzuciłby wszystko, tak jak stał, i udał się w rodzinne strony na sygnale. Byłby w domu prawdopodobnie tego samego dnia wieczorem. Teraz wszakże rozpatrywał wszystko spokojnie. Obiecał Liamowi, że nie spóźni się na rozprawę, której początek wyznaczono dopiero na dziesiątą rano w poniedziałek. Miał więc jeszcze całkiem sporo czasu. Dlatego pozbierał się i wszedłszy do hotelu, zgłosił Anne, że jest do jej dyspozycji.

– Na pewno? – zapytała go. – Bo wiesz, dziś jest ostatni dzień festiwalu. Ma przyjechać cała wycieczka z Halifaxu, autokar pełen ludzi, a poza tym odkąd Marisa i Samantha znalazły się w harmonogramie występów, przyjazd zapowiedziały też wszystkie Dziewczyny Nanouk.

– Na pewno – potwierdził.

Anne sięgnęła więc za ladę i wręczyła mu młotek i pas z narzędziami. Na zewnątrz stało już paru mężczyzn gotowych do pracy. W ciągu miesiąca muzycznych zmagani wyłoniła się wąska grupka finalistów, tak że dziś, na sam koniec festiwalu, miało zagrać tylko kilka najlepszych zespołów – kapel, kwartetów i duetów – walcząc o wspaniałe nagrody, lecz przede wszystkim o prawo do chwalenia się zwycięstwem przez okrągły rok. Patrick i reszta mieli dodać parę rzędów na widowni, aby pomieściła zapowiadane tłumy widzów oraz dostojnych jurorów.

Nosił więc deski, przybijał gwoździe, dźwigał płyty paździerzowe, aż w końcu, zlany potem od wysiłku i upału, zrzucił z siebie koszulkę i cisnął ją na trawę. Decyzję o przystąpieniu do ekipy podjął tego samego dnia, w którym zameldował się w gościńcu Neillów. Był to jego wkład w zwycięstwo Marisy i

Samanthy. Mimo że Upadłe Anioły nie wzięły udziału w eliminacjach, Camille Neill, matriarcha rodziny i kierownik festiwalu, udzieliła im specjalnej dyspensy zasadzonej na tym, że Samantha – jako pielęgniarka pracująca dla organizacji międzynarodowej – musiała pokonać najdłuższy dystans ze wszystkich uczestników, zresztą liczony nie tylko w kilometrach.

Kiedy około południa wyprostował plecy i rozejrzał się dokoła, dostrzegł Marisę, Samanthę, Jessicę i Florę idące ławą w jego stronę. Szybko otarł wilgotną twarz i włożył koszulkę, po czym niemal natychmiast pochylił się, aby podrapać za uszami Florę, która na jego widok wysforowała się do przodu, by zaraz zacząć się do niego łąsić. Tuż za psem w podskokach biegła ku niemu Jessica.

– Czy Flora była grzeczna, kiedy mnie nie było? – zapytał.

– Tak! – zawołała dziewczynka. – Spała jak aniołek w nogach mojego łóżka!

– A czy twoja mama nie miała nic przeciwko temu? – zaniepokoił się.

– Skądże – uśmiechnęła się Marisa, zrównując się z nimi.

Gdy minionego wieczoru odwiózł ją w końcu do domu, pocałowali się na pożegnanie długo i namiętnie. Choć był to najśłodszy pocałunek, jaki pamiętał, teraz zachowywał się wobec niej nieco sztywno, nie wiedząc, jakie wrażenie powinni robić w obecności jej siostry i córki. Jednakże Marisa jak zwykle go zadziwiła; podeszła do niego i wspiąwszy się na palce, pocałowała go lekko w policzek.

– Jak się czujesz po burzliwych wydarzeniach ostatniej nocy? – spytał.

– Wyśmienicie – odparła. – Z samego rana zatelefonowałam do Jean i dowiedziałam się, że foczeta przeżyją. Były odwodnione, ale poza tym



właściwie nic im nie dolegało. Jak tylko dojdą do siebie po niemiłych przeżyciach, Jean dołączy je do grupy fok grenlandzkich, którymi się opiekuje.

– Z chęcią bym zamknęła tego całego Lafarge'a w pace jego furgonetki i zostawiła tam o suchym pysku z wiadrem zgniłych śledzi w zasięgu ręki – rzekła Samantha. – Ciekawe, jak by mu się to podobało. T. J. powiedział mi, że widział tego drania na swoim promie. Ponoć wyglądał, jakby miał zaraz dostać apopleksji. Jedyne co mnie w tym wszystkim cieszy, to jego szok, kiedy otworzył furgonetkę i zobaczył, że paka jest pusta.

– Może pomyślał, że foczki uciekły – zachichotała Jessica, gładząc Floreę po szyi.

– Podczas gdy w rzeczywistości zawdzięczają życie twojej mamie – dokończył Patrick, myśląc, że wiele by dał za to, aby się dowiedzieć, dokąd to Gilbert Lafarge udawał się tak wcześnie rano. Mógł mieć tylko nadzieję, że Joe zdoła się skontaktować ze swoim odpowiednikiem na terenie Kanady i że przy jego pomocy nie tylko sprawdzi, czym naprawdę zajmuje się firma pod nazwą „Morski Kanion”, ale również przejrzy plany braci Lafarge'ów.

We czwórkę obeszli scenę i widownię. Patrick i Marisa trzymali się za ręce i szli o krok za wrywającą do przodu Jessicą z Florą i towarzyszącą im Samanthą. Wszystkie kobiety podziwiała pracę Patricka i pozostałych mężczyzn. Murphy nie przestawał myśleć o rozmowie z Liamem i Joem; za każdym razem gdy patrzył Marisie w oczy, czuł coraz większą pewność, że powinien jej o wszystkim powiedzieć.

– Jest coś, o czym musisz wiedzieć... – zaczął.

– Co takiego? – spytała, wbijając w niego wzrok.

– W przyszłym tygodniu Lily czeka walka w sądzie. Edward wystąpił z wnioskiem o ustalenie, kto jest biologicznym ojcem Rose.

– Chce, aby przeprowadzano badanie DNA? Test na ojcostwo? – dopytywała z niedowierzaniem Marisa. Kiedy potaknął, twarz jej się wydłużyła ze smutku i zmartwienia. – On nie może wygrać... – szepnęła.

Patrick nie mógł nie zauważyć, iż pomimo troski ogarnęła ją determinacja podobna do tej, którą przejawiała minionego wieczoru, ratując foczęta. Tak samo jak wczoraj jej cudowne oczy rozbłysły determinacją. Zdało mu się, że ma do czynienia z całkiem inną kobietą niż ta, którą poznał zaledwie kilka tygodni wcześniej, gdy przyjechał do Cape Hawk w poszukiwaniu Mary Jameson. Czując na skórze rzeński wiatr wiejący od strony Zatoki Świętego Wawrzyńca, zrozumiał, że on również stał się innym człowiekiem.

– Co możemy zrobić, aby jej pomóc? – zapytała Marisa ze zdecydowaniem w głosie.

– Ja zamierzam stawić się na rozprawie – odparł. – Wyjadę, jak tylko festiwal się skończy i zostaną rozdane nagrody – popatrzył jej prosto w oczy. – Muszę być przy nich, kiedy będą stawiać mu czoło w sądzie.

– Nie chcę, żeby Ted skrzywdził Rose – wtrąciła Jessica cienkim głosem.

– Zamartwiam się losem skrzywdzonych fok – Marisa z niedowierzaniem pokręciła głową – podczas gdy to moja przyjaciółka potrzebuje pomocy.

Patrick stał w milczeniu i słuchał. Niemal potrafił dostrzec, jak myśli przebiegają jej przez głowę. Widział, że pragnie pojechać z nim do Connecticut, aby być przy Lily, gdy ta potrzebuje wsparcia, jednakże był też świadomy jej decyzji o tym, że teraz życie jej i Jessiki toczy się tutaj, w Cape Hawk, z dala od Teda. Zrozumiał, że nie jest jej lekko w takim rozdarciu, chciał coś powiedzieć, lecz uprzedziła go Jessica.

– Rose nie ma pojęcia, do czego zdolny jest Ted – mówiła szybko – a w dodatku zamartwia się o Nanny. Przysłała mi e-mail, w którym napisała, że nikt nie widział Nanny od ponad dwóch dni. A przecież trudno nie zauważyć wieloryba. Zdaje się jednak, że wszyscy stracili białuchę z oczu...

Słowa dziewczynki sprawiły, że Patrick aż przystanął.

– Patricku?... – Marisa spojrzała na niego z niepokojem. – Czy coś się stało?

– Nie, nic takiego – odpowiedział. Przytulił ją i pocałował w policzek. – Po prostu pomyślałem sobie, że powinnaś zacząć przygotowania do wieczornego występu. A ja powinienem jeszcze podzwonić w parę miejsc. Masz moje słowo, że będę na widowni, kiedy ty pojawisz się na scenie. Zamierzam wiwatować na twoją cześć najgłośniej, jak potrafię.

– Proszę – złapała go mocno za rękę – posłuchaj szczególnie uważnie ostatniej piosenki z naszego repertuaru.

– Ostatniej? – upewnił się, a kiedy skinęła głową, dodał: – Zgoda.

Spoglądała za nim błyszczącymi oczyma, gdy odwracał się i szedł w stronę hotelu, aby z zacisza swojego pokoju zatelefonować do Liama. W głębi ducha czuł podniecenie na myśl, że już tego wieczoru usłyszy wszystko to, co Marisa miała mu do powiedzenia, a zarazem wszystko, co potrzebował wiedzieć. Musiałoby mu chyba przeszkodzić trzęsienie ziemi, gdyż nic innego nie było w stanie odwieść go od zamiaru znalezienia się na widowni, którą pomógł powiększyć, i uważnego wysłuchania całego występu Upadłych Aniołów.

Widmowe Wzgórza przeszły do historii. Jedynym dowodem na to, że ów fenomen w ogóle miał miejsce, były wciąż sporych rozmiarów rozległe fale przetaczające się ponad rafą. Wyjątkowo uparci surferzy kręcili się nadal w

poblizu, licząc, że pojawi się jeszcze choć kilka zabójczo wysokich fal, których mogliby dosiąć na swoich deskach. Na niebie zataczały szerokie kręgi morskie ptaki zwabione w okolice brzegu niesłychaną obfitością pokarmu przyniesionego w te rejony przez fale wprost z otwartego oceanu. Wszystko wskazywało jednak na to, że rozpusta trwająca niemal równy miesiąc dobiegła końca.

W okolicy pozostały tylko dwa trawlery. Jeden, którego kapitanem był Nick Olson, pochodził z portu Galilee i przebywał na tych wodach legalnie, natomiast drugi – rudoczer-wony – wywodzący się z Cape Hawk w Nowej Szkocji, musiał mieć zwinięte sieci i pozamykane drzwi do chłodni, tak aby żadna pływająca ani latająca jednostka straży przybrzeżnej nie powzięła na jego widok podejrzeń co do prowadzonych poza granicami Kanady połowów.

Podczas gdy oba statki stały na kotwicy w odległości paru kilometrów od siebie, dwaj kapitanowie zbliżali się ku sobie na pokładzie dwu łodzi pontonowych o sztywnym dnie i wyposażonych w silnik spalinowy. Spotkali się, praktycznie biorąc, na środku oceanu, gdzie doszło do przekazania z rąk do rąk kwoty dwudziestu pięciu tysięcy dolarów amerykańskich w gotówce.

Obaj mężczyźni byli nerwowi, aczkolwiek z całkiem innych powodów.

Kapitana Gerarda Lafarge'a gonili terminy; prawdę powiedziawszy, miał kilkudniowe opóźnienie w stosunku do założonego planu. Pewna firma zamierzała otworzyć w pierwszy poniedziałek września atrakcję turystyczną i z tego co wiedział Lafarge, swój przyjazd na ten dzień zapowiedziało wiele ważnych osób, a szefostwo firmy wychodziło ze skóry, aby otwarcie zrobiło na nich należyte wrażenie.

Kapitan Nick Olsen denerwował się, gdyż tego lata wpadł już raz w łapy strażników Krajowej Komisji Rybołówstwa i miał wrażenie, że odtąd bacznie

go obserwują. Przykazał swojej załodze, żeby wszyscy mieli oczy dokoła głowy i natychmiast raportowali mu o każdej ich zdaniem podejranej sprawie, o ludziach wpytujących o to, jak idą interesy, i tym podobnych dziwnych rzeczach. Poza tym niezbyt podobało mu się to, czym zajmował się Gerard Lafarge. Teraz kołysał się na malej łupince miotanej falami oceanu i choć był starym marynarzem i ani razu w swoim długim życiu nie cierpiał na chorobę morską, czuł się nadzwyczaj nieswojo.

– Otwarcie jest za tydzień, tak? – upewniał się Olsen.

– Tak – potwierdził Lafarge. – Pomyśl tylko, te wszystkie szchy i bogacze spędzający ostatni weekend wakacji na pływaniu ze zwierzakami, które my im dostarczyliśmy.

– To co niby tam ma być? – dopytywał niespokojnie Olsen. – Wielki basen z delfinami zamiast zwykłego ze zjeżdżalnią? Jeszcze jedno oceanarium?

– Mniej więcej – roześmiał się Lafarge. – Tyle że ludziom znudziły się klasyczne oceanaria. Słyszałem, że w Australii i RPA pływa się już z rekinami, a w Cancun w Meksyku nurkuje z murenami. No to teraz nie będą musieli wydawać kasy na daleką podróż, wystarczy, że przyjadą na północny wschód. I zamiast grzecznie wsiąść na statek do obserwacji wielorybów z odległości kilometra, będą mogli dotknąć takiego zwierzaka i wsiąść mu na grzbiet.

– Ale to też pewnie będzie sporo kosztowało. Gerard Lafarge wzruszył ramionami.

– Jasne. To naprawdę luksusowy ośrodek. Jest tam wszystko, co ty i ja potrafimy sobie wyobrazić. Jak myślisz, dlaczego mogłem ci zapłacić aż dwadzieścia pięć patyków? Właściciele „Morskiego Kanionu” są ci szczerze wdzięczni.

Kapitan Nick Olsen burknął coś pod nosem. Potem przeniósł wzrok na kiwającą się w oddali jednostkę pod nazwą „Mar IV”. Zastanawiał się, jak długo delfiny wytrzymają bez wody na jej pokładzie. I czy Lafarge'owi uda się złapać tę białuchę, a jeśli tak, to jakimi lekami ją naszpikuje, żeby dała się przewieźć wzdłuż wybrzeża w to miejsce, o którym słyszał już tyle, że zaczynało mu wychodzić uszami.

– Poważnie – ciągnął wynurzenia zadowolony Lafarge. – Gdybyś nie rozpuścił wici i nie dowiedział się, gdzie ta cholera jest, kręcilibyśmy się bezradnie w kółko, nie wiedząc, gdzie zacząć szukać. A tu, proszę – zacierał ręce Gerry – pluska się niemal tuż pod oknami tego skurczybyka Neilla. Pana Zadzieram–Nosa–Bo–Mi–Się–Wydaje–Że–Pozjadałem–Wszystkie—Rozumy. Kretyna, który traktuje mnie jak śmiecia, odkąd byliśmy dziećmi.

– Hm – bąknął Olsen. Wiedział, o czym mówi Lafarge. Jemu także zdarzyło się widzieć pogardę w oczach ludzi takich jak ten oceanolog Neill. Ludzi, którym się wydawało, że są lepsi od takich jak on i Lafarge, prostych rybaków usiłujących ciężką pracą zarobić na chleb. Próbował wzbudzić w sobie słuszny gniew na taki a nie inny porządek tego świata, lecz jakoś nie mógł. Sumienie w dalszym ciągu go uwierało.

– Słuchaj – odezwał się Lafarge, widząc, że stary kapitan nic więcej nie powie. – Skoro mój brat zawałił sprawę z fokami, muszę stanąć na głowie i złapać tę białą cholere.

– Jasne – odrzekł Nick, upychając torbę z pieniędzmi pod siedzeniem. – No to do zobaczenia przy okazji.

– Taa, do zobaczenia – rzucił Gerry. Zanim odpłynął, dodał jeszcze: – Daj mi cynk następnym razem, jak się pojawią Widmowe Wzgórza. To było coś, naprawdę! Gdyby nie to, nie mielibyśmy szans złowić tego wieloryba u

siebie w domu, w końcu stanowił największą atrakcję turystyczną w Cape Hawk. Ha, i co do tego akurat niewiele się zmieni. Tyle że teraz będzie największą atrakcją „Morskiego Kanionu”. A my obaj nieźle na tym zarobimy.

Olsen w milczeniu włączył silnik, nie zaszczycając Lafarge'a nawet spojrzeniem. Wspominał czas sprzed prawie półwiecza, kiedy był małym chłopcem. Wieloryby były wtedy rzadkością w wodach wokół Rhode Island, widziało się je jeszcze rzadziej niż teraz, ale którejś zimy humbak wpłynął do Zatoki Narragansett i utknął w okolicach mostu Newport. Dziadek zabrał małego Nicka na pokład swojej niewielkiej łodzi, z której łowił homary, i razem popłynęli ku wielkiemu cielsku, próbując zmusić je do obrotu i powrotu na głębinę.

– Czemu to robimy, dziadku? – pytał Nick, czując, jak marzną mu palce w wełnianych rękawiczkach.

– Wieloryby są ssakami – wyjaśnił stary mężczyzna stojący na dziobie łodzi. – Mają ciepłe ciała i oddychają powietrzem, zupełnie jak ludzie.

– Więc to nie jest ryba? – zdziwił się chłopiec, pokazując na humbaka.

– Mają kształt podobny do ryby i pływają jak ona w wodzie – tłumaczył mu dalej dziadek – ale nic poza tym ich nie łączy. Kiedy wieloryb zgubi w głębinie partnera, śpiewa tak długo, aż się odnajdą i mogą płynąć dalej razem. Jeśli nie pomożemy temu tutaj wrócić do siebie, jakiś inny wieloryb w oceanie będzie śpiewał i śpiewał, aż straci wszystkie siły...

Dziadek kazał Nickowi uderzać wiosłem o powierzchnię wody i robić tyle hałasu, ile się tylko da, natomiast sam krążył łódką wokół miejsca, w którym humbak zanurzył się po raz ostatni. Nie odstępowali wieloryba nawet na krok przez długi czas, śledząc uważnie unoszące się spod powierzchni bańki powietrza wypuszczanego z płuc olbrzymiego morskiego ssaka, aż ten w

końcu wykonał szeroki zwrot, zawisł na moment tuż pod lodowatymi falami – widzieli wyraźnie jego torpedowaty, przypominający trochę łódź podwodną kształt – i wreszcie popłynął w stronę otwartego oceanu.

Olsen odtworzył w pamięci tamto wydarzenie w ułamku sekundy, machnął na pożegnanie ręką Lafarge'owi i popłynął w stronę swojego trawlera. Choć większość życia spędził nad brzegiem oceanu, łowiąc, łapiąc w sieci i patrosząc ryby, nigdy nie czuł się tak źle. A przecież ten wieloryb nawet nie został jeszcze złapany... Kapitan Nick Olsen wyobraził sobie, jak jego dziadek przygląda mu się teraz i z dezaprobatą kręci głową.

Miał niemal całkowitą pewność, że białucha nie dotrze bezpiecznie do domu, na północ. Wciąż czując, jak żołądek zwija mu się w proteście – czego nie rozumiał ani w co nie mógł uwierzyć – wrócił na pokład swojej jednostki, pozostawiając „Mar IV” swojemu losowi.

Dzień ciągnął się w nieskończoność, jak gdyby wieczorny koncert miał nigdy się nie rozpocząć. Jessica siedziała przed komputerem wpatrzona w ekran, czując potrzebę napisania do Rose, lecz zarazem nie umiejąc znaleźć właściwych słów. To co powiedział Patrick Murphy, przeraziło ją; nie chciała nawet myśleć o tym, że w życiu jej przyjaciółki Rose pojawił się znienawidzony przez nią Ted. Dlatego myślała o Rose i o Nanny; to było łatwiejsze niż przypominanie sobie tego wszystkiego, co Ted uczynił jej i mamie. Jessica doskonale wiedziała, jak to jest martwić się o swoje ukochane zwierzątko. Pamiętała, jak drżąc, przypatrywała się Taiły leżącej na kolanach jej mamy.

Dziewczynka poklepała siedzącą obok niej Flore, a kiedy suka podniosła łeb i spojrzała na nią, wpatrzyła się w jej ciemne mądre oczy. Gładziła długą jedwabistą sierść psa, czując pod dłonią ciepło i miękkość. Flora poprawiła się



na zadzie, przysuwając się bliżej do Jessiki, jak gdyby wyczuła, że jej mała opiekunka bardzo tęskni za swoim szczeniakiem. A może raczej rozumiał to Patrick, który zostawił Floreę pod opieką Jessiki wczorajszego dnia, dzięki czemu spały w jednym łóżku – po części dlatego, że Patrick i mama wyszli gdzieś wieczorem, lecz chyba również dlatego, że Patrick Murphy zdawał sobie sprawę, że córka Marisy bardzo potrzebuje przyjaznej duszy.

Jessica zsunęła się z krzesła i poszła do salonu, gdzie ciocia stała przed lustrem i nakładała makijaż. Zamarła i przez parę chwil tylko patrzyła na Samanthę, czując, jak serce zaczyna jej szybciej bić. Nagle poczuła się tak szczęśliwa, że to niemal bolało, zupełnie jakby jej serduszko nie było w stanie znieść nadmiaru emocji. Uświadomiła sobie, że nie odczuwała szczęścia od bardzo dawna – od czasu, kiedy w życie jej i mamy wkroczył Ted.

Wcześniej było inaczej. Oczywiście tęskniła za ojcem, ale wiedziała, że po śmierci poszedł do nieba i że stamtąd sprawuje nad nimi opiekę. Nie miała wątpliwości co do tego, że świat jest przyjaznym miejscem, a ludzie obdarzają się nawzajem miłością. Ciocia przysyłała im kartki z najdalszych zakątków Ziemi, a czasem przyjeżdżała do nich z wizytą: na święta Bożego Narodzenia albo na wakacje, a kilka razy nawet zrobiła im niespodziankę i niezapowiedziana pojawiła się na urodzinach Jessiki. Potem, kiedy zamieszkał z nimi Ted, ciocia już nie tak chętnie je odwiedzała. A jeszcze później, po tym jak Ted zabił biedną Taiły, Jessica całkiem przestała wierzyć, że świat jest dobry i że wszyscy się kochają.

– A kto to tam stoi tak po cichutku? – zapytała ciocia Sam, spoglądając w lustro pod kątem i nakładając na powieki cień.

– To tylko ja... – powiedziała Jessica, robiąc krok do przodu.

– Gdzie podziała się Flora? Przez ostatnie dwa dni wszędzie chodziłyście razem i pomyślałam już, że chyba mam dwie siostrzenice zamiast jednej...

– Moja siostra Flora! – Jessica klasnęła w dłonie.

– O, tak – westchnęła Samantha. – Nawet nie wiesz, jak dobrze jest mieć siostrę. Nie mam pojęcia, co bym zrobiła bez twojej mamy.

– Mimo że tak długo się nie widziałyście?

Samantha opuściła ręce wzdłuż tułowia i odwróciła się twarzą do Jessiki. Była już ubrana w strój, w którym miała wystąpić na koncercie – czarne dzinsy i czarny obcisły top przypominający górę sukni baletnicy. Szyję zdobiły jej niebieskie indiańskie korale, a zielona wstążka kręcone rude włosy.

– Nawet mimo to.

– A ja się bałam, że jesteś na nas zła... – wyjawiała Jessica. – I bardzo, ale to bardzo za tobą tęskniłam. Wszystko było takie inne niż wtedy, gdy spędzałyśmy dużo czasu we trójkę.

Samantha przysiadła na małej kanapie i poklepała miejsce obok siebie, zapraszając Jessicę.

– Ty i twoja mama jesteście najważniejszymi osobami w moim życiu – powiedziała poważnym tonem. – Bywa, że siostry mają odmienne zdanie na jakiś temat. Czasem jedna uważa, że to co robi druga, nie wyjdzie jej na dobre, i martwi się. Wie, że jeśli powie to na głos, ta druga się obrazi. Z kolei jeśli będzie milczała, może stać się coś naprawdę złego...

– Jak na przykład Ted?

Ciocia wyraźnie się zawahała i Jessica poczuła ucisk w dołku. Nie lubiła, kiedy dorośli ukrywali przed nią prawdę, kiedy nie mówili jej wszystkiego, aby ją chronić, ponieważ sądzili, że dzieci nie rozumieją pewnych spraw. Zaraz jednak odetchnęła z ulgą, gdyż ciocia podjęła w duchu decyzję i skinęła głową.

– Tak. Ted to doskonały przykład. Ale jak wszystkie się przekonaliśmy, twoja mama miała w sobie dość odwagi, aby od niego uciec, aby przyjechać aż tutaj i rozpocząć nowe życie.

Jestem z niej bardzo dumna. Od dawna czekałam, aż zacznie o siebie walczyć.

– Dziękuję – powiedziała mama Jessiki, wchodząc do salonu.

– Słyszałam, o czym rozmawiałś z Patrickiem – rzekła Samantha. – Uczynki ludzi takich jak Ted nie powinny uchodzić na sucho.

– To prawda – potwierdziła Marisa nieco dziwnym, zamyślonym głosem.

– Czy twoją przyjaciółkę faktycznie czeka przeprawa z nim w sądzie? – zapytała Samantha. – Zdaje mi się, że o tym właśnie mówił Patrick.

– Zgadza się.

Jessica wodziła wzrokiem od cioci do mamy i z powrotem. Wydawały się bardzo do siebie podobne, a zarazem zupełnie inne. Ciocia była wysoka i szczupła, miała wspaniałe kręcone rude włosy i roześmiane zielone oczy. Mama Jessiki też była wysoka, ale miała na sobie więcej ciała i prostą fryzurkę sięgającą jej zaledwie do brody; jej oczy były bardzo przejrzyste, lecz zniknęła z nich radość. Jessica pamiętała, jak kiedyś się zastanawiała, co też mogło się z nią stać... Przecież na pewno nie wyobraziła sobie, że dostrzeże w pełnych wyrazu oczach matki psotne ogniki i radość życia, jakby ta wierzyła, że lada moment spotka ją coś cudownego.

Przez długi, długi czas oczy Marisy pozostawały smutne, jednakże teraz, gdy u boku siostry wciągała na nogi kowbojki, poprawiała włosy i muskała twarz odrobiną kosmetyków, po czym sięgała po swoje skrzypce, nawet Jessica widziała, że powraca do nich ogień i wesołość, których od dawna tam nie było.

– Mogłabyś po koncercie pojechać do Connecticut – powiedziała do niej Samantha. – Żeby pomóc przyjaciółce... Lily, tak? Sędzia mógłby od ciebie niejedno usłyszeć i z pewnością dobrze by się zastanowił, zanim pozwoliłby Edwardowi zbliżyć się do Rose.

– Mogłabyś opowiedzieć o Tally! – krzyknęła Jessica.

Jej mama pokiwała głową.

– O niej i o paru innych rzeczach – rzekła cicho.

– Ja też chcę jechać – oznajmiła Jessica. – Chcę być blisko Rose.

– On też tam będzie, Jess – zaprotestowała Marisa.

– Musiałybyśmy się z nim spotkać.

Jessica pomyślała ponownie o swoim szczeniaku, o biednych małych foczkach, o Lily, Rose i Nanny – pragnęła pomóc im wszystkim i pomogłaby, gdyby tylko wiedziała jak.

– Mamo – powiedziała zdecydowanie – Lily i Rose to nasze przyjaciółki. Kochamy je. Chcę tam jechać bez względu na wszystko.

– Ja też, skarbie – szepnęła Marisa.

– W takim razie pojedziemy we trójkę – dołączyła do nich Samantha. – Nie puszcę was nigdzie samych... – Wyglądała bardzo groźnie, miotając szmaragdowe błyski z oczu, a równocześnie niezwykle łagodnie i opiekuńczo. Marisa uśmiechnęła się szeroko do siostry. – Ale najpierw mamy coś tutaj do załatwienia. Musimy wygrać festiwal!

– Strzeżcie się! – zawołała Jessica. – Nadchodzą Latające Anioły!

– Upadłe... – zaczęła poprawiać ją Samantha, ale Marisa nie pozwoliła jej skończyć.

– Chyba rzeczywiście potrzebowaliśmy nowej nazwy

– powiedziała – i Jessica ją dla nas wymyśliła.

Napięcie narastało co najmniej od tygodnia i teraz, w ostatni dzień festiwalu, osiągnęło szczyt. Wkrótce mieli się zaprezentować finaliści, dając z siebie wszystko. Wieczorem na widowni nie było gdzie szpilki wcisnąć, także na trawniku przed gościńcem zajęty był każdy centymetr kwadratowy powierzchni. Koce przylegały jeden do drugiego, ludzie siedzieli z kolanami pod brodą, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Dziewczyny Nanouk okupowały strategiczny punkt dokładnie na wprost sceny. Na dwu ławach honorowych zasiedli przedstawiciele władz miasta i prowincji, jurorzy oraz oczywiście członkowie rodziny Neillów: Camille, Jude, Anne i ich krewni.

Spoglądając w dół zbocza, Marisa zobaczyła, jak promienie gasnącego słońca oświetlają niebieszczące się wody zatoki. Cienie rzucane przez okoliczne wzgórza sprawiły, że miejscami powierzchnia wydawała się srebrzystoszara, tu i ówdzie przerywana białą pianą ciągnącej się za powracającymi do przystani łodziami rybackimi. Przysłuchiwała się występującej właśnie kapeli z Ingonish; jęczące dźwięki dud roznosiły się w czystym morskim północnym powietrzu bez przeszkód, docierając do samej duszy.

Samantha stała obok niej, w milczeniu strojąc skrzypce. Choć od lat nie występowały publicznie jako duet, nic nie mąciło chwil poprzedzających ich wspólny koncert. Samantha jak zwykle radziła sobie z treścią, całą uwagę poświęcając instrumentowi. Marisa jak zawsze przeczesywała spojrzeniem tłum widzów, wyszukując twarze znajomych osób.

Na widowni były więc Dziewczyny Nanouk, popijające drobnymi łyżkami wino z kieliszków i całymi sobą chłonaące rozlegające się czyste, jasne dźwięki. Anne siedziała oczywiście na ławie honorowej razem ze swoją rodziną, jednakże Marisa wiedziała, że kobieta sercem jest ze swoimi przyjaciółkami rozłożonymi na trawniku przed sceną. T. J. McGuinn stał

oparty o barierkę i nachylał się do przodu, jakby chciał zobaczyć i usłyszeć więcej od innych, a kawałek dalej, również centralnie w stosunku do sceny, siedzieli obok siebie Patrick z Jessicą. U ich stóp leżała nieodłączna Flora. Na ich widok serce Marisy przyśpieszyło. Musiała zaczerpnąć kilka głębszych oddechów. Przez bardzo długi czas nawet nie śmiała wyobrazić sobie nocy takiej jak ta. Tego, że zobaczy u boku swej córki mężczyznę, któremu Jessica będzie ufała bez zastrzeżeń. To było znacznie więcej, niż Marisa mogła sobie wymarzyć. Zerknęła w pewnym momencie na Samanthę, która pracowicie przeciągała kalafonią po smyczku, i zastanowiła się, co by jej siostra powiedziała, gdyby jej wyznała, że jest zakochana.

Nastrój uległ lekkiej zmianie, kiedy kapela z Ingonish zakończyła występ i na widowni rozległy się gromkie brawa. Anne opuściła swoje miejsce i wdrapawszy się po stopniach, znalazła się na scenie. Wtedy Marisa dała siostrze delikatną sójkę w bok. Podejrzewała, że Anne Neill zamierza osobiście zapowiedzieć ich występ. I rzeczywiście, organizatorka festiwalu uśmiechnęła się do widzów, podziękowała wszystkim za przybycie, po czym zaczęła mówić:

– Nieoczekiwanie zaszła pewna zmiana w harmonogramie występów. Mam przyjemność zapowiedzieć koncert wyjątkowego duetu. Siostry, pielęgniarce, moje dobre przyjaciółki. Drodzy państwo, proszę o ciepłe oklaski dla... – Anne zerknęła w dół, na Jessicę, jakby potrzebowała tej chwili na przypomnienie sobie nowej nazwy – dla Latających Aniołów!

Marisa schwyciła Samanthę za rękę i pobiegły w stronę sceny. Struny ich skrzypiec, poruszane pędem powietrza, zdawały się grać własną melodię. Ile razy w życiu pędziły tak, trzymając się za ręce? Zawsze w pośpiechu, w drodze

dokądś – na zajęcia, na koncert, na czyjeś przyjęcie urodzinowe, na ślub – zawsze razem, pewne obecności tej drugiej jak własnego istnienia...

Wspięły się na prowizoryczną scenę będącą zaadaptowanym tarasem. Popatrzyły na siebie, równocześnie skinęły głową.

– Raz, dwa i trzy – wyliczyła Samantha i zaczęły grać.

Obie były ubrane na czarno. Kowbojki Samantha miały żółte wyłogi, a te, które włożyła Marisa – turkusowe. Stały tak blisko siebie, że gdy delikatny wietrzyk poruszył lokami Samantha, kilka kosmyków wpadło Marisie do ust. Ledwie zwróciła na to uwagę. Smyczki poruszały się jednym rytmem, migały w oczach, uderzając precyzyjnie w struny.

Zagrały gigę, reela i balladę – oczywiście „Over the Hills”, ich sztandarowy utwór. Kiedy zaczęły tę ostatnią, ktoś z tylnych rzędów zagwizdał głośno z aprobatą i Marisę przez moment kusiło, żeby podnieść powieki i zobaczyć kto to – może do Cape Hawk zjechał jakiś ich dawny fan, jeszcze z czasów Baltimore –jednakże prawda była taka, że tego dnia grała tylko dla dwu osób siedzących na wprost sceny: dla małej dziewczynki, która w całości zajęła jej serce przed dziesięciu niespełna laty, i dla towarzyszącego jej mężczyzny, który sprawił, że zamknięte na innych serce powoli zaczęło się znów otwierać. Trzymała więc powieki dalej opuszczone, grając i śpiewając razem z Samantha w absolutnej harmonii.

Kiedy nadszedł czas na czwarty utwór, Samantha była gotowa przejść do niego od razu, jednakże Marisa oderwała smyczek od strun i opuściła ramię. Zaskoczona i lekko wybita z rytmu Samantha szepnęła:

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała Marisa. Po prostu chciała otworzyć na chwilę oczy.

Niebo nad ich głowami było intensywnie niebieskie, ciemniało z każdą sekundą, pozwalając zabłysnąć gwiazdom, maleńkim złoto–srebrnym punkcikom na aksamitnym firmamencie. Oczyma wyobraźni Marisa zobaczyła coś w rodzaju kociej kołyski, niteczek przebiegających po sklepieniu niebieskim i łączących poszczególne gwiazdy i osoby. Pomyślała o Lily i przesłała jej płynące z głębi duszy wyrazy miłości i słowa otuchy, życzenia, aby trzymała się, dopóki nie nadejdzie pomoc, to znaczy: ona, Samantha, Jessica i Patrick. Potem szybciotko przeniosła spojrzenie na swoją córkę i Patricka Murphy'ego.

– Teraz zagramy nasz najnowszy utwór – powiedziała głośno, spoglądając prosto w stronę Patricka. Skinął głową, a ona poczuła w gardle taki ucisk, że nie była pewna, czy jest w stanie wydusić z siebie cokolwiek.

– Gotowa? – spytała ją Samantha, szykując smyczek.

– Gotowa – odparła Marisa. Tym razem to ona wystukała rytm czubkiem buta: raz, dwa, trzy i cztery.

I siostry Mahon zaczęły grać, a po chwili także śpiewać:

*Na oceanie rozpętała się potężna burza,  
Grzbiety spienionych fal były bliskie niebu,  
Moja łupinka znalazła się tak daleko od brzegu,  
Że nie mogłam dostrzec ni domu, ni morza.  
Wokół toń i kipieli, o bogowie,  
Ja – zabawka prądów i wiatrów,  
Lecz miotana prądem życia  
Zmierzałam prosto ku tobie.  
Omal nie zapomniałam,  
Że od miłości nie ma nic lepszego,*



*Co pozwala ocalić od utonięcia każdego,*

*Kto by popadł w odmęty.*

*Jesteś moim ratownikiem,*

*Jesteś moją jutrzenką,*

*Jesteś mym bezpiecznym portem;*

*Jesteś moją morską latarnią...*

Na widowni panowała absolutna cisza. Być może słuchacze domyślili się, że są świadkami prywatnego występu, a być może nie byli tego świadomi. Tak czy inaczej, Marisa grając i śpiewając, nie miała przymkniętych powiek, tylko wpatrywała się w jedną, jedyną twarz w tłumie. Włosy tego mężczyzny były rude, a oczy niebieskie. Nawet w zapadających ciemnościach wieczoru Patrick Murphy miał niewiarygodnie jasne błękitne tęczęwki, od których Marisa nie potrafiła oderwać spojrzenia.

W końcu melodia ucichła, piosenka dobiegła końca i wszystkich zebranych na ułamek sekundy ogłuszyła cisza. Jednakże niemal natychmiast rozległy się brawa i wiwaty. Słuchacze zerwali się z miejsc i urządzili owację na stojąco. Marisa i Samantha stały na scenie, trzymając się mocno za ręce i raz po raz kłaniając się głęboko.

Jurorzy potrzebowali paru chwil na ustalenie werdyktu, wszakże Marisa przestała być go ciekawa. Ten wieczór przyniósł jej wszystko, czego naprawdę pragnęła. Nie wypuszczając dłoni siostry z uścisku, zeszła wolnym krokiem ze sceny i wpadła wprost w ramiona Patricka i Jessiki.

– Byłaś wspaniała, mamó! – piszczała Jessica. – Ciocia zresztą też! Na pewno zdobędziecie pierwszą nagrodę.

– No nie wiem – rzekła niepewnie Samantha gdzieś koło jej ucha. – Wzięliśmy udział w festiwalu właściwie psim swędem...

– Patricku – szepnęła Marisa, odwzajemniając jego uścisk i na powrót tonąc w jego turkusowych oczach.

– Byłaś niesamowita – wybąkał.

– Dziękuję...

– A ta piosenka, którą zaśpiewałyście na końcu, była chyba najcudowniejszą piosenką, jaką w życiu słyszałem...

Marisa patrzyła na niego, nie wiedząc, jak mu powiedzieć, że to on sprawił, że nuty i słowa z niej wypływały, jakby nagle puściła jakaś więżąca je dotąd tama.

Zwłaszcza że mieli oboje coś ważnego do zrobienia. Kończąc występ, obrzucając spojrzeniem sklepik Lily stojący w dole przy przystani, mając świadomość, że właśnie lojalność i przyjaźń ocaliły ją w ostatnich miesiącach, Marisa nie mogła dalej myśleć tylko o sobie.

– Patricku – powiedziała – musimy już jechać.

– O czym ty mówisz?

– Musimy jechać do Connecticut.

– Żeby pomóc Lily i Rose – dodała stojąca obok nich Jessica. – Zmieścimy się wszyscy w pana samochodzie? – zapytała. – Bo jedziemy we trójkę: ja, moja mama i ciocia Sam.

– Myślę, że z tym nie powinno być problemu – odparł z błyszczącymi oczyma.

– Ruszajmy zaraz, natychmiast – poprosiła Marisa. – Żebyśmy na pewno się nie spóźnili.

Patrick pocałował ją w usta, ujmując obiema dłońmi za głowę, tak że nagle ścichł donośny aplauz dobiegający zewsząd dokoła. Byli tylko oni, a on właśnie dał jej do zrozumienia, że razem wyruszyli już w swoją podróż.

## ROZDZIAŁ 25

W poniedziałek wczesnym rankiem Liam, Lily i Rose wyszli przed dom na skały. Liam i Lily byli już gotowi do wyjścia, ubrani odpowiednio na rozprawę, i stali nieco sztywni obok siebie, podczas gdy Rose, jak zwykle nie przejmując się niczym, kuciała przy ich nogach i spoglądała w dół na zatokę. Żadne z nich się nie odzywało, lecz wszyscy w poszukiwaniu Nanny przeczesywali wzrokiem mieniącą się powierzchnię wody opromienioną porannym słońcem.

– Znow jej nie ma – powiedziała ze smutkiem Rose.

– Może po prostu jej nie widać... – dodał Liam.

– Ale przecież gdyby tu była – upierała się Rose – prędzej czy później musiałyby się wynurzyć, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Mogła wypłynąć na powierzchnię akurat wtedy, kiedy nie patrzyłaś.

Rose obejrzała się przez ramię, żeby na niego spojrzeć. Potem, uświadomiwszy sobie nagle, że przez to może przegapić Nanny, natychmiast odwróciła się z powrotem.

– Pokazała się? – zapytała szybko.

– Nie – odparł Liam.

– Jej tu rzeczywiście nie ma, prawda? – włączyła się do rozmowy Lily. Głos miała cichy i zatroskany. – Twój program jej nie wychwytuje.

– Owszem, ale powodów może być więcej – odrzekł Liam. – Na przykład mógł się zepsuć jej nadajnik... – Oderwał wzrok od horyzontu i popatrzył prosto w oczy Lily. – Bateria była już słaba i wymagała wymiany, o czym wiedziałem od jakiegoś czasu, chociaż nic na to nie umiałem poradzić, bo cały sprzęt zostawiłem w Cape Hawk.

– Zatem naprawdę Nanny może tu gdzieś być? Mimo że nie widzieliśmy jej w ciągu ostatnich pięciu...

– Sześciu – poprawiła ją Rose.

– Sześciu dni? – dokończyła Lily, wierząc córce na słowo.

– Wszystko jest możliwe – rzekł Liam, powracając do uważnego przepatrywania powierzchni oceanu.

Nie skłamał; możliwości faktycznie było wiele. Nanny nie robiła się młodsza. Jej system immunologiczny mógł zacząć szwankować, kiedy znalazła się z dala od rodzinnych wód arktycznych, wybrawszy się w forsującą wędrówkę na południe. Nie dało się wykluczyć zarażenia pasożytami. Na pewno nie wyszło jej na zdrowie odstawienie swego przysmaku, którym był gromadnik, zwany inaczej kapelanem, i wprowadzenie do diety innych gatunków ryb. Na domiar złego w cieśninie Long Island, a zwłaszcza w jej przybrzeżnych rejonach panował ożywiony ruch motorowy. Każda łódź, każda śruba napędowa to śmiertelny wróg zwierząt morskich. Niewątpliwie Nanny po długiej podróży od brzegów Nowej Szkocji, w czasie której zdawała się towarzyszyć Rose, utraciła część swojej sprawności.

Tak, wszystko było możliwe, choć Liam w głębi ducha modlił się ile sił, aby teoria Patricka Murphy'ego okazała się błędna.

Nie potrafił wyobrazić sobie dumnej białuchy w niewoli. Oddałby wiele, aby podejrzenia Patricka się nie sprawdziły, aby się okazało, że bracia Lafarge'owie nie mieli nic wspólnego ze zniknięciem Nanny. Na wszelki wypadek jednak, nie chcąc niczego zaniedbać, przekazał informacje zdobyte przez byłego policjanta Johnowi Stanleyowi oraz Peterowi Waylandowi z Krajowej Komisji Rybołówstwa, zyskując pewność, że obecnie każda

jednostka straży przybrzeżnej, jak również każdy statek oceanograficzny bacznie wypatrują „Mar IV” na okolicznych wodach.

Sam zaś nie przestawał mieć nadziei. Podobnie jak jego przodkowie, z bocianiego gniazda „Pinnacle” wypatrujący wielorybów, które mogliby upolować dla zysku, on tkwił na posterunku na skałach przy domu Maeve i wytrwale próbował odnaleźć choćby ślad bytności Nanny w pobliżu – po to, aby jego ukochana Lily i Rose nie utraciły wiary w magię tego lata. Bo nie dało się ukryć, że kończące się właśnie lato przyniosło tej rodzinie wiele cudów.

Wiedział oczywiście, że Widmowe Wzgórza – jakkolwiek niesamowite wydawały się niektórym – stanowiły naukowe wyjaśnienie pojawienia się Nanny tak daleko na południe od Cape Hawk. Tak przynajmniej twierdziłby każdy szanujący się oceanolog. Liam wszakże był przekonany, że wiązało się z tym coś jeszcze; coś, czego nie dało się prosto wytłumaczyć ani w żaden sposób zmierzyć. Uważał, że Nanny przybyła do Connecticut pchana miłością. Wieloryby to ssaki, a życie wyższych istot pełne jest tajemnic. Na pewno nie wszystko można logicznie wytłumaczyć i zamknąć w ramach naukowych formułek. Nanny była tego najlepszym dowodem; jej zachowanie tego lata wydawało się czysto irracjonalne.

Zresztą podobnie było i z nim. Popatrzył na Lily i Rose i uświadomił sobie, że on również przestał się stosować do narzuconych sobie reguł. Większość życia spędził w fortecy, którą wznosił wokół siebie z kamienia i nieczułości. Mieszkał na odludziu, w głuszy, otoczony tylko przez podręczniki i czasopisma naukowe, zamiast przebywać pośród ludzi, których by kochał. W młodości stracił rękę z powodu tego samego rekina, który jego bratu

Connorowi odebrał życie, i w późniejszych latach w całości poświęcił się zrozumieniu tej tragedii.

Lily i Rose pokochał z chwilą, kiedy wkroczyły w jego życie. Jednakże ze względu na nadzwyczajną ostrożność Lily i jej zamknięcie w sobie zachował swoje uczucia dla siebie, nie afiszując się z nimi. Nie chciał przestraszyć Lily ani tym bardziej sprawić, by wyjechała. Szóstym zmysłem wyczuwał, że przytrafiło jej się coś potwornego i że dla własnego bezpieczeństwa musi trwać za grubym murem dopóty, dopóki będzie trzeba. Zupełnie jak on.

Z każdą upływającą chwilą przekonywał się, że jego i Lily wiele łączy. Ona również została zaatakowana przez rekina. Pewnego pięknego dnia skoczyła na główkę do wody i odtąd już nic nie było takie samo. Liam przypuszczał, że dręczyły ją identyczne pytania jak jego. Co by było, gdybym był szybszy? Co by było, gdybym nie rzucił się na głęboką wodę? Być może rekin nie zauważyłby mnie, przepłynąłby obok, pozostawiając w spokoju?...

Edward mógł jej nie zauważyć. Mógł się zainteresować inną przechodzącą kobietą, kimś, kto też miałby na sobie kosztowne ubranie, kaszmirowy płaszcz. Rekin mógł popłynąć w inną stronę, zagrozić komuś innemu. Ale wtedy nie byłoby na świecie Rose. A Liam prawdopodobnie nie poznałby Lily.

Wzdrygnął się na tę ostatnią myśl i pospiesznie wyciągnął zdrową rękę, aby objąć Lily w pasie. Choć pozornie w całości pochłaniało ją szukanie wzrokiem Nanny, on wiedział, że zamartwia się rozprawą, która miała się rozpocząć za niecałą godzinę. Lily zdawała sobie sprawę, że jej dotychczasowe życie wisi na włosku. Wkrótce system sprawiedliwości w postaci mężczyzn

odzianych w czarne togi będzie szafował decyzjami przesądzającymi o tym, jak ma wychowywać dalej swoją córkę.

Chociaż Liam ostatecznie został szanowanym naukowcem, wywodził się z długiej linii przodków – północnych odszczepieńców. Był potomkiem wielorybników, zdobywców Antarktyki, którzy wypłynęli z Zatoki Świętego Wawrzyńca i ominąwszy przylądek Horn i dalej, Przylądek Dobrej Nadziei, mierzyli się w nierównej walce z lodowatym oceanem, wychodząc cało z katastrof, dryfując na szczątkach swoich statków, żywiąc się wodą deszczową i tym, co dało im morze.

Lily tego jeszcze nie wiedziała, ale Liam zrobiłby dla niej i dla Rose wszystko. W wypadku człowieka, który broniąc brata przed rekinem, pozwolił, aby drapieżnik odgryzł mu ramię, „wszystko” to naprawdę mocne słowo. Gdyby Edward próbował dziś jakichś sztuczek, gdyby podniósł na Lily głos albo rękę... cóż, Liam przywitałby to niemal z ulgą. Ciszę przerwał dzwonek jego telefonu komórkowego.

– Halo.

– Liam, tu Pete Wayland.

– Cześć, Pete. – Liam ucieszył się, że choć na parę chwil coś odciągnie jego myśli od Edwarda i czekającej ich rozprawy sądowej. Odszedł kilka kroków od Lily i Rose, aby móc rozmawiać swobodnie. – Czy John przekazał ci już, co się dzieje? – spytał i nie dając przyjacielowi dojść do głosu, ciągnął: – Patrick Murphy, emerytowany detektyw, jest zdania, że Gerard Lafarge zamierza odłowić białuchę...

– To prawda... – Połączenie było kiepskie, jednakże nawet wśród trzasków i pisków Liam był w stanie prawidłowo odczytać podniecenie w głosie Waylanda. – Nie zgadniesz, kto się napatoczył...

– Kto taki?

– Nick Olson... Kapitan Nick Olson. Ni stąd, ni zowąd zadzwonił do mnie wczoraj i poinformował, że... dokładnie tak, jak przewidziałeś... „Mar IV” ma na pokładzie białuchę. Podał mi nawet koordynaty trawlera. Natychmiast ruszyliśmy w pościg. Lafarge faktycznie trzymał w niewoli całe stado morskich ssaków: chorych albo umierających delfinów...

– A białucha? – zapytał Liam, czując, jak staje mu serce.

– Nie – odpowiedział pośpiesznie Peter Wayland. – Wieloryba u niego nie znaleźliśmy. Mamy oczy szeroko otwarte, ale niestety na razie żadna z naszych jednostek nie odnotowała obecności białuchy na tych wodach. Jeśli to cię w jakiś sposób pocieszy, mogę ci w zaufaniu powiedzieć, że Gerard Lafarge został zatrzymany za pogwałcenie ustawy o ochronie ssaków morskich.

– Dzięki, to już coś – odrzekł Liam. – Ale i tak daj mi znać, jak tylko ją zobaczycie.

– Jasne – obiecał Wayland i rozłączył się.

Liam dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo przez cały czas przejmował się losem Nanny, mimo że miał masę innych problemów i musiał troszczyć się o osoby, które kochał najbardziej na świecie.

Nagle Rose podniosła się z klęczek i wyprostowała się na całą swoją wysokość, wycelowała palcem przed siebie.

– To ławica tasergali – powiedział Liam tuż przed tym, zanim kołujące mewy zaczęły obniżać lot i jedna po drugiej opadać w stronę wody, skąd wyciągały błękitno-srebrzyste młode ryby.

– Stąd wygląda zupełnie jak głowa Nanny – westchnęła rozczarowana Rose.



– Rose, złotko... – Lily ukucnęła przy córeczce, ujmując ją za rękę. – Postaraj się tak nie martwić. Wiesz przecież, że Nanny potrafi o siebie zadbać. Bez problemu odnalazła drogę aż tutaj, do Hubbard's Point. Jestem pewna, że teraz świetnie sobie radzi gdzie indziej. Jeszcze nie raz o niej usłyszymy...

– Ale ja za nią tęsknię – płacząco szepnęła dziewczynka.

– Ja również, złotko – rzekła Lily.

– A może Nanny już wraca do Cape Hawk? – rzuciła nagle Rose.

Obie, Lily i Rose, popatrzyły pytająco na Liama.

– Nie mam pojęcia, Rose.

Czoło dziewczynki przecięły głębokie bruzdy. Wyglądała tak, ilekroć się czymś bardzo poważnie martwiła. Nie puszczać dłoni matki, odwróciła się znów w stronę zatoki i tym razem zapatrzyła dalej, w nieznane.

Liam stał o krok za nimi i spoglądał przed siebie ponad głowami dwu istot, które były mu najbliższe na świecie. Ze smutkiem powiódł wzrokiem po ciemnym ubraniu Lily. Zarówno ona, jak i on włożyli rano poważne, stonowane w kroju i kolorze stroje, które przywieźli ze sobą z Cape Hawk. Pakując je, nie mówili o tym, ale oboje się obawiali, że Maeve nie wybudzi się ze śpiączki. W głębi ducha byli przygotowani na najgorsze, a jednak zakończenie okazało się pomyślne. Być może tak samo będzie z Nanny, pomyślał teraz.

– Miej ufność, kochanie – dodał.

– Ufność?

– Tak, musimy wierzyć, że wszystko będzie dobrze – potwierdził. .

– Z Nanny też? – upewniła się dziewczynka.

– Z nami wszystkimi – odparł Liam, spoglądając w przepełnione pytaniem i troską błękitne oczy Lily.

Rose z mamą i doktorem Neillem u boku wracali znad skał, nie wypatrzywszy nigdzie Nanny. Białucha nie pojawiła się, a teraz nadszedł czas, aby dorośli udali się do sądu. Rose miała zostać w domu z prababcią i jej przyjaciółką Clarą. Obie starsze kobiety zamierzały tego dnia zasadzić cztery różane krzaki tuż przy studni życzeń. Specjalnie z tej okazji Maeve kupiła prawnuczce słomiany kapelusik, motyczkę i ogrodowe rękawice. Tyle że kiedy Rose zajrzała do plastikowej torby, zobaczyła dwa słomiane kapelusiki, dwie motyczki i dwie pary nowiuteńkich rękawic.

– Dla kogo są te rzeczy? – spytała, unosząc dodatkowe przedmioty, jednakże Maeve w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła z typowym dla niej babcinym błyskiem w oku.

A teraz Rose, obszedłszy dom, zobaczyła, że Maeve z Clarą już są przy studni życzeń i zaczęły nawet kopać w ziemi. W powietrzu unosił się zapach świeżo odwróconej gleby. Rose uczepiła się dłoni matki, nie chcąc, by Lily odchodziła.

– Zostań – szepnęła. – Maeve kupiła dla nas nowe rękawiczki...

– Złotko – powiedziała Lily, pochylając się, aby spojrzeć córeczce prosto w oczy. – Muszę pojechać do sądu. Wolałabym zostać tutaj z tobą, ale nie mam wyboru. Nie martw się jednak. Zostajesz w domu pod dobrą opieką Maeve i Clary, a ja wrócę tak szybko, jak się da.

– Zostań – szepnęła ponownie Rose, czując, jak w gardle coś ją dławi. – Nie chcę, żebyś jechała... – Była już dużą dziewczynką i wiedziała, że w sądzie rozstrzyga się o ważnych sprawach. Trzymała kurczowo dłoń matki i wpiwszy się wzrokiem w oczy Lily, szukała w nich odpowiedzi na niezadane pytania.

– Rozumiem to – rzekła Lily – ale ja jadę tam nie dla siebie, tylko dla nas.

– Jak to?

– Mam zamiar powiedzieć panu sędziemu, jak bardzo cię kocham.

– Naprawdę? – spytała Rose.

– Naprawdę – potwierdziła jej matka. – Dlatego powinnaś mnie puścić...

Żeby cały świat mógł się dowiedzieć, jak bardzo cię kocham...

– A dlaczego zabierasz ze sobą moją historię choroby? – drażyła Rose, która minionego wieczoru widziała, jak jej mama i doktor Neill siedzą przy stole i przekładają dokumenty do osobnej teczki, tej do zabrania do sądu.

– Ponieważ pragnę też opowiedzieć panu sędziemu o tym wszystkim, przez co przeszłaś...

– Przez co przeszłyśmy – poprawiła ją Rose.

– Masz rację, złotko. Przez co wszyscy przeszliśmy... Chcę sprawić, aby pan sędzia dowiedział się o twojej wadze serca, pojął, ile jej leczenie zajęło czasu, wysiłku lekarzy i naszych wypraw do szpitali.

– Z tobą – podkreśliła Rose. – Bo ty zawsze przy mnie jesteś, mamusiu.

– Tak – potwierdziła Lily, uśmiechając się oczami. – Zawsze jesteśmy razem.

– Rose... – odezwał się doktor Neill, kładąc jej dłoń na ramieniu. Zupełnie jakby się domyślił, że właśnie w tej chwili serduszko Rose zaczęło szaleć w jej malutkiej piersi, łomocząc i waląc o żebra. Od czasu ostatniej operacji nie miała problemów z oddychaniem i ani razu nie zsiniała, ale teraz nagle poczuła, że brak jej tchu.

Doktor Neill wziął ją na ręce. Objęła go za szyję, przytuliła policzek do jego twarzy. Skórę miał gładką, tylko lekko drapiącą po porannym goleniu. Pachniał wodą kolońską i mydłem. Ciemne włosy zwijały mu się w śmieszne loczki za uszami, przechodząc w jaśniejsze, z pasemkami siwizny na

skroniach. Rose przymknęła powieki, pozwalając, aby trzymał ją i kołysał uspokajająco. Poczwała się znacznie lepiej, chociaż przecież nic nie powiedział.

– Rose! – zawołała Maeve. – Przyjdiesz tu wreszcie i pomożesz nam sadzić te krzaki? Bez ciebie chyba sobie nie poradzimy!

W tej samej chwili na drodze przed domem zatrzymał się jakiś samochód. Rose słyszała, jak podjeżdża, i teraz – wciąż na ręku u doktora Neilla – otworzyła oczy, aby zobaczyć, kto jest w środku. Auto wydawało jej się znajome, ale nie była tego pewna. Kiedy otworzyły się drzwi, pierwszy wyskoczył na zewnątrz czarny pies. Wyglądał słodko i przyjaźnie z czerwoną obrozą i różowym wywieszonym językiem i Rose natychmiast rozpoznała w nim sukę tego miłego rudowłosego policjanta, Patricka Murphy'ego.

– Flora, skarbenko! – zakrzyknęła Maeve, na równi zszokowana i uszczęśliwiona.

W tym samym momencie otworzyły się pozostałe drzwi samochodu i Rose zobaczyła, kto przyjechał.

– Jessica! – wrzasnęła, wyrывая się z ramion doktora Neilla. Ledwie postawił ją na ziemi, wyprysnęła do przodu jak wypuszczona z łuku strzała.

Jej najlepsza przyjaciółka wysiadła już z wozu i biegła ku niej. Spotkały się w pół drogi, piszcząc z radości i obściskując. Serce Rose waliło jak młot, ale była to oznaka zdrowia – nigdy nie czuła się lepiej. Jessica witając się z nią, miała w oczach łzy i Rose także piekło pod powiekami. Zamrugwała, przeganiając płacz i śmiejąc się w głos, ponieważ nagle smutek i tęsknota rozwiały się wprost w błękitne letnie niebo.

– Nie wierzę, że tu jesteś! – powiedziała Rose.

– Ja też wciąż nie potrafię w to uwierzyć! – odrzekła Jessica z powagą.

Rose złapała przyjaciółkę za rękę i poprowadziła w stronę podwórka przy pięknym domu prababci. Rozpierała ją duma, że nareszcie może pokazać Jessice, skąd pochodzi. Jej mama wychowywała się w tym przytulnym domu z prawdziwą studnią życzeń opatrzoną metalowym napisem „Ogród morski”, z różami rosnącymi wszędzie dookoła i z mieniącymi się wodami zatoki sięgającej aż skał, na których postawiono budynek.

– Dzień dobry, doktorze Neill – przywitała się Jessica.

– Witaj, Jessico – odpowiedział. – Miło znów widzieć przyjaciół z Cape Hawk.

– Miło znów widzieć pana – zrewanżowała się dziewczynka.

Ledwie skończyli wymieniać uprzejmości, z drugiej strony samochodu wyłoniła się mama Rose prowadząca mamę Jessiki i jakąś drugą kobietę. Marisa i ta nieznajoma pani były równie wysokie, jak Lily była niziutka. U boku Marisy kroczył Patrick Murphy i trzymał ją za rękę, co nie uszło uwagi Rose.

– Kochanie, ty pewnie jesteś Marisa – podeszła do nich Maeve.

– Tak się cieszę, że nareszcie mogę panią poznać, pani Jameson... – wyciągnęła rękę, jakby chciała wymienić uścisk dłoni ze staruszką, lecz ta po prostu przygarnęła ją do siebie i mocno objęła.

– A to moja siostra Samantha – dopełniła prezentacji Marisa, kiedy już Maeve wypuściła ją z objęć.

– Dzień dobry – powiedziała pani o miedzianych włosach.

– Dziękuję, że przyjechałyście tu obie – rzekła wzruszona Maeve. – To dla nas tak wiele znaczy...

– Za żadne skarby nie chciałam tego przegapić – oznajmiła Samantha. – On zrobił mojej siostrze i siostrzenicy to samo co pani wnuczce i prawnuczce.

– Jessico – powiedziała Maeve, zwracając się do najmłodszego z gości – czy lubisz pracę w ogrodzie?

Dziewczynka potaknęła.

– W Cape Hawk zasadziłam kiedyś krzak róży. Przypomina mi o naszym domu w Weston...

– To wspaniale – rzekła Maeve. – Razem z Clarą pomyślałyśmy sobie, że Rose pomoże nam w ogródku, kiedy jej mama będzie załatwiała ważne sprawy. Czy zechcesz do nas dołączyć?

Jessica popatrzyła niespokojnie na swoją mamę. Rose przypuszczała, że jej przyjaciółka tak samo niechętnie jak ona słucha o wyprawach do sądu, więc aby dodać Jessicę otuchy, uścisnęła ją mocno za rękę. Jessica natychmiast uśmiechnęła się szeroko.

– Oczywiście – odparła. – Z wielką chęcią wam pomogę.

Rose pobiegła do domu po torbę z akcesoriami ogrodniczymi, które zakupiła przewidująca prababcia. Teraz już wiedziała, dla kogo była dodatkowa para rękawic, druga motyczka i słomkowy kapelusik! Włożyła sobie jeden na głowę, po czym porwawszy torbę za ucho, błyskawicznie wróciła na podwórko. Nasadzając drugi kapelusik na głowę Jessiki, musiała wspiąć się na palce, ale wkrótce obie stały tuż obok siebie, uzbrojone w lśniącą nowość motyczki o gładkich drewnianych trzonkach.

– Gotowa! – pisnęła Rose.

– I ja też – zawtórowała jej Jessica.

Dorośli popatrzyli po sobie: dwie starsze kobiety w zwykłych, poplamionych ziemią ubiorach roboczych i w słomkowych kapeluszach chroniących od słońca oraz pięć młodszych osób ubranych jak na pogrzeb: Patrick z Marisą i Samanthą, a także oczywiście mama Rose i doktor Neill.

– Wy też jesteście gotowi? – spytał Patrick z zawadiackim irlandzkim uśmiechem.

– Tak – odparła Marisa.

– A jakże! – dołączyła do niej Lily.

– Chodźmy dobrać mu się do skóry! – zaproponował Liam.

– Wprost nie mogę się doczekać – mruknęła Samantha.

A potem Lily i Liam nachylili się, żeby jedno po drugim uściskać Rose tak mocno, jak jeszcze nigdy w życiu jej nie ściskali. Oboje spoglądali na nią z miłością i z czymś jeszcze – z czającą się w ich oczach odwagą i determinacją, że cokolwiek się stanie, nie pozwolą jej skrzywdzić. Poczwała, że coś ją chwyta za gardło, jakby nagle po długiej przerwie zobaczyła Nanny wyłaniającą się na powierzchnię po kolejną porcję tlenu. Zalała ją fala wzruszenia, jakiego chyba jeszcze nie знаła. Przymknęła powieki i pozwoliła unosić się tej fali i ich uściskom.

Później Rose przypatrywała się, jak jej mama staje naprzeciwko Maeve. Patrzyły na siebie przez czas tak długi, że zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a pomiędzy nimi śmigwały strzały miłości i mocy. Rose znowu zapiekły łzy wzruszenia, choć tym razem nie umiałyby powiedzieć, czemu zbiera jej się na płacz. Spojrzenie prababci było tak zdecydowane, by nie rzec: wojownicze, jakby właśnie wybierała się stoczyć jakąś bitwę, a nie zająć sadzeniem róż. I Maeve uczyniła coś bardzo dziwnego. Potrząsnęła ręką Lily, jakby były na spotkaniu w interesach, a nie we własnym ogrodzie.

– Niech Bóg cię prowadzi, kwiatuszku – powiedziała przy tym. – Pamiętaj, że jesteś w prawie.

– Babciu... – szepnęła Lily, rozszerzając jeszcze bardziej oczy, co sprawiło, że wyglądała niemal jak mała dziewczynka, i w tej samej chwili Rose

wyobraziła ją sobie w swoim wieku albo nawet młodszą, jak zwraca się do Maeve ze wszystkim, w każdej sprawie.

– A prawo to siła – ciągnęła Maeve, nie dając sobie przerwać. – Od tak dawna krzywdził ludzi i uchodziło mu to na sucho. Musisz temu położyć kres. Dzisiaj...

– A jeśli on mimo wszystko wygra?...

– Nie wygra – rzekła Maeve, przykładając obie dłonie do twarzy Lily i zagładając w głąb jej duszy. Pobrudzone ziemią palce pozostawiły dwa małe ślady przypominające barwy wojenne.

Doktor Neill starł je kciukiem zdrowej ręki, po czym on i Lily odwrócili się i ruszyli w stronę samochodu. Kiedy byli w połowie kamiennych schodów, Rose krzyknęła za nimi:

– Kocham cię, mamusiu!

Lily obejrzała się i popatrzyła na córeczkę. Ich oczy spotkały się na moment i Rose zobaczyła odbite w źrenicach matki błękitne letnie niebo. Uśmiechając się do dziewczynki, Lily sięgnęła po monetę, uniosła ją wysoko w górę i rzuciła do otworu studni życzeń. Krążek metalu zabłysnął w promieniach słońca, obrócił się kilka razy w powietrzu, po czym dźwięcząc, wpadł w wyłożoną kamieniami czeluść.

Jej mama wrzuciła do studni życzeń monetę, lecz to Rose pomyślała sobie życzenie.



## ROZDZIAŁ 26

Lily i Liam siedzieli z przodu, pozostała trójka zajmowała miejsca z tyłu samochodu. Marisa i Patrick wydawali się przeszczęśliwi, mimo że musieli być wykończeni po długiej nocnej jeździe. Zmierzając razem do sądu, prowadzili ożywioną rozmowę, w której dzielili się ze sobą nowinami. Lily i Liam usłyszeli więc o wyprawie Patricka do Baltimore i powrocie marnotrawnej Samantha, o wspólnym występie Upad... pardon... Latających Aniołów, natomiast siostry i policjant o tym wszystkim, co wydarzyło się od czasu, kiedy zetknęli się ze sobą po raz pierwszy w Cape Hawk. Lily myślała sobie, że zachowują się jak grupka przyjaciół zamierzających spędzić wspólnie dzień, nie zaś jak ludzie mający przed sobą niełatwą rozprawę w sądzie rodzinnym.

— Żałujcie, że nie słyszeliście, jak Marisa i Samantha grały – mówił Patrick z przekonaniem. – Były najlepsze spośród wszystkich uczestników festiwalu.

– Chociaż zajęłyśmy trzecie miejsce – wtrąciła Marisa.

– Zaczekaj do przyszłego roku – dodała Samantha ze śmiechem. – Wtedy dopiero im wszystkim pokażemy.

Lily słuchając Marisy – jej spokojnego, wyważonego głosu i przebijającej zeń nieposkromionej radości – zapomniała na moment o własnych obawach i ciarkach biegnących jej po krzyżu. Lecz trwało to tylko chwilę i zaraz znów myślała o tym, co może się stać. Na nowo drętwiała z przerażenia i oblewał ją zimny pot; była tak zdenerwowana, że wprost nie potrafiła myśleć rozsądnie. Cud, że umiała się skupić na prowadzeniu auta. Liam trzymał ją za rękę przez większość czasu, a ona raz po raz zerknęła na

siedzenie po prawej, upewniając się, że mężczyzna, którego kocha, rzeczywiście jest przy niej.

Kiedy dojeżdżając do Silver Bay, mijali stragany przy plaży i muzeum dla dzieci, pomyślała, że tak łatwo byłoby uwierzyć, że to kolejny miły letni dzień. W drogerii wciąż można było kupić kolorowe nadmuchiwane piłki i materace, wystawione w witrynie, chociaż część półek zajmowały już przybory szkolne. Po promenadzie kręcił się tłum matek z dziećmi. Wszyscy robili już zakupy na nowy rok szkolny, jednakże mało kto po wyjściu z domu towarowego zdołał oprzeć się pokusie spędzenia jeszcze paru chwil na plaży, słuchając szumu fal i szmeru przesypującego się piasku.

Gdy wjeżdżali na parking przy budynku sądu, z budki strażniczej wyszedł ochroniarz, który przywitał się miło z Patrickiem, nachylając się do opuszczonego okna, aby uścisnąć mu dłoń i zapytać, gdzie to się podziewał ostatnimi czasy.

Budynek sądu został wzniesiony w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, w przeważającej części z białej cegły, i jako typowy przykład ówczesnej architektury wydawał się całkowicie bez wyrazu. Lily przejeżdżała obok niego niezliczone razy w drodze do sklepów – najczęściej księgarni, sklepiku z płytami i małego centrum ogrodniczego – lecz czy chociaż raz zwróciła uwagę na mężczyzn i kobiety, którzy wchodzili do środka, idąc na być może najcięższą bitwę w swoim życiu, w obronie tego, co było dla nich najważniejsze?

– Nie chcę tam wchodzić – syknęła, ściskając Liama za rękę.

Wszyscy zwrócili na nią spojrzenie, odezwała się jednak tylko Marisa. Nachyliła się w stronę przednich siedzeń, aby dotknąć ramienia Lily.

– Jesteś dość silna, aby przez to przejść – powiedziała.

– Nie, nie jestem! – zaprzeczyła Lily, czując, jak ogarnia ją panika.

– Lily – zaczęła mówić Marisa swym charakterystycznym cichym, spokojnym głosem. Ich oczy spotkały się w lusterku wstecznym. – Musisz mi uwierzyć. Wiem, że masz w sobie dość siły. Zawsze byłeś dla mnie wzorem. Dlatego wejdiesz tam teraz i staniesz wyprostowana przed sędzią, i powiesz wszystko to, co masz do powiedzenia. A my będziemy tuż za tobą, trzymając za ciebie kciuki i potwierdzając każde twoje słowo.

– Wszyscy co do jednej osoby – potwierdziła Samantha.

Lily na ułamek sekundy przymknęła oczy, czując, że świat zaczyna wirować wokół niej. Otworzyła je, kiedy Liam mówił:

– Tak, Lily. Wszyscy jesteśmy po twojej stronie.

Coś w jego głosie, w spojrzeniu, którym ją obdarzył, sprawiło, że...

Nagle dostrzegła zmierzających w stronę samochodu przyjaciół: Tarę i Joego, Bay z Dannym. Gdy zbliżyli się wystarczająco, by zadać im pytanie, Patrick rzucił w stronę Joego:

– Jest tutaj?

– Niestety tak – odparł Joe. – Cały wymuskany i robiący dobre wrażenie.

– Drań – syknął Patrick.

Liam wysiadł z wozu, obszedł go dokoła i otworzył drzwi po stronie Lily. Zapatrzyła się na podaną jej dłoń. Najchętniej zostałaaby tutaj i czekała, aż sędzia przyśle po nią woźnego. Nie, wróc: najchętniej przesiedziałaby w aucie cały dzień, do czasu aż godziny urzędowania dobiegną końca i wszyscy rozejdą się do domów. A w ogóle marzyła o tym, aby wrócić do domu, uciec stąd i nie musieć uczestniczyć w tej farsie czy może raczej tragikomedii.

Ale przecież już raz spróbowała ucieczki. Teraz przyszedł czas na walkę. Podała więc rękę Liamowi i pozwoliła mu się wyciągnąć z samochodu, wpadając wprost w jego objęcia.

Zadzwoiła komórka Joego. Odebrał rozmowę i już po paru sekundach zakrył dłonią mikrofon, szepcząc:

– Wybaczcie. Idźcie przodem, spotkamy się w środku.

Już kiedy wychodzili z za rogu budynku, usłyszeli odgłosy zamieszania charakterystyczne dla tłumu przedstawicieli mediów; poskrzekiwały walkie-talkie, trzaskały migawki, rozlegały się podniecone szepty i krzyki. Gdy tylko ich grupka znalazła się na chodniku przed wejściem do budynku sądu, dziennikarze opadli Lily jak sępy. Celowali w nią mikrofonami i kamerami. Na szczęście pamiętała o tym, by iść z głową wysoko uniesioną.

– Lily! – zawołał do niej jakiś reporter.

– Maro! Panno Jameson! Pani Hunter! – krzyczeli inni.

– Ten idiota wezwał tu prasę. – Patrick z niedowierzaniem pokręcił głową.

– No cóż, w takim razie wpadł jak śliwka w kompot – wzruszyła ramionami Tara i zachichotała jak mała dziewczynka, której udał się psikus.

Lily nie miała pojęcia, o czym mówi jej przyjaciółka, ale zdziwiło ją, że Tara potrafi znaleźć zabawną stronę tej sytuacji. Czuła, jak ktoś ją popycha, a ktoś inny znów ciągnie; posuwała się naprzód jak we śnie... albo jakby trafiła w sam środek wypaczonych zapustów. Wokół panowała swego rodzaju paradna atmosfera, pełna zarówno napięcia, jak i ulgi z powodu bliskiego zakończenia sprawy. Odważywszy się spojrzeć prosto przed siebie, zorientowała się, że wielu dziennikarzy spogląda w jej stronę z przyjaznym uśmiechem na twarzy.

– Dalej, Lily! – zachęciła ją jakaś młoda blondynka.

– Nie pozwól mu wygrać! – rzucił mężczyzna w średnim wieku skryty za ciemnymi okularami.

– Trzymamy z tobą – powiedział do niej reporter jakiejś gazety czy czasopisma, kiedy przechodziła obok niego.

– Może wygłosisz parę słów komentarza?

Lily nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, wyreczyła ją więc Marisa.

– Jest nas dwie – oświadczyła, wywołując konsternację wśród dziennikarzy.

– Zapytajcie ją, jak się nazywa. – Samantha skierowała swoje słowa do prezenterki stacji telewizyjnej z Hartford, ładnej filigranowej brunetki. Lily odwróciła się akurat na czas, aby zobaczyć, jak Samantha wskazuje swoją siostrę.

– Jak się pani nazywa? – spytała posłusznie prezenterka, dając znak swemu kamerzyście i podtykając Marisie mikrofon pod nos.

– Moje prawdziwe imię i nazwisko brzmi: Patricia Hunter – odpowiedziała Marisa, stojąc dumnie wyprostowana.

W tłumie zawrzało. Przez chwilę nie sposób było rozróżnić słów, aż wreszcie ktoś krzyknął zrozumiale: – To jego druga żona!! – i rozpętało się pandemonium. Dziennikarze jeden przez drugiego przepychali się ku Marisie, gotowi zasypać ją pytaniami, zapisać albo nagrać każde wypowiedziane przez nią słowo. Lily patrzyła na przyjaciółkę, czując ciepło łez na policzkach i gulę wzruszenia w gardle z powodu postawy Marisy, i wiedziała, że choć Marisa ma wiele do powiedzenia, na razie będzie milczeć dla dobra sprawy. J e j sprawy.

Za ich plecami otworzyły się drzwi i w progu stanął – uśmiechnięty od ucha do ucha, a może nawet szczerzący się radośnie – Joe, który gestem dał znak Lily i jej kompanii, że czas wejść do środka. Zerknąwszy na Liama dla dodania sobie otuchy, trzymając się pod rękę z Marisą, Lily Malone przekroczyła podwoje sądu rodzinnego w Silver Bay gotowa poznać przeznaczenie swoje i swojej córki.

Przedstawiciele mediów nie mieli wstępu na teren sądu, toteż hol zdawał się pusty i spokojny w porównaniu z tym, co działo się na chodniku przed budynkiem. W paru miejscach ściany podpierało kilku szeryfów, poszeptujących cicho i obserwujących kroczącą środkiem korytarza grupkę. Tak jak wcześniej uczynił ochroniarz na parkingu, oni także witali się z Murphym, kiwając na niego i rzucając jakieś pytania.

Szli wolno, nie śpiesząc się, tak że dojście do bramek wykrywaczy metalu zajęło im parę dobrych chwil. Po drugiej stronie, w drodze ku wyznaczonej sali rozprawy, Lily i Marisa złapały się za ręce, splotły ciasno palce i tak wyszły za ostatni róg. Wtedy zobaczyły Edwarda. A on dostrzegł je.

I Lily odniosła wrażenie, że w jednej sekundzie znalazła się pod gołym niebem. W szklistozielonych oczach Edwarda, gdy dojrzał obie swoje byłe żony naraz, rozbłysły błyskawice; jego tęczęwki przesłoniły ciężkie chmury gotowe, zda się, sypnąć gradem i zmarzniętym śniegiem. Brakowało tylko odgłosów piorunów. Poczerwieniał na twarzy tak, że sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz eksplodować.

- Cześć, Ted! – zawołała do niego Samantha.
- Ojej – pisnęła cichutko Tara.
- Czy to jest to, co myślę? – Lily zapytała szeptem Marisę.

– Już prawie zapomniałam, jak on wygląda, kiedy dostaje szału – odszepnęła Marisa. – Ale jak widać, tylko prawie... Choć wcale tego nie chcę, wszystko do mnie wraca...

Liam objął Lily obronnym gestem.

Wściekłość ogarniająca Edwarda była tak dobrze widoczna, że wszyscy obecni aż się cofnęli. Żołądek Lily zacisnął się i podjechał jej do gardła jak zawsze wtedy, gdy bardzo się czegoś bała. Tym razem najbardziej przeraziła ją myśl, że z tym będzie musiała się zmierzyć Rose, jeśli Edward wygra. Otrząsnęła się z wszelkich uczuć i poczuła, jak twardnieje jej kręgosłup i serce.

– Zaprosił tutaj prasę, ale nie wziął pod uwagę tego, że stanie oko w oko z Marisą – skwitował zamieszanie Patrick.

– Dzień dobry wszystkim! – powiedziała głośno Lindsey Winship, zbliżając się korytarzem.

– Lindsey!... – Lily podeszła do niej i zaczęła przedstawiać prawnicze wszystkich swoich przyjaciół po kolei. Marisę zostawiła na sam koniec. – Oto moja serdeczna przyjaciółka Marisa Taylor. Przyjechała tutaj aż z Nowej Szkocji w Kanadzie, aby być tu dziś ze mną.

– Jak to dobrze, że zdecydowała się pani nam pomóc – uścisnęła jej dłoń Lindsey. – Z łatwością można podważyć zeznania jednej kobiety, ale nie sposób uczynić tego samego z oświadczeniami dwu różnych osób.

– Chcę dziś używać mojego prawdziwego imienia i nazwiska – powiedziała Marisa zdecydowanym tonem. – Nie zależy mi na tym, aby poznał mój pseudonim, odnalazł mnie i moją córkę i znów nas dręczył. Dlatego proszę do mnie mówić: Patricio.

– Zdrobniale: Patty – wtrąciła Samantha, obejmując siostrę ramieniem.

– Doskonały pomysł, Patty – pochwaliła ją pani mecenas, wodząc błyszczącym wzrokiem po twarzach wpatrzonych w nią ludzi. – Chociaż mam nadzieję, że nie będziesz musiała występować przed sądem.

– Uwaga! – syknął Liam, dostrzegłszy kątem oka, że Edward Hunter kończy rozmowę ze swoim prawnikiem i kieruje się w ich stronę. Odruchowo przygarnął Lily do siebie.

– No, no – rzucił Edward przez zęby, spoglądając to na Lily, to na Marisę. – To dopiero wyczyn... Uznałaś – spojrzał wprost na Lily – że nie zdołasz wcisnąć sędziemu kitu w pojedynkę, więc ściągnęłaś tu drugą kłamczuchę do pomocy?...

Lily i Marisa patrzyły mu odważnie w oczy, czując za sobą mur tworzony przez Liama, Patricka i Samanthę. Lily nie mogła wiedzieć, jaki zapadnie werdykt ani w jakim świetle przedstawią ją media, lecz wiedziała jedno: że to cudowne mieć tak oddanych przyjaciół i bliskich. Dzięki temu czuła się wyjątkowa i pobłogosławiona przez los.

– Żadna z nas nie musi kłamać, Edwardzie – rzekła cicho Lily.

– To szczerą prawdą, Ted – dodała Marisa – o czym wiesz najlepiej ze wszystkich ludzi na świecie.

– Byłyśmy dobrymi żonami, kochającymi i wiernymi... – szeptała z trudem Lily.

– A ty omal nie zniszczyłeś w nich dobra, miłości i oddania – rzuciła mu prosto w twarz Samantha.

– Obie jesteście szurnięte – powiedział stanowczo Edward – i zaraz udowodnię to sędziemu.

Lily tylko pokręciła głową. Stojąc w budynku sądu i czekając na wejście na salę rozpraw, poczuła, jak wzbiera w niej moc. Jakby każdy anioł, którego



spotkała w swoim życiu, spłynął teraz na ten korytarz i stanął za jej plecami. Byli z nią jej rodzice, jej dziadek, nawet brat Liama, Connor...

Ogarnęła ją pewność wynikająca z tego, w co wierzyła. Rozlało się po niej falą ciepło człowieczeństwa, głośniejsze przemówiło jej serce, wielkie, przepełnione miłością do ludzi i świata. Poczowała energię kobiecości. Miała świadomość łagodności Liama i siły uczucia, które do niej żywił, i ani cienia wątpliwości, że szczerze je odwzajemnia. Ogrzewała ją przyjaźń – po części dawna, po części całkiem świeża – oraz szacunek zupełnie obcych jej osób: dziennikarzy, którzy wykonując swoją pracę, mieli nieść świadectwo prawdy, i szeryfów strzegących porządku na terenie sądu.

Nigdy wszakże nie odnalazłaby w sobie tyle mocy, gdyby nie była matką Rose.

Szczęknięły zawiasy i Lily popatrzyła w dół korytarza, ponad zasłaniającą jej widok głową Edwarda. Zegar wskazywał już prawie dziesiątą. Lada moment miała rozpocząć się rozprawa. Zza rogu wyszły dwie kobiety niosące w ramionach sterty akt sądowych. Protokolantki – pomyślała Lily. Edward w dalszym ciągu blokował jej widoczność. Stał przed nią i przewiercał ją wzrokiem na wylot, nie zwracając uwagi na nic, co działo się wokół. Zupełnie jakby wszyscy inni, nawet Marisa, zniknęli, rozplywając się w niebycie. To ona, Lily – Mara Jameson – była jego przeciwnikiem w tym starciu. Przybył tutaj, aby pokonać ją, odnieść miażdżące zwycięstwo nad nią – i nad nikim innym.

Usłyszała, że za jej plecami rozlegają się czyjeś szepty. Poczowała, że od strony Liama przechodzi ją prąd. Chciała się poruszyć, rozejrzeć wokół siebie, ale Edward nadal hipnotyzował ją wzrokiem. Kochała go kiedyś... Nawet teraz chciała przemówić mu do rozsądku i poprosić, żeby dał sobie spokój i po

prostu odszedł, zostawiając ją w spokoju. Przecież oboje wiedzieli, że jemu nie zależy na dziecku. Patrzyła w jego oczy i widziała już tylko czern, wciągającą ją głębiej i głębiej...

Joe odchrząknął i ten ostry dźwięk oderwał uwagę Lily od spojrzenia Edwarda. Powiodła wzrokiem po twarzach przyjaciół. Joe szczyrzył się tak samo jak wcześniej, stojąc w drzwiach wejściowych do budynku, ale teraz uśmiechali się też pozostali: Tara, Bay z Dannym, Patrick, Marisa, nawet Lindsey i Liam.

– Co się dzieje? – zapytała szeptem Liama.

Tymczasem kobiety niosące akta zbliżyły się do nich i stały już tuż za plecami Edwarda. Lily dostrzegła, że Joe marszczy śmiesznie brwi, dając umówiony znak jednemu z szeryfów. Mężczyzna potwierdził skinieniem głowy, lecz nadal trwał na swej pozycji.

– Liam? – obejrzała się na niego. – Co się tutaj dzieje?

– Czyżby puściły ci nerwy? – z paskudnym uśmiechem spytał ją Edward.

– Lily nie ma powodów do zdenerwowania – odpowiedział za nią Patrick. Hunter zmierzył go nieprzychylnym spojrzeniem. – Bo wiesz, Joe i ja pomyśleliśmy sobie, że Lily i Patty powinny dziś spotkać kogoś jeszcze...

Edward nie stracił nic ze swej pewności siebie. Stał jak wmurowany, z twarzą czerwoną jak burak, i spoglądał na Murphy'ego z pogardą.

– Taa?... Niby kogo?

– Cześć, Ed – powiedziała jedna ze stojących za nim kobiet.

Średniego wzrostu – ani tak wysoka jak Marisa, ani tak niska jak Lily – miała bardzo podobne do ich ciemnokasztanowe włosy. Oczy zaś łagodne,

pełne ciepła i niebieskie jak niezapominajki. I twarz naznaczoną długą, szeroką blizną biegnącą przez prawie całą prawą stronę.

Na czole Edwarda Huntera pojawiły się krople potu. Wietrząc sensację, kilku bystrzejszych reporterów napało przez kordon ochrony przy wykrywaczu metalu i bieгло już korytarzem w tę stronę. Druga kobieta – młodsza od tej z blizną, elegancko ubrana w garsonkę, jakie noszą tylko prawniczki – na ich widok otworzyła jedną z teczek i wyjęła parę fotografii. Chwilę później zdjęcia znalazły się w ręku pierwszego dziennikarza.

Lily kątem okiem dostrzegła, co przedstawiają: zbitą na kwaśne jabłko kobietę, osobę z połamanymi kończynami, kogoś z całą głową owiniętą bandażem, zbliżenia na rany i szwy, uszczerbiony ząb w półotwartych ustach, w jakby pozbawionych stawów szczękach...

Nagle Lily olśniło.

– Judy? – zapytała, nie umiejąc powstrzymać cisnących jej się do oczu łez.

Judy Houghton uśmiechnęła się do niej i skinęła głową, po czym bez mrugnięcia niezapominajkowych oczu podeszła bliżej i przytuliła mocno Lily.

## ROZDZIAŁ 27

– Judy Houghton – powtórzyła Lily. – Byłaś przede mną.

– Tak – potwierdziła kobieta z blizną. – Tak mi przykro, że musiałas przez to wszystko przejść.

– Judy, chciałabym, abyś poznała Patricię. – Lily wskazała ręką na przyjaciółkę i trzy kobiety stanęły w kręgu, uśmiechając się do siebie i trzymając się za ręce.

Edward w końcu otrząsnął się z osłupienia i świńskim truchtem wrócił w przeciwny kąt korytarza, aby naradzić się ze swoim prawnikiem. Jego adwokat był starszawym, przygiętym przez lata mężczyzną w wystrzałowym trzyczęściowym garniturze. Dziennikarze nie poświęcali im uwagi, w całości pochłonięci przez podsunięte im fotografie. Lily nie mogła oderwać wzroku w szczególności od jednego zdjęcia – tego, które przedstawiało podobną do mumii postać popodłączaną do dziesiątków rurek.

– Czy to ty? – spytała drżącym głosem.

– Owszem – potaknęła Judy bez zmrużenia powieki. – Tamtej nocy Edward omal mnie nie zabił za to, że przyszedłam do domu trochę później, niż zapowiedziałam. Oskarżył mnie o romans z innym mężczyzną, mimo że dobrze wiedział, iż cały wieczór spędziłam u siostry.

– Przykro mi... – wyszeptała Lily, nie umiejąc powstrzymać łez na myśl o tym, co spotkało tę kobietę.

– Złamał mi wtedy nos i strzaskał kość jarzmową.

– Judy zdawała raport suchym, informacyjnym tonem, jakby to zdarzenie nie dotyczyło jej, tylko kogoś innego.

– A także połamał żuchwę w trzech miejscach. A to wszystko jednym tylko uderzeniem, wyobraź sobie. Miałam ukruszone wszystkie zęby z przodu i większość tylnych po prawej stronie. Dosłownie posłał mnie lotem koszącym w stronę okna. Zatrzymałam się dopiero na szybie, stąd to... – dotknęła lekko blizny na twarzy.

– Och, Judy... – szepnęła Marisa, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nas nie bił – oznajmiła Lily.

Judy posłała długie spojrzenie w stronę Edwarda nachylonego do prawnika, przekonującego go o czymś i zamasyście gestykułującego.

– Domyślam się, że odebrał lekcję – stwierdziła Judy – jak go przymknęli na trochę.

Lily przypominała sobie mgliście, jak Edward opowiadał jej o uderzeniu Judy. Przedstawił to tak, jakby zajście miało miejsce wieki przed tym, zanim ją poznał, a w dodatku było nieznaczącym incydentem, omal nierzeczywistym. Najbardziej ze wszystkiego zastanowił ją jednak wtedy całkowity brak wyrzutów sumienia u Edwarda. Z perspektywy wiedziała oczywiście, że opowiedział jej o tym wydarzeniu tylko po to, aby ją odpowiednio ustawić – zastraszyć, przestrzec, pokazać, co może się stać, jeśli... Mimo to spotkanie oko w oko z ofiarą tamtego czynu, z realnie istniejącą kobietą, która cierpiała z powodu odniesionych ran i została oszpecona na całe życie, wywołało w Lily nieudawane mdłości.

– W trakcie dochodzenia dowiedzieliśmy się, że był notowany przez policję – dorzucił Patrick, występując krok do przodu. – Dlatego od razu wzięliśmy go na tapetę, kiedy zniknęłaś z Hubbard's Point, Lily.

– Z tego samego powodu odszukaliśmy Judy teraz, gdy szykowała się ta rozprawa – dodał Joe.

– Liam bardzo nalegał – wyjaśnił Patrick i kiedy Lily podniosła wzrok, aby spojrzeć na swego mężczyznę, zobaczyła, że rumieni się jak mały chłopiec.

– Nie było łatwo ją odnaleźć po tylu latach – ciągnął Joe. – Właściwie do samego końca nie mieliśmy pewności, czy się uda, i dlatego o niczym ci nie mówiliśmy... Nie chcieliśmy, abyś była rozczarowana w razie naszej porażki. Chodziło o to, byś stawiała mu czoło w sądzie bez względu na wsparcie, jakie zdołamy ci zapewnić.

– Wyjechałam z Hawthorne – rzekła Judy. – Po tym co mnie tam spotkało, po prostu nie mogłam zostać. Nie chciałam też, żeby Ed... żeby Ed wprowadził w czyn swoje groźby.

– Groźby? – powtórzyła zdrgnięta Lily.

– Pamiętam, że kiedy przeczytałam o twoim zniknięciu – kontynuowała Judy, jakby jej nie słyszała – od razu pomyślałam, że to on cię zabił. Ale przez cały czas miałam nadzieję, że jednak ci się udało, że uciekłaś...

– Bo uciekałam – przerwała jej Lily. – Uciekałam, ile sił, aby ratować życie swoje i mojego dziecka.

– Jak ono się miewa? – zapytała Judy z uśmiechem.

– Doskonale – odparła Lily, także się uśmiechając.

W tej samej chwili podszedł do nich Edward. Twarz miał bladą i ściągniętą, gdy stał patrząc na nie, wodząc wzrokiem od Judy przez Lily do Marisy i z powrotem, a kiedy się odezwał, głos zauważalnie mu drżał.

– Nie możecie mnie tknąć – powiedział.

– Tknąć cię? – nie zaskoczyła Judy.

– Zapłaciłem za to – wskazał brodą dziennikarzy wyrywających sobie zdjęcia. – Wezwałaś policję i kazałaś wsadzić mnie do więzienia.

Odsiedziałem swoje. Odkupiłem winę, nie możecie mnie więc znowu skrzywdzić.

– Skrzywdzić ciebie? – powtórzyła z niedowierzaniem Lily. Serce zaczęło jej walić, była gotowa krzyczeć i tupać z wściekłości. Judy dostrzegła to i uspokajającym gestem położyła jej dłoń na ramieniu.

– On nic nie rozumie – rzekła. – Nigdy niczego nie rozumiał. Ale na pewno jeszcze nie zapłacił za wszystkie swoje winy.

– Do zobaczenia na sali sądowej – rzucił zimno Edward i odszedł.

– Pracował w firmie mojego ojca – opowiadała Judy. – Tak go poznałam. Mój tata był maklerem na nowojorskiej giełdzie. Miał też parę łódek. Ed początkowo wykonywał drobne prace przy tych łodziach, ale był bystry, zabawny i przypadł mojemu ojcu do gustu. Z tego co wiem, Ed miał w zwyczaju czytać przy tacie „Wall Street Journal” i pytać go o radę, w co najlepiej ulokować nadwyżkę wolnych środków na koncie. W pewnym momencie zaczęli rozmawiać o inwestycjach i mój ojciec był zdumiony przenikliwością Eda. Dlatego zaproponował mu pracę na stanowisku swojego asystenta. W ten sposób to się zaczęło.

– Twój ojciec dał mu pracę... – powiedziała Marisa jakby do siebie.

– Ed na giełdzie poczuł się jak ryba w wodzie. Natychmiast zaczął zyskiwać przyjaciół i sojuszników. Był łatwy w obyciu, miły, w dodatku stworzył mit o tym, jak to ukończył jedną z prestiżowych uczelni. Na rynku papierów wartościowych panował akurat prawdziwy boom i udało mu się otrzymać samodzielne stanowisko tuż po tym, jak od niego odeszłam. – Judy zaśmiała się cicho. – Chyba nie wyszło mu to na dobre...

– Nie wyszło mu na dobre? Dlaczego? – zainteresowała się Lily.

– Cóż... – zaczęła wyjaśniać Judy, ale młoda prawniczka wpadła jej w słowo.

Lily po raz pierwszy przyjrzała się jej uważniej i od razu zapalała sympatią do tej eleganckiej kobiety, ubranej w grafitową garsonkę w subtelną jodełkę i w klasycznych czółenkach na odpowiednio wysokim obcasie – ani za niskim, ani za wysokim – i z niemal czarnymi włosami spiętymi gładko z tyłu w ciasny warkocz, co jej na pewno wyszło na dobre, ponieważ trzymając naręcze grubych teczek z aktami procesowymi, nie byłaby w stanie odgarniać niesfornych opadających kosmyków. Co do tego, że kobieta ta była prawnikiem, Lily nie miała najmniejszych wątpliwości także dlatego, że ilekroć Lily, Judy i Marisa pograżały się w rozmowie, ona nachylała się ku Lindsey i zawzięcie o czymś ją przekonywała.

– Nie miałyśmy przyjemności się poznać – powiedziała teraz do niej Lily, wyciągając rękę na powitanie. – Nazywam się Lily Malone. Czy pani jest adwokatem Judy?

– Proszę mi mówić po imieniu – odrzekła nieco spłoszona młoda kobieta. – Nazywam się Rebeka. I przepraszam, że od razu się nie przedstawiłam, ale trochę mnie to wszystko przerosło. Odpowiadając na pani pytanie: tak, można powiedzieć, że jestem adwokatem Judy.

– Bardzo dobrym adwokatem – podkreśliła Judy z dumą.

Ich rozmowę przerwało skrzypnięcie drzwi i sygnał, który dał stojący najbliżej szeryf. Można już było wchodzić na salę rozpraw. Edward Hunter zaczął się o coś kłócić ze swoim prawnikiem. Starszawy przygarbiony mężczyzna doradzał coś klientowi, ten zaś zdecydowanie kręcił głową i wymachiwał palcem, wyraźnie negując radę. Lily patrzyła na tę scenę



zafascynowana, kiedy poczuła lekkie klepnięcie w ramię. To Lindsey przywołała ją do rzeczywistości.

– Gotowa do akcji? – spytała klientkę.

– Tak. – Uśmiechnęła się do niej, po czym przeniosła spojrzenie na Judy i uśmiech jeszcze jej się poszerzył. – Tak, jestem gotowa.

Zaczerpnęła do płuc powietrza i mając u swego boku Lindsey i Judy, a za sobą Liama, Marisę i resztę przyjaciół, przestąpiła próg sali rozpraw.

Liam patrzył na Lily w akcji i nie mógł wyjść z podziwu. W ostatnich dniach ilekroć na nią spojrzął, pragnął powiedzieć jej o tym, czym zajmowali się Joe z Patrickiem – mianowicie o przygotowywaniu za jej plecami materiału, jakiemu sędzia prawdopodobnie zechce przyjrzeć się dokładniej, jak również o poszukiwaniu dwu innych kobiet, które przewinięły się przez życie Edwarda Huntera, i o próbach przekonania ich, aby wzięły udział w procesie. A wszystko po to, aby przetrzeć szlak dla Lindsey Winship mającej przedstawić wniosek Edwarda Huntera w takim świetle, aby sąd uznał go za bezzasadny, pozbawiony jakichkolwiek podstaw, i odrzucił, nim pomysł ustalenia, kto jest biologicznym ojcem Rose, zdąży wyrządzić więcej szkód.

Lecz od chwili kiedy Lily znalazła się na sali sądowej, kiedy Liam pocałował ją delikatnie w policzek, gdy została wezwana do złożenia zeznań, kiedy podeszła do barierki dla świadków i uniosła dłoń do przysięgi, dostrzegał zachodzącą w niej diametralną zmianę. Musiała ją w niej wywołać świadomość absolutnego, niezachwianego niczym poparcia przyjaciół, a zwłaszcza Marisy i Judy. Liam dyskretnie przeniósł wzrok na dwie kobiety siedzące pomiędzy nim a Samanthą – wszyscy zajęli miejsca w pierwszym rzędzie – i po raz n–ty zastanowił się, jakiego rodzaju człowiek mógłby chcieć złamać ich ducha.

Jeśli cokolwiek poprawiało mu humor, to tylko widok Edwarda Huntera siedzącego z ponurą miną za stołem dla powoda. Od czasu do czasu nachylał się do swego adwokata i poszeptywał coś do niego nerwowo. Twarz zgarbionego nad blatem mężczyzny była pobrużdżona głębokimi zmarszczkami, jego spojrzenie pełne napięcia i czegoś, co wyglądało chyba – tak to przynajmniej odbierał Liam – na szczyry niepokój.

Woźny uderzył młotkiem i rozprawa się zaczęła.

– Proszę wstać, sąd idzie. Przewodniczącym składu sędziowskiego jest sędzia wydziału rodzinnego niniejszego sądu, pani Martha D. Porter... Proszę siadać.

Sędzina była kobietą po pięćdziesiątce, wysoką i smukłą, z przyprószonymi siwizną ciemnymi włosami i delikatną opalenizną. Wolno powiodła wzrokiem po całej sali rozpraw zmęczonymi, lecz bystrymi oczyma, które zapewne widziały aż nadto ludzkiej krzywdy.

– Sędzia Porter jest kobietą? – usłyszała Lily szeptać Bay.

– Tym lepiej! – ucieszyła się wyraźnie Tara.

– Rozprawa wstępna w sprawie Hunter kontra Malone – odczytała protokolantka. – Porządek rozprawy...

– Proszę o wybaczenie, wysoki sądzie – odezwała się Lindsey Grant Winship, wstając. – Za pozwoleniem wysokiego sądu chciałabym zgłosić poprawkę do porządku rozprawy.

– Tak, pani mecenas? Reprezentuje pani stronę pozwaną, zgadza się?

– Owszem, wysoki sądzie. Aż do tej chwili reprezentowałam pozwaną Lily Malone i jej małoletnią córkę Rose Malone. Ale jestem zmuszona wycofać się z udziału w rozprawie z powodu konfliktu interesów.

Lily omal się nie udławiła.

Po przeciwnej stronie sali Edward zdwoił czujność. Jego adwokat szeptem tłumaczył mu, co się właściwie dzieje, przekładając oficjalny prawniczy język na zrozumiały dla zwykłych ludzi. Na twarz Huntera zaczął wypływać uśmiech, który stawał się coraz szerszy z każdym wypowiedzianym przez staruszkę słowem. Jednakże Edward uśmiechał się samymi wargami, jego radość nie sięgała oczu i z pewnością nie wypływała z głębi duszy, jak gdyby ten człowiek w ogóle nie miał czegoś takiego jak dusza. Po prostu zareagował zadowoleniem na czyjeś cierpienie. Liam dostrzegł to i poczuł mdłości.

Na twarzy Lily malowała się mieszanka uczuć: stropienie, ból, strach, kiedy Lindsey robiła porządek w dokumentach przed sobą i odwracała się w stronę sędziny. W pół ruchu nachyliła się na ułamek sekundy do swojej klientki i szepnęła jej coś na ucho.

– Wysoki sędzie – przemówił adwokat Huntera. – To czego jesteśmy świadkami, stanowi dość nietypowe zachowanie i dlatego muszę zgłosić sprzeciw. Wymówienie pani Malone pomocy prawnej w takiej chwili zakrawa na okrutny żart. Przypominam, że mój klient cierpliwie czekał przez dziewięć lat, aby spotkać się ze swoją córką...

Rebeka, prawniczka Judy Houghton, prychnęła i pozwoliła sobie na krótki ironiczny uśmiech.

– Wysoki sędzie – kontynuowała niezrażona Lindsey. – Pragnę przedstawić wysokiemu sądowi niniejsze oświadczenia złożone pod przysięgą, jak również nakazy sądowe przemawiające na korzyść mojego nowego klienta. – Podała plik dokumentów urzędnikowi sądowemu, który zaniósł je do prezydium. – Jak wysoki sąd widzi – ciągnęła po chwili – zapadł już nawet

pewien wyrok rzucający całkowicie nowe światło na sprawę. Czy wolno mi podejść?

– Tak – odparła krótko sędzina i Lindsey położyła na blacie przed nią jeszcze jeden dokument, po czym umieściła jego kopię na stole, za którym siedzieli Hunter i jego adwokat, ale tak aby kartka znalazła się tuż przed nosem Edwarda.

Nawet patrząc z takiej odległości, Liam zauważył, że Edward zbladł jak ściana. Jego twarz w ułamku sekundy nabrała brzydkiego szarobiaławego odcienia, jaki jest charakterystyczny dla rekiniego brzucha. Staruszek robił co mógł, aby także rzucić okiem na dokument, ale Edward najwyraźniej nie miał ochoty mu go pokazać. W końcu jednak przepychanka zakończyła się zwycięstwem czerstwego staruszka i on również stał się biały jak prześcieradło.

– Jak właśnie udowodniłam, wysoki sędzie – kontynuowała Lindsey Winship – pan Hunter ma spore zaległości w łożeniu na swoje małe dziecko.

– Wysoki sędzie! – Prawnik Edwarda odzyskał głos. Co więcej, był w stanie mówić stentorowym tonem. – Ten nakaz sądowy liczy sobie wiele lat. Został wydany w imię dobra małego, który nie jest przedmiotem zainteresowania wysokiego sądu, a nawet nie jest już małym!

– Mam dwadzieścia jeden lat – uściśliła Rebeka, podnosząc się z miejsca.

– Wysoki sędzie! – zawołał z patosem przygarbiony staruszek, podczas gdy Edward rozglądał się rozpaczliwie w poszukiwaniu wyjścia awaryjnego.

– Wysokie sędzie – wpadła mu w słowo Rebeka. – Edward Hunter miał płacić na mnie alimenty, począwszy od dnia, w którym się urodziłam, a moja matka przebywała w szpitalu. Wcześniej tego samego dnia udała się do swojej

siostry, a mojej ciotki, aby obszyć zasłony do pokoju dziecinnego, i po powrocie mąż skatował ją za zarzucany jej niesłusznie romans z innym mężczyzną, co skończyło się tym, że zaczęła przedwcześnie rodzić.

Liam widział, jak usta Lily otwierają się na całą szerokość, a w jej oczach pojawiają się niehamowane łzy. Podobnie jak ona miał pod powiekami obraz z dnia, w którym narodziła się Rose, i jej nieudawane cierpienie.

– Cóż, Edward Hunter może powiedzieć, że ma pecha, ponieważ moje przedwczesne narodziny... urodziłam się trymestr przed czasem... oznaczały, że musiał zapłacić za trzy miesiące więcej.

– Wysoki sędzie – ponownie włączyła się Lindsey. – Zasądzono alimenty w wysokości dwóch tysięcy dolarów miesięcznie, z czego pan Hunter z własnej nieprzymuszonej woli nie zapłacił ani grosza. Przez jakiś czas pani Houghton była w stanie ściągać swoją należność z jego pensji, ale utraciła tę możliwość, kiedy jej były mąż przed dziewięciu laty niespodziewanie zmienił miejsce stałego pobytu.

– Uzbierała się niezła sumka, panie Hunter – wtrąciła sędzina, kręcąc głową.

– Wysoki sędzie... – niepewnie odezwał się staruszek. – Na tym nakazie jest napisane, że obowiązek świadczenia alimentów ustaje z dniem zakończenia nauki przez córkę pana Huntera. Skoro panna sama przyznała, że ma już dwadzieścia jeden lat, a zatem college za sobą, nie widzę powodu, aby...

– Kontynuuję studia magisterskie na wydziale prawa – przerwała jego tyradę Rebeka. – Mój ojciec nigdy nie życzył sobie mnie poznać, więc tego nie wie. A ja, po latach przyglądania się, jak moja matka walczy po sądach,

uznałam, że mam odpowiednie predyspozycje do wykonywania zawodu prawnika.

Liam uśmiechnął się, słysząc słowa tej młodej, pełnej zapału i słusznego gniewu, a przy tym uroczej kobiety stojącej oko w oko z oszołomioną sędzią i osłupiałym ojcem. Rebeka była wysoka i zgrabna i oczywiście miała ciemne, bursztynowe włosy – jak Lily, jak Marisa i jak jej matka. Liam zaczął podejrzewać, że gdyby udało im się dotrzeć do matki Edwarda Huntera, okazałoby się, że i ona była ciemnowłosa.

– Naturalnie moim marzeniem jest zostać sędzią sądu rodzinnego – ciągnęła Rebeka, spoglądając prosto w oczy swojemu ojcu. – Ale zadowolę się posadą adwokata doradzającego kobietom maltretowanym przez mężczyzn takich jak mój ojciec.

Choć było to nad wyraz niestosowne zachowanie, na sali rozpraw rozległy się oklaski. Liam rozglądał się wokół siebie, kiedy do bicia braw przyłączali się wszyscy siedzący: Marisa, Samantha, Tara, Joe, Bay, Danny, Patrick, wpuszczeni na salę dziennikarze i przypadkowi ludzie. Najgłośniej ze wszystkich klaskała Lily. Sędzina pozwalała na to odstępstwo od rutyny przez kilka uderzeń serca, po czym grzmotnęła młotkiem w blat.

Korzystając z zamieszania, Edward z prawnikiem odbyli pośpieszną naradę. Sędzina spoglądała na nich bez cienia emocji, czekając, aż podniosą głowy.

– Wysokie sędzie – uprzedziła konkurencję Lindsey. – Pan Hunter może się poszczycić niewywiązywaniem z obowiązku alimentacyjnego wobec swojej pierwszej córki, na podstawie czego jestem w stanie wysnuć wniosek, iż jego rzekome pragnienie poznania Rose jest wyssane z palca i ma więcej wspólnego z jego niechlubną przeszłością i gwałtownością, za którą został

prawomocnie skazany, aniżeli z rzeczywistą chęcią nawiązania wartościowego kontaktu z własnym dzieckiem. Oczywiście możemy zawsze porozmawiać o alimentach dla Rose...

– Wycofujemy wniosek o ustalenie ojcostwa! – krzyknął adwokat Huntera.

Sędzina rozważała coś przez chwilę, wreszcie powiedziała:

– Rose Malone ma prawo wiedzieć, kto jest jej biologicznym ojcem, jak również otrzymywać od niego środki na utrzymanie. Dlatego jeśli pani Malone życzy sobie wystąpić o ustalenie ojcostwa jej dziecka...

– Nie! – wrzasnęła przeraźliwie Lily. – To znaczy, chciałam powiedzieć... Nie, dziękuję, wysoki sędzie.

Edward zamienił parę słów ze swoim adwokatem, po czym wstał i ruszył między rzędami do wyjścia.

– Wysoki sędzie – ratował sytuację stary prawnik. – Pan Hunter właśnie poprosił o chwilę przerwy, aby mógł...

Zanim skończył mówić, drogę Hunterowi zastąpił Joe Holmes. Rozstawił szeroko nogi, błysnął odznaką.

– FBI – powiedział. – Jest pan aresztowany za naruszenie ustawy o świadczeniach alimentacyjnych z dnia...

– Oliwa sprawiedliwa, zawsze na wierzch wypływa – zacierała ręce Tara, widząc, jak Joe na oczach zdumionych ludzi zatrzaskuje kajdanki na nadgarstkach Huntera. – A jeszcze mu dołożą za to, co zrobił Maeve...

Siedzący z tyłu sali dziennikarze pisali w swoich notatnikach, aż furczało, a rysownicy uwieczniali *personas dramatis* piórkiem i węglem, aby w popołudniowych wiadomościach mogły się ukazać ich portrety.

Sędzina ponownie uderzyła młotkiem w blat, krzyżąc, aby strażnicy zaprowadzili porządek na sali rozpraw, usuwając z niej wszystkich obecnych.

Lily pierwsza opuściła miejsce za barierką, rzucając się prosto w ramiona Liama. Później po kolei ścisnęła każdego, kto przyjechał z nią z Hubbard's Point i za nią z Cape Hawk. Najsilniejsze uściski zachowała na koniec, dla Judy i Rebeki.

– Dziękuję – mówiła, ściskając Rebeke. – Chyba nigdy nie zdołam wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna za odwagę i za to, że postanowiłaś powiedzieć prawdę.

– Jestem z ciebie taka dumna – mamrotała przez łzy Judy. Dwa strumyczki spływały jej po policzkach; ten na prawym spowalniany był przez szorstkość skóry i zagłębienia blizny.

– Zrobiłam to dla nas, mamo – rzekła Rebeka. – I dla Rose.

– Dla Rose? – zdziwiła się Lily.

– Dla mojej przyrodniej siostry.



## ROZDZIAŁ 28

Maeve wiedziała, że nadszedł czas pożegnań. Postanowiła więc, że zaprosi na huczne przyjęcie do swojego domu wszystkich, nie wyłączając Jude i Rebeki, które bardzo chciała poznać. Clara jak zwykle przyklasnęła jej pomysłowi i we dwie zamówiły rozstawienie wielkiego żółto-białego namiotu pomiędzy swoimi domami oraz catering w sprawdzonej restauracji.

– Zdajesz sobie sprawę, że ten namiot stoi dokładnie w tym samym miejscu, w którym Edward i ja braliśmy ślub? – zapytała ją Lily.

– Ależ oczywiście, kwiatuszku – odparła niezbita z pantałyku Maeve. – Uznałam, że najwyższy czas przegonić złe wspomnienia i oczyścić ziemię w tamtym kawałku ogrodu. Czy on naprawdę trafił za kratki?

– Naprawdę – potaknęła Lily. – Jest w więzieniu federalnym. Joe już mi mówił, że odkąd rozniosła się o tym wieść, na policję zaczęło się zgłaszać wielu odnalezionych nagle cudem ojców, którzy wyrażają skruchę i chęć uregulowania zaległych alimentów i innych zobowiązań. W większości są puszczani wolno po ustaleniu harmonogramu spłat z zainteresowaną stroną, ale Edward na razie nie ma na to szans. Jest recydywistą, można powiedzieć. Poza tym zaleganie z alimentami to tylko czubek góry lodowej, policja prowadzi parę innych dochodzeń w jego sprawie, wliczając usiłowanie pozbawienia życia ciebie – zakończyła.

– I była jeszcze ta sprawa z Internetem – dodała zamyślona Maeve. – Marisa o niej wspominała.

– Edward w swoim działaniu był bardzo poprawny politycznie – zażartowała wisielczo Lily. – W swoim drapieńczym procederze nigdy nie

natknął się na ofiarę, która by mu się nie podobała. A przy tym był takim zadufanym w sobie ignorantem... –westchnęła.

– Tara wiedziała?

– Sądzę, że wiedzieli wszyscy oprócz mnie – ponownie westchnęła Lily.

– Tara już dawno naciskała Joego, żeby go przymknął. Patrick miał go na oku od zawsze, a jego czujność tylko się wzmogła po twoim tajemniczym wypadku. Liam dowiedział się ostatni, ale przynajmniej miał na tyle świeże podejście do sprawy, że wpadł na to, aby ściągnąć na proces Marisę i Judy.

– Tak, to był faktycznie świetny pomysł. A co do mojego wypadku, cóż...

– Gdy Patrickowi udało się wywęszyć, że Edward pracował przy łodziach, natychmiast skontaktował się z ich właścicielem. Okazało się, że swego czasu Edward przeprowadzał naprawy systemów grzewczych na jednostkach pływających. Stąd więc jego rozległa wiedza na temat przewodów, wentylacji, trujących wyziewów i takich tam...

– Hm – zamyśliła się Maeve. – Moim zdaniem, jeśli Edward maczał w tym palce, Patrick prędzej czy później mu to udowodni. Sprawiedliwość jest nierychliwa, ale życie długie...

– Czy to inna wersja twojego ulubionego powiedzonka, że prawo to siła? – spytała Lily z uśmiechem.

Jej babcia skinęła z powagą. Wyglądała przez okno na migotliwie połyskującą powierzchnię zatoki. Światło słoneczne odbijało się w jej przejrzystych jak u młodej dziewczyny oczach, a na ustach błąkał się delikatny uśmiech. Na zewnątrz panował harmider. Wszędzie: na podwórku, za domem, w ogrodzie, na skałach kręcili się ludzie organizujący huczne przyjęcie. Rozstawiano namiot, przygotowywano bar, rozkładano stoły i krzesła,

zamiatano ziemię w miejscu, gdzie miał być „parkiet”. Liam i Patrick, Marisa i Samantha, Rose i Jessica także byli na dworze.

– Babciu? – przerwała milczenie Lily. – Czemu się tak zamyśliłaś?

Maeve przeniosła na nią spojrzenie swych łagodnych oczu. Nie po raz pierwszy od powrotu do Hubbard's Point Lily uderzyło, jak bardzo jej babcia się postarzała. Było nie było, minęło aż dziewięć lat od chwili, kiedy po raz ostatni spędzały ze sobą lato. Teraz każda sekunda z tych dziewięciu lat ciążyła na sumieniu Lily jak ołów.

– Myślałam o tobie, kwiatuszku – powiedziała cicho Maeve.

– O mnie? Dlaczego?

– Bardzo się bałam tamtego dnia, kiedy jechałaś na rozprawę do sądu. Myślałam, że Edward raz jeszcze zrobi podłą czarodziejską sztuczkę, mydląc wszystkim oczy i nastawiając sędziego przychylnie do siebie.

– Z panią Porter to by mu się nie udało, nawet gdyby nie przybyła odsiecz – zaśmiała się Lily.

– Nigdy nie wiadomo... – Maeve wzruszyła ramionami. – Przecież nawet nie wysłuchała waszych zeznań. Czasem zastanawiam się, jaki werdykt by wydała, gdyby na scenie nie pojawiła się Judy z Rebeką.

– Masz rację, tego nigdy się nie dowiemy...

– Niewykluczone, że sprawiedliwości stałoby się zadość – rzekła z namysłem Maeve. – Ale co to naprawdę znaczy? Nasz system prawny w ogólności, a pracujący w nim mężczyźni w szczególności muszą się jeszcze wiele nauczyć na temat przemocy w rodzinie.

– Rebeka dołoży starań, aby tak się stało – zapewniła ją Lily.

– Och, wprost nie mogę się doczekać, kiedy nareszcie ją poznam! – zawołała Maeve. Jednakże wzrok miała nadal poważny, czego Lily nie potrafiła zrozumieć.

– Co się dzieje, babciu? Czy coś jest nie tak?

Maeve westchnęła i odwróciła szybko głowę. Nie zrobiła tego jednak dość szybko, aby Lily nie zdążyła dostrzec w jej oczach łez.

– Chciałabym, żeby to wystarczyło... – szepnęła.

– Słucham? – dopytywała Lily. – Co ma wystarczyć?

– To – odparła Maeve, zataczając ramieniem szeroki łuk. – Twój powrót do domu, moje zabawy z ukochaną Rose i z Liamem, Edward w więzieniu, poczucie, że sprawiedliwości stało się zadość... To bardzo dużo, ale...

– Ale nie dość.

Maeve potrząsnęła głową. Podniosła etui na okulary, które Lily własnoręcznie wyhaftowała w Cape Hawk – przez całą długość pokrowca biegł napis: NANOUK, a w jego tle wielorybi ogon uderzał o powierzchnię oceanu.

– Tylko tyle z ciebie miałam przez ostatnie dziewięć lat... – rzekła staruszka.

– Przez całe życie Rose – dodała Lily.

– Zrobiłaś to etui dla mnie, wyhaftowałaś je z myślą o mnie i przysłałaś mi, więc przyciskałam je do serca, o tak

– Maeve pokazała, jak tuliła do piersi mały woreczek na okulary – i modliłam się za ciebie i za twoją śliczną córeczkę. Na Boga, nie znałam nawet jej imienia!

– Nie mogłam ci go zdradzić – broniła się Lily. – Obawiałam się, że Edward w jakiś sposób je od ciebie wyciągnie i dotrze do nas. Bałam się także tego, że mogłabyś zacząć za nami tęsknić tak bardzo, jak my tęskniłyśmy za

tobą. Im więcej byś wiedziała o naszym życiu, tym bardziej by ci nas brakowało... Dlatego tak mało myślałam o tobie, o domu przez te wszystkie lata. Za dnia miałam głowę zaprzątniętą innymi sprawami, ale w nocy... w nocy nachodziły mnie sny...

– Ach, sny – powtórzyła Maeve. – Ty również mi się śniłaś. Szłaś obok mnie i trzymałaś mnie mocno za rękę.

– A mnie się śniło, że znów jestem małą dziewczynką i że odprowadzasz mnie na autobus do szkoły, a ja kurczowo ściskam twoją dłoń...

– Wygląda na to, że śnił nam się ten sam sen.

— W moich snach zawsze było pełno róż – dodała Lily. – Zupełnie jak w twoim ogrodzie.

– Artemis, duet, cherry and brandy... – rozmarzyła się Maeve.

– I wszystkie te dzikie róże rosnące pomiędzy domem twoim i Clary! – ożywiła się Lily.

– Jak myślisz, czy kiedy znów odjedziesz, dalej będziemy śniły o tym samym? – zapytała poważnie Maeve, wyciągając ku Lily ramiona.

Lily wtuliła się w babcię i wymruczała:

– Chyba nie będzie takiej potrzeby... Bo nigdy nie wyjadę na długo. A ty będziesz przyjeżdżała do nas do Cape Hawk. Musisz w końcu zobaczyć nasz dom i mój sklep! Odprowadzić Rose do szkoły, tak jak kiedyś odprowadzałaś mnie. Wszystkie wakacje będziemy spędzać razem...

– Tak, w wakacje było mi bez was najciężej.

– Ja również wtedy najbardziej tęskniłam – przyznała Lily, odsuwając się i ocierając oczy na wspomnienie straszliwego bólu i nostalgii, które odczuwała zwłaszcza w pierwszych latach rozłąki.

Za oknem fale uderzały o skały, szemrząc cicho. Promienie słońca i wodne odblaski odbijały się na białym suficie, porywając w taniec cienie i zawieszono w powietrzu drobinki kurzu. Nawoływały się morskie ptaki. Ponad ich krzykami niósł się piskliwy głosik Rose dokazującej na płyciźnie razem z Jessicą, na tyle donośny i jak zawsze perlisty, że obie kobiety: babcia i wnuczka, musiały się uśmiechnąć i otrzeć ostatnie łzy. Maeve podała Lily swoje etui.

– Nauczyłaś się pięknie haftować – pochwaliła.

– Zaczekaj, aż zobaczysz mój sklep!

– A co z twoimi planami wydawniczymi? Czy nie mogłabyś powiadomić tamtego wydawcy, że wróciłaś i jesteś gotowa podjąć nowe wyzwanie? Czasopismo zatytułowane „W domu z Lily” to by dopiero było coś. Zostałabym twoją najwierniejszą czytelniczką.

Lily uśmiechnęła się smutno, potrząsnęła głową.

– To już raczej zamknięta sprawa...

– Więc to też ci ukradł? – wybuchnęła Maeve. – Może powinnaś dalej walczyć o swoje...

– Prowadzę życie, które mi odpowiada, babciu – tłumaczyła spokojnie Lily. – Mam dom położony w cudownym, magicznym miejscu. Tylko ciebie mi brakowało, ale teraz znów cię mam. W „Igle z nitką” sprzedaję swoje wyroby kobietom, które są w stanie je docenić. No i jest Rose... Moja mała Rose, która pochłania niemal całą moją energię. Zważywszy na to, co ją spotkało, nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miała szansę założyć własne czasopismo. Aczkolwiek muszę przyznać, że sama propozycja, którą mi wtedy złożono, niezwykle pochlebiła mojej próżności.

– Po prostu komuś spodobał się twój pomysł na tkanie życia – rzekła z uśmiechem Maeve. – Wymyślania go, projektowania, haftowania i na koniec sprzedawania ludziom w całej Ameryce.

Lily przytuliła mocno babcię.

– Podczas gdy zwyczajnie żyć jest zarazem o niebo łatwiej i trudniej – powiedziała.

Maeve odwzajemniła uścisk – mocno, ale nie zbyt mocno – wiedząc, że Lily być może znów ją opuści, ale kiedyś przecież do niej wróci.

Oderwały się od siebie i Maeve poszła odszukać Clarę, Lily zaś udała się na poszukiwania Liama i Rose, ponieważ powoli zbliżał się czas hucznego przyjęcia.

Muzyka zaczęła grać niemal w tej samej chwili, kiedy na firmamencie pokazała się pierwsza gwiazdka, a właściwie Gwiazda Wieczorna, rzucająca na zachodnim niebie swoją fiołkoworóżową poświatę. Dzięki niej na wysokie sosny i rozłożyste krzaki róż padały głębokie, nasycone barwą cienie, a nad zatoką powstało coś w rodzaju rozpiętej nisko świetlnej sieci. Powietrze było balsamiczne i ciepłe, bez śladu po chłodniejszych akcentach z minionego tygodnia. Jak gdyby aura i tym razem chciała pożegnać Lily przyjemną letnią bryzą przed jej wyjazdem na północ.

Zjawili się wszyscy zaproszeni goście – z plaży i z miasta

– i jeden po drugim witali się z Maeve i z Clarą stojącymi przy studni życzeń. Obie gospodynie wieczoru miały na sobie długie suknie z szalami zarzuconymi na odkryte ramiona i na przemian kierowały nowo przybyłych w stronę namiotu, gdzie czekały już napoje i przekąski. Kiedy jednak pojawiła się Lindsey Grant Winship, Lily pobiegła w górę po stopniach, aby przywitać ją osobiście.

– Witaj, Lily! Jak się miewasz? – zapytała prawniczka.

– Wybornie, Lindsey, dziękuję. A ty? – Nie czekając na odpowiedź, uściskała kobietę, z którą nawiązała wyjątkową więź podczas przygotowań do rozprawy i w czasie jej trwania, po czym wyraziła swoje uznanie dla jej kreacji: powłóczystej jedwabnej, przylegającej do ciała sukni barwy żywego koralu.

– Chyba nie miałam wcześniej okazji przeprosić cię za tę niespodziankę, którą urządziłam ci w sądzie – powiedziała skruszona Lindsey. – Musisz zrozumieć, wszystko działo się wtedy tak szybko, sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie. Joe Holmes poinformował mnie o nakazie aresztowania Edwarda Huntera dosłownie w ostatniej chwili. Oczywiście mógł dokonać aresztowania bez tej całej szopki, ale ja chciałam, aby sędzina przekonała się na własne oczy, jakim człowiekiem był... jest Edward Hunter.

– To prawda, bardzo się zmartwiłam, kiedy powiedziałaś, że nie możesz mnie dalej reprezentować – rzekła Lily – ale już po chwili byłabym nosiła cię na rękach, więc chyba nic takiego się nie stało.

Lindsey pokiwała głową.

– Dość szybko po tym, jak poznałam Judy i Rebekę i zaczęłam widzieć je w roli świadków, przyszło mi na myśl, że można by rozprawę zakończyć, zanim na dobre się zacznie, jeśli tylko uda się sprawić, aby to Rebeka pierwsza otrzymała głos.

– Cóż, jakikolwiek był twój plan, wypalił – skwitowała jej tłumaczenia Lily i uśmiechnęła się przyjaźnie, wskazując Tarę i Joego.

Wkrótce potem przyszły Judy z Rebeką. Lily chciała przedstawić je natychmiast Rose, jednakże nigdzie nie widziała córki, a w kolejce już ustawiły się Maeve i Clara.



– Nasze bohaterki – powiedziała Maeve, chwytając je obie za ręce.

– Zrobiłyśmy to z przyjemnością – zapewniła Judy. Jej blizna nie rzucała się w oczy w tym oświetleniu, mimo to Lily wzdrygnęła się, kiedy ją dostrzegła. Manewrując ciałem, pozostawiła Reбекę ze starszymi paniami, sama zaś odwróciła się do Judy, którą przez moment miała tylko dla siebie.

– Nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna – oznajmiła, nie spuszczać z niej wzroku.

– Tak wiele razy chciałam do ciebie zadzwonić – odrzekła Judy. – Ale widziałam w gazecie ogłoszenie z okazji waszego ślubu, wydawałaś się na zdjęciu taka szczęśliwa, że pomyślałam sobie, że być może on się zmienił, że być może dla ciebie jest inny... Zaczęłam nawet uważać, że to ze mną było coś nie tak, że tylko przy mnie zamieniał się w bestię...

– To nie była twoja wina – powiedziała Lily stanowczo.

– Nie, oczywiście, że nie... Mimo to wtedy tak tego nie odbierałam... No i była Rebeka. Miała dziewięć lat i ani razu nie widziała swojego ojca.

– Rose jest teraz w jej wieku... Judy skinęła głową.

– Tak, wiem... Wyprowadziłyśmy się z Hawthorne i przeniosłyśmy do Salisbury, gdzie mieszkamy do dziś. Dokładnie po drugiej stronie stanu. Z początku Rebeka zadawała mi pytania na temat swojego ojca, ale z czasem jej to przeszło. Było tak, jakby nigdy nie istniał. Tyle że ilekroć patrzyłam w lustro, przypominałam sobie, że on jednak wciąż gdzieś jest... Naprawdę chciałam się z tobą skontaktować – ciągnęła. – Marzyłam o tym, abyś odnalazła mnie pierwsza. Gdybyś się pojawiła, powiedziałabym ci: „Czekałam na ciebie”.

Bo widzisz, Lily, ja w głębi ducha wiedziałam, że on robi ci to samo, co robił mnie. To jest od niego silniejsze, nic tego nie powstrzyma. Tak bardzo pragnęłam, abyś nie musiała przez to przechodzić samotnie...

– Wiem, wiem... – szeptała Lily, tuląc Judy.

Stały ciasno objęte i kołysały się delikatnie, kiedy nadeszli Liam i Rose. Przez długą chwilę wszyscy milczeli, a Lily przebiegała wzrokiem od twarzy Rose do Rebeki i z powrotem. W końcu wyciągnęła rękę do córeczki.

– Złotko – zaczęła – chciałabym, abyś kogoś poznała. Rose, pozwól, że ci przedstawię Reбекę Houghton. Rebeko, to moja córka Rose Malone. – Lily nachyliła się do córki i szeptem dodała: – Pamiętasz, co ci mówiłam o Rebecce? O tym, w jaki sposób jesteście spokrewnione?

Rose skinęła poważnie, a Rebeka ukucnęła przy niej i spojrzała jej prosto w oczy.

– Jestem twoją siostrą – szepnęła, biorąc Rose za rękę.

Podobieństwo między nimi było uderzające. Miały takie same ciemne włosy i zielone oczy ze złocistymi plamkami. Widząc je razem, przyglądając się, jak mała rączka Rose znika w smukłej dłoni Rebeki, Lily czuła przejmujące wzruszenie.

– Wiem. Mamusia mi powiedziała.

– Oficjalnie jesteśmy siostrami przyrodnimi – mówiła dalej Rebeka – ale mnie się takie określenie nie podoba.

– Rebeka nie uznaje półśrodków – wtrąciła Judy tytułem wyjaśnienia.

– Rose też nie – dodała Lily, tracąc głos. Liam objął ją natychmiast ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Mamy tego samego ojca – ciągnęła Rebeka – więc chyba za to jedno możemy być mu wdzięczne... Za to, że mamy siebie nawzajem. Ale poza tym

świetnie nam bez niego. Wystarczą nam nasze wspaniałe mamy, prawda, Rose? Niech żyją dziewczyny!

– Dziewczyny? – powtórzyła nieco otumaniona nadmiarem wrażeń Rose.

– No – potaknęła Rebeka. – Ty i ja, twoja i moja mama, wszystkie jesteśmy dziewczynami. I bardzo nam z tym dobrze. Nigdy o tym nie zapomnij, Rose. Gdybyś była starsza... – urwała, a Lily wydało się, że wróciła myślami do przeszłości, kiedy sama była dziewięcioletnią dziewczynką, i próbuje sobie przypomnieć, ile w tamtym wieku rozumiała. – Jak będziesz starsza, wszystko zrozumiesz – dokończyła niezbyt zgrabnie. – Chodzi mi o to, że małe dziewczynki, które dorastają bez ojców, czasami czują się gorsze od innych. Ale ty nie jesteś od nikogo gorsza, Rose.

– Ty też nie, Rebeko – zrewanżowała się Rose.

– Rebeka zaczyna w październiku studia na wydziale prawa – poinformowała Judy, nachylając się do Rose. – W maju skończyła college, a potem uczęszczała na kursy przygotowawcze. Teraz przez trzy lata będzie studiowała prawo, żeby zostać prawnikiem. Zamierza pomagać kobietom i ich dzieciom. Będzie ich adwokatem.

– Adwokatem? – powtórzyła dziewczynka.

– Będę reprezentować poszkodowaną stronę w sądzie – wyjaśniła szybko Rebeka. – A przy okazji zrobię wszystko, aby Amerykanie zrozumieli, że kobiety i dzieci należy traktować z szacunkiem. Szczególnie zależy mi, aby dotarło to do policji i sędziów. Tak wiele osób zwraca się do nich o pomoc i nie uzyskuje jej. Chcę to zmienić.

– To dobrze – oceniła Rose. – Pomogę ci w tym.

– Ta mała skończy jako sędzia Sądu Najwyższego – powiedziała Judy z błyszczącymi ze szczęścia oczami.

– Myślę, że możesz mieć rację – zgodziła się z nią Lily.

Obie z dumą patrzyły na swoje córki, myśląc sobie, jak to możliwe, że ojcem tych wspaniałych, empatycznych, inteligentnych istot jest człowiek niskich instynktów, o kalekiej duszy i zszarganej reputacji.

Kiedy wszyscy już zaspokoiли apetyt i pragnienie, przyjęcie rozkręciło się na dobre. Wynajęty zespół rażno przygrywał do tańca i Tara z Bay, wirując wesoło, zbliżyły się do tańczących Liama i Lily. Klepnęły mężczyznę w ramię, a kiedy odwrócił się do nich, Lily pomyślała, że chcą go jej odbić na ten jeden taniec, ale nie – chodziło im o nią.

– Madame, zrobisz nam tę przyjemność i dołączysz do nas? – zapytała z uśmiechem Tara.

– Ależ naturalnie – odparła Lily i pocałowawszy Liama, pozwoliła porwać się przyjaciółkom.

Wszystkie dawno już pozbyły się butów, tańczyły więc teraz boso, w czym nie przeszkadzało im gładkie i do czysta zamiecione podłoże. Lily spostrzegła, że Tara i Bay tańcząc, przesuwają się wolno ku skrajowi „parkietu”, a w końcu poza obszar pokryty płachtą namiotu.

– Niech zgadnę... Chcecie zatańczyć pod gwiazdami.

– Nie – odrzekła Tara, chwytając dłonie obu przyjaciółek i zaczynając bieg w dół, ku skałom. – Chcę, abyśmy zatańczyły pod wodą.

Czas stanął, potem cofnął się i nagle znów były czternastolatkami. Tara nie musiała mówić nic więcej, ponieważ Lily i Bay zrozumiały ją od razu. W przeszłości nieraz opuszczały letnie przyjęcia, wymykając się w podobny sposób. Późnosierpniowe wieczory, w których rozbrzmiewała muzyka, były wprost do tego stworzone. Zostawiły za sobą dom i ogród i zaczęły się posuwać ostrożnie po półkach skalnych i płaskich kamieniach. Lily potrafiłaby

to robić z zamkniętymi oczami. Jej bose stopy znały tu każdy centymetr kwadratowy powierzchni – każdy występ, każdą szczelinę.

Gdy dotarły na śliski brzeg, a przed nimi rozpościerała się już tylko toń oceanu, zdjęły sukienki, rzuciły je na kupkę i zanurzyły się w wodzie. Była jedwabista i ciepła. Lily płynęła przed siebie, smakując sól na wargach i koniuszkami palców czując dłonie przyjaciółek, kiedy równocześnie nurkowały.

Wyłoniwszy się dla zaczerpnięcia tchu kolejny raz, zobaczyła nad głową usiany gwiazdami firmament i z otwartymi z zachwyty ustami, ocierając morską wodę z oczu, ułożyła się na falach na plecach, by patrzeć prosto w niebo. Woda była jej żywiołem. Woda i gwiazdy. Czuła, jak wypycha ją ku górze jedna miękka kołderka, druga zaś otula swym granatowo–złotym aksamitem. Jej najlepsze przyjaciółki unosiły się na wodzie tuż obok niej, a mężczyzna, którego kochała, i dziecko, które urodziła, byli niedaleko – w domu, gdzie się wychowała. Jej babcia wyzdrowiała i Lily nigdy chyba nie czuła się tak szczęśliwa – i tak smutna –jak w tej chwili.

– Nie chce mi się wierzyć, że jutro wyjeżdżam – szepnęła.

– Sza... – uciszyła ją Bay. – Udawajmy, że nigdzie nie jedziesz.

Tara była innego zdania.

– Raczej powinniśmy zacząć się z tym godzić. W przeciwnym razie będziemy bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwe, gdy Lily w końcu nas zostawi.

Lily poczuła ukłucie w piersi. Przyjechać z tak daleka, przeżyć tyle wspaniałych doświadczeń i zostać zmuszonym do ponownego wyjazdu?... Czy na tym polega życie? Na przychodzeniu i odchodzeniu, na konieczności żegnania się z tym co najważniejsze, na niemożności zatrzymania na dłużej tego, co najbardziej się liczy? Gdyby tylko mogła, chciałaby zachować swoje

życie tutaj, w Hubbard's Point, pośród wszystkich, którzy ją kochali i których ona kochała, nie rezygnując jednak z czekającego ją życia z Liamem i Rose w Cape Hawk. Było coś, co oprócz niej łączyło te dwa miejsca... Nanny. Lily rozejrzała się wokół, w ciemnościach próbując dostrzec ten ogromny, cudowny błysk bieli. Nanny wszakże nigdzie nie było.

– Wiesz... – Tara podpłynęła do niej i ujęła w dłoń pęk jej mokrych włosów. – Właściwie miałam nadzieję, że nie będziesz chciała pójść z nami popływać...

– Czemu?

– Bo wydawało mi się, że szykujesz dla nas niespodziankę – wyjaśniła Tara. – Obie z Bay byłyśmy przekonane, że zainscenizowałaś nietypowy ślub. Sprosiłaś wszystkich na huczne przyjęcie, niby pożegnalne, a w rzeczywistości zamierzałaś wymienić obrączki z Liamem.

Lily uśmiechnęła się, nie przestając machać pod wodą nogami, aby utrzymać się na powierzchni.

– Liam jest tym jedynym, prawda? – spytała Bay.

– Był nim od samego początku – przyznała Lily. – Tylko strasznie dużo czasu zabrało mi, zanim to sobie uświadomiłam...

Tak bardzo, bardzo dużo czasu, pomyślała. Przez te wszystkie lata, które spędziła w Cape Hawk razem z Rose, Liam Neill zawsze był przy nich, d 1 a nich – gotów do pomocy w każdej chwili, lecz cierpliwie czekał na znak od niej. Kochał je obie od pierwszego wejrzenia, aż ona w końcu odważyła się odwzajemnić jego miłość. Nie było jej łatwo zaufać drugiemu mężczyźnie po tym, co uczynił jej Edward. Wszelako teraz życie z Liamem stało się dla niej tak proste i przyjemne jak pływanie w ciepłą letnią noc.

– Cieszymy się twoim szczęściem, Lily – powiedziała Bay. – Był czas, kiedy sądziłyśmy, że utraciłyśmy cię na zawsze. Być może teraz jest nam jeszcze trudniej, ponieważ musimy pozwolić ci odejść po raz drugi...

– Zdaje się, że przed chwilą chciałaś udawać, że jest inaczej – przypomniała jej Tara.

– Ale jak zwykle przyznaję ci rację – odrzekła Bay, ponownie sięgając po dłonie obu przyjaciółek. – Lepiej zmierzmy się z prawdą dzisiejszego wieczoru.

– Prawda jest taka, że będę tu wracać – zauważyła Lily.

– Przyrzekasz? – zapytały chórem Tara i Bay.

– Przyrzekam – odparła Lily, wiedząc, że nigdy nie złożyła solenniejszej obietnicy.

Patrick i Marisa stali obok siebie zasłuchani w muzykę. Wokół nich wirowały tańczące pary, nie było wątpliwości co do tego, że przyjęcie nadzwyczaj się udało. Patrick w zamyśleniu uprzytomnił sobie, że znajduje się w miejscu, w którym wszystko się zaczęło – w ogrodzie Maeve.

– O czym rozmyślasz? – spytała cicho Marisa.

– Właśnie tam – powiedział, wskazując cembrowinę studni życzeń – właśnie tam znalazłem żółtą konewkę i parę gumiaków w kolorze jaskrów. Dziewięć lat temu Lily opuściła swoje dotychczasowe życie, a ja w nie wkroczyłem.

– Bogu niech będą dzięki. Patrick poczuł, że się czerwieni.

– Cokolwiek mówić – bąknął – i chociaż dobrze się wszystko skończyło, nie potrafiłem jej odnaleźć przez dziewięć lat.

– Ale znalazłeś mnie – powiedziała Marisa, obejmując go ciasno ramionami.

– Nawet nie wiedziałem, że cię szukam – szepnął, spoglądając jej w oczy.

– Wiem... Mimo to należy się cieszyć, że tyle zła ostatecznie obróciło się na dobre. Ja też nigdy nic przypuszczałam, że tak się stanie...

Patrick obrócił się lekko i powiódł spojrzeniem tam, gdzie patrzyła – po przeciwnej stronie ogrodu stały Samantha, Jessica i Rose, która oczywiście bawiła się z Florą. Nagle przed oczami stanęła mu maleńka Tally i zanim zdołał się powstrzymać, uścisnął mocno Marisę.

Przez głowę przebiegły mu wszystkie sprawy, nad którymi pracował w policji, zbrodnie, których zagadkę starał się rozwikłać, wreszcie Edward Hunter z jego zadufanym, pewnym siebie wzrokiem. Odnalazł błyszczące oczy Marisy i rzekł:

– Tak to już jest, że trzeba przejść przez prawdziwe piekło, aby znaleźć swoje niebo.

Wyciągnęła ku jego twarzy rękę, pogładziła go dłonią po policzku. Uśmiech w dalszym ciągu miała smutny, zabarwiony goryczą, aczkolwiek już nie tak przejmująco nieszczęśliwy jak wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy.

– Ty jesteś moim niebem – szepnęła.

– A ty moim...

I Marisa wspięła się na palce, aby pocałować go w usta, podczas gdy w ogrodzie Maeve nadal rozbrzmiewała radosna muzyka.

Kiedy Lily osuszyła się i na powrót włożyła sukienkę, udała się na poszukiwania Liama. Przeczekiwał właśnie wyjątkowo skoczny taniec, siedząc na metalowej ławce z Rose przy boku. Na jej widok ścieśnili się, robiąc jej miejsce. Przez parę chwil trwali bez ruchu, w milczeniu przysłuchując się muzyce i chłonąc atmosferę przyjęcia. Cała trójka dobrze wiedziała, że jest wiele powodów do świętowania.



– Tak się cieszę, że Jessica przyjechała ze swoją mamą, ciocią i panem Murphym – przerwała ciszę Rose. Po krótkiej chwili dodała: – I z Florą...

Wszystkie wymienione osoby stały nieopodal. Marisa i Samantha rozmawiały o czymś z Maeve, a Patrick i Jessica trzymali się nieco na uboczu w towarzystwie nieodłącznej Flory.

– Ja też się cieszę, że tu są, złotko – odrzekła Lily.

– To przyjęcie nie byłoby takie samo bez nich – stwierdził Liam.

– Masz rację – uśmiechnęła się Lily. – To wyjątkowe przyjęcie.

– Jest bardzo specjalne, prawda? – włączyła się Rose.

– O, tak – potwierdził Liam.

– A dlaczego? – zaciekawiała się Rose. – To znaczy, wydaje mi się, że wiem, ale chciałabym to usłyszeć...

– Hm... – zastanowiła się Lily. – Odbywa się zarazem pojednanie i pożegnanie. Spotkaliśmy się z moimi najstarszymi przyjaciółmi na świecie: Tarą i Bay i ich rodzinami, ty zaś poznałaś Rebekę i Judy...

– Rebeka powiedziała, że odtąd będziemy jak prawdziwe siostry – wpadła jej w słowo Rose. – Będzie mnie często odwiedzać, a ja pojedę zobaczyć, gdzie studiuje.

– To dobrze, kochanie... – Lily przytuliła mocno córeczkę. Omal jej nie utraciła, ale na szczęście operacje odniosły zamierzony skutek i serce Rose nareszcie pracowało jak należy.

– No dlaczego jeszcze to przyjęcie jest takie wyjątkowe? – dopytywała dziewczynka.

– Świętujemy to, że Maeve wyzdrowiała, i twój powrót do pełni sił, a także wszystkie różyczki, które zasadziłaś wspólnie z Jessicą, i te sprzed lat,

kwitnące rok po roku, co przypomina nam o tym, że po zimie zawsze przychodzi lato.

– Bez względu na to, jak długa wydaje się zima – dodał Liam.

– To wszystko – pokiwała głową Rose – no i chyba jeszcze niespodziankę...

– Tak, niespodziankę również – potwierdziła Lily, spoglądając ponad Rose na Liama. Oczy błyszczały mu jak nigdy przedtem; wprost promieniał szczęściem.

– Taki wieczór jak dzisiejszy naprawdę rzadko się zdarza... – powiedział.

– Wszystko jest na swoim miejscu...

– Z wyjątkiem Nanny – westchnęła smutno Lily. – Kiedy pływałam z dziewczynami, rozglądałam się za nią, lecz nigdzie jej nie widziałam.

Zmieniła się melodia i Lily poczuła łaskotanie w brzuchu. Zbliżał się czas... Nadal jednak siedzieli we trójkę na kutej z metalu ławce, na której oparciu znalazły się cztery scenki przedstawiające chłopca i dziewczynę pod drzewem w czterech porach roku: zimą, wiosną, latem i jesienią. Miesiące i pory roku przemijały, pewne rzeczy jednak nie zmieniały się. Prawdziwa miłość na przykład. Miłość do ludzi, ale także do miejsc. Hubbard's Point było dla Lily równie ważne jak najważniejsze osoby w jej życiu.

Po przeciwnej stronie ogrodu rozdzwonił się telefon komórkowy. Patrick odebrał, po czym poderwał głowę, odszukał wzrokiem Marisę i zawołał ją.

– Kto to może być? – zapytała Samantha.

– Nie mam pojęcia – odparła Marisa i podbiegła do Patricka.

– Pośpieszcie się – upomniała rodziców Rose. – Czas na niespodziankę. – Uśmiechnęła się słodko, wstając, aby pójść po koszyk, który był jej potrzebny.

Zostawszy sam na sam z Liamem, Lily oparła głowę na jego ramieniu. Nawet jeśli poczuł przez koszulę jej wilgotne włosy, nie dał tego po sobie poznać. Niemal od razu poczuła jego wargi na ciemieniu.

– Słone – zaśmiał się.

– Nie mogłam odmówić sobie nurkowania – odpowiedziała. – Wodne harce z dziewczynami to niemal tradycja. Nie było przyjęcia, z którego nie urwałybyśmy się na trochę, żeby popływać.

– Ani jednego?

– Ani jednego – potaknęła.

– Nawet weselnego?

– Zwłaszcza weselnego! – odparła i roześmieli się zgodnie.

Liam przygarnął ją i zaczęli się całować w cieniu cedrów. Lily rozpływała się pod dotykiem jego warg, czując zawroty głowy od ciężkiego, przesyconego zapachem róż powietrza, wciąż wilgotna od morskiej wody i z pożądania. Byli razem teraz i wiedziała, że pozostaną razem na zawsze. Ten wieczór stanowił zaledwie moment w ich osobistej wieczności. Ich pocałunek także zdawał się ciągnąć w nieskończoność, przerwało go dopiero pojawienie się Rose, która trzymała w ręku koszyk.

Wcześniej nazbierała do niego różanych płatków – różowych, czerwonych, żółtych i białych we wszystkich możliwych odcieniach. Chociaż był pełny, krzaki róż rosnących w ogrodzie bynajmniej nie wydawały się ogołoczone.

– Zgadnijcie, kto dzwonił! – rzekła Marisa, podchodząc do nich.

– Kto taki? – Lily nie posiadała się z ciekawości. Ten wieczór naprawdę był pełen magii.

– Anne! – odparła Marisa. – I wiecie, kto właśnie wrócił do Cape Hawk?

– Tylko mi nie mów, że Gerard Lafarge... – Uśmiech spęzł z twarzy Lily.

– Gdzie tam! – rozpromieniła się Marisa. – Do Cape Hawk zawitała Nanny!

Wiadomość była tak nieoczekiwana, a zarazem wyczekiwana, że oczy Lily momentalnie wezbrały łzami. Nanny była ich aniołem stróżem tego lata, ich przewodnikiem po meandrach życia. Towarzyszyła im z Cape Hawk w drodze do Bostonu, gdzie Rose miała przejść ostatnią operację na otwartym sercu, a potem również tutaj, do Hubbard's Point, gdzie czekała na nich Maeve w potrzebie, by na koniec uprzedzić ich powrót na północ, do Nowej Szkocji, nad Zatokę Świętego Wawrzyńca.

– Wróciła na rodzinne wody – stwierdził Liam – wskazując nam drogę do domu.

– Do domu! – podchwyciła Rose i zaczęła podskakiwać na jednej nodze.  
– Do Cape Hawk! – Rozochociona niechcący rozsypała trochę płatków. Schyliła się i zaczęła je zbierać, lecz przerwała w pół ruchu i popatrzyła na Liama i Lily. – Czy to już?

– Pytasz, czy czas na niespodziankę, złotko? Myślę, że tak. – Lily uśmiechnęła się i odszukała wzrokiem spojrzenie Maeve. Babcia jako jedyna spośród obecnych wiedziała, co mają w zanadrzu.

Maeve odwzajemniła się promiennym, babcinym uśmiechem i skinęła głową, dając wnuczce znak, że jest gotowa.

Wtedy Liam pochylił się i wyciągnął spod ławki koszyk. Był nieco większy od tego, który trzymała w ręku Rose, i nakryty płótnem, które Lily wyhaftowała przed wielu laty, gdy była jeszcze młodą dziewczyną, niewiele starszą od swojej córeczki. Obraz przedstawiał „Ogród morski”, wielobarwny

od wszelkich możliwych odcieni różu, ecru, czerwieni i bieli, prawdziwie magiczny, choć równocześnie bardzo rzeczywisty. Najpiękniejsze były białe róże, które hafciarka przedstawiła najbardziej realnie, z największą liczbą szczegółów. Pracując nad tym płótnem, Lily miała w myślach własny ślub i białe wesele.

Od najmłodszych lat jej marzeniem było wyjść za mąż właśnie tutaj, w ogrodzie Maeve. Wyobrażała sobie, że w tym wyjątkowym dniu wszystkie róże będą kwitły jednocześnie, a najwięcej będzie białych, odpowiednich dla panny młodej. Kiedy więc posiadała dość umiejętności, jako nastolatka wyhaftowała to, co sobie wymarzyła, i przyrzekła w duchu, że gdy przyjdzie czas, weźmie ślub latem, otoczona przez rodzinę, najbliższych przyjaciół i ukochane róże babci.

– Ciekawe, co powiedzą na lód? – rzucił pytanie Liam, którego w ostatniej chwili ogarnęły wątpliwości.

– Nic! – odparła energicznie Rose. – Powiemy im, żeby włożyli coś ciepłego.

– Lód będzie z tego wszystkiego najpiękniejszy – rzekła Lily, biorąc Liama za rękę i zaglądając mu w oczy.

Przypomniała sobie starą fotografię, na której uwieczniono statek wielorybników uwięziony przez krę lodową; jego maszty i takielunek odcinające się czernią pośród oślepiającej srebrzystej bieli dokoła, wysokie ośnieżone klify fiordu wznoszące się majestatycznie w tle...

To był teraz krajobraz bliski sercu Lily. Udała się na północ, gdzie znalazła śnieg i lód, zorzę polarną, białuchy i mnóstwo ciepła. Tam urodziła swoją córkę i tam poznała prawdziwą miłość swego życia – praprawnuka

kapitana skutego lodem statku. Dzięki niemu zrozumiała, że jej zima nie musi trwać wiecznie.

Pory roku się zmieniają, pomyślała, ale róże kwitną przez cały rok, jeśli nie w jednym zakątku świata, to w innym. Na jej bożonarodzeniowym weselu nie zabraknie róż, mimo że odbędzie się ono w Cape Hawk. Powzięła decyzję, że zamówi je tam, gdzie słońce nigdy nie przestaje świecić. Na ślub zjadą wszyscy jej bliscy i znajomi, a uroczystość odbędzie się w najkrótszy dzień roku. Wtedy Lily Malone i Liam Neill wstąpią w związek małżeński.

Przeciskając się przez tłum, Lily i Rose sięgały do większego koszyka i rozdawały każdemu zaproszenie. Tara otworzyła kopertę, jak tylko dostała ją do ręki.

– Dwudziestego pierwszego grudnia! – wykrzyknęła. – W przesilenie zimowe!

– Nasze nowe życie, moje i Rose, rozpoczęło się w przesilenie letnie, w najdłuższy dzień roku – wyjaśniła Lily. – Pomyślałyśmy więc, że trzeba dodać też trochę radości wtedy, kiedy słońce świeci najkrócej...

– W Cape Hawk – przeczytała Bay.

– Zapraszamy was wszystkich – dodała Lily. – Proszę, powiedzcie już teraz, że będziecie mogli przyjechać. Wynajmiemy dla was autokar, statek, cokolwiek będzie trzeba, byleście zjawili się na czas.

– Będę tam, choćbym miała przyplłynąć wpław – zapewniła Tara.

– Mariso, Samantha... – Lily zwróciła się do przyjaciółki i jej siostry. – Proszę, obiecacie, że zagraacie na naszym weselu.

– Niegdysiejsze Upadłe Anioły? – podchwycił Liam.

– Od niedawna Latające Anioły – sprostowała Samantha, obejmując Marisę w pasie. – Moja siostrzenica nadała nam nową nazwę.

– Bo jest ładniejsza – broniła swego zdania Jessica.

– Imiona i nazwy są bardzo ważne – poparła ją lojalnie Rose.

Liam skinął głową, przyjmując do wiadomości nową nazwę duetu, a Lily oparła się o niego i skłoniła głowę na jego pierś. Opromieniał ich blask księżycy tańczący na kryształkach miki, skalnych występach i morskich falach.

Ocean był niezwykle spokojny. Jego wody leniwie lizały skalisty brzeg, od niechcienia przypominając o potędze życia, która połączyła wszystkich poprzez sól zawartą w morzu, we krwi i w ludzkich sercach. Widmowe Wzgórza należały do przeszłości; wszystko wróciło do normy.

Lily poczuła, jak malutka rączka Rose wślizguje się do jej dłoni. Dziewczynka pociągnęła mamę w dół i Lily pochyliła się, aby ją podnieść. Do ucha szeptała jej morska bryza i córeczka.

Nagle Rose okręciła się w jej ramionach i objęła za szyję Liama, zbliżając usta do jego ucha. Ponad ich głowami kołowały udające się na spoczynek mewy i dopiero wylatujące z kryjówek nocne ptaki. Łopot ich skrzydeł i przeraźliwe krzyki zagłuszyły słowa dziewczynki, ale z uśmiechu Liama Lily domyśliła się, że jej córka nazwała go tak, jak pragnęła go nazywać już od bardzo dawna.

– Tatusiu...